PAMIĘTNIK LITERACKI

PAMIĘTNIK LITERACKI

CZASOPISMO KWARTALNE POŚWIĘCONE HISTORII I KRYTYCE LITERATURY POLSKIEJ

REDAKTOROWIE

LUDWIK BERNACKI, WILHELM BRUCHNALSKI, IGNACY CHRZANOWSKI

ROCZNIK XXXIV

LWÓW
NAKŁADEM TOWARZYSTWA LITERACKIEGO IM. ADAMA MICKIEWICZA
Z ZASIŁKIEM MINISTERSTWA W. R. i O. P., Z ZASIŁKIEM FUNDUSZU KULTURY NARODOWEJ, Z SUBWENCJI KASY IM. J. MIANOWSKIEGO, Z SUBWENCJI BANKU POLSKIEGO, Z SUBWENCJI POCZTOWEJ KASY OSZCZĘDNOŚCI, Z SUBWENCJI PREZYDJUM STOŁ. M. LWOWA, Z SUBWENCJI MIEJSKIEJ KASY OSZCZĘDNOŚCI WE LWOWIE, Z FUNDUSZU IM. Ś. P. WACŁAWA MIŃSKIEGO, Z FUNDUSZU IM. Ś. P. BRONISŁAWA GUBRYNOWICZA
1937

SPIS RZECZY

Str.

ROZPRAWY I NOTATKI

MATERIAŁY

PRZEGLĄDY I SPRAWOZDANIA

WSPOMNIENIA POŚMIERTNE

SPIS WSPÓŁPRACOWNIKÓW

ZE STUDIÓW O ISTOTNOŚCI I O ISTOCIE RODZAJÓW LITERACKICH

CZĘŚĆ DRUGA [1]

Oczywiście, mówiąc o żywotności rodzajów literackich o ich życiu, powstawaniu, obumieraniu, nie posługujemy się tymi określeniami w znaczeniu biologicznym, ani w znaczeniu jakim — mocą przenośni — odnosimy je do rzeczy martwych. Na pojęcie życia w sferze abstrakcji składać się będzie ustabilizowanie pewnej ilości cech w spoistą jedną całość, na obumarcie — rozbicie ustalonych zespołów, przyłączenie do nich nowych, zanik ich mocy wcielającej je w dzieła jednostkowe. Jak widzimy, żywotność jest tu czymś wtórnym, bo tkwi całą swoim istnieniem w świadomości człowieka, w jego duchowości.

Zastanówmy się najpierw nad tym, co nazywamy rodzajem literackim?

W teorii na ten temat panuje chaos, którego nikt nie próbuje opanować.

Rodzajami literackimi zwano przede wszystkim epikę, lirykę i dramat; badacze, z wyjątkiem tak zagorzałych przeciwników klasyfikacji literatury jak Croce, godzili się na uznanie ich jakościowej odrębności, ich jakoby samoistności. Racji bytu tak określonego pojęcia próbowała nawet bronić poetyka psychologiczna. Bovet kruszył kopię w jego obronie, Hartl próbował uzasadnić psychologicznie odrębność rodzajową epiki, liryki i dramatu.

Natomiast pomiatano tzw. „drobnymi“ rodzajami; tylko niekiedy i na te „drobne“ rodzaje godziła się ukradkiem poetyka, zwłaszcza tradycyjna, widząc w nich wygodę badacza, który w ten sposób ma pod ręką gotowe, zdecydowane szablony pojęciowe [2]. Zupełna w teorii pogarda, niezrozumienie

---

[1] Por. *Pamiętnik Literacki*, R. XXXIII, 1936, s. 574—590.

[2] Jak stwierdza R. M. Meyer (*Deutsche Stilistik*, München. 1906 s. 152) mimo iż — jego zdaniem — słusznie zaprzeczono istnieniu rodzajów

istotności rodzajów literackich, świetnie w ten sposób godziły się z traktowaniem ich jako „Hilfsbegriffe“ [1] — czemu zresztą niekiedy towarzyszyło u badaczy zawstydzenie, że w ich sposobie myślenia utylitaryzm bierze górę nad zasadniczością [2].

Posługując się określeniem „drobnych rodzajów“ nie idziemy tu w ślad za *Art Poëtique* Boilleau'a, który przeciwstawienie rodzajów drobnych wielkim opiera na różnicy ich rozmiarów. Mówiąc o „drobnych“ rodzajach mamy na myśli te wszystkie, których treść mieści się w treści nadrzędnych im pojęć rodzajowych, a więc w pojęciach epiki, liryki, czy dramatu, lub ewentualnie na ich skrzyżowaniach. W tym znaczeniu „drobnym“ rodzajem będzie zarówno hymn jak epopeja, bo pierwszy będzie pojęciem podrzędnym wobec pojęcia liryki, drugi pojęciem podrzędnym wobec pojęcia epiki. Stosunek logiczny „drobnych“ rodzajów literackich względem siebie może być różny; są one współrzędne, gdy mają wspólne pojęcie rodzajowe nadrzędne, np. epopeja i epilion należące do poezji epicznej; są tylko równorzędne w podziale, w klasyfikacji ogólnej rodzajów, gdy mają różne pojęcia nadrzędne, które znów względem siebie są współrzędne. I tak równorzędny jest tren i epopeja.

W ustosunkowaniu się pojęcia „drobnego“ rodzaju literackiego do pojęć nadrzędnych może zachodzić jeszcze jeden wypadek; „drobny rodzaj“ może posiadać w swej treści cechy dwóch lub więcej pojęć o charakterze nadrzędnym; wtedy w nim następuje jakby skrzyżowanie cech obu pojęć nadrzędnych; wiąże się ono częścią swych cech z jednym pojęciem nadrzędnym należąc do jego zakresu, a równocześnie częścią inną wiąże się z drugim. I tak, sonet przez swój element opisowy łączy się z poezją epiczną, przez swój element reflek-

---

literackich, „ändert nichts an der Tatsache, dass die ungeheuere Mehrzahl der literarischen Produkte sich in die überlieferten Gattungen leicht und zweckmässig einordnen lässt..“.

[1] Stwierdza to także K. Hartl (*Versuch einer psychologischen Grundlegung der Dichtungsgattungen,* 1924, II): Doch diese Komplexität des einzelnen konkreten Dichtswerks, mag sie auch für manchen der Grund sein, die Einteilung der Poesie in verschiedene Gattungen als „armseligen Notbehelf aus Bequemlichkeitsrücksichten“ verächtlich beiseite zu schieben (Gregory, *Wesen und Werden der Liryk*, *Österr. Rundschau*, Bd. II, s. 407) oder mit spöttischen Lächeln zu betrachten, — Croce vergleicht dieses Bemühen, die Gesetze einzelner Gattungen zu erforschen, mit dem Bestreben, in einer Bibliotek die Gesetze des Faszikels A oder des Faszikels B zu ergründen — schafft das Einteilungs- und Gattungsproblem keinesweg aus der Welt.

[2] I tak pisze np. Bovet (*Lyrisme, Epopée, Drame,* s. 11): Il est certain que nos abstractions, nos groupements de faits, bien que nécessaires au raisonnement scientifique, ont quelque chose de brutal et de factice; nous prétendons établir en classifiant des catégories aux cloisons étanches dans cet océan de la vie, où tout se tient, où tout n'est que flux et reflux.

syjno-uczuciowy z poezją liryczną — acz różna jest proporcja cech przynależnych do dwóch tych nad-rodzajów.

Zaobserwowanie tego zjawiska doprowadziło niektórych krytyków do traktowania „drobnych“ rodzajów literackich jako rodzajów pośrednich[1] pomiędzy rodzajami epiki, liryki, dramatu[2]; to równourzędnienie „drobnych“ i „wielkich“ rodzajów nie brało pod uwagę różnego stopnia ich formalnego skonsolidowania.

Brak wyraźnego postawienia tej kwestii, tj. niewyodrębnienie „wielkich“ i „drobnych“ rodzajów literackich, prowadzi do zamieszania w terminach; teoria zarówno pojęcia nad- jak i podrzędne nazywa rodzajami literackimi. Stawianie obok siebie równorzędnie jakości tak różnych prowadzi do niejasności, po prostu do zmieszania rzeczy zupełnie różnych nie tylko obszarem treści i zakresu, ale i typem żywotności.

Istotność dla literatury i badań nad nią mają — jak zobaczymy — nie tylko „wielkie“ rodzaje: epika, liryka, dramat, ale i „drobne“; omówienie ich zakresów doprowadziło do ustalenia ich stosunków pod- i nadrzędności.

Nasuwa się teraz pytanie, czy do tego uprawnia również wynik badań nad ich treścią. To zbadanie treści dwurzędowo usystematyzowanych pojęć rodzajowych leży w centrum samego zagadnienia istotności rodzajów literackich, bo tyczy ich istoty.

Treść „drobnych“ rodzajów jest znacznie bogatsza; „wielkie“ rodzaje to jakoby żywioły[3], bez związanych z nimi pojęciowo walorów kształtowych, względnie żywioły, których kształt formalny jest nieskonsolidowany, płynny. Drobne rodzaje, to całostki skonsolidowane, określone w swoistej materii treściowej i posiadające związane z nią formalne zarysy. Mówiąc

---

[1] Rudolf Lehman (*Poetik*, II Aufl., 1919, s. 193): „Ist die Poesie ursprünglich nur eine, entspringen ihre Gattungen bei aller Verschiedenheit der Funktionen, in welchen der formenbildende Trieb sich äussert, doch nur einer gestalteten Grundtätigkeit der Phantasie, so ist vertsändlich, dass es Dichtungsformen gibt, in denen die Charakterzüge der verschiedenen Gattungen nicht nebeneinander, wie oben vom Drama gesetzt wurde, sondern miteinander verbunden, ja verschmolzen auftreten: lyrische und epische, epische und dramatische Eigenart, ja bisweilen alle drei fliessen hier ineinander über. Solche Gedichte bilden somit vermittelnde Zwischenformen; sie sind bedeutungsvoll und belehrend, weil sie besonders deutlich zeigen, dass die Grenzen, welche die Begriffe der Poetik, wie die Sphären der Poesie voreinander trennen, nicht mechanisch starr und fest, sondern lebendig fliessend sind“.

[2] Bovet tak to ujmuje: „Dès qu' on conçoit ainsi ces trois modes essentiels, il est clair que les „genres intermédiaires“, innombrables autant que legitimes, sont des cas particuliers; il faut se garder de créer pour eux des catégories nouvelles; il faut respecter leur individualité, en explicant leur génèse par la combinaison d'éléments divers“. (*op. cit.*, s. 15).

[3] Skonsolidowanymi formami literackimi nazywa np. bajkę, satyrę Dragomirescou w swojej *La science de la litterature.*

o pojęciu liryki myślimy o pewnej materii treściowej w sferze osobistych wzruszeń, której kształty formalne jeszcze są słabo zarysowane. Gdy mówimy np. o triolecie, myślimy nie tylko o pewnej materii treściowej, ale i o związanym z nim kształcie formalnym.

Tak więc różnica w bogactwie linii treściowych jest jedną z różnic między „wielkimi" a „drobnymi" rodzajami i już sama przez się żąda odpowiedniej systematyzacji. Różnicę linii treściowych w poszczególnych żywiołach rodzajowych wywołuje za każdym razem odmienny stosunek autora do przeżywanej i artystycznie wcielonej treści[1]; .....das epische Gedicht wird vorgetragen, das dramatische vorgelebt das lyrische trägt sich selbst vor, jak powiada Dohrn[2]

Ponieważ w drobnych rodzajach literackich splatają się cechy materii treściowej przynależnej różnym żywiołom rodzajowym, więc też i stosunek twórcy do tych „drobnych" rodzajów musi być znacznie bogatszy, znacznie bardziej urozmaicony. Gdy np. Mickiewicz pisze *Konrada Wallenroda* realizując nim powieść poetycką, mienić się musi w swych przeżyciach twórczych, raz wyrażając się pozą obserwatora i obiektywnego sprawozdawcy, raz swoje uczucia wyrażając bezpośrednią liryką, raz dramatycznym dwugłosem wypowiadając tragizm bohaterów. Nie tylko więc, jak widzimy, ilościowo cechy treściowe „drobnego" rodzaju literackiego są bogatsze, lecz i jakościowo przez różnorodność stosunku do nich twórcy, który się przez nie wypowiada. A zatem resumując, — i rozpatrzenie charakteru treściowego żywiołu rodzajowego a „drobnego" rodzaju literackiego prowadzi nas do tego, by na różnych płaszczyznach umieścić jedno a drugie.

Rodzaj literacki ma związany z właściwą mu materią treściową pewien walor formalny; można stwierdzić, że im „drobniejszy" rodzaj literacki (np. epika — poezja opowiadająca — epopeja bohaterska), czyli im bogatsza treść pojęcia, tym ściślej także jest skonsolidowana forma. Ileż więcej danych co do formy zawiera pojęcie bajki niż pojęcie poezji epicznej!

Element formy w rodzaju literackim jest bardzo wyraźny, nie ma jednak znaczenia pierwszoplanowego a zwłaszcza wyłącznego, na podstawie którego, jak się to często zdarza, można by zidentyfikować zagadnienie rodzaju literackiego z zagadnieniem formy. W rzeczywistości zarówno logicznej, jak i w skonkretyzowanej w jednostkowym dziele[3], w rzeczywistości, którą jest rodzaj literacki, nie istnieje oderwana forma,

---

[1] Omawia z tego punktu widzenia bardzo szeroko Ermattinger (*Das dichterische Kunstwerk*, s. 314—331 n.) epikę, lirykę, dramat, jako specjalną „Wirkungsform".

[2] Dohrn, *Die Künstlerische Darstellung*, s. 85.

[3] np. Ricarda Huch, *Blütezeit der Romantik*, Leipzig, 1905, s. 196, ustala związek ironii jako żywiołu treściowego z kształtem komedii.

istnieje jedynie jako uzewnętrznienie żywiołu treściowego. Stąd zastrzeżenie Boveta przeciw „drobnym“ rodzajom literackim, jako wyłącznie formom, wydaje się zastrzeżeniem przeciw temu, czego nie ma, uderzeniem w próżnię[1]. Z drugiej strony inne jego żądanie (w którym po trosze zagubiło się poprzednie zaprzeczenie), by nauka zbadała istotę związku między żywiołem treściowym a formą w rodzaju literackim, jest słuszne i istotnie ciekawe; szkoda tylko, że a priori zapewnia, że nie ma żadnego związku między np. istotą liryzmu a formą ody[2].

Trzeba również zaznaczyć, że mówiąc tu o formie myślimy jedynie o formie uzewnętrznionej; błędem logicznym wydaje się odróżnienie, jak to czynią niektórzy teoretycy[3] za Ermattingerem[4], formy wewnętrznej i zewnętrznej[5]; pierwiastki formalne są produktem wyrażania, są tym, czym się p r z e j a w i a t r e ś ć; treść jest w rzeczywistości nieodłączną od kształtu, można ją tylko na drodze analizy abstrahować z jednostek rzeczywistych; w oderwaniu od żywiołu treściowego nie ma forma swego sensu estetycznego[6].

Tak więc w pojęciu rodzaju literackiego tkwi immanentnie pojęcie specyficznego elementu treści i formy, czynnika wewnętrznego i czynnika uzewnętrznienia. W p o s z c z e g ó l n y c h r o d z a j a c h l i t e r a c k i c h p e w i e n c z y n n i k t r e ś c i o w y j e s t n i e o d ł ą c z n i e z w i ą z a n y z p e w n y m c z y n n i k i e m f o r m y. Obserwacja podobnych zespołów pierwiastków treściowych i formalnych w szeregu jednostkowych dzieł doprowadzi teoretyka do wyodrębnienia ich drogą analizy logicznej, do konsekwentnego uznania w nich ich wewnętrznego powinowactwa (związek genetyczny, przyczynowy) i do przyznania im na s k u t e k i c h n i e r o z ł ą c z n o ś c i z n a c z e n i a p e w n e j s w o i s t e j c a ł o ś c i a r a z e m ż y w o t n o ś c i p e w n e g o z ł o ż o n e g o o r g a n i z m u.

Poza czynnikiem splecionych ze sobą pierwiastków treści i formy ma każdy rodzaj literacki jeszcze inny, właściwy sobie a odróżniający go od innych, najściślej z nimi związany: czynnik w ł a ś c i w e g o m u s t y l u.

---

[1] E. Bovet, *tamże*, s. 27.

[2] „On pourrait aller plus loin, et sans tomber dans le fétichisme des formes et des règles, étudier les rapports intimes du contenu avec le contenant. Sans doute le lyrisme n'est pas lié le moins du monde à la forme de l'ode ou du sonnet, ni même au vers“... (*tamże*, s. 15).

[3] por. R. M. Meyer, *Deutsche Stilistik.* Rozróżnienie to wróciło także w obszernej rozprawie Ernsta Hirta: *Das Formgesetz der epischen, dramatischen und lyrischen Dichtung* 1923, np. s. 4.

[4] por. jego dzieło: *Das dichterische Kunstwerk.*

[5] Dohrn także przeciwstawia się wyróżnieniu formy zewnętrznej i wewnętrznej, *Die künstlerische Darstellung als Problem der Ästhetik,* s. 45.

[6] *tamże,* s. 46: ....Im Übrigen scheint es keiner besonderen Auseinandersetzungen mehr zu bedürfen um einzusehen, dass nur ein von innerem Leben Erfülltes im ästhetischen Sinne *Form* ist.

Styl rodzaju literackiego, to czynnik sposobu, którym się wypowiada indywidualność rodzaju wykwitając z wszystkich jego cech; jest on od nich uzależniony, bo są one jego pniem macierzystym.

Podobnie pojmuje Ermattinger styl rodzaju, gdy zapewnia — zresztą znakiem równania łącząc styl i formę zewnętrzną — że „es gibt nicht eine Allgemeinheit aüsserer Formen, sondern nur einen besonderen Stil der Liryk, der Epik des Dramas“ [1].

Rozpatrywanie istoty stylu zaprowadziłoby nas za daleko Wystarczy uprzytomnić, że nie ma dotąd wśród uczonych ustalonej ostatecznie definicji [2]. Ilu ludzi, tyle zdań [3]. Nie ma jednej prawdy odnośnie do stylu, nie ma analizy jego istoty, która by nie była lub nie mogła być podważona, której nie można by określić jako jednostronnej lub ciasnej. Nawet naczelne i bodaj najdawniejsze ujęcie stylu w aforystycznej definicji Buffona *Le style c'est l'homme* — ujęcie, które w przeróżnych modyfikacjach i pogłębieniach stało się wyrazem nowoczesnych określeń stylu [4] — okazuje się, mimo swych szerokich ram, ciasne. U jego dna leży przekonanie, że tylko człowiek, a więc dzieło o tyle, o ile jest jego emanacją, może posiadać styl [5]. Takie ujęcie zdawałoby się nie dopuszczać możliwości jakiegokolwiek wpływu na styl samego materiału dzieła sztuki.

Tymczasem jeśli mówimy o stylu rzeźby w drzewie, czy o stylu drzeworytu w odróżnieniu od stylu miedziorytu, to uwzględniamy w tym pojęciu nie tylko to, c o i j a k czło-

---

[1] Ermattinger, *Das dichterische Kunstwerk*, s. 307.

[2] E. Castle, *Zur Entwicklung des Wortbegriffs Stil,* s. 155—159.

[3] Na brak dotąd określeń i w ogóle wiedzy o stylu skarży się np. Karl Vietör, *Probleme der deutschen Barockliteratur*, Leipzig, 1928, s. 1 n.

[4] Oto garść określeń — wśród wielu innych — w których brzmi owo Buffona: „Le style c'est l'homme“: „...le style c'est l'âme modifiée à la surface par les différences communes ou individuelles — mais toujours l'âme. En droit, le style, c'est l'âme puissante et ordonnée. Ce sont les choses montrées à travers cette âme. Nombre de styles différents, ou mieux un seul qui se plie aux objets“ (Longhaye, *Théorie des belles-lettres,* Paris, 1920, s. 496 nn.). — „.....Indywidualność mówiącego przebija się w stylu jako symboliczna jednolitość wśród mnogości językowych środków“ (Wędkiewicz, *O stylu i stylistyce*, s. 13). Stąd konsekwentny wniosek, że stylu nie podobna się nauczyć, trzeba wychować człowieka (*tamże*, s. 18 n.). „Le style est la langue modifiée de manière à mettre en relief la personalité littéraire d'un écrivain“ (Michel Dragomirescou, *La science de la littérature,* Paris, 1928, s. 178). — Natomiast Jonas Cohn stara się ująć istotę stylu poza podłożem — bodaj pozornie — osobowości człowieka: „Stil ist die Summe der künstlerischen Gestaltungsprinzipien“ (*Allgemeine Ästhetik*, s. 122).

[5] Z. Łempicki ujmuje styl w oparciu o teorię niemiecką jako wyraz poprzez osobowość twórcy sfery duchowej ponadindywidualnej i tkwiących w niej sił. W ten sposób: „egzystencjalne“ ujęcie zagadnień stylu, to jest w konsekwencji ujęcie dynamiczne, energetyczne. Wyraża się ono w przekonaniu, że istnienie daje niejako znać o sobie przez pewną nurtującą siłę“. W tej koncepcji indywidualność twórcza jest tylko pryzmatem, a nie źródłem zjawiska stylu (Z. Łempicki, *Zagadnienie stylu,* 1937).

wiek wyraża przez dany materiał, lecz także to, co z racji istoty materiału może w nim, przezeń wyrazić. A więc musimy przyznać, że na pojęcie stylu dzieła składa się nie tylko człowiek, lecz i materiał, którym operuje, że styl dzieła wypływa nie tylko z możliwości człowieka, lecz i z możliwości materiału; niemal chciałoby się powiedzieć: nie tylko z ducha człowieka, lecz i z ducha materiału.

Drugą trudnością w badaniach stylu to określenie stosunku treści do formy.

Zbyt często podkreślano, że styl jako suma środków wyrazowych — tyczy się formy [1]. Ermattinger mówi, że przeżycie wyraża się w „aüsserer Form“ czyli stylu [2]; Volkelt również kładzie nacisk na formie [3]. Niewątpliwie, jeśli szukać środków wyrazowych w stylu, to nie można ich znaleźć poza sferą konkretnych wyrażonych cząstek dzieła sztuki, czyli poza uchwytną bezpośrednio, pierwszoplanową siecią czynników formalnych; jeśli jednak idzie o czynnik wytyczający ścieżki stylowi, czynnik decydujący o jego istocie, a więc o czynnik wzębiający się w samą istotę formy — to trzeba go szukać przede wszystkim w treści dzieła [4].

Nowoczesny kierunek w badaniach stylistycznych, który w ślad za estetyką zerwał ze stanowiskiem doktrynalnym (normatywnym), a oparł się o opis, staje w wyniku badania tego czy owego dzieła wobec stwierdzenia, że dana treść nie mogła być kompletniej wyrażona jak danym stylem. Treść pociąga za sobą styl. Jakżeż można oderwać styl np. *Genezis z ducha* Słowackiego od założeń treściowych tego dzieła; czyż można by żywioł kosmiczny jego treści, opartej o najgłębszy sens indywidualizmu, pozbawić tego stylu ksiąg świętych, tego stylu modlitewnego?

---

[1] Ernst Elster: „Stil ist die Summe der einheitlich geregelten Ausdrucksmittel eines Werkes, in denen sich die ästhetische Auffasung und die Gestaltungskraft eines Schaffenden kundgibt“ (*Stilistik* I, s. 78).

[2] Ermattinger, *Das dichterische Kunstwerk*, s. 307.

[3] Volkelt, *Der Begriff des Stils*, s. 213 (*Ztschft für Ästh. u. allg. Kunstw.* hrg. v. Max Dessoir, 1913): Hiernach also wäre die Bezeichnung „Stil“ gleichbedeutend mit der künstlerischen Form im nachdrücklichen Sinne des Wortes, wofern man nur die künstlerische Form zu einer Vielheit von Fällen in Beziehung bringt und als das einheitlich durch sie Hindurchgehende ansieht. — Dragomirescou (*La science de la littérature*, Paris 1928, s. 178): .....le style comprend toutes les particularités de la forme rythme, style proprement dit et formes littéraires.

[4] Mówiąc o treści i o jej ukształtowaniu: temacie, mamy na myśli nie jej sens ogólny, ale całą pełnię rzeczywistą — a więc to, co jedynie może i musi być indywidualną wartością twórcy. A więc nie ma dwóch tematów, dwóch treści takich samych. Mówiąc o *Marii Magdalenie* Tycjana i Carlo Dolci, nie mamy w naszym rozumieniu jednego tematu, lecz dwa, które tytuł upraszcza do linii ogólnego założenia treściowego. W innym sensie posługuje się pojęciem tematu np. Oscar Walzel (*Die künstlerische Form des Dichtwerkes*, Berlin, 1916, s. 3 n.) mówiąc, że do w. XIX sztuka nie poszukiwała nowych tematów, zakładała swoją ambicję tylko na tym, aby tworzyć nowe formy.

Tym samym badanie opisowe stylu stwierdza fakt najściślejszego związku między treścią a stylem[1].

Nasuwa się teraz pytanie, czy ten związek rzeczywisty na płaszczyźnie jednostki twórczej nie stoi w sprzeczności z innymi zasadami stylu, np. z zasadą, że styl to człowiek? Artysta przez wybór treści, przez swoje powinowactwo z pewnymi grupami treści — już tym samym pośrednio gruntuje kierunek swego stylu. Że jednak w stosunku twórcy do stylu jest pewna wtórność, że właśnie treść jest członem pośredniczącym, widzimy stąd, że przy wielkim bogactwie i różnorodności treści w pewnej twórczości, jej styl raczej przedstawia sobą pewną wielorakość, związaną z wielorakością treści, niż jednolitość odbijającą jedność organizmu twórczego autora. I tak zestawiwszy np. *Pana Tadeusza* z widzeniem Ewy w *Dziadów cz. III* zauważymy, że mamy nie tylko dwie różnorodne treści, ale i dwa różnorodne style, których nie sprowadza do wspólnego mianownika taż sama osobowość twórcy; odrębności stylu nie można w tym wypadku wytłumaczyć ewolucją osobowości twórczej — bo powstały oba dzieła niemal równocześnie. Musimy więc wiązać czynnik stylu raczej z żywiołem treści i zespolonymi z nimi na płaszczyźnie wyrazu możliwościami formalnymi, nie z bezpośrednią osobowością autora, bo ta wchodzi pod uwagę o tyle, o ile decyduje o wyborze treści, o ile skłania się ku niej przez pewne wewnętrzne powinowactwo.

Treść zatem decyduje o stylu. Forma na całej przestrzeni swych tak różnorodnych czynników, jak kompozycja, rytm etc., jest — jeśli idzie o jej stosunek do stylu — pewnym materiałem, ujmowanym tak lub inaczej w zależności od potrzeb wyrazowych treści. Czyli w sumie: forma a styl, to dwa pojęcia zupełnie odrębne. Forma jest czynnikiem uzewnętrzniającym treść, bez niej treść nie mogłaby się udzielić odbiorcy, jest czymś zupełnie w zakresie wcielenia treści ogólnym. Jest, jeśli się tak można wyrazić, wynikiem stawania się treści. Istnienie treści objawia forma, jakościowość treści wyraża styl. Styl może być właściwy lub nie; nie każda treść zamierzona ma w uzewnętrznieniu właściwy sobie styl. Rzuty pierwotne, nieraz wielokrotne, wskazują, jak mozolnie autor do wartości treściowych dobiera najwłaściwszy dla nich styl, jak się męczy, aby jedność wyrazowa elementu treściowego nie załamała się w sposobie wyrazu, przekształcając jego własne intencje.

Nasuwa się pytanie, czy mówiąc o stylu rodzaju literackiego mamy na myśli styl artystyczny, czy też jedynie

[1] Na nasze stanowisko zgodziłaby się Sophie Cohen, która również wiąże styl nie z formą, ale z treścią: „.....der Stil eines Dramas wird nicht nur durch seine Form bestimmt, sondern ebensosehr durch seinen Stoff und seinen Geist“ (*Prinzip oder Stil,* s. 411).

pewien sposób ekspresji[1] — bez oceniania jego waloru estetycznego[2].

Nie podobna dziś się nie zgodzić, jeśli stoimy na stanowisku, że styl, to człowiek, z ujęciem Gaertnera, który momenty estetyczne uważa za jedną z jakościowych możliwości stylu, odejmując tym samym pojęciu stylu cechę wartości estetycznych[3]. Jeśli się jednak stanie na stanowisku ścisłej relacji między treścią a stylem, dokładniej biorąc, jeśli się uzna, że styl wyraża jakości treściowe, to wypadnie zdanie to raczej uzupełnić, zmodyfikować. Przecież przez to samo, że przez styl objawiają się jakości treściowe, że pewnym w intencji twórcy jakościom treściowym musi odpowiadać pewien styl — trzeba przyjąć, że styl musi być właściwy; jeśliby właściwy nie był, zatraci swój charakter jakościowy treść, objawi się w postaci jakościowej innej, niż w zamierzeniu autora. Każdy zaś styl właściwy musi zyskać potwierdzenie w subjektywnym odczuciu odbiorcy, w jego przeżyciu estetycznym.

W dziele konkretnym może zajść pewien fałszywy ton pomiędzy treścią a stylem, można mówić o stylu estetycznie pełniejszym lub mniej pełnym, bo przecież odczuć można, czy na płaszczyźnie wyrazu nie doszło w nim do skrzywienia zarysu treści, czy, jednym słowem, styl jest funkcją zamierzeń autora odnośnie do treści.

Na płaszczyźnie jednak pojęcia rodzaju literackiego, przez to samo, że ustalamy korelację genetyczną między czynnikami treści, formy i stylu, i że, oczywiście, te znów są pojęciami, a więc nie mają charakteru jednostkowego, nie możemy mówić o innym stylu jak właściwym. Czyli, jeśli mówimy o stylu rodzaju literackiego, kojarzymy z nim pewną wartość estetycznie dodatnią. Oczywiście — raz jeszcze podkreślamy — ten styl ze związaną z nim wartością estetyczną jest pojęciem; podstawę do prawdziwego przeżycia estetycznego mamy dopiero wówczas, gdy dane jest nam konkretne dzieło o skonkretyzowanych wartościach.

Zbytnim uproszczeniem zagadnienia stylu u nowoczesnych teoretyków jest nacisk kładziony przede wszystkim na momencie indywidualnym; mówi się, że styl jest wyrazem indy-

---

[1] Zostawmy na boku bardzo zresztą ciekawą sprawę estetyki ekspresji. Wędkiewicz, *O stylu i stylistyce*, s. 7, powiada: Przez estetyczną ekspresję nie rozumiem bynajmniej „ozdobnej", „literackiej" odmiany języka; mam na myśli estetykę w pojęciu Crocego... (ze stanowiska teorii poznania); stylistyka dla Crocego i Vosslera jest w całości estetyką, tj. nauką o objawach ekspresji jako formach intuicyjnego poznania.

[2] Wędkiewicz, *tamże*, s. 2, pierwsze stanowisko uważa za błąd dawnej stylistyki.

[3] Gaertner, *Stylistyka jako metoda indywidualizująca w badaniach językowych*, s. 24; podobnie tenże: *O zadaniach stylistyki*, 1922, s. 27.

widualności twórczej[1], lub że jest właściwością pewnego dzieła pojętego jako jednostka[2]. W takim ujęciu zapoznaje się najistotniejszy i pierwszoplanowy związek stylu z założeniem treściowym, a bez tego brakłoby właściwego podejścia do zrozumienia istoty takich stylów, jak stylu realistycznego, mistycznego, romantycznego itd.

Straciłoby także swą istotność uznanie stylu poszczególnych rodzajów literackich, który z naszego punktu widzenia ma podstawową, choć, oczywiście, pojęciową, rzeczywistość. Jeśli nasze określenie istoty rodzaju literackiego jako ośrodka treściowego ze związanym z nim żywiołem uzewnętrzniającym, formą, jest słuszne, to — jak wykazaliśmy to poprzednio — po prostu nie może istnieć pojęcie rodzaju literackiego — bez związanego z nim pojęcia właściwego mu stylu. Kto myśli: rodzaj literacki, ten myśli nie tylko: taki a taki żywioł treściowy, taki a taki żywioł formalny, — lecz także: taki a taki właśnie, a nie inny, styl.

Styl rodzajów literackich uznawało dawniej[3] i uznaje wielu teoretyków, choć dość dziwnie podchodzili oni do zagadnienia raz, jak Lessing, mieszcząc styl na płaszczyźnie języka, drugi raz, jak Vischer i Hartmann, na płaszczyźnie „wewnętrznej zmysłowości" — „Innere Anschauung"[4].

Ermattinger omawia style epiki, liryki, dramatu; uzasadnia je psychologicznie w sposób wymowny, acz nie doprowadzający do ostatecznych wniosków, R. Müller Freienfels w swojej poe-

---

[1] por. stanowisko Ch. Bally'ego, *Traité de stylistique française*, I, s. 18

[2] Gaertner, *O zadaniach stylistyki*, 1922, s. 13 mówi, że „styl jest to suma wszystkich tych cech jakiegokolwiek indywidualnego (= niepodzielnego przedmiotu fizycznego lub psychicznego, to ich ustosunkowanie i połączenie które go odróżniają od innych przedmiotów tego samego gatunku". — „Każdy styl nie posiadając sam przez się wartości estetycznej, może być, jak każdy przejaw rzeczywistości, materiałem dla sztuki, posiadając jej konieczny warunek, tj. jednolitość (tenże, *Stylistyka jako metoda indywidualizująca w badaniach językowych*, s. 14). Autor w dalszym ciągu sam zastrzega się przeciw warunkowi owej jednolitości — i słusznie, bo np. wobec dwoistości stylu w III cz. *Dziadów* (styl realistyczno-poetyczny i styl mistyczny) albo musielibyśmy stylowi tego dzieła odmówić waloru estetycznego, albo szukalibyśmy sztucznie tej jednolitości.

[3] np. Ermattinger (*Das dichterische Kunstwerk*, s. 125) — por. powszechność w uznaniu tego, powszechność, która się odbija np. w takiej książce, jak Karola Borińskiego *Deutsche Poetik*, 1916. Podobnie Wędkiewicz (*O stylu i stylistyce*, s. 19) i Gaertner (*Stylistyka jako metoda indywidualizująca w badaniach językowych*, 1924, s. 19) operują pojęciem stylu rodzajów literackich.

[4] Theodor A. Meyer, *Das Stilgesetz der Poesie*, Leipzig, 1901, s. 17, powiada: Vischer und Hartmann betrachten die innere Sinnlichkeit als Darstellungsmittel, die Sprache nur als Vehikel, und die Poesie daher als innere Anschauung. Stąd autor wyprowadza wniosek, że owa „innere Sinnlichkeit" będąc zatem ośrodkiem przedstawienia („Darstellungsmittel"), musi być bardzo zróżniczkowana; muszą istnieć różne działy przedstawień, a więc i style tych działów.

tyce[1]. Dodajmy, że dla konsekwencji musimy uznać odrębność stylową nie tylko „wielkich“ rodzajów literackich, lecz i „drobnych“, tym bardziej, że w nich żywioł treściowy jest mocniej sprecyzowany.

A teraz pytanie, syntetyzujące dotychczasowe rozważania: czy styl pewnego rodzaju, leżąc na pewnej kierunkowej treści, może mieć różnorodność?

Tu znów musimy wrócić do formy skonkretyzowanej w dziele literackim. Pojęcie samo rodzaju literackiego zawiera pojęcie stylu właściwego, a więc np. epice odpowiada epickość stylu; płaszczyzna abstrakcji, w której żyje pojęcie ogólne rodzaju literackiego — nie daje mu pola do zmienności, która jest atrybutem zjawisk konkretnych, żywych, jednostkowych.

W jednostkowym dziele literackim styl może być różny (z tym, że odzwierciedla różne jakości treści), mniej lub więcej doskonały, jak nas poucza o tym choćby np. studiowanie rękopisu, w którym pozostawiła ślady praca autora nad udoskonaleniem stylu. Jednak dla pewnej treści tylko jeden styl będzie najdoskonalszy[2], bo tylko jeden może oddać całe jej jakościowe, aż do najsubtelniejszych odcieni, bogactwo[3].

---

[1] Müller-Freienfels R., *Poetik*, s. 59: Wenn ich die herkömmliche Einteilung der Stilformen in Epik, Lyrik und Dramatik für meine Betrachtungen beibehelte, so mache ich dabei die Art der Darbietung zum Einteilungsprinzip. Von Epik spreche ich dort, wo die Inhalt in ruhigere Weise erzählend dargeboten werden; Lyrik ist der lebhafter gesteigerte, formal geschlossenere, meist durch musikalische Mittel unterstützte Vortrag, Dramatik die dialogisirte mimische Darbietung. Natürlich entsprechen auch bestimmte I n h a l t e diesen Darbietungsformen, so dass man auch inhaltlich diese Stilformen geschieden hat: Epik als Auspinnung von Geschehenissen, Lyrik als Ausdruck von Stimmungen und Gefühlen, Dramatik als Vorführung von Handlungen“. Autor zaznacza, że te trojakie kategorie stylowe są kategoriami teoretycznymi, bo w rzeczywistości każde dzieło sztuki, będąc kombinacją rodzajów literackich, wyrażone jest stylem mieszanym. Ten naturalny stan rzeczy urąga szufladkowaniu nauki: „....man muss sich bewusst sein, dass das reale Kunstschaffen sich keck über nachträgliche Markscheidungen der Ästhetik hinwegsetzt. Wenn ich im folgenden die Bedeutung der Darstellungsform für die Stilentwicklung behandle, so sehe ich aus praktischen Gründen von den Mischformen ab, um das psychologisch Wesentliche möglichts klar herauszuarbeiten. Stets jedoch muss man sich im Bewusstsein halten, dass kein hermetischer Abschluss der Geltungen gegeneinander besteht, dass vielmehr immer noch ihre ursprüngliche Einheit weiterlebt“ (*tamże*, s. 60).

[2] W innym to ujmujemy sensie niż starożytna retoryka, głosząca, że „jedem Stoff eine eigene Darstellungsform, anders gesprochen eine eigene Schreibweise, ein eigener Stylus zukomme“, F. Castle, *Zur Entwicklungsgeschichte des Weltbegriffes Stil (Germ.-rom. Monatsschrift*, s. 153).

[3] A więc na płaszczyźnie rzeczywistych dzieł styl i forma mogą być różne; zgodzić się trzeba na zdanie Kleinera, że „nie ma koniecznego związku między „co“ i „jak“, że dla treści, o którą nam chodzi, można by dobrać różne formy; w miarę rosnącej kultury umysłowej, zwłaszcza kultury literackiej, istotnie reasumują się różne formy i człowiek wybiera z nich tę, którą uważa za najwłaściwszą“. *Treść i forma w poezji* (*Studia z zakresu literatury i filozofii*, s. 139).

Jakiż jednak w tym fakcie mniejszej lub większej doskonałości stylu udział indywidualności twórcy wobec dyktanda domagającej się właściwych wcieleń treści, czyli jakiż stosunek indywidualności twórcy do indywidualności rodzaju literackiego?

Pomijamy fakt, że twórca przez wybór treści i własne swoje wewnętrzne powinowactwo z treścią wpływa na jakość stylu. Niezależnie od tego, styl pewnego konkretnego, jednostkowego dzieła jest wynikiem innego jeszcze zespolenia ducha twórcy z duchem rodzaju literackiego.

Znów pominiemy tu stanowisko starożytnej retoryki, które wiekami pokutowało w stylistyce, stanowisko, które w stylu rodzaju literackiego dopatrywało się pewnych norm dla tworzenia [1].

Nowoczesna nauka o stylu, dążąca do formułowania pojęć ogólnych a równocześnie nie odrzucająca dorobku i... metod poetyki psychologicznej, doszła na podstawie obserwacji szeregu dzieł sztuki do przekonania, że część właściwości stylowych jest związana z dziełem jako pewnym rodzajem literackim, część zaś ściśle z danym twórcą. Pewna część cech powtarza się w szeregu dzieł o podobnym zakroju treściowo-formalnym, a więc jest związana z rodzajem literackim, część zaś powtarza się (lub konsekwentnie w pewnym duchu urasta) we wszystkich dziełach danego autora, a więc wiąże się z jego indywidualnością. Sophie Cohen nazywa te cechy osobowe w dziele stylem, cechy zaś powtarzające się w pewnych kategoriach dzieł, więc w rodzaju literackim — zasadą stylu, „Prinzip“ [2]. Styl (w jej definicji) jest wyrazem twórcy, zasada stylu (Prinzip) wyrazem rodzaju literackiego [3].

Tak więc styl jakiegoś określonego dzieła jest podszepnięty w połowie przez ducha rodzaju literackiego, którego dane dzieło jest skonkretyzowaniem, w połowie zaś przez indywidualne właściwości psychiczne twórcy.

---

[1] por. E. Castle, *Zur Entwicklungs-Geschichte des Wortbegriffes Stil.* s. 153; autor omawia tam np. stanowisko Sulzera, który godząc się na pewną indywidualność równocześnie stawia zasady, względnie reguły stylu.

[2] „Kunststil“ odpowiada rzeczywistości danego dzieła; „das Prinzip ist dagegen ein Hilfsbegriff, den wir zunächst nur durch die Abstraktion aus den Stilen gewinnen können. Es besitzt daher keine Ausdehnung in der Zeit. Aber auch die Stile enthalten überzeitliche Bestrebungen, die sich wiederholen können: denn eine zeitlose Übereinstimmung zeitlich streng von einander unterschiedener Künststile ist die notwendige Voraussetzung und Grundlage, ohne die wir nie dem Begriffe des Kunstprinzips überhaupt nicht gelangen könnten“. Sophie Cohen, *Prinzip oder Stil? Wiederholung oder Neuschöpfung* (*Germ.-rom. Monatsschrift*, 1926, s. 398).

[3] „Das Prinzip beruht auf dem Wesen der Stile; von ihren wechselnden Erscheinungen bleibt es unberührt. Das gleichartige Wesen mehrer Stile bildet die Voraussetzung für das Prinzip, oder vielmehr aus der wesenübereinstimmung mehrer Stile leiten wir ein Prinzip ab. So gehört zum Begriffe des Prinzips nur die Wiederholung, nicht die Neuschöpfung innerhalb der Stile, die das gleiche Prinzip verwirklichen“, *tamże,* s. 406 n.

Oczywiście ponieważ na płaszczyźnie uzewnętrznienia musi zaistnieć symbioza stylu rodzaju literackiego ze stylem indywidualnym twórcy, musi między tymdwoma czynnikami stylu w stylu danego dzieła zaistnieć pewna harmonia. Bez pewnej harmonii, bez określonego stosunku między nimi, dzieło nie działa estetycznie. Zharmonizowanie odbywa się, oczywiście, poprzez stosunek autora do treści, do tematu. Styl rodzaju, jak wiemy, jest bezpośrednio uzależniony od jego elementu treściowego, styl indywidualny odzwierciedla „ja“ autora we wszystkich kierunkach, a więc także, i przede wszystkim, w jakości jego powinowactwa duchowego z założeniami treściowymi dzieła. Słowacki krytykuje styl *Przechadzki po Rzymie* Zaleskiego, wytykając dziełu brak harmonii pomiędzy stylem indywidualnym twórcy a stylem żądanym przez rodzaj tematu. Konopnickiej, jako autorce *Pana Balcera*, krytyka zarzuca brak harmonii stylowej obu czynników; jej talent liryczny nie objął związanego z treścią stylu epicznego.

Powtarzamy: brak harmonii, rozdźwięk pomiędzy stylem indywidualnym autora a stylem rodzaju jego dzieła, jest estetycznie błędem.

Jednak brak pełnego współbrzmienia obu czynników stylowych nie jest identyczny z nieestetycznym rozdźwiękiem. Taki celowo wprowadzony dysonans może kryć w sobie duże perspektywy estetyczne. Na tle zagadnienia rodzajów literackich ma swój specjalny sens, spełnia specjalną rolę. Wiąże się ze sprawą powstawania rodzajów literackich.

Istota stylu pewnego rodzaju literackiego jest uzależniona od jego ośrodków treściowych. Twórca może szukać świadomie wyrazu dla nich na innych drogach stylowych niż te, w które, prawem tradycji, dana treść się najpochopniej ubiera. Może więc zczepić z czynnikami stylowymi danego rodzaju (odmienić ich nie może, bo są związane z istotą danego rodzaju literackiego) pewien czynnik stylowy indywidualny, lub też środki wyrazowe innego rodzaju literackiego. W tym wypadku, realizując pewne założenia treściowe realizuje je równocześnie po linii dwóch rodzajów literackich. Oczywiście ta praca twórcza, jak każda inna, może dać wyniki estetycznie dodatnie, lub nie. I tak Słowackiego *Poema Dantyszka Leliwa o piekle*, gdzie treść sarmacko-dantejska oblekła się w styl gawędy i nastrojowej powieści poetyckiej, odczuwamy jako rzecz artystycznie chybioną; *Król Duch* o stylu baśni i epopei jest arcydziełem.

Takie szczęśliwe zespolenie dwu lub więcej stylów w jednym dziele, taka zharmonizowana dysharmonia, taka artystyczna niejednolitość, może dać zaczątek nowego typu stylowego; jednorazowo — jest tylko właściwością indywidualną danego dzieła; powtórzona przez tego samego autora, lub też

innych w różnych dziełach, zwielokrotniona jednym słowem — okazuje się nową zasadą stylową (Prinzip). Ponieważ, oczywiście, jest odzwierciedleniem nowych jakości treściowych i ich konsekwencyj w zakresie formy, więc też widzimy przez nią zarysy nowego rodzaju literackiego.

Styl nastrojowo-liryczny dołączony do epickiego przekształcił epilion w powieść poetycką; dramat romantyczny jako nowy rodzaj literacki wyrósł nie tylko w nowo ustalonej korelacji założeń treściowych i formy, lecz także na skrzyżowaniu stylu dramatu ze stylem liryczno-refleksyjnym.

Tak wyglądają narodziny nowego rodzaju literackiego. Ponieważ jest on, jak wiemy, pojęciem, a na pojęcie składa się suma cech abstrahowanych z szeregu jednostek tymi cechami podobnych, więc jasną jest rzeczą, że w procesie powstawania nowego rodzaju literackiego świadome założenie jednostki, jej chęć stworzenia nowego rodzaju, jest ograniczona. Czyn jednostki kończy się na jednostkowym dziele; może ona dać w nim zalążki nowego rodzaju, ale już nie od niej zależy, czy dane rodzajowe w nim wyrażone zwielokrotnią się w wielorakiej twórczości, dając tym samym podstawę do abstrahowania z nich tych cech. I tak np., jak wykazuje J. Kleiner w swojej monografii o Mickiewiczu [1], *Dziadów cz. III* i *IV* były właściwie zalążkiem dla nowego typu dramatu; ponieważ jednak nowe dane rodzajowe nie powtórzyły się w żadnym innym jednostkowym dziele — pozostały jedynie własnością indywidualną, cechą indywidualną tego jednego dzieła.

Nowo ustalony, niemal chciałoby się powiedzieć: nowonarodzony rodzaj literacki, może mieć żywotność większą lub mniejszą, tj. częściej lub rzadziej odbija się w jednostkowych, konkretnych dziełach.

Przychodzi nieraz moment, że przestaje się odzwierciedlać w dziełach rzeczywistych, że zamiera. Tak się rzecz ma np. z bajką [2], listem poetyckim etc. Dzieje się to dlatego, że w pewnej epoce brak koniecznego powinowactwa między jej psychiką a tymi treściowymi, które są ośrodkiem danego rodzaju literackiego.

Nie zawsze jednak pewna epoka (oczywiście zawsze poprzez twórców jednostkowych) ustosunkowuje się do pewnego rodzaju w zupełności albo pozytywnie albo negatywnie. Zwykle się zdarza, że czuje się pociągniętą ku jednemu albo dwom czynnikom właściwym danemu rodzajowi; natomiast czując się obcą trzeciemu, stara się podważyć jego istotność. Uchwyt poszczególnych walorów ulega zmianom, czynnik najbardziej obcy przybiera nowy kształt; jest to, jak widzimy, rozszerzeniem na przestrzeni szeregu dzieł zjawiska, które już znamy w pracy

[1] Kleiner J., *Mickiewicz*, 1934.

[2] Kleiner J., *Krasickiego „Bajki i przypowieści“* (*Studia z zakresu literatury i filozofii*, s. 5).

twórczej, odnośnie do rodzaju literackiego, w dziele jednostkowym. Zindywidualizowanie od pojęciowych wymiarów rodzaju literackiego ku konkretnym kształtom jednostkowego dzieła ma na przestrzeni szeregu dzieł swoje powtórzenie, podszepnięte przez ducha czasu. Pojęcie zdjęte z serii tych dzieł wykaże oczywiście różnice w porównaniu z pojęciem zdjętym z szeregu dzieł dawnych epok, poprzedniej epoki. Zestawienie obu pojęć — pojęć tego samego rodzaju literackiego — wykaże pewne zmiany. Charakter tej zmienności określić możemy mianem ewolucji.

Jest faktem łatwym do zaobserwowania, że pojęcie rodzaju literackiego da się ująć w surowe i niewzruszone linie chyba na przestrzeni pewnej epoki, lub na tle w podobny sposób skonstruowanej psychiki twórców. Rozpatrywane na przestrzeni historycznej zachowują bezwzględną identyczność linii tylko w ogólnych zarysach; całe mnóstwo rysów będzie miało walor nieco różny od jednej epoki do drugiej. Ewolucję rodzaju odnośnie do epopei uznano w ten sposób, że obok dawniejszej epopei bohaterskiej postawiono tzw. epopeę artystyczną.

Toteż istotnym wydaje się także podejście do rodzaju literackiego od strony historyzmu, śledzącego ewolucjonizm historycznej rzeczywistości i historycznych zjawisk; ma mocne zrozumienie żywotności rodzaju literackiego Brunetière, ojciec historyzmu w teorii literatury, gdy w swoim dziele *Evolution des genres littéraires* stwierdzając ewolucję rodzaju literackiego śledzi bieg życia rodzaju literackiego, bada istotę jego rozwoju — na podłożu rzeczywistych w różnych epokach jego wcieleń.

I kierunek zatem historyczny[1] w poetyce ma bardzo poważną rolę odnośnie do zagadnienia rodzajów literackich. Toteż niesposób zgodzić się na potępienie go tak, jak to uczynił Croce, który zresztą nie mógł uznać jego dążeń — nie uznając rodzajów literackich. Zwykła krytyka ewolucjonizmu, pojętego w sensie teorii Brunetière'a, też nie da się utrzymać. Niewątpliwie czym innym jest ewolucjonizm przyrodniczy, niż ewolucjonizm w dziedzinie pojęć, które nie są żywym organizmem. Jednak nie trzeba zapominać, krytykując czy to Spencera czy Brunetière'a, że uznanie zmian ewolucji w pojęciach opiera się na uznaniu zmian na przestrzeni dzieł jednostkowych, a te są wytworem żywego, zmiennego, podlegającego ewolucji organizmu psychofizycznego twórcy. Ewolucjonizm w pojęciach ma charakter wtórny, nie tylko jednak nie jest błędem logicznym, ani powierzchownym myśleniem „przez analogię", lecz ma nawet swój sens przyrodniczy, mało brany pod uwagę przez badania humanistyczne (poza Taine'em i jego szkołą), które

---

[1] Miał dużą niegdyś popularność, jak widać z szeregu popularyzatorskich opracowań w rodzaju dr Wilhelma Reitera *Poetik* (4. Aufl., 1912).

też się raczej interesują życiem już samych zjawisk sztuki, co najwyżej w oparciu o organizm psychiczny twórcy.

Dodajmy, że żadne istotne badanie stylu, które ma ambicję objąć całość rzeczywistości stylowej, nie może ominąć tej istotnej cząstki rzeczywistości pewnego dzieła sztuki, jaką jest rodzaj literacki. Niesposób oddzielić w badaniach stylu będącego wyrazem od tego, co ma być wyrażone, choćby dlatego, że inaczej nie można by dać odpowiedzi na podstawowe zainteresowanie badacza: w jakiej mierze styl odpowiada intencjom twórcy, w jakiej mierze wyraża zamierzone zespoły treściowe, a przez nie duszę własną twórcy i duszę epoki. A że w każdym dziele są czynniki typowe w treści, formie i stylu, których stałe, genetycznie ze sobą powiązane spięcie nazywamy rodzajem literackim — nie może się na nie badacz, czy to do dzieła podchodząc od strony treści, czy od strony formy, nie natknąć.

Jeśliby chciał je zlekceważyć, nigdy nie dociecze, jaki w danym dziele jest stosunek cząstek indywidualnych do typowych, jaki w dziedzinie stylu jest stopień oryginalności autora i jej jakości. Nigdy bez uznania stylu rodzaju literackiego i rodzaju literackiego w ogóle nie dojdzie do wytyczenia granic między zjawiskami typowymi a zjawiskami indywidualnymi w konkretnym, jednostkowym dziele literackim.

A więc widzimy, że pojęcie rodzaju literackiego, tak bojkotowane w teorii, jest nie tylko dla badacza pojęciem pomocniczym, lub dziedzictwem nawyku długich lat, nie tylko kategorią poznawczą i koniecznością naukowego myślenia, lecz nade wszystko tym, co realizując się w jednostkowych dziełach, czy raczej z nich wyrastając ma mocne oparcie w rzeczywistości twórczej — i w niej źródło swojej żywotności z wszelkimi atrybutami żywotności: powstawaniem, rozrostem, obumarciem. Jest więc rodzaj literacki rzeczywistością o indywidualnym obliczu, której niesposób zapoznać i którą trzeba uznać. Aby wniknąć w istotę jego indywidualności, zanalizowaliśmy jego cechy i ich wzajemny stosunek, i to zarówno na płaszczyźnie rodzajów nadrzędnej („wielkie rodzaje“), jak i na płaszczyźnie podrzędnej („drobne rodzaje“). Równocześnie staraliśmy się wykazać, że niechęć względem pojęcia rodzaju literackiego płynie z fałszywego pojmowania jego istoty. Czynnik normatywny, powszechnie zniechęcający i twórców i badaczy do pojęcia rodzaju literackiego, jest czymś zupełnie błędnie mu przypisywanym, a co powstało skutkiem fałszywego skojarzenia idei platońskiej z właściwym pojęciem logicznym.

Tak oczyszczone i ustalone pojęcie rodzaju literackiego postawiliśmy na kierunkowej ważniejszych prądów w poetyce, wykazując, że żaden z nich, chcąc być w zgodzie ze sobą samym, nie może się bezeń obejść, wbrew temu, co często głosi.

Już nie tylko poetyka tradycyjna, lecz i spekulatywna i psychologiczna, zarówno jak i jej kierunek estetyczny i historyczny wreszcie wszelkie badanie stylu — nie może się obejść zarówno bez pojęcia rodzaju literackiego, jak i bez uznania jego odbitej w jednostkowym dziele rzeczywistości. Prawda ogarnięta i sprawdzona na tylu drogach musi się wydać niezachwianą.

A stąd jeden wniosek: trzeba zerwać z bezkrytyczną niechęcią dla pojęcia rodzaju literackiego lub z obojętnością względem jego bezspornej wartości i prawdy — i poświęcić nieco wysiłków ustaleniu już nie tylko istoty ogólnego rodzaju literackiego, lecz i jego poszczególnych odmian.

Wiedza o literaturze jako nauka domaga się określenia swoich podstawowych pojęć i ustalenia swoich terminów.

Łódź *Stefania Skwarczyńska*

METAMORFOZY „LEGENDY“ I W „LEGENDZIE“ WYSPIAŃSKIEGO [1]

Na początek wspomnienie osobiste. Niech nam posłuży za punkt zaczepienia. Pamiętam moment mego pierwszego zetknięcia się z twórczością Wyspiańskiego. Był to właśnie urywek z *Legendy*. Siedzieliśmy we dwóch — ze Staffem, wtedy jeszcze długo nie głośnym autorem *Snów o potędze* — przy jakimś stoliku w jakiejś kawiarence lwowskiej — mogła to być późna jesień 1898 r. 39 lat temu, — gdy w jednym z zakordonowych ówczesnych tygodników, — jeśli się nie mylę — w petersburskim, przez Erazma Piltza redagowanym *Kraju* — czytałem właśnie czyjąś recenzję z poematu dramatycznego *Legenda*. Tytuł tego utworu był mi znany z ogłoszenia figurującego od dłuższego czasu co tygodnia na wewnętrznej stronie okładki krakowskiego *Życia*, z dodatkiem: „do nabycia w redakcji“. O autorze wiedziałem z nazwiska, że jest malarzem, prowadzącym dział artystyczny *Życia* i cieszącym się w Krakowie wśród młodych dużym mirem. Oglądałem tam reprodukcje jego rysunków i witraży, ale do poetyckiej twórczości malarzy miałem zawsze wiele uprzedzenia i nie interesowałem się nią, zwłaszcza, że o Wyspiańskim jako poecie było wówczas zgoła jeszcze głucho.

I nagle, czytając recenzję, wpadłem na cytat końcowego ustępu modlitwy klątewnej Wandy do Żywii:

> Precz odgoń, sępy te, ratary,
> co ostro kute spis kończary
> spłukali w mego ludu krwi;
> precz łupieżniki, te zmierżone,
> co berdyszami sieką w bronę,
> kędy bohater starzec śpi.

Urywek ten uderzył mnie niepospolitą siłą wyrazu, ostrą dosadnością akcentów, celnym doborem i dobitnością słów, kategoryczną energią całego tonu. Że ten właśnie urywek przykuł wówczas moją uwagę, zapamiętałem do dziś dnia właściwie tylko stąd, że w pamięci utkwił mi przede wszystkim zwrot

[1] Odczyt wygłoszony na XIX Wieczorze *Pamiętnika Literackiego* we Lwowie dnia 12 października 1937 r.

„berdyszami sieką“, jako że po raz pierwszy w poezji spotkałem się z berdyszami i wyraz ten samym swym brzmieniem przypadł mi do gustu, a nowotwór „kończary“ wydał mi się w tym właśnie kontekście świetnym wynalazkiem. W Lindem go nie ma, choć jest w nim „kończasty“ i „kończastość“. Przekonany zresztą byłem, że cytat przemycony został rozmyślnie i celowo na łamy petersburskiego organu ze względu na swą przejrzystą, niecenzuralną aluzyjność do sytuacji narodowej.

Podsunąłem artykuł towarzyszowi, palcem wskazując na cytat. Staff, który nie zwykł był uprawiać nałogowej lektury tygodników literackich i w kawiarni wolał studiować francuskie i niemieckie pisma humorystyczne, przygodnie pełniąc funkcję referenta najudatniejszych w tygodniu witzów z *Fliegende Blätter* czy *Simplicissimusa*, przeczytał ze skupieniem wierszowany urywek i zawyrokował: „I s t o t n i e n a d z w y c z a j n e“. — „Trzeba będzie tę *Legendę* kiedyś przecież raz przeczytać“ zakonkludowałem. Ale w obiegu księgarskim egzemplarzy próżno było szukać, a książka wyszła nakładem prywatnym autora jak i wszystkie późniejsze utwory. (Własnym ich nakładem Wyspiański brał mściwy odwet na nakładcach za niewydanie pierwszych utworów). Toteż przeczytałem ją znacznie później, po *Warszawiance* dopiero, *Meleagrze, Protesilaosie i Laodamii*. Ówczesna recenzja zaś nie dawała o rodzaju i charakterze utworu żadnego wyobrażenia.

Oczywista, że autobiograficzną tę przygodę opowiadam nie dla względów osobistych. Chodzi mi bowiem o coś zgoła innego. W sześć lat później w r. 1904, pojawia się, jak wiadomo, *Legenda* w drugiej, mocno zmienionej postaci, w cytowanym zaś wyżej sześciowierszu, poeta zachował pierwotne brzmienie pierwszych pięciu wersetów, a tylko szósty „kędy bohater starzec śpi“ z całą bezpardonowością usunął, zastępując go kategorycznym wezwaniem: „piorunem wal i tęp“!

Zmiana ta, która u Wyspiańskiego analogicznie i równocześnie ze wszystkimi innymi przeróbkami tekstu i zasadniczym przeistoczeniem całej koncepcji utworu dokonała się ze zdumiewającą nieomylnością sądu, bystrą samokontrolą i ogromnym poczuciem ciężaru gatunkowego i waloru dźwiękowego każdego słowa, była wysoce znamienna i charakterystyczna. Już ten drobny odcinek bowiem wskazuje wyraźnie na intencje, jakie poetę ożywiały przy ponownym opracowaniu tego samego tekstu, a z dokonanej w nim zmiany nie trudno odgadnąć, jaki artystyczny cel mu w przeróbkach tych przyświecał i jaką zasadniczą myślą się kierował.

Jak wielką wagę Wyspiański musiał przywiązywać do zdania nowowprowadzonego w miejsce pierwotnego wersetu i jak istotne musiał przypisywać znaczenie tej zmianie, świadczy okoliczność, że widocznie uznał ją za słuszną i konieczną mimo, że to zastępcze zdanie gwałciło konwencjonalną symetrię sześcio-

wierszowej zwrotki w jej poprzednim brzmieniu zarówno pod względem rymu jak i rytmu. Poprzednia fraza bowiem szóstego wersetu i rytmiką i współbrzmiącym rymem odpowiadała ośmiozgłoskowcowi trzeciego wersetu:

spłukali w mego ludu krwi
i kędy bohater starzec śpi

podczas gdy nowy i asymetryczny sześciozgłoskowiec, który ją zastąpił, nie zamykał się zgoła rymem.

Przy zestawieniu obu tekstów ze sobą dochodzimy do przekonania, że mimo niezgodności w rytmie i rymie nowe zakończenie (gdyby je nawet rozważać w oderwaniu od nowych, dodatkowo w tekst poprzedzający nasz sześciowiersz wprowadzonych ustępów), wydaje się istotnie jakby konkluzją, znacznie szczelniej zamykającą całą kadencję sześciowiersza w swej lapidarnie zwięzłej, ostrej i jak cios niechybny wymierzonej formule, która też do całości szczelniej przylega, niż zakończenie w tekście pierwotnym. Przekonania tego nabieramy z uwagi na dalszy kontekst tym bardziej, że bezpośrednio po tej słownej konkluzji uderza natychmiast piorun, a ku zbrojnej zgrai Ritgiera z czeredą żelaznych sług, która, dopadłszy spuszczonej brony, wycina w pień walczących jej obrońców, rzuca Wanda okrzyki następującej piorunowej klątwy:

Hej ha! dziś piorun ze mną gra,
dziś piorun ze mną w zmowie.
Burza was żenie, burza gna,
na moim mocna Słowie!

W proch, na kolana sępy wy,
skrzydłami uderzcie w pył.
Słowa was moje, moje łzy
obedrą z mocy i sił!

Przede mną w proch, przede mną z nóg!
Wolę mam od Bogini.
Z rąk wam wytrącę miecze sług,
czar ślepce z was poczyni!

Rzucajcie miecze, rzućcie noże,
precz od się rzuć topory.
Zaklęcie rzucam na was boże,
zbudźcie się boże stwory!

Klnę was, patrzajcie w moje oczy,
uroda we mnie żywa.
Śmierć za mną, Sława za mną kroczy,
dzień jeden ja szczęśliwa.

Co więcej, w ustępie bezpośrednio poprzedzającym przytoczoną sześciowierszową konkluzję modlitwy Wandy do Żywii, natrafiamy niespodzianie na następujące zaklęcie:

Niechajże duch nie błądzi w mroku,
niechajże bolem się nie ciska,
przez klątwę daj Ty mnie uroku,
niech ogniem żywym niebo łyska,
s z a r p a j c h m u r z y s k a w s t r z ę p!

i okazuje się, że ostatnia sześciozgłoskowa, a trójakcentowa fraza jest pod względem treści, rytmu, liczby przycisków i rymu zapowiedzią poprzedzającą naszą ostateczną konkluzję, o sześć wersetów późniejszą.

Dzięki temu mamy bowiem dwuwiersz, który choć przedzielony pięciowierszowym odstępem gra we współbrzmieniu, zapada w słuchu i wraża się doskonale w pamięć:

> szarpaj chmurzyska w strzęp!
> piorunem wal i tęp!

Konkluzja nasza zatem, zastępująca pierwotne nikłe i obojętne zgoła „kędy bohater starzec śpi“ o rymie z toniką łagodną i otwartą, przez formułę mocną i wyrazistą, o treści groźnej i ważkiej, o rymie z toniką ostro zamkniętą, staje się nie tylko łącznikiem między kolejnymi ustępami tekstu, ale odgrywa dramatyczną rolę szczytowego zwornika i urasta na *fortissimo* przekleństwa, wywołującego czarem pioruny.

W tym związku dopiero zaczynamy rozumieć intencję, cel i myśl twórczą Wyspiańskiego przy dokonywaniu omawianej zmiany.

Na domiar warto jeszcze poświęcić na chwilę bliższą uwagę dalszym zmianom, jakim uległ finał modlitwy Wandy.

W pierwotnej redakcji finał Wandzinej prośby modlitewnej brzmiał:

> Nie zwól, by ciało ojca, Króla
> psy dzikie rozszarpały w polu
> i krew rozniosły w pysku skrzepłą,
> nad krwi kałużą, pohańbiony
> duch marny wił się z bolu.

Tyle wszystkiego.

W nowej redakcji poeta finał ten wzmacnia, rozszerza, wydłuża i natęża, zastępując go następującym ustępem przy wtórze dalekiego rumu grzmotów:

> Jest-li to prawdą, — żem Twa córa,
> że moce we mnie drzemią,
> niech piorun rzuci Twoja chmura,
> klnę ogniem, wodą, ziemią.
> Pokrusz me ciało, spal i zniszcz
> a duszę daj zwycięską,
> niech zapanuje duch nad zgliszcz
> a Sława ponad klęską!
> Nie zwól by zewłok ojca woja
> psy tuczne miały w polu drzeć
> i krew rozniosły w pyskach skrzepłą. —
> Niechaj za niego będę Twoja;
> jemu Ty piorunami świeć!
> Niechajże duch nie błądzi w mroku,
> niechajże bolem się nie ciska,
> przez klątwę daj Ty mnie uroku,
> niech ogniem żywym niebo łyska,
> szarpaj chmurzyska w strzęp!

(Zwracam nawiasowo uwagę, że ostatni werset, który rymem końcowym sprzęga się z naszą konkluzją, zawiera ponadto rym wewnętrzny nawiązujący do końcowego rymu poprzedniego wersetu „łyska“).

Jeśli się zważy, że w tekście znacznie wcześniej przed ślubowaniem Wandy jest mowa o zbliżaniu się ulewnej burzy jako pożądanej odsieczy dla obrony grodu:

Niebo się ciemni nocą,
wichura chmury zgania.
Hen drzewa się łomocą.
Ciemność zamek osłania.
Burza to, gromka burza.
Hań, czarna leci chmura.
Strugi luną za czas.
Skoro gruda oślizgnie od śluz,
będziem spychać ich łatwie przez moc.
O patrzcie! — czerń skłębiona
w mrokach zamczysko nurza.
Jeszcze was tu jest duża!
Brać złomy, drzewce, gruz!!

(*Nota bene:* jak zawsze u Wyspiańskiego samo zdarzenie, odparcie nacierającego wroga, ma i tu swój przebieg naturalny autonomiczny, niezależny od rzekomej ingerencji potęg nadprzyrodzonych. Tylko tragicznie oplątana wiara w przesąd, w przywidzenia, w ekstatycznym zachwyceniu wyczekuje i dopatruje się cudów w działaniu ziemskich zjawisk), jeśli się ten szczegół zważy, tym głębiej wnikamy w istotny walor naszej konkluzji i poznajemy jego dramatyczny splot z przebiegiem akcji dzięki któremu urasta on w kulminacyjny moment klątewnej modlitwy Wandy.

Ku temu finałowi, ku tej jego ostatecznej konkluzji zmierzając, cała modlitwa w nowej jej redakcji jest pod względem kompozycyjnego układu arcydziełem symfonicznej roboty, przy analizie której warto by się dłużej zatrzymać. Tutaj niestety śpieszno nam iść dalej.

W porównaniu z przeistoczonym układem modlitwy w drugiej redakcji tekst jej pierwotny z wyjątkiem końcowego ustępu, który przed 39 laty tak nas w kawiarni oczarował, był zaledwie słabym i mdłym zarysem. Ten wątły zrazu i nikły jeszcze zalążek w drugiej dopiero, szeroko rozprowadzonej transkrypcji nabiera w całej pełni tych właśnie szczególnych cech, które w przytoczonym ułamku z miejsca nas ujęły. Świadomie i celowo w całym znacznie rozszerzonym tekście modlitwy poeta uwydatnił, natężył i zaakcentował wszędzie charakterystyczne znamiona energii, tężyzny i mocy, wprowadzając właściwe określenia, zwroty i rytmy przy równoczesnym usuwaniu wszelkich fraz, które do tego ogólnego diapazonu, jednolitość jego mącąc, się nie dostrajały.

O takich, a nie innych, świadomych intencjach poety świadczą pośrednio nie tylko stylistyczne, leksykalne i wersy-

fikacyjne zmiany, w tych pierwotnych, a stosunkowo nielicznych ustępach, które przedostały się w skład nowej redakcji nie tylko ustępy nowe, które pierwotny tekst znacznie rozszerzyły, wzmocniły i zbogaciły, ale przede wszystkim także te wszystkie pierwotne części składowe modlitwy, które następnie całkiem ulotniły się, przez poetę w nowym opracowaniu usunięte.

Tak np. z inwokacji do Żywii odpada bez śladu następujący ustęp:

Tobie się płonią sosny Zorzą,
Tobie się kwiaty wonne mnożą,
lubisz, by pełne rozkwitały,
a Ty z nich piła słodycz bożą.
— Masz we Wiślanym dnie komnaty,
chowasz pod tonią fal Rusały,
kłęby dziewczęcych ciał urodnych.
weź młode moje ciało
do twoich krajów w głębiach wodnych!
Kwiat moje ciało,
kwiat czysty.
Sama się rzucę w nurt,
sama skoczę
na głąb skalisty.

Zamiast tego pojawia się nowy, zwięzły, jędrny, męski, tęgi i hardy, jak następuje:

Klękam przed Twe ołtarze.
Z promu skoczę od włazu
Na ony skalisty głąb.
Pragniesz mnie, jagem młoda,
urody mnieć nie szkoda,
o urodę nie stoję,
nic życie sobie ważę.
Daj, czego chcę, od razu
i siłą na mnie wstąp,
gdy zwolisz nadziać zbroję.

Jeżeli w związku z tym przypomnimy sobie zasadniczą różnicę między tonacją usuniętej frazy: „kędy bohater starzec śpi“ a niepospolitą dynamiką konkluzji, która ją zastąpiła skrótem „piorunem wal i tęp“, dostrzegamy, jak konsekwentnie poeta plewił, tępił i rugował z tekstu wszystko, co zalatywało sentymentalną miekkością, co miało cechy poetyckiej baśniowości, w czym tkwiły pozory nastrojowej literackości, ślamazarnego mazgajstwa i tkliwej czułości, które mu snadź od początku były wstrętne, a przeciwko którym z taką zaciekłością wypowiedział się w *Weselu* i *Wyzwoleniu*.

Pouczającą informację o intencjach Wyspiańskiego mamy zresztą i bezpośrednią, wprost od niego pochodzącą. W liście wystosowanym 24 sierpnia 1898 do p. Marii Krzymuskiej (znanej pod pseud. Jan Oksza z cennej działalności literackiej, wdowy po śp. J. A. Kisielewskim) z podziękowaniem za „łaskawość i względność“ w krytyce o *Legendzie*, jak pisze, zwierza się poeta:

„Niepokoją mnie wielce wyrazy złe, obce, jakich jednakże nie zdołałem uniknąć i w które niejako popaść musiałem, np ganki. Przy pewnym trudzie możnaby ten wyraz niemiecki innym składniejszym zastąpić. Przy pewnym trudzie dlatego, że to są wyrazy i określenia, których albo dopiero po wsiach szukać trzeba czystych, niezamąconych, albo też może trzeba wymyślić nowe“.

Jak dalece martwił go wyraz „ganki“, świadczy fakt, że pierwotną frazę: „Na zamku cisza głucha, po gankach ciecze krew“ w II redakcji zastępuje frazą: „po progach ciecze krew“.

W liście zaś pisanym 27 września 1897 r. już po ukończeniu pisania *Legendy* donosi Wyspiański Henrykowi Opieńskiemu, przyjacielowi z lat szkolnych, któremu bezskutecznie proponował dorobienie partytury muzycznej pod tekst *Legendy*: „*Legendę* przerobiłem w ten sposób, że usunąłem język literacki, jakim mówiono w pierwszej części, a dałem język tęgi, stary, nieco tylko wygładzony w obrazowaniu. Również kilka szczegółów dodałem i rozszerzyłem ruch na całej scenie“.

Już z tych zwierzeń widać, że poeta od pierwszej chwili był niezadowolony z młodzieńczego tekstu *Legendy*, zaczętej jeszcze w Paryżu 1892 r., że tymczasem dojrzał i artystycznie wyrósł ponad pierwotną jej koncepcję i dramatyczne ucieleśnienie.

Jawny i niewątpliwy wyraz dał zresztą poeta nieukontentowaniu swemu wedle opowiadania zmarłego już publicysty Antoniego Chołoniewskiego, na którego powołuje się Feldman w swej *Literaturze*. W czasie gdy *Legenda* miała być grana po raz pierwszy w teatrze krakowskim za Pawlikowskiego (co zresztą nie doszło do skutku), miał Wyspiański o niej pisać: „Ten akt, który się odbywa na brzegu Wisły, a raczej wszystko to, co się odbywa na brzegu Wisły, jest tak słabe, tak bez granicznie liche, że to rozpacz. Sądzę jednakże, że przedstawienie posłuży mi w znacznej części do ostatecznego odgadnięcia tego dramatu“. Miał widocznie od razu przy właściwej sobie, niesłychanie czujnej i surowej samowiedzy, duże wątpliwości zarówno co do wysłowienia i charakteru języka w dramacie, a zatem co do stylu w ścisłym tego słowa znaczeniu, jak co do formalnego układu jego budowy i czuł nieprzepartą potrzebę przeprowadzenia w obu kierunkach gruntownych zmian. Realizację tych zmian stanowi właśnie druga redakcja, ale z najściślejszym z nimi związku i w łącznej od nich współzależności doznała zasadniczych przeobrażeń także i cała wewnętrzna ideologiczna struktura utworu, jej aura i klimat.

Na przykładzie z tekstem modlitwy do Żywii wskazałem na intencje, jakimi kierował się Wyspiański w swych zmianach i przeróbkach. Z tego samego kąta widzenia wyjaśnić dałyby się niezawodnie wszystkie inne metamorfozy, jakim tekst *Legendy* w drugim jej wydaniu uległ. Poniekąd jednak i cała

ideologiczna jej struktura przeistoczyła się pod wpływem tych samych motywów i przebudowa jej wynikła na skutek tych samych, konsekwentnie stosowanych zasad wytycznych. Pod tym względem tekst modlitwy zawiera centralną syntezę kierowniczej idei artystycznej nowego opracowania, stanowi jej prototyp.

Oczywista należałoby ją jeszcze sprawdzić za pomocą szczegółowej analizy z obu tekstami w ręku przechodząc od ustępu do ustępu. Tutaj roboty tej musimy się na razie wyrzec. Bibliografia wymieniona w ósmym wydaniu *Współczesnej Literatury Polskiej* Feldmana podaje w nocie do rozdziału poświęconego Wyspiańskiemu pod datą 1928 bez miejsca wydania nieznaną mi pracę p. B. Zielińskiej pt. *Legenda I i II St. Wyspiańskiego.* Nie wiem, w kierunku jakich aspektów dzieła studium to było opracowane i czy dokonano w nim roboty, którą proponujemy.

Nie mogę jednak oprzeć się pokusie, aby w związku z tym wszystkim, korzystając ze sposobności, poruszyć bodaj pobieżnie i w kilku na razie słowach pewne zagadnienie z pogranicza poetyki i językoznawstwa, które mnie szczególnie interesuje, a leży na linii zadań konkretnej krytyki eksperymentalnej, nad rozwiązaniem których obecnie usiłuję pracować. Nie sądzę bowiem, aby sumiennej i odpowiedzialnej krytyce nowoczesnej wystarczało przytoczyć cytaty i za pomocą ogólnikowo indywidualizującej charakterystyki mianować jeden wiersz silnym, męskim, jędrnym i energicznym, a drugi miękkim, sentymentalnym, rzewnym i sielskim. — Sądzę przeciwnie, że mamy obowiązek za każdym razem charakterystykę taką legitymować i zawsze wskazać na te konkretne, przedmiotowe składniki, pierwiastki i napięcia, z których taki a nie inny charakter utworu wynika. Słowem, mamy obowiązek wniknąć w pewnego rodzaju międzydrobinową chemię poezji i z mroków intuicji wywieść na światło dzienne tajemnicę jej dynamiki, jej źródlistego czaru.

Otóż w przytoczonych wyżej ustępach tekstu z drugiej redakcji niezawodnie zauważyli czytelnicy sami niezwykłą procentowo obfitość męskich jednozgłoskowych rymów i jednozgłoskowych wyrazów o tonice przeważnie zamkniętej. Nie waham się stwierdzić, że właśnie dźwiękowy walor, semantyczny ciężar gatunkowy i mnogość takich wyrazów nadaje ustępom tym swoisty charakter siły, energii i krzepkości. Przełomowy rewolucyjny charakter męskich rymów, jak w ogóle wyrazów jednozgłoskowych nie został jeszcze dostatecznie zbadany i zgłębiony. Mam jednak głębokie przekonanie, że dla teorii poezji, dla zasad normatywnej nawet poetyki jest ich znaczenie nie mniej ważne i przełomowe.

Przypomnijmy sobie, z jakim dziś dla nas niepojętym oporem rym męski walczyć musiał i jakie pokonywać trudno-

ści, zanim w technice wiersza polskiego prawo obywatelstwa uzyskał i nie zapominajmy przy tym, że nieomal początki a w każdym razie cały dalszy rozwój i postęp badań u nas nad prozodią i formą dźwiękową wiersza zawdzięczamy nie czemu innemu, jak pierwszym próbom rymu męskiego w wersyfikacji. Pamiętajmy zarazem, że nawet te pierwsze, jakże spóźnione próby nastąpiły nie dzięki inwencji i śmiałości poetów, w akcie wyzwalania się z jarzma tradycyjnych prawideł i dogmatów, ale raczej dzięki praktycznym potrzebom rymotwórstwa przy przekładaniu libret operowych i konieczności przystosowania ich do muzyki.

J. E. Królikowski, prof. języka i literatury polskiej przy król. gimnazjum w Poznańskiem opowiada w swej książce pt. *Prozodia Polska czyli o śpiewności i miarach języka polskiego* wydanej w Poznaniu r. 1821, że „w ostatnich dziesięciu latach zaczęto na scenie warszawskiej używać śpiewek z rymem jednozgłoskowym częścią dla zabawy, częścią może z porady Karola Kurpińskiego, dyrektora muzyki narodowej i kompozytora, który nieraz, jak mi wiadomo — mówi Królikowski — poetom dla sceny piszącym, głosił, jak muzyka często potrzebuje wiersza z zakończeniem męskim, lecz gdy robione tym sposobem wiersze oprócz ostatniej właśnie zgłoski nie były miarowe, nie przestrzegały prawidłowości następstwa przycisków w strofie i z tego powodu akcenty muzyczne nie zgadzały się z akcentami wyrazowymi i gramatycznymi, żadnej przeto ani muzyce ani wierszopisarstwu nie przyniosły przysługi".

„Około r. 1811, jak mi to dokładnie wiadomo — pisze Królikowski, — Kudlicz, artysta teatru narodowego w Warszawie (tenże sam, co występuje w odsłonie teatralnej *Nocy listopadowej* Wyspiańskiego na scenie teatru Rozmaitości) przeglądając partyturę opery Mozarta *Don Juan* z tekstem włoskim i niemieckim, począł zastanawiać się nad tym, czyliby też w tłumaczeniu polskim nie można tak dobierać wyrazów, ażeby równie jak w innych językach wraz z muzyką płynęły i z nią się zupełnie zgadzały; doświadczał tego i napisał kilkanaście wierszy, które celowi swemu istotnie odpowiadały".

„Nie wiem jednak, dlaczego dzieła nie dokończył, a tłumaczenia innych oper szły dawnym sposobem, to jest zupełnie z daleka od muzyki. Dopiero tłumaczenie opery włoskiej J. Virtuosiego *Ambulanti* pod polskim tytułem *W podróży* przez znakomitego naszego poetę, jak go nazywa Królikowski, Jana Pomian Kruszyńskiego w r. 1817 uskutecznione, podłożenie przez samego tłumacza wyrazów pod muzykę, stanowi prawdziwą epokę w literaturze tłumaczeń operowych. Usłyszana ta opera na scenie warszawskiej nie małe uczyniła wrażenie, zaczęto się z doświadczenia przekonywać, że język polski w śpiewaniu może być bardzo słodki i dobitny, i uważano powszechnie, że wiersze do muzyki są jakoby przyklejone. Że zaś w tej operze

dla dogodzenia muzyce wiele było męskich rymów, które w języku naszym tylko przez wyrazy jednozgłoskowe zastąpione być mogą, a w tymże samym czasie Kazimierz Brodziński pisał niektóre wiersze tym sposobem rymowane, z tego podobno względu napisał St. Okraszewski wierszem miarowym samego zakończenia męskiego *Panegiryk nowych, a szczęśliwie wynalezionych rymów* i zamieścił go w *Pamiętniku Warszawskim* w nr 5 za maj 1817 r.“. (Dodajmy od siebie, że wiersz był złośliwy i pełen szyderczego dowcipu, ale pod względem wersyfikacyjnym świetny i do dziś dnia nie utracił swej poetyckiej wartości).

„To stało się dla mnie — pisze dalej Królikowski — powodem do napisania o wierszu muzykalnym“, a swą odpowiedź pt. *Uwagi nad jednozgłoskowym rymem* wydrukował on w lipcowym zeszycie tegoż roku *Pamiętnika Warszawskiego*

Teraz dopiero rozpętała się dyskusja nad zagadnieniami rytmiki i zasadami metryki, coś podobnego do toczącej się obecnie polemiki między awangardą, Zawodzińskim i Siedleckim. Józef Elsner, późniejszy nauczyciel Chopina, członek król Tow. Warszawskiego Przyjaciół Nauk wydał w r. 1818 *Rozprawę o metryczności i rytmiczności języka polskiego*, uzupełnioną przykładami rzecz objaśniającymi przez Kazimierza Brodzińskiego. W związku z tą pracą omawiającą szczególnie wiersze polskie pod względem muzycznym drukuje Królikowski: *Uwagi nad dziełem. Rozprawa o metryczności i rytmiczności języka polskiego*. „Celem tej recenzji było wykazać, że autor przyjąwszy pewną zasadę, nie wszędzie jej się trzymał i metryczność bardziej pod względem matematyki muzycznej, niż pod względem języka rozważał“.

„Z kolei J. K. Trojański, nauczyciel języka łacińskiego przy poznańskim gimnazjum napisał rozprawę o możności zaprowadzenia miar do języka polskiego, która była czytana na posiedzeniu szkolnym w r. 1819“.

Powyższą historię teoretycznych zmagań się o zagadnienia rytmu i rymu, przepraszam że nieco przedługą, ale dla mnie pełną uroczego wdzięku z powodu staroświeckiego meszku i patyny jej stylu, kończy Królikowski następującą uwagą:

„W rzeczach podobnego rodzaju, jedynie walka zdań prawdę istotną odkrywa, byle tylko recenzje w przedmiocie tak ważnym, jak jest rytmiczność języka, miały zawsze jakieś dążenie i nie kończyły się na igraniu z pochwyconymi wyrazami, na dowcipnym wyszydzaniu itp. zwrotach, które dowodzą przyjemnego częstokroć, ale istocie rzeczy tym szkodliwszego dowcipu, że niejeden czytający krytykę zajęty biegłością recenzenta, sądzi się może przekonanym o rzeczy natenczas, kiedy jest zbyt od niej daleko“. (Nawiasem mówiąc, uwaga ta o warszawskich felietonistach po 116 latach nie straciła nic ze swej aktualności).

Rymowi męskiemu Elsner był przeciwny. Zarzucał mu niesłusznie twardość w śpiewie utrzymując, że języki francuski i niemiecki są z powodu niego twardsze do śpiewania, niż włoski, a po nim polski. Proponował utworzenie akademii, która by ustanowiła, kiedy rymy męskie mają być dozwolone. (Propozycja *nota bene* godna dzisiejszego Irzykowskiego).

Królikowski, występując w obronie rymów męskich w swych *Uwagach nad jednozgłoskowym rymem* wskazywał na język włoski, który choć uważany jest za najmuzykalniejszy i najmelodyjniejszy, posługuje się przecież rymami jednozgłoskowymi i stwierdzał, że nieużywanie takich rymów jest tylko przesądem. „Nie jestem ja tego zdania — pisał — ażeby takim wierszem pisano tragedie. Jednakże nie umiem pojąć dlaczegoby i w najpoważniejszej poezji miało brzmieć lepiej: bogi aniżeli bóg, trony aniżeli tron, gromy aniżeli grom“ itd. Kto zaś chce uniknąć twardości tonu, radził szukać wyrazów zakończonych na samogłoskę. Nie godzi się na to, aby ciągle tak rymowano, wyjąwszy czasem krótkie i wesołe śpiewy, ale mieszanie tego rymu nawet i w rzeczach poważnych w swoim miejscu użytego przy nadaniu wierszowi naturalnego i gładkiego toku, nie uważał za grzech, tam zaś, gdzie się pisze dla muzyki, widział konieczność. „Gdy wszystkie bowiem języki mają rym jednozgłoskowy i gdy muzyka, która jest powszechną wszystkich narodów i wszystkich języków poezją, nie tylko w rzeczach lekkich, ale najtragiczniejszych nawet używa takiego rymu, nie widzę racji, dlaczego jedna tylko poezja polska miała go w obrzydzeniu“?

Odtąd sprawa rymów męskich była wygrana. W praktyce jednak nawet w poezji romantycznej stosowane były dość rzadko. Ich walor ekspresywny w teorii i praktyce był teraz już raz na zawsze ustalony.

Do dziś dnia jednak nie znalazłem dostatecznego wyjaśnienia, na czym właściwie istota tego waloru się zasadza. Dotąd wciąż jeszcze bowiem teoria poprzestaje na stwierdzeniu swoistego charakteru i barwy rymu męskiego, nie dbając o wniknięcie w jego istotę. Taki stan rzeczy zachował nawet Kazimierz Wóycicki w swej *Formie dźwiękowej prozy polskiej i wiersza polskiego*, gdzie rymy męskie głuche, w których po wzmocnieniu rytmicznym następuje nagłe urwanie, uważa za znacznie wyrazistsze, twardsze i przypisuje im większą ostrość i siłę mocniejszego uderzenia, w czym widzi powód, że w utworach obszerniejszych używane są tylko w kombinacjach z żeńskimi. W rymach żeńskich zaś dźwięcznych, w których między wzmocnieniem rytmicznym, a zawieszeniem głosu znajduje się łagodne przejście wyczuwa i Wóycicki więcej miękkości i śpiewności, uważając je za gibsze, obfitsze w polskim języku i bardziej rozmaite.

Analogicznie omawia Wóycicki związaną z tym sprawę dwóch typów średniówki: męskiej i żeńskiej, z których każda wywołuje odmienne efekty. „Jak metryczna miara rosnąca odznacza się większą energią, siłą, zdecydowaniem, podobnie wyróżnia się nimi średniówka męska, będąca tym samym członem rosnącym, połączonym z następną pauzą, podczas gdy ze średniówką żeńską, złączoną z miary rosnącej lub rosnącosłabnącej i zawieszenia głosu, łączy się wrażenie łagodniejsze, spokojniejsze“.

Pozwalam sobie przede wszystkim zaznaczyć, że zagadnienie rymów męskich nie może być omawiane w oderwaniu od natury i roli w budowie wiersza słów jednozgłoskowych bez względu na to, czy mieszczą się one w zakończeniu, czy wewnątrz wiersza. Związane ono jest też ściśle z zagadnieniem przycisków wierszowych. Jest rzeczą znamienną, że przed poezją romantyczną w poezji polskiej nie były w użyciu nie tylko rymy jednozgłoskowe, ale i wewnątrz wiersza nader rzadko pojawiały się wyrazy jednozgłoskowe, samym pojawieniem się swoim wpływając na zmienne umiejscowienie średniówki. U Kochanowskiego, który rymów jednozgłoskowych nie zna, znajduję dość często wbrew zasadom ówczesnej techniki wierszowej średniówkę na niewłaściwym miejscu po wyrazie jednozgłoskowym. Są to prawie zawsze bezsprzecznie najpiękniejsze jego wersety. Z rozwojem poezji rośnie także mnogość wyrazów jednozgłoskowych wewnątrz wierszy. W poezji wieku XIX zjawisko to jest tak powszechne i charakterystyczne, że nie wiem, czy nie udało by się ułożyć chronologii utworów poetyckich na podstawie samej tylko procentowej ich ilości wewnątrz wierszy i w zakończeniach.

Szersze zastosowanie rymu męskiego znajdujemy u Mickiewicza dopiero w *Liliach*, a przede wszystkim w *Ucieczce*. Ballady te powstały już po dyskusjach przeprowadzonych na łamach *Pamiętnika Warszawskiego* i wolno przypuszczać, że były mu one znane. Prof. Kleiner widzi w *Ucieczce*, która powstała już po pobycie w Rosji, w jej rytmice i rymach jednozgłoskowych wpływ wersyfikacji rosyjskiej, specjalnie poezji puszkinowskiej.

Przypomnijmy sobie z *Ucieczki* kilka zwrotek z wyłącznym rymem męskim:

Panno szkoda młodych lat
Od książęcia jedzie swat.

albo: Włosy jego w węża splącz,
Dwie obrączki razem złącz,
Z lewej ręki krwi usącz
A na węża będziem kląć
W dwie obrączki będziem dąć;
Musi przyjść i ciebie wziąć.

albo: W cwał mój koniu, w cwał!
Miesiąc na dół schodzi z chmur:
A nim zejdzie miesiąc z chmur
Mamy sadzić dziesięć skał,
Dziesięć rzek i dziesięć gór;
Za godzinę pieje kur.
W cwał mój koniu, koniu w cwał

Błyska zorza z wschodnich stron,
Za godzinę bije dzwon:
Nim uderzy ranny dzwon
Mamy sadzić parę skał
Parę rzek i parę gór
Za godzinę drugi kur.

Stój mój koniu, koniu stój,
Przybyłeś nim zapiał kur.
Tyle rzek i skał i gór:
A tuś zadrżał koniu mój?
Wiem ja koniu czemu drżysz:
Mnie i tobie boli krzyż.

Bliskie pokrewieństwo struktury rytmicznej wiersza *Legendy* Wyspiańskiego z tymi dwiema balladami Mickiewicza nie ulega dla mnie wątpliwości. Niewiadomo tylko, czy świadomie, czy bezwiednie poeta nawiązywał w ten sposób do najwcześniejszej tradycji naszej poezji romantycznej, z którą jak się w dalszym ciągu twórczości miało pokazać, łączyły go tak ścisłe tak nierozerwalne węzły. (W tragedii greckiej o *Laodamii* zwłaszcza w jej zaklęciach przy wywoływaniu widma zmarłego męża wersyfikacyjne elementy balladowe i wpływy *Dziadów II części* jeszcze dobitniej występują).

Charakter balladowy *Legendy* niejednokrotnie wprawdzie podkreślano, nie zaznaczono jednak, że charakter ten przede wszystkim przebija się w rytmicznej strukturze wiersza i w obfitości jego jednozgłoskowych, męskich rymów po raz pierwszy w utworze dramatycznym u nas tak gęsto i nieprzerwanie w całym toku tekstu stosowanych. Walną zdobyczą *Legendy* o przełomowym, rewolucyjnym znaczeniu było również odstąpienie od isorytmiczności wiersza i swobodne w dramacie po raz pierwszy użycie wolnego rytmu wierszy mieszanych o minimalnej ilości zgłosek od trzy do ośmio- lub dziewięciozgłoskowych najwyżej.

Zasadniczy błąd jednak w dotychczasowych poetykach i jałowość odnośnych dociekań widzę w tym, że sprawy dźwiękowe, zagadnienia rytmiki i rymu traktowane są zawsze w oderwaniu od morfologicznych i semantycznych zagadnień języka Nie mam zamiaru roztrząsać tu ani rozstrzygać zagadnienia genezy rytmu. (Uczynię to przy innej sposobności). Mogę podać tylko niektóre wyniki długoletnich prób i dociekań.

Dla siły, dobitności i piękna wiersza nie jest rzeczą obojętną, na jakich morfemach (zgłoskach znaczeniowych) spoczy-

wają w nim przyciski wyrazowe. Trudno orzec, czy powstanie swe rytmika wiersza zawdzięcza funkcji mnemonicznej. Jest jednakowoż faktem, może wtórnym tylko, że percypujemy i zapamiętujemy sobie z wiersza te głównie morfemy, na które pada przycisk. Jest przeto dla wiersza rzeczą ważną, aby akcenty spoczywały na morfemach piennych, na zgłoskach rdzennych, na źródłosłowach. Im więcej wiersz zawiera wyrazów o takiej budowie, że przycisk pada w nich nie na prefiksy czy fleksyjne końcówki, ale na zgłoski rdzenne, tym gęstość jego jest pełniejsza, bogatsza i masywniejsza, tym dobitniej i silniej on przemawia i w pamięć się wraża. Ten wzgląd, a nie ich łatwość, czyni rymy gramatyczne niepożądanymi, wiersz płonnie obciążającymi elementami. Na tym polega ogromne znaczenie i funkcja we wierszu wyrazów jednozgłoskowych, ich niesłychana sugestywność i narzutliwość. Tu bowiem przycisk pada zawsze na rdzenną morfemę, niczym nieosłabiony, zgęszczony iześrodkowany. W ekspresyjnym walorze każdego wyrazu promieniuje i prześwieca przez jego kształt i dźwięk przede wszystkim jego strona znaczeniowa. Decyduje ona i ciąży najsilniej, konstytuwnie, na jego zabarwieniu emocjonalnym, na jego energetyce. Pod tym względem dziwne misterium tworzenia się języka sprawiło, że u czasowników forma trybu rozkazującego w drugiej osobie tam, gdzie przybrała ona kształt jednozgłoskowego wyrazu działa z siłą możliwie maksymalnego napięcia. W poezji sprawdza się to na podstawie tej samej zasady, na której kształtowały się przysłowia ludowe, czy komenda wojskowa. „W prawo patrz! w lewo zwrot! Cel, tuj, pal! Naprzód, marsz! Prezentuj broń!", narzuca się naszym motorycznym, odruchowym ośrodkom mocą tego samego piękna formalnego i semantycznego, co świeżo pierwszą nagrodą na konkursie reklamowym *I. K. C.* w Krakowie odznaczone hasło: „Cały rok — koniak Stock". Współdziała w tym szereg czynników. Znaczeniowa strona czasowników budzi w nas zresztą zgoła odmienną pod względem natury i charakteru reakcję emocjonalną, jak rzeczowniki. Przedstawienia ruchu, czynności, działania mają swoistą dynamikę, której w obrazach samych tylko statycznych przedmiotów i ich jakości nie podobna wyczuć. Tryb rozkazujący ma w sobie apodyktyczną arbitralność i siłę mocodawczą, która w jednozgłoskowym zwłaszcza kształcie zamyka ładunek tym wyższego napięcia, że tutaj cały wyraz skraca się w formę nagiej, czystej morfemy źródłosłowa, co potęguje jeszcze akcent na nią padający. Jest coś z naciśniętej sprężyny w tej formie, zaczajonej, gotowej do skoku. Ma wreszcie tryb rozkazujący nieodłączny czar i urok bezpośredniego fizycznego kontaktu i ustnej rozmowy. Stąd stosowanie jego w poezji nadaje wierszom żywą energetykę i dramatyczność. (Podobną rolę spełnia bezokolicznik, ale o nim pomówimy innym razem). Ogromną przewagę w poezji współczesnej

form imperatywu nie wiadomo czy zawdzięczamy istotnej w tym kierunku komunikatywnej potrzebie wypowiedzenia się u poetów, czy też po prostu wywołały ją względy formalne techniki wierszowej w jej obecnej fazie rozwojowej, zdążającej zgodnie zresztą z tendencją wszystkich języków do możliwie skróconych, ekonomicznych form sugestii artystycznej.

W każdym razie ta forma czasownika, umieszczona ponadto w rymie, okazała się *par excellence* najwłaściwszą formą w dramacie, który jest poezją działania, ruchu i wzajemnego narzucania sobie przez partnerów aktów woli.

Tak więc, gdy w konserwatywnej teorii obowiązywała wciąż jeszcze doktryna Królikowskiego, który odradzał od rymów męskich w tragedii, w praktyce dostarczyła *Legenda* wystarczającego dowodu na mylność tego przesądu.

Poprzestańmy na tym.

Rozumiemy teraz jasno, jakimi względami artystycznymi kierował się Wyspiański, urodzony geniusz twórczości dramatycznej, zastępując czy to wiersz „kędy bohater starzec śpi“ zaklęciem „piorunem wal i tęp“, czy zmieniając tekst w innych ustępach, które przykładowo powyżej przytoczyliśmy. Szedł w naturalnym kierunku potęgowania siły, energii, arbitralności i zdecydowania, istotnych elementów składowych w dramacie.

W myśl tychże samych wytycznych nastąpiła także zasadnicza przebudowa całej pierwotnej struktury *Legendy*. Poeta nie ograniczył się tylko do językowych, leksykalnych i wersyfikacyjnych zmian tekstu. Aby pogłębić tragizm bohaterskiego czynu Wandy i spotęgować grozę upiornych ślubów, którymi okupuje ona zwycięstwo i nieśmiertelną sławę, Wyspiański dokonał gruntownej rewizji ideologicznych podstaw dramatu. Zawiesił dno jego jakby nad przepaścią innego podziemia, dał mu inną akustykę i odmienny rezonans, owiał inną atmosferą z zakulis, zanurzył w wiekuistym, mrocznym przestworze doli człowieczej.

Skutkiem takiej transkrypcji mamy do czynienia właściwie nie z nową redakcją pierwotnego dzieła, ale z całkowicie nowym dziełem o zasadniczo nowych perspektywach.

Zasadniczego przegrupowania doznała przede wszystkim architektura końcowego układu w epilogu *Legendy*, który, jak we wszystkich innych dramatach Wyspiańskiego, i tutaj stanowi ważne przęsło sklepienia całej budowy utworu. Istotną funkcję epilogów u Wyspiańskiego miałem sposobność szczegółowo wyjaśnić w studium o *Powrocie Odysa*. Tutaj mogę na me wyjaśnienie ówczesne się powołać.

Wszystkie figury dramatów Wyspiańskiego kamienieją w epilogach w swój ostateczny gest, kształt i postawę. W każdym z utworów zamyka je i niejako więzi poeta w pewną dla nich osobliwą sytuację. Do tego dla całości budowy fundamentalnego układu wszystko w dramacie się ściąga. Cała jego

architektura stąd się wywodzi, na założeniu tym stoi i ostatecznie do niego powraca. Cokolwiek który z bohaterów w toku akcji poweźmie, w wyniku zawsze dojść musi do tej tragicznej konkluzji, z góry mu już fatalnym wyrokiem Przeznaczenia narzuconej, a tragicznej właśnie przez to, że ucieczki z niej ani wyjścia żadnego nie ma. Są to szczytowe momenty ich doli, z których otwiera się rozległy horyzont na tajemnicę ich przeszłości i w których skamieniali trwać mają raz na zawsze niby ofiary wiekuistego potępienia. Świadomość takiego niechybnie ich czekającego końca od początku już w nich zwolna narastając, nurtuje, jak klątwa w trop za nimi się wlecze. Wiedzą, że ich u kresu ta nieuchronna sytuacja nie minie i że każdy krok ku niej ich zbliża. Sami ku niej zdążają, sami jej pożądają, sami są jej sprawcami. Własna ich wola ku temu prze i popycha, kusząc mirażem wiekopomnych czynów i wiekuistej chwały. W epilogach tych zatem Wyspiański ucieleśnia ostatecznie skrystalizowaną syntezę losu swych bohaterów. Daje klucz do odgadnięcia ukrytej zagadki ich życia zarazem, jak i ich zagrobowego, pośmiertnego w nieśmiertelnej tradycji wieków, w pieśni, legendzie, micie bytowania.

Proces mitologizacji, transfiguracji, wniebowstąpienia głównych postaci dramatu dobiega tak w epilogach do swej mety. Ważą one przeto nie same przez się i dla siebie tylko, ale przez swą łączność z tym wszystkim, co je poprzedza, z całą kanwą myślową dramatu, której wątki w nich dopiero do ostatecznego dochodzą wyrazu i napięcia i w ich dopiero oświetleniu właściwego nabierają znaczenia. Są to zatem pod względem artystycznego wykończenia niezbędne finały, które ideę utworu raz jeszcze wyczerpująco i syntetycznie wypowiadają, formułując ją w monumentalny kształt nieodwołalnego plastycznego piękna. Wystarczy tylko przypomnieć gości z *Wesela* muzyką chochoła w senny wir tańca bezwładnie zaczarowanych, Bolesława, jak się z nóg wali pod ciężarem przygniatającej go trumny, oślepłego Konrada, miotającego się bezsilnie na scenie, szczelnie zewsząd ryglami zapartej i czekającego na próżno *Wyzwolenia* od poezji, wyjścia z ram teatru, Mickiewicza wreszcie na wód piekielnych odmętach, gdy gasnącą u masztu pochodnią, resztką żywych jeszcze skier ducha, podpala tę łódź, łódź charonową, ze śmiercią u steru płynącą w niechybną zagładę, na której ku wybawieniu, ku zmartwychwstaniu wiezie *Legion* swych, ojczyźnie i sławie zaprzysięgłych uczniów, łańcuchem tej przysięgi tak w wieczystą skutych niewolę, jak w wieczystą niewolę oddała się Wanda, składając ślub Żywii. Ku tym wszystkim w posągowy kształt zakrzepłym wizjom płyną i w nich się zbiegają wszystkie wątki każdego z wymienionych utworów. Wszystkie słowa, gesty i ruchy poprzedzających je akcji układają się dramatycznie, kamienieją zwolna i stopniowo w zarysy tej końcowej architektury, tej kopuły, zdążając ku nim nie-

uchronnie, z magnetyczną siłą jako ku swemu w każdym momencie immanentnemu celowi.

Zasadnicza zmiana w architektonicznym układzie tej kopuły pociąga za sobą zasadniczą zmianę całego sensu utworu i konieczność odmiennej interpretacji jego idei i symboliki.

Jak sprawa ta przedstawia się w obu redakcjach *Legendy*?

Dekoracja aktu drugiego w pierwotnym tekście przedstawia wedle wskazówek poety w scenariuszach głąb Wisły, dno skaliste, gdzie wśród głazów kamiennych, przypominających kształtami ludzkimi wyogromniałe, jakby śpiące postacie i króla Kraka, jak leży olbrzymi na kamiennych głazach, skamieniały, śpiący, z głową w tył przerzuconą, w koronie przerosłej w krzaki koralowe, w szerokiej zbroi z blach zardzewiałych, z tarczą i długim mieczem u boku. Kiedy w epilogu Wanda rzuca się w nurt Wisły, opada powoli na dno, gdzie ją Rusałki otulają kamiennym płaszczem i układają do wiekuistego snu w głowach Krakusa.

Ku tym zakrzepłym kształtom architektonicznym zdąża od początku akcja dramatu, w której Krak i Wanda, zrazu żywe i rzeczywiste postacie historyczne, przeistaczają się stopniowo w istoty legendarne, przekraczają w metamorfozie tej próg realnej rzeczywistości, wchodzą w zaświecie mar urojonych, w pośmiertną krainę widziadeł, bóstw i wszelkich fantastycznych tworów, wrastając w mit, w sferę fantasmagorii i baśni.

Pierwotny epilog zamyka się śpiewem choralnym „płyń falo płyń — pian wodnych wał uniosą prądy chyże — słyń, królu, słyń, wieczystych chwał rycerzu, bohatyrze“.

Triumfalna ta fanfara jest apoteozą Kraka, stróża wawelskiego grodu, który wedle tekstu pierwotnego aktu, za wiele ukochał zamek, swą Wisłę i skały, żeby mógł po śmierci nawet oderwać się od nich duszą i odejść gdziekolwiek indziej w kraj wieczystego smutku czy wesela. U podnóża swego zamku, w majestat skalny skuty, woła stamtąd na Wandę, towarzyszkę swego sarkofagowego snu:

> Od głębin, od topieli
> twarz patrzy się surowa
> wśród fal świetlanej bieli;
> twarz starca z siwą brodą,
> przerosłą w krzak koralu
> na zimnej skał pościeli.

Wanda sama jedna pozostawiona na pokładzie promu, zanim się rzuci na dno spoziera w głąb, w której zwolna nastaje spokój, a promienie słońca padają przez wodną głębię i oświetlają Krakusa uroczyście promieniami.

W przedmowie do tekstu obu *Legend*, zamieszczonych w I tomie zbiorowej edycji dzieł Wyspiańskiego przypomina prof. Sinko, że w krakowskim *Życiu* z 12 marca 1898 r. w nu-

merze 11 drugiego rocznika Wyspiański umieścił własny rysunek rzeźby Antoniego Kurzawy *Wawel i Wisła*. (Nawiasem mówiąc był to młodo zmarły rzeźbiarz, którego nienagrodzony udział w konkursie na pomnik Mickiewicza skończył się tragicznym rozbiciem przez niego swej wystawionej rzeźby). Wyspiański rysunek opatrzył takim komentarzem: „Gród wawelski stary, zgrzybiały, królewski, majestatyczny, siadł na skałach, na miecza rękojeści wsparł dłonie, pochylił czoło, duma, Wisła tuli się doń, chroni trochę gestem przychylnych, szczupłych, lubych rączek; gibką postacią ciała dziewczęcego fantazyjnie kontrastuje ze starcem, w stalową zbroję zakutym. Paprocie rosną na skałach, widać jakieś resztki murów, gruzy wież, jaszczurki pełzające, dziewanny w rozkwicie. Dziewczyna ma pęczek kłosów w dłoni, ubiór pół-chłopki, pół-szlachcianki, włosów falę wzburzoną, długich włosów blondynki, oczy wielkie, jasne, rusalne, buzię śpiewną. Stary dzierży szczerbiec. Na głowie ma koronę-hełm z krzyżem u czoła; pod złotymi listkami korony na długich zwojach siwych włosów zielone lauru liście ułożone we wieniec. Jest w tej rzeźbie poezja, poezja, poezja, śliczna poezja. Można zapomnieć, że się patrzy na kawałek gipsu, na rzecz martwą, że się patrzy na rzeźbę niedużych rozmiarów, w oczach te figurki rosną do olbrzymów“.

Artykulik był bez podpisu. „Ale — dodaje od siebie słusznie prof. Sinko — kto zna styl Wyspiańskiego, kto nadto wie, że był on wtedy w *Życiu* kierownikiem działu ilustracyjnego i referentem artystycznym i że w tym właśnie numerze opublikował swój rysunek rzeźby Kurzawy, nie będzie wątpił, że to pisał Wyspiański. A że rzeźba Kurzawy, dodaje dalej prof. Sinko, znana już była przed r. 1890, wolno przypuszczać, że ona wpłynęła na ukształtowanie postaci Kraka w zakończeniu *Legendy* i połączenie jej z Wandą w jedną grupę kamienną. Jak dramatyczny poemat *Batory pod Pskowem* kończy się obrazem z żywych osób, „jak na obrazie Matejki“, jak drugi takiż poemat *Królowa Polskiej Korony* jest w wizji Jana Kazimierza interpretacją witrażu samego Wyspiańskiego na temat lwowskich ślubów Jana Kazimierza, tak *Legenda* mogłaby się kończyć uwagą: Wanda tuli się do stóp Kraka, jak w rzeźbie Kurzawy“.

Uwagi prof. Sinki potwierdzają raz jeszcze tezę o charakterze skulpturalnym architektoniki w epilogach dramatycznych Wyspiańskiego i o narodzinach jego utworów z ducha tej skulpturalności przez ożywianie, uruchomianie skamieniałych grup i poszczególnych figur, w kolejne postawy i sytuacyjne momenty akcji. Teza ta, którą sformułowałem sporo lat już temu, została przez teoretyków w nauce powszechnie przyjęta i dotąd utrzymuje się jako niezachwiany pewnik.

Jak z powyższej interpretacji symboliki, upostaciowanej w architektonicznym ugrupowaniu epilogu w pierwszej redakcji

Legendy widać, dramat miał pierwotnie charakter sielski, pogodną atmosferę baśni czarodziejskiej, nastrojonej na tonację optymistyczną.

W fundamentalnym swym założeniu miał to być przede wszystkim poemat, symbolizujący kult Wawelu i Wisły, poezja tego terenu, dokoła którego Wyspiański rozsnuł podstawowe motywy głównego cyklu swych dalszych także utworów, *Bolesława Śmiałego*, *Skałki*, *Wesela*, *Wyzwolenia* i *Akropolisu*. Krak i Wanda są to opiekuńcze bóstwa tych miejsc, historyczną i legendarną tradycją uświęconych, duchy w nieśmiertelnej chwale wieczyście je zamieszkujące, zaklęciem sztuki z dna Wisły gdzie od wieków spoczywają, snem kamiennym ujęte, do życia na scenie wyczarowane.

Krak jest przedstawiony jako *genius loci*, jako władca, król-duch i patron wawelskiego zamku. Gloryfikację jego koronuje fantastyczny orszak Wodników, Rusałek, Wiślanek, Wilkołaków, Koźlonogów, Baraniogłowów, Turoniów, Wiedźm i Guślarów, który w pierwszym akcie nad łożem zmarłego odprawia pantomimiczny ceremoniał żalów i płaczu, a potem zwłoki w fantastyczne ustrojone szaty w pogrzebowym pochodzie na ramionach unosi na Wisły dno, w pałac kryształowy, „kędy się cuda żywe śnią".

Punkt ciężkości dramatu spoczywa na apoteozie Kraka. Poetyckim ornamentem zdobi tę apoteozę baśniowy motyw o zaklętym kraju podziemnym, „gdzie w głębi wód — rusalny lud pałace stawia lśniące, kędy wieczysty Sławy gród i Słońca nocą śpiące", kędy na głębiach wód lazurowych pałaców sale kryształowe — bogato lśnią; kędy „w salach na miękkich mchów pościeli tysiąc się ciał rusalnych bieli, w ujęciach lubych śpią". Jak widzimy, mnóstwo w tym wszystkim jeszcze rudymentów i nalotów młodopolszczyzny, mnóstwo poetyckości szklanych gór i zaczarowanych kół, atmosfery nie do zniesienia, z której nie dziw, że nie mógł się czuć zadowolonym szybko dojrzewający geniusz Wyspiańskiego i że potem w telegraficznym skrócie odmawiał Pawlikowskiemu pozwolenia na wystawienie *Legendy* w pierwszej jej redakcji słowami: „Na to napisałem drugą, aby nie grać pierwszej".

Kiedy bowiem pierwsza była tragedią Priamowej niemocy i bezwładu starczego, dramatem dzieła spełnionego, drugiej dopiero nadał charakter tragedii zuchwałej młodości, jej wiary, siły i bojowej gotowości do aktów bohaterstwa, tragedii czynów aktualnych, dramatycznie spełniających się.

Stąd poszło, że tak znaczną przewagę uzyskał w pierwotnym tekście dogorywający Krak, który ma w sobie coś z homerowskiego Nestora i Priama, i jego przewlekłe z gęślarzami rozhowory. Zajmują one przeszło połowę tekstu, 38 stron druku podczas gdy cała reszta mieści się w przybudówce pobieżnie zaledwie naszkicowanej na 34 stronach. Cały układ miał z tego

powodu pod względem rozmiarów proporcje zgoła nierówne, które musiały niewątpliwie poetę tak świadomego i surową obdarzonego samowiedzą niepokoić i tym bardziej razić, że tak na niekorzyść całości nadmiernie rozrośnięty epizod z Krakiem na łożu śmierci, aczkolwiek był antycypacją jego snu kamiennego w epilogu, z punktu widzenia konieczności ruchu i akcji w dramacie był mało płodnym momentem statycznym. Pod względem kompozycyjnym spełniał tylko zadanie ekspozycji, która następnej gotowości Wandy do czynu i jej decyzji zaprzysiężenia się Żywii miała służyć jako psychologiczna motywacja w tragicznym jej położeniu, domagającym się dla ocalenia wolności i grodu okupu w śmierci.

Wszystko to w nowej redakcji runęło bez śladu w gruzy. Z pierwotnej kamień na kamieniu nie pozostał. Całość uległa gruntownej metamorfozie. Nie tylko zmieniły się bowiem na korzyść nierówne przedtem proporcje, gdy nadmiernie rozbudowany epizod z dogorywającym Krakiem w zupełności usunięty został, a dramat nowy rozpoczyna się z chwilą jego zgonu. Ogólny nastrój i klimat poematu przeszedł w tonację srogiej i posępnej ballady. Wzmógł się jego patetyczny diapazon, atmosfera nasiąkła dysonansami pesymizmu i akordami tragicznej grozy, język nabrał jędrności i mocy, a cała symbolika ukazuje zasadniczo nowy sens ideologiczny, dopuszczający diametralnie odmienną interpretację.

W ślad za tym nastąpiła równie istotna zmiana w dekoracji II aktu. Przedstawia ona teraz już nie sezamowe skarby podwodnych pałaców, ale sam tylko pusty brzeg Wisły u stóp Wawelu, jego piachy i wikle, dalekie bory i siną, wietrzną noc nad bełkotem i pluskami wody, z trupem Kraka, Martwicą u brzegu:

Węże pełzną ku mnie z wód,
gady żreją ciało;
Kto mnie zwolni z mąk?
Pęta u mych rąk,
Złe mnie powiązało.

Skon tak blisko, skon tak blisko,
nie kończy się męka;
wieczneż moje tu siedlisko,
w powijaku ręka?

Ani woda chce mnie brać,
ani woda nosić;
w noc wśród wichru muszę stać,
złorzeczyć a prosić.

Mam ci ziarna w jednym worze,
miałem ci te ziarna siać;
alić gady ziarna żreją,
martwy muszę stać.

Kto mnie zwolni z moich mąk,
bułką kto posili,
kto odwiąże słomę z rąk?
Źli mnie porzucili.

W ugór pójdzie moja rola,
w pustkę wielki dom;
zła to wola, zła to wola,
przekleństwo i srom.

Koniec zatem z gloryfikacją, koniec z apoteozą, łachmany zostały z króla-ducha, strzępy z patronatu nad zamczyskiem. W urągliwej transfiguracji pierwotny stróż Wawelu i jego duch opiekuńczy przeobraża się w słomianą pałubę, w Chochoła-Martwicę, w upiorne truchło śmierci. W nowej redakcji tragedii

Krak schodzi do rzędu epizodycznej już tylko figury-symbolu, a na pierwszy plan wysuwa się Wanda, bohaterski los Wandy i sprawa jej guślarskiego ślubu z Wisłą. Unosi się nad akcją w tej formacji wiekuista poezja wiślanej wody, jej tajemniczych szmerów i uwodzicielskich szeptów, jej jęków i żalów u podnóża Wawelu tak, że w pewnych momentach dramat wydaje się być symbolizacją nieodpartego, kusicielskiego czaru głębi wodnej, a cała akcja obrzędem zaślubin Wawelu z Wisłą, jakąś analogią, w tragicznej skali, do weneckich godów z pierścieniem i Bucentaurem.

Nie trudno zrozumieć, że w tym nowym układzie rzeczy i fundamentalny pod względem architektonicznym epilog dramatu musiał przyoblec się w kształty zgoła odmienne.

Aby ocalić kralkę swą od klątwy czarów ciągnących ją w przepaść na dno rzeki, lud ściga Wandę i usiłuje zedrzeć jej z czoła złowrogi „krasy wianek z głębi wód". Wanda, „przeklęta snać w rozumie", z gorejącą łuną obłędu w oczach, wskakuje z brzegu na prom i mieczem dobytym broni swego wieńca. Wpatrzona w daleki świt podwodny, snać się zapamiętała i widzi tam kłamne zjawy. Głąb wody się przed nią rozwiera, rozchyla świetlaną toń, i w opętańczej wizji „z podwodnych skał ścieliska" stają przed nią „mury zamczyska, ze złota całe, a z błękitu od spodów aż do szczytu".

O patrzcie, patrzcie, patrzcie tam!
Sława się z wody lęgnie!
Zwycięstwo mam!
Ach, ojcze, ojcze mój,
Wawel dobyłam twój!

Sława przeze mnie woła!
Sława przeze mnie gada!
Zwycięstwo wzięłam mocą!
Duchy mi są z pomocą!
Rycerze z głębi wód!!

W wieńcu żyję!!
Sława mój wieniec wije!

Tam, tam królestwo moje!!!

(Wizja Wawelu jest i tu zatem, niby kamień węgielny poetyckiej metafizyki Wyspiańskiego, rekwizytem świata zagrobowego, sławy pośmiertnej).

Tymczasem wezbrane wody jesienne na brzeg wstępują i powódź zatapia groble.

Prom woda porywa, poniosła,
druzgoce i kije i wiosła!
Prom woda porwała, ponosi!
Tam zbroja się łyska do słońca!
Na promie, na promie szalona!
Widzicie gońca!!!
Strugami, wodami niesiona,
z mieczem we wieńcu!!! — —

Miecz ponad głową dźwiga!
a Śmierć, Śmierć ją ściga!!!

To Martwica się dźwiga na wodę

śpiewa poeta w zakończeniu —

i dziewkę rycerza ściga.
Prom pędzi z szaloną siłą,
woda go prędko porywa.
A chochoł słomiany hula
na Słońcu falą niesiony
i goni dziewczynę-króla.
Aż haj, na rzecznym zakręcie,
straszliwym się trzaskiem rozbija.
Prom woda chłonie w odmęcie.

I w taki posąg zaczarowanej dziwożonki kamienieje Wanda, zanim nam przed oczyma w teatralnej zagaśnie wizji z monumentalnym gestem wyciągniętego miecza nad głową, gestem, co ją tak blisko spokrewnia z Konradem i Bolesławem.

Widzimy zatem, jak w ciągu akcji, zgodnie ze stylem dramatów Wyspiańskiego i jego artystycznymi dyrektywami, zarówno Krak, jak i Wanda, jak wszystkie prawie kreacje poety, z istot żywych, realnych i historycznych przeistaczają się w czarodziejskiej metamorfozie w twory mitologiczne, w symbole. Obcując w toku akcji z widziadłami, co się w pasjach cierpienia ludzkiego i bolu rodzą z płomiennego rozżagwienia duszy, i oni, jak wszystkie inne postacie Wyspiańskiego, zrzucają w epilogach swą ludzką skórę, szatę doczesności, i w stopniowym procesie transsubstancjacji odcieleśniając się, wstępują same w krąg duchów zaklętych, w sferę Śmierci okupionej Sławą, Śmierci, która zarazem otwiera im wawelską bramę do wiekuistej chwały. I w *Legendzie* zatem, w nowej zwłaszcza jej redakcji, rzecz dzieje się na wąskim pograniczu ziemskiego bytu ze światem transcedentalnym. Tragiczne zaś konflikty i tutaj wynikają ze stosunków istot żywych, pełnokrwistych, z marami zbiorowej, plemiennej, mitotwórczej wyobraźni, które je do czynów heroicznych i dzieł wiekopomnych kuszą i pchają. I tutaj Wyspiański, jak wszędzie indziej, wprowadzając w dramatyczną grę realnego świata imaginacyjne figury z fantastycznej krainy duchów, tym jestestwom przypisuje istnienie rzeczywiste i obiektywne. Nadaje im byt transcedentny, od psychologicznych, podmiotowych, jednostkowych procesów postaci realnych w dramacie niezależny, o znaczeniu i piętnie metafizycznym, jako tworom kulturalnym i historycznym zbiorowej świadomości mitotwórczej i religijnej danego środowiska, z mocą realnego na świat ludzki oddziaływania. Wizjonerskie te kreacje, upiory, widma i truchła, i tutaj, jak gdzie indziej u Wyspiańskiego wywierają w szczytowym momencie wpływ upiorny i rozstrzygający. Od nich to, im się zaprzysiągłszy, Wanda czerpie wiarę

i nadludzką siłę działania, aby zdobywszy za ich pomocą zwycięstwo i sławę, znaleźć w nich potem źródło swej klęski i zguby i paść ich ofiarą. Tragiczną dolą Wandy, jak i innych bohaterów Wyspiańskiego, jest zetknąć się z tymi podziemnymi stworami i dać się im uwikłać w nieuchronny konflikt. Jej winą tragiczną, w znaczeniu amoralnym i irracjonalnym, jest, że nawiązała z nimi stosunek, który jej nieuniknioną zgotować musiał zagładę.

Osobliwy czar, oryginalną głębię i niesamowity wiew zaświatowej grozy zawdzięcza i *Legenda* tej swoistej właściwości dramatów Wyspiańskiego, że i tutaj w tragicznym konflikcie przeciwstawionych sobie sił jednym z głównych czynników akcji, który na jej ostateczne ukształtowanie się decydująco wpływa, są potęgi tajemne, urojone, spoza krawędzi realnego świata moc swą i treść czerpiące, a przyodziane w konkretne kształty symbolicznych postaci. (W każdym z dramatów Wyspiańskiego jego świat ludzki, jego zespół osób, przeniesiony na deski sceniczne z pewnej konkretnej, szczególnej fazy kulturalnej i historycznej, dopiero wraz z tymi marami wyobraźni, tymi figurami imaginacyjnymi, dla każdej fazy z osobna odrębnie swoistymi i charakterystycznymi, stanowią pewien całkiem osobliwy wykrój rzeczywistości ludzkiej, krąg szczelnie sam w sobie zamknięty, autarchiczny, od reszty świata wydzielony i izolowany).

Ten tak znamienny, na wskroś oryginalny stosunek istot nadprzyrodzonego świata do człowieka jest już w *Legendzie* składowym pierwiastkiem jej idei tragicznej i stanowi podstawę struktury, która ją czyni bliską i pokrewną mickiewiczowskim *Dziadom*. I *Legenda* zatem należy do pancernego repertuaru polskiego monumentalnego, misteryjnego, narodowego teatru.

Właściwy jej, obrzędowy, liturgiczny, sakralny charakter wzmacnia jeszcze fakt, że Wyspiański, rozmiłowany w krakowskim folklorze, w ludowej pieśni, sztuce i obyczaju, aby legendarność zamierzchłych, mitycznych czasów uwydatnić, związał z dramatem ściśle gusła i obrzędy świąteczne, o pogańskie jeszcze tradycje potrącające. Jak to już trafnie jeszcze w 1910 r. Przemysław Mączewski w recenzji o książce Kotarbińskiego zauważył, opierając się zresztą przy tym na studium Stanisława Lacka, poświęconym mitologicznym realiom w *Legendzie*, zachodzi tu oryginalny związek koincydencji między losami Kraka i Wandy a przesileniem wiosennym w przyrodzie.

W dramacie uwydatniają to motywy z obchodu świąt rusalnych, ze święta „Wianków", obchodów turoniowych, godów Jarowitowych, dożynek na cześć Pioruna i rytuałów weselnych. Motywy te w drugiej redakcji wypełniają sporą część tekstu, nadmiernie się nawet w niej rozrosły, a jak realizacja teatralna dowiodła, podłożone odpowiednio pod muzykę olśniewają uro-

kiem takiego piękna, że udźwignąć mogą środek ciężkości całego dramatu i stać się alfą i omegą przedstawienia.

Na koniec pozostaje mi jeszcze w kilku słowach poruszyć związek, jaki zachodzi między *Legendą*, osnutą na temacie najazdu i zwycięskiego odporu okupionego indywidualną ofiarą, a stanem napięcia uczuć narodowych, współczesnym momentowi powstania dramatu. Nie ulega bowiem wątpliwości, że już samo podobieństwo sytuacji zagrożonej bliskim niebezpieczeństwem podboju prowokowało poetę swą analogią do emocjonalnych wyładowań i wypowiedzi, które wykraczały poza ścisłe ramy konkretnego tematu, zawierając pewne alegoryczne aluzje, skargi i wróżby, nawiązujące do ówczesnych, zawsze żywotnych politycznych tęsknot narodu w niewoli.

I tak: porzucony w pustce nadwiślańskich łęgów Krak-Martwica z drugiej redakcji dramatu taki ze sceny wygłasza wyraźnie do widzów skierowany lament:

Byście ziarn z mej torby wzieli
i posiali w zagon haj;
zagon kiełkiem się zaścieli
na zielony maj.

Tak was proszę, weźcie w dłonie
z mojej torby ziaren garść;
wraz zakwitnie w zieleń błonie,
gad się będzie paść.

Hej, bo ziarno ze mną tonie,
hej, bo ziarno idzie w nic;
weźcie ino trochę w dłonie,
wraz zakwitnie w zieleń błonie,
będzie można siec.

W marność idą ziarna moje.
Kto wie, kto je siał —?
Powiązany, w pętach stoję
u wiślanych skał.

A kiedyż się wypłaczą łzy
i spłyną lód i kry —?
A kiedyż przejdzie straszna noc
i w r ó c i k r e w i m o c?

A kiedy się mej dłoni miecz
do ręki mojej wróci?
Hej, za moimi kiedyż biec?
Kto moje pęto zruci?

Króla-Kraka zaś w pierwszej redakcji, uśpionego na głazach podwodnych u podnóża zamku, którego stróżem opiekuńczym się czuje, czyni poeta tysiącletnim świadkiem doli i niedoli narodu, przeżywającym w nieprzespanym śnie współczesną hańbę ujarzmionego Wawelu, gdzie „na zamku cisza głucha, po gankach ciecze krew; martwy gród, gdzie królował, smutek się rozwlekł w tym domu, świetlice w nim puste i mieszkać

nie ma komu. Rdza przejada zawiasy, pnie butwieją, po ścianach pył się zsiada w komorze; na smoczej, skalnej norze wiatr hula, kędy królował, Smutek się rozmiłował i pustych dźwięków słucha“.

Z pośmiertnego snu ocknięty, wypowiada Wernyhorowe proroctwo w żadnym rzeczowym stosunku z akcją dramatu nie pozostające, a zwrócone wprost i bezpośrednio do patriotycznych uczuć teatralnej widowni:

> Spokojny czekam, niech to minie,
> co się ma stać,
> niech minie wiele —
> Spokojny głaz, patrzę na życie,
> co się nade mną bujnie ściele:
> I chwast, jaki tam rośnie, zginie
> i brud, jaki się zbierze, spłynie
> i minie wiele,
> a czar tych głębin, kędy królem leżę
> w majestat skuty skalny,
> zostanie wieki niewidzialny
> pod falą pokrywą, pod całunem
> [glin, piachu, mułu...
>
> Na tych to głębiach każdy zgadnie
> i sercem będzie szukać:
> Gdy serce skarb pod tonią najdzie,
> miłośnie pocznie pukać;
> w piersi; do kwiatów, chwastów czulić,
> do skał się będzie zimnych tulić,
> śpiewając śpiew zawodny, szumny
> we łzach; —
> a skoro minie wiele,
> wypłaczą się łzy,
> czar górą będzie władać całą
> i śpiewać w wichrach ponad skałą
> pieśń żywą, pieśń wspaniałą.

Tą przepowiednią tragedia *Legendy* łączy się ściśle (zwrócił zresztą już na to uwagę Stanisław Lack) z *Akropolisem*, dramatyczną pieśnią zmartwychwstania, która cykl wawelsko-wiślanych dramatów Wyspiańskiego zamyka drogocenną swą klamrą tak, jak *Legenda* była cyklu tego pierwszym ogniwem.

Zarówno tematem, jak ogólnym swym nastrojem i utajonymi w tekście akcentami była ona zarazem, jak widzimy, reakcją poetycką na nowo do buntu budzącego się narodowego ducha w młodym pokoleniu. Była krzykiem jego serc, neoromantyczną wizją ze snów o potędze, wśród nocy głuchej wołaniem o czyn, o zwycięstwo z krwi i ciała, na pięć minut przed dwunastą, omal w obliczu ostatecznej politycznej rozbiórki, grożącej powolną inkorporacją w systemy państw zaborczych.

Nasycona jest też gorącym żarem ówczesnej atmosfery doby przełomowej, kiedy daleki widnokrąg przeszywały już błyskawice nadchodzącego huraganu, który miał przynieść

ocalenie. Kreśliła na niebie poezji pierwsze sygnały przeczuwanego przedświtu zmartwychwstania.

Była *Legenda*, jak wszystkie późniejsze i dalsze utwory Wyspiańskiego, przede wszystkim apelem do siły, — a zarazem w dziedzinie poezji siły tej realizacją i pokazem.

Ten moment z pewnością sprawił, że przed 39 laty przy stoliku lwowskiej kawiarni odczytany w petersburskim ugodowym *Kraju* sześciowiersz ugodził w nas na alarm jak piorunem.

Lwów *Ostap Ortwin*

NIEZNANE WYDAWNICTWO GRUNWALDZKIE I „STAROŚWIECKA PIEŚŃ O BITWIE PRUSKIEJ"

I

W Bibliotece Ord. Krasińskich w Warszawie znajduje się ciekawy rękopis (nr 279), w którym Jan Ostroróg, podczaszy koronny, a potem wojewoda poznański (1565—1622), znany autor dziełek myśliwskich i gospodarczych, złożył — jakby powiedział poeta — „myśli swych przędzę i uczuć swych kwiaty". Mieszczą się bowiem w tym rękopisie (opisanym niegdyś przez Chomętowskiego [1]) nie tylko cenne traktaty gospodarcze p. wojewody, głośne jego *Myślistwo z ogary* i *Zwierzyniec*, rozprawa o grze w szachy, listy do synów (będące całymi traktatami pedagogicznymi), mowy, rozprawy religijne itp. — ale zarazem utkwiła tutaj niejedna pamiątka głębokich osobistych przeżyć Ostroroga i jego dokumentów życiowych. Obok wywodów genealogicznych, pobożnych tablic wotywnych, które składał, jest historia długiej jego choroby, są listy i epitafia dla przyjaciół; jest nade wszystko wzruszający opis życia i śmierci ukochanego syna Stanisława, wcześnie zmarłego świątobliwego młodzianka, którego ojciec uważał za najmłodszego z polskich świętych, jakby za braciszka duchowego św. Stanisława Kostki; zdaje się, że snuł nawet marzenia o jego beatyfikacji.

Otóż w tym samym rękopisie, tak drogim Ostrorogowi, że *vitam finiens* drżącą ręką konającego przekazywał go dzieciom swoim [2], — znajdujemy również wiadomość o wydawnictwie, które wojewoda poznański na kilka lat przed śmiercią przygotowywał. Właściwie cały tekst tej niezwykle ciekawej

---

[1] Chomętowski Wł., *Jan Ostroróg, wojewoda poznański, mówca i pisarz z czasów Zygmunta III (Biblioteka Warszawska*, 1864, III, s. 369—395 i t. IV, s. 189—212, 356—379). — Tenże, *Wiadomość o życiu i pismach Jana Ostroroga, wojewody poznańskiego (Biblioteka Ordynacji Krasińskich, Muzeum Konst. Świdzińskiego*. T. II, s. 1—94). — O Ostrorogu pisał ostatnio autor niniejszego artykułu w rozprawie *Piotr Ciekliński i Jan Ostroróg z Komarna (Pamiętnik Literacki*, R. XXXIII, z. 4) i osob. odbitka.

[2] Zob. notatkę własnoręczną umierającego (już z pomyłkami nawet w piśmie, np. Ostróg zamiast Ostroróg) na wewnętrznej stronie okładki rękopisu.

publikacji, która niestety do skutku nie doszła, kryje się w naszym rękopisie.

Miało to być wydawnictwo poświęcone świetnemu zwycięstwu oręża polskiego pod Grunwaldem. Wyjaśnienie tego bądź co bądź charakterystycznego zamysłu gorącego patrioty-narodowca, jakim był Ostroróg (potomek i imiennik wielkiego Jana Ostroroga z XV w.) wyczytać można z pięknej łacińskiej *epistola dedicatoria* do króla Zygmunta III, która miała otwierać publikację[1]. Przypomina w niej Ostroróg, że właśnie jest trzydziestolecie monarszych rządów króla Zygmunta w Polsce (a więc rok 1616), które godzi się odpowiednio uczcić. Kreśli następnie w krótkich, poważnych zdaniach dzieje Polski od śmierci ostatniego Piasta aż do czasów sobie współczesnych, akcentując wielkie historyczne znaczenie dynastii Jagiellonów w dziejach naszego narodu i państwa. Stawia przed oczy królowi Zygmuntowi III Wazie niewątpliwy fakt, że i on właściwie jest „Jagiellonem", potomkiem (chociaż po kądzieli) tej sławnej rodziny królewskiej, którą Polacy zawsze *religione quadam et dulci recordatione* otaczali; przecież to ta właściwie słodka pamięć Jagiellonów u narodu dała mu tron w Polsce.

Czyż można zatem lepiej uczcić dzisiaj 30-lecie godów króla z narodem — oto dalszy ciąg rozumowania Ostroroga — jak przez przypomnienie i nowe upamiętnienie tego europejskiego czynu Jagiellonów, jakim była *una illa gloriosa pugna* stoczona pod Grunwaldem z potężnym, świetnie wojskowo przygotowanym i wyćwiczonym Zakonem?

W tym celu przygotował Ostroróg (czy sam, czy w porozumieniu z innymi?) okazałe wydawnictwo o charakterze głównie ikonograficznym. Pokazywał je już przedtem prywatnie królowi — pisze w dedykacji — a teraz ta *pugna ad Grunewaldum depugnata, icone expressa* ma być pokazana światu, niby na nowy podziw. Pod znakiem i łaskawym przypisaniem królewskim niech wyjdzie na światło dzienne.

Tyle mówi *dedicatoria* do Zygmunta, kaligraficznie w kodeksie przepisana.

Cóż miało następować po niej? Wiemy dziś najdokładniej, że miały iść trzy wielkie obrazy *(tabulae)*, zapewne sztychy, miedzioryty, wykonane chyba przez jakiegoś wybitnego mistrza. „Tablic" tych nie znamy; historia sztuki polskiej — o ile mi wiadomo — również nie posiada o takim wydawnictwie żadnych wiadomości. Możemy jednakże odtworzyć sobie treść owych sztychów na podstawie treści podpisów które miały być umieszczone pod tablicami; podane są one również w rękopisie[2]. Wynika z nich, że pierwszy obraz miał przedstawiać scenę, w której Jagiełło słucha mszy św. przed bitwą, a dostojnicy na próżno starają się go oderwać od

[1] W rękopisie kartka (faktyczna, bo numeracje są mylone) 262 v — 263 r.
[2] Na karcie 263 v.

modlitwy nawołując do walki. Obraz **drugi**: Jagiełło przyjmuje posłów krzyżackich ofiarowujących mu szyderczo dwa miecze od W. Mistrza. Obraz **trzeci**: Nad polem walki zjawia się postać św. Stanisława biskupa, który daje Polakom zwycięstwo. Treść inskrypcyj zupełnie wyraźnie wydobywa linię ideową obrazów. Pierwszy miał sugerować widzowi królewską pobożność i ufność w Bogu *(pietas et fiducia in deum)*, drugi pokorę chrześcijańską Jagiełły *(maximam et vere christianam humilitatem)*, trzeci wreszcie nagrodę *(praemia)* za te cnoty: błogosławione zwycięstwo. Obok momentów wielkiej chwały wojennej Jagiellonów i sławy rycerskiej Polaków — o których mówi list dedykacyjny — pragnęło więc wydawnictwo Ostrorogowe zwrócić uwagę na momenty **religijno-moralne**, zgodnie z duchem atmosfery zygmuntowskich czasów i z wielkim zelotyzmem arcykatolika-wojewody.

Jako ostatnia (po dedykacji i 3 obrazach z objaśnieniami) część jubileuszowego wydawnictwa miała się tam znaleźć (pomieszczona zaraz potem w naszym kodeksie) *Pieśń Staroświecka o bitwie pruskiej*, złożona z 196 wierszy[1] — ta sama pieśń, która pod nazwą *Pieśni o pruskiej porażce, która się stała za Króla Jagiełła Władysława* przypisywana jest dzisiaj Łukaszowi Górnickiemu. Pieśń ta, wypisana kaligraficznie, poprawiana nawet ręką Ostroroga, wiązała się nie tylko samą treścią, ale i swoim kośćcem ideowym doskonale z myślą przewodnią ikonów-sztychów. Wszakże cały nastrój tej „staroświeckiej pieśni“ — jak już podnoszono[2] — jest nastrojem wysoce religijnym. Wprawdzie nie brak w niej silnych momentów rycersko-bitewnych, wprawdzie pobrzmiewają również niewątpliwe akcenty nienawiści do bezwzględnego wroga, ale ton zasadniczy, górujący pieśni — to ton moralno-religijny. Bitwa grunwaldzka ma tu swój mistyczny sens. Toczy się bój o wielkie wartości moralne, odwieczna walka pomiędzy pychą a pokorą, między szatanem a anielstwem Bożym. Walka ta zazębia tajemnie o niebiosa: Bóg, sprawiedliwy sędzia, jest właściwie głównym, wszechpotężnym aktorem dramatu. Ta mistyka naszej pieśni grunwaldzkiej nie była zresztą własnością jej autora, lecz jego wyłącznego źródła, tj. historii Długosza. Czasom i intencjom Ostroroga odpowiadało to jednak jak najcelniej.

Wydawnictwo grunwaldzkie Jana Ostroroga nie zostało zrealizowane; w formie jakby zmumifikowanej oglądamy je dzisiaj w rękopisie rodzinnym zapomnianego polityka i pisarza.

Dlaczego rzecz cała przygotowana — zdawałoby się — w zupełności, zapowiedziana poprzednio samemu królowi, nie wyszła poza sferę pobożnego zamiaru czy daremnej próby — trudno orzec. Wątpliwe jest, aby mogły tu hamująco oddziałać sym-

---

[1] K. 264 r. — 265 v.

[2] Windakiewicz St., *Pieśni i dumy rycerskie XVI w. (Pamiętnik Literacki*, R. III, 1904, s. 350).

patie i węzły habsbursko-niemieckie samego Wazy i filoniemiecka atmosfera dworu króla i jego żon, tj. aby sam Zygmunt nie życzył sobie ostatecznie takiej publikacji. Grunwald należał już do historii sprzed 200 lat, a jego symbolika nie rozciągała się jeszcze wtedy na całą niemieckość (zrobiły to dopiero rozbiory Polski). Może choroby Ostroroga trapiące go ciężko w ostatnich latach żywota udaremniały przeprowadzenie zamysłu. Najpewniej jednak zawinił nie kto inny, tylko artysta, wyczekiwany twórca owych *tabulae*, czyli ikonów, co stanowić miały trzon wydawnictwa.

Kto mógł być tym artystą, u którego wojewoda poznański poczynił zamówienia wedle własnych wskazówek? Można by fantazjować, że był to któryś z ówczesnych znakomitych sztycharzy zagranicznych o wielkim nazwisku... Właściwsze będzie przypuszczenie, że chodziło o któregoś z mistrzów pracujących na dworze królewskim, gdzie Ostroróg bywał tak częstym i ulubionym gościem. A zajmowali się tam sztycharstwem, i to przeważnie historycznym, malarze królewscy, jak Niemiec Jakub Troschel, Holenderczyk Soutman, jak wreszcie sam arcymalarz Zygmunta III, Tomasz Dolabella, twórca znanych, wielkich płócien historycznych. Nie będzie pozbawione sensu nawet takie przypuszczenie, że zamówienie mógł otrzymać wielkiej sławy sztycharz polski, lwowianin Jan Ziarnko, zostający w bliskich stosunkach z polskim dworem[1].

Trudno dzisiaj przesądzać, czy tablice grunwaldzkie były wykonane, czy też nie; może je właśnie kiedyś jakaś szczęśliwa ręka odnajdzie. W każdym razie nie dostały się one do rąk Ostroroga w swoim czasie, w owym jubileuszowym roku królewskim 1616-tym — i rzecz uległa zwłoce czy w ogóle przestała być aktualną.

Nasuwa się jeszcze jedno pytanie. Czy to wydawnictwo grunwaldzkie było istotnie wywołane dopiero 30-leciem rządów Zygmunta III, jak o tym relacjonuje dedykacja Ostroroga? Wydaje nam się, że metryka tej artystyczno-literackiej imprezy jest nieco dawniejsza, a mianowicie związana z 200-ną rocznicą zwycięstwa grunwaldzkiego, która przypadała na rok 1610. Święto Grunwaldu nie było w Polsce nigdy zapomniane (szkoda, że nikt dotąd tą kwestią się nie zajął, np. śp. ks. Fijałek, autor cennego artykułu o pamiątkach grunwaldzkich w dawnej Polsce[2]). W Krakowie, aż do chwili rozbiorów, przez 386 lat — jak pisze K. Wł. Wójcicki[3] — obchodzono uroczyście co roku dzień 15 lipca jako dzień tryumfu i chwały: procesje ze wszystkich parafii krakowskich wyruszały do kościoła św. Jadwigi na Stra-

---

[1] O tych artystach zob. Cz. Lechicki, *Mecenat Zygmunta III i życie umysłowe na jego dworze.* Warszawa, 1932, s. 192—202.

[2] *Grunwald. Nazwa jego i pierwsze pamiątki religijne z bitwy w Polsce...* (*Słowo Polskie*, Lwów, 1911).

[3] *Encyklopedia Orgelbranda*, t. X, s. 821,

domiu, gdzie odprawiano uroczyste nabożeństwo dziękczynne. Dwusetna rocznica wielkiego zwycięstwa, przypadająca na rok 1610 — a rok to wojenny, znaczony polskimi walkami i tryumfami (prawda, że na Wschodzie), pełen już tej rycerskiej, prawie średniowiecznej atmosfery, która cechuje nasz wiek XVII — przypomniała z pewnością żywo sławną Jagiełłową bitwę. Jest chyba rzeczą wielce naturalną, że właśnie ten 200-ny anniwersarz nadawał się najlepiej do podjęcia takiego „pomnikowego" wydawnictwa, jakim było zamierzenie Ostrorogowe. I jeśli co, to walki i zwycięstwa moskiewskie, absorbujące naród przez cały ów rok 1610, kazały odłożyć starania o nie na później. Nie omylimy się więc może, jeśli niedoszłą publikację Ostroroga nazwiemy publikacją na 200-lecie Grunwaldu.

II

Zostaje do omówienia sprawa druga: zagadnienie *Pieśni o pruskiej porażce*. A to jest również kwestia — jak zobaczymy — „jubileuszowa". Pieśń ta znana była dotąd z jednego tekstu który z nieokreślonego dokładniej rękopisu (w każdym razie nie z Ostrorogowego) wydał jeszcze w 1843 roku Leon hr. Rzyszczewski w *Bibliotece Warszawskiej*, III, 370—374)[1]. Miał ten rękopis potem w ręku W. A. Maciejowski, wydrukował z niego dwie pieśni, ale miejsca przechowania i numeru manuskryptu też nie podał[2]. Nikt po nich tego rękopisu nie oglądał. Data powstania pieśni (rok 1510) długo nie była przez nikogo kwestionowana, chociaż ze względu na pisownię stwierdzano że „tekst Rzyszczewskiego" spisany został zapewne znacznie później. Językoznawca tej miary, co Nehring, nie wyrażał wątpliwości, że język *Pieśni o porażce pruskiej* może odpowiadać dacie 1510 r., a więc początkowej dziesiątce lat XVI w.[3]; naturalnie, przyjmował, że pewne wyrażenia czy nawet całe zwroty są w tzw. „tekście Rzyszczewskiego" zmodernizowane Aprobował Nehring rok 1510 jako datę powstania pieśni (okres grunwaldzki XV wieku jest niemożliwy!) i łączył to powstanie z pierwszym 100 jubileuszem Grunwaldu, obchodzonym (w 1510 r.) w niezwykłych w Polsce warunkach, przy akompaniamencie właśnie lipcowych obrad wielkiego zjazdu w Poznaniu. Na zjeździe tym — jak wiadomo — delegaci Polski, Zakonu, Rzeszy cesarza i króla Węgier wertowali wiecznie jątrzącą sprawę polsko-krzyżacką, z rezultatem dla Polski niepomyślnym: rzecz miała iść na nowe, dalsze dyskusje prawno-merytoryczne, męczące i jak przedtem bezowocne. Zadrażnienie między Polakami a Krzyżakami było silne, atmosfera poważna; wszakże

[1] Dołączając ją do rozprawki pt. *Szczegół do życia Zbigniewa Oleśnickiego*.

[2] Maciejowski W. A., *Piśmiennictwo polskie* I, 376 i *Dodatki*, s. 150

[3] *Altpolnische Sprachdenkmäler*, 1886, s. 237—239 i *Kwartalnik Historyczny*, 1894, s. 672.

za kilka lat miało dojść do nowej krwawej wojny pruskiej (1519). Otóż — zdaniem Nehringa [1] — w tej brzemiennej powagą chwili i pełnym napięcia nastroju mogła zrodzić się nasza pieśń. Pieśń jubileuszowa i aktualna zarazem.

Zwrot zupełny w zapatrywaniach na genezę i autorstwo *Pieśni o pruskiej porażce* — którą P. Chmielowski słusznie nazwał „najpiękniejszą polską pieśnią historyczną" [2] — nastąpił dopiero od chwili, gdy St. Windakiewicz [3], a za nim A. Brückner (*Biblioteka Warszawska* 1893, t. IV) [4] uznali tę pieśń za niezaprzeczony utwór Łukasza Górnickiego. Wspomniani uczeni opierali się na dwóch momentach: 1) na rzekomym świadectwie J. Kochanowskiego w elegii III 13 i 2) na pisowni „tekstu Rzyszczewskiego", która rzekomo ma pozostawać (o czym napomykał już Nehring) pod wpływem znanej ortografii Górnickiego. W późniejszych pracach Brücknera i Windakiewicza [5] twierdzenie to pojawia się już jako pewnik. Windakiewicz w rozprawie *Pieśni i dumy rycerskie XVI wieku* zupełnie swobodnie rozprawia o „pieśni Górnickiego"; co więcej, jakby chcąc ten utwór nierozerwalnie związać z autorem *Dworzanina*, wyznacza mu nawet dokładną datę powstania. Twierdzi, że pieśń powstała w 1570 roku [6], a Rzyszczewski, podając z rękopisu datę 1510, po prostu źle odczytał „jedynkę" zamiast „siódemki" (były one w piśmie XVI w. tak podobne do siebie!) Naturalnie, prof. Windakiewicz rękopisu Rzyszczewskiego nie mógł oglądać. Jeszcze więcej nieuzasadnione jest twierdzenie tego uczonego, że pieśń „spisana jest w oryginalnej pisowni Górnickiego".

Rozpatrzmy argumenty Windakiewicza i Brücknera:

I) Kochanowski napisał w swojej elegii III 13 [7] tak:

> Laude sua neque Gornicium fraudavero: namque hic
> Orphaea fingit carmina digna lyra,
> Germanosque canit magno certamine victos,
> Commitens lyricis Martia bella modis.

Z tenoru tego ustępu wynika, że poeta czarnolaski wiedział o istnieniu jakiegoś utworu poetyckiego Górnickiego

---

[1] *Altpolnische Sprachdenkmäler*, s. 238.

[2] *Historia Literatury* I, 128, i wydanie nowe (Chmielowski-Kossowski), Lwów, 1931, s. 141—142.

[3] Miejsca, gdzie po raz pierwszy wyraził swą opinię Windakiewicz, odnaleźć nie mogłem (ani w Estreicherze, ani w bibliografii prac Windakiewicza).

[4] W pracy *Źródła do dziejów literatury i oświaty polskiej VI. Wiersze zbieranej drużyny. 4. Wierszyki Łuk. Górnickiego* (s. 422).

[5] Brückner, *Dzieje literatury pol.* I. Warszawa, 1903, 194; Windakiewicz, *Pieśni i dumy rycerskie XVI w. (Pamiętnik Literacki*, R. III, Lwów, 1904, s. 349—350).

[6] Bo do tej mniej więcej daty odnieść należy elegię Kochanowskiego, która wspomina o istniejącym utworze „grunwaldzkim" Ł. Górnickiego.

[7] J. Kochanowskiego *Dzieła wszystkie*, III (Wyd. pomnikowe. Warszawa, 1884), s. 131.

(może go i znał), który opiewał *magnum certamen* z Niemcami, a więc bitwę grunwaldzką. Niczego więcej z elegii Kochanowskiego o utworze Górnickiego wywnioskować nie można poza tym chyba, że był to utwór liryczny (pieśń) na temat epicki [1]. Jeśli idzie o pokrewieństwo naszej pieśni „o porażce pruskiej" z innymi poezjami Ł. Górnickiego (znanymi w minimalnej wprost ilości), to: 1) do *Trenu na śmierć żony* z 1587 r.[2] nie jest ona wcale podobną, gdyż *Tren* jest świadomym, bezceremonialnym naśladownictwem (z zapożyczeniami) *Trenów* Kochanowskiego, 2) jeśli zaś idzie o wierszyki erotyczno-frywolne Górnickiego, ogłoszone przez Brücknera [3], to chyba to jedno jest wspólne, że i pieśń, i te żarciki pisane są pospolitym średniowiecznym ośmiozgłoskowcem rymowanym, którym posługiwano się jeszcze w XVI w. powszechnie.

II) Sprawa ortografii Górnickiego w „tekście Rzyszczewskiego" pieśni grunwaldzkiej jest nie do utrzymania. Chyba przy jakimś najpobieżniejszym spojrzeniu na ten tekst może widzowi (nie czytelnikowi) przypomnieć się ortografia autora *Dworzanina*. Z Górnickim łączy pieśń grunwaldzką chyba to, że w „tekście Rzyszczewskiego" użyto wielokrotnie podwójnego *l* (*ll*) na oznaczenie głoski *ł* (rzekll, uchodziell, sthall itp.), oddając zresztą to samo *ł* równocześnie także przez *l* (bylo, laskę, wysadziel), a nawet przez *ł* i podwójne *łł* (radziełł); zresztą to podwójne *ll* pojawia się przeważnie tylko w zakończeniach czasownikowych. Poza tym — ani śladu ortografii Górnickiego.

Ortografia Górnickiego jest całkiem prosta, konsekwentna i precyzyjnie przeprowadzona. Kto zna tylko jego listy, których tyle wydrukowano, lub choćby próbki tych listów [4], ten wie, że u Górnickiego:

s = s, z = z, sz = ss, cz = cc, ż = zz, rz = r̦, ś = ŝ, ź = ẑ, ć = ć,

ń = n̂, dź = d̂, dz = d̦, ł = ll, j (na początku) = ĝ, itp.

Jest tu porządek uderzający na pierwszy rzut oka.

Natomiast w *Pieśni o pruskiej porażce* w tekście Rzyszczewskiego panuje w pisowni niezwykły chaos, z którego można wydobyć np. następujące fakty ortograficzne:

1. Znak *ß* służy na oddanie całego szeregu głosek, a więc: *s, z, ś, sz, ż*, np. ßwym, beß, ßię, odnoßi, wßak, ÿuß itd. Równocześnie atoli *s* oddaje się także przez *ſ* i *s* (apoſtolski, ſkładnoſcz, ÿesth); *ś* przez *sz* i *s* (szię, sprawiedliwosczi); *ż* przez *ſ, z, ź, ſh* (kaſdi, zel (= żył), zadneÿ, źÿie, ÿuſh;

---

[1] Podobną uwagę uczynił już W. Hahn w cennej pracy *Grunwald w poezji polskiej*, Lwów, 1910, s. 9, gdzie się tą pieśnią zajmuje.

[2] Wydanego przez Wł. Trębickiego, *Zbiór wiadomości o życiu i pismach Ł. Górnickiego...*, (*Biblioteka Warszawska*, 1843, III, s. 80—81).

[3] *Biblioteka Warszawska*, 1893, IV, s. 423. Dwa wierszyki: 1) Dobre me! ten twój mąż nowy... i 2) Ty się boisz nie wiem kogo...

[4] W. Taszycki, *Wybór tekstów staropolskich XVI—XVIII w.* Lwów 1928, s. 58—69.

sz przez *s*, *ſ*, *ſh* (nyeskodziell, Maſkowski, naſhe) itd. Natomiast *cz* oddane prawie stale przez *cz*, (czasem *czs*), *rz* przez *rz*, *ć* przez *cz*, *ź* przez *z*, *ń* przez ń; na oznaczenie *ł* jest stale znak *th*. Przez znak *ÿ* oddaje się zarówno *j* (stale), jak *i* (także przez samo *y*), jak wreszcie *y* (także przez *i*) itd. Choćbyśmy tu niejedno położyli na karb błędnego odpisu Rzyszczewskiego, to gdzież w tej mieszaninie można dopatrzeć się „oryginalnej" pisowni Górnickiego[1]. Różnice są w każdym wierszu widoczne!

Z powyższych uwag wynika zatem, że argument ortograficzny przy dowodzeniu autorstwa Górnickiego musi raz na zawsze odpaść.

„Tekst Rzyszczewskiego" jest stosunkowo późny, nie może istotnie pochodzić z 1510 r., gdyż zabytki 1-go i 2-go dziesiątka lat XVI w. nie rozróżniały np. nosówek *ą* i *ę*, lecz oznaczały je jednakowo[2]. Jest to może tekst spisany około połowy XVI w. — ale nie w pisowni Górnickiego.

Co do tekstu Ostroroga w rkp. Krasińskich, to data jego spisania jest nam znana: około 1616 r., a więc na początku XVII wieku. Pisownia — której tu rozpatrywać nie ma potrzeby — zgodna z powszechną ortografią tego czasu, nie przypomina w niczym pisowni tekstu Rzyszczewskiego. W ogóle oba teksty są od siebie niezawisłe; wykluczone jest (ze względu na różnice tekstowe, dodatkowe zwrotki itd.), aby któryś z nich mógł być odpisem drugiego.

Wysuwa się natomiast — abstrahując już od spraw pisowni — pytanie, który z tekstów: *R*(zyszczewski) czy *O*(strorogowy) przekazuje nam autentyczniejszą wersję pieśni grunwaldzkiej? W dalszym ciągu podajemy paralelne zestawienie obu tekstów (w pisowni zmodernizowanej, bez zacierania właściwości językowych), nie przeprowadzamy jednakże tak zawodnej często rekonstrukcji „tekstu oryginalnego". Tekst *O* jest bez wątpienia poprawniejszy od tekstu *R*, który ma cały szereg wierszy i zwrotek zepsutych przez objaśniające dodatki i niepotrzebne partykuły; rytmika wskutek tego kuleje, ośmiozgłoskowiec jest zniekształcony. Przytaczamy z tekstu *R* zepsute wiersze: wiersz 29, 31, 32 (w jednej zwrotce 8-mej), 78 (zwr. 20), 81, 83 (z. 21), 87, 101, 104, 123, 137, 141, 146, 151, 154 i 162. Natomiast w tekście *O* nie ma ani jednego wiersza zepsutego, tetrapodia trocheiczna — wedle określenia Nehringa — płynie w jednostajnym, dzielnym rytmie (naturalnie, mógł Ostroróg niejedno poprawić!). Ponadto tekst *O* zachował szereg wyrażeń dawniejszych, których tekst *R* nie ma, np. *O*: Abych nikomu nie szkodził, gdy w *R*: Abym itd. (zwr. 5); *O*: Ty

---

[1] Nosówki *ą* i *ę* są stale odróżniane. Czasem *ę* i *ą* oznaczane przez *en* i *an* (pendu, chczancz). *L* w odróżnieniu od *ł* prawie stale oznacza się przez *l̈* (lÿud, alÿe, polÿa) lub *li* (Poliacy, liud) itd.

[2] Uwaga łaskawa prof. W. Taszyckiego, któremu za przeglądnięcie tekstów i cenne spostrzeżenia serdecznie dziękuję.

wiesz zawżdy, *R*: Ty wiesz zawsze (zwr. 5); *O*: Wejźrzej Panie..., *R*: Wejrzyj, Panie... (zwr. 10); *O*: Kto ma prawo miedzy nami, *R*: Kto ma prawo między nami (zwr. 9) itd. (Ale sprawiedliwość każe zauważyć, że te różnice nie są konsekwentne. Np. w *R* jest kiedy indziej zawżdy [zwr. 48], a znowu *O* ma obok *abych* także *abym* [zwr. 8] itp.)

W zwrotce 2, w. 9 tekst *O* poprawia (ręką Ostroroga):

Nacz się Niemcy hardzie brali,

gdy w *R* jest bezsensowne:

Acz się Niemcy hardzie brali...

(na co zwracał uwagę już Nehring).

Tak samo zwrotka 22, w. 88, lepsza lekcja w *O*:

Że wnet na zad biegać mieli,

niż w *R*:

Że wnet nazaćz (!) biegać mieli.

Starszą wydaje się w *O* zwrotka 8, w. 31—32:

Z krwawych rąk ich racz je wyrwać,
Na pomoc z nieba zstąpić racz!

aniżeli to samo miejsce (zepsute) w *R*:

Ze krwawych je rąk wyrwać trzeba,
Na pomoc im zstąp z nieba!

[gdzie mamy 9+7 zgłosek].

Przytaczam i inne — moim zdaniem — autentyczniejsze wersje z *O*:

Zwr. 13. Bogu Rodzice śpiewali.
(*R*: Bogarodzica śpiewali).

Zwr. 15. A król skończywszy modlitwy.
(*R*: Król po skończeniu modlitwy).

Zwr. 22. Bo beł znak, że to wiedzieli.
(*R*: Bo to był znak albo wiedzieli).

Zwr. 30. By się mógł był las przełomić...
(*R*: By się beł miał las wszystek złomić...)

Zwr. 36. Sczęściło się naszym sporo...
(*R*: Poczęło się naszym sczęścić sporo...)

Zwr. 39. Bo zarazem wypadł z siodła...
(*R*: Bo wnet zaraz wypadł z siodła...)

Nie chcemy wdawać się w dalsze wyliczanie; czytelnik sam dostrzeże w zestawieniu różnice.

Klasycznym przykładem większej wiarogodności tekstu Ostrorogowego jest stosunek obu tekstów do zwrotek 37 i 42 W tekście *R* obie te zwrotki uległy jakiejś fałszywej kontaminacji, jakby krótkiemu spięciu; wprawdzie wzmianka o „szesnastu chorągwiach“ jest tu na pewno autentyczna, za to jednak wiersze 149—150 i 169—170 zbyt są do siebie podobne, w obu

zwrotkach powtarzają się wyrazy „z Krzyżowniki". Tekst *O* obie zwrotki wyraźnie odróżnia od siebie, daje oryginalne wiersze 165—166, nadto zgodniejszy jest z tekstem Długoszowym.

Nie wynika z tego, co dotąd powiedziano, aby na odwrót i tekst *R* nie posiadał niektórych miejsc o pewniejszej autentyczności niż tekst *O*.

Już sam początek pieśni

> We w t o r k ó w dzień apostolski...

jest starszy od wiersza 1 w *O*:

> We w t o r e k dzień apostolski.

Można by się sprzeczać, czy nie jest starsza również postać w zwrotce 5, w. 19—20.

> I wojna ta za mym żalem,
> Świadczę Tobą, Bogiem samym,

niż odpowiednie miejsce w tekście *O*.

Zwracano już uwagę[1] na zwr. 7, w której tekst *R* daje:

> Pokój choć z mym u l ż y w i e n i m,
> Niż wojnę z dobrym sumnienim,

która na pewno wygląda na autentyczniejszą od odpowiedniego tekstu w *O*:

> Pokój chociaż z u b l i ż e n i e m,
> Niż wojnę z dobrem sumnieniem.

Lepsza w *R* zwrotka 16, w. 61—62, niż analogiczne wiersze w *O*. Tak samo w zwr. 19, ww. 75—76 i w zwr. 21, ww. 81—82 (nie dostawa — dawa).

Ciekawa jest zwr. 32, której postać w *R*:

> Tak że się we krwi mieszali
> Zbroja, trupi, co spadali,
> Miecze, tarcze, kordy, łuki,
> Już mdłe konie, a drzew sztuki,

czyni wrażenie tekstu starszego, niż piękniej opracowana ta sama zwrotka u Ostroroga:

> Tak że się we krwi mieszali
> Zbroje, szable, szpady, strzały,
> Miecze, kordy, tarcze, łuki,
> Konie już mdłe, a z drzew sztuki.

(*Mieszali* nie poprawiono zapewne przez przeoczenie).

Większe zaufanie w tekście *R*, niż w *O*, budzą również pewne lekcje zwrotek 38 i 40, np.

> Tak iż go l e d w e strzymali,
> Ci. którzy mu w i a r ę d a l i,

lub

> Chciał Króla drzewem dojachać
> A Król go też nie chciał (za)niechać,

---

[1] Nehring, *Altpolnische Sprachdenkmäler*, j. w. s. 237. — Łoś Jan *Początki piśmiennictwa polskiego*, Lwów, 1922, s. 514.

jak wreszcie początek zwr. 41 (w. 165 w *R*, w. 161 w *O*), czy zwrotki 43 („O wa wszyscy...). W zwrotce 44 tekst *O* daje — jak sądzę — lepszy wiersz drugi („Co tam zostało bez płaczu"), gdy przeciwnie wiersz ostatni („A tak jako trzodę gnano") bardziej przekonywa w tekście *R*.

Stanowczo autentyczniejszą wersję mamy w *R*, gdy idzie o zwr. 45 (w. 181—2):

Mistrz z kuntory wszyscy zbici,
Miecze co przynieśli i ci,

niż w *O*:

Mistrz z Kantory zbici i ci,
Co przynieśli miecze i ci.

Oba teksty mają nadto po jednej zwrotce zupełnie odmiennej. Zwrotka ta w *R* (26a):

Pan Bóg długo zwykł folgować
Kogo chce wiecznie zepsować,
Aby cięższą znał odmianę,
Gdy nieszczęście zada ranę,

jest niewątpliwie dodatkiem późniejszym, silnie zawadzającym o modlitewną lutnię Kochanowskiego. Nie ma jej w *O*.

Dodatkowa zwrotka w *O* (43a):

Bito Niemce jako cielce,
A Niemkinie jako świnie,
A Niemczęta jako psięta,
Niejednemu głowa ścięta,

jest znowu amplifikacją zwrotki poprzedniej utrzymaną w tonie ludowym i niewątpliwie (choćby ze względu na swe rymy wewnętrzne, silne obniżenie nastroju) wychodziła poza ramy pieśni właściwej.

Jak widać z porównania obu tekstów pieśni grunwaldzkiej, zarówno tekst *O*, jak i tekst *R* mają swoje dobre strony każdy z nich przekazuje pewne wersje więcej autentyczne, niż drugi. Tekst Ostroroga posiada jednak nad swoim rywalem z *Biblioteki Warszawskiej* niewątpliwie pewną niezaprzeczoną wyższość.

Cóż wynika atoli z tych rozważań dla kwestii datowania i autorstwa *Pieśni?* Czy twierdzenie Windakiewicza i Brücknera o autorstwie Łukasza Górnickiego, a więc i o powstaniu *Pieśni* około 1570 r. (dlaczego nie w 1560, w 150-tą rocznicę Grunwaldu?) uważam za obalone? Wcale nie. Sądzę jednak, że apodyktyczna forma tej hipotezy była dotąd zupełnie nie na miejscu.

Fakt poświadczony przez Kochanowskiego, że Górnicki napisał jakiś wiersz o „wielgiem pobiciu", nie uprawnia jeszcze do przysądzania mu akuratnie tej pieśni. Wszakże Grunwald był tematem wdzięcznym, popularnym od samego 1410 roku. Czyż Górnicki nie mógł napisać jeszcze jednego, innego wiersza o Grunwaldzie? Są świadectwa, że był płodnym poetą, zwła-

szcza okolicznościowym, a przecie ile jego wierszy zaginęło dotąd bez śladu? Czyż Ostroróg, żyjący współcześnie z Górnickim (zmarłym dopiero 1603 r.), nazwałby jego utwór (widocznie szerzej znany): „Staroświecką pieśnią o bitwie pruskiej“? I czy wydawałby go jako pewnego rodzaju starożytność narodową[1]? Czy nadto utwór Górnickiego doznałby w ciągu jakich 40 lat od swego powstania aż tylu odmian, ile ich wykazuje korelacja dwóch znanych dzisiaj tekstów? I aby rzucić jeszcze inne, zupełnie naturalne pytanie: Czy data 1510 r. („Roku 1510 napisana“), umieszczona na rękopisie, z którego korzystał Rzyszczewski, nie ma w sobie wagi świadectwa zasługującego na pewien respekt?

Język tej pieśni nie jest na pewno językiem średniowiecznym, starym; jest nawet — jak mi to dosadnie określił prof. Taszycki — „zupełnie wyprany z cech charakterystycznych dla średniowiecza“. Ale czyż utwór nie mógł być napisany w 1510 roku? Właśnie w związku z stuleciem Grunwaldu i zjazdem poznańskim? Czy nie mógł go napisać np. Stanisław Kleryka, kapelan Zygmunta I, znany w owym czasie poeta?[2] Albo któryś z poetów, znajdujących się w otoczeniu takiego Erazma Ciołka lub innego z polityków ówczesnych zajmujących się przez całe życie sprawami polsko-krzyżackimi? Czy ostatnia zwrotka *Pieśni:*

> Tak ci Pan Bóg pychę traci,
> A pokorę hojnie płaci.
> Sprawiedliwość w bitwie może,
> Daj tak wygrać zawżdy Boże!

zwłaszcza ten ostatni wiersz-prośba, nie mają pewnego znamienia aktualności, jakby wypowiadane były w trakcie jakiegoś nowego sporu z Krzyżakami — lub może nawet w okresie wojny z nimi (1519—1521)?

Nehring pisał o tej pieśni: „Es ist nach aller Wahrscheinlichkeit in dem genannten Jahre 1510, bei dem hundertjährigen Jubiläum, entstanden... Die Sprache des Gedichtes weist auf das XVI Jahrhundert“[3]. I z tego stanowiska, mimo argumentów Brücknera i Windakiewicza, nie ustąpił[4]. Prof. Łoś, pod wpływem argumentacji Windakiewicza (o złym odczytaniu daty przez Rzyszczewskiego), w analizę językową już się wdawał[5].

Autor niniejszego artykułu nie jest językoznawcą. Nasuwa mu się myśl, że *Pieśń o pruskiej porażce*, napisana w for-

---

[1] Zwracam uwagę na ciekawy fakt, że Górnicki ożeniony był z Barbarą Broniowską z Biezdziedzy, a znowu z Jadwigą Broniowską z Biezdziedzy żonaty był od 1598 r. znany poeta Piotr Ciekliński, bliski przyjaciel Ostroroga. Były to jeśli nie siostry, to bliskie krewniaczki. Czy Ostroróg nie mógł znać Górnickiego, a na każdy sposób wiele o nim wiedzieć?

[2] Zresztą wuj Łukasza Górnickiego.

[3] *Altpolnische Sprachdenkmäler*, j. w., s. 237—238.

[4] *Kwartalnik Historyczny* 1894, s. 672.

[5] *Początki piśmiennictwa polskiego*, s. 513—514.

mie wierszowej typowo średniowiecznej, mająca cały szereg wyrazów i wyrażeń starożytnych, mogła jednak powstać w 1510 r., a później ulegać stopniowo — znanym losem tylu pieśni — coraz to innym zmianom i modernizacjom, dzisiaj trudnym nawet do skonstatowania. Może jest w błędzie. Niechaj fachowcy — w świetle dokonanych tutaj sprostowań i opublikowania obu tekstów — wydadzą kiedyś wyrok ostateczny.

Pozostaje jeszcze kilka uwag o źródłach naszej pieśni grunwaldzkiej, oraz jej charakterystyka jako utworu literackiego. Już poprzedni badacze (Nehring, Windakiewicz, Brückner, Łoś) zajmowali się stosunkiem tej pieśni do historyków naszych. Czy była układana na podstawie Długosza czy Kromera, czy obu równocześnie?

Otóż stwierdzić należy raz jeszcze z całą stanowczością, że głównym i niemal jedynym źródłem był tutaj Długoszowy opis bitwy grunwaldzkiej. Nie tylko cały zasób rzeczowy jest wzięty z Długosza, ale zapożyczenia idą dalej; dotyczą ducha i myśli przewodniej naszej pieśni, sięgają w sferę szczegółów stylistycznych i charakterystycznej frazeologii. Autor pieśni nie przepisuje jednak opowiadania Długoszowego bez wyboru, przelewając go jedynie w formę wierszowaną; przeciwnie, komponuje wcale samodzielnie na podstawie Długosza.

Początek *Pieśni:*

We wtorków dzień apostolski...

i cała 1 zwrotka stanowią tu pewien wyjątek. Wprawdzie i u Długosza tak samo zaczyna się opowiadanie o dniu samej bitwy, jednakże (jak zauważył Nehring) silniejsza jest analogia z początkiem łacińskiej pieśni *De magna strage alias o welgem pobiczu* z rękopisu Kazań Mikołaja z Błonia z XV wieku:[1]

Anno milleno quadringentesimo deno
Sub mensis julii die quinta decima quadam
infra missarum solemnia modo parata,
divisionis que lux erat apostolorum,
ecce! presumptuosa, pomposa turba virorum
cruciferorum, permulta nam Prutenorum
progreditur armis, spem totam ponit in illis
spreto deo celi...

Zaraz jednak potem zaczyna się komponowanie z Długosza. Autor *Pieśni* wybiera z *Historii* kilka momentów najbardziej interesujących i efektownych, i z nich jako z głównego budulca kolejno składa swój utwór. Nie liczy się przy

[1] *Scriptores Rerum Prussicarum* (ed. Hirsch-Töppen-Strehlke), III, Leipzig, 1866, s. 441. — Ostatnio przedrukował tę pieśń łacińską i dał szereg koniektur do niej prof. Jan Oko w rozprawie *Nieznanego autora pieśń o bitwie pod Grunwaldem* (*Ateneum Wileńskie*, VII, z. 3—4, Wilno, 1931, i osob. odb.).

tym — iście po poetycku — z datami historycznymi. Wszakże taki pierwszy moment (I), rozwinięcia chorągwi przez Jagiełłę i jego przemówienia do wojsk (raczej wzywania Boga na świadectwo i modlitwy; zwrotki 2—11) wraz z następującym po tym szlochem rycerstwa, przemowami Witolda i innych, i odśpiewaniem *Bogurodzicy* (zwr. 12 i 13) — nie miał, wedle Długosza, miejsca pod Grunwaldem (15 lipca, w dniu bitwy), ale na długo przedtem, wkrótce po wkroczeniu w kraj nieprzyjacielski (9 lipca 1410)[1]. Autor przeniósł go jednak na dzień wielkiej bitwy i uczynił jakby prologiem swego dramatu, o charakterze ekspozycji-uzasadnienia (przede wszystkim moralnego). Z Długosza czerpał tutaj pełną dłonią, szedł jego ścieżką; całe poszczególne wyrażenia wcielał, tłumacząc na polski, w swój tekst; rozszerzał je atoli wyjaśniająco, starając się uwydatnić głęboką chrześcijańskość króla i wzruszyć czytelnika.

W ścisłym związku z Długoszem następuje w poszczególnych zwrotkach (14—18) przedstawienie dalszych wypadków: zawiadomienie króla podczas słuchania mszy św. o zbliżaniu się nieprzyjaciół — król mimo wezwań nie przerywa nabożeństwa — Witold i Maszkowski sprawiają hufce — król dosiada konia — podział wojsk na prawe i lewe skrzydło — liczba wojsk — odesłanie ludzi niezdatnych i ciurów do obozu — trąby się odzywają. Autor *Pieśni* jest w opowiadaniu przebiegu tych faktów niezwykle zwięzły; to, co u Długosza zajmuje szereg ustępów[2], tutaj zostało zamknięte w 18 wierszach. Gdy np. Długosz podaje szczegółowe wyliczenie (z opisem) 50 chorągwi (oddziałów) polskich i czyni obszerniejszą wzmiankę o 40 litewskich, to pieśń ujmuje to w 2 wierszach:

> Dziewięćdziesiąt wszystkich mieli
> Chorągiew, które widzieli.

Natomiast szuka autor drugiego momentu interesującego i znajduje go w znanym przyjęciu posłów krzyżackich z mieczami (II). Poświęca mu zwrotki 19—26, podając zarówno przemowę posłów, jak i dość długą odpowiedź królewską. (W ogóle przecież wybiera z Długosza miejsca o charakterze retorycznym i dramatycznym zarazem, w których jest monolog albo dialog, w których odbywa się starcie nie tylko między ludźmi, ale i między ideami). W treści nie wychodzi i tutaj poza swoje źródło[3]; może nieco silniej podkreśla butę krzyżacką („Wnet poznasz co niemiecka moc“). Nawet proroczy charakter przemówienia Jagiełły („I dał im odpowiedź... która za proroctwo stała“) ma odpowiednik w Długoszu (responsio-

---

[1] J. Długossii *Historiae Polonicae libri XII* (ed. Przeździecki), T. IV, s. 21—22.

[2] Długosz, *ibid.*, IV, s. 36—50.

[3] U Długosza, IV, s. 49—52.

nem suam nulla deliberatione mira tamen et quasi superna humilitate... fretus... facit)[1]. Dobrze uwydatniono w *Pieśni* również ów moment z Długosza, gdy z zakończeniem mowy heroldów nagle wojsko krzyżackie się cofa jakby na znak umówiony:

> Wtym się ich wojsko cofnęło,
> Nasze się dobro poczęło.
> Bo beł znak, że to wiedzieli,
> Że wnet na zad biegać mieli[2].

Potem znowu kolejno wszystko za Długoszem, w zwięzłych zwrotkach, z drobnymi tylko przestawieniami: król staje z dala od walki, pilnowany przez wierną straż (Długosz, s. 52), daje znak do bitwy (s. 51), początek bitwy, uderzenie z dział krzyżackich (s. 53), sam okrutny zgiełk i zamieszanie bitewne (s. 53—54), przez godzinę walka nierozstrzygnięta (Dł. s. 54) itd. Jak dalece autor *Pieśni* szedł za opowieścią Długosza, dowodzi zestawienie zwrotek 30—32 *Pieśni* z takim oto miejscem *Kroniki*

„Tantus autem fragor et sonitus, aciebus congressis, quasi moles quaedam immensa ruinata foret ex fractione lancearum et collisione armorum tam sonorus a gladiis crepitus editus est, ut etiam his, qui aliquot milliaria distabant, prope audiretur. Pes insuper pede pressus et armis quatiebantur arma, mucronesque in ora dirigebantur; ...hastis denique confractis, cohaerebant utrinque acies et arma armis, ut nonnisi mucronibus et securibus longius ligno extensis ingentem sonitum, qualem in fabricis mallei incudibus efficiunt, pugnando ederent, equisque pressi dimicarent...[3]

Długosz przyrównywa tę okropną młóckę bitewną z grzmotami młotów w fabrykach lub z waleniem się jakiegoś kolosu; autor *Pieśni* wybrał porównanie z walącym się lasem całym („jakby się był las wszystek złomił“, *R*).

Spośród epizodów bitewnej rozprawy, przedstawionych przez Długosza, wybrała sobie *Pieśń o porażce pruskiej* niektóre. Pominęła zupełnie zamierzoną zdradę Czechów i Morawian pod dowództwem Sarnowskiego i nawrócenie ich przez podkanclerzego Mikołaja (Trąbę)[4]; po jednej zwrotce poświęciła uderzeniu Krzyżaków na Litwę oraz przygodzie z wielką chorągwią króla, dzierżoną przez Marcina Wrocimowskiego (idąc i tu ściśle za Długoszem)[5]. Dopiero sprawa uderzenia Dypolda von Kikerzyc na króla i ocalenie tegoż przez Oleśnickiego wydała się naszemu poecie trzecim z rzędu (III) momentem

---

[1] Długosz, *loc. cit.*, IV, 50—51.

[2] Długosz, s. 50. „In ipso autem legationis Aroldorum puncto (tj., gdy herold mówił o zrobieniu miejsca królowi) Cruciferorum exercitus denuntiationem suam, per Aroldos factam, testatus, retrocessionem ad spatium haud exiguum notatus est fecisse itd.“.

[3] Długosz, IV, 53—54: „Congressus et pugna atrocissima inter Polonos et Cruciferos“.

[4] Długosz, IV, 55—56.

[5] Tamże, s. 54—55, ustęp: „Lithuani terga vertentes in Lithuaniam usque aufugiunt“ i s. 56—57: „Signum vi hostium collapsum restituitur a Polonis“.

interesującym, godnym szczegółowszego uwzględnienia. Długosz rozwiódł się nad tym szerzej[1], głównie ze względu na chwałę swego protektora i wychowawcy, Oleśnickiego. W *Pieśni*, podobnie jak u Długosza, łączy się ten epizod z wystąpieniem do walki szesnastu nowych chorągwi krzyżackich[2] (liczbę tę wymienia tekst *R*); chorągwie te nazwane są w *Pieśni* „chełmieńskimi“ (nie wziął tego autor z Długosza!). Z nich wybiega rycerz krzyżacki na pojedynek z królem. Pojedynkowi temu i krwawej interwencji Oleśnickiego poświęciła pieśń 4 zwrotki (38—41), nie odbiegające w niczym od swego historycznego źródła.

Dokonanie bitwy, przedstawienie strat Krzyżaków oraz jeńców i zdobyczy polskich — powtórzone za Długoszem, sumarycznie, bez tak licznych u niego szczegółów, a nawet scen[3]. Pokonanie szesnastu chorągwi, śmierć W. Mistrza, pogrom w obozie ujęła *Pieśń* w 2 zwrotki (42—43). Liczby poległych i jeńców wzięte z *Kroniki*: „Hostium eo proelio quinquaginta milia occisa, capta quadraginta“[4]. Na samodzielną wygląda wzmianka, że zostali zbici „i ci, co przynieśli miecze“; możliwe jednak, że autor, wskutek niezrozumienia tekstu Długoszowego, i tę wzmiankę jakby z niego zaczerpnął. Długosz opowiada bowiem o śmierci pysznego komtura tucholskiego, Henryka, który „deferri ante se mandando duos gladios a superbia sua revocari... nequiquam potuit“, a potem „temeritatis et superbiae suae funestas quidem, sed meritas poenas dedit“ (s. 61).

Inne szczegóły (zwr. 46), jak o wzięciu dział, obozowych bogactw, o wozach naładowanych łańcuchami na Polaków, które znaleziono — wszystko to dyktat Długoszowy[5].

Na koniec epilog, wydźwięk tryumfalny i wyciągnięcie morału równocześnie.

Tryumfalnie brzmi zwrotka 47:

> Po tej bitwie stał się koniec,
> Wtym do Polski posłan goniec,
> Iż Król wygrał a mistrz stracieł,
> I gardłem tego przypłacieł.

Morał wydobywa ostatnia zwrotka, 48:

> Tak ci Pan Bóg hardość traci
> A pokorę hojnie płaci,
> Sprawiedliwość w bitwie może...

Ale i w tym zakończeniu natchnienie mogło wyjść od Długosza:

---

[1] Długosz, *ibid.*, s. 57—59.

[2] Długosz: „Sedecim interim hostium cohortes sub totidem signis, novae integrae et nondum belli fortunam expertae in praelium succedebant....“ (s. 57).

[3] Długosz, *ibid.*, s. 59—65.

[4] Tamże, s. 62: „Fugientium hostium per Polonos persecutio et captivorum, occisorumque numerus“.

[5] Tamże, s. 60—61.

„Erat autem cunctis in commune laetitia immensa, quod ingenti et multis memorando saeculis de superbo et potenti hoste relato triumpho patriam ab inclementi et iniusta Cruciferorum occupatione et invasione, se ipsos vero ab imminenti necis aut captivitatis periculo in brachio Dei excelso vindicarant... (s. 64).

...ex quibus specialem nuntium, cubicuiarium suum Nicolaum Morawiec de domo Powała... in Regnum Poloniae cum litteris transmittit... (s. 71).

Wreszcie z przemowy Jagiełły nad zwłokami W. Mistrza:

Hiccine — inquit — o milites mei! quam foedum est superbire in Deum. Is enim, qui hesterno die plures regiones et regna suo destinabat imperio, qui parem suae potentiae non aestimabat se reperturum, iacet omni destitutus suorum auxilio, miserrime trucidatus, quantum superbia humilitate inferior sit, ostendens.

Jedno tylko — w tym wiernym postępowaniu za Długoszem — różni naszego nieznanego poetę od wielkiego historyka Jagiellonów. Długosz do końca utrzymał się w stosunku do krzyżackiego wroga na linii patetycznego dystansu: spokoju i moralnej przewagi. Piewca *pruskiej porażki* nie powstrzymał się od grubszych wyrażeń, dających satysfakcję nienawiści:

Jak bydło Polacy bili...
A tak jako trzodę gnano...

W ślad tego poszedł późniejszy uzupełniacz, autor zwrotki *O* 43a:

Bito Niemce jako cielce itd.

Oparła się więc nasza pieśń grunwaldzka w takim stopniu o tekst Długoszowy, że właściwie nie ma już w niej miejsca na inne źródła. Mimo tej wielkiej zależności, autor jej okazał jednak — jak wspomniano — pewną samodzielność w kompozycji. Uwagę czytelnika czy słuchacza skupił na trzech scenach interesujących o charakterze dramatycznym (przemowa króla z chorągwią w ręku; odebranie mieczów; ocalenie króla); ustępy narracyjne potrafił skondensować i uprościć, nadając im przy tym dużo ruchu (bitwa), zmienności (przez takie partykuły, jak: wtym, a wtym, w ten czas, owa). Wrażenia słuchowe, zestawienia onomatopeiczne odgrywają również niemałą rolę w tej pieśni (zwr. 30—32).

Niektórym ustępom nie brak pewnej swoistej siły; innym pewnej malowniczości. Windakiewicz zauważył, że „w kilku ustępach widać pochwycenie energicznego tempa nadającego się wybornie do pieśni wojskowej". Nie można także pominąć trafnego tonu elegijnego w przedstawieniu klęski tak potężnych przed chwilą Krzyżaków:

Pięćdziesiąt tysiąc na placu
Co tam zostało bez płaczu,
A czterdzieści poimano...
Mistrz z Kantory wszyscy zbici...
Obóz, działa wszystkie wzięto...
Po tej bitwie stał się koniec...

Wreszcie — co już zaznaczono przedtem — ciekawe jest owo mistyczne tchnienie utworu (walka pokory z pychą), natchnione wprawdzie przez Długosza (może i przez dawniejsze utwory grunwaldzkie), ale utrzymane w *Pieśni* konsekwentnie.

Brückner nazwał naszą pieśń „balladą“ [1]. Jest to istotnie, tak w formie, jak w treści, jakby średniowieczna ballada rycerska, której bohaterem ziemskim jest pobożny i pokorny król-rycerz Jagiełło. Może więc i śpiewano *Pieśń staroświecką o bitwie pruskiej* po pańskich i szlacheckich dworach... [2]

DEDICATORIA IN ICONES PUGNAE GRUNEVALDENSIS

Sigismundo Tertio Dei gratia Poloniae ac Suetiae Regi Serenissimo ac Potentissimo—Joannes Comes ab Ostrorog Palatinus Posnaniensis a Deo felicitatem, a se humilem subiectionem et constantem fidem.

Regnum hoc Poloniae, cui, Sigismunde Rex Serenissime ac Potentissime, per annos triginta divina voluntate felicissime imperas, ab eo tempore, quo maiores nostri non tantum armorum ab omni antiquitatis memoria, sed postea et politioris vivendi rationis usum in familiaritatem accersere, ac non modo gerere res, sed et describere tandem coeperunt, — post antiquos illos Lechos et Lescos eorumque posteros, ex duabus familiis Reges hucusque habuit. Piastus primae progenitor fuit, Vladislaus Jagello, abavus Maiestatis Tuae, alterius. Neque enim, licet liberum Reges eligendi facultatem gens nostra habet, ullo umquam tempore defunctorum regum suorum posteros ab imperio exclusit. Ita ut Piasti progenie deficiente Hedvigi, feminae virgini, quae sola residua erat, Regno delato Vladislaum Jagellonem, Magnum Lithuaniae Ducem, in societatem tori et Regni illius asscisceret. Et illa quidem steriliter decessit, Vladislaus autem illi superstes et Regnum retinuit et iterato matrimonio aliquot Reges, alium post alium imperantes, ex posteris suis ad nostra usque tempora habuit. Desierat masculinus sexus in D. Sigismundo Augusto Jagellonum ultimo, itaque D. Annae Jagelloniae, sorori illius, Maiestatis Tuae materterae, sanctissimae feminae virgini, tum regnum delatum, in eiusque et coniugii societatem Henricus Valesius, qui postea Galliarum Rex fuit, ascitus et evocatus. Sed Dei voluntate et matrimonio non consummato et Regno per discessum eius vacuo facto, postea Stephanus Bathoreus, Transilvaniae princeps, ut Regni sic matrimonii istius, voluntate et libera ordinum electione, successionem obtinuit. Sed et hoc steriliter defuncto, ad Maiestatem Tuam, ex altera videlicet Catherina Jagellonia, Regis Sigismundi Augusti et Annae Reginae germana sorore, Suetiae, Gotorum et Vandalorum Regina, progenitum, Regnum detu-

---

[1] *Biblioteka Warszawska*. 1893, IV, s. 422.
[2] Na tę ludowość kładzie również nacisk W. Hahn, *loc. cit.*, s. 11.

limus, religione quadam et dulci Jagellonum, Maiestatis Tuae maiorum, recordatione inducti.

Ex quorum maximis rebus gestis, cum visum esset unam illam gloriosam pugnam, quam Vladislaus Jagello cum ingenti armis virisque instructo, belligerendi ac pugnandi peritissimo Crucigerorum exercitu ad Grunewaldum depugnavit, i c o n e e x p r e s s a m orbi terrarum spectandam exponere, uti quidem Maiestati Tuae prius privatim videndam et sub trutinam, quasi ad amussim historiae probatissimae, censendam dedi, sic nunc in publicum prodeuntem do dicoque. Regna diu et feliciter, victoriosi Jagellonis propago, Rex victoriose, videasque filios filiorum tuorum et pacem super Israel.

INSCRIPTIONES TRIUM TABULARUM

IN PRIMAM TABULAM

In Deum pietatem et fiduciam magni Regis Vladislai, christiane spectator, magis tibi quam exercitus potentiam et ex arte militari ordinatas acies spectandas damus. Qui nullo motus in mora periculo, nullis summorum virorum ad accelerandum admonitionibus sacro non finito avelli se passus est.

IN SECUNDAM TABULAM

Spectasti in Deum pietatem et fiduciam, specta nunc magni Regis maximam et vere christianam humilitatem, dum superbam hostium denuntiationem aequo animo sine ulla affectuum commotione, in Deum omnia reiciens, suscipit.

IN TERTIAM TABULAM

Virtutes perpendisti — vide praemia. Non solum invisibilem ei Deus opem praestat, sed D. Stanislaum, Poloniae Patronum visibiliter utrique exercitui apparentem, mittit ac per eum pio Regi miraculosam victoriam tribuit.

TEKST *R*.

PIEŚŃ O PRUSKIEJ PORAŻCE, KTÓRA SIĘ STAŁA ZA KRÓLA JAGIEŁŁA WŁADYSŁAWA. ROKU 1510 NAPISANA.

I

We wtorków[1] dzień apostolski
Rzekł marszałek: „Królu polski,
Wielki tu jest lud nad nami,
4 Trzeba by był Pan Bóg z nami!“

[1] U Rzyszczewskiego *o* pochylone n i e jest kreskowane; w niniejszym przedruku wszędzie je kreskuję.

II

Król widząc, iż blisko beło,
Aby się to dokończyło,
Acz się Niemcy hardzie brali,
8 Niż polskiej mocy doznali,

III

Chorągiew wnet kazał podać,
Chcąc swym serca więcej dodać,
A iż ją podnosi sprawnie,
12 Tymi słowy dał znać jawnie:

IV

„Boże mój, Ty wiesz bez chyby,
Co pomyśli człowiek żywy,
Przed Tobą się nikt nie skryje,
16 Kto źle albo dobrze żyje.

V

Ty wiesz, zawsze żem uchodzieł,
Abym nikomu nie szkodzieł,
I wojna ta za mym żalem,
20 Świadczę Tobą, Bogiem samym.

VI

Ale iż je pych unosi,
A ma składność wstyd odnosi,
W Twą nadzieję wojnę wznoszę,
24 A za krzywdy pomstej proszę.

VII

Ty wiesz, Panie, moję radę,
Żem wolał pokój niż zwadę,
Pokój choć z mym ulżywienim,
28 Niż wojnę z dobrym sumnienim.

VIII

Ale iżeś mię na to wysadzieł,
Abym o Twym ludu radzieł,
Ze krwawych je rąk wyrwać trzeba,
32 Na pomoc im zstąp z nieba.

IX

Chorągiew tę już rozciągam,
W łaskę Twą z wojskiem dociągam.
Kto ma prawo między nami,
36 Pomóż mu swymi rękami.

X

Wejrzyj, Panie, na krew onę,
Która polała tę stronę,
Ta woła sprawiedliwości,
40 A już nie krew, ale kości.

XI

Iż ci, którzy tu polęgną,
Płaczem swym Ciebie dosięgną,
Prosząc, by nie żeł godziny,
44 Kto tej wojnie dał przyczynę".

XII

Słysząc te królewskie słowa,
Zapłakała każda głowa.
Wituł(t) takąż rzecz uczynił,
48 Kto początkiem, tego winieł.

XIII

Potym płaczu zaniechali,
„Bogarodzica" spiewali,
Tusząc jutro każdy sobie
52 Wesołym być o tej dobie.

XIV

Potym do Króla przysłano,
O bliskim wojsku znać dano,
A Król się modlitwą bawił,
56 Nic nie czynił, aż to sprawił.

XV

Witult a Maszkowski dbali,
By w ten czas lud szykowali.
Król po skończeniu modlitwy,
60 Na swym koniu czekał bitwy.

XVI

Polski lud wziął lewą stroną,
Litewski prawej obroną,
Dziewięćdziesiąt wszystkich mieli
64 Chorągiew, które widzieli.

XVII

Na czele lud co wybrańszy,
A co dali to są tańszy;
Ku bitwie lud nieprzystojny
68 Król w obóz odesłał z wojny.

XVIII

A gdy poczęto trąb słuchać,
Już każdy jął swego szukać.
Wtym dwa posłowie przysłani
72 Byli od króla słuchani:

XIX

„Mistrz pruski dał ci powiedzieć,
Iż mu to tak dano wiedzieć,
Iż ci serca nie dostawa,
76 Dlategoć dwa miecza dawa,

XX

Abyś i te miał na pomoc,
Wszak poznasz, co jest niemiecka moc,
A rozdziel się z nimi z bratem,
80 A potykać się każ zatym.

XXI

A jeźlić pola nie dostawa
Do szyku, otoć je dawa,
Abyś nie miał żadnej obmowej
84 Oto już masz plac gotowy".

XXII

Wtym się ich wojsko cofnęło,
Nasze się dobre poczęło,
Boć to był znak, albo wiedzieli,
88 Iż tam nazacz biegać mieli,

XXIII

Król przyjął miecze z pokorą,
I dał im odpowiedź skorą,
Która za proroctwo stała,
92 Bo się im pycha znać dała:

XXIV

„W mym wojsku acz dosyć broni,
Pozna ten, kogo mój zgoni,
A wszakże i za te dziękuję,
96 Wygrać sobie obiecuję.

XXV

Acz na przepych są posłane,
Ale jednak mnie są dane,
Bo się zwyciężonym czuje,
100 Kto komu broń ofiaruje.

XXVI

Zna Pan Bóg, żem ciągnął na zgodę,
I wami tego dowiodę.
Ale gdyście krwie niesyci,
104 Da Pan Bóg, że w niej będziecie zmyci.

XXVI a

Pan Bóg długo zwykł folgować,
Kogo chce wiecznie zepsować,
Aby cięższą znał odmianę,
108 Gdy nieszczęście zada ranę“.

XXVII

Potym Król swe napomniawszy,
Na prośby ich odjachawszy,
Bo Polacy zwyczaj mają,
112 Iż za pana gardła dają,

XXVIII

Rozkazał dać znak potkania.
A mało było czekania,
Bo poszli ochotnie k'sobie
116 Tak wybrane czoła obie.

XXIX

Niemcom przyszło bieżeć z góry
I szli by wyskoczyć z skóry,
A wtym z kilku dział strzelono,
120 Nikogo nie ugodzono.

XXX

Trzask, wrzask, krzyk, płacz był niemały
Uszy zdala to słyszały;
By się beł miał las wszystek złomić,
124 Nie mógłby ich tak ogromić.

XXXI

Zaczęła się bitwa sroga,
Krew, śmierć, dusza wnet nie droga,
A mąż się do męża kwapił,
128 Czym kto mógł swego połapił,

XXXII

Tak że się we krwi mieszali
Zbroja, trupi, co spadali,
Miecze, tarcze, kordy, łuki,
132 Już mdłe konie, a drzew sztuki.

XXXIII

Na godzinę nie znać było,
Gdzie się zwycięstwo chyliło,
Aż Niemcy wzieli tę radę,
136 Z prawym skrzydłem zacząć zwadę.

XXXIV

Po tym się na Litwę puścieli,
Na pomieszane trafili,
Ich pędu strzymać nie mogli,
140 Tak Pan Bóg chciał, iż je zmogli.

XXXV

W ten czas Wrocimowskiemu,
Chorążemu Krakowskiemu,
Chorągiew na dół strącona,
144 Ze krwią naszych jest wrócona.

XXXVI

Tam po tej przygodzie skoro
Poczęło się naszym sczeście sporo,
Bo się Niemcy pomieszali,
148 A Polacy docierali.

XXXVII

Chełmieńskie wojsko zostało,
Chorągiew szesnaście miało,
W tym mistrz z Krzyżowniki jął stronić,
152 Chcąc Polaków w sak nagonić.

XXXVIII

Król tam stał blisko w obronie,
Chciał bieżeć tam k'tej stronie,
Tak iż go ledwe strzymali,
156 Ci, którzy mu wiarę dali.

XXXIX

A wtym jakiś rycerz zbrojny,
Chciał skosztować z Królem wojny,
Ale mu się nie powiodła,
160 Bo wnet zaraz wypadł z siodła.

XL

Chciał Króla drzewem dojachać,
A Król go też nie chciał zaniechać,
Oleśnicki weń zawadził,
164 Bo go mężnie z konia zsadzieł.

XLI

Hełm mu dobyt, został goło,
A Król go ugodził w czoło,
Ci, co Króla pilni byli,
168 Tam go do końca dobieli.

XLII

Ostatnie wojsko zostało,
Ale i to za swe miało,
W którym był mistrz z Krzyżowniki,
172 Pomylono wszystkim szyki.

XLIII

Owa wszyscy tył podali,
Co pirwej hardzie kazali,
I w obozie się nie skryli,
176 Jak bydło Polacy bili.

XLIV

Pięćdziesiąt tysiąc na placu
Zostało ich nie bez płaczu,
A czterdzieści poimano,
180 A tak jako trzodę gnano.

XLV

Mistrz z kuntory wszyscy zbici,
Miecze co przynieśli i ci,
Pokora sama wygrała,
184 Bo u Boga miejsce miała.

XLVI

Obóz, działa wszystko wzięto,
Tak Niemcom pychę odjęto,
Łańcuchy, co zgotowali,
188 Tymi je naszy wiązali.

XLVII

Po tej bitwie stał się koniec,
Wtym do Polski posłan goniec,
Iż Król wygrał a mistrz stracieł
192 I gardłem tego przypłacieł.

XLVIII

Takci Pan Bóg hardość traci,
A pokorę hojnie płaci.
Sprawiedliwość w bitwie może,
196 Daj tak zawżdy wygrać, Boże.

TEKST *O.*

PIEŚŃ STAROŚWIECKA O BITWIE PRUSKIEJ

I

We wtorek, dzień apostolski
Rzekł marszałek: „Królu polski,
Gwałtowny lud jest przed nami,
4 Trzeba by był Pan Bóg z nami!"

II

Król widząc, iż blisko było,
Aby się to dokończyło,
Nacz się Niemcy hardzie brali,
8 Niż polskiej mocy doznali,

III

Chorągiew wnet kazał podać,
Chcąc swym więcej serca dodać,
A iż ją podnosi sprawnie,
12 Temi słowy dał znać jawnie:

IV

„Boże mój, Ty wiesz bez chyby,
Co pomyśli człowiek żywy,
Przed Tobą się nikt nie skryje,
16 Kto źle albo dobrze żyje.

V

Ty wiesz, zawżdy żem uchodził,
Abych nikomu nie szkodził,
I ta wojna z żalem mojem —
20 Świadczę Tobą, Bogiem swojem.

VI

Ale że się pycha wznosi,
A ma składność wstyd odnosi,
W Twą nadzieję wojnę wznoszę,
24 A za krzywdy pomsty proszę.

VII

Ty wiesz, Panie, moję radę,
Żem wolał pokój niż zwadę,
Pokój chociaż z ubliżeniem,
28 Niż wojnę z dobrem sumnieniem.

VIII

Lecz, żeś mię na to wysadził,
Abym o twem ludu radził,
Z krwawych rąk ich racz je wyrwać,
32 Na pomoc z nieba zstąpić racz!

IX

Chorągiew tę już rozciągam,
W imię Twe z wojskiem wyciągam.
Kto ma prawo miedzy nami,
36 Pomoż mu swemi rękami.

X

Wejźrzej, Panie, na krew onę,
Co polała Twoję stronę;
Ta woła sprawiedliwości,
40 A już nie krew, ale kości.

XI

I ci, którzy dziś polegną,
Płaczem swem Ciebie dosięgną.
Proszę, by nie żył godziny,
44 Kto by bitwie dał przyczyny."

XII

Słysząc te królewskie słowa,
Zapłakała każda głowa.
Witułt takąż rzecz uczynił,
48 Kto początkiem, tegoż winił.

XIII

Potym płaczu zaniechali,
Bogu Rodzicę śpiewali,
Tusząc jutro każdy sobie
52 Wesołym być o tej dobie.

XIV

Potym do Króla przysłano,
O bliskiem wojsku znać dano.
Król, iż się modlitwą bawił,
56 Nic nie czynił, aż to sprawił.

XV

Witułt a Maszkowski dbali,
By w ten czas lud zszykowali,
A Król, skończywszy modlitwy,
60 Na swem koniu czekał bitwy.

XVI

Polski lud wziął lewą stronę,
Litewski prawą obronę,
Dziewiędziesiąt wszystkich mieli
64 Chorągiew, które widzieli.

XVII

Na czele lud co wybrańszy,
A co dalej — to tam tańszy;
Lud ku bitwie nieprzystojny
68 Król w obóz odesłał z wojny.

XVIII

A gdy poczęto trąb słuchać,
Tam każdy jął swego szukać.
Wtym dwaj posłowie przysłani
72 Byli od Króla słuchani:

XIX

„Mistrz pruski dał ci powiedzieć,
Że mu to tak dano wiedzieć,
Iż ci serca nie dostaje;
76 Dlategoć dwa miecza daje,

XX

Abyś i te miał na pomoc,
Wnet poznasz, co niemiecka moc.
A rozdziel się niemi z bratem,
80 A potykać się każ zatem.

XXI

A jeślić pola nie staje
Do szyku, otoć je daje;
Byś nie miał żadnej wymowy,
84 Otoć daje plac gotowy“.

XXII

Wtym się ich wojsko cofnęło,
Nasze się dobro poczęło.
Bo beł znak, że to wiedzieli,
88 Że wnet na zad biegać mieli.

XXIII

Król przyjął miecze z pokorą,
A dał im odpowiedź skorą,
Która za proroctwo stała,
92 Bo się im pycha znać dała:

XXIV

„W mym wojsku jest dosyć broni,
Ten pozna, kogo mój zgoni;
Wszakże i za te dziękuję,
96 Wygrać sobie obiecuję.

XXV

Na przepych acz są posłane,
Ale jednak mnie są dane.
Zwyciężonym się ten czuje,
100 Kto komu broń ofiaruje.

XXVI

Zna Bóg, żem ciągnął na zgodę,
I wami tego dowiodę.
Ale żeście krwie niesyci,
104 Da Bóg, będziecie w niej zmyci".

XXVII

Potym Król swe napomniawszy,
Na prośbę ich odjachawszy,
Bo Polacy zwyczaj mają,
108 Iż za pana gardła dają,

XXVIII

Rozkazał dać znak potkania.
I mało było czekania,
Bo poszły ochotnie k'sobie
112 Tak wybrane czoła obie.

XXIX

Niemcom przyszło bieżać z góry
I szli by wyskoczyć z skóry.
Potym z boku z dział strzelono,
116 Nikogo nie ugodzono.

XXX

Trzask, wrzask, krzyk, płacz był niemały,
Uszy zdala to słyszały;
By się mógł był las przełomić,
120 Nie mógłby ich tak ogromić.

XXXI

Zaczęła się bitwa sroga,
Śmierć, krew, dusza tam niedroga.
A mąż się do męża kwapił,
124 Czym kto mógł swego załapił,

XXXII

Tak, że się we krwi mieszali
Zbroje, szable, szpady, strzały,
Miecze, kordy, tarcze, łuki,
128 Konie już mdłe, a z drzew sztuki.

XXXIII

Na godzinę nie znać było,
Gdzie się zwycięstwo cheliło.
Aż Niemcy wzięli tę radę
132 Z prawym skrzydłem zacząć zwadę.

XXXIV

I na Litwę się puścili,
Na pomieszane trafili.
Ci pędu strzymać nie mogli,
136 Pan Bóg tak chciał, że je zmogli.

XXXV

A wtenczas Wrocimowskiemu,
Chorążemu Krakowskiemu,
Chorągiew na dół zrzucona,
140 Ze krwią naszych zaś wzniesiona.

XXXVI

Tam po ty przygodzie skoro
Sczęściło się naszym sporo,
Bo się Niemcy spracowali,
144 A Polacy docierali.

XXXVII

Chełmieńskie wojsko zostało,
Ale i to za swe miało.
Wtem mistrz z Krzyżaki jął stroni(ć)
148 Chcąc Polaków w sak nagonić.

XXXVIII

Król stał tam blisko w obronie
I chciał bieżeć k'tej tam stronie,
Aż go ledwie utrzymali
152 Ci, którzy go pilnowali.

XXXIX

A wtym jakiś rycerz zbrojny
Chciał z Królem skosztować wojny,
Ale się mu nie powiodła,
156 Bo zarazem wypadł z siodła.

XL

Chciał Króla drzewem dojechać.
Król go też nie chciał zaniechać.
Oleśnicki weń zawadził,
160 Ten go mężnie z konia zsadził.

XLI

Hełm się odkrył, został goło,
Król go wtem ugodził w czoło.
Ci, co Króla pilni byli,
164 Ci go do końca dobili.

XLII

A wtym i huf wszystek starto,
Którem to było natarto,
W którym był mistrz z Krzyżowniki,
168 Pomylono wszystkiem szyki.

XLIII

A gdy wszyscy tył podali,
Co pierwej hardzie kazali,
I w obozie się nie skryli,
172 Jako psy Polacy bili.

XLIII a

Bito Niemce jako cielce,
A Niemkinie jako świnie,
A Niemczęta jako psięta,
176 Niejednemu głowa ścięta.

XLIV

Pięćdziesiąt tysiąc na placu,
Co tam zostało bez płaczu,
A czterdzieści poimano,
180 Jako bydło trzodą gnano.

XLV

Mistrz z Kantory zbici i ci,
Co przynieśli miecze i ci.
Pokora sama została,
184 Bo u Boga miejsce miała.

XLVI

Obóz, działa wszystkie wzięto,
Tak Niemcom pychę odjęto,
A łańcuchy zgotowane
188 Na ichże szyje wkładane.

XLVII

Po ty bitwie stał się koniec,
A do Polski posłan goniec,
Iż Król wygrał a mistrz stracił
192 I gardłem tego przypłacił.

XLVIII

Tak ci Pan Bóg pychę traci,
A pokorę hojnie płaci.
Sprawiedliwość w bitwie może,
196 Daj tak wygrać zawżdy, Boże!

Lwów *Stanisław Łempicki*

Z NIEZNANEJ LITERATURY LWOWSKIEJ
KS. KRZYSZTOF FRANCISZEK CHWALIBOGOWSKI [1]

Chwalibogowski Krzysztof Franciszek, w literaturze XVI i XVII w. stale Falibogowski (z wyjątkiem Paprockiego); Juszyński [2] nadaje mu imiona Krzysztof Wojciech. Koleje życia mało znane. Paprocki w *Herbach* (1584 r.) zapisuje pod herbem Nałęcz pochodzenie Chwalibogowskich z województwa sieradzkiego, „z których Krzysztof wieku mego poeta *non vulgaris*“. Tę wzmiankę Paprockiego należy zestawić z bezpośrednim wyznaniem Chwalibogowskiego zamkniętym w przedmowie do głównego jego dzieła: *Discurs*. Otóż tu opowiada Chwalibogowski, „jako było (nań) więzienie moskiewskie losem padło, jako więzień za wolą Bożą zabawiał się raczej czym przystojnym“ „na wiersz polski przełomiwszy, do druku podać miał wolę“.

Były to *Historie Kościelne abo ewangelie, które kościół powszechny katolicki na niedzielę, jako i na święta wybranych pańskich w roku obchodzić zwykł*. Utwór ten nie dochował się do naszych czasów. Nieznana jest też bliżej cytowana przez Juszyńskiego: *Kredencja nabożna Maryi Magdaleny* przypisana Marcinowi Kazanowskiemu. Dopiero pod zachód swojego życia (doczekał się późnej starości), kiedy został księdzem i rządcą farnej szkółki lwowskiej (Juszyński), rozwinął żywą działalność pisarską, której owocem zostały trzy publikacje.

Pierwsza, to — *Discurs marnotractwa i zbytku korony polskiej* w dwu wydaniach: z 1625 bez m. dr. i z r. 1626 w Jarosławiu. (Siarczyński i Święcki mówią jeszcze o wydaniu krakowskim z r. 1603). Rzecz dedykowana braciom Sieniawskim: Mikołajowi, podczaszemu i staroście rohatyńskiemu, oraz Prokopowi, chorążemu. Z listu dedykacyjnego wynika, że autor był klientem możnego rodu Sieniawskich, na których cześć wplótł do swego dzieła znamienny bardzo testament babki adresatów, Jadwigi z Tarłów, wojewodziny ruskiej, opiewanej

---

[1] Życiorys Chwalibogowskiego ogłosiłem w znacznym skrócie na łamach *Słownika biograficznego P. A. U.*

[2] *Dykcjonarz poetów polskich.* 1820, st. 80.

przez Mikołaja Sępa Szarzyńskiego, inspiratorki i fundatorki zachowanych do dziś dnia pomników Sieniawskich w kościele zamkowym w Brzeżanach.[1] Po wstępie poświęconym czytelnikowi łaskawemu rzecz właściwą rozpoczyna wierszowaną transkrypcją opowiadania biblijnego pt. *Marnotrainy syn.*

Sam *Discurs marnotractwa polskiego* ujęty jest w formę rozmowy między autorem a doktorem. Poruszane są tutaj najrozmaitsze tematy bez wyraźnej koncentracji myślowej, a więc z dziedziny krajoznawstwa (Tatry góry węgierskie, Śniegi na Tatrach od roku do roku leżą), medycyny (Puchlina w człeku do ratunku trudna, Białymgłowom na żołądek lekarstwo serwatka albo żęczyca ciepła), filozofii (Człek *animal rationale)*, stosunków politycznych (Strach moskiewski i tyraństwo ich, Iwan Tyran, car moskiewski, Wołga — rzeka moskiewska), z życia klasztorów (Marian Postękalski, Andrzej Radawiecki — bernardyni). Wywody swe zaczyna autor od stworzenia świata, bo „Adam i Ewa to pierwszy marnotratnicy“, kreśli jaskrawy konterfekt marnotractwa szczególniej żołnierskiego, uzasadnia, że „wielka jest *licentia* polska, marnotractwo wkorzenione w Polszcze, pijaństwo wiele ludzi traci w Polszcze“, ale też podaje statut cnoty. Powołuje się na liczne przykłady z historii i literatury starożytnej, cytuje Plutarcha, Cicerona, Senekę, Owidiusza, Salustiusza, Herodota, Pliniusza, św. Augustyna, a także autorów polskich: Górnickiego, Długosza, Kromera, Orzechowskiego, Kadłubka, Wapowskiego. Jest tu wiele, bardzo wiele surowego dydaktyzmu, ujmowanego ze strony teoretycznej (Ćwiczenie fundament każdej natury, z młodu różdżki, kiedy się zda, nachylisz),' albo praktyczno-życiowej (Direktorowie i młódź radzi się dostatkami psują, Akademia krakowska zacny klejnot korony polskiej, profesorów słaba condicia). Dużo charakterystyk współczesnych ludzi: Zborowskich (dom ich nazywa kuchnią chudopachołków), Mikołaja Nieczyckiego, kanonika Sokołowskiego, podczaszego Leśniewskiego, kanclerza koronnego Ocieskiego, pisarza ziemskiego Ożarowskiego, wojewody ruskiego Sieniawskiego. Gromy ciska, że „zamki pograniczne puste“, że „szkoły wittemberskie i augsburskie zarazą dusz chrześcijańskich“. Autor kończy swe wywody ustępem pt. *Incursia tatarska 1624 roku.*

Drugim z kolei utworem to *Samarytanka, która rozmawia z Zbawicielem Panem w studnie miasta Sychar. Rok 1627.* Po wierszowanej inskrypcji na cześć Matki Boskiej następuje tu również wierszowany list dedykacyjny, poświęcony Pannie Annie Kostczance z Timbarku, ksieni klasztoru jarosławskiego (niewątpliwie bardzo bliskiej krewnej Katarzyny Sieniawskiej). Tematem głównym publikacji — to rozmowa Samarytanki z Zbawicielem Panem u studni miasta Sychar.

---

[1] Skulski R., *Sieniawscy w literaturze.* (*Ziemia Czerwieńska*, 1937/II)

Gdy Pan do Samaryej czasu niektórego
Szedł do miasta, przezwiskiem Sychar nazwanego,
Tam był Majer Jakubów bliski miasta temu,
Który był Józefowi dał synowi swemu,
Do którego i studnia tamże należała,
A ta wodę kosztowną chłodną w sobie miała,
Tam Jezus u niej siadł spracowany chodem,
Jako się ludzie zwykli cieszyć z krynic chłodem.

Najwięcej zainteresowania budzić może samo zakończenie: *Do Conwentu zacnego Ich Mci Panien klasztora Jarosławskiego*, wypełnione po brzegi ciekawymi odsyłaczami do współczesnego życia obyczajowego, a szczególniej do spraw rodziny i małżeństwa. Mieści się tu poetycka pochwała życia klasztornego. Dawno minął wiek złoty,

Ale kiedy wejrzemy na dzisiejsze lata,
Nie wiem komu by miło chcieć zażywać świata.
Tu wojny tu i głody tu powietrze srogie,
Nie z przyczyny tak wielkiej rzeczy ceny drogie:
Stan wszelaki nie żyje jakoby żyć trzeba,
Owa wszystkich obroków ujęły nam nieba,
Ludzi skrzętnych łakomych świat namnożył wiele,
Któremu mało dufać, byś przysiągł w kościele.

Trzecim wreszcie utworem Chwalibogowskiego, to *Nowina lwowska, którą Sława prędkolotna rozgłasza o obwieszczeniu błogosławieństwa Mariej Magdaleny de Pacis Panny Zakonu karmelitańskiego Regularis Observantiae Florenckiej. Roku Pańskiego 1628.* Jako od „łabędzia umierającego piosnkę" ofiaruje autor rzecz swoją Eufrozynie Sieniawskiej, chorążynie koronnej, wdowie po Prokopie. Obszerny poemat związany jest z kultem Marii Magdaleny de Pacis, karmelitanki, i zawiera opis uroczystości, jakie odbyły się we Lwowie z zarządzoną przez Urbana VIII beatyfikacją świątobliwej zakonnicy. Było najpierw w sobotę wtórą października na świtaniu strzelanie

Na halickim przedmieściu, że okna padały
Jakby w szturm w pierwszym wejściu waliły się skały,
Gdy się błysk straszny wzbijał w pochmurne obłoki
A promień się obwijał o bieluchne boki
Nowej baszty z klasztorami blisko będącymi
Wieżej, kościołów z dworami z ścianami bielonymi.

List Ojca Świętego do Karmelitanów

We Lwowie w katedralnym był czytan w kościele,
Czytało go przy walnym nabożeństwie wiele,
Biskupi pokazali do Karmelitanów
I z sobą wprowadzali książąt zacnych panów
Na Halickie przedmieście, w ulicę Garcarską.
Wszyscy to w pamięć weźcie, zowcie ją Cesarską,
Iż Cesarzowa Niebieska to lubi,
Iż anielski chleb chowa, który grzechy gubi.

Następuje wierszowana *Nota soboty karmelitańskiej:* poetycki opis nabożeństwa od prymarii aż do mszy wielkiej i nieszpo-

rów z kazaniem, procesją, godzinkami, *Te Deum*, wreszcie opis karmelskiego ubogiego obiadu z rozmowami przy stole, przede wszystkim o sierotach.

Nowina lwowska Chwalibogowskiego w historii literatury naszej nie cieszyła się opinią dodatnią. Juszyński sądzi, że „dzieło to i w prozie nie warte czytania", według *Dykcjonarza biograficzno-powszechnego* (1851, t. I, 381) „autor okazuje, że pierwszych nawet początków rymowania nie zna i cierpliwości czytelników nadużywa". Jeśli na uboczu pozostawimy słusznie tu zakwestionowaną stronę artystyczną poematu, zauważymy w nim tak jak i w utworach poprzednich wiele ciekawego kolorytu regionalnego i obyczajowego. Na Chwalibogowskiego zwrócił uwagę prof. Aleksander Brückner w swoich *Dziejach kultury polskiej*.

Lwów *Ryszard Skulski*

„DOBRE PRZYPISY“ KRASICKIEGO

Nie było chyba wierniejszego realizatora wskazań *Pana Podstolego* nad samego Krasickiego, ale nikomu też zapewne nie przychodziło to łatwiej niż właśnie jemu, bo jak Bóg człowieka, tak on swego bohatera ukształtował na obraz i podobieństwo swoje. Dlatego nie jest rzeczą dziwną, że jak nikt chyba inny posłuchał zalecenia Pana Podstolego o zaopatrywaniu książek w „dobre przypisy“ i że takie książki dają się po nim odnaleźć.

„Kulturalnie i głęboko pojmowana bibliomania“ [1], będąc cechą Krasickiego jako zbieracza książek, nie zabijała w nim czytelnika, który w trwały sposób reagował na zawartość książki choć inny bibliofil nie mógłby mu darować uzupełniania druku dopiskami. Stąd zdanie *Pana Podstolego*, „żeby przynajmniej czytający uwagi swoje albo krytykę dzieła zapisywali znośniejsza by rzecz była i owszem, z dobrych przypisów nabierałaby księga szacunku“ [2], jest zdaniem osobistym autora trudno tylko na razie jest ustalić, jak realizowanym w praktyce. Bądź co bądź, dwa fakty, które się udało wykryć, stwierdzają, że tak było; stwierdzić, w jakiej mierze, jak często i w jakich wypadkach praktykował to Krasicki, można będzie dopiero po wielu latach pracy, gdy z zasobów Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie uda się wyłowić zrąb dochowany księgozbioru Krasickiego, który został „roztopiony później w potężnie rozrastającej się bibliotece“ [3]. Ponieważ książek tych jest parę tysięcy, nie jest wykluczone, że w Bibliotece Uniwersyteckiej znajdzie się niejedna jeszcze notatka czy zapiska ręką Księcia Biskupa zrobiona. Nie można tu, oczywiście zaręczać, że tak będzie na pewno, nie mniej jednak tę właśnie bibliotekę polecić należy baczniejszej uwadze badaczy twórczości Krasickiego, bo przechowując jego księgozbiór jest ona właściwie najbardziej predestynowana do tego, aby stać się

---

[1] Stefan Rygiel, *Losy księgozbioru Ignacego Krasickiego*. Lwów, 1922, s. 8.

[2] Cz. I, ks. I, rozdz. IX.

[3] Rygiel, s. 37.

warsztatem dla prac, na które pisarz tej miary co Krasicki tak długo czekać musi[1].

Oba teksty, znalezione na książkach po Krasickim, pochodzą nie z egzemplarzy magazynowych, ale z takich, które dziwną koleją losów dopłynęły do ... działu dubletów; nim jednak na pozorne dublety znalazł się reflektant, wróciły w pełnej chwale już nie do magazynu zasadniczego, ale do cimeliów. Z dwóch tych książek jedna — to *Psałterz Dawidów* przekładania Jana Kochanowskiego, druga — to *Świat we wszystkich swoich częściach większych i mniejszych, to jest w Europie, Azji, Afryce i Ameryce...* ks. Władysława Łubieńskiego.

Psałterz Dawidów, drukowany w Krakowie u Andrzeja Piotrkowczyka w r. 1641 i w systematyzacji Piekarskiego[2] stanowiący pozycję XXII 25, jest defektem. Brakuje mu początku i zaczyna się dopiero od s. 23. Oprawny w skórę; tekst Krasickiego zawiera na *verso* luźnej kartki z przedniej wyklejki; *recto* pozostaje nie zapisane. Wyklejka zrobiona jest z papieru marnego, bibulastego, w dodatku garbniki zawarte w podwiniętej pod nią skórze oprawy spowodowały zżółknięcie zewnętrznej krawędzi kartki, osłabienie jej mocy i w rezultacie częściowe wykruszenie dolnego zbutwiałego rogu, co naraziło na zniszczenie gęsto w tym miejscu ścieśniony tekst. Zaczęty od góry z dużym rozmachem, zamyślony był prawdopodobnie na uwagę krótszą, która rozrosła się dopiero w trakcie pisania i odbiegła właściwie na peryferie tematu zamierzonego. Duże odstępy międzywierszowe ku połowie strony zmniejszają się, maleją litery i im bliżej końca, tym większe widać staranie, ażeby wszystko zmieścić na tej właśnie stronie.

Przy identyfikowaniu niepodpisanego tekstu na wyklejce *Psałterza* powtórzyła się sytuacja analogiczna do tej, którą opisuje Aleksander Wejnert[3]: „Z rodzaju pisma biegłą i wyraźną ręką kreślonego, ze stylu zwięzłego, pisowni i postaci liter miałem pewność, iż osoba, bardzo wysoko wykształcona w końcu lub w połowie XVIII wieku była jego autorem". Porównanie rękopisu z innymi autografami wykazało, że „dobry przypis" wyszedł istotnie spod pióra Krasickiego, analizę natomiast grafologiczno-ortograficzną wspierają jeszcze dowody wynikające ze zbadania proweniencji książki. W Bibliotece Uniwersyteckiej egzemplarz nie nosił nigdy żadnej sygnatury

---

[1] Pewną pomocą w poszukiwaniu książek po Krasickim — poza tymi, które wskazuje Rygiel — stać się może katalog ekslibrysów i notatek proweniencyjnych, zaczęty w toku prac przy skontrum i zrealizowany jak dotąd tylko częściowo.

[2] Kazimierz Piekarski, *Bibliografia dzieł Jana Kochanowskiego*. Kraków, 1930.

[3] *Wiadomość o wynalezieniu najobszerniejszego dzieła Ignacego Krasickiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego*. Warszawa, 1876, s. 2.

nie był włączony do magazynu i jako defekt błąkał się po różnych zakamarkach bez przydziału i niedoceniony. Za czasów administracji rosyjskiej zamierzano z nim zrobić jakiś porządek, lecz ograniczono się jedynie do naklejenia nalepki sygnaturowej i na tym opracowanie biblioteczne się zakończyło. Są za to ślady prehistorii tego egzemplarza. Trudno określić, w jakim czasie został zdefektowany, w każdym bądź jednak razie przed Krasickim stanowił własność jakiejś znaczniejszej biblioteki, z przedniej bowiem okładki został wyskrobany ekslibrys[1]. Litery „L. V." ponad śladem ekslibrysu są dowodem przemawiającym na korzyść przynależności *Psałterza* do Krasickiego. Nie ma wprawdzie typowego „Kras"[2], którym bibliotekarze Liceum Warszawskiego znaczyli książki Krasickiego, ale zetknięcie się z fragmentami księgozbioru po nim uczy, że niekoniecznie wszystkie książki znak ten otrzymywały.

Dane proweniencyjne nie dają możności określenia czasu, kiedy przypis do *Psałterza* został nakreślony. Nie ma też innych szczegółów, które by pozwoliły datować go bodaj w przybliżeniu.

Tom pierwszy dzieła Łubieńskiego, „roku MDCCXL do druku Wrocławskiej w Śląsku Akademii Societatis Jesu dla ciekawego a nie próżnującego oka polskiego podany", jest w Bibliotece Uniwersyteckiej rarogiem, na którego z przerażeniem patrzeć będzie każdy, ktokolwiek miał w ręku *Świat we wszystkich swoich częściach*: skąd nagle wzięło się aż tyle tomów? Bo w bibliotece Krasickiego był „Łubieński sześciotomowy", żeby jakoś odrębnie nazwać ten gdzie indziej nie spotykany fenomen. Pomysł takiego przetworzenia wyszedł niewątpliwie od samego Krasickiego, który podzielił sobie dzieło Łubieńskiego na sześć części i każdą kazał oprawić z perfoliowaniem w uproszczoną oprawę kartonową, oklejoną papierem ciemnobrunatnym, czarno nakrapianym; każdy wolumen w dodatku opatrzył w nalepki grzbietowe, własną ręką pisane. Takich „tomów", według własnej Krasickiego nomenklatury, zachowało się pięć. W drugim mieści się drugi z tekstów, któremu również przysługiwać może miano „dobrego przypisu".

„Tom drugi"[3] Łubieńskiego jedyny z zachowanych nie posiada nalepki grzbietowej z określeniem zawartości, ponieważ przez nieuwagę uległa oddarciu i zaginęła. Tom ten po-

---

[1] Do przykładów, zgromadzonych przez Rygla, a stwierdzających, że do księgozbioru w Heilsbergu wędrowały książki takich posiadaczy, „którzy chyba nie sprzedawali, ani nie ofiarowywali swych bibliotek biskupow Krasickiemu", dorzucić można ciekawostkę o tyle ważną, że potrafił Książę Biskup nie oddawać nawet książek z Biblioteki Załuskich!

[2] Rygiel, s. 24.

[3] Tak głosi dopisek Krasickiego na s. 127 obok drukowanego tytułu „Hiszpania".

wstał z arkuszy od s. 127 do 284, perfoliowanych jak całość pięknym, cienkim papierem prążkowanym ze znakiem wodnym i firmą „C & J Honig". Na *recto* luźnej kartki wyklejki tego tomu w prawym rogu ręką Krasickiego wypisana została data 1770 i zapewne w najbliższym jej sąsiedztwie umieścić trzeba będzie datę powstania przypisu do *Swiata*. Sam tekst mieści się między s. 148 a 149 w górnej części pierwszej kartki; reszta jej i karta następna pozostały niezapisane. Atrament ma dzisiaj kolor mocno brunatny.

Łubieński, opatrzony pieczątką owalną „Biblioteki Głównej w Warszawie", nie budzi żadnych wątpliwości swoją proweniencją. Wewnątrz przedniej okładki, czerwonobrązową kredką wypisane, widnieje dostatecznie wymowne „Kras". Jest i pomocnicze, rozpoznawcze „LV". Przed wycofaniem do dubletów egzemplarz ten nosił w Bibliotece Uniwersyteckiej sygnaturę 4.4.1.2.

Przechodząc do zagadnień treściowych obu „dobrych przypisów" od razu stwierdzić należy, że przypis do *Psałterza* nie wymaga bliższych wyjaśnień, sam bowiem w sobie jest dostatecznie zrozumiały. Więcej za to można poświęcić uwagi zagadnieniu ważności tego tekstu, a zwłaszcza jego przydatności przy budowie większych ujęć syntetycznych. Przede wszystkim nie będzie można go pominąć przy omawianiu Kochanowskiego w percepcji Krasickiego. Sąd Księcia Biskupa o *Psałterzu*, już jako taki, jest czymś nie do pominięcia, zakwalifikowanie zaś *Psałterza* jako książki bez mała heretyckiej — z jednej strony musi być uwzględnione przy omawianiu kolei *Psałterza* w polskim życiu religijnym na przestrzeni wieków, z drugiej może być dowodem teologicznej wrażliwości poety, z którego dziwne nieporozumienie robi czołowego niemal szermierza ideałów Oświecenia. Wprawdzie można się godzić z ks. Zdzisławem Obertyńskim[1], że „materiały z własnej owczarni Ignacego Krasickiego zdają się dawać odnośnie do pracy jego pasterskiej obraz raczej negatywny", to jednak przypis do *Psałterza* nie daje zapomnieć, że u podłoża wykształcenia Krasickiego leżało w pierwszym rzędzie wykształcenie teologiczne, że to w pierwszym rzędzie kapłan katolicki, któremu tylko talent, kultura i niepowszednie poczucie harmonii nie dały stać się dydaktycznym autorem w stylu średniowiecznych moralizatorów. O ile od nich stoi wyżej, świadczy przypis do *Świata*, mianowicie do opowiedzianej tam historii typowo średniowiecznej. Jeśli chodzi o przypis do *Psałterza*, to mamy w nim poza tym refleksy lektur teologicznych, znajomości literatury związanej z krytyką tekstów biblijnych, wreszcie pism „uczo-

---

[1] *Materiały do biografii Krasickiego w warszawskim Konsystorzu Metropolitalnym (Księga referatów* Zjazdu Naukowego imienia Ignacego Krasickiego. Lwów, 1936, s. 463).

nego dyssydenta" Grotiusa, który w *Zbiorze potrzebniejszych wiadomości, porządkiem alfabetu ułożonych*[1] jest przecie „mężem wiecznej sławy i uszanowania potomności godnym".

Z przypisem do *Świata* sprawa będzie bardziej skomplikowana, ponieważ zrozumiały całkowicie staje się on dopiero w związku z tekstem Łubieńskiego. W opisie *Kastylii Nowej* wspomina późniejszy prymas „znaki wieży czarnoksięskiej" „o pół mile od Toledy" i opowiada historię z przepowiednią o utracie tronu przez króla Roderyka, który ją wyczytał w jaskini, dokąd wszedł w poszukiwaniu skarbów na prowadzenie wojny. Jest to historia niezwykła, godna pióra bodaj Cezarego z Heisterbachu, choć Łubieński czerpie ją ze źródeł francuskich, jak wskazuje „zły destyn" w jego słownictwie. „Nazajutrz ani znaku znaleźć nie mogli, gdzie była ta wieża — opowiada Łubieński — o czym twierdzi Abulkacym Tarif Abentaryk w *Historii postanowienia się Maurów w Hiszpanii* i tak opisuje jako wiadomy i przytomny ekspedycji przeciw Maurom, informowany o tej wieży od arcybiskupa Dom Oppasa, generała króla Roderyka przeciw Maurom, który był z królem w tej wieży, jakoż według tej predykcji Roderyk od Maurów na wojnie zabity i państwo jego zawojowane, tego autora Noblot w *Geografii* swojej cytuje". Ów Abulkacym Tarif Abentaryk jest właśnie „Arabem" z tekstu Krasickiego i on to właśnie sprowokował go do tak lekceważącego potraktowania *Tysiąca i jednej nocy*. Tu Krasicki okazał się bliskim moralistom średniowiecznym, ale i jednocześnie dalekim. Ma jak oni cele dydaktyczne, odraża go jednak bajkowa cudowność, legendarna efektowność zdarzeń, słowem, ich niezgodność z naukowo pojmowaną rzeczywistością. Pod tym względem Oświecenie wywarło już na niego wpływ nie do starcia. Nie był Krasicki oczarowany egzotyką arabskich bajek, jak pisarze naszych dopiero czasów; to była kategoria tych książek, które by *Pan Podstoli* zaliczył do „dobrze pisanych" lecz zbędnych; i wobec tego w tym parowierszowym „dobrym przypisie" przybywa argument na rzecz tezy Krzyżanowskiego[2], że „nie własna przyjemność i nie podziw dla piękna literatury wschodniej lecz odczucie walorów moralnych w powiastkach budujących skłoniły go[3] do zajęcia się tą literacką publicystyką, robioną dorywczo, dla potrzeb czasopisma".

„Dobre przypisy" Krasickiego nie na wiele już przydadzą się zwykłemu czytelnikowi, dla historyka literatury wszakże stać się mogą kamykiem, który mozaikowy, z drobnych dokumentów tworzony i mocno dlatego niedokładny portret Księcia

[1] T. I *sub verbo: Grotius.*

[2] Julian Krzyżanowski, *O powiastkach orientalnych Krasickiego (Prace historyczno-literackie ku czci Ignacego Chrzanowskiego.* Kraków, 1936, s. 227).

[3] Krasickiego.

Biskupa usubtelni oraz uczyni wyrazistszym. Publikacja tych i tym podobnych „kamyków“ nie będzie zupełną realizacją postulatów Bernackiego [1], wszystko to nadal „jest ułamkowe i niewystarczające“, lecz może się przyczyni, że to, co się o Krasickim mówić będzie, nie będzie nadal „w dużej mierze błędne lub mylne“. Bez takich kresek portret nie będzie dobrze wycieniowany, oby tylko takich materiałów, czyniących portret Krasickiego plastyczniejszym, dało się nagromadzić jak najwięcej!

PRZYPIS DO „PSAŁTERZA“

Wersya tego Psałterza nieiest ex Vulgata | Kturą kosciol S. zażywa, ale ex Hebraeo | Textu. Ostrużnie [2] ią czytać trzeba bo czę= | sto udaie się za Rabinow Hebrayską wer= | syą; Co zwiodło nieraz Kalwinow y z | Nich pochodzących nowych Aryanow, y | Uczonego Dyssydenta Hugonem Grotium — | doskonalsza daleko iest y prawdziwsza ex | Hebraeo Versya Psalmow uczynioniona przez Au= | thorow Katolickich, między kturymi excellit | Genebrardus Arcybiskup Burdygalenski we= | Francyi a ieszcze Barziey Bosuet Biskup | Meldenski także Francuz, ci [3] daiąc ex | Hebraeo wersyą Psałterza mocno zbijaią opa= | czne y błędow pełne Nowatorow tłumaczenie | osobliwie Psalmu. Dixit Dominus y w nim | wierszu Tecum Principium iako też dru= | giego Psalmu DEUS Judicium tum Regi da z | Eruit
[4] Cor meum ettc ettc. kturzy idąc rabinow | Żydowskich
[4] fałszywie y bezbożnie przewracaią texta |
[4] te swoim probuiące Bostwo Chrystusa Pana | było Okkazyą że nawet sami Kalwini zalu= [4] Grocyusza y z katolikami na niego pow | stali w Holandyi.

PRZYPIS DO „ŚWIATA“

Bayki takowe były niegdyś zabawą umysłow proznych, za się | Boże iż zbyt w nie obfitowały dawne wieki, z nienadgrodzoną | szkodą powiesci prawdziwych, na ktorych gruncie Historye się | wspierać powinny. Araba Swiadectwo mniey wazne y odesłane | bydź powinno do Tysiąc y iedna Nocy, niedawno na Polski | ięzyk przełozonych, dla rozrywki ylekarstwa tych ktorzy | sypiać niemogą.

Warszawa *Józef Chudek*

---

[1] Ludwik Bernacki, *Stan badań nad Krasickim* (*Księga referatów* itd., s. 14).

[2] Forma ta u pisarza, który znał „kapłuna“, a nie „kapłona“, nie jest czymś zaskakującym.

[3] Nadpisane nad przekreślonym „kturzy“.

[4] Luka, wynikła z uszkodzenia kartki.

SKOK KORDIANA

W nr 111 wieczornym *Kuriera Warszawskiego* z roku 1935 (s. 3 n.) pomieścił p. Stanisław Szpotański notatkę pt.: *Dzieje skoku Kordiana*, w której stara się udowodnić, że źródłem Słowackiego w scenie 8 aktu III *Kordiana* był skok adiutanta generała Dwernickiego, Józefa Ordęgi (ur. 1802, um. 1879), wykonany przez niego prawdopodobnie w bitwie pod Stoczkiem. Wspomina o tym skoku wnuczka Ordęgi, Antonina Ordężanka, we wspomnieniach swoich, nieogłoszonych drukiem, w następujących słowach: [Ordęga] „ujrzawszy się otoczonym przez Moskali, wspiął konia, przeskoczył kwadrat ponad ich głowami, ale nieszczęśliwie popadł się wśród wrogów".

Jest rzeczą możliwą, że brawurowy skok Ordęgi mógł być znany Słowackiemu, ze znacznie większym jednak prawdopodobieństwem można przypuszczać, że główną pobudką do skreślenia powyższej sceny dała poecie książka autora niemieckiego Harrona Harringa: *Memoiren über Polen unter russischer Herrschaft* (Deutschland, 1831).

W książce tej, bardzo dzisiaj rzadkiej, autor, usposobiony dla Polski życzliwie, pomieścił na s. 82—85 rozdział pt.: *Ein Garde-Lancier Officier muss über eine Pyramide von Bajonets setzen.*

Opowiadając o różnych okrucieństwach Wielkiego Księcia Konstantego, przytacza Harring między innymi jako dowód jego barbarzyństwa zdarzenie z oficerem rosyjskim, nie wymienionym po nazwisku, który na jego rozkaz podczas parady wojskowej w Petersburgu musiał przeskoczyć na koniu piramidę, utworzoną z karabinów, najeżonych bagnetami. Była to kara za to, że oficer ów nie wykonał pewnych ruchów przepisowych na znarowionym koniu. Rozgniewany Konstanty każe utworzyć piramidę z 12 muszkietów, na które nasadzono bagnety; przez tę piramidę musi przeskoczyć oficer.

Skok ten trzykrotnie udaje się oficerowi; za czwartym razem następuje katastrofa; koń, przeskoczywszy piramidę, pada na ziemię, łamiąc przednie nogi; oficer przygnieciony ciałem konia, wychodzi wprawdzie cało, na rozkaz jednak Konstantego, uwięziony za niezgrabność, ginie w tajemniczy sposób.

Podobnie jak u Harringa, tak i u Słowackiego Wielki Książę każe „znieść karabiny, ustawić w piramidę, poszczepiać za kruki[1] ostrzem do góry, związać jak snopy[2], jak trzciny“. U Harringa odnośny ustęp brzmi: „befiehlt eine breite Pyramide von zwölf Musqueten mit Bajonets aufzurichten“.

U Harringa odmalowany jest Wielki Książę jako tracący zupełnie panowanie nad sobą z wściekłości (Wuth); in schnaubendem Grimme — brüllt — erbittert — fast rasend. I w *Kordianie* Konstanty pieni się ze wściekłości, zgrzyta zębami. Wogóle ujemna charakterystyka Konstantego, jaką podał Harring w swej książce, zaważyła w niemałej mierze na przedstawieniu postaci W. Księcia.

Harring opowiada o trzykrotnym pomyślnym skoku oficera rosyjskiego przez piramidę karabinów, co również wykorzystał poeta, ograniczając się ze względów technicznych do przedstawienia jednego tylko skoku; nieudały skok Ordęgi nie mógł więc być pierwowzorem owej sceny w *Kordianie.*

Żywy udział ludu podczas całego zdarzenia w opisie Harringa znalazł też odbicie w przedstawieniu poety; por. u Harringa: seine (Konstantego) Flüche machen die umstehende Menge zittern. ... Das Volk wie die Kameraden des braven Offiziers stehen lautlos betroffen umher. ... Tiefe ununterbrochene Stille begleitet seine Schritte. U Słowackiego chór maluje w silnych słowach zachowanie się ludu: w. 841: cicho jak w ostatni sąd; w. 900: lud stoi cichy, czarny, błotny; w. 901: nie lubię tego ludu — patrz chustkami wieje — kapelusze podrzuca; w. 904: Wojsko krzyczy: Urra!; w. 905: Lud krzyczy z dala: Żyje!

Nawet taki drobny szczegół, jak wzmiankę Harringa o muzyce janczarskiej w innym miejscu książki (r. 10, s. 75: Die Janitscharen-Musik ertönt) zużytkował Słowacki także (w. 848: I zagrzmiały muzyki janczarskie).

---

[1] Wyraz „kruk“ jako część karabinu jest nieznany w naszych słownikach; jest to prawdopodobnie zaczep na bagnet u lufy karabinu. W sprawie tej otrzymałem następujące wyjaśnienie od p. Władysława Dziewanowskiego, rotmistrza dyplomowanego w Warszawie, któremu za udzielone informacje składam serdeczne podziękowanie: „Karabiny piechoty naszej za czasów Królestwa Kongresowego nie posiadały żadnej części, która by nosiła nazwę „kruk“. Można było je ustawić w kozły, zaczepiając o wystające pod lufą końce stempli (o ile karabiny były bez bagnetów), lub też hakowato wygiętymi nasadami, gdy bagnety były na broni, co zwykle się zdarzało, gdyż bagnety niemal stale noszono na karabinach. Przypuszczam, że użyty przez Słowackiego wyraz „kruk“ jest po prostu rusycyzmem (krjuk = hak), odnosi się zaś do szyjek karabinów. Przypuszczenie to wydaje mi się tym prawdopodobniejsze, że przy pokojowym współżyciu wojska naszego z rosyjskim w Warszawie używanie licznych rusycyzmów przez jednych, a polonizmów przez drugich było nieuniknione“ (w liście z 24 września 1935 r.).

[2] Porównanie karabinów ze snopami jest trafne, istotnie bowiem karabiny z najeżonymi bagnetami, ustawione w piramidy, podobne są do snopów zboża.

Podobnie bladość Kordiana (po w. 852: sześciu żołnierzy przyprowadza bladego Kordiana; w. 853: Czemuś taki blady?), jego wyczerpanie po skoku (po w. 905: Żołnierze przyprowadzają chwiejącego się Kordiana) mają odpowiednik u Harringa (Sein Antlitz ist todtenbleich, sein Auge starrt bewegungslos vor sich hin, seine Kniee wanken). Wszystkie więc zasadnicze momenty skoku Kordiana znajdujemy w opowiadaniu Harringa, nie ulega zatem wątpliwości, że poeta z jego dziełka (bezpośrednio lub pośrednio) zaczerpnął wątku do swego przedstawienia.

Jako dalszy dowód znajomości dziełka Harringa przez Słowackiego może służyć jeszcze następująca okoliczność: autor niemiecki bezpośrednio po rozdziale 12 (o skoku oficera rosyjskiego) opowiada w rozdziale 13, jak na rozkaz Konstantego bogaty właściciel browaru w Warszawie Zawadzki musiał, wskutek niesłusznego zresztą oskarżenia, jakoby dał schronienie żołnierzowi-dezerterowi, ciągnąć okuty w łańcuchy taczki przez godzinę podczas parady wojskowej na placu Saskim (Ein Bürger von Warschau muss in Ketten die Karre schieben zur Parade, s. 85—88).

Odbicie owego szczegółu znajdujemy w scenie 1 aktu III *Kordiana*, w której szlachcic, przypatrujący się koronacji cara, opowiada o piwowarze,

> ...który niegdyś jak koń w taczkach chodził,
> Za jakieś przewinienie z woli księcia pana[1].

Co do samego skoku, wypowiada p. Szpotański mniemanie, że należałoby osądzić prawdopodobieństwo jego „w kierunku zmniejszenia proporcji“. Zdanie to wypowiedział p. Szpotański, nie znając Harringa, na podstawie zaś jego relacji rzecz cała dałaby się wyjaśnić w następujący sposób:

Skok przez piramidę utworzoną z karabinów, najeżonych bagnetami, jest możliwy, gdyż koń może wziąć wysokość takiej piramidy. Skok taki przedstawia jednak wielkie niebezpieczeństwo zarówno dla konia jak i jeźdzca, w razie bowiem nieudania się skoku i koń i jeździec mogą odnieść ciężkie rany, co więcej, nawet ponieść śmierć.

Słowacki, przedstawiając skok Kordiana, oparł się na Harringu; widoczne przy tym, że rzecz całą dobrze rozważył; z opisu jego wynika, że skok ten uważał za trudny.

---

[1] O tym samym wypadku wspomina Kazimierz Władysław Wójcicki, *Pamiętniki dziecka Warszawy*. Kraków, 1899, s. 74. Na źródło owej wzmianki o piwowarze w *Kordianie* nie zwrócono dotąd uwagi. Aleksander Kraushar w artykuliku: *Taczki belwederskie* (pomieszczonym w zbiorze pt. *Okruchy przeszłości*. Warszawa i Kraków, 1913, s. 255—265) podaje urzędową listę skazanych w r. 1824 do robót przymusowych w taczkach z rozkazu Wielk. Księcia Konstantego, o Zakrzewskim jednak zupełnie nie wspomina.

Ubocznie jeszcze wypada wspomnieć o dwóch kwestiach, poruszonych przez p. Szpotańskiego. Z notatki jego odnosi się wrażenie, jakoby stary sługa Ordęgi, bardzo mu oddany, stać się miał pierwowzorem Grzegorza, służącego Kordiana. O wiele jednak prawdopodobniejsze jest przypuszczenie, że poeta przeniósł na postać Grzegorza rysy swego służącego, o którym wspomina w *Pamiętniku* pod r. 1828/29 w tych słowach: „Czasem bawiłem się opowiadaniem oryginalnym mego starego służącego, który podróżował kiedyś z wojskowym panem po odległych krajach i nic z tych wojażów nie pamiętał prócz błahych zdarzeń. Nie wiedział, gdzie leży Hiszpania, chociaż w niej był kiedyś... O Węgrzech nie pamiętał i nic z nich nie przypominał, tylko jedną olbrzymią kufę wina, która go kiedyś wielkością zadziwiła“ [1].

Co do poruszonego w końcu w artykule p. Szpotańskiego dalszego ciągu *Kordiana*, to rzecz tę kilkakrotnie już w pracach o tym utworze poruszano, poza przypuszczenia jednak trudno wyjść w braku wszelkich danych. I w dalszych dwóch częściach trylogii musiał Kordian występować, skoro całości nadał poeta tytuł *Kordian*, tym samym nie zginął, jakby się na pozór zdawało z zakończenia aktu III części pierwszej, tak samo jak nie zginął wskutek samobójczego targnięcia się na życie w akcie I. W jaki jednak sposób ocalał, trudno nawet przypuszczać, tym samym i przypuszczenie p. Szpotańskiego, jakoby Grzegorz przywrócił Kordiana do życia podobnie jak żona i sługa wierny Józefa Ordęgę, pozostanie tylko w sferze hipotez [2].

Dodatek

Wobec wielkiej rzadkości książki Harringa, przytaczam z niej oba rozdziały z II części, zatytułowanej: *Bilder aus Warschau*, o których wspomniałem w mojej notatce.

12. Ein Garde-Lancier-Officier muss über eine Pyramide setzen.

Wir wissen bereits, was vom Officier wie vom Unterofficier der Russischen-Garde-Kavallerie verlangt wird. Er muss mit seinem Pferde ähnliche Manövre ausführen, wie sie die Kunstreiter zeigen [3]. Ein Garde-Lancier-Officier ritt einst dem Allgewaltigen als Ordonnanz vor und vollzog die üblichen Kunststücke zu dessen Zufriedenheit, bis das Pferd im Galopp auf Commando plötzlich changiren sollte und, unerachtet des Schenkeldrucks und des Sporn's des meisterhaft geübten Reiters, nicht gehorchte.

---

[1] *Dzieła* J. Słowackiego. We Lwowie, 1909, X, s. 444.

[2] O zależności Słowackiego od Harringa wspomniał ongiś Szymon Askenazy w notatce: *Na marginesie Kordiana* (*Kwartalnik Historyczny*, 1902, s. 598 n.), nie udowodnił jednak w należyty sposób swego twierdzenia, wobec tego rzecz całą przedstawiłem szczegółowo.

[3] Autor w poprzednim (11) rozdziale, będącym dalszym ciągiem r. 10 (r. 10 *Parade und Zubehör*, r. 11 *Fortsetzung*) pisze: Ein russischer Garde-Kavallerist muss nicht nur reiten — das Pferd muss unter ihm tanzen können.

Der Commandirende gewahrt, dass das Pferd mit falschem Ausschlag galoppire und wiederholt donnernd das Commando. Der Officier erneuet seinen Druck; aber das stolze Ross, durch den Sporn um so unbändiger geworden, behauptet seinen Trotz und galoppirt fort mit früheren Ausschlag.

Die Wuth des Grossen steigt mit jedem Satz des Pferdes und seine Flüche gegen den Officier machen die umstehende Menge zittern. Er commandirt „Halt!“ und befiehlt, eine breite Pyramide von zwölf Musqueten mit Bajonets aufzurichten, welches sofort vollzogen wird.

In schnaubendem Grimme lässt er nun den Officier, der in Erwartung der Dinge, die da kommen sollen, sein wieherndes Ross zu besänftigen sucht, zum Galopp anschlagen und in grader Richtung auf die Bajonets zu reiten, worauf er „Marsch — Marsch!“ brüllt — und glücklich trägt das wilde Ross den Russischen Kavalier über die Pyramide.

Ohne Halt lässt er nun umkehren und im Marsch-Marsch den gefährlichen Satz wiederholen, der eben so wohl gelingt, und das Volk wie die Kameraden des braven Officiers stehen lautlos betroffen umher. Der Allgewaltige durch die Gewandheit des Rosses und des Reiters mehr und mehr erbittert, erneut zum dritten Male das Commando, und ein General fasset Muth hervorzutreten mit der Bitte um Gnade für den Kavalier, da der Sturz desselben unvermeidlich, indem das ermüdete Thier nach solcher Anstrengung nicht mehr hinüber kommen werde.

Diese Einwendung des theilnehmenden, menschlichen Generals war unerhört und diese Auflehnung wider seinen Chef wurde augenblicklich durch Arrestbefehl geahndet.

Das Commando erschallt wieder — und Ross und Reiter gelangen zum dritten Male unbeschädigt über die schimmernden Bajonets.

Wankend und unter Herzklopfen schnaubend bewegt sich das triefende Thier und fast rasend, dass er seine Absicht noch immer nicht erreicht, commandirt der Grosse:

„Links zurück! Marsch! Marsch!!“ Der Cavalier gehorcht dem Commando und nach dem vierten Satze stürzt Ross und Mann jenseits der Pyramide in den Staub zusammen. Der Kavalier windet sich unter dem Pferde hervor, das mit gebrochenen Fesselgelenk beider Vorderbeine und ohnehin „verfangen“ liegen bleibt.

Unverletzt steht der Garde-Officier da, sucht sich zu fassen und schreitet auf den Chef der Kavallerie zu, indem er seine Säbelkuppel löset.

Sein Antlitz ist todtenbleich, sein Auge starrt bewegungslos vor sich hin, seine Kniee wanken.

Tiefe ununterbrochene Stille begleitet seine Schritte.

Er legt dem Grossfürsten seinen Säbel zu Füssen und dankt mit matter Stimme für die Ehre, die er seither in des Kaisers Diensten getragen.

„Den Säbel hätte ich Dir schon abnehmen lassen!“ flucht nun der Grosse. „Weisst denn Du nicht, wohin solch'empörendes Benehmen gegen mich, Dich führen wird?“

Der reitkundige Kavalier ward vorläufig auf die Hauptwache gesetzt und ist spurlos verschwunden.

Solches geschah zu St. Petersburg laut Mittheilung glaubwürdiger Augenzeugen.

13. Ein Bürger von Warschau muss in Ketten die Karre schieben zur Parade.

Karamzin sagt bei Betrachtung eines russischen Despoten des sechszehnten Jahrhunderts: „Der Geschichtsforscher staunt und weiss nicht, ob mehr über die unbegrenzte, unmenschliche Willkür des Tyrannen, oder über die Langmut und Geduld des Volkes, das sich solche gefallen lässt“.

Wir fühlten dieses Erstaunen in Warschau.

Von Mund zu Mund gehen die Ereignisse vergangener Tage, wie sie zu nagender Erbitterung fortleben im blutenden Herzen des Volkes, das

seufzend aufblickte zum Lenker der Sterne und nur im Glauben und Vertrauen das Werk der Rache und Sühnung verzögerte.

Vor mehreren Jahren war ein Soldat der Garnison Warschau desertirt.

Die Meldung an den Grossfürsten wird in solchen Fällen von menschlich-gesinnten Regiments-adjutanten oder Chefs so lange als möglich verzögert, damit die Strafe gemildert werden könne, wenn es der Nachforschung gelingen sollte den Deserteur ausfindig zu machen. Länger als fünf Tage darf aber eigentlich der Rapport nicht aufgeschoben werden, und so wurde auch obiger Gegenstand berichtet.

In der zweiten Woche wird der Deserteur als Handlanger bei einem Bau in der Brauerei eines angesehenen Bürgers [Zawaczki (sic). Anmerkung eines Polen] der Stadt Warschau entdeckt, der zugleich beträchtliche Güter im Lande besass.

Der Adjutant des Grossfürsten meldet umständlich, wo man den Deserteur gefunden und die Wut des Polenhassers steigt auf höchste, indem er den Namen des Bürgers hört, der nach seiner Ansicht einen Deserteur beschäftigt und verborgen gehalten.

Die Einwendung des Adjutanten oder eines Generals, dass dieser reiche Brauer täglich vielleicht hundert Menschen beschäftige, ohne einen einzigen bei Namen zu kennen, sondern es seinen Schreibern überlasse, den Arbeitern wöchentlich ihren Lohn auszuzahlen — diese Einwendung wagte weder ein Adjutant noch irgend ein General, das Quartier auf der Hauptwache befürchtend — und der Tobende befahl sofort den Bürger zu verhaften, welches unbedingt geschah.

Der Allgewaltige lässt den edlen Polen in Ketten vor sich kommen und empfängt ihn auf die ihm eingentümliche Weise mit Flüchen und Schimpfreden.

Die Entschuldigung und Verteidigung des Gefangenen kann nicht Statt finden, da Niemand, er sei wer er wolle, ein Wort wider den Grossen reden darf. Jede Silbe zur Rechtfertigung des Unschuldigen gilt für Empörung wider den Herrn und Gebieter und wird als solche bestraft.

Der Allgewaltige lässt den Bürger auf den sogenannten Sächsischen Platz zur Parade führen, wo in der Regel die grösste Volksmenge versammelt ist, dem glänzenden Spiel zuzuschauen. Im Voraus verurteilt, muss er mit Ketten belastet in die Karre treten und in dem Quarré der paradirenden Regimenter — umher karren.

Der Bürger erbebt, als ihm dieses Urteil, ohne gerichtliches Vorfahren, bekannt wird, und bietet zwei Tausend Ducaten freiwillige Busse dieser öffentlichen, schändenden Strafe zu entgehen. Vergebens!

In Verzweiflung sträubt sich der Arme gegen die Schande, wenn auch auf ihn in diesem Falle die Schande nimmer haften würde: er beschwört den Offizier, der ihn an's Werk treiben soll, zu bedenken, dass er selbst einen Sohn gehabt, der Epaulets und Orden getragen, der als Major auf dem Felde der Ehre seinen Geist aufgegeben! Aber der Offizier vollzieht strenge die Befehle des Gebieters, lässt den Hingesunkenen, Flehenden durch Soldaten auf die Beine richten — und der Bürger muss etwa eine Stunde lang in Ketten die Karre schieben.

So viel mir bekannt, mussten nach ihm noch andere auf dem Platze karren; aber ich entsinne mich nicht der einzelnen Umstände, die in Warschau nicht in Vergessenheit fielen.

Zawaczki soll darauf von einer schweren Krankheit befallen worden sein, und als er wieder genesen, sein Hab' und Gut in Polen verkauft haben Wohin er sich gewendet, habe ich nicht mit Gewissheit erfahren können

Lwów *Wiktor Hahn*

ADAM hr. GUROWSKI W POLSCE W LATACH 1841—1844

Przyczynek do jego życiorysu

Michał Janik w rozprawie *Prądy panslawistyczne i rusofilskie w okresie wielkiej emigracji* (*Pamiętnik Literacki*, 1934, s. 58 nn.) poświęcił kilka stronic osobliwej i pod wielu względami zagadkowej postaci Adama hr. Gurowskiego, panslawisty i rusofila, autora kilku w każdym razie oryginalnych i śmiałych publikacyj wyrażających jego poglądy na wzajemny stosunek Rosji i Polski, jego myśli o przyszłości Polski i Słowiańszczyzny w ogóle.

Cała literacka działalność Gurowskiego, szczególnie jego pamflety polityczne, doznały w społeczeństwie polskim jednomyślnego, nadzwyczaj surowego i bezwzględnego, wprost potępiającego przyjęcia, które było niezawodnie uzasadnione i sprawiedliwe. Nie wszystko jednak, co Gurowski napisał i wydał w czasie swej emigracji, zostało ocenione wyczerpująco i bez uprzedzeń krytyków, tak w burzliwej epoce emigracji, jak i w późniejszych czasach. Trzeba nadmienić, że w krytycznej epoce życia społeczeństwa polskiego, która nastąpiła po wstrząśnieniach rewolucji i nawet częściowym rozczarowaniu się nią, Gurowski nie był zjawiskiem odosobnionym. Przewrót w umyśle i nastroju, który doprowadził go do zdrady wielkich ideałów rewolucyjnych i do wystąpień, za które rodacy rzucili mu w twarz oskarżenia najstraszniejsze, wprost dla jego czci zabójcze, nie jest jeszcze w jego biografii należycie wyjaśniony. Od chwili zerwania z emigracją, po wydaniu przezeń kilku pamfletów, zwłaszcza po otrzymaniu amnestii, powrocie do Petersburga i od czasu wstąpienia do służby państwowej rosyjskiej, prześladowało go moralne potępienie, które na zdrajców sprawy narodowej rzucił w prelekcji 12 kwietnia 1842 r. Mickiewicz, a za nim powtórzyli w różnych wariantach pisarze polityczni *minorum gentium* tej doby.

Amnestia nie przyniosła dla Gurowskiego żadnej ulgi w jego położeniu, — przeciwnie, stała się dla niego źródłem wielkich rozczarowań i wszelakich utrapień: nie dowierzały mu władze rosyjskie, dla których był on przede wszystkim uczestnikiem rewolucji, jednym z „najzacieklejszych buntowników“

który odznaczył się tak swymi czynami, jak i przez wydanie najwolnomyślniejszych, obelżywych dla prawej władzy pamfletów. Pozwolić mu pozostawać w kraju, który niedawno jeszcze był miejscem jego „liberalnych wystąpień“, uznano za niebezpieczne, ponieważ trudno było przypuścić, żeby człowiek ten, w rewolucji znany z gwałtownego i lekkomyślnego charakteru, jeden z główniejszych podżegaczy i krzewicieli powstania, nie powrócił „do starych intryg“. Z drugiej strony, z niedowierzaniem i wrogo mówiła o nim prasa i społeczeństwo polskie, przeważnie za granicą. Gurowski szukał wyjścia z ciężkiego moralnego położenia, z którym połączone były i wielkie, poniżające cierpienia materialne. Kiedy z rozkazu Mikołaja I został przeniesiony do służby w Królestwie, do dyspozycji Paskiewicza, w charakterze skromnego urzędnika w randze radcy tytularnego, otrzymywał nadal małą pensję, jaką pobierał na służbie w Rosji; dlatego też nie mógł obejść się bez pomocy rodzeństwa, głównie brata Mikołaja.

O służbie Gurowskiego w Rosji, a potem w zarządzie oświaty w Królestwie, nie mamy prawie żadnych wiadomości. Zdaje się, że był tylko zaliczony w poczet urzędników tego zarządu, ale faktycznie obowiązków służbowych nie pełnił. Urlop, który pierwotnie otrzymał na pół roku do Królestwa, prawdopodobnie w celu załatwienia swych interesów majątkowych, starał się przedłużyć i w tym celu zwrócił się z listem do szefa żandarmów, hr. Benkendorfa, prosząc go, aby mu udzielił pozwolenia spędzić ostatnie lata w spokoju, wśród swych krewnych, którzy mu obiecali przytułek u siebie; spodziewał się przy tym, że hr. Benkendorf z czasem wyjedna dla niego zupełne zwolnienie od służby. Odpowiedź na tę prośbę była dla Gurowskiego nieoczekiwana: cesarz w rezolucji na raport Benkendorfa (z 1 grudnia 1841 r.) rozkazał zapytać Paskiewicza, czy on nie uznałby za użyteczne pozostawić Gurowskiego na służbie przy sobie w Warszawie, gdzie jako znany i doświadczony literat mógłby pisywać do gazet „rozmaite artykuły“. Gurowski sam napraszał się do takich usług i zwracał uwagę, że rządy, które trzymają się tych samych zasad, co Rosja, jak pruski i austriacki, mają pisarzy rządowych, którzy w pismach codziennych objaśniają i oświecają myśli i dążenia władzy; przekonywał przy tym, że gazety dobrze zrozumiane są jedną z najlepszych dźwigni władzy. Chodziło mu jednak nie o Warszawę, — dla niego była ona za ciasna tu nie byłby nigdy należycie oceniony. Marzył o Petersburgu gdzie mógłby być użytecznym według swych zdolności. Wiedział zapewne, jakie niedostojne stanowisko zająłby w Warszawie, skoro kurator Okręgu Naukowego warszawskiego, jenerał Okuniew, w raporcie do księcia namiestnika (z 26 maja 1842) donosił, że może mianować Gurowskiego tylko członkiem Rady Oświecenia Publicznego, bez żadnego wynagrodzenia, ponieważ

dwa miejsca członków już były zajęte; przy tym kurator podkreślał, że hrabia pozostawałby pod jego osobistym dozorem, że jemu byłyby dawane tylko takie zlecenia, które by nie mogły mieć żadnych szkodliwych następstw. Nie mógł przeto Gurowski być, jak podają niektóre jego życiorysy, przez jakiś czas sekretarzem namiestnika, nie mógł nadużyć pieniężnego zaufania Paskiewicza, co miało być przyczyną powtórnej jego ucieczki za granicę. Bez wątpienia i wieści o tym, że Gurowski w Rosji na posadzie sekretarza w jakiejś odległej gubernii odkrył złodziejską administrację gubernatora i urzędników oraz doniósł o tym w tajnym podaniu do cesarza, że za oskarżenie, które okazało się wymyślonym, groziła mu kara zesłania na Syberię, należą do fantazji jego przeciwników. W żaden sposób nie można przypuścić, ażeby Gurowski, tak skompromitowany na urzędzie w Rosji, mógł być mianowany urzędnikiem do dyspozycji namiestnika z woli samego cesarza.

Dla Gurowskiego, przy jego wielkich ambicjach, chociaż im sam zaprzeczał, przy nadzwyczajnym temperamencie publicysty i agitatora politycznego, tak urzędnicza kariera w Warszawie, w środowisku dla niego wrogim, jak tym bardziej pobyt na wsi, w majątku, gdzie dla pomyślnej pracy literackiej nie było najniezbędniejszych warunków, nie mogły mieć żadnego powabu. On marzył o stanowisku zaszczytniejszym, licząc, że jego otwarcie wyrażone zamiary będą lepiej zrozumiane i należycie wynagrodzone. Dla rozwinięcia swych upodobań i planów naukowo-literackich brakowało mu środków materialnych. Urzeczywistnić te zamiary można było, jego zdaniem, tylko w wielkim mieście. Spodziewał się też, że się dostanie do Petersburga, gdzie będzie mógł pracować naukowo w intencjach rządu, a jednocześnie spełniłoby się jego życzenie być przy boku swego syna. Dla Rosjanina, pisał Gurowski, ojczyzna jest w całym państwie, — dla człowieka zaś tak osamotnionego, jako ja, zbliżenie sią do syna, który jest jedynym przywiązaniem dla mnie do życia, dalej, możność pracy obfitej i płodnej, robiły Petersburg celem nie próżnej ambicji, lecz jedynym miejscem schronienia (*refuge*) i spoczynku. Do zajęć w kancelarii nie miał chęci i będąc zdolniejszym, według jego przekonania, do pracy naukowej, otwarcie mówił o upodobaniach w tym kierunku.

Jednak do Petersburga wrócić nie mógł, wstęp do stolicy państwa był dla niego zamknięty na zawsze. Trzeba sobie zdać sprawę, z jaką konduitą zjawił się Gurowski przed władzami, które zbierały o wszystkich celniejszych uczestnikach powstania wiadomości szczegółowe, aby do nich przy sposobności w archiwum sięgnąć.

W urzędowym akcie obejmującym wiadomości zebrane w r. 1833 z rozporządzenia namiestnika o działalności różnych osób w powstaniu r. 1830—1831, znajdujemy następujące fakty tyczące się Gurowskiego:

Po wybuchu powstania zaczął pisać i drukować w gazetach artykuły rewolucyjne. Patrz *Kurier Polski*, 1830, nr 366. Był członkiem Warszawskiego Towarzystwa Patriotycznego i jednym z redaktorów gazety rewolucyjnej *Nowa Polska*, w której umieścił wiele artykułów podpisanych literami A. G. Miał przemówienie podczas obchodu pamięci skazanych na śmierć w r. 1826 rosyjskich powstańców: Murawiewa, Bestużewa, Pestela, Rylejewa i Kachowskiego. Patrz *Kurier Warszawski*, 1831, nr 26.

Przemawiał podczas nabożeństwa żałobnego za polskich patriotów, obywateli warszawskich, uczestników rewolucji r. 1794. Patrz *Kurier Warszawski*, 1831, nr 38.

W nr 89 *Dziennika Powszechnego Krajowego* chwalili go za to, że włościanom swojego majątku darował ziemię na własność i w wieczyste posiadanie. Chwalili za to także i Bolesława, Ignacego, Mikołaja i Józefa Gurowskich, właścicieli ziemskich wojew. kaliskiego.

Na podstawie gazety *Nowa Polska*, r. 1831, akt urzędowy podaje o Gurowskim jeszcze niektóre wiadomości.

Adam Gurowski był nie tylko członkiem zwyczajnym, ale nawet jednym z najbardziej czynnych działaczy Towarzystwa (czyli Klubu) Patriotycznego; występował wszędzie jako zagorzały zwolennik powstania i krzykacz na rzecz powstańców (nr 4, 22 i 32); radził wznieść drzewo wolności (nr 16); zuchwale występował przeciw domowi panującemu, który nazywał tylko gottorpskim (nr 3); z niecierpliwością nawoływał do najszybszego wykonania aktu detronizacji domu cesarskiego Romanowych (nr 19); wychwalał posłów Rembowskiego, Tymowskiego, Romana Sołtyka i Jasińskiego za to, że zrozumieli ducha polskiej rewolucji (nr 19); podał głos za rozprzestrzenieniem rewolucji w całym narodzie (nr 41); proponował, aby Klub Patriotyczny wydał postanowienie o konfiskacie majątków tych obywateli, którzy opuścili Królestwo (nr 50), a nawet, żeby za głowy ich przeznaczone były nagrody. Gurowskiemu także przypisywano wydane drukiem wezwanie *Do Izby* (do posłów i deputatów).

Podczas przymusowego pobytu na wsi Gurowski nie przerywa swych zajęć literackich. Dowiadujemy się o nich, jak i po części o stosunkach z rozmaitymi przedstawicielami rosyjskiej biurokracji, z jego papierów i książek, w językach niemieckim, francuskim i angielskim, przez cenzurę nie dozwolonych lub jej nieznanych, które zostały znalezione w Wyszynie po ucieczce Gurowskiego. Były tu: *Notice sur la vie de Thaddeas Kościuszko* (Paris, 1824), *Slawen, Russen und Germanen* (Leipzig, 1843), *The political and miscellaneous Works of Thomas Pain* (London, 1819), *Ein und zwanzig Bogen aus der Schweiz* (Zürich, 1843). Protokół policyjny wylicza dalej następujące zapiski i notaty Gurowskiego w języku francuskim: *Des tendances*

constitutionelles en Russie et principalement à St.-Petersbourg Jest to program czy plan zamierzonej rozprawy o ruchu konstytucyjnym w Rosji; filarami konstytucyjnej partii Gurowski nazywa ks. Menszykowa, hr. Kiselewa i hrabiów Strogonowych. Drugi rękopis: *Le conseil de l'Empire et le Palais d'hiver à St. Pt.*, na 23 półarkuszach, zawiera panegiryk na hr. Benkendorfa, hr. Orłowa, ks. Wasilczykowa, ks. Menszykowa ks. Czernyszowa, hr. Kiselewa, a także surowe osądzenie czynności hr. Uwarowa jako ministra oświaty narodowej. Ta ostatnia część ma prawdopodobnie związek z memoriałem Gurowskiego z r. 1839 o reformie edukacji w państwie (por. Kucharzewskiego *Epoka Paskiewiczowska*, 264 n.). Na s. 22 swojego elaboratu, jak podkreśla raport kancelarii namiestnika, Gurowski z wielką pochwałą wyrażał się o Paskiewiczu. Mniejsze notaty: *De la conscription en Pologne* i *Sur la réforme universitaire* nie zawierały nic ważnego. Niemiecki rękopis pt.: *Urywek z notatnika*, a także kilka innych niemieckich notat były oddane prof. Maciejowskiemu do przejrzenia i wypowiedzenia zdania. Sprawozdanie Maciejowskiego przytaczamy poniżej, obok listów Gurowskiego do księcia namiestnika. W skonfiskowanych papierach znajdowały się także listy rozmaitych osób (np. hr. Benkendorfa) z Rosji i z zagranicy oraz koncepty listów Gurowskiego. W nich nie znaleziono nic ważnego i dlatego nie podano ich treści.

Ciekawe są oddzielne francuskie karty, na których Gurowski zapisuje rozmaite myśli, które musiały go nękać w przeddzień ostatecznego postanowienia, po zdecydowaniu się zerwać na zawsze ze wszystkim, co go przywiązywało do rodziny i ojczyzny. Tkliwie żegnał się z domem swych przodków na kartce francuskiej, którą zostawił na stole (Le 3 Avril matin, à la salle des ancêtres):

> Adieu, mes ancêtres — il n'y a plus de retour —
> C'est loin de vos cendres traineront mes jours.

Na drugiej karcie (*Observation*), napisanej już w dzień ucieczki, Gurowski w celu obrony swych krewnych i przyjaciół przed oskarżeniami o organizację jego tajnego wyjazdu za granicę i w następstwie możliwych prześladowań ze strony władz uczciwie zeznaje, że całą odpowiedzialność za popełniony postępek bierze na siebie: „Selon toute apparence les personnes du Gouvernement seront chargées de l'enquête sur mon évasion (zakreślone: ma fuite). Fidel à mon principe de ne compromettre personne dans mes demarches, j'ai éffectuée celle-ci n'ayant pour confident personne que moi seul; à l'aide de mon uniforme je veux tromper les douanes. J'espère donc que ceux qui sont employés à l'enquête ne feront pas ni de tyrannie ni de chicanes au nom du Gouvernement, au quel une action

équitable ne pourra que profiter, ce dont je peux l'assurer Kalisch le 4 Avril 1844. Adam Comte Gurowski".

Cztery karty, urywek jakiegoś traktatu politycznego (prawdopodobnie z broszury *Pensées sur l'avenir des Polonais* por. cytat w artykule M. Janika, s. 67), własnoręcznie pisane przez hrabiego, zawierają kilka cennych wierszy autobiograficznych: „Celui qui écrit ces lignes peut dire avec quelque fierté, que jamais dans sa vie si agité par la tourmente politique, jamais il n'a compté avec les sacrifices. Dans l'ardeur des ses erreurs bien jeune encore avant et pendant 1830 comme tant d'autre il jeta dans le cratère enflammé une existence indépendante et honorable, brisa les liens les plus chers du foyer domestique pour en retirer une amère experience — qui pourtant le ramena à des sentiments plus en harmonie avec les decrets de la Providence. Aujourd'hui croyant apercevoir un autre avenir pour ceux qui avec lui sont nés sur le même sol, il s'est jetté courageusement au devant de cette aurore sachant d'avance qu'il restera longtemps, toujours peut-être seul, isolé pendant la traversée de ce mur des préventions des préjugés et des égoïsmes".

Oprócz tego na półarkuszu papieru zachował się jakiś program powieści (*Kilka rozdziałów z życia wędrownika*), charakteru także autobiograficznego; ostatni rozdział kończył się słowami: „36 lat życia ... dalej ... dalej ... do mogiły ... tylko wędrówka ... tułanie". Widoczny obraz nastroju ostatnich chwil kiedy Gurowski już był zdecydowany znów puścić się na tułaczkę.

Jeszcze na jednej kartce Gurowski, wyrażając swój pogląd na cel życia, zapisał zdanie: „Les uns pleins des idées romaines disent qu'il faut savoir mourir pour la patrie, moi je crois que d'après les temps modernes il est plus necessaire de savoir vivre pour son pays".

Ucieczka Gurowskiego wywołała zdumienie a zarazem i oburzenie okłamanych przezeń władz. Aczkolwiek trudno było przypuścić, żeby hrabia ośmielił się znów powrócić do kraju, to jednak administracja miejscowa oczekiwała od niego i takiej niespodzianki i łamała sobie głowę nad tym, jakie stanowisko należy zająć, gdyby Gurowski rzeczywiście powrócił do Polski, jak miałby być za to ukarany: czy ma ponieść karę, na którą już był skazany wyrokiem najwyższego sądu za współudział w rewolucji, tj. karę śmierci, czy też ma być sądzony tylko za nielegalne przejście granicy, za co groziłoby mu więzienie od trzech miesięcy do jednego roku. W Petersburgu sprawę przyjęto dość pobłażliwie: wyrok sądu najwyższego uznano za skasowany przez amnestię i wyrażono przekonanie, że Gurowski może podlegać karze tylko za ostatnie przewinienia. Ostateczna decyzja cesarza była jednak surowa: Gurowski w razie powrotu do kraju miał być aresztowany i są-

dzony przez sąd polowy. Czy przestępca dowiedział się kiedy za granicą o tym postanowieniu, które po raz drugi groziło mu karą śmierci?

Na nowym, dobrowolnym wygnaniu Gurowski, nie bacząc na „wysoki mur“, który go oddzielił od ojczyzny, utrzymuje korespondencję z bratem Mikołajem. Jeden list jego z r. 1845, z Freiburgu szwajcarskiego, zachował się w aktach w przekładzie rosyjskim cenzury policyjnej. Przewidując taki los swych listów, Gurowski w widocznym celu jakiejś rehabilitacji podkreśla zwłaszcza swoją wierność dawnym zasadom, swoje przywiązanie do „rosyjsko-słowiańsko-polskich“ idei, które swego czasu utorowały mu drogę do amnestii, i w dowód tej stałości opowiada, że podczas pobytu w jednym opactwie prosił o odprawienie modłów najprzód za cesarską rodzinę, a potem za Gurowskich i za ich przodków. Zakrawało na jakąś komedię lojalności obliczoną prawdopodobnie na pozyskanie względów już nie dla siebie, ale dla braci i rodzeństwa w Polsce. Z wielką dumą, jako potomek starego rodu, mówi o swych przodkach: „Widzicie, moi kochani, że nie zważając na liberalizm Poznania i całej tej zgrai, ma przecież jakąś wartość mieć za sobą kilka stuleci, zamek wyszyński, chociaż i w rozwalinach, a do tego jeszcze imię, które może zahańbić ludzi nowych, wysłużonych, do jakich należą teraźniejsi panowie Łubieńscy, Jezierscy, Mielżyńscy. Z takim spadkiem stuleci wolno mi postępować według mojego przekonania, co ja też i robię, nie zwracając uwagi na głosy podłego i głupiego tłumu“.

Kilka listów Gurowskiego do księcia namiestnika zapełniają choć po części ciekawą kartę jego życiorysu, odzwierciadlają jego nastroje i zamiary na początku lat czterdziestych i do pewnego stopnia odsłaniają przyczyny, które go przywiodły do heroicznego rozcięcia węzła, który go dusił, do ucieczki za granicę. W listach tych znajdziemy psychologiczne umotywowanie jego postępku: wiemy, jak jednomyślnie i ostro napiętnowana była jego zdrada ideałów rewolucyjnych; wiemy także, że po uzyskaniu amnestii odczuwał stale otwartą nienawiść współrodaków, sąsiadów - obywateli i znajomych; położenie, w którym znalazł się w Polsce, było podobne „śmierci cywilnej“, jak się sam wyraża; w następstwie przewidywał nieodzowną nie tylko moralną, ale także i materialną katastrofę. Zrujnowany majątek, który chciał zachować dla syna, starał się ratować przy pomocy znacznej pożyczki na imię brata Mikołaja; myślał o podróży do Petersburga, oczywiście w celu polepszenia swego położenia. W kwietniu r. 1842 kaliski gubernator wojskowy Sobolew, który zapewne z urzędu dobrze znał ciężkie warunki życia Gurowskiego i plany poprawy ich, zapytywał go w prywatnym liście o zamierzonej podróży i prosił hrabiego, aby po drodze odwiedził go w Warszawie, dokąd Sobolew miał być przeniesionym na urząd oberpolicmajstra,

przy tym radził mu prosić namiestnika o pozostawienie go na służbie u siebie.

Do Petersburga Gurowski się nie dostał, ale stale myślał o wyjściu z rozpaczliwej sytuacji. Czekał na sposobność i widocznie przygotowywał się do nowej podróży. Dopiero 4 kwietnia 1844 r. rozstrzygnął o swym losie. Rozbitek, po wielkiej burzy, która przeszła nad jego głową, w rozpaczy znów rzucił się w odmęt emigracji, aby z niej więcej do ojczyzny nie wrócić.

LISTY ADAMA GUROWSKIEGO

1.

A Son Altesse Monseigneur le prince de Varsovie etc. etc. etc.

Monseigneur, la haute et condéscendente bienveillance de Votre Altesse m'encourage à présenter une humble prière.

Son Excellence M-r le Comte de Benkendorff en m' accordant le congé de six mois pour venir en Pologne, m'a fait savoir positivement, que je pouvais espérer une prolongation de ce congé, sur de données satisfaisantes sur mon compte de la part des autorités du Royaume de Pologne.

Adressant à Son Excellence ma prière pour la réalisation de cette promesse, c'est à Votre Altesse, que j'ose m'adresser, pour vouloir daigner y joindre Son puissant assentiment.

Retiré chez ma famille, je ne crois pas que tant ma conduite que ma position, ayent été jusqu'à présent cause d'un ombrage à qui que ce soit.

J'ose espérer que la haute équité répandue par Votre Altesse sur tout ce qui l'entoure, ne m'abandonnera pas non plus. Plaçant ainsi avec une entière confiance le sort de mon humble prière entre les mains de Votre Altesse, je crois pouvoir espérer la voir accueillie, Monseigneur, que Votre Altesse daigne agréer avec bonté et cette condescendence, dont j'ai eu tant des preuves, l'hommage le plus respectueux du plus parfait dévouement

de Votre Altesse le plus humble serviteur Comte
Adam Gurowski.

Wyschyna le $\frac{\text{26 Mai}}{\text{8 Juin}}$ 1811

2.

A Son Altesse Monseigneur le Prince de Varsovie etc. etc. etc.

Monseigneur, l'hostilité si prononcée qui m'entoure, ne me fait voir de salut que dans l'impartiale bienveillance de Votre Altesse et dans la magnanime bonté de Sa Majesté l'Empéreur.

C'est donc sous l'empire de ce sentiment, que j'ose déposer entre les mains de Votre Altesse la présente prière.

Par un arrangement privé entre nôtre famille, c'est la terre de Kletschewo située dans le gouvern. de Calisch, district de Konin, qui doit former plur tard la part du patrimoine de mes enfants. Cette terre entre les mains des fermiers dépuis des longues années, est par la complétement ruinée, malgré une valeur intriséque assez considérable. En outre elle est grevée d'un emprunt du Systême du Crédit du Royaume, qui va jusqu'à la moitié du prix.

Les intérets de cet emprunt doivent être versés de demi en demi année sous la peine de sequestre et de vente immédiate. Ce bien, si déteriore dans son état actuel, ne possedant ni bestiaux nécessaires ni autres exigences pour faire valoir et activer l'emménagement ne peut suffir au payement des impôts qui se montent à près de 7000 florins ni a celui des intérets du capitale de la Landschaft, capitale qui s'élève à 320.000 florins.

Ce ne sont pas les intérets de mes enfants qui obtiendraient l'indulgence de la part des administrations intérieures et surtout de la part de toute cette clique du Systême du Crédit.

Dans cette position si précaire et si denoncée il m'est de toute impassibilité de procurer et trouver le fond nécessaire pour rélever la valeur de ces terres et les conserver à mes enfants.

Votre Altesse appréciant par sa haute raison ma position vis à vis des habitants du royaume, comprendra que ce n'est pas chez qui que ce soit ici que je pourrais trouver une assistance sécourable. La position de mes fréres les empeche aussi complétement de venir à mon aide pécuniairement.

Dans cette detresse j'ose invoquer la grâce de Votre Altesse. Un emprunt hypothéquaire sur le dit bien, s'il pouvait se monter à la somme de 40.000 florins, sauverait la fortune que la magnanime clémence de Sa Majesté l'Empereur daigna donner à mes enfants.

L'estimation de la terre en question offrirait au Trésor public une garantie suffisante sans des conditions trop onéreuses.

Nos affaires n'étant pas encore liquidées; si Votre Altesse daigne exaucer ma prière, cet emprunt serait fait au nom de mon frère Nicolas C-te Gurowski, car celui qui porte encore le titre de proprieté de cette terre, et c'est lui qui pourrait l'hypothéques, étant en même temps tuteur des mes enfants. Ces dernières ne peuvent être mis en possèssion, car les formalités légales qui s'ensuivraient, empêcheraient une prompte terminaison des affaires que nous tous avons hérités avec la fortune paternelle. Ainsi, cela occasionnerait à toute la famille, comme aux enfants mineurs des pertes considérables.

Quand à ce qui me concerne, tout en ayant l'honneur de compter au service de la Russie, je suis en Pologne sous le coup de la mort civile, et par là privé de toute faculté légale et juridique. Hors la loi je ne peux ni être le tuteur, ni participer immédiatement à la conduite des affaires des mes enfants.

S'il ne s'agissait donc que de mes intérets, je n'oserais plus importuner ni la clémence de Sa Majesté l'Empereur, ni celle de Votre Altesse.

Trop de haines toutes puissantes et implacables surgissent partout là et ici autour de moi. Libéré pour ainsi dire sans défense, je sens, qu'aucune volonté, aucune puissance au monde ne me garantira desormais de la complète ruine morale et materielle à la quelle je suis vouée.

Mais c'est au nom du sort, de l'avenir de mon fils surtout que j'ose m'adresser. Devenu Russe, il est destiné à servir toute sa vie sa nouvelle patrie. Un peu de patrimoine, s'il serait possible de le lui conserver, facilitera toujours son avenir.

Monseigneur, déposant entre les mains de Votre Altesse cette humble requête, c'est les sentiment si élèves et si éprouvés de justice et d'équité de Monseigneur que j'invoque comme arbitres.

Votre Altesse decidera si elle peut être déposée aux pieds de Sa Majesté l'Empereur. Monseigneur, que Votre Altesse condescend à agréer l'hommage du plus profond respect de Votre Altesse le plus humble et le plus devoué Serviteur

Wyschyna le $\frac{\text{25 Juillet}}{\text{6 Août}}$ 1841. Adam Gurowski.

3.

A son Altesse Monseigneur le Prince de Varsovie etc. etc. etc.

Monseigneur, sachant à quel point la volonté de Votre Altesse est décisive dans tout ce qui concerne ma position et plein d'une foi entière dans la haute équité de Votre Altesse j'ose encore l'importuner par la prière suivante.

J'ai retiré par médiation de son Excellence le Comte de Benkendorff l'humble supplication de pouvoir obtenir une démission définitive jointe à la suprême permission de rester désormais près de ma famille.

C'est à coup sûr à la volonté de Votre Altesse que ma prière sera renvoyée, que Votre Altesse daigne condescendre à l'accueillir gracieusement.

Sans capacité civile dans le royaume, je pourrais pourtant, par un arrangement avec ma famille, obtenir de celle-ci un petit coin de terre, ou il me sera permis de vivre pour moi et pourtant rapproché de sou cercle; si au moins par une démission ma position acquiert quelque stabilité.

La bonté si condescendente, avec la quelle Votre Altesse daigna toujours envisager ma position, me laisse espérer que Votre Altesse ne me refusera pas ce refuge, qui certes ne saurait troubler personne dans le pays.

Les désagrements nombreux, mais personnels à moi, seront facilement évités par une séparation d'avec les autres habitants, et, Monseigneur, cette position ne m'inspire pas tant des craintes et ne me décourage pas autant, que de me voir lancé au milieu des hostilités d'une autre nature mais bien poignantes, la en Russie, ou partout je serais isolé, sans amis, sans protection, et sans stabilité.

Monsieur, j'ai fait tous les sacrifices humainement possibles à mes convictions, a mes idées; serai je fautif de ne plus sentir le courage et les forces morales necessaires pour m'éloigner à jamais des seules personnes au monde qui m'entourent, malgré mes opinions, de sympathie!

Votre Altesse tiendra entre Ses mains le sort d'un homme qui plein de confiance s'en remet entièrement aux sentiments si élevés de justice dont tous les actes de Votre Altesse sont marqués.

Monseigneur, daignera condescendre d'agréer avec bonté l'hommage du plus profond respect de Votre Altesse le plus humble et le plus devoué Serviteur

Adam Comte Gurowski
Le 12 Novembre 1841.

4.

A son Altesse Monseigneur le Prince de Varsovie etc. etc. etc.

Monseigneur, ma position ne me permet pas d'espérer de pouvoir jamais personnellement déposer l'humble et soumise prière aux pieds de Sa Majesté l'Empereur.

Me trouvant presentement par l'heureux concours des circonstances dans la dépendance de Votre Altesse en déposant ce placet, j'ose implorer la puissante intervention de Monseigneur.

Votre Altesse accorde à tous ceux qui l'invoquent Sa condescendante et efficace protection.

Monseigneur, les sentiments si élevés et si noblement généreux de Votre Altesse me font espérer, que moi aussi je pourrais trouver grâce devant Votre Altesse.

Monseigneur, daignez agréer avec bonté l'hommage du plus profond respect de Votre Altesse le plus humble et le plus dévoué Serviteur

Adam Comte Gurowski
Władysławowo district de Konin. Gouv. de Kalisch, le 22 Avril 1842.

5.

En implorant le magnanime pardon aux pieds de sor Majesté l'Empereur et la permission de pouvoir par le service sous Son Sceptre effacer au moins en partie les fautes et les errements de ma jeunesse, je ne pouvais avoir en vue ce qu'on nomme ordinairement vouloir faire une carrière.

Mon seul bût a été de pouvoir travailler et appliquer quelques moyens dans une voie qu'on aurait bien voulu m'assigner.

La seule espérance que je conservais comme aussi l'unique soubait, c'était de pouvoir acquérir avec le temps une position honorable, — afin que les resultats d'une démarche de contrition, démarche partie du coeur et de la conviction, que ces resultats ne soient pas marqués de déshonneur, ou n'y menent aux yeux du monde insensiblement.

Si seulement indépendant des premiers bésoins matériels de la vie, mon seul honneur aurait été de rester toujours dépendant de la volonté de Sa Majesté l'Empereur.

Le travail intellectuel ou littéraire exige des ressources de tous genres, impossibles à se procurer à un particulier aux moyens restreints. Ressources que seulement une grande ville peut offrir. Je me suis appliqués de toutes mes forces à étudier, a me pénétrer du bien que renferme la Russie et son organisation.

Les résultats de ces études de bonne foi étaient accueillis avec une magnanime condescendence par Sa Majesté l'Empereur et par tous les hommes de bien à Petersbourg.

Pour être à même de continuer dans cette voie, à la quelle je me suis attaché avec ferveur, encouragé par l'accueil mentionné plus haut, j'osais ésperer que le séjour de St. Petersbourg me serait permis, comme seul lieu dans tout l'Empire ou j'aurais pu être utilisé d'aprés mes moyens.

Pour un Russe la patrie est dans toute l'étendue de l'Empire, — pour moi isolé, le rapprochement de mon fils, seul lien au monde, puis la possibilité d'un travail util, rendaient St. Petersbourg désirable, — non comme vue d'ambition, mais comme seul lieu de refuge et de repos.

J'ai cru pouvoir être employe sous le souffle suprême du pouvoir à travailler entre autres dans la presse. La presse qui bien comprise devient un des meilleurs leviers du pouvoir. Je ne peux me hasarder d'entrer ici dans un développement de cette idée. Je mentionnerai seulement que la presse publique, étant aujourd' hui un élément puissant, les Gouvernements du même principe que celui de l'Empire la Prusse et l'Autriche possedent des écrivains du Gouvernement comme publicistes, qui dans les organes quotidiens expliquent et éclairent les tendauces et la pensée gouvernementale.

Penetré comme je me sens de la vérité du pouvoir autocrate, j'avais cru pouvoir être un instrument util entre ses mains, devenant sous ses auspices et sous ses inspirations un écrivain, et travaillant pour un journal de Petersbourg qui serait organe du Gouvernement.

A coté de ceci il m'aurait été facile de continuer les études et les occupations, étant plus à même de me consacrer à ces études — là qu'au travail du bureau.

Mais comme j'ai cru avoir acquis la douloureuse conviction que la seule voie dans la quelle il m'aurait été permis de m'appliquer utilement comme aussi le seul lieu ou j'aurais pu trouver des ressources et des moyens, comme aussi une direction, me sera interdit à jamais — dechiré jusqu'aux entrailles par la fausse position et le déshonneur qu'on répand sur moi, dérouté, et ne sachant pas quel but donner à mes occupations, ne me sentant plus la force d'âme nécessaire, j'ai osé soumettre l'humble et soumise prière deposée derniérement entre les mains de Son Altesse Monseigneur le Prince de Varsovie.

(Comte Adam Gurowski)

KRÓTKA TREŚĆ Z PISMA POD TYTUŁEM „MOJE PAMIĘTNIKI“ PRZEZ AD. hr. GUROWSKIEGO [W. A. MACIEJOWSKIEGO]

Pisemko to, jakkolwiek z krótkich myśli i ustępów złożone, jest jednej treści i w ogólności zawiera pochwałę Rosji i przyszłość jej wielką przepowiada.

Autor utrzymuje, że ludy i narody zostają pod okrutnem prawem, że następnie kultura i cywilizacja podnoszą je i rozwijają, a doszedłszy do pewnego stopnia, wydają owoc i znów giną, nowym narodom dając miejsce. Tym sposobem Etruria i Grecja i cały świat stary wywiązały się w samolubnego obywatela rzymskiego, który owczasowy świat żelazną ogarnął ręką.

Po upadku Rzyma uczony Arab uległ przeważnej sile Gotów, a wyrafinowana Galia ustąpiła miejsca Frankom.

Z tych powstała chrześcijańska Hiszpania i cały świat poruszająca i cywilizująca Francja. Takiż los spotkał i Polskę, która stała się ofiarą

własnego plemienia, jak i zachodniej Europy. Znalazła ona współczucie i politowanie u tych sąsiadów, którzy najwięcej z jej upadku korzystali...

Teraz twierdzi autor, iż wypada przeszkadzać wzrostowi Rosji, która blisko dwie części kuli ziemskiej zdobyła i zdaje się być niedaleka od sprawdzenia zwięzłej przepowiedzi Napoleona.

Wzrost Rosji w siłę i cywilizacją przez spokojne i przyjazne stosunki z graniczącemi Niemcami zniesie wszelką różnicę polskiej narodowości.

Rosja jest niewzruszoną przez upadek Polski.

Ona wzrastając i rozwijając się zdaje się, iż odebrała przeznaczenia połączyć zachód ze wschodem nie tylko mocą fizycznej władzy, ale za pomocą cywilizacji, chrystianizmu, tych odwiecznych elementów, łącznie pomału działających.

Pod tą tylko formą pojąć mogę sąd ostateczny nad moją Ojczyzną.

Z tego powodu, tłumiąc wszelką nienawiść i odstępując od śmiertelnej i bezużytecznej walki, poddaję się duszą i ciałem tej we mnie zrodzonej i rozwiniętej idei.

A teraz jako Sławianin pysznię się tym nazwiskiem, którym dotąd Europa pogardzała, a które Rosja dopiero wsławiła i naznaczyła mu świetne w rzędzie państw miejsce.

Nie wyżebrała go od Europy, lecz go wyswobodziła.

Sławianin staje teraz w równi z drugiemi narodami i głośno przemawia.

Dlatego uspokojcie się, boleści własnej narodowości, jesteście tylko źdźbłem obok dębu.

Moją osobistość, a zatem i moją wolność, chętnie poświęcam tam, gdzie Sławianin swą samodzielność oswobadza — chociaż pod formą nieco za ostrą.

Czas i przyszłość dokonają reszty, gdyż dwie te potencje wszystkiego dokonywają. Despotyzm był najwłaściwszym środkiem i formą do zawiązania i wzniesienia tak olbrzymiego dzieła, czas i cywilizacja przyniosą ze sobą inne formy.

(Tu autor zwraca mowę do siebie samego, że jest w własnym kraju obcym, oddzielonem od dzieci, i że nie ma kawałka ziemi, ani przytułku).

Lecz wszystkie te udręczenia chętnie by zniósł, gdyby Polska mogła być tym, czym jest Rosja.

Lecz co przeszło, to się nie wróci, — uschłe drzewo nie wydaje owocu ani przyszłości nie zwróci.

Przyszłością Sławian jest Rosja, w głębi której mieści się rozwiązanie wielu historycznych i towarzyskich zagadnień.

Czym ma być kiedyś Sławianin, Rosja pokaże, i dopóki to się nie objawi, dopóty ona wzrastać nie przestanie.

Co zaś zginęło, to się już nie wróci, dlatego szczególne szczepy Sławian, jako to Polacy, Czesi, nad Czarnym i Bałtyckiem morzem, będąc rozdzieleni, nie pojęli idei narodowości i myśli zjednoczenia się.

Jedni walczyli przeciwko germanizmowi, drudzy — Rusinom.

Bitwa husytów była bitwą przeciwko germanizmowi — Polacy również walczyli z narodowym nieprzyjacielem — ale bój ten był próżny i bezkorzystny.

Tymczasem na wschodzie powstaje ród młody, mocny, który blisko w dwóch wiekach zdobywa pół kuli ziemskiej.

Gałęzie tego ogromnego drzewa poginą zapewne, gdyż je kultura osłabiła, a temi są Sławianie, których germanizm osłabił i zniewieścił.

Autor twierdzi, iż historia Polski nie przedstawia, aby Polacy kiedykolwiek do samodzielności dążyli.

A przecież do wydoskonalenia języka narodowego trza mieć byt i egzystencją samodzielną. Tymczasem wszystkich Polaków zaraziła plaga udawania się do cudzych dialektów dla nabycia kultury.

Francuz, Anglik i Włoch są oświeconemi, nie posiadając, tylko swój jeden język. Polak za granicą narodowości szukać musi sędziów swoich prac literackich — nie masz żadnej stałości — nie można mieć też wiary w przyszłość rozwinięcia się czystej polszczyzny, która na przeciwnych usiłowaniach kołysze się.

Lecz może mnie kto osądzić za występnego z powodu, iż się rozwodzę nad nieszczęściami własnego kraju.

(Tu znów autor zwraca mowę o sobie, że się nie ma gdzie podzieć, że w Polsce jest cywilnie umarłem, że w Rosji bez majątku żyć nie można, że jakkolwiek mógłby się zbliżyć do tronu i prosić o wsparcie, to przecież wstyd mu nie pozwala; w końcu ustęp ten kończy uwagą, iż gdyby mu kto zarzucił niekonsekwencją, on się tłumaczy, że w wirze rewolucyjnym trudno było być konsekwencyjnym, którym wtenczas być można, gdy się do jakiejś pewnej dojdzie zasady — a przy ustalonych zasadach konsekwencyjnych autor nie przypuszcza ani postępu, ani oświaty, ani pojęcia)...

...Autor utrzymuje, że polityka i jej siostra dyplomacja wikłają stan towarzystw, a nic stanowczego do skutku nie są w stanie doprowadzić — a jeżeli kiedy, to w teraźniejszych czasach, — jeżeli jakie *factum* nastąpi, protokolizują go i przewidują konsekwencje, a przecież jeżeli *factum* jest niestanowcze, całe zatrudnienie i wszelka przenikliwość dyplomatu do niczego nie doprowadza.

Nie protokoły dyplomatyczne dały życie Belgii, ani dadzą Turcji lub jej koniec położą.

Piotr Wielki i Napoleon nie byli politykami, ale geniuszami.

Niektórzy niemieccy uczeni jednoczą się dla utrzymania germanizmu i rozwinięcia własnego życia — zdaje się, iż Niemiec nie chce się odłączyć od swego kraju, ale usiłowania te nie leżą w naturze rzeczy. Fakta bowiem nas przekonywają, że Niemcy zakolonizowały całą Europę. Ze wszystkich narodów Sławianie najbardziej są przywiązani do swego kraju, ich zatrudnieniem jest rolnictwo, które przywiązuje ich do ziemi, i z tego też powodu handel w tych narodach nie zakwitnął, jedni Rosjanie z powodu swej rozmaitości stanowić mogą wyjątek.

Od Sławian pochodzi rolnictwo, nie byli oni nigdy chętni do wędrówki, żadne ubóstwo i nędza nie może go z kraju wydalić, szczęście jego zasadza się na tym, aby kości jego leżały obok kości przodków jego.

Rosja stanowić ma wzrost pokolenia, którego będzie oswobodzicielką.

(Tu autor robi ustęp, że się wychował w Niemczech, że tam wychowanie odebrał i najpiękniejszę lata życia przepędził, przecież pomimo to wszystko nie życzy, aby germanizm ze sławianizmem był połączony, lecz owszem pragnie, aby Sławianie mogli tak wzrość i kwitnąć jak ludy niemieckie...)

Co do kultury, Polacy przewyższają Rosjan, ale co do istotnej zasady nie odpowiadają ogólnym i głównym warunkom cywilizacji, dla tego, iż wszystko u nich jest pojedyncze, — nigdy nie było jednej siły łączącej lud, — napróżno by jej szukano w towarzyskim porządku — a nawet w historii nie występuje jako kraj, naród lub rząd mocny uorganizowany, nawet w czasach najświetniejszych.

Lecz właśnie, co Polakom zbywało, tym w świetniejszym stopniu posiada to Rosja: Polska miała ducha opozycji, który jej historią stanowi.

Arystokracja lubo miała przewagę, przecież nie będąc na pierworodztwie uzasadnioną, upadła.

I żaden stan nie ustalił się. ani wydał żadnej stałej zasady, jak w Anglii. — Stany te, nie będąc ani połączone, ani utrwalone, nie mogły uratować upadającej budowy narodu, jak zaś stany rosyjskie wzrastały i wzrastają, to każdemu o tem wiadomo... (Autor nie przypuszcza życia bez wiary w cywilizacją, która wszystko ulepsza i do stopnia doskonałości doprowadza.)

Ze wszystkich znakomitych ludzi, których autor miał sposobność poznać, największe na nim zrobił wrażenie Jaśnie Oświecony Książe Namiestnik Królestwa Polskiego, którego wzniosłym przymiotom serca, umysłu i pięknego charakteru autor sprawiedliwość oddaje...

Autor twierdzi, że zastanawiając się nad stanami narodów, przyszedł do tej konsekwencji, że jakkolwiek świetne skutki handel wydaje, przecież dla chciwości pieniędzy ludzkość jest przeciążona i w warsztatach dużo

ludzi z pracy ginie, że stan ten jest gorszy od czasów, kiedy feodalizm i arystokracja panowały.

Że szlachta więcej zrobiła koncesyj handlowi niż handel ludzkości...

Historia dawnego towarzystwa, które było oparte na rodzie i pokrewieństwie, zdaje się upadać i rozwiązywać — zasada ta, jako naturalna, nie powinna była upaść ani ustąpić prawom miejskości (*bourgeoisie*) lub spekulacjom handlu.

Dlatego autor wierzy w odwieczną potrzebę monarchii, która się zawsze pomiędzy ludźmi utrzymuje. Monarchiczność ustanowiła stany, uporządkowała je, wyzwoliła i wywyższyła.

Monarchowie nawet z zaburzenia wyprowadzają zbawienne skutki dla kraju, dlatego autor mniema, iż czas pokaże, iż monarchia musi swój tryumf odnieść.

Co autor czytał i słyszał o Ameryce, to za niestosowne dla Europy uważa, jako już za daleko w oświacie posuniętej i mającej swe zadawnione instytucje.

Autor nie wierzy w republikanizm jakiejkolwiek bądź formy. Z tego punktu nie może oceniać wolności, — ma przecież nadzieję autor, że czas wykryje inne prawdy, w skutku których harmonia, tak w moralnym, jak w materialnem świecie nastąpi, i ma nadzieję, że arystokracja obok demokracji skutecznie działać może...

Stan biedny ubogiego chłopa polskiego przypisuje autor szlachcie, która go uciska. Środek uwolnienia przypisuje Rosji, która ma zamiar skasować pańszczyznę.

Sławianin jako uprawie ziemi poświęcający się najłatwiej może się poddać nowej organizacji. Autor obiecuje pracę swą przyszłą temu przedmiotowi poświęcić, i z tego powodu lepszą dla siebie przyszłość rokuje.

Autor zgłębiając Rosją starał się poznać jej organizacją, charakter i ducha żywotnego.

Siła żywotna, wewnętrzna, i moc nadzwyczajna, którą Rosja rozwija, jest nowem zjawiskiem, które wszystkich w zadumienie wprawia i rokuje jej niezmierzoną przyszłość, — zasadza się ona na duchu narodowem, który się od 150 lat ciągle rozwija i porządkuje, co jej nadaje pierwszeństwo przed innemi narodami, a to wszystko bez pomocy polityków.

Wielkiego serca i umysłu autokraci nie mieli Rycheliego, Sullego, Ksymeneza, Alberoniego do uporządkowania, uorganizowania i ożywienia swego narodu.

Żaden z podwładnych nie odznaczył się szczególnie — jako wykonywacze chwilowi wielkiej monarchii, — wykonywają plany przez autokrację im nadane, które za pomocą zdrowego światła urzędników do skutku bywają doprowadzone.

Rosjanin, który może nie obejmuje ogółu, tym dokładniej zna swój szczegół — dlatego każdy szczegół w swoich najdrobniejszych odcieniach jest doskonale wypracowany, a polityk nie potrzebuje, jak połączyć szczegóły, aby dobry ogół sobie przywłaszczyć.

Przez tych wszędzie rozsianych pracowników Rosjanie wszystkiego dojdą, wszystko strutynują i wszystkiemu właściwe nadadzą zastosowanie — tak jak mrówki, pracują pod naturalnem i wyższem natchnieniem władzy kierującej.

Dlatego łatwo pojąć, dlaczego tam wielkie pomysły, zadania i zamiary w cichości, bez ogłoszenia nagród, rozwiązują się i do skutku przychodzą.

Praga *Włodzimierz A. Francew*

NAJPIERWSZA POWIEŚĆ HENRYKA SIENKIEWICZA

W słowie wstępnym do wydania listów Henryka Sienkiewicza, pisanych w r. 1865 i 1866 z Poświętnego, wypowiada wydawca tych listów, p. Stefan Demby, twierdzenie, że pierwszym utworem Sienkiewicza była powieść pt. *Ofiara*, zaczęta i skończona w grudniu 1865 roku[1]. Twierdzenie to jednak nie odpowiada rzeczywistości, już bowiem na kilka lat przedtem napisał autor *Trylogii* powieść, będącą istotnie pierwszą jego powieścią. Podał o niej wiadomość jeszcze w roku 1897 ks. Adolf Pleszczyński w notatce *Najpierwsza powieść Sienkiewicza*, pomieszczonej w zapomnianym dziś wydawnictwie: *Dla sierót. Książka zbiorowa* wydana staraniem Lubelskiego Towarzystwa Dobroczynności r. 1897 (Warszawa, 1897, s. 128—131). Nieznany naszym historykom literatury artykulik ks. Pleszczyńskiego przypomniałem w r. 1924 w notatce: *Pierwsza powieść Sienkiewicza*[2]. Ale i ten artykulik utonął w morzu niepamięci, wobec tego nie od rzeczy będzie przypomnieć uwagi podane przeze mnie przed 13 laty[3].

Wiadomość o owej powieści Sienkiewicza opiera się na opowiadaniu ks. kanonika Marczewskiego (um. w styczniu 1869 r.). Przed wstąpieniem do stanu duchownego był ks. Marczewski guwernerem w domu państwa Aleksostwa Dmochowskich w Burcu. Młody Sienkiewicz, spokrewniony z Dmochowskimi[4] bawił nieraz w domu ich podczas wakacyj. Jednego

---

[1] *Pamiętnik Literacki*, 1936, s. 888. O powieści *Ofiara* wspomina już Stanisław Aleksander Boleścic-Kozłowski, *Henryk Sienkiewicz i ród jego*. Warszawa, 1917, s. 31.

[2] *Ziemia Lubelska*, 1924, nr 293 z dnia 26 października, s. 6. W tym samym roku *Polak - Katolik* (Warszawa) wydrukował notatkę ks. Pleszczyńskiego z pewnymi zmianami pt. *Najpierwsza powieść H. Sienkiewicza* (nr 21 z 27 listopada, s. 2).

[3] Śp. Gabriel Korbut, któremu swego czasu przesłałem mój artykuł, zamieścił o nim wzmiankę w *Literaturze Polskiej*, wyd. II, t. IV (1931) s. 136, wymienił tam także na podstawie mej notatki artykulik ks. Pleszczyńskiego na s. 133. Kazimierz Czachowski, *Henryk Sienkiewicz* Warszawa, 1931, s. 21 w bibliografii podał również tytuł mego artykułu.

[4] Aleksy Dmochowski, dziedzic Burca, był ożeniony z Aleksandrą Cieciszowską, córką Adama Cieciszowskiego (um. 1824 r.), która była siostrą Stefanii, małżonki Józefa Sienkiewicza (ur. 1813 r., um. 1896 r.), ojca Hen-

lata ks. Marczewski zadał uczniom swym wypracowanie na dowolny temat. Chociaż Sienkiewicz był tylko przygodnym uczniem ks. Marczewskiego, podjął się także napisania wypracowania; po wakacjach złożył zdumionemu księdzu kilkuarkuszowy zeszyt, obejmujący obszerną powieść. Wyobraźnię młodego chłopca zajęły ruiny zamku w okolicy Burca; według ks. Marczyńskiego „dosyć dla niej było trochę gruzów porozrzucanych wśród starych okopów, porosłych bluszczem i dzikimi różami, aby na tym miejscu odbudować stare zamczysko, osiedlić w nim jednego z tych dumnych magnatów, o jakich niezawodnie coś już słyszał lub czytał, i we wszystko to tchnąć niezwykły ruch i życie“.

Zamek wspomniany stał się punktem środkowym całej akcji. Oto jak opowiada ks. Marczewski treść tej powieści: „Mieszka w tym zamku magnat, któremu wpadła w oko śliczna córka szlachcica z sąsiedniego dworku. Cnotliwa dziewczyna gardzi umizgami magnata, tym bardziej, że miłuje młodzieńca, który pełen młodości i krasy wyruszył właśnie na potrzebę z królem, chcąc tam dobić się sławy i majątku, bo pod tym tylko warunkiem stary szlachcic ze dworu obiecał mu swoją Jadwigę. Tymczasem sąsiad magnat nie zasypia gruszek w popiele i gdy nie pomagają obietnice i dary, zaczyna grozić i wreszcie nękać biednego sąsiada. Rzeczy dochodzą do tego, że magnat siłą najeżdża dwór, rani ojca, broniącego czci własnej i córki swej, i oboje uwozi do zamku, pewny, że upór przełamie. Lecz na próżno! Szlachetny więzień rzuca w oczy swemu ciemiężcy wobec całego dworu słowo „podły“, a córka oświadcza magnatowi, że jemu i sobie śmierć zada, jeżeli ją z ojcem rozłączyć zechce. Nie wiedząc, co dalej począć, rozgniewany magnat każe oboje wtrącić do podziemnych lochów. Tymczasem dają znać, że palą się gumna, że Tatarzy przed bramą. Powstaje straszny zamęt, walka, w której zaskoczeni żołnierze kasztelana prawie wszyscy giną, on sam ciężko ranny idzie w jasyr. Rozpoczyna się orgia Tatarów w zdobytym zamku, który wreszcie pijani barbarzyńcy podpalają. W tej chwili nadciąga oddział szlachty, na czele której ów narzeczony Jadwigi, właśnie powracający z wyprawy. Walka przekształca się w rzeź Tatarów, ale tymczasem zamek wali się w gruzy. Zrozpaczony wódz odsieczy na próżno szuka wszędzie żywej lub zabitej Jadwigi swojej, aż wreszcie z podziemnego otworu dochodzi go przytłumiony odgłos pieśni pobożnej. Młodzieniec poznaje głos Jadwigi, rozbija zamykające ją drzwi i wyzwala. No i oczywiście ojciec im błogosławi, a kasztelan, umierający z ran, błaga o przebaczenie, na zadośćuczynienie zaś za krzywdy, oddaje im wszystkie skarby odebrane od Tatarów, wraz z siedzibą swoją“.

---

ryka Sienkiewicza. Według aktu urodzenia Henryka Sienkiewicza ojcem jego chrzestnym był Aleksy Dmochowski. Por. Boleścic-Kozłowski, jak wyżej, s. 20—22 i 24.

Rękopis tego pierwszego utworu powieściowego Sienkiewicza nie dochował się, przepadł bowiem wraz z innymi papierami ks. Marczewskiego w r. 1863. Według zapewnień jego w utworze tym zajmowała nie tyle fabuła, ile żywe, pełne bujnej wyobraźni przedstawienie. Na podstawie tej pierwszej próby przepowiadał ks. Marczewski świetną przyszłość swemu przygodnemu uczniowi, mając głębokie przekonanie, że stanie się prawdziwą ozdobą polskiej literatury.

Do owych szczegółów, powtórzonych za ks. Pleszczyńskim, dodaję jeszcze kilka uwag. Ponieważ ks. Marczewski od r. 1860 nie przebywał już w Burcu, należy odnieść tę pierwszą próbę powieściową Sienkiewicza, której tytułu niestety ks. Marczewski nie zanotował, do bardzo wczesnych lat młodziutkiego autora; może więc do r. 1859 (miałby więc wówczas Sienkiewicz lat 14). Ale sam Sienkiewicz w *Wieczorach Rodzinnych* (z r. 1900, z 5 stycznia) wspomina, że pisał wiersze i utwory prozaiczne już przed r. 1858, w którym zaczął uczęszczać do gimnazjum w Warszawie. Na wszelki sposób, jak dotychczas, jest to najwcześniejszy utwór powieściowy Sienkiewicza. Wobec niemałych zalet literackich było to istotnie zjawisko niepospolite, mogące uprawnić ks. Marczewskiego do tak wielkich nadziei o swym uczniu.

Niezwykle charakterystyczną jest przy tym rzeczą, że pierwszą większą próbą literacką Sienkiewicza była powieść historyczna; widoczne więc, że ku temu rodzajowi powieści zwracał się umysł jego już od wczesnych lat.

Ponadto owa pierwsza powieść historyczna Sienkiewicza jest znamienna jeszcze z tego powodu, że wprowadza kilka motywów, które spotykamy bardzo często w późniejszych jego powieściach historycznych. Przede wszystkim główną rolę w powieści odgrywa porwanie bohaterki, dalej oblężenie zamku, niespodziewana odsiecz, miłość kochanków, napotykająca liczne przeszkody. Były też w tej powieści wyidealizowane postaci szlachetnego bohatera, nieustępującej mu pod tym względem kochanki, — poza tym ujemny typ rywala.

Trudno rozstrzygnąć stanowczo, w jakich czasach rozgrywała się akcja powieści, w szkicu treści jest tylko ogólnikowa wzmianka o królu. Według wielkiego prawdopodobieństwa akcję przeniósł Sienkiewicz na w. XVII, a więc tę epokę, która później stała się tłem *Trylogii*.

Samą miejscowość, w której odbywała się akcja powieści, upamiętnił Sienkiewicz w znanej powszechnie, ślicznej scenie *Potopu*, rozgrywającej się „we wsi Burzec, położonej w ziemi łukowskiej, na pograniczu województwa podlaskiego, a należącej podówczas do państwa Skrzetuskich“ (Tom I, rozdział XI, s. 230 w wydaniu szóstym warszawskim; por. nadto wzmianki o tej miejscowości również w *Potopie*, w tomie II, r. XI, s. 189 i n., w tomie III, r. IV, s. 65).

Z przykrością w końcu wypada mi zaznaczyć, że coraz częściej nad wynikami poprzedników przechodzą piszący u nas o rozmaitych kwestiach historyczno-literackich do porządku dziennego; tak stało się i tym razem. Szczegół o najpierwszej powieści historycznej Sienkiewicza na przestrzeni lat czterdziestu (1897—1937) trzeba było przedstawiać wobec tego aż cztery razy. Może tym razem przejdzie już wreszcie jako pewnik do badań Sienkiewiczowskich.

Lwów *Wiktor Hahn*

NOTATKI DO ŻYCIA I TWÓRCZOŚCI WACŁAWA ROLICZA LIEDERA

I. BIBLIOGRAFIA

Wacław Lieder (1866—1912), zapomniany poeta, tłumacz, orientalista i językoznawca-dyletant, stanowi jaskrawy przykład rozdźwięku między społeczeństwem a jednostką odbiegającą od normy. Tragedią jego było, że był w poezji językoznawcą, a w językoznawstwie — poetą. Niemniej jego talent poetycki mierny, ale niekiedy oryginalny aż do dziwactwa, rozbłysł raz nagle i na krótko. Stało się to, gdy w Paryżu zetknął się z symbolistami francuskimi, a nade wszystko z „kręgiem“ otaczającym wielkiego odnowiciela poezji niemieckiej, Stefana George'a. Tłumaczony, ceniony i przeceniony przez George'a, został porwany w wir twórczy i przeszedł sam siebie. Stał się wtedy w poezji polskiej nieznanym poprzednikiem głośnych później prądów. Ale ten właśnie „moment twórczy“ Liedera przeszedł bez echa. Ekscentryk o szalonej, chorobliwej ambicji, zrażony bezwzględną, lecz słuszną krytyką pierwszego tomu poezyj, zerwał — po gwałtownych inwektywach — ze światem czytelników. Drukował swe wiersze przez dalszy dziesiątek lat w ścisłym ukryciu jako druki prywatne, rozsyłane przyjaciołom, głównie za granicą, i zakazywał wszelkich wzmianek „bodaj dwuwyrazowych“ o nich. Stąd znane są dziś nielicznemu gronu specjalistów wczesne najsłabsze utwory Liedera, a nikt prawie nie czytał późniejszych, właśnie... najlepszych. Dziś druki te są to białe kruki, o których krążą legendy. Próżno byłoby ich szukać w zbiorach publicznych. Konspiracja — wyraz wewnętrznej tragedii poety — była tak doskonała, że nie zdołali do nich dotrzeć nawet dwaj autorzy, którzy usiłowali ostatnio, zresztą w sposób niewystarczający i nieścisły, wskrzesić pamięć Liedera[1].

---

[1] S. Napierski zna tylko niektóre pozycje, przytaczając je zresztą niedokładnie (*Zapomniany polski modernista*. Warszawa, 1936), a K. Bazar tylko pozycję 11 (*Skamander*, t. IX, s. 540—9). Charakterystyka poety oparta na niewystarczającym materiale jest u ostatniego zupełnie błędna. Sprostowanie szeregu nieścisłości Napierskiego w życiorysie Liedera i uzupełnienie braków pozostawiam na później.

Zajmując się Liederem od dłuższego czasu, zdołałam zgromadzić komplet jego prac i podaję niżej bibliograficzne ich zestawienie. Same tytuły i bibliograficzne adnotacje charakteryzują już tego pisarza. Owe zakonspirowane, rzadkie druki (a mianowicie poz. 3, 8, 9, 10, 12, 13) zasługują również na uwagę z tego powodu, że Lieder, za przykładem George'a, zwracał pilną uwagę na estetykę druku (na kilka lat przed Wyspiańskim!), a oficyna Anczyca, z której większość z nich wyszła, uczyniła z nich prawdziwe arcydzieła typograficzne.

Bibliografia niniejsza obejmuje komplet publikacyj Liedera, wydanych osobno, pomija natomiast jego utwory, rozproszone po czasopismach.

1. Lieder Wacław. *Poezje* I. Kraków, 1889. Nakład poety. Skład gł. Gebethner i Ska. Druk. Wł. L. Anczyca, stron 284, ill. 1.

2. Lieder Wacław. *Z księgi lirycznej*. Paryż, 1890. Publikacja bezpłatna. Nakładem poety. Druk. Wł. L. Anczyca, stron 24 [egz. 3000].

3. Lieder Wacław. *Poezje* II. Paryż (1891). (Nakł. autora. Druk W. L. Anczyca), stron 287 nl. 1.

(Na k. 2: „Wytłoczono dla autora książki niniejszej reprodukcji sześćdziesiąt w oficynie Wł. L. Anczyca i Sp. pod zarządem Jana Gadowskiego w Krakowie dnia dwudziestego majowego MDCCCLXXXXI". Na s. 288: „Książka niniejsza jak to wskazuje ilość jej odbitek na przedaż nie przeznaczonych, została wydana jako rękopismo, które autor ofiarował, bądź jako przyjacielski, bądź jako poetycki upominek wyżej wymienionemu gronu osób, które go czytać chciało. Osoby, w których ręce wpadnie niniejsze wydawnictwo, zechcą przyjąć do wiadomości, iż wszelkie przedruki, wszelkie wyciągi, bodaj jedno-wierszowe, bodaj dwu-wyrazowe, oraz wszelkie sprawozdania o książce niniejszej, jak również publiczne wygłaszanie utworów w niej zawartych, nie dozwala się. Autor-wydawca").

4. (Lieder Wacław). *Wacława Liedera odezwa do polskiéj publiczności.* Paryż, 1892. (Druk W. Drugulina w Lipsku), stron 9, nl. 2.

(Na s. nlb.: „Ponieważ Odezwy niniejszéj nie chciano wydać w Polsce, odtłoczono ją w ilości tysięca pięciuset odbitek w Lipsku, w officynie W. Drugulina, dnia czwartego styczniowego, roku tysiąc-ośmset-dziewięćdziesiąt-wtórego").

5. (Lieder Wacław). *Monument wszeteczeństwa gazeciarskiego* pod pion sumienia i obowiązku wzniesiony, gipsaturami tytułów kunsztu pisnackiego olepiony, a przez authora abrysu fundowany ku czasów spółczesnych sromocie vulgo wiersz nie dla dzieci ale głupim ku uciesze, mądrym ku reflektowaniu uczynienia Wacława Liedera poety potępionego przez cenzurę warszawską i prasę polską. Lutetiae Parisiorum MDCCCLXXXXII (Paryż, 1892). (Druk W. Drugulina w Lipsku), stron 13, nl. 1.

(Na s. 3: „Ponieważ Wiersza niniejszego nie chciano wydać w Polsce, odtłoczono go, dla bezpłatnego rozdania, w ilości tysiąca pięciuset odbitek w Lipsku, w officynie W. Drugulina, dnia dwudziestego siódmego styczniowego, roku tysiąc-ośmset-dziewięćdziesiąt-wtórego").

6. (Lieder Wacław). *Elementarz języka arabskiego*. Skreślił Damian Rolicz Lieder. Część pierwsza. Abecadlnik. (Kirchhain, 1893) stron 79.

(„Wytłoczono w Kirchhainie u G. Zahna i H. Baendla, dla autora w Warszawie MDCCCLXXXXIII").

7. *Abu Sajid Fadlullah Ben Abulchajr i tegoż czterowiersze* Przełożył s perskiego Damian Rolicz-Lieder. Kraków. Nakł. tłumacza Druk W. L. Anczyca i Ski. 1895 (rom.) stron 47.

8. Lieder Wacław. *Wiersze* III. Paryż — Warszawa — Wiedeń 1892—1895. (Kraków, 1895. Nakł. autora. Druk. W. L. Anczyca) stron 128.

(„Na s. 128: „Wytłoczono dla Autora jako rękopismo w pięćdziesięciu kolejnymi liczbami znaczonych odbitkach w drukarni Anczycowéj w Krakowie dnia dwudziestego i piątego listopadowego roku tysięcznego ośmsetnego dziewięćdziesiątego i piątego. Odbitka Nr. ... Przedruki i sprawozdania wzbronione").

9. Lieder Wacław. *Moja muza*. Wierszów ciąg czwarty. (Kraków) 1896 (rom.). (Nakł. autora. Druk W. L. Anczyca), stron 64. Na odwrocie k. tyt.: („1891—1896").

(Na s. 64: „Wytłoczono dla Autora nakładem tegoż jako rękopismo w trzydziestu kolejnymi liczbami znaczonych odbitkach w drukarni W. L. Anczyca i S-ki w Krakowie dnia siedmnastego lutowego roku tysięcznego ośmsetnego dziewięćdziesiątego i szóstego. Odbitka Nr. .... Przedruki i sprawozdania wzbronione").

10. Lieder Wacław Rolicz. *Wiersze* V. Paryż (Kraków, 1897 Nakł. autora. Druk. W. L. Anczyca), stron 151, nl. 1.

(Na s. nlb: „Wydano jako rękopismo z drukarni W. L. Anczyca i Spółki w Krakowie dla nakładającego Autora w dwudziestu liczbowanych odbitkach dnia trzeciego sierpniowego roku tysięcznego ośmsetnego dziewięćdziesiątego i siódmego. Odbitki Nr .... Przedruki i sprawozdania wzbronione. Exemplarz dodatkowy przepisany ustawą prasową").

11. (Lieder Wacław). Wacława Rolicza-Liedera *Wierszów księgi pierwsze, drugie i trzecie* powtóre wydane w Krakowie roku MDCCCLXXXXVIII. (Kraków, 1898). Nakład i druk W. L. Anczyca i Spółki, stron 323, nlb. 1.

(Na s. nlb.: „Książka niniejsza wydana została w Krakowie w Drukarni W. L. Anczyca i Spółki w tysiącu i stu egzemplarzach z których sto odbito na papierze czerpanym. Druk ukończono dwudziestego i trzeciego dnia majowego roku tysięcznego ośmsetnego dziewięćdziesiątego i ósmego")

12. (Lieder Wacław). *Nowe wiersze* Wacława Rolicza Liedera. (Kraków, 1903. Druk W. L. Anczyca), stron 63, knl. 2.

(Na odwr. k. tyt.: „(1896—1898)". Na s. 64: „Wydano jako rękopismo z drukarni W. L. Anczyca i Spółki w Krakowie dla autora w Warszawie w stu odbitkach w dniu pierwszym maja roku tysięcznego dziewięćsetnego i trzeciego. Odbitka Nr. ...").

13. (Lieder Wacław). *Uebertragungen* aus den Werken von Waclaw-Rolicz-Lieder. Im Verlag der Blätter für die Kunst. Berlin 1905, knl. 20.

(Na k. 20: „Gedruckt in STG Schrift von Otto von Holten in Berlin im Februar neunzehnhundertundfünf in fünfundzwanzig Exemplaren").

14. Lieder Wacław Rolicz. *Pieśni niepodległe.* Z wydań rękopiśmiennych odbito w Warszawie R. 1906 (s. i. n.), knl. 16.
(Na k. 16: „Te pieśni powstały w latach 1890—1892“).

15. (Lieder Wacław). *Krakof i Olof dwaj bajeczni władcy Wawelu.* Dociekania archeologiczno-filologiczne Wacława Rolicza Liedera. Wyrażono w Warszawie MDCCCCX, stron 32.

16. (Lieder Wacław). *Do Szanownego Komitetu Kasy Pomocy Imienia Doktora Józefa Mianowskiego.*
(Podp. Warszawa d. 20 XI 1910, ul. Hoża no 25), knl. 2.

17. (Lieder Wacław). *Do Prześwietnej Cesarsko-Królewskiej Akademii Umiejętności w Krakowie.* Rzecz Wacława Rolicza Liedera.
(Podp. Warszawa, d. 25 listopada 1910 r., ul. Hoża no 25), knl. 2.

18. Lieder Wacław Rolicz. *Do Jego Królewskiej Wysokości Księcia Pana Adama Czartoryskiego.*
(Podp. Warszawa d. 29 listopada 1910 r., ul. Hoża no 25), knl. 1.

19. Lieder Wacław Rolicz. *Do Prześwietnej Cesarsko-Królewskiej Akademii Umiejętności w Krakowie.*
(Podp. Warszawa, d. 27 grudnia 1910 r., ul. Hoża nr 25), knl. 4. (Zawiera również orzeczenia Aleksandra Brücknera, Jana Rozwadowskiego, Adama Antoniego Kryńskiego, Karola Appla) [1].

II. DEDYKACJE STEFANA GEORGE'A

W życiorysie Wacława Liedera najciekawszą kartę stanowi niewątpliwie stosunek do Stefana George, którego poznał w Paryżu w r. 1889. W późniejszych latach spotykał go kilkakrotnie, o czym wspominają uczestnicy „Kręgu“ [2], a niemal do końca życia utrzymywał z nim stosunki. W spuściźnie po Liederze znajduje się szereg dzieł George'a z następującymi dedykacjami własnoręcznymi, świadczącymi o tonie poszczególnych etapów ich przyjaźni, której przedstawienie rezerwuję sobie do chwili zużytkowania w całości posiadanych przeze mnie materiałów do życiorysu poety [3].

1. Na egzemplarzu *Hymnen.* Berlin, 1890: „Dem Dichter Wacław Lieder Stefan George“.

2. Na egz. *Pilgerfahrten.* Wien, 1891: „Dem Dichter Wacław Lieder in achtung und freudschaft Stefan George“.

---

[1] Oprócz pozycyj wymienionych, opisanych na podstawie egzemplarzy znalazłam wzmiankę o dwóch dalszych: 1. „*Poezje*, tom VI, 5 egz.“, 2. „*Poezje* tom II, wydanie drugie“, obie z adnotacją: „w druku“. Egzemplarzy nie odnalazłam. Być może więc, że tomy te w ogóle nie zostały wydrukowane.

[2] Poza wzmiankami zawartymi w drukowanych wspomnieniach niektórych z nich, posiadam też pewien materiał rękopiśmienny, pochodzący z ich grona.

[3] Artykuł K. Bazara *Stefan George i Wacław Rolicz Lieder* (*Skamander*, t. IX) ogranicza się do wypisów z niedokładnie poinformowanego Waltera, a w ocenie zupełnie zawodzi.

3. Na egz. *Algabal.* 1892: „Meinem lieben freund dem Dichter Waclaw Lieder Stefan George".

4. Na egz. *Das Jahr der Seele.* 1897: „Dem Dichter Waclaw Lieder mit der grossen verehrung und liebe seines Stefan George. Berlin november 1897." (Pismo szczególnie ozdobne).

5. Na egz. *Hymnen-Pilgerfahrten-Algabal.* Zweite Ausg. 1899: „Dem Dichter Waclaw Lieder sein bewundernder und treuer freund Stefan George". (Pismo ozdobne).

6. Na egz. *Tage und Thaten.* Berlin, 1903: „An Waclaw Lieder den Dichter und den Freud im october des jahres 1906 Stefan George". (Pismo szczególnie ozdobne).

Berlin—Paryż *Zofia Ciechanowska*

Z KORESPONDENCJI I AUTOGRAFÓW ADAMA ASNYKA[1]

CZĘŚĆ DRUGA

LISTY RODZINNE[2]

1.

Kraków dnia 27 kwietnia 1871 r.
Ulica Lubicz 6.

Najukochańszy Ojcze!

Zagroził Ojczulek, że już nie tak prędko będzie do nas pisać, bo chyba tylko przed samym odjazdem, więc i ja nie śpieszyłem się z odpowiedzią, mając w perspektywie ten sam rezultat. Może bym nawet jeszcze nie zabrał się do listu, gdyby nie Mama, która tak tęskni i wzdycha za Ojcem, jakby w pierwszych miesiącach pożycia. Jestem nawet o to zazdrosny, bo ręczę, że tak za mną nie tęskniła, ale też, co prawda, nigdy się nie rozłączała z Ojczulkiem na długo.

U nas zmian żadnych, nowości żadnych, mieszkania jak nie ma, tak nie ma. Zwiedziłem z jakie 60-ąt pomieszkań, ale żadne nie na wiele się przyda, zawsze czegoś brakuje, to zły rozkład, to za drogie, to znów ciemne, ponure, to nie ma świeżego powietrza itd. Na przedmieściach nie ma literalnie nic, co by najmniejsze zaspakajało wymaganie. Całą nadzieję położyłem w mieszkaniu na ulicy Mikołajskiej, gdzie przedtem panie Trojackie mieszkały, bo dotychczasowi lokatorowie mają się wynieść, ale jeszcze nie wypowiedzieli, więc nie mogłem na razie skończyć.

Dowodu żądanego przez Ojczulka z uiszczonej wkładki do towarzystwa spożywczego nie ma wcale w papierach. Postępując wedle wskazówek, znalazłem tylko listę członków, której, jako bezużytecznej, nie ma co przesyłać, i statuta towarzystwa, najważniejszej za to rzeczy, to jest dowodu wkładki, ani śladu.

Pyta się kochany Ojczulek, co z Raskalem zrobić? Jest to kwestia bardzo delikatna, nie godzi się jakoś starego sługę wywłaszczać gwałtem z jego jedynej posesji, to jest życia, i ja, jako

[1] Por. *Pamiętnik Literacki,* R. XXXIII, 1936, s. 962—88.

[2] Część ta zawiera: 1) listy Adama Asnyka do ojca Kazimierza z lat 1871 do 1885 (nr 1 do 122), 2) list syna poety Włodzimierza do ojca (nr 123), 3) dwa listy Adama Asnyka do nieznanych osób z lat 1873 i 1878 (nr 124 i 125), 4) pięć listów ojca poety Kazimierza do syna z lat 1875—1885 (nr 126—130).

pierwszy minister, nie mogę kontrasygnować wyroku śmierci. Może się da wynaleźć dla niego służbę, a w najgorszym razie przewiezienie nie może kosztować jak jeden, najwyżej dwa ruble. Pięć rubli, to bilet dla człowieka z Warszawy do Krakowa, a bilet dla pieska nie wynosi jak czwartą część onegoż.

Chciałbym kochanemu Ojcu donieść coś więcej urozmaiconego i wesołego, ale jakoś nie idzie. Mama od kilku dni niedomaga cokolwiek, ja także w tej chwili nie jestem w paroksyzmie wyborowego zdrowia, więc nie jest nam tak bardzo zabawnie.

Z mieszkaniem prawdopodobnie tak się urządzim, że zostaniem tu do ś-go Michała, bo nie chcę brać sam na siebie tej strasznej odpowiedzialności, jaka by zaciężyła przy zmianie lokalu. Myślę, że może Ojczulek będzie z tego zadowolony przez wzgląd na świeże powietrze, tak, jak Mama jest zadowolnioną, że się odłoży termin kłopotu z przeprowadzaniem.

Zakończę mój list przedwcześnie, bo jakoś mi wcale nie idzie dziś pisanie, a droga Mama wyręczyła mnie w znacznej części, zapisawszy całą ćwiartkę.

Ręce kochanego Ojczulka całuję, Wujostwu najserdeczniejsze pozdrowienie.

Adam.

Uwagi.

1. Z biografów Asnyka tylko jeden Antoni Kleczkowski (Por. *Nowa Reforma*, sierpień 1897) wspomina o tym, że poeta po przybyciu na stałe do Krakowa mieszkał przy ul. Lubicz l. 6. Inni (Krzemiński, Offmański) podają, że od razu zakupił domek przy ul. Łobzowskiej, w którym mieszkał przeszło lat 20 i w którym umarł.

Dom przy ul. Lubicz 6 (liczba spisowa) stał na tym miejscu, na którym obecnie wznosi się Hotel Europejski oznaczony liczbą orientacyjną 5 (l. spisowa ta sama, tj. 6). Według informacji obecnego właściciela, dra Jana Kazimierza Łapińskiego, przed wzniesieniem hotelu stał na tym miejscu długi dom, sięgający daleko w głąb ul. Radziwiłłowskiej, a przez ul. Lubicz aż do rogu dzisiejszej ul. A. Potockiego (dawnej Kolejowej). Dom ten zwano popularnie „żandarmerią". Do czasu kupna domu przy ul. Łobzowskiej mieszkała tu rodzina Asnyków, tj. ojciec Kazimierz, matka poety, Konstancja i syn Adam.

2. Raskal, to ulubiony pies Asnyków. Wspomina o nim poeta także w liście z 24 I 1861 z Paryża (Rkps Biblioteki Narodowej w Warszawie l. 326 M)

3. Wymieniona tu po raz pierwszy, a często w ciągu korespondencji poety wspominana rodzina Trojackich to: Marcina z Matczyńskich Jaksa Trojacka (ur. 1805?), wdowa, i jej córka Seweryna z Trojackich Trojacka, również wdowa. Po utracie wielkiego majątku mieszkały w Krakowie. Synowie Marciny: Lucjan, Artur (b. major w powstaniu węgierskim) i Emil, z którym przyjaźnił się Asnyk. Wnuk Marciny a syn Seweryny gospodarował w sądeckim. Archiwum wygasłego już rodu Trojackich znajduje się w posiadaniu rodziny Pawlikowskich w Medyce.

2.

Kraków dnia 13 maja 1871 r.

Najukochańszy Ojcze!

Zasięgałem wiadomości względnie tutejszych kursów uniwersyteckich i mniej więcej tyle mogę donieść:

I. Egzaminów rocznych nie ma wcale, tylko po ukończeniu egzamen doktorski i egzamen państwowy, jeżeli kto tutaj zamierzy praktykować.

II. Nie ma również ściśle oznaczonych na każdy rok lub półrocze kursów, tylko każdy może sobie wybierać wedle własnego porządku na wzór wszystkich niemieckich uniwersytetów.

III. Oprócz kosztów immatrykulacji płaci się tak nazwane czesne, osobno każdemu profesorowi, za przedmiot, na który się zapisuje, co może wynieść około 100 złotych reńskich rocznie.

Względnie korepetycji Kraków obfituje więcej w pragnących ich udzielać, aniżeli w potrzebujących tychże, cały wydział bowiem teologiczny i w znacznej części filozoficzny składa się z studentów, potrzebujących w ten sposób zarabiać na utrzymanie. Państwo Kossak płacą swojemu korepetytorowi prócz stołu i stancji 15 złr miesięcznie, ale za to prócz czterech godzin, które poświęca chłopcom, przez dwie godziny dziennie zajmuje się dziewczynkami, korepetytorowie zaś przychodni za godzinę dziennie biorą zwykle 10 złr miesięcznie.

Co do przeniesienia się Stasia na tutejszy wydział medyczny, jedna jeszcze okoliczność pozostaje dla mnie niewyjaśnioną, a tą jest ta: czy myśli pozostać tutaj stale jako praktykujący lekarz? bo w razie powrotu do Królestwa lub Rosji tutejszy dyplom doktorski na nic by mu się nie zdał i musiałby w Warszawie lub Petersburgu po raz drugi składać egzamen, a w takim razie pewnie by nic nie zyskał na czasie.

Wiosna szkaradna, jakiej jeszcze nie pamiętam w życiu, dokucza nam deszczem, śniegiem, chłodem nieustannie. Dotychczas palimy w piecu, bobyśmy pomarzli, mamy ani sposób wyprowadzić na świeże powietrze, humory skwaszone, barometry zdrowia nie idą bardzo w górę.

Jest u nas właśnie dzisiaj pani Kossak, która idzie od nas na kolej, oczekując panny Anieli, bo podobno dzisiaj ma przyjechać. Dziś także odbył się odczyt Pola, o którym wspominałem poprzednio.

Dwojgu solenizantom, to jest Stasiowi i pannie Zofii, najserdeczniejsze życzenia, Wujence ucałowanie rączek, Wujaszka ściskam. Donieś nam, Ojczulek, kiedy Go mamy ostatecznie wyglądać?

Ręce Jego całuję

Adam [1]

Uwagi.

1. Państwo Kossak, to rodzina Juliusza Kossaka (1824—1899), słynnego artysty-malarza, ilustratora *Trylogii* Sienkiewicza.

2. Odczyt dra Wincentego Pola, podówczas profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego (geografa), był jednym z cyklu publicznych odczytów dla kobiet i odbył się w sali Muzeum Techniczno-Przemysłowego dn. 13 maja 1871 na temat: *O najnowszej poezji polskiej.*

---

[1] Przypisek do listu, pisany ręką matki poety:

Ja także zasyłam obojgu Solenizantom moje serdeczne ucałowanie i życzenia wszelakiej pomyślności. Braterstwu i wszystkim znajomym piękne ukłony, a ciebie, kochany mężu, całuję i proszę, abyś prędzej przyjeżdżał do domu.

3.

Krynica d. 13 sierpnia 1871.

Najukochańsi Rodzice!

Do dziś dnia nie mogłem żadną miarą wyruszyć z Krynicy, pomimo iż przyrzekałem zdążyć na sobotę do Krakowa. Gdyby Wam bardzo zależało na moim przyjeździe, telegrafujcie natychmiast, bo mnie tu towarzystwo całe ciągle zatrzymuje z dnia na dzień i przedłuża ciągle moją bytność. Dziś już byłem zupełnie zdecydowany wyruszyć, gdy wtem stara pani hrabina Rey, którą poszedłem pożegnać, oświadczyła mi, że się obrazi na mnie śmiertelnie, jeśli nie zostanę na jutrzejszą herbatę, którą wyprawia. Trudno mi było się wymówić, a ponieważ z listów Ojczulka wiem, żeście oboje zdrowi, pomyślałem że kilka dni zwłoki nic stanowić nie będzie. Chłapowscy wyjechali we środę, pewnie Karol był u Ojca, bo przynajmniej sam się z tem oświadczał. Czas mi schodzi zawsze jak najróżowiej, żal mi tylko, że nie mogę się podzielić na kilkanaście części, w porównaniu z przeszłym rokiem Krynica jest teraz prawdziwym rajem dla mnie. Towarzystwo jest daleko więcej obfitujące w wszelkiego rodzaju resursa, a znam wszystkich, którzy tylko z jakichkolwiek względów zasługują na uwagę.

Jednem tylko bolesnem zdarzeniem, które zapanowało nad całą Krynicą, była choroba panny Teresy Rudnickiej a w końcu jej śmierć, która ostatecznie wczoraj w południe nastąpiła. Pan Rudnicki dotąd nie przybył z Marienbadu, już jej więc nawet w trumnie nie zastanie.

Na mnie to dziwnie oddziałało, spotkać po tylu latach osobę dawniej znaną i tak wkrótce doczekać się jej zgonu, to może napełnić nieokreślonem uczuciem prawie przestrachu. Szczęściem cały świat żywych odrywa mnie od smutnych myśli i dopomina się o swoje prawa. Dla niej zaś może to prawdziwem odpocznieniem, bo za wiele w życiu wycierpiała. Po wyjeździe pani Modrzejewskiej znaczną część spadku wzięły panie Glücksberg, są one tak samo jak dawniej nadzwyczaj miłem dla mnie towarzystwem a otaczającem mnie prawdziwą przyjaźnią.

Przesyłam Wam jednocześnie przekaz na 50 zł bojąc się, abyście nie ucierpieli na zwłoce parodniowej. W każdym razie dajcie mi znać telegrafem, gdybym był potrzebny w domu lub gdyby Wam zbyt tęskno za mną było.

Ściskam Was serdecznie
Moi Najdrożsi
Wasz Adam

Uwagi.

1. Chłapowscy, to Helena z Bendów Modrzejewska (1842—1909) z mężem, słynna artystka dramatyczna (I *voto* Modrzejewska, II *voto* Zimmajerowa, III *voto* Chłapowska).

2. Panie Glücksberg, to żona i córka Michała Glücksberga, wydawcy *Bluszczu* w Warszawie, z którego rodziną łączyły Asnyka bliskie stosunki. W *Bluszczu* umieszczał Asnyk swe utwory już od r. 1868. (Por. Wóycicki Kazimierz, *Asnyk wśród prądów epoki*, s. 185 i 216, oraz *Bluszcz*, numer jubileuszowy z r. 1935, z rozprawą Julii Wieleżyńskiej, pt. *Asnyk w Bluszczu*

4.

Kraków d. 22 lipca 72
Ul. Łobzowska 99

Najukochańszy Ojcze!

Pierwszą wiadomość o przybyciu Twojem do Warszawy miałem zaraz w niedzielę rano o jedenastej godzinie, bo pan Józef Helbich był o tyle dobry i grzeczny, że niezwłocznie pospieszył do mnie, by mnie ucieszyć chociaż tem słowem, że się widział i mówił z Tobą. Wczoraj zaś otrzymałem list Najdroższego Ojczulka, który się troszkę spóźnił sądząc po dacie, położonej na liście. Szkoda, że się Ojciec tak spieszył, kiedy jeszcze rzeczy nie było, żałuję tych kilku dni urwanych mi, tem bardziej, że się Ojczulek naraził na niewygodę, a interes z pensją i tak czekać musi. Ale co się stało, to już trudno odmienić, dobrze przynajmniej, że mieszkanie wygodne, wesołe i ze świeżem powietrzem. Trzeba jednak, o ile można, najprędzej wyjechać do Konar na lato, bo wiem, że tam Ojcu weselej, zdrowiej i lepiej jeszcze będzie, a mówił mi Józio, jak niecierpliwie pan Helbich wyczekuje tej chwili, a i Adaś gorąco sobie tego życzy, bo będzie swobodniejszym i będzie mógł czasem sobie wyjechać, gdy tymczasem teraz nie może pozostawiać swego ojca samotnym. Ja po wyjeździe Ojca trzymam się jak mogę, zrobiłem natychmiast podanie do magistratu w sprawie rynsztoka, poszedłem jeszcze do prezydenta magistratu, dr Wężowicza, tego, który poprzednio w zimie był na komisji, i mam nadzieję, że się to da dobrze załatwić. Ze studnią nie mogłem się dotąd zdecydować z początku bowiem Kucielski obrachował wspólne koszta na 80 złr z których powiedział, że mi coś pozostanie, ponieważ mam swoje przybory do pompy, byłem się więc już zgodził myśląc, że część moją opędzę czterdziestu guldenami. Lecz gdy dziś przyszedł z pompiarzem i żądali, żebym na samą robotę studni dał na część swoją 44 guldeny a za pompę z użyciem mego materiału jeszcze 18 złr, a zatem 18 złr za samo zastósowanie materiału, odeszła mnie ochota tem bardziej, że już bardzo dużo wyszło pieniędzy na reparacje. Rozpisuję się o tem, bo sądzę, że to jeszcze Ojczulka interesuje. Dużo przejechało przez ten czas znajomych z Warszawy oprócz Helbicha, który potem z żoną pojechał do Kissingen, i oprócz Grabowskich, których Ojciec jeszcze widział, a przynajmniej przewinęło się dosyć innych osób. Między innemi odszukał mnie Laudyn niegdyś mój professor w Kaliszu, nie wiem, czy go Ojczulek pamięta. Przyjąłem go naturalnie serdecznie jako swojego nauczyciela. Potem było towarzystwo pań, między któremi panna Glücksberg, te znowu pojechały do Krynicy. Dzięki przejeżdżającym miałem niejakie roztargnienie, bo inaczej byłoby mi bardzo smutno samemu.

Stary Jan nawet przecież płakał za Ojcem, jakem wrócił z kolei zastałem go beczącego, Azor tylko największy jest filozof, nie tęskni na nikim i nie dba o nikogo, pojawia się, jak się mu chce jeść, i szarpie mnie wtedy za spodnie. Zresztą zmian niewiele. Prze-

niosłem się zaraz w piątek na drugą stronę, a już w sobotę urządziłem się zupełnie.

Kraków powoli się wypróżnia, ze znajomych mało zostało, a reszta wyjeżdża. Jutro powracają Chłapowscy do Warszawy, pojutrze wyjeżdża pani Ryx z siostrą do Krynicy, a we czwartek Librowskie. Księżna Czartoryjska — już przed tygodniem pożegnała Kraków — słowem, *saison morte* na dobre się zaczyna. I ja chciałbym wyjechać tem bardziej, że od paru dni pogoda się ustaliła. tylko jeszcze różne drobiazgi opóźniają mój wyjazd, jak korekta. rozstrzygnięcie kwestii rynsztoka itd.

Prawdopodobnie pojadę do Zakopanego i Krynicy, jeżeli w Zakopanem będzie chłodno i dżdżysto. Napiszę przed wyjazdem, gdzie się udaję, tylko Kochany Ojczulek także mnie zawiadomi wyjeżdżając na wieś, żebym wiedział, gdzie listy adresować.

Wujostwu Zagórowskim i kochanej Zosi najserdeczniejsze pozdrowienia.

Do Sosnowskiego napiszę z podziękowaniem za jego grzeczność, kiedy był tak pomocnym. Widać, że się nic nie zmienił. zawsze poczciwy i usłużny.

Kończąc mój list całuję ręce Najdroższego Ojczulka po tysiąc razy

Adam

Uwagi.

1. List ten jest pierwszym listem z podanym adresem: ul. Łobzowska 99, jakkolwiek poeta był jego właścicielem już od roku przeszło, nabył go bowiem na podstawie kontraktu kupna i sprzedaży z d. 27 lipca 1871 zeznanego u notariusza Romana Goebla, od Piotra i Magdaleny Kowalskich (przed Kowalskimi domek ten posiadał Józef Muszyński). Dom nosił właściwie numerację 99 A. W listach spotyka się raz tę, raz znów numerację bez litery A. W domku tym poeta mieszkał do śmierci. Po śmierci poety odziedziczył dom ten syn jego Włodzimierz (dekret dziedzictwa z 5 XI 1898) Na podstawie kontraktu kupna-sprzedaży z 25 IX 1899, a więc w dwa lata po śmierci poety, dom przeszedł na własność Ignacego Bobera, potem w r. 1909 na jego dzieci (Jakuba i Marię), potem zaraz na własność Władysława Kaczmarskiego, a w r. 1918 na własność obecnego właściciela, Aleksandra Kobylańskiego. Od r. 1882 do dziś realność ma l. orientacyjną 7. Dziś składa się z dwupiętrowego domu i małego podwórka. O domku poety por. Offmański M., *Przyczynek do życiorysu Adama Asnyka*. Warszawa, 1904, s. 67—70.

2. Wspomniana tu po raz pierwszy miejscowość Konary, to wieś koło Przytyka w ziemi radomskiej, wtedy własność słynnego lekarza warszawskiego, dra medycyny i chirurgii, Adama Bogumiła Helbicha (ur. 1796, zmarł 18 III 1881 w Konarach), byłego lekarza sztabowego i dywizyjnego w roku 1831, odznaczonego krzyżem Virtuti Militari, przewodniczącego Warszawskiego Towarzystwa Lekarskiego i twórcy *Tygodnika Lekarskiego*. Dr Helbich po uzyskaniu doktoratu w Berlinie praktykował początkowo w Kaliszu (stąd zapewne znajomość i przyjaźń z ojcem poety, Kazimierzem, także kaliszaninem i także żołnierzem z r. 1831), potem w Warszawie. Cieszył się wielką wziętością i był ceniony i szanowany tak dla swych wybitnych zdolności, jak i dla zalet osobistych oraz bezinteresowności wobec biednych. Od r. 1867 zamieszkał w Konarach, gdzie prawie stale u niego przebywał Kazimierz Asnyk, pomagając przyjacielowi w prowadzeniu gospodarstwa i wprowadzając ulepszenia w nim.

„Przykład przyjacielskiego współżycia tych dwóch starców budził powszechny podziw“, pisze biograf dra Helbicha, prof. dr Łuczkiewicz (*Kłosy*, nr 823 z r. 1881). Pomieszczona z okazji śmierci dra Helbicha jego podobizna w pismach warszawskich dziwnie przypomina portrety Asnyka z ostatnich lat jego życia. — Józef i Adam, to synowie dra Adama B. Helbicha.

3. Księżna Czartoryska (Czartoryjska), to księżna Marcelina z Radziwiłłów Czartoryska (1817—1894), mieszkająca stale od r. 1867 w Krakowie, uczenica Chopina, jego wielbicielka i interpretatorka, sama wybitna pianistka.

4. Wujostwo Zagórowscy: matka poety, Konstancja, była z domu Zagórowska.

5. Od tego listu począwszy używa poeta papieru z żałobną obwódką z powodu śmierci matki, zgasłej w listopadzie 1871. Por. o tym Wóycicki, *op. cit.*, s. 333.

5.

Kraków d. 29 lipca 1872.
Ul. Łobzowska 99.

Najukochańszy Ojcze!

Nie wiem, czy mój list zupełnie zaginął? Czy też przyszedł za pożno do Warszawy? bo ja otrzymałem i pierwszy i drugi, pierwszy w kilka dni później, niż data wskazywała.

Nie będę powtarzał tego, com pisał, bo przypuszczam, że jeszcze Ojczulka list ten dogoni w Konarach. Obecny zaś piszę na ręce Stryja, bo nie wiem na pewno, gdzie ostatnia poczta dla Konar, czy w Radomiu, czy też gdzie indziej.

U mnie nic nowego. Znajomi wszyscy porozjeżdżali się i ja sam jutro wyjeżdżam do Szczawnicy. Upały niesłychane i pogoda sprzyja, trzeba w górach szukać powietrza, bo Kraków teraz strasznie mefityczny.

Ze zdrowiem swojem trzymam się jak mogę i po ostatniej chorobie już troszeczkę się odgryzłem. Ze Szczawnicy obszerniejszy list napiszę, bo teraz nie mam swobodnej głowy przy wybieraniu się.

Cieszę się, że już Ojczulek oddycha świeżem wiejskiem powietrzem w tak miłem towarzystwie swego dawnego i najlepszego przyjaciela. Proszę złożyć mu moje uszanowanie, a Adasia uściskać.

Całuję ręce Najdroższego Ojczulka po tysiąc razy.

Adam.

Uwagi.

1. Uderza w liście rzadko używane wyrażenie „mefityczny“ (łać.) w znaczeniu: cuchnący, duszący.

2. Zapowiedzianego listu z Szczawnicy w zbiorze nie ma, stąd luka w korespondencji aż do 20 września.

6.

Kraków d. 20 września 1872
Ul. Łobzowska 99

Najukochańszy Ojcze!

Przed samym moim wyjazdem z Krakowa piszę do Najdroższego Ojczulka z podziękowaniem za obadwa listy, któremi mnie obdarzył, przystępując zarazem do dłuższej pogawędki, która —

jeżeli wedle słów Ojczulka zdolną jest Mu przyjemność zrobić, — tc tem milszą jest dla mnie pomimo mego znanego lenistwa.

Pan Józef nadzwyczajnie krótko bawił w Krakowie, był u mnie i nie zastał mnie, szczęściem że go dopadłem na kolei i tym sposobem nie straciłem sposobności uściskania go i spędzenia chwil kilku w jego i jego żony towarzystwie. Nie obarczałem go przesyłką, bo już zobowiązałem do tego inne osoby, które mi przyrzekły przesłać ją aż do Konar. Państwa Kossaków obecnie nie ma w Krakowie, pani Zofia pojechała razem z p. Puławską do Szwajcarii do Montreaux odwiedzić swoją siostrę Wyganowską, pan Juliusz zaś pojechał polować z Sapiehą na niedźwiedzie; została więc tylko pani Józefowa Helbich na gospodarstwie. Co do innych osób które Ojczulek poznał w Krakowie, smutną mam wiadomość dc udzielenia o starym Polu; dostał naraz tyfusu i zapalenia płuc i wątpię o jego wyzdrowieniu.

Z przejeżdżających Kongresowiaków między innemi był tu pan Szliwe z Kalisza, myślał, że Ojca zastanie, i zgłosił się do mnie; naturalnie że w zastępstwie Ojczulka poszedłem do niego, naopowiadał mi masę różnych rzeczy o Kaliszu, skarżył się na tameczną partię niemiecką, na Punów, Niedomańskich, Weiglów itp., że go uważają za wroga i odstępcę i prześladują jako takiego.

Opisywał mi burze, jakie bywały w łonie byłej rady miejskiej, gdzie on jako radca staczał olbrzymie walki z owym nienawistnym Punem o chodnik, jak ów wspomniany Pun wskutek intryg otrzymał pochwałę, a on pomimo zasług, jakie położył, został przez władzę zrobaczonym (?), słowem, opowiedział mi całe swoje bolesne a zarazem pełne chwały dzieje, których dramatycznym epizodom przysłuchiwałem się z wzruszeniem. Skończyło się wspomnieniem kufelkowego towarzystwa w ogródku, którego śladu prawie już nie pozostało.

W domku naszym wszystko w porządku, z ludzi, którzy zajmują kuchenkę, jestem ciągle zadowolony, dosyć są dbali o czystość i ład, druga strona jest już teraz odnajętą na całą zimę, komórka po pokryciu dachu blachą nie zacieka już zupełnie, sprawa rynsztokowa skończyła się kolacją i magistrat sam zajmie się przebrukowaniem rynsztoka i połączeniem go z głównym rynsztokiem ulicy Łobzowskiej. W ogródku jesień już widoczna, wskutek ciągłych deszczów rozrosły się bujne chwasty, z któremi się walka prowadzi nieustanna. Zresztą wszystko pozostawiam uregulowane jak najdokładniej.

Do północnego morza jechać nie mogę, bo jakkolwiek kąpiele takowe silniej działają i są skuteczniejszemi dla tych, których piersi nie są zagrożone, dla mnie się przecież nie nadają wedle zgodnych zdań lekarzy. Jadę więc teraz do Wenecji i tam bądź Ojczulek łaskaw nadesłać odpowiedź pod adresem: Venezia, poste restante.

Co do wrażeń podróży, opisów natury i dzieł sztuki odsyłam Kochanego Ojczulka do *Bluszczu*, bo temu sprzedałem duszę moją za sto guldenów na miesiąc. Tam będę umieszczał korespondencje

przez cały czas pobytu we Włoszech, który prawdopodobnie rozciągnie się na całą zimę, bo jest mi potrzebny zarówno dla zdrowia, jak moralnej równowagi i dla dalszej produkcji literackiej. Środki, które mi same w ręce wchodzą, pozwalają mi nie troszczyć się o materialną stronę mych planów, więc z czystem sumieniem mogę odbyć tę podróż, która — jeżeli coś nadzwyczajnego nie zajdzie, — może być z pożytkiem dla mnie i dla drugich.

Nakład drugiego wydania moich poezyj dość szybko się rozchodzi, wydawca przemyśliwa już o trzeciem, ale ja chciałbym zebrać wprzód materiał na tom trzeci. Chodyński był łaskaw pamiętać o mnie i przesłał mi z Drezna swoje książeczki, z których jedna o Stefanie Domalewiczu, historyczna biografia, nie jest bez wartości

Zresztą w Krakowie wszystko po dawnemu, trochę więcej tylko zaczyna się miasto ożywiać, na naszej ulicy przybywają coraz to nowe domy, szczególniej jeden niedaleko nas ogromny stanął na 12 okien frontu, dwupiętrowy, ale bokiem do ulicy. Jak Ojczulek przyjedzie na wiosnę, to zobaczy te wspaniałości.

Cieszę się, że Ojczulkowi tak służy pobyt na wsi, będzie to ulgą po tej okropnej zimie, spędzonej tutaj w Krakowie. Do Warszawy nie ma się po co spieszyć, gdy się znajduje w tak miłem towarzystwie najlepszych przyjaciół.

Proszę złożyć moje uszanowanie panu Helbichowi i Adasia uściskać, wszystkim znajomym pozdrowienia.

O przesyłkę, gdyby się spaźniała, można dowiedzieć się w Warszawie u p. Pauliny Glücksberg, ulica Mazowiecka 4.

Kończę mój list całując ręce Najdroższego Ojczulka

Adam.

Uwagi.

1. Pol, o którego chorobie poeta pisze, zmarł 2 grudnia 1872. — Pamięć jego uczcił Asnyk wierszem: *Na grobie W. Pola*, umieszczonym w wydawnictwie: *Wisła. Księga zbiorowa ku uczczeniu 25 letniej pracy dziennikarskiej Piotra Stalmacha.* Kraków, 1873.

2. Drugie wydanie poezyj Asnyka wyszło w r. 1872 nakładem Księgarni i Wydawnictwa Czytelni Ludowej Adama Nowoleckiego. Jest to powtórzenie pierwszego zbiorku, wydanego w r. 1869 we Lwowie przez Karola Wilda. W tymże roku 1872 wyszedł w tym samym nakładzie nowy zbiór poezyj Asnyka jako tom II.

3. Broszura Adama Chodyńskiego, kaliszanina, nosi tytuł: *Stefan Damalewicz, historyk, przełożony Kanoników Lateraneńskich.* Poznań, 1872 Wydał Chodyński nadto: *Poezje.* (Drezno, 1872), broszurę o Hieronimie Bonapartym w Kaliszu (1901), *Dawne ustawy Kalisza* (1875), a pod pseudonimem Adam Porój: *Obrazek z dziejów literatury polskiej dla młodzieży* Kalisz, 1858.

4. Korespondencyj Asnyka w *Bluszczu* za r. 1872 i 1873 nie znalazłem

7.

Kraków d. 30 grudnia 1872
Ul. Łobzowska 99

Najukochańszy Ojcze!

Tego samego dnia, com rzucił list do puszki, znalazłem w domu Twój i Wujostwa, za które najserdeczniej dziękuję. Niestety,

miłe tak niegdyś święta Bożego Narodzenia nie robią już mi teraz przyjemności, a raczej smutne wywołują wspomnienia.

Tego roku w dodatku miałem na gwiazdkę uporczywy ból głowy a zarazem miłą wiadomość, że od moich papierów nie będę miał na nowy rok procentu. Ta kombinacja bezprocentowo-migrenowa nie powiem, żeby się przyczyniła do rozweselenia tych niegdyś wesołych dni; ale od czegóż filozofia, której zaszczyt mam być doktorem? Ta mi powiada, że kto przeszedł większe boleści i smutki, ten ma prawo się uśmiechać z drobnych nieprzyjemności życia.

Na wilię miałem dość liczne zaproszenia, ale ponieważ najwcześniejsze od Ryxów, tam więc ten wieczór spędziłem. W ciągu dnia obszedłem kilka domów znajomych dla połamania się opłatkiem, między innemi byłem u Anczyców, którzy bardzo serdecznie rozpytywali się o Ojczulka i prosili o przesłanie swoich życzeń. Dzień był wtedy u nas okropny, trudno było kursować po ulicach; szalony wicher zrywał dachówki z dachów i rzucał na głowy lub pod nogi przechodniów. Zimny deszcz niemiłosiernie chłostał twarze, bo nie można było utrzymać parasola. Mój parasol, gdym go otworzył, w jednej chwili wygiął się w przeciwną stronę. W pierwszy dzień świąt, który był mało co lepszy od poprzedniego, poszedłem na obiad do Pawlikowskich, gdzie nas już zatrzymano i na cały wieczór. W ciągu następnych dni byłem na wieczorze u Estreicherów i Lutostańskich, kilka zaś koniecznych wizyt *dans le grand monde* zabrało resztę czasu. Co do dalszych zamiarów muszę przeprosić najserdeczniej Ojczulka, że nie przyprowadzę do skutku podróży po Grecji, albowiem za wiele przyczyn na to się składa. Nasamprzód muszę być przygotowanym na to, że przez cały rok nie będę miał grosza procentu od swego kapitału, całem więc zadaniem mojem będzie przetrzymać go za pomocą osobistych środków. Po wtóre piszę dramat, który chciałbym koniecznie w ciągu stycznia skończyć, a w lutym wystawić na krakowskiej scenie tem bardziej, że mi to zawsze przyniesie z paręset reńskich a może i więcej, jeżeli go osobno sprzedam do którego z pism warszawskich.

Po trzecie nie mam na teraz humoru a po części i ustalonego zdrowia, żebym mógł z zapałem puszczać się w tę dalszą nieco wycieczkę. Tak więc zdecydowałem się ostatecznie pozostać w Krakowie, a Ojczulka ośmielam się prosić o pożyczenie mi stu rubli które mi będą chwilowo niezbędnie potrzebne.

Cały czas po odjeździe Ojczulka przeżyłem nie zrobiwszy żadnego długu i tylko teraz przy nowym roku jestem w potrzebie, zanim ściągnę niektóre należytości. Od Nowoleckiego zawsze mi przypadnie z jakie 300 reńskich, teatr przyniesie ze dwieście, więc będę miał o czem żyć i zarabiać nadal.

Na Nowy Rok składam Kochanemu Ojczulkowi wszystkie najgorętsze życzenia prawdziwej pomyślności i najlepszego zdrowia w jak najdalsze lata, za Jego zaś życzenia dla mnie jak najczulej dziękuję. Przeszły list mój na święta był zanadto kusy, ale miałem ciągle przeszkody, raz, że mnie głowa nader silnie wówczas pobo-

liwała, a po wtóre że drzwi się u mnie przez dwa dni nie zamykały i ciągle ktoś z gości wchodził. Z tych powodów zapomniałem nawet w liście do pana Helbicha złożyć życzenia świąt dla całej familii i dla Adama drugiego jako solenizanta, ale uczciwszy głowę rodziny mniej mi to już ciąży na sumieniu. Ja sam dostałem także kilka miłych dowodów pamięci, a w szczególności oprócz listów Ojczulka i Kochanych Wujostwa telegram od państwa Chłapowskich i list bardzo serdeczny od pani Sawczyńskiej ze Lwowa. To mi przysporzyło znowu kilka nowych listów w odpowiedzi na różne strony.— Do *Bluszczu* wysłałem maleńki transporcik z listem do pani Ilnickiej. Na teraz nie mam już nic więcej do doniesienia, jak tylko złożyć Kochanemu Ojczulkowi życzenia i ukłony od Anczyców, Pawlikowskich, Ryxów i Sokołowskiego — a sam ucałować jak najserdeczniej Jego ręce. Pani Józefowej Zagórowskiej z Wańdzią, całej familii pana Helbich, państwu Teofilidym, pani Milonot i Sosnowskiemu — jeżeli go Ojczulek spotka — proszę oświadczyć moje życzenia i pozdrowienia. Do Wujostwa załączam osobny liścik. Gdyby się co zmieniło w moich zamiarach, nie omieszkam natychmiast donieść Ojczulkowi.

Twój
Adam

Uwagi.

1. Uderza długa luka w korespondencji, tj. blisko trzy miesiące. Poeta bawił na południu, tj. we Włoszech. Data poprzedniego listu (wysłanego z Krakowa 20 IX 1872) w zestawieniu z datą tego listu osłabia twierdzenie poety, że wyjechał do Włoch z początkiem września (por. autobiografię pisana dla Kvapila a przedrukowaną w t. I wydania Hoesicka i Prokescha s. XVI), oraz Krzemińskiego z wzmianką, że „część lata" 1872 spędził poeta we Włoszech.

2. Anczycowie, to Władysław Ludwik Anczyc i jego rodzina (1823—1883), autor *Kościuszki pod Racławicami* i wielu utworów dramatycznych ludowych, poeta.

3. Pawlikowski Mieczysław (1834—1903), autor *Baczmahy, Plotek i Prawd*, publicysta i dziennikarz, redaktor *Reformy*, a potem *Nowej Reformy* ojciec byłego dyrektora teatru krakowskiego, Tadeusza, i prof. Jana Gwalberta znakomitego uczonego.

4. Estreicher Karol (1827—1908), dyrektor Biblioteki Jagiellońskiej autor *Bibliografii Polskiej*.

5. Lutostański Bolesław dr (1837—1890), lekarz, członek Akademii Umiejętności, autor szeregu prac lekarskich, jeden z redaktorów *Reformy* i *Nowej Reformy*.

6. Ilnicka z Majkowskich Maria (1840—1897), poetka, redaktorka *Bluszczu*.

7. Sokołowski Marian dr (1839—1911), profesor historii sztuki na U. J.

8. Pani Milonot, prawdopodobnie rezydentka lub jakaś krewna Helbichów. Informator mój o rodzinie Helbichów, wnuk dra Adama B. H., p. Józef Helbich z Konar, nic o niej powiedzieć nie umie.

8.

Kraków dnia 2 marca 73
Ulica Łobzowska no 99

Najukochańszy Ojczulku!

Na ostatni list Ojczulka nie odpisywałem z drogi, nie zatrzymując się już nigdzie dłużej, jak tylko tyle, ile potrzeba było dla

wypoczynku. Spieszyłem do Krakowa, bo mi już tęskno było za swoją siedzibą, a przy tem chciałem naprzód na rodzinnej scenie wystawić swój dramat [1]. Jestem jeszcze zmęczony drogą, więc nie mogę się rozpisać obszerniej, tak jakbym sobie tego życzył, a ponieważ zwlekać nie podobna, gdyż ś-ty Kazimierz przypada pojutrze, wysyłam więc choć kilka urwanych słów jako zapowiedź przyszłego dłuższego listu.

Przyjmij ode mnie, Najdroższy Ojczulku, najserdeczniejsze życzenia czerstwego zdrowia i najdłuższego życia, abyś przetrwał jak najdłuższe lata w niezakłóconym spokoju, otoczony miłością syna i wszystkich, co Cię znają.

Są wprawdzie rany, które się zagoić nie mogą, boleści, które czas nie osłabia — ale wszakże pozostaje względny spokój, oparty na przeświadczeniu zacnie i pracowicie spędzonego życia i ogólnie zasłużonego poważania i sympatii.

Kończę na ucałowaniu rąk Twych, Najdroższy Ojcze, odkładając wszelkie wiadomości na później.

Adam

9.

Kraków d. 19 marca 1873
Ul. Łobzowska no 99

Najukochańszy Ojcze!

Pomimo obietnicy jak najspieszniejszego wynadgrodzenia niedostatków przeszłego listu do dziś dnia nie byłem w stanie jej dotrzymać. Miałem bowiem na porządku dziennym pracę najniewdzięczniejszą i najnudniejszą w świecie, to jest przepisywanie mojego dramatu na użytek tutejszego teatru. Tę samą przyjemność miałem już we Włoszech, bo tam musiałem zostawić jedną przepisaną kopię dla tłumacza, a tu znowu przyszło zacząć całą rzecz *da capo*.

Nareszcie pozbyłem się ciężaru z głowy i przyjdzie mi tylko przejść przez cały nowy szereg zatrudnień na próbach teatralnych, ale przynajmniej z przepisywaniem nie będę miał nic do czynienia. Zaraz po świętach Wielkanocnych ukaże się na scenie krakowskiej — jeżeli zyska sobie powodzenie, spodziewam się, że Najdroższy Ojczulek skusi się i przyjedzie w maju na które z przedstawień, naturalnie, żeby zarazem czas jakiś spędzić ze mną w Krakowie.

Kraków w tym roku bardzo ożywiony — w karnawale przed moim przyjazdem bawiono się nader hucznie, a i teraz ciągle coś nowego. Były żywe obrazy z *Pana Tadeusza* na cele dobroczynne, w których cała śmietanka towarzystwa brała udział, a których układ zawdzięczamy panu Kossakowi. Trzy przedstawienia miały miejsce dzień po dniu przy wielkim współudziale publiczności. Dalej nastąpiły odczyty Tarnowskiego, także o *Panu Tadeuszu*, jako uzupełnienie tych obrazów. Na następny poniedziałek gotuje się wielki koncert amatorski, głównie urządzany i wykonany przez Bylickiego

[1] *Cola Rienzi*.

na rzecz stypendium dla jednego ucznia techniki, dalej jeszcze będzie koncert księżnej Marceliny Czartoryjskiej, również na cel dobroczynny. Prócz tego różnych rautów, recepcyj, wieczorów i wycieczek co niemiara.

Ja wprawdzie dotąd nie zacząłem się pokazywać w świecie, bo nie miałem na to dość czasu. Zaledwie zdążyłem powitać państwa Kossak — księżnę Czartoryjską i być na wieczorze u pani Steckiej, co razem z bytnością w teatrze na *Koperniku* Szujskiego, na wyżej wspomnianych żywych obrazach i odczytach Tarnowskiego i z odwiedzinami kilku lepiej znajomych domów stanowi całą sumę moich dotychczasowych wycieczek.

W samym domu mam bardzo miłego towarzysza w obecnym lokatorze moim Sokołowskim, jest to bowiem człowiek bardzo wykształcony, który wiele także podróżował, a przy tem salonowy i znający świat i ludzi. Możemy mieć więc zawsze gawędkę do poduszki. Sprawy domowe idą dosyć dobrze, zastałem rynsztok połączony już z głównym rynsztokiem, magistrat był tyle grzeczny, że sam to swoim kosztem zrobił, tak więc ów wiszący nad moją głową kontrowers zakończony w jak najpomyślniejszy sposób.

Załączam teraz Najdroższemu Ojczulkowi, przepraszając za spóźnienie, weksel na sześćdziesiąt siedem rubli, czyli sto i jeden złotych reńskich, jeśliby Ojczulek potrzebował więcej w tym czasie, proszę mi tylko oznaczyć sumę, a nadeszlę jak najspieszniej. Podróż bowiem włoska nie tylko że mnie nie zrujnowała, ale spodziewam się, że coś zarobię na niej, zdaje się bowiem, że dramat wywieziony stamtąd pokryje wszystkie jej koszta. Zabiorę się wkrótce do drugiego, bo jedynie taka ciągła praca daje mi jakąś otuchę w życiu i łagodzi boleść, jaka od czasu do czasu we mnie wybucha. Fizycznie nie jestem o wiele lepiej, ale moralnie czuję się trochę pokrzepionym, brak mi tylko sił dostatecznych, ażeby żyć pełnem życiem.

Obecny list mój, jak to widzę, nie wynadgrodzi krótkości poprzedniego, boję się już składać na trzeci, żeby znów nie zrobić zawodu. Myśl moja bywa czasami nieposłuszna woli i chowa się gdzieś w tajemnicze zakątki, skąd jej żadnem zaklęciem nie podobna wywołać. Jeszcze Krasicki powiedział: „Wrzeszcz, krzycz jak czajka — nie przyjdzie bajka“, — tem bardziej się to stosuje, gdy nie o żadne bajki, ale o prawdę zawartą w sercu człowieka chodzi. Czasami czuje się bardzo wiele, a zdefiniować tego, co się czuje, nie można. A zatem znów do przyszłego listu. —

Najdroższego Ojczulka ręce po tysiąc razy całuję, panu Helbichowi i całej jego familii, jak również państwu Teofilidy moje uszanowanie, Stryjostwu najserdeczniejsze pozdrowienia

Przywiązany syn

Uwagi.

1. Przepisywany wówczas dramat, to *Cola Rienzi*, grany po raz pierwszy w Krakowie dn. 19 IV 1873 na dochód Henryki Bendówny. W druku ukazał się w r. 1873 nakładem A. Nowoleckiego.

2. Tarnowski Stanisław (1837—1917), profesor literatury polskiej U. J. wygłosił w marcu 1873 cykl wykładów (cztery, ostatni 17 III) o *Panu Tadeuszu* na dochód Wzajemnej Pomocy Uczniów U. J. Równolegle prawie z odczytem zaprodukowano żywe obrazy w układzie Juliusza Kossaka na dochód tejże Wzajemnej Pomocy (2 razy) i szpitala dla dzieci. W czasie przedstawienia żywych obrazów tekst odnośny recytował art. teatru krak. Benda.

3. Koncert doskonałego pianisty, Franciszka Bylickiego (1844—1922) na cele dobroczynne, dla ucznia techniki M....., z udziałem hr. Cieszkowskiego, Jaroszyńskiego i Güntera, odbył się 24 III 1873. Bylicki, powstaniec i Sybirak, był z zawodu nauczycielem gimnazjalnym (historyk) i umarł jako profesor III Gimnazjum w Krakowie. W życiu muzycznym Krakowa odegrał dużą rolę jako doskonały pianista, recenzent muzyczny i organizator różnych imprez muzycznych.

10.

Kraków d. 2 listopada 73

Najukochańszy Ojczulku!

Obadwa Twoje listy odebrałem i zaspokojony zostałem we wszystkiem, co mnie najbardziej obchodziło, to jest żeś zdrów i bez żadnego wypadku zajechał do Warszawy i że się tam rzeźwym i wesołym czujesz.

Pobyt Szanownego doktora Helbich zapewniony na zimę w Warszawie niezawodnie wielce się przyczyni do milszego przepędzenia czasu.

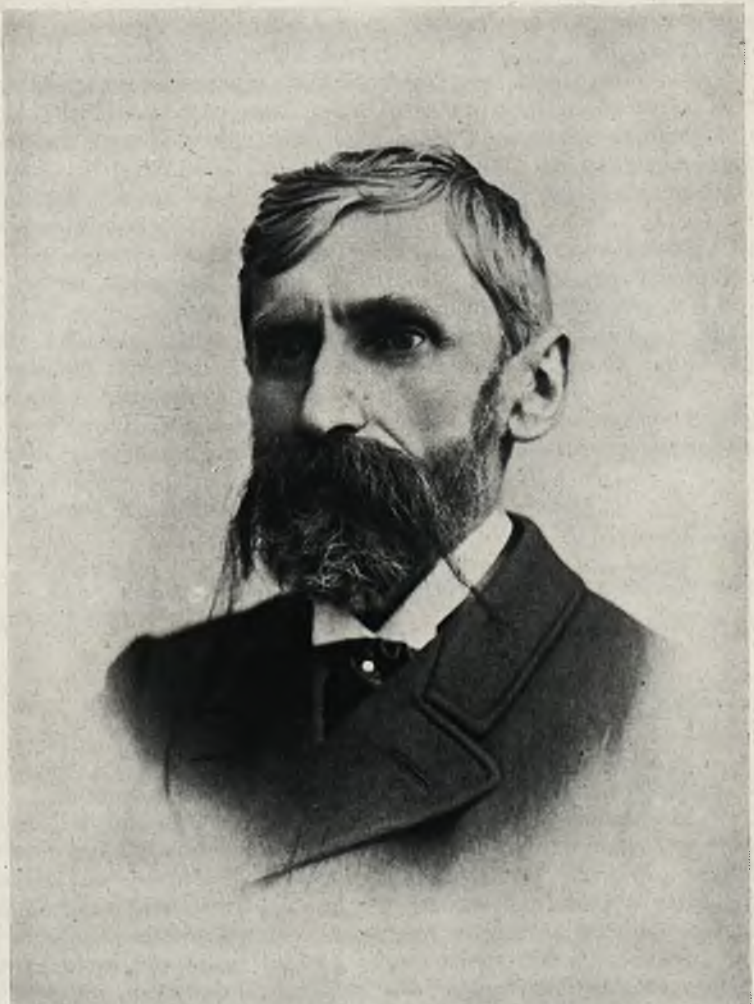
Ja tymczasem miałem niespodziewanie przyjemność widzenia się z panem Konstantym Rudzkim, który był łaskaw mnie odszukać i obdarzyć mnie swojem towarzystwem, które tyle miłych wspomnień wywołało. Teraz zaś miałem świeży transport wiadomości o kochanym Ojczulku od poczciwego Anczyca, który mnie zaraz nazajutrz po przyjeździe nawiedził.

List do pani Wysockiej doręczyłem, a za fotografie dwóch moich siostrzyczek serdeczne podziękowania składam. Nie mogę się na razie odwzajemnić, bo tymczasowo nie posiadam moich odbić, ale jak tylko dam się fotografować, nadeślę żądaną ilość.

Po odjeździe Ojczulka stała się u mnie wielka pustka, byłoby nawet bardzo głucho i smutno, gdyby nie dzieci Wojciechowej, które poczytują sobie za miły obowiązek rozerwać moje posępne dumania swym wrzaskiem i kwileniem. Zresztą nic nowego, jesień dogorywa i obdarza nas ostatnim pożegnalnym uśmiechem pogodnych słonecznych dni.

Dziś szczególniej czas był prześliczny, ciepło i słonecznie — a drzewa ubrane ostatkiem pożółkłych i sczerwieniałych liści w blasku promieni słońca na tle jasnego błękitu migały wszystkiemi odcieniami bogatych barw jesieni. Jutro Dzień Zaduszny, dzień, który Kościół poświęcił pamięci zmarłych na znak niewzruszonego węzła, co łączy teraźniejszość z przeszłością, życie z śmiercią, ziemski z nadziemskim światem.

Jest to jedno z najwyższych dobrodziejstw chrześcijanizmu, że odwalił ciężki głaz mogiły i dał możność zbolałym sięgać mi-



ADAM ASNYK

Według fotografii L. Koehlera we Lwowie

łością poza ciemną przepaść grobu. Niestety i my już mamy komu nieść w dzień ten łzy i modły nasze w ofiarze. —

Po odjeździe Ojczulka zamknąłem się więcej w domu, ażeby pracować. Początek już zrobiony, ale w pisaniu mam przeszkodę czysto mechaniczną. Nie wiem, z jakiego powodu, czy to z zakłucia czy też skaleczenia, palec zaczął mi puchnąć i obierać się, co mi niezmiernie przeszkadza, tem bardziej, że i boli.

Dlatego proszę mieć mnie teraz za wytłumaczonego, że w zamian za dwa listy Ojczulka taką małą szesnastkę zapisuję w odpowiedzi, a jakkolwiek przysłowie powiada, że palec i główka, to studencka wymówka, niemniej przecież w tym razie zasługuje na uwzględnienie.

Załączam życzenia dla Kochanego Wuja na dzień ś-go Karola, które mu Ojczulek łaskawie doręczy. Przeszły list Ojczulka jedna mieścił niepomyślną wiadomość o sprawach tytuniowych i boję się, żeby i Ciebie także jaki większy lub mniejszy krach nie dosięgnął. Ale lepiej być dobrej myśli, dopóki można, i nie kłopotać się zbytecznie o przyszłość.

Panu Helbichowi proszę złożyć moje uszanowanie i całej jego familii przyjazne przypomnienie. Pani Milonotowej serdeczne pozdrowienia.

Ręce Kochanego Ojca po tysiąc razy całuję

Adam

U w a g i.
Luka w listach do ojca, gdyż ojciec bawił, jak z tego listu wynika, dłuższy czas u poety w Krakowie.

11.

Kraków d. 25 listopada 73. Ul. Łobzowska 99.

Najukochańszy Ojcze!

Zapewne się Kochany Ojczulek już dziwi i gniewa, że na swój list tak długo żadnej nie odbiera odpowiedzi, ale wytłomaczenie mojego milczenia jest bardzo proste, bo cały ten czas spędziłem na rekolekcji w łóżku i zaledwie od paru dni przychodzę do siebie. Dostałem, jak mi się to zwykle zdarza przy zbytnim przeroście moich migdałów, mocnego zapalenia gardła, połączonego ze znaczną gorączką, tak że przez osiem dni ani jadłem, ani spałem, tylko bezwładnie leżałem. Po ustąpieniu gorączki byłem zaś tak osłabiony, że mi trudno było jako tako przyjść do siebie. Teraz, dzięki Bogu, sił mi przybywa z każdym dniem i wkrótce pewnie wrócę do normalnego stanu. Ponieważ cały ten czas nie egzystowałem wcale dla świata, nie wiem też, co się na nim dzieje, jedyne moje komunikacje ograniczały się do Lutostańskiego, który mnie leczył, i Sokołowskiego, co mnie doglądał. Co do lokalnych czysto wiadomości, muszę Ojcu donieść, że stosownie do Jego życzenia nasz ogrodowy orzech został już zoperowany; bardzo smutno wygląda teraz w tej nowej postaci. Dreny także pokryte zostały do-

stateczną ilością mierzwy i ziemi, słowem, wszystkie rozporządzenia Ojczulka zostały spełnione.

Za ofiarę uczynioną mi przez Kochanego Ojczulka najserdeczniej dziękuję, ale przyjąć jej nie mogę, nie podobna bowiem zgodzić mi się na to, żebyś miał sobie dla mnie uszczuplać i tak dość szczupłych funduszów.

Odezwanie się pana Teofilidego, wspomniane w liście, wzbudziło także we mnie prawdziwe uczucie wdzięczności i wzruszyło mnie prawdziwie jako cenny dowód przyjaźni, ale chociażby nawet było wypowiedziane w znaczeniu jego osobistej pomocy, przy całem uznaniu szlachetnych intencji nie mógłbym z nich korzystać. Byłoby najwyższą z mej strony niedelikatnością posiłkować się cudzemi pieniędzmi.

Choroba moja przyszła mi nie w porę (wprawdzie nigdy ona w porę nie przychodzi), bo mi przeszkodziła w wielu rzeczach zamierzonych. Stan finansowy dotychczas jeszcze się nie poprawił, ale przynajmniej przestał się teraz systematycznie pogorszać, należy się więc spodziewać, że zacznie się powoli poprawiać. Tą nadzieją żyję oczekując Nowego Roku i przeciwstawiając niefortunnej kryzis najściślejszą oszczędność z mej strony.

Nad Grecją zacznę się dopiero zastanawiać przed samym Nowym Rokiem, bo jeżeli okoliczności pozwolą, to nie potrzeba dużo czasu na decyzję.

Tymczasem pozostawiając resztę do następnego listu, kończę przesłaniem najserdeczniejszych pozdrowień i uszanowania dla doktora Helbicha, państwa Teofilidów, Kochanych Wujostwa i pani Milonot, Wujowi osobno jeszcze za liścik Jego dzięki składam. Jeżeli zaś kiedy Ojczulek zobaczy, proszę nie zapomnieć złożyć także moje pozdrowienia Wujence Józefowej i Wańdzi podziękowanie za fotografię.

Ojczulkowi ręce całuję i ściskam
Go po tysiąc razy
Adam

12.

Kraków d. 12 grudnia 1878
Ul. Łobzowska 39.

Najukochańszy Ojcze!

Dziś dopiero z listu Szanownego doktora Helbicha, który mnie łaskawie raczył zawiadomić o szczęśliwie przebytej operacji dowiedziałem się, że Kochany Ojczulek postanowił oddać się pod nóż chirurgiczny w celu pozbycia się owej narośli pod okiem. Przyznam się, że gdybym przedtem o tem wiedział, użyłbym dużo niepokoju, a i tak jeszcze, pomimo zaspakajających słów Szanownego doktora, nie mogę zupełnie otrząsnąć się z przykrego wrażenia. Niech będą Bogu cześć i dzięki, jeżeli wszystko tak łatwo i dobrze poszło, operacja bowiem była, jak pisze pan Helbich, ze

względu na powiększanie się tej narośli, mogące w przyszłości zagrażać oku, nieuchronną.

Ból jednakże musiał być wielki i takie nerwowe wstrząśnienie musiało się odbić na całym organiźmie, dlatego radbym mieć świeżą wiadomość o Ojczulku, chociażby za pośrednictwem Kochanego Wuja; mam wprawdzie przyobiecane, że Ojczulek za parę dni będzie już mógł nawet wychodzić, ale w oddaleniu wszystko wydaje się niepewnem i zagadkowem.

Obadwa listy odebrałem, a Ojczulek się domyśla, z jaką zawsze radością. Ostatni, dziwnym zbiegiem okoliczności, przyszedł właśnie w niedzielę, w ten sam dzień, w którym ułożyłem sobie już przedtem złożyć wizytę państwu Ordęgom. Sokołowski bowiem, który ich zna jeszcze z Paryża i bywa u nich dość często, namówił mnie do tego przedsięwzięcia, wychwalając niesłychanie ten dom jako bardzo zacny i miły.

Tak więc życzenie Ojca zostało spełnione natychmiast po dojściu do mojej wiadomości. Tego dnia zrobiłem cztery wizyty, byłem u marszałka Rutkowskiego z Ukrainy, który w czasie mojej choroby był łaskaw mnie odwiedzić nie zważając, że poprzednio nie byłem u niego, następnie u pani Steckiej, dalej u pani Kicińskiej, która prosiła Sokołowskiego, żeby mnie przyprowadził, a nareszcie o szóstej wieczorem u państwa Ordęgów.

Ci nas zatrzymali już na cały wieczór, na co — jakkolwiek wbrew etykiecie — chętnieśmy się zgodzili. Sam Ordęga, to chodząca zacność i dobroć, czuć w nim jeszcze staropolskiego człowieka, pani Ordężyna, ta już prawie nic nie słyszy, więc biedaczka nie może brać żadnego udziału w rozmowie, panna Ordężanka bardzo dystyngowana i wykształcona, paryżanka gustem, usposobieniem, dowcipem. Zastaliśmy tam wtedy jeszcze panią Żółkiewską z córką, która w przejeździe zatrzymała się w Krakowie. Jest to obywatelka z Wołynia, kuzynka poczciwej pani Klementyny Potockiej, która bardzo dużo za granicą przebywała, a i teraz jedzie do Paryża i Neapolu na zimę. Jej córka, bardzo przystojna bruneteczka, trochę zanadto absorbowała naszą uwagę. Co robić? Mam słabość do delikatnej rzeźby i nie mogę się jej jeszcze pozbyć. W każdym razie wieczór nam zszedł bardzo przyjemnie, oddychaliśmy atmosferą Europy, a nie parafiańszczyzny krakowskiej. U pani Kicińskiej także miło spędziłem godzinę czasu, panny są o tyle nieładne, o ile bogate, ale tak wykształcone i wymowne, że od chwili wejścia aż do opuszczenia salonu rozmowa na chwilę nie ustawała. Wczoraj był u nas Ordęga i przerwał mi pisanie listu, który wskutek tych i następnych potem odwiedzin musiał doczekać się dnia następnego na biurku.

Bawił u nas ze dwie godziny przy pogawędce i zaprosił nas znowu na niedzielę. W sobotę idziemy na wielki wieczór do państwa Michałów Sadowskich, będzie tam liczne i różnorodne zebranie, świetna kolacja i świetne zapewne nudy. Ale trzeba będzie pójść, bo pan Sadowski jest dla mnie uprzedzająco grzecznym.

pierwszy mnie wizytował w Krakowie. W dalszym ciągu muszę jeszcze wybrać się w jak najkrótszym czasie do ks. Marceliny Czartoryjskiej, u której jeszcze tej zimy z powodu choroby nie byłem na żadnym wieczorku — i do Sanguszków.

Na tem kończę mój list dzisiejszy, wypełniony samemi wizytowemi sprawami, i zasyłając pozdrowienie Kochanym Wujostwu, państwu Teofilidym, pani Milonot i wszystkim znajomym — Kochanego Ojczulka rękę po tysiąc razy całuję. Dla pana Helbicha załączam osobne za jego łaskawość podziękowanie.

Adam

13.

Kraków d. 23 grudnia 73.
Ul. Łobzowska 99.

Najukochańszy Ojcze! Przepraszam Cię najmocniej na samym wstępie, że mój list będzie miał dwie wady, to jest, że będzie strasznie krótki, a po wtóre, że na czas nie nadejdzie.

Trzecią muszę dodać, że będzie niezrozumiałym, bo sam nie wiem dobrze, co piszę. Głowa szalenie mnie boli, co mnie pozbawia wszelkiej przytomności umysłu. Zwlekać zaś z listem nie mogę, bo termin imienin pana Helbicha zbyt bliski.

Czemu nie napisałem wcześniej? mógłby się Ojczulek spytać, ale na to odpowiem, że właśnie od kilku dni jestem trapiony bezsennością i pochodzącym stąd bólem głowy.

Zwlekałem, myśląc, że to minie, i tak doczekałem się dnia dzisiejszego.

Niemniej przeto rozgrzesz mnie łaskawie i przyjmij życzenia Wesołych Świąt i wszelkiej pomyślności tak dla siebie, jak kochanych Wujostwa i pani Milonot.

Jak tylko ciężar z mózgu zejdzie, wynadgrodzę dzisiejsze brak i rozpiszę się obszerniej.

Tymczasem ręce kochanego Ojczulka całuję po tysiąc razy

14.

Kraków d. 3 lutego 1874

Najukochańszy Ojcze!

Załączony list Szanownego doktora Helbicha odniosłem drow Ściborowskiemu na drugi dzień po otrzymaniu; nie zastałem go wprawdzie w domu, ale za to spotkałem na mieście i oświadczyłem, że byłem osobiście i pozostawiłem wspomniane pismo.

. . . .

. . . . Teraz w całej Austrii na porządku dziennym są tylko sprawy dowodzące zgnilizny i rozkładu całego społeczeństwa, a nasza Galicja nie da się wyprzedzić na tem polu. Dopiero co Gablenz najzdolniejszy z jenerałów austriackich, odebrał sobie życie w Zürichu wystrzałem z pistoletu dla uniknięcia skompromitowania. Następnie wskutek zeznań uwięzionych spekulantów z Offenheimem

królem finansowym na czele, przystąpiono do zaaresztowania hr. Wickenburga, członka Izby Panów, wielkiego dostojnika cesarstwa, gdy zaraz rozbiegła się pogłoska o zastrzeleniu się Giskry, byłego ministra, a chociaż się nie sprawdziła dotąd, sprawdzić się musi, tak jak rzeczy stoją.

. . . .

Przykro strasznie żyć w dzisiejszej epoce wobec takiej zgnilizny; nigdzie moralnego gruntu, na którym by się oprzeć można, nigdzie najmniejszej nadziei, żeby mogło być coś lepiej nadal. Jako mocno wrażliwy z natury, jestem zupełnie rozbity, widząc to, co się wkoło dzieje, choruję fizycznie i moralnie.

Pyta się Kochany Ojczulek o tytuł i treść mojego nowego dramaciku, o treści mówić trudno, bo to nie da żadnego wyobrażenia; mogę tylko w ogólności nadmienić, że treść wzięta jest ze stosunków społecznych, a w szczególności na tle wyjątkowego stanowiska Żydów względem polskiego społeczeństwa. Wrogo rysujące się przeciwstawienie szczególniej tu, w Galicji, tego żywotnego plemienia wobec naszego coraz to bardziej upadającego towarzystwa, różnica krwi i rasy, wad i przymiotów stanowią główny przedmiot mojej pracy i dlatego nosić ona będzie tytuł *Żyd*. Niestety nie wykończyłem jej jeszcze pomimo najlepszej chęci, spadł mi bowiem na głowę całkiem niespodzianie odczyt na cel dobroczynny, od którego wymówić się nie mogłem. Ponieważ zaś postanowiłem wziąść za przedmiot odczytu *Antygonę* Sofoklesa, przygotowanie więc jego dużo mnie pracy kosztuje. Muszę bowiem przetłumaczyć wierszem niektóre ustępy, a z greckiego tłumaczyć nie jest to rzecz tak łatwa.

Odczyt jest już zapowiedziany na początek postu, około 22 lutego, i już mnie nic od niego nie uwolni, chyba choroba, której bym sobie wcale nie życzył, tem więcej, że i tak mi już od niejakiego czasu stale dokucza ból głowy, rozdrażnienie i bezsenność których się dotąd pozbyć nie mogę. — Z karnawału nie robię żadnego użytku, na balu żadnym nie byłem ani na żadnym wieczorze tańcującym.

Na teraz ściskam Kochanego Ojczulka po tysiąc razy i ręce Jego całuję, panu Helbich, Wujostwu, państwu Teofilidym, pani Milonot moje pozdrowienia.

Adam

Uwagi.

Zdania wykropkowane mieszczą wiadomości na owe czasy sensacyjne, bez znaczenia jednak dla badacza poezji i życia Asnyka lub literatury danego okresu.

15.

Kraków d. 8 lutego 74

Najukochańszy Ojczulku!

Dr Ściborowski, nie wiedząc adresu dra Helbicha, złożył na moje ręce list do niego, ja więc z mojej strony posyłam go Tobie a przy tej sposobności kilka słów od siebie. Przed pięciu dniami

pisałem obszerniej, niewiele mi więc teraz pozostaje do dodania. W przeszłą niedzielę byłem razem z Kossakami na obiedzie u księżny Czartoryskiej, i u nich wszystko dobrze.

. . . .

Jest podobno jakiś rodzaj amnestii, ale do kogo ona się ściąga dotąd jeszcze rzecz niezupełnie jasna. Wygląda na to, że ona się tyczy tych, co są na Syberii, lub w kraju podpadają jakiejkolwiek karze.

Niech mi Ojczulek doniesie jak najprędzej o swojem zdrowiu, bo z przeszłego listu wnoszę, że przy bolesnej operacji pozbycia się zębów musiało nieco ucierpieć, kiedy nawet Ojczulek z domu teraz nie wychodzi.

Na teraz całuję ręce kochanego Ojczulka. Panu Helbich moje uszanowanie. Wujostwu najserdeczniejsze pozdrowienia.

Adam

Uwagi.
Zdanie wykropkowane dotyczy szczegółu, który jest obojętny dla badacza życia i twórczości Asnyka.

16.

Kraków d. 2 marca 1874
Ul. Łobzowska 99.

Najukochańszy Ojczulku!

Otóż i dzień Twoich Imienin — przede wszystkiem więc z samego początku zaczynam od wynurzenia najgorętszych moich życzeń, które oby spełniły się ze wszystkiem, co tylko może się odnosić do Twojego prawdziwego szczęścia. Przekonany jesteś o tem, że Twoja pomyślność, Twoje zdrowie i spokój to mój najwyższy skarb, to moje szczęście zarazem, więc nie potrzebuję wyliczać czego i jak Ci życzę. Gdy chodzi o Ciebie, to o mnie chodzi także więc nie mogę mieć nawet żadnej zasługi wzywając opieki niebios nad Tobą.

W samą porę otrzymałem Twój list, Kochany Ojczulku, bo przy nieszczególnym stanie zdrowia i bezsenności, która mnie trapi fantazja moja snuła już różne przykre przypuszczenia. Uspokojony nareszcie odetchnąłem wolniej i z większą swobodą wziąłem się do ukończenia mojego odczytu, który nareszcie odbył się wczoraj w sali Muzeum Techniczno-Przemysłowego o godzinie czwartej po południu. Przedmiotem mego odczytu była *Antygona* Sofoklesa nad którą miałem dość pracy, szczególniej bowiem tłumaczenia niektórych ustępów z tekstu greckiego kosztowały mnie dużo mozołu, tem więcej, że nie jestem wcale biegły w greczyźnie. Ludzie mówią, że odczyt mój wypadł bardzo świetnie, ale ludziom nie bardzo można wierzyć, w każdym razie jestem zadowolony, żem się pozbył tego ciężaru z głowy i że potrzebująca wsparcia osoba, na której korzyść dałem to przedstawienie (!), zebrała sobie około stu guldenów. Oto wszystko, co się mnie tyczy, zresztą niewiele nowego. Z postem zaczęła się w Krakowie prawdziwa powódź kon-

certów, odczytów i rautów, z których te ostatnie mogłyby być policzone między plagi egipskie. Chronię się też przed niemi starannie, uciekając na moją wyspę, a za to bywam od czasu do czasu w mniejszych, więcej familijnych zebraniach, jak np. u Ordęgów, gdzie panuje staropolska gościnność i prostota. Bawi tu także pani Puławska, oddałem jej dziś właśnie wizytę w Hotelu Saskim, ale była na obiedzie i musiałem poprzestać na pozostawieniu swego biletu. Co do spraw domowych, wypowiedziałem Białobrzeskiemu, wypowiedziałem Wojciechom i tak się już rozpędziłem, zdobywszy się raz na odwagę, że o mało nie wypowiedziałem samemu sobie. Nie mogę tylko odnaleźć Kruka, a zresztą boję się trochę jego nazwiska — *nomen omen* — a Kruk, jak powiadają, lubi wynosić z domu różne przedmioty. Byłem dziś u P. Librowskiej złożyć jej życzenia na Helenę, wypytywała się o Ojczulka i prosiła mnie bardzo, żeby nie zapomnieć przesłać od niej ukłony, co też wypełniam.

Kończę mój list, bo moja głowa jest dziś jak próżna butelka, którą wysączono do ostatniej kropelki, a list trzeba wysyłać, żeby zdążył na czas.

Na ś-ty Kazimierz pozwolę sobie wypić kielich za Ojczulka zdrowie z tak głośnym toastem, żeby go aż w Warszawie było słychać.

Kochanemu Wujowi dziękuję za Jego odpowiedź na moje prośby i ściskam Go serdecznie, Wujence rączki całuję, pani Milonotowej ukłony.

A teraz jeszcze raz zwracając się do mojego Najdroższego Ojczulka i przyciskając się do Jego piersi, okrywam Go najserdeczniejszemi pocałunkami i życzę, życzę najdłuższych lat przy najtrwalszem zdrowiu.

Przywiązany syn
Adam.

17.

Kraków d. 18 marca 1874
Ul. Łobzowska 99 a

Najukochańszy Ojczulku!

Muszę zacząć mój list dzisiejszy od wyrzutów, a to z powodu, że, jak widzę, chce mi się Ojczulek sprzeniewierzyć i zrobić jakiś odmienny plan na lato, nie odpowiadający wcale moim nadziejom i wspólnym naszym umowom. Nie będę jednak posuwał moich wymówek daleko, bo sądzę, że to najgorszy sposób, nie prowadzący do wygrania sprawy, a przy tem spodziewam się, że rzecz jeszcze nie rozstrzygnięta i przy nadejściu ustalonej wiosennej pory da się wreszcie na moją korzyść załagodzić. Tylko jedną maleńką chcę zrobić uwagę, żeby się drogi Ojczulek względami papierków wcale nie krępował, a przyjechał tak samo do mnie jak przeszłego roku. Możemy odwiedzić teraz Krynicę przed Zakopanem, ponieważ udaje się tam sędzia Korzeniowski, może się zbierze jeszcze większe kółko znajomych, to będzie miał Ojczulek dostateczną rozrywkę.

Zresztą wszystkie te plany zostawiam, ażeby dojrzały pod opieką czasu, wiosennej pogody i stosownego namysłu. Na teraz proszę mnie tylko nie straszyć, a będę czekał cierpliwie stósownej pory.

Kraków rozruszał się znakomicie w tym czasie, życie towarzyskie i intelektualne bardzo się wzmaga, nie ma dnia, żeby w nim nie przypadła jaka uroczystość, odczyt, koncert, zebranie, wieczorek lub loteria fantowa, a czasem, jak to się wydarzyło w niedzielę — oprócz dwóch odczytów i przedstawienia teatralnego przypadł na raz wieczorek muzykalno-deklamacyjny i loteria fantowa.

Nie korzystałem z tego tak bogatego wyboru, miałem bowiem zaproszenie na obiad do księżnej Czartoryjskiej, więc i u niej spędziłem wieczór słuchając prześlicznej sonaty Beethovena na fortepian i skrzypce. Na skrzypcach grał Remenyi, węgierski muzyk, który dawał dwa koncerta w Krakowie i wybiera się właśnie do Warszawy. Franciszek Bylicki, ktorego Ojczulek poznał w Krakowie i Zakopanem, występował także z nowym dorocznym koncertem na dochód szpitala. Śmietański, również słynny pianista, dał ich już trzy, słowem, mnogość niesłychana muzykalnych produkcyj. Sokołowski, mój lokator, miewa stałe odczyty w Muzeum Techniczno-Przemysłowem o sztuce plastycznej u Greków i zyskał sobie dużo powodzenia. Mój odczyt o *Antygonie* Sofoklesa drukuje się obecnie w *Przeglądzie Polskim*. Jutro mamy ś-go Józefa, imieniny Ordęgi, u nich więc będę wieczorem. Mam wprawdzie dużo solenizantów, ale trudno ich wszystkich obdzielić. W Warszawie będzie zapewne Ojczulek w tym dniu u Józia Helbicha, któremu i ja przesyłam moje życzenia, jakkolwiek już one na czas nie dojdą. Również jutro przypada ślub jednej z moich znajomych panien, panny Dobrosławskiej, ale na tę uroczystość już nie będę mógł się wybrać. W piątek mam znowu proszone śniadanie u nowożeńców Stefanów Potockich, którzy chcą stworzyć u siebie nowe ognisko umysłowego życia.

Rusza się więc stary Kraków jak może, ale zawsze we wszystkich żywotniejszych sprawach czuć go stęchlizną. Gospodarstwo autonomiczne, bądź to miejskie, bądź szkolne, w jak najopłakańszym stanie. Wszędzie niedołęstwo, prywata, koteryjność, nigdzie energii i uczciwości. Już więcej jak od roku zaciągnięto tę półtoramilionową pożyczkę miejską, dotychczas nic dla miasta nie robią i tylko nadaremnie muszą opłacać procenta. Kłócą się tylko bowiem o to, jak ten łup podzielić pomiędzy siebie, jakie przedsięwziąć roboty, ażeby jak najwięcej w prywatnych kieszeniach pozostało.

Magistrat tutejszy już to jest sławnym pod tym względem, rozporządzając znacznemi sumami i pobierając podatki, chce wszystko zwalić na kark właścicieli. Jak na przykład teraz właśnie wydał rozporządzenie, ażeby właściciele realności, położonych nad brzegami Rudawy, swoim kosztem obmurowali jej brzegi. Zdaje mi się, że to bardzo dziwna pretensja, tem bardziej, że Rudawa sprowadzoną tu została wyłącznie na korzyść młynów. Z drugiej zaś

strony ze względów sanitarnych ten sam magistrat nakazał mi usunąć znad brzegu komórki. Jestem teraz w prawdziwych kłopotach z tego względu. Podaję rekursa i bronię się jak mogę, ale co do tego ostatniego punktu trzeba będzie pewnie ustąpić. Tylko nie wiem, gdzie i jak urządzić te nowe schronienia. Dla mnie, niepraktycznego człowieka, tego rodzaju kłopotki są strasznie nieprzyjemne, tem bardziej, że na porządku dziennym nie ma nic przyjemnego, co by równoważyło te drobne przykrości.

Ceny realności w Krakowie spadły teraz znacznie i jak dawniej był brak pomieszkań, tak teraz pełno ich pustkami stoi.

Na losach tureckich nie mogę się doczekać wygranej, dzieci mi ciągle płaczą nad uszami, krótko mówiąc, zły humor jest stanowczy (?).

Jedno tylko mnie pociesza, że zacząłem sypiać trochę lepiej, a od Wielkiejnocy pozbędę się już niemowląt. Nie wiem, jak na tem wyjdę, ale w każdym razie będzie odmiana.

Teraz, kochany mój Ojczulku, nagadawszy się o wszystkiem do sytu, nie pozostaje mi nic, jak ucałować po tysiąc razy Twoje ręce i prosić o rychłą wiadomość z Twej strony. Panu Helbich moje uszanowanie. Wujostwu, p. Teofilidom, pani Milonotowej najserdeczniejsze pozdrowienia.

Adam

Uwagi.

1. Remenyi-Hoffmann Edward Adam (1830—1898), skrzypek. W Krakowie oceniono jego grę ujemnie, jako szarlatańtwo.

2. Śmietański Władysław Emil, pierwszorzędny wirtuoz fortepianowy oraz kompozytor, zginął w katastrofie kolejowej pod Mödling, w powrocie ze Styrii, w wieku lat 42, z początkiem września 1886. Był profesorem szkoły muzycznej Horacka we Wiedniu.

3. Odczyt o *Antygonie* drukowany był w *Przeglądzie Polskim* w zeszycie V, z kwietnia 1874.

18.

Kraków d. 10 kwietnia 1874
ul. Łobzowska 99.

Najukochańszy Ojczulku!

Odebrawszy list Twój tyle serdeczny choć zarazem smutny, względnie do moich nadziei, za łaskawem pośrednictwem pana Rudzkiego, zatrzymałem się z moim stosownie do otrzymanych wskazówek, ażeby go wprost do Konar zaadresować. Tymczasem święta przeszły, a pewny jestem, że spędziłeś je wesoło w kółku tak dobrych przyjaciół, więc i moje życzenia na tym punkcie były już zbyteczne.

Co do mnie, to nie mogę powiedzieć, żebym nie uczuł żalu i zwiększonej tęsknoty, dowiedziawszy się o postanowieniu nieodwiedzenia mnie wcale tego roku, jednakże nie mogę mieć nic przeciw temu, jeżeli uważasz, Kochany Ojczulku, że dla zdrowia Twego korzystniejszym będzie pobyt w Konarach. Nie miałbym odwagi w takim razie brać na siebie odpowiedzialność wszelkiej namowy i pocieszam się myślą, że w Konarach znajdziesz dla siebie wszyst-

kie przyjazne warunki przyjemności, wygody i zdrowia. Ja także jestem teraz z wiosną zdrowszy i nieco lepszej myśli. Szczęśliwie minęły święta z całym szeregiem uciążliwych odwiedzin na święcone.

W pierwsze święto byłem pomiędzy innemi u Anczyców i Ordęgów, u tych ostatnich bywam zawsze z równą przyjemnością, żywiąc prawdziwą dla całego tego domu sympatię. Właśnie przyjechał teraz do nich na święta ich syn Karol, konsul francuski w Civita Vecchia, i wczoraj mnie odwiedził.

W Poniedziałek Wielkanocny byłem na obiedzie u księżnej Marceliny Czartoryjskiej, na którym był ks. Władysław, syn Adama, co się ożenił z Orleanką. Jadąc z Paryża do Sieniawy, zatrzymywał się na kilka dni w Krakowie, bardzo przyjemny, pełen prostoty i naturalności człowiek. U księżnej Marceliny mam teraz najprzyjemniejsze *refugium* w Krakowie, co środa doborowa muzyka i bardzo miłe towarzystwo, a od czasu do czasu wesoły obiadek przy swobodnej pogadance.

W ostatnią środę wykonywano prześliczne rzeczy, koncert Bacha na sześć instrumentów, kwartet Mozarta, fugę organową z preludem Bacha i koncert na dwa fortepiany Mozarta, sama klasyczna muzyka. Inne dni miałem również zajęte do tego stopnia, że nie mogłem zadość uczynić wszystkim zaproszeniom. W dodatku mamy teraz czas prześliczny, wiosna zaczęła się już na dobre, trawa się zieleni, fiołki kwitną, słowem, przychodzi ochota wybrać się gdzie na wieś, żeby nie mieć nic do pozazdroszczenia Ojczulkowi. Co do ostatniego rozporządzenia magistratu, założyłem wraz z innymi obywatelami znad Rudawy nowy rekurs, w każdym razie zyska się przynajmniej na czasie. Od Wielkiej Nocy odprawiłem Wojciechów i przyjąłem nową służbę, ale przez to nabawiłem się tylko wielkiej niewygody i skończyło się na tem, że musiałem jak niepyszny powrócić znowu do Wojciechów. Odczyt mój o *Antygonie* posłałem *Bluszczowi*, nie wiem tylko, czy go puszczą. Jeżeli przejdzie, to mi się dosyć opłaci, bo Dobroczynność miała z niego dochodu sto guldenów, *Przegląd Polski* za pozwolenie wydrukowania zapłacił mi pięćdziesiąt, a od *Bluszczu* także by mi z jakie osiemdziesiąt przypadło. — Jestem jak ten szlachcic, który sprzedaje zboże na raz trzem Żydom, tylko że w tym razie wszyscy są zadowoleni.

Rzewuski zrobił teraz przepyszną moją fotografię w większym formacie, przysłałbym ją Ojcu, ale do Konar trudno o okazję, zaczekam więc z tą przesyłką do powrotu.

Na teraz życzę Najdroższemu Ojczulkowi jak najlepszego zdrowia, wypoczynku na świeżem powietrzu i przyjemnej zabawy, a gdy się Ojczulek dostatecznie wzmocni, to może choć później przypomni sobie o swym jedynaku, który Go zawsze najczulej i najgoręcej kocha.

Państwu Helbich, tak starszemu jak i młodym, moje uszanowanie i najserdeczniejsze pozdrowienia

Adam.

Uwagi.

1. Odczyt o *Antygonie* drukowany był także w *Bluszczu* w nr 14 do 15 (16) od 8 do 22 kwietnia 1874.

2. Książę Władysław Czartoryski (1828—1894), syn księcia Adama, senatora, wojewody i ministra (rosyjskiego) spraw zagranicznych, po śmierci pierwszej żony, córki Krystyny, królowej hiszpańskiej, ożenił się powtórnie z Małgorzatą, księżną Nemours z domu Orleanów (stąd zwaną Orleanką).

19.

Kraków dnia 5 maja 1874 r.
Ul. Łobzowska 99.

Najukochańszy Ojcze!

Spodziewałem się, że w ostatnich dniach kwietnia wyjadę na wieś i że już stamtąd do Ojczulka pisać będę donosząc o miejscu swego pobytu, tymczasem druga zima, która się rozpoczęła na nowo, powstrzymała mój entuzjazm do wiejskiej idylli i skłoniła mnie do pozostania jeszcze na czas jakiś w Krakowie, dopóki na dobre cieplejsza wiosna nie rozpocznie swego panowania. Nie wiem, jak tam w Konarach, ale tu w Krakowie używaliśmy w pierwszych dniach maja dziwnego widoku białozielonawych trawników pod śniegiem i byliśmy zmuszeni na nowo zacząć palić w piecach. W ciągu upłynionego miesiąca miałem miłą niespodziankę odwiedzin pana Józefa Helbicha, który był tyle dobry, że wstąpił do mnie. Spędziłem też z nim potem cały wieczór u państwa Kossak na przyjemnej pogadance o Warszawie, i o obu Ojczulkach, co są w Konarach. Zaczynają już od czasu do czasu zjawiać się przelotni gości z tamtej strony, w tych dniach był też u mnie adwokat Leo z Warszawy, a na czerwiec mam zapowiedziane przybycie pani Modrzejewskiej, która podobno także wybiera się do Zakopanego. W Zakopanem prawdopodobnie tego roku zjedzie się mnóstwo osób, przynajmniej wnosząc z liczby tych, co tam projektują spędzić lato. Już się też ukonstytuowało Towarzystwo Tatrzańskie, mające się zająć ułatwieniem przystępu na szczyty, pobudowaniem szałasów i różnemi dogodnościami dla zwiedzających, a zarazem wziąść w opiekę kozice i świstaki, które nielitościwie tępione dotąd, mogłyby całkiem wyginąć. Z Krakowa świat powoli zaczyna już się rozjeżdżać, wyjechała księżna Marcelina, wyjeżdżają Wodziccy i Potoccy. Kończą się więc przyjęcia i wieczory.

Poczciwy, zacny pan Ordęga zasłabł nieco w tym czasie, odwiedzałem go więc częściej niż zwyczajnie; przestraszyliśmy się o niego, ale na szczęście oprócz febrycznej gorączki w skutku przeziębienia, nic złego się nie pokazało. Teraz ma się już lepiej, tylko uskarża się na osłabienie. Panna Ordężanka ma jechać właśnie do stryja, pana Macieja, który obecnie jest w Wrocławiu, i razem z nim udać się do Szczypiórna, wstrzymywała ją tylko choroba ojca a teraz jeszcze ból zębów. Na porządku dziennym w Galicji ciągle jeszcze same bankructwa i sprzeniewierzenia kasowe, niedawno zemknął we Lwowie Kalita, sprzeniewierzywszy fundusz Krakowskiego Towarzystwa Ubezpieczeń, teraz zaś zemknął z Krakowa

Wolański kontroler, a aresztowanym został Bożewski, dyrektor filii Banku Hipotecznego, za deficyt trzydziestu tysięcy. — Spotkałem się kilka razy z Widerakiewiczem, bardzo się dopytywał o Ojca i prosił mnie koniecznie, żeby załączyć w liście jego pozdrowienia, z czego się też obecnie wywiązuję.

Ze mną wszystko po staremu, nie jestem ani bardzo zdrów, ani bardzo chory, i nędze żywota znoszę, jak mogę. Co mi jest prawdziwie nieprzyjemnem, że mi teraz i oczy zaczynają dokuczać, a na tym punkcie jestem bardzo tchórzliwym. Pocieszam się tylko, że to przejdzie jako chwilowa dolegliwość, która nie przybiera wcale dotąd znaczniejszych rozmiarów; widok zielonych łąk i lasów będzie dostatecznym, ażeby ją usunąć. W każdym razie o odpowiedź będę prosił jeszcze do Krakowa, ponieważ przed dziesięciu dniami nie wyjadę, a opóźniwszy się z moim listem pragnąłbym choć nie zasłużenie mieć jak najwcześniej wiadomość o zdrowiu Kochanego Ojczulka jako też i szanownego doktora Helbicha. O to. jak się panowie bawią, nie pytam, bo z góry jestem przekonany, że jak najlepiej, mimo niepogody i chłodu. Na teraz kończę mój list dzisiejszy ucałowaniem rąk Ojczulka i złożeniem mojego uszanowania tak starszemu panu Helbich, jak i obojgu państwu młodym. Sokołowski, mój towarzysz, zastawszy mnie przy pisaniu, załącza dla Ojczulka serdeczne pozdrowienia. Oczekując z niecierpliwością wiadomości, pozostaję jak zawsze kochającym synem

Adam.

Uwagi.

1. Leo Edward (1829—1901) prawnik-obrońca i publicysta, redaktor *Gazety Polskiej* do r. 1897.

2. Towarzystwo Tatrzańskie zostało założone w r. 1873.

20.

Kraków d. 28 maja 1874
ul. Łobzowska 99 a

Najukochańszy Ojczulku!

Na próżno już od tylu dni wyczekuję każdego poranku na listonosza, co by mi przyniósł odpowiedź od Ciebie na mój list ostatni z dnia 5 maja — czekam i czekam... i nic nie nadchodzi... i nie wiem, co pomyśleć i jakie przypuszczenia robić?

Czyś się na mnie zagniewał? czyś o mnie zapomniał? czy broń Boże nie jesteś słaby? czy też list na poczcie zaginął? wszystko to jest dla mnie znakiem zapytania a zarazem nieprzyjemną zagadką. — Byłbym się już od dawna wziął do pióra, aby się zapytać, co się dzieje, gdyby nie ciągła nadzieja, że może jutro upragniona wiadomość nadejdzie, tem bardziej, że już mi się parę razy zdarzyło, że zaraz nazajutrz po wysłaniu alarmującego listu nadeszła spóźniona odpowiedź.

Ale dłużej ociągać się już nie mogę, bo mi już na dobre niepokój zaczyna dokuczać. Gdyby to było do Warszawy, byłbym zatelegrafował, ale na wieś to o tem ani myśleć nie można, muszę

więc poprzestać na listownej presji i czekać cierpliwie odpowiedzi. Widocznie tego roku skazany jestem na ciągłe wyczekiwanie, wyczekuję lepszej pogody wiosennej, lepszego zdrowia, lepszych kursów na giełdzie i najlepszych wiadomości od Ojczulka, a wszystko nadaremnie, jak widzę. Na wieś nie pojechałem i chyba już nie pojadę, aż w początkach lipca do Zakopanego na stały pobyt w górach. Góry i morze to jedyne uniwersalne lekarstwo na wszystkie ludzkie dolegliwości, tam oddychając świeżem, wonnem powietrzem, pojąc się widokiem wiecznie świeżej a wzniosłej natury, można zapomnieć o cierpieniach i troskach, a komu i to jeszcze nie wystarcza, ten szczęśliwie może gdzie kark skręcić z jakiego szczytu.

Oby tylko lato chciało być ciepłe i pogodne! — bo w przeciwnym razie to bardzo smutna jest dola, siedzieć nieruchomie w owych dusznych i ciemnych izbach i przysłuchiwać się monotonnemu pluskowi deszczu. W Galicji i tak już wylewy wód wielkie poczyniły szkody, kilka powiatów jest w połowie zniszczonych, ucierpiały nie tylko zasiewy, ale i wsie całe jak również drogi i koleje żelazne. W Królestwie pod Warszawą Wisła także poigrała nie żartem, za to u nas w Krakowie zachowała się tym razem spokojnie. —

. . . .

Ja zacząłem już pić wodę żegiestowską *pour acquit de conscience*, wypiję z jakie czterdzieści butelek przed Zakopanem, może mnie to trochę wzmocni chociaż tymczasowo.

Teraz zbliżając się do kresu mojego dzisiejszego listu, muszę wystosować najusilniejsze prośby do Najdroższego Ojczulka, żeby zechciał jak najrychlejszą odpowiedzią zaspokoić moją ciągle wzrastającą niepewność i niecierpliwość. Proszę adresować do Krakowa bo w każdym razie krokiem się stąd nie ruszę, póki się nie doczekam pożądanych wiadomości.

W nadziei prędkiego a pomyślnego załatwienia niniejszej mojej petycji, całuję ręce Ojczulka po tysiąc razy, polecając się Jego sercu i pamięci.

Panu doktorowi Helbichowi jako też i państwu młodym moje uszanowanie składam — i pozostaję w oczekiwaniu

Przywiązany syn
Adam

Uwagi.
Wykropkowane zdania łączą się z opuszczonym ustępem listu 14.

21.

Kraków d. 15 czerwca 1874
ul. Łobzowska 99

Najukochańszy Ojczulku!

Otrzymany na dniu ósmym czerwca list zaspokoił mnie nareszcie, że długie milczenie, z którego nie umiałem sobie zdać sprawy, było jedynie skutkiem zagubienia listu na poczcie i że

Kochany Ojczulek ze stanu swego zdrowia jako tako jest zadowolony, mając przy tem dostateczną rozrywkę w miłem towarzystwie przy zajęciach gospodarskich.

Ja dotychczas ciągle dosiaduję w Krakowie oczekując ustalonej pogody w lipcu, ażeby się puścić w góry. Tymczasem jednakże od czasu do czasu robię drobne wycieczki w okolice Krakowa w towarzystwie Sokołowskiego. Bylickiego i Łuszczkiewicza, profesora Szkoły Sztuk Pięknych. Byliśmy w ten sposób w ruinach zamku tęczyńskiego, potem w klasztorze w Czerny, a przeszłej niedzieli w Niepołomicach, w dawnym myśliwskim zamku królów polskich. Ta ostatnia wycieczka była najwięcej urozmaicona — wyjechaliśmy bowiem wieczorem w sobotę koleją żelazną do Podłęża, drugiej stacji na drodze do Lwowa. Tam czekał nas z wózkami sędzia z Niepołomic, który nas do siebie na nocleg zawiózł.

Przespaliśmy się więc w owem zamczysku, które dziś mieści w sobie urzęda i mieszkania urzędników, i wstaliśmy równo ze wschodem słońca dla rozpatrzenia się po miejscowości. Zwiedziliśmy zamek, który teraz jedynie pod względem architektonicznym zawiera dosyć ciekawych szczegółów, poczem wyruszyliśmy na miasteczko i do kościoła. Kościół w głównych swoich częściach zachowujący pierwotną architekturę z czasów mniej więcej Kazimierza Wielkiego, ozdobiony dwiema późniejszemi kaplicami Branickich i Lubomirskich, posiada wiele ciekawych zabytków, dyplomy Kazimierza Wielkiego i arcybiskupa Bodzanty z dochowanemi pieczęciami, n a d e r bardzo piękny kielich w stylu romańskim z ozdobami w jak najlepszym smaku i wielką gotycką monstrancję, dar Branickich z początku siedemnastego wieku. Obejrzeliśmy to wszystko, poczem wyruszyliśmy w niepołomickie lasy aż do historycznego dębu, pod którym August drugi po wielkiem polowaniu nocował.

Dąb już dziś zupełnie suchy i odarty z kory, wisi tylko na nim tablica pamiątkowa.

Po powrocie z lasu odwiedziliśmy miejscowego księdza, poczem udaliśmy się na obiad do gościnnego sędziego. Po obiedzie przeprawiliśmy się łódką przez Wisłę, która tuż pod Niepołomicami płynie, i tam na drugiej stronie zastaliśmy już czekające konie pana Pawła Popiela, które nas do jego wsi Ruszczy zawiozły. Tam nas znowu czekano z obiadem i spędziliśmy kilka godzin w bardzo miłem towarzystwie. Wieczorem zaś odesłano nas do Krakowa. Wybieramy się jeszcze w tych czasach do Szczepanowa, miejsca urodzenia ś-go Stanisława. Kilku naszych znajomych przyjeżdżało teraz niedawno przez Kraków. Pierwszy z nich Brandt, który zjawił się w ostatnich dniach maja, widziałem się z nim u państwa Kossaków. Bawił dni kilka, poczem wspólnie z panem Juliuszem pojechali na kilka tygodni do Bałty. Przed ośmiu dniami znowu przyjechał Fritsche z żoną, oprowadzałem ich po Wawelu. Ostatecznie zaś przejechała przez Kraków pani Modrzejewska, udając się do Lwowa, ale z nią się nie widziałem, bo właśnie byłem na wycieczce. Miałem także wizytę panów Jenikego i Ungra z War-

szawy, podróżujących w celach nowego wydawnictwa. Oto i całe pokłosie wiadomości, które naprędce zebrać mogłem dla Kochanego Ojczulka. Zresztą wszystko tak jak było, zapijam się wodą żegestowską zajadając kwaśnem mlekiem; jak mi to posłuży? skutek pokaże.

Proszę o dalsze wiadomości o Ojczulku, w każdym razie będę pisać jeszcze przed wyjazdem do Zakopanego. Tymczasem ręce Najdroższego Ojczulka po tysiąc razy całuję. Całej familii państwa Helbich moje uszanowanie.

Proszę pozdrowić także ode mnie Jagusię i podziękować za pamięć.

Kochający syn
Adam

Uwagi.

1. Łuszczkiewicz Władysław (1828—1900), profesor Szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie, znany historyk sztuki.

2. Brandt Józef (1841—1917), wybitny malarz polski.

3. Popiel Paweł (1807—1892), uczestnik powstania listopadowego, wybitny członek grupy konserwatywnej, w latach 1874—1881 poseł na Sejm galicyjski.

4. Fritsche, kolega uniwersytecki Asnyka z Heidelbergu (por. list Asnyka z 7 VII 1861, Rkps Bibl. Narod. 326 M.), później lekarz.

5. Unger Józef (1817—1874), drukarz i wydawca warszawski, założyciel *Tygodnika Ilustrowanego* i *Wędrowca*.

6. Jenike Ludwik (1818—1903), pierwszy redaktor *Tygodnika Ilustrowanego*, zasłużony tłumacz Goethego na język polski.

22.

Kraków d. 4 lipca 1874
Ul. Łobzowska nr 99.

Najukochańszy Ojczulku!

Teraz już listy nasze potrzebują dłuższego czasu, zanim dojdą z Krakowa do Konar i odwrotnie, różnica zaś ta da się nam jeszcze więcej odczuć w korespondencji podczas mojego pobytu w Zakopanem; trzeba się więc będzie spieszyć z odpowiedzią zaraz po odebraniu listu. Ja jestem już na wyjezdnem, w poniedziałek a najdalej we wtorek wyruszę w drogę i dlatego już przyszły list niech Ojczulek raczy adresować przez Kraków w Zakopanem. Wybieram się tak samo jak przeszłego roku z Ojczulkiem wózkiem góralskim w towarzystwie prawdopodobnie księdza Chmielewskiego, bo samemu odbywać drogę to nieprzyjemnie i nieekonomicznie zarazem. Podobno już dużo osób jest tam na miejscu i później byłby wielki kłopot o pomieszczenie, tem bardziej, że wiele chat już jest z góry zamówionych i zapłaconych. W ostatnich dniach czerwca przybyła tu pani Korycka z Snaczyńskich, kuzynka Rudzkiego, w przejeździe do Krynicy. Dała mi znać o swojem przybyciu, więc zaraz poszedłem ją odwiedzić w Hotelu Saskim. Byłem z nią potem w Ogrodzie Strzeleckim na muzyce i umówiliśmy się, że ją zaprowadzę na wystawę obrazów, ale zaszło nieporozumienie co do dnia, ja przyrzekłem na środę, a ona mnie oczekiwała we wtorek,

przez co trzy razy będąc u niej w środę ani razu jej nie zastałem i tak zamiar ten spełzł na niczem. Dostałem tylko od niej bilecik z pożegnaniem, wyświecający pomyłkę i dziękujący przynajmniej za dobre chęci.

Nie wiem, jakim sposobem zaszła ta pomyłka, bom jej wyraźnie mówił, że we wtorek na cały dzień wyjeżdżam do Piekar, gdzie musiałem dać słowo, że przyjadę. Piekary jest to prześliczna wioska, położona nad Wisłą naprzeciw ruin opactwa tynieckiego, a będąca własnością państwa Miliewskich. We środę rano zjawił się także u mnie sędzia Korzeniowski z Warszawy. Wybrał się był do Krynicy, ale przyjechawszy do Bochni, zastał wszystkie miejsca na poczcie zajęte na cały tydzień; bojąc się więc puszczać wózkiem, powrócił z niczem do Krakowa. Miał niby zamiar pojechać do Francensbadu w dalszym ciągu, ale na drugi dzień od samego rana przysłał mi kartkę z doniesieniem, że się czuje śmiertelnie chorym i z prośbą, abym przyszedł natychmiast do niego z jakim doktorem. Przestraszyłem się mocno i pobiegłem zaraz do Harajewicza, którego też szczęśliwie zastałem. Zastaliśmy sędziego wprawdzie nieco słabego, ale żadnego niebezpieczeństwa, tylko mocne rozdrażnienie nerwów i osłabienie po pigułkach, które poprzednio zażywał. Wyperswadowaliśmy mu wszystkie jego strachy i myśli o śmierci, które go niepokoiły, a Harajewicz zapisał mu uspokajające lekarstwo. Na drugi dzień był już mniej więcej w zwykłym stanie, tylko postanowił nie puszczać się już dalej w drogę lecz powrócić do Warszawy. Na Ojczulka narzekał przede mną, że się nie zdecydował z nim pojechać do Krynicy i znalazł w tem u mnie chętne ucho na swoje skargi.

Kossak także powrócił już z Bałty, byłem u nich z pożegnaniem, przywiózł podobno ze sobą wiele ciekawych szkiców. Byłem także u Matejki, zaprowadził mnie do pracowni i pokazywał swoją najnowszą pracę, przedstawiającą wyciąganie na wieżę katedry zygmuntowskiego dzwonu. Jeszcze nie jest ona wykończoną, ale odznacza się niezwykłą siłą kolorytu.

We czwartek państwo Ordęgowie zaprosili mnie, Sokołowskiego i Bylickiego na obiad pożegnalny. Bawiliśmy się dobrze rozweselając wytwornem burgundzkiem winkiem.

Wyjeżdżam ostatecznie w poniedziałek z księdzem Chmielewskim, jak to nadmieniłem na początku listu. Prawdopodobnie wyruszy jednocześnie z nami familia Anczyców, która się przypomina pamięci Ojczulka. Anczyc utrzymuje, że byłby bardzo niespokojny o żonę, gdyby się był Ojczulek pojawił tego roku.

Z wiadomości ogólniejszych mam tylko do nadmienienia, że Kraków przez dni kilka był mocno zajęty wyborem prezydenta Dietel bowiem ustąpił, a na jego miejsce dwóch było głównych kandydatów, Weigel i Zyblikiewicz. Ostatecznie Zyblikiewicz zwyciężył.

Teraz nie pozostaje mi nic, jak ucałować po tysiąc razy ręce Najdroższego Ojczulka na wyjezdnem i całej familii Państwa Helbich złożyć moje uszanowanie.

Adam.

Uwagi.

1. Dr Harajewicz Jan, dyrektor Szpitala św. Łazarza w Krakowie w latach 1866—1893.

2. Matejko Jan (1838—1893), genialny twórca historycznego malarstwa polskiego.

23.

Zakopane d. 22 lipca 1874

Najukochańszy Ojczulku! Wczoraj nareszcie list Twój doszedł do Zakopanego i zaspokoił mnie co do najważniejszych dla mnie punktów, odnoszących się do Twojego zdrowia, usposobienia i przyjemnie spędzanego czasu. Ja ze swojej strony także od dwóch tygodni bawię w Zakopanem i również jestem bardzo zadowolony z mego w niem pobytu. Pogoda służy teraz ciągle prześliczna powietrze wonne i świeże, wieczyście piękne widoki przed oczami, pokusy do coraz to nowych wycieczek, a przy tem liczne i miłe towarzystwo, wszystko to przyczynia się do zdrowia i dobrego humoru zarazem. Byłem już na nowo u Morskiego Oka i Czarnego Stawu, nad tymże dla wygody gości buduje się tam teraz schronienie o kilku izbach, w których będzie można wygodnie przenocować, a nie, jak dotąd, pod gołem niebem. Zawiązało się bowiem teraz Towarzystwo Tatrzańskie, do którego i ja należę, a które podejmuje różne ulepszenia, ażeby Tatry uczynić więcej przystępnemi i zwiedzanemi. Poprawiają się więc drogi, budują mostki, kładki szałasy na noclegi, tratwy do pływania po górskich jeziorkach itd W samem Zakopanem urządziło się już rodzaj kasyna, gdzie są dzienniki i gdzie się goście na czytanie i gawędkę schodzić mogą Towarzystwo także swoim kosztem opłaca straż dla ochrony dzikich kozic i świstaków, które przy ciągłem tępieniu byłyby się doczekały w naszych Tatrach ostatecznej zagłady. Jeżeli tylko gorliwość nie ustanie i zbierze się dostateczna ilość członków dla poparcia pieniężnie towarzystwa, to może oddać ono wiele usług a nawet przyczynić się do powiększenia dobrobytu górali. Na Giewoncie, którego Ojczulek zna doskonale, bo się ciągle na niego patrzał spod gołębnika, byłem wkrótce po przyjeździe z księdzem Sutorem i profesorem Świerzem. Wdrapaliśmy się na szczyt jego aby go objąć w posiadanie i zatknąć tam chorągiew towarzystwa Dokonaliśmy też tego dzieła przy licznych obrządkach tak pogańskich jak i chrześcijańskich. Ja pełniłem obowiązki kapłana pogańskiego, lejąc wino w wykopaną jamę i czyniąc tym sposobem libacje podziemnym bóstwom; na pamiątkę włożyliśmy w dół butelkę z naszemi nazwiskami i krótką wzmiankę o dokonanym wiekopomnym fakcie i dniu tej uroczystości, poczem zatknęliśmy na olbrzymiej tyce zawieszoną chorągiew, przysypaliśmy ziemią, przywaliliśmy głazami i wnet powitaliśmy ją powiewającą nad naszemi głowami salwą z rewolwerów, śpiewami, toastami i pyrrhicznemi tańcami. Odtąd powiewa ona ciągle na Giewoncie, widzialna z Zakopanego przez lunetę bardzo dokładnie, gołem zaś okiem zaledwie

ją rozeznać można. Tego roku gotuję się na wielką wyprawę na Gierlach jako na absolutnie najwyższy szczyt z całych Tatr. Na trzeciego sierpnia gotuje się wielka uroczystość nad Morskiem Okiem, węgierskie Towarzystwo Karpackie przybywa do nas w gości i my je tam przyjmujemy. Zjedzie się na ten dzień masa osób tak z Węgier, jak i z Galicji, Szalaj także przywiezie część swoich gości ze Szczawnicy, słowem, będzie wielkie zgromadzenie w górach.

W Zakopanem także się dotąd zebrało już liczne towarzystwo. Ja ze znajomych mam Anczyców, panią Chłapowską i Natanson, które mieszkają w jednym domu i tworzą z familiami swemi olbrzymi falanster, dalej pp. Chałubińskich, panią Kruszyńską, księdza Krechowieckiego z familią, Bylickiego i wiele innych znajomych, których nie wyliczam, bo ich nazwisk albo Ojczulek nie zna, albo by sobie nie przypomniał.

Na tem kończę mój obecny list, całując ręce Najdroższego Ojczulka po tysiąc razy. Państwu Helbich moje uszanowanie.

Adam.

Uwagi.

1. Szalay Józef Stefan (zmarł 1876 w wieku ok. 80 lat), ówczesny właściciel uzdrowiska Szczawnica, które następnie darował Polskiej Akademii Umiejętności, a ta następnie sprzedała je dzisiejszemu właścicielowi, Adamowi hr. Stadnickiemu.

2. falanster (z fr.) — wielki budynek dla pewnej ilości osób, by razem mieszkały, pracowały i wspólnie korzystały z wspólnej pracy (według projektów socjalistycznych Fouriera).

24.

Kraków d. 29 sierpnia 1874
Ul. Łobzowska 99 a

Najukochańszy Ojczulku!

Nie czekając już odpowiedzi Ojczulka, gdyż może by mi przyszło znowu tak długo czekać jak przeszłym razem, zabrałem się do pióra, aby donieść, że już nareszcie, zakończywszy wszelkie peregrynacje, powróciłem do siebie z tą miłą nadzieją, że teraz przecie owa wschodnio-indyjska poczta z Konar poprawi się co do swej punktualności.

Opowieść moich dalszych losów po powrocie z Szczawnicy nie posiada już tego romantycznego kolorytu, którym się odznaczały: wycieczka moja do Szmeksu i Kolbachów, powrót przez Polski Grzebień, nocleg przy Morskiem Oku itd.

Przyjechawszy bowiem ze Szczawnicy nie robiłem już większych wycieczek i tylko ograniczałem się więcej na towarzyskiem życiu w samem Zakopanem.

Ubytek doktora Kaczorowskiego, jego żony i miłej córeczki, z któremi tyle wesołych chwil spędziłem, musiałem zastąpić znowu towarzystwem pani Chłapowskiej, Natanson i panny Wolskiej, które poprzednio zaniedbywałem dla pięknych oczu córki doktora.

Gdyby nie przeszłoroczny krach, byłbym już złapany na dobre, o mało co nie oświadczyłem się przy rozstaniu, ale wspomniawszy na niskie kursa, pozostawiłem wszystko w zawieszeniu.

Zakopane w tym roku przy końcu przybrało bardzo ożywiony charakter. Mieliśmy uroczystość w rocznicę urodzin cesarza Franciszka Józefa, obchodzoną ogniami sztucznemi, wystrzałami z moździerzy i wieczorem tańcującym. Mieliśmy teatr amatorski, w którym brała udział pani Modrzejewska, panowie Benda i Fiszer, potem wieczór muzykalno-deklamacyjny, na którym grał pan Franciszek Bylicki a deklamowała pani Modrzejewska — a na ostatku jeszcze dwa wieczory tańcujące, z których ostatni udał się jak najlepiej, bo tańczono do samego rana. Ja z mojej strony chciałem na ukoronowanie wszystkich moich wycieczek zrobić wielką wyprawę na Gierlach, ale przez długi czas nie mogłem znaleźć ochotników, co by chcieli podzielić trudy tego przedsięwzięcia, a gdy ostatecznie udało mi się zwerbować towarzystwo, jak na złość przyszły deszcze, które przez dziesięć dni ostatnich trzymały nas w oblężeniu. Na dwa dni przed moim wyjazdem wszystkie szczyty pokryły się śniegiem i napawaliśmy się dziwnie pięknym widokiem całego bielejącego pasma gór. Przy tej bowiem białości śnieżnego okrycia wszystkie linie, kontury i załomy wystąpiły z daleko większą dokładnością, cała perspektywa stała się wyraźniejszą i rozleglejszą, a jeszcze gdy na odjezdnem słońce wydostało się z chmur i oświeciło śnieżyste grzbiety i stoki, połyskujące w jego promieniach, to zgodziliśmy się wszyscy jednogłośnie, że nigdy jeszcze tak wspaniale wyglądających Tatr nie widzieliśmy. — Przez całą drogę do Nowego Targu podziwialiśmy nieustannie, nie mogąc się dość nasycić, ten świetny krajobraz górski, olbrzymiejący jeszcze w miarę oddalenia i ukazujący coraz to nowe wierzchołki Tatr węgierskich. Drogę z Zakopanego odbywałem razem z Bylickim i Ryxem, więc droga przeszła prawie niepostrzeżenie. W Krakowie zastałem już Bronisia Kłokockiego, o widzeniu się z którym w Szczawnicy donosiłem poprzednio. Również powróciła już pani Wyganowska, poszedłem więc natychmiast do Kossaków, żeby się z nią jeszcze raz widzieć i pożegnać.

Oprócz tych spotkań miałem jeszcze trzecie niespodziane z Adamem Chodyńskim, spędziliśmy więc z sobą kilka godzin razem, jak przystoi na kaliszaków, przy buteleczce. Kazał Ojczulkowi przesłać swe uszanowanie, a mnie na pamiątkę obdarzył wydanym przez siebie opisem klasztoru OO. Reformatów w Kaliszu, — ja mu się za to odwdzięczyłem swoim dramatem.

Na teraz kończę, całując ręce Najdroższego Ojczulka po tysiąc razy i prosząc o odpowiedź, która mi się podwójnie należy. Całej familii Szanownego doktora Helbich moje uszanowanie

Adam.

U w a g i.

1. Fiszer Gustaw, słynny aktor, monologista i humorysta lwowski.

2. Benda Feliks (1832—1875), brat Modrzejewskiej, sławny aktor i reżyser teatru krakowskiego.

25.

Kraków d. 24 września 1874
Ul. Łobzowska 99.

Najukochańszy Ojczulku!

Sam nie spostrzegłem się, jak upłynęło dziesięć dni od otrzymania Twego ostatniego listu, którego obszerność wynadgrodziła mi dość długą przerwę, spowodowaną zaginięciem mojego listu, pisanego po powrocie z Szczawnicy. Już to zgromadził w nim dla mnie Najdroższy Ojczulek bogaty zapas wszelkiego rodzaju interesujących mnie wiadomości i chciałbym wywdzięczyć Mu się za to, jakkolwiek teraz na krakowskim bruku nie posiadam dostatecznego materiału. Powróciłem znowu do zwykłej monotonii życia i zabrałem się po części do skrobania po papierze.

Ostatki kąpielowych gości przeciągają przez Kraków powracając do swych domów, a i znajomi krakowscy powoli przypływają na zimowe leże. Z warszawiaków widziałem się tu jeszcze z Kazimierzem Władysławem Wójcickim, który bawił tu kilka tygodni biorąc kąpiele w Swoszowicach, a w ostatnich dniach z mecenasem Edwardem Leo, który obejmuje teraz redakcję *Gazety Polskiej* i przybył mnie kusić, ażebym mu sprzedał cząstkę duszy mojej.

Oprócz tego widziałem się również jeszcze z Karolem Podgórskim i Wawnikiewiczem, kolegami z Heidelberga, Edwardem Kaplińskim, budowniczym z Warszawy, zacnym dawnym znajomym, który nieszczęściem dostał zapalenia płuc i jedzie na zimę do Meran.

Boję się bardzo o niego, by nie podzielił smutnego losu swego brata Leona, utalentowanego malarza, który przed półtora rokiem skończył na suchoty.

Z krakowskich znajomych powróciła już z Warszawy pani Ryx, panie Librowskie i państwo Ordęgowie z Krynicy — a pp. Pawlikowscy z Francensbadu. Byłem tam wszędzie z powitaniem, pani Librowska zasyła Ojczulkowi najserdeczniejsze pozdrowienia. Co do panny O., widzę, że muszę Ojczulkowi wyjaśnić moją sytuacyę żeby nie było żadnego na tym punkcie nieporozumienia. Przedstawię więc rzecz całą w świetle historycznem, zaczynając od samego początku. Zanim mi Kochany Ojciec doniósł o pobycie w Krakowie tej ze wszech miar zacnej familii, Sokołowski, który znając już ich z Paryża bywał dość często w ich domu w Krakowie, namówił mnie do zapoznania mnie z niemi i sam mnie tam wprowadził, nie tając się wszakże, że sam ma pewne matrymonialne zamiary. Sokołowski jest pod każdym względem przyzwoitym, rozumnym i uczciwym człowiekiem, uważałem więc rzecz całą za szczęśliwie ułożoną i bynajmniej nie powstało mi w głowie krzyżować jego planów. Zacząłem więc bywać najbezinteresowniej w świecie, tak jak się bywa w domu, dla którego się ma prawdziwy szacunek i sympatię bez żadnej jednakże myśli na przyszłość i bez żywszego bicia serca. Przyzwyczaiłem się do biernej roli, przyzwyczaiłem się uważać pannę jako bardzo dobrą i przyjemną osobę, która może być żona

drugiego, i nie odczuwając żadnej zazdrości, życzyłem sobie tylko pozostać na przyjaznej stopie.

Tak się doskonale zakonserwowałem w tej mojej bierności, że dziś, jakikolwiek by wzięły obrót nadzieje Sokołowskiego, nie umiałbym już przejść do innej roli. A to nie dlatego, żebym nie zdołał ocenić wysokich przymiotów panny, żebym ją nie widział prawdziwie szlachetną, dobrą, rozumną i zajmującą, ale właśnie dlatego, iż widząc ją taką uważam, że zasługuje mieć męża, który by ją prawdziwie kochał. Ja co do mnie nie poważyłbym się nigdy powiedzieć kobiecie, że ją kocham, nie mając dla niej nic więcej prócz przyjaźni — ani też dać jej do zrozumienia, że się pragnie jej ręki bez miłości, jedynie dlatego, że się ją uważa za stosowną partię. Być może, że to wszystko, com powiedział, wygląda dość śmiesznie w moim wieku, mam nawet niejaką samowiedzę, żebym pewniejsze znalazł szczęście, dając się powodować rozsądkowi, ale cóż na to poradzi, kiedy ja i rozsądek nigdyśmy dotąd nie chodzili w parze i prawdopodobnie nigdy się już nie spotkamy z sobą na tym świecie wad i ułomności.

Mój drogi Ojczulku, tylko się nie gniewaj na mnie za moją szczerość, możesz pomyśleć sobie o mnie, żem jest wariat, odpychający własne szczęście — ja ci z góry przyznam słuszność, ale dodaj zawsze, że to uczciwy wariat, który tylko samemu sobie szkodzi.

Przechodząc teraz do innych spraw żywota na zapytanie Ojczulka co do stanu moich interesów, muszę z pokorą wyznać, że się dotąd prawie zupełnie nie poprawiły. Wiele innych papierów poszło, i to dosyć znacznie, w górę, a moje jak stoją, tak stoją uparcie. O procentach dotąd nawet mowy nie było, zobaczę dopiero na Nowy Rok, czy mi się co okroi. Mimo tego żyję jakoś szczęśliwie — oglądając się wyłącznie na moje osobiste dochody. Te, jakkolwiek nie są tak świetne, dozwalają mi przecież czekać cierpliwie lepszych czasów. Zawsze w przeciągu bieżącego roku wyciągnąłem do sześciuset reńskich z mojego pióra, a spodziewam się jeszcze ze czterysta przyczynić. Na giełdzie bowiem literackiej akcje moje stoją teraz wysoko i wydawcy cisną się do mnie jeden przez drugiego, zamawiając sobie współpracownictwo. Był u mnie właśnie po raz trzeci Gubrynowicz ze Lwowa, wydawca *Ruchu Literackiego*, zostawił mi dwadzieścia złotych reńskich w zamian za osiemdziesiąt wierszy Cztery wiersze guldena — to jeszcze ujdzie.

Koźmian wymógł na mnie, żebym mu pisał recenzje teatralne do *Przeglądu Polskiego*, ofiarując mi za to trzydzieści reńskich od arkusza małego formatu i darmo krzesło na wszystkie przedstawienia.

Leo zamówił u mnie przynajmniej raz na miesiąc felieton do *Gazety* po piętnaście rubli od sztuki.

Oprócz tego zacząłem pisać dramat wierszem na konkurs, a kończę zaczęty dawniej prozą. W końcu zresztą mam szczery i rzetelny zamiar na pierwszego października, a najdalej na pierwszego grudnia, wygrać sto tysięcy reńskich na losach tureckich.

w którym to razie po Nowym Roku popłynę do Grecji, śpiewając orficzne hymny, i tam poślubię syrenę z Egejskiego Morza, którą zaślubiwszy, w klatce do domu przywiozę. Otóż zdaje mi się, żem się już wyspowiadał z wszystkich moich złych lub dobrych myśli i mogę już zakończyć dzisiejszą gawędę. Z nowin otrzymanych od Ojczulka najsmutniejszą dla mnie była wiadomość o tak rozpaczliwym stanie mojego zacnego Chrzestnego. Poprzednio słyszałem o polepszeniu i cieszyłem się nadzieją, że jeszcze powróci do zdrowia. Teraz widać wszystko już stracone i być może, iż już nie żyje w tej chwili.

Panu doktorowi i całej jego familii oświadcz Ojczulek moje uszanowanie i pozdrowienia. Stryjostwu Karolom proszę także najserdeczniej podziękować za ich pamięć o mnie, jako też dobrej Jagusi, dawnej wiernej przyjaciółce naszej.

Ojczulkowi ręce po tysiąc razy całuję prosząc, ażeby zachował dla mnie pobłażanie przy moich dziwactwach.

Przywiązany syn
Adam

P. S. Niech mi Ojczulek doniesie, gdzie mam następnie list adresować, bo według odebranego listu wyjazd z Konar nastąpi w pierwszych dniach października.

Uwagi.

1. Wójcicki Kazimierz Władysław (1807—1879), historyk literatury i obyczajowości Warszawy, powieściopisarz.

2. Koźmian Stanisław (1836—1922), polityk, publicysta, teatrolog, dwukrotnie dyrektor teatru krakowskiego, jeden z założycieli *Przeglądu Polskiego* i jego redaktor, współautor *Teki Stańczyka*, autor szeregu dzieł politycznych, literackich oraz głośnej swego czasu *Rzeczy o roku 1863*.

W *Przeglądzie Polskim* 1874—75 ukazała się tylko jedna recenzja Asnyka, a to dramatu Calderona *Książę Niezłomny* — (Rozbiór i ocena w zeszycie V na 7 stronach).

3. Kapliński Leon (1826—1873 — zmarł 16 III w Miłosławiu), malarz i autor. Prace literackie drukował w *Czasie* i *Przeglądzie Polskim*.

4. W wydawanej przez mecenasa Edwarda Leo w Warszawie *Gazecie Polskiej* nie znalazłem w roczniku 1874 felietonów podpisanych nazwiskiem Asnyka. W roczniku 1875 znalazłem kilka felietonów-korespondencyj (z tych 4 w odcinkach) częściowo podpisanych kwadratem (□), — które przypuszczalnie, sądząc po stylu i poruszonych tematach oraz sposobie ich naświetlenia, pochodzą od Asnyka.

5. Wspomniany tu dramat wierszem, to *Kiejstut*, a dramat prozą, to *Żyd*.

26.

Kraków d. 17 listopada 74
Ul. Łobzowska 99.

Najukochańszy Ojczulku!

Nie mogłem doręczyć listu panu Lucjanowi, bo przez cały czas jego pobytu, bumlując razem z nim po mieście, nie miałem chwili czasu, którą bym mógł poświęcić na pisanie. Byliśmy bowiem prawie ciągle ze sobą i jeździliśmy nawet do Wieliczki oglądać

kopalnie. Przyszedłszy do domu wieczorem, zastałem list Ojczulka i domyśliłem się zaraz, że to pan Lucjan przyjechał, dziwiłem się tylko, czemu nie stanął u mnie, bo nie wiedząc dnia, w którym przyjedzie, zapowiedziałem służbie, żeby w razie mojej nieobecności natychmiast go przyjęła i przygotowała wszystko, co potrzeba. Nazajutrz wstałem zaraz rano przed ósmą i odbyłem wędrówkę po wszystkich hotelach z winy Wojciechowej, która nie zapamiętała skąd list przyniesiono. Nareszcie odnaleźliśmy się szczęśliwie i w trójkę z Kossakiem rozpoczęliśmy znowu poszukiwania za marnotrawnym synem, którego też wkrótce zdybaliśmy w kawiarni Remana. Młodzieniec był wzruszony a i ojciec także, więc się jakoś serdeczniej załatwiła ta sprawa. Daj Boże tylko, żeby nastąpił już stanowczy zwrot ku dobremu.

Za przysłaną czapeczkę naprzód Ojczulkowi, a potem pani Milonot najserdeczniej dziękuję. W wnętrzu czapeczki odkryłem także podszewkę, którą na spalenie powolne przeznaczyłem — dziękuję więc i za nią.

Po tym wstępie należałoby donieść coś Ojczulkowi o Krakowie i jego mieszkańcach lub przejezdnych gościach. Z tych ostatnich miałem nie tak dawno przyjemność widzieć u Kossaków powracającą do Warszawy panią Józefową Helbich. Bardzo dobrze wyglądała i nie znać było na niej śladu choroby. Panna Maria Ordężanka wyjechała w tym czasie do stryja swego do Szczypiórna, ale już powróciła w zeszłą środę.

Odwiedzałem kilka razy państwa Ordęgów, żeby ich trochę rozerwać w nieobecności córki. Źle, że pani Ordężyna tak mocno nie słyszy, bo to przeszkadza bardzo rozmowie, trzeba ją albo zupełnie pomijać, co sprawia wielką przykrość, widząc, jak siedzi martwo, odgraniczona od całego towarzystwa, lub też robić niezwykłe wysilenia, żeby być przez nią słyszanym. Ordęga bardzo żałuje, że nie ma tu Ojczulka w Krakowie, rad by się z nim bardzo poznać. Małe teraz kółko u nich się zgromadza, Nowakowie (Kowakowie?), Ruszczewski, Sokołowski i ja. Oto prawie wszystko.

Zresztą mało gdzie bywam teraz, nawet u pani Librowskiej nie byłem z jakie sześć tygodni. Pani Cetnarska, jeżeli ją sobie Ojczulek przypomina, jest już tego roku bardzo źle, niewiele już jej pozostaje do życia. Będąc u niej zastałem ją bardzo zmienioną i nie mogącą prawie mówić. Żałoby mnożą się ciągle w Krakowie, mieliśmy pogrzeb Andrzeja Zamojskiego, z Kalisza doszła mnie wieść o śmierci zacnego doktora Stanczakowskiego. Dla nas także w piątek nadchodzi najboleśniejsza rocznica, którą zapewne wspólnie obchodzić będziemy, chociaż Ojczulek w Warszawie, a ja tu w Krakowie, u Kapucynów. Ponura, smutna pora pod każdym względem — mgły, chłód, melancholia i wspomnienia przeszłości narzucają swój posępny koloryt myślom i uczuciom. Szczęście jeszcze, że tego roku trzymam się jako tako na nogach, bo przeszłego o tym czasie odbywałem rekolekcje w łóżku, może mi się uda przetrwać szczęśliwie tę zimę. Prawdopodobnie przed świętami

jeszcze ukaże się na scenie krakowskiej mój nowy dramat *Żyd* o czem już pewnie Ojczulek dowiedział się z dzienników. Jeżeli będzie miał powodzenie w Krakowie, przeszlę go do Warszawy, żeby się zaprezentował i na tamtej scenie.

Tymczasem przygotowuję drugi, historyczny, wierszem, ale o tym dopiero po Nowym Roku będę mógł mówić, bo nie lubię łapać ryb przed niewodem. Oto prawie wszystko, co się mnie tyczy do obecnej chwili. Niewiele nowości, niewiele nadziei, a dużo za to starych smutków i powszednich kłopotów.

W projekta na przyszłość nie warto się bawić. Wprawdzie na święta wybieram się do Poznania, gdzie jestem zaproszony i ustnie i listownie przez poznaną w Tatrach rodzinę, o której Ojczulkowi pisałem. Jakie ta droga pociągnie za sobą następstwa, nie wiem i nie chcę przewidywać. Wiem tylko tyle, że mi się i rodzice podobali a i panna także — a ponieważ zaprzyjaźniwszy się ze mną w Tatrach życzą sobie mieć mnie u siebie na świętach, mogę śmiało pojechać nie krępowany niczem. W każdym razie spędzę czas przyjemnie, niezależnie od wszelkich innych prawdopodobieństw. Sądzę że Kochany Ojczulek bardzo mi za złe nie weźmie tej wycieczki chociażbym nawet w wieczną miał popaść niewolę.

Teraz zbliżając się do końca mego listu, muszę poprosić Najdroższego Ojczulka, żeby wujence Józefowej, ks. Antosiowi, Wandzi i Elżutce podziękował przy sposobności za pamięć i złożył moje najserdeczniejsze pozdrowienia.

Panu Helbichowi i całej jego familii składam moje uszanowanie. Wujowi Karolowi szczere uściśnienie i ucałowanie rączek wujence. Pani Milonot ukłony.

Na ostatek zachowuję sobie Najdroższego Ojczulka, którego po tysiąc razy całuję i ściskam.

Przywiązany syn
Adam

Uwagi.
Zamojski Andrzej, ur. w r. 1800, zmarł 29 X 1874. Na pogrzebie przemawiał Stanisław Tarnowski. Zamojski, to jedna z najjaśniejszych i najczcigodniejszych postaci w naszych dziejach porozbiorowych. Odegrał dużą rolę w r. 1831 i w r. 1863.

27.

Kraków d. 10 grudnia 1874
ul. Łobzowska 99.

Najukochańszy Ojczulku!

Ostatnim Twoim listem zrobiłeś mi nadzieję wybornego tureckiego tytoniu i już czułem jego przyjemny zapach, rozchodzący się po pokoju, spodziewałem się również uścisnąć wkrótce pana Józefa, czekam więc i czekam cierpliwie i wytrwale, wstrzymując się z odpowiedzią, póki się nie ziści zapowiedziany fenomen. Ale dziś zaczynam już przypuszczać, że jakie nieprzewidziane prze-

szkody nie pozwoliły doprowadzić do skutku zamierzonej ekspedycji i straciwszy już nadzieję a nie oddając się jednakże rozpaczy. zabrałem się do zwykłej korespondencji. Czas też już na nią i muszę korzystać z chwil wolnych od bólu głowy, który mnie teraz przez dwa tygodnie prześladował, tem bardziej, że i święta niedaleko i mój prawdopodobny wyjazd do Poznania i przedstawienie mojego dramatu, które za dni dziewięć ma mieć miejsce. Będę więc prawdopodobnie znowu rozgorączkowany i nie bardzo zdolny zebrać myśli wobec tak różnorodnych wpływów.

Wprawdzie już dzisiaj więcej na chłodno biorę wszystkie podobne sprawy i przygotowany jestem na każde fiasko bądź to na scenie, bądź w życiu. Co się tyczy sceny, dosyć już z nią mam kłopotów i zawodów. Ładnowski, który miał grać główną rolę, po pierwszej próbie pojechał do Lwowa i wszedł tam do spółki teatralnej, porzucając krakowski teatr, i tym sposobem trzeba było myśleć o nowej obsadzie a przedstawienie się odwlekło. Benda, który wziął po nim rolę, niedawno wyszedł z zapalenia płuc i nie można być pewnym, czy nie zapadnie znowu, słowem, gromadzą się różne drobne niepowodzenia.

Co się zaś tyczy życia, ponieważ zaginął pierwotny mój list tatrzański, w krótkości rzecz całą przedstawię. Przyjechawszy do Zakopanego, po kilku dniach pobytu wybrałem się z profesorem Świerzem i księdzem Sutorem na szczyt znanego Ojczulkowi Giewontu, panującego nad całem Zakopanem, w celu zatknięcia na najwyższym jego punkcie sztandaru i objęcia go w ten sposób w posiadanie na rzecz Towarzystwa Tatrzańskiego. Przystęp do niego jest tylko możliwy ze strony południowej, więc musieliśmy obchodzić przez Kuźnice i wokoło, potem mniejszemi stokami drogą, która prowadzi również na Czerwony Wierch. Ranek był cudowny, a my wszyscy trzej w przepysznem usposobieniu biegliśmy po głazach. Tak dobiegliśmy do szałasów, umieszczonych u stóp skalistych ścian Giewontu, gdzie zwykle wędrowcy odpoczywają i posilają się mlekiem i przyniesionemi se sobą zapasami. Tam zastaliśmy już właśnie małą gromadkę, złożoną z ojca, córki i przewodnika. Panienka siedziała na dużym kamieniu wśród malowniczego krajobrazu i nie wiem, czy to przypisać należy właściwemu oświetleniu, czy otaczającemu urokowi górskiej natury, czy wreszcie więcej ożywionemu własnemu swemu usposobieniu, ale odmalowała się w moich oczach tak wdzięcznie w ramach sielskiego obrazka, pełnego światła i kolorów, że jako artysta musiałem się zachwycać niespodzianym sztafażem. Wspólny popas wywołał zapoznanie, przedstawiliśmy się sobie wzajemnie, opowiedzieliśmy cel naszej podróży, oni zaś swojej na Czerwony Wierch, i jednocześnie zapijaliśmy mleko. Po odbytym popasie szliśmy jeszcze kawałek razem aż do miejsca, gdzie się rozłączały nasze drogi, i potem jeszcze my na Giewoncie a oni na Czerwonym Wierchu dawaliśmy sobie hasła okrzykami i wystrzałami, wspólnie obchodząc uroczystość osadzenia chorągwi.

Tak więc zapoznanie nastąpiło wedle wszelkich reguł romantyki tak, że i angielska powieść nie powstydziłaby się podobnego początku.

A zwykle pierwszy rozdział to rzecz najważniejsza — jeżeli on obudzi interes, to i następne stają się obiecującemi. W następnym rozdziale widzimy bohatera naszej powieści oddającego wizytę rodzicom bohaterki i oczekującego potem na próżno przez dwa tygodnie odwiedzin ojca.

Tej pewnej ostrożności w wchodzeniu w stosunki z nieznanemi ludźmi nie bierze wcale za złe nasz bohater rozsądnemu papie, ale naturalnie dalej nie może się narzucać. Trzeci rozdział zmiana frontu, ojciec bohaterki przychodzi dzień po dniu i zaprasza do siebie na obiad. Wyborna czernina, którą podają, usposabia różowo wielbiciela sztuk pięknych a zarazem gastronoma.

Przekonywa się, że papa doktor nader gościnny, serdeczny a zarazem wszechstronnie wykształcony człowiek, że mama doskonale zna się na kuchni, a córeczka czarująco się uśmiecha i z wybornym apetytem zajada. Postawione butelki węgrzyna dają świadectwo, że zarówno doktór jak i literat dzielne mają głowy i mogą godnie rywalizować ze sobą. Rozdział czwarty, wspólna wycieczka do Szmeksu. Cała familia wraz z asystującym literatem jedzie jedną budą — nic tak nie zaznajamia bliżej, jak wspólna podróż. Wesołość panuje niczem nie zachmurzona.

Rozdział piąty. Literat z doktorem i jego córką idą do Morskiego Oka przez Zawrat. Ponieważ literat prowadzi bohaterkę przez ów straszliwy Zawrat, nic dziwnego, że im się obojgu w głowach zawraca. Przepyszny wieczór nad Morskiem Okiem, gdzie się zebrało całe towarzystwo polskie i węgierskie przy huku z moździerzy i ogniach bengalskich. — Rozdział szósty: wyjazd i pobyt w Szczawnicy, a następnie rozłączenie w Nowym Targu. Rozdział siódmy obejmuje korespondencję doktora z literatem, a ósmy, mający obejmować pobyt w Poznaniu, dopiero się później ukaże.

Tymczasem całuję ręce Najdroższego Ojczulka po tysiąc razy Panu Helbichowi, jego rodzinie, państwu Teofilidym moje uszanowanie, wujostwu, pani Milonot serdeczne pozdrowienia.

28.

Kraków d. 22 grudnia 1874

Najukochańszy Ojczulku!

Piszę na odjezdnem, a więc z wielkim pośpiechem, ażeby C choć kilku słowami złożyć życzenia Wesołych Świąt i wszystkich pomyślności. Proszę również o złożenie najczcigodniejszemu Solenizantowi przy dniu Jego imienin tak życzeń, jak i wyrazów mojej czci i przywiązania.

Również kochanym Wujostwu podziękowanie za ich pamięć podziękuję później sam listownie koło Nowego Roku.

Całej familii i wszystkim znajomym, szczególniej pani Milonot, życzliwe pozdrowienia.

Żyda dotychczas nie dano, dopiero będzie po świętach.

Pani Kossak jedzie jutro do Warszawy, prawdopodobnie zabierze manuskrypt, prosiłbym w takim razie Ojczulka o łaskawe znalezienie sposobu dostawienia go pani Modrzejewskiej.

Całuję ręce kochanego Ojczulka po tysiąc razy.

Adam.

29.

Kraków d. 12 stycznia 1874
(pomyłka w dacie, winno być 1875)
Ul. Łobzowska nr 99.

Najukochańszy Ojczulku!

Długo pozostawiłem Cię bez żadnej wiadomości o sobie i to po tak krótkiej karteczce, pisanej dorywczo na wyjezdnem, ale zabranie się do listu w Poznaniu było dla mnie nieprawdopodobieństwem, raz, że nie miałem na to literalnie chwili czasu będąc rozerwanym na wszystkie strony, a po wtóre, że nie miałem ochoty wziąść się do pióra, nie opracowawszy poprzednio rozdziału ósmego i nie doszedłszy wreszcie do stanowczego epilogu. Odłożyłem więc moje piśmienne sprawozdanie aż do mojego powrotu w progi własnego domostwa, gdzie wypoczywając po wszystkich przebytych wrażeniach, będę mógł z filozoficznym spokojem spoglądać na świat ten i sprawy jego. Upraszam tylko o zachowanie w sekrecie głównej treści mojego listu tem więcej, że chciałbym przed Tobą, Najdroższy Ojczulku, wszystko szczerze wyznać i niczego nie zataić.

Po tym wstępie przystępuję do rzeczy z ścisłością kronikarza. Wyjechałem z Krakowa we wtorek po południu i dopiero nazajutrz o godzinie czwartej po południu stanąłem w Poznaniu.

Stanąłem w „Bazarze“, gdzie był już dla mnie zamówiony i przygotowany obszerny i ładny pokój na pierwszem piętrze. Po umyciu i przebraniu się poszedłem zaraz do państwa doktorów Kaczorowskich. Zastałem tylko same panie i byłem przez nie życzliwie powitany, rozumie się, że zostałem na herbacie, czekając na doktora, który też zjawił się o ósmej godzinie. Wystąpiła i butelka starego węgrzyna na powitanie miłego gościa i rozwiązały się serca i języki w miłej pogadance. Naturalnie, zaproszony zostałem nazajutrz na wilię, i co dziwniejsza, przyjąłem zaproszenie. Na wieczerzy nie było nikogo obcego, tylko troje gospodarstwa i ja czwarty nie mniej jednak było nam bardzo wesoło. Przyjemnie było patrzeć jak się ta mała rodzina wzajemnie kocha. Po wieczerzy przeszliśmy do saloniku, gdzie stał gaj, ubrany w cukierki i świeczki, chociaż oprócz mnie i córki doktorów żadnych innych dzieci nie było. Nastąpiło rozdzielenie podarunków, ja dostałem od pani srebrne pudełko na zapałki, od pana szyldkretową *porte-cigarettes*, a od panny zakładkę do książki. Bawiliśmy się wybornie, trochę gry na

fortepianie, trochę śpiewu, trochę węgrzyna i łakoci ożywiało świąteczne humory.

Nazajutrz, w pierwszy dzień świąt, musiałem się już stawić od rana na herbatę i odtąd już przez cały czas pobytu, jeżeli tylko nie miałem jakiego zaproszenia gdzie indziej, które koniecznie przyjąć było trzeba, od samego rana do późnego wieczora w domu państwa Kaczorowskich konsystowałem jak załoga wojskowa. Kuchnia skromna ale niezła, nie więcej jak dwie potrawy oprócz zupy na obiad, wszystko wedle mojego gustu. Tym sposobem poznałem lepiej całe urządzenie i charakter domu. Żadnych pretensyj, tonów żadnych, wystąpień i proszonych wieczorów — ale za to ład, rządność, a przy tem serdeczna gościnność dla przybysza. Pani Kaczorowska rosła też z każdym dniem w opinii za prowadzenie domu i wychowanie córki. Panna bowiem wprawdzie gra i śpiewa wcale nieźle, jak na tak młodą panienkę, ale musi przy tem iść z kluczem do piwnicy i do śpiżarni, musi uczyć się krawieczczyzny i robić sama kapelusze dla matki i siebie. W Poznaniu też w ogóle dom ich używa jak najlepszej opinii, a on przy tem jest ceniony jako równie teoretycznie i praktycznie uzdolniony doktór. Zarządza też aż dwoma szpitalami, miejskim i Sióstr Miłosierdzia.

Tymczasem dowiedziano się w Poznaniu o mojem przybyciu, zaczęło mnie wizytować, a ja musiałem oddawać rewizyty.

W poniedziałek po świętach kuzyni państwa Kaczorowskich, Chełmiccy Julianowie, dawali wieczorek i przybyli ich zapraszać, więc ja musiałem się poświęcić i również przyjąć zaproszenie, bo poprzednio nie poszli oni na dwa inne wieczory, tłumacząc się moją bytnością. Zauważyłem jednakże, że familia Chełmickich nieco krzywo na mnie się patrzała z powodów, o których dopiero później się dowiedziałem.

We wtorek wieczorem grono poznańczyków wyprawiło na cześć moją przyjęcie w lokalu Kurnatowskiego. Byli tam starzy i młodzi, ludzie zasług, znaczenia i talentu. Między innymi Bentkowski, Mieczysław Łyskowski sędzia, Kazimierz Jarochowski, sędzia Motty, doktór Świderski, doktór Kaczorowski, Kościelski, Warnka historyk. Na mojem nakryciu leżał bardzo piękny wieniec laurowy, zrobiony, jak się dowiedziałem, ręką panny Warnka, Mieczysław Łyskowski powiedział bardzo piękną mowę, podnosząc mnie więcej niż zasługiwałem, ze wszech stron dowody serdecznego uznania i sympatii, byłem rzeczywiście zawstydzony i wzruszony, że nie mogłem zebrać słów odpowiedzi i podziękowania.

Nazajutrz, w środę, wyprawiła mi obiad redakcja *Dziennika Poznańskiego*, na którym byli także posłowie Niegolewski i Wierzbiński. W czwartek przyjmował mnie śniadaniem doktór Ossowicki w piątek był wieczór u państwa Łyskowskich, a śniadanie u Łebińskiego, doktora.

W sobotę musiałem wyjechać na wieś do Szarleja, majętności Kościelskiego nad Gopłem, gdzie się zjechało kółko częścią z Poznania, częścią z sąsiedztwa, umyślnie sproszone przez niego.

Żem nie umarł z niestrawności, nie moja w tem ani Kościelskiego wina, bo przez dwa dni jedliśmy i piliśmy nieustannie, a na stole figurowały same wytworne rzeczy, bażanty, kuropatwy, dzik, wspaniałe szparagi w olbrzymiej ilości itd.

Jaka serdeczność panowała, trudno powiedzieć, na szczęście, żem się spieszył do Poznania, bo inaczej, zapchany i zaduszony uściskami, byłbym zostawił moje kości w Szarleju.

Ale muszę się znów cofnąć w tył w opowiadaniu, bo rozpisawszy się o fetach, spuściłem z oka główną nić intrygi. Jeszcze przed przyjęciem wtorkowem doszło do mnie, że po całym Poznaniu głoszą, jakobym się miał żenić z córką doktora. Myślę sobie, co tu w takiem położeniu robić, wszystkie moje sympatie rzeczywiście zmierzają do tego, jestem zakochany tak w rodzicach, jak i w pannie, ale brak mi odwagi.

Nie chciałbym bowiem za serdeczną gościnność, jaką mi okazali, odpłacać się krokiem, który by ich w przykry kłopot wprowadził, są dla mnie przyjaźnie usposobieni, ale nie mogę być pożądaną partią dla ich córki. Z drugiej strony, jeżeli się nie oświadczę przez tchórzostwo, będę tego wiecznie żałował, oni gotowi sobie pomyśleć, żem cymbał i że próżno daję powód do pogłosek w mieście, które zawsze mogą być niemiłemi dla ich córki.

W takiej więc alternatywie wyciągam wniosek, że lepiej się odważyć, bo choć wezmę odkosza, cóż mi to szkodzić może, a ich to obrażać nie powinno. Po wtorkowej więc biesiadzie piszę w nocy krótki list do doktora, wyjaśniając moje skrachowane położenie a zarazem intencje moje, dodając, że na miejscu jego jako ojca dałbym takiemu facetowi stanowczą odmowę. Posłałem list przez służącego w środę rano i przeszedłem Rubikon. Znalazłem się w tem przykrem położeniu, że po takim liście musiałem stawić się u nich na obiad nie wiedząc, jak rzeczy stoją. Co gorsza, przyszedłszy dowiedziałem się, że doktor wyjechał i nie wróci aż jutro, cały więc dzień przesiedziałem jak na szpilkach, nie mogąc odgadnąć, czy list mój odebrany i czy matka wie już także o mojem oświadczeniu. Dopiero nazajutrz, w czwartek rano, przyszedłszy na herbatę zastałem doktora z miną bardzo serio piszącego bilecik. Po przywitaniu rzekł do mnie: „Właśnie odpisywałem panu, ale ponieważ sam przyszedłeś, muszę powiedzieć krótko i węzłowato, że zgoda Myśmy wszyscy pana pokochali i zdaje nam się, że Zosia powinna być z nim szczęśliwą“. Poczem uściskaliśmy się. Z ojcem była więc rzecz skończona i byłem już pełen najlepszej otuchy, gdy nazajutrz matka w rozmowie, bardzo zakłopotana, oświadcza mi, że Zosia jeszcze nie chce słyszeć o żadnym projekcie, że oni się nie spodziewali podobnego kroku itp. Spadam więc nagle z obłoków, podejrzywam matkę o wybieg i decyduję się wyjechać do Szarleja.

Przyszedłem pożegnać się z państwem Kaczorowskiemi oświadczając, że z Szarleja prosto wracam do Krakowa. Doktor koniecznie mnie prosi, żebym wstąpił mówiąc, że się nie żegna ze mną ale ja jestem niewzruszony. Idę do hotelu pakować się, chcę płacić

rachunek, odpowiadają mi, że już jest zapłacony przez dra Kaczorowskiego. Gniew mnie ogarnia, lecz już nie mam czasu, muszę jechać na kolej. Pojechałem zły do Szarleja, ale udobruchała mnie serdeczność całego towarzystwa. Postanawiam zatrzymać się w Poznaniu, żeby oddać doktorowi pieniądze.

Powracam — idę do nich okropnie nasrożony, zastaję matkę tylko, która znowu zakłopotana rumieni się i oskubując gałązkę powiada mi, że jej mąż uznał za konieczne wprost zapytać Zosię podczas mojej nieobecności, a ta, z wielkiem jej zdziwieniem, powiedziała od razu tak. Na zapytanie, dlaczego wprzód się wzdragała, odpowiedziała, że myślała, iż z niej żartują tylko. To mi opowiedziawszy matka przeprosiła mnie najserdeczniej za przykrość, jaką mi sprawiła swoją niezręcznością, tłumacząc mi szczerze, że bała się zbyt raptownie zwracać do córki, żeby jej nie spłoszyć na razie. Ale dodała, że mąż jej widać lepszy polityk, kiedy od razu przeciął węzeł gordyjski, i że ona z tego nader jest szczęśliwą. Zawarliśmy serdeczne przymierze, rozgadała się potem poufnie, dlaczego familia Chełmickich krzywo na mnie patrzy, ponieważ dwóch braci Chełmickich myślało także o jej córce, ale jakkolwiek ludzie majętni, zostali przez doktora usunięci. — Im (mówiła matka dalej) — chodziło tylko o posag, zdawało im się, że Zosia będzie mieć czterdzieści tysięcy talarów, więc się kusili o jej rękę, teraz wolno im mieć pretensje do nas i do pana.

Po najserdeczniejszych wzajemnych eksplikacjach nastały najprzyjemniejsze chwile. Zostałem rozpieszczony, popsuty, jakbym to ja raczej był panną na wydaniu. Czułem się odmłodzony w tej poczciwej, serdecznej atmosferze. Są rzeczy, których nie można opisać, i dlatego nie będę się rozwodził dłużej.

Trudno mi się było wyrwać z Poznania, ale nareszcie trzeba było wrócić do domu, jakoż w sobotę wieczorem stanąłem tutaj.

Ale znów na 9-go marca wyjeżdżam do Poznania, bo w tym dniu imieniny matki.

Tymczasem tu w Krakowie podczas mej nieobecności dawano *Żyda* z nadspodziewanem powodzeniem. Dwa razy teatr był przepełniony, co mu się już od dawna nie zdarzyło. Z trzeciem przedstawieniem czekali na mój powrót, prawdopodobnie w przyszłym tygodniu nastąpi.

Na teraz całuję ręce najdroższego Ojczulka po tysiąc razy.

Adam.

Uwagi.

1. Bentkowski Władysław (1818—1887), syn Feliksa, historyka literatury, powstaniec z r. 1863, szef sztabu M. Langiewicza, potem dziennikarz i poseł. Współpracował w *Dzienniku Poznańskim* i zarządzał majątkiem i interesami Hipolita Cegielskiego.

2. Łyskowski Mieczysław (1825—1894), współzałożyciel *Dziennika Poznańskiego* i Towarzystwa Czytelń Ludowych, żołnierz z r. 1848, prawnik. Jakiś czas był sędzią, złożony jednak z urzędu za pomoc powstańcom w r. 1863 poświęcił się bankowości i założył z Kwileckim i Potockim „Bank Rolniczo-Przemysłowy“ w Poznaniu.

3. Jarochowski Kazimierz (1829—1888), żołnierz z roku 1848, członek redakcji *Dziennika Poznańskiego*, historyk czasów saskich i autor *Dziejów piśmiennictwa w Wielkopolsce*. — Poseł na Sejm pruski w r. 1887.

4. Motty (Wojtuś), przypuszczalnie Stanisław (1832—1900), polityk poseł do Sejmu pruskiego i Parlamentu niemieckiego, prezes Koła Polskiego w Berlinie. Drugi Motty (Marceli — 1818—1898), nauczyciel w Poznaniu filolog, tłumacz Horacego, Wergilego, Arystofanesa — nie może tu wchodzić w rachubę.

5. Dr Warnka Stanisław (1845—1882), powstaniec z r. 1863 z oddziału Younga, nauczyciel gimnazjalny w Poznaniu, potem w szkole handlowej w Lipsku. Był właściwie geografem, nie historykiem.

6. Dr Niegolewski Władysław, wybitny parlamentarzysta, poseł z Poznania i dwóch powiatów poznańskich do Parlamentu niemieckiego w r. 1874

7. Wierzbiński Władysław (1831—1888), poseł do Sejmu pruskiego (1868—1888), współredaktor *Dziennika Poznańskiego*, sekretarz wydziału historycznego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, zasłużony działacz społeczny, żołnierz oddziału Taczanowskiego w r. 1848, komisarz wojskowy w r. 1863 więzień Moabitu.

8. Dr Łebiński Władysław (1840—1907), humanista, pracował w Towarzystwie Przyjaciół Nauk. Nabywszy drukarnię od Kraszewskiego (1870) przeniósł ją do Poznania. Od r. 1896 był naczelnym redaktorem *Dziennika Poznańskiego*.

9. Pierwsze przedstawienie *Żyda* odbyło się: 2 I 1875 — drugie: 5 I — trzecie: 21 I 1875.

10. Kościelski Józef (1845—1911), poeta, dramaturg i polityk, od r. 1881 członek pruskiej Izby Panów (przedtem poseł na Sejm pruski) W r. 1899 postawił pierwszy na ziemiach polskich pomnik Słowackiego w Miłosławiu. Wydał: *Sonety nadgoplańskie*, *Co mi Tatry dały* — oraz dramaty: *Władysław Biały* (1874), *Arja* (1875).

30.

Kraków d. 1 marca 1875

Najukochańszy Ojczulku!

Wraz z zbliżającemi się Twojemi imieninami przesyłam Ci z głębi serca tysiące najserdeczniejszych życzeń, o których żarliwości zapewniać Cię nie potrzebuję. Sam czujesz najlepiej, czem przez cały ciąg życia byłeś i jesteś dotąd dla mnie, i o ile mam prawo być dumny tak z miłości Twojej, jak i zacnego imienia, które mi przekazałeś. Wszystko, co tylko najlepszego w sercu i umyśle, zawdzięczam jedynie Tobie i świętej pamięci Najdroższej Matce mojej Wasze rodzicielskie łono było bowiem tem świętem źródłem, z którego czerpałem wszystkie lepsze natchnienia, prowadzące mnie przez życie, za co Was kochać i czcić do końca dni moich nie przestanę

Przede wszystkiem Tobie, Najdroższy Ojczulku, życzę na teraz zdrowia, ażebyś żył dla szczęścia mojego jak najdłużej bez dolegliwości, bez kłopotów i zmartwienia.

Ja, który Ci życzę zdrowia, także nie mogę się niem w tym czasie bardzo pochwalić, bo już od paru tygodni czułem się coraz bardziej nieswój, aż nareszcie położyłem się w łóżko i przeszły tydzień przeleżałem w kataralnej gorączce. Dzisiaj jestem już przywrócony do zwykłego stanu a nawet nieco lepiej niż przed położeniem się w łóżeczko.

Za kilka dni, to jest mniej więcej w czwartek lub w piątek, wyjeżdżam do Poznania, tem więcej, że i ojciec mojej panny jest także chory. Jak stanę na miejscu, to się dowiem, jakie tam cło od tytoniu, i w pomyślniejszym razie poproszę Kochanego Ojczulka o nadesłanie przeznaczonych dla mnie funtów, które może przynajmniej tym sposobem zdołam objąć w posiadanie.

Ponieważ Kochany Ojczulek wyraził życzenie dostania fotografii pewnej młodej osoby, więc ją Mu takową przesyłam, jakkolwiek niezbyt szczególnie się udała. — Co do wieku, to boję się przyznać przed Ojczulkiem, że ma dopiero lat dziewiętnaście, wprawdzie jest to błąd, z którego się ona z czasem poprawić może, tylko to bieda, że ja wkrótce będę zanadto poprawnie wyglądał.

Miałem nawet niejakie skrupuły pod tym względem i sam kładłem nacisk na tę różnicę wieku, lecz ponieważ druga strona nie przerażała się tem wcale, więc mnie nie wypadało się zbyt targować.

Pisze mi Kochany Ojczulek, że na lato myśli znowu do Konar pojechać, spodziewam się jednakże wyprosić cośkolwiek i dla siebie, chciałbym bowiem, żeby Ojczulek poznał moją przyszłą i jej rodziców. Oni prawdopodobnie pojadą do Zakopanego na lato, w takim razie mógłby i Ojczulek wybrać się chociaż na kilka tygodni dla rozmaitości. Zresztą o tem pomówimy jeszcze później, ale w każdym razie zdaje mi się, że wypadałoby, jeżeli tylko siły i zdrowie pozwolą, pokazać się choćby na czas krótki, bo inaczej mogliby myśleć mylnie, że między nami brak tego samego węzła, który przeciwnie jest tak silnym. Ja pragnąłbym gorąco tego poznania, bo wiem, że i oni Ojczulkowi i Ojczulek im wzajemnie by się podobał.

O sobie zresztą niewiele mam do powiedzenia. Korespondencje z Krakowa do pism warszawskich porządnie mnie gryzą za mojego *Żyda*. Mniejsza o to, byle tylko przedstawiono go w Warszawie, mam wewnętrzną pewność, żeby się publiczności podobał biorąc miarę choćby z krakowskich przedstawień.

Pisałem do Pani Chłapowskiej na ś-tą Helenę z powinszowaniem, może pod jej egidą uda się lansować go na scenę.

Kto pisał korenspondencje do *Wieku* pod tym względem, nie potrafię zaspokoić ciekawości Ojczulka, bo ani się dowiedzieć, ani odgadnąć nie mogę — w każdym razie bardzo zgrabnie i z talentem napisane.

Sokołowski jest dotychczas jeszcze moim lokatorem i prosił mnie, żeby złożyć Ojczulkowi wyrazy pozdrowień i uszanowania. Ja również, zbliżając się do zakończenia, powtarzam w myśli tysiące przebiegających życzeń dla Najczcigodniejszego i Najukochańszego mego Solenizanta, całując przy tem po wielekroć Jego ręce i ściskając z zawsze jednaką synowską czułością.

Szanownemu panu doktorowi Helbich wraz z całą jego familią, kochanym Wujostwu, pani Milonot i wszystkim dobrym znajomym przypominam się mojemi pozdrowieniami.

Przywiązany syn

Adam

Uwagi.
W nr 30 z r. 1875 (w korespondencji z Krakowa) *Gazety Polskiej* jest wzmianka przychylna o *Żydzie*, oraz podana pogłoska, że dramat ten miał być drukowany w *Gazecie Polskiej*. W ciągu r. 1875 *Żyd* w *Gazecie* drukowany nie był.

Przychylnej wzmianki w *Wieku*, o której pisze Asnyk, nie znalazłem z powodu zdefektowania stojącego mi do dyspozycji rocznika *Wieku* w Bibliotece Jagiellońskiej.

31.

Poznań d. 8 marca 75 r

Najukochańszy Ojczulku!

Przybyłem szczęśliwie do Poznania i piszę naprędce kilka słów, ażeby Cię o tem zawiadomić i prosić o odpowiedź. Boję się, czy list mój z fotografią, wysłany na Twoje imieniny, nie przepadł gdzie w drodze, wyrzucałem sobie, żem go nie zarekomendował. O fotografię mniejsza, bo panna Zofia naumyślnie będzie się teraz fotografować dla Ojczulka, spodziewając się, że może teraz lepiej się uda fotografowi, ale szkoda zawsze listu.

Tytoń, jeżeli Ojczulek łaskaw, to można go przysłać do Poznania, cło bowiem bardzo jest małe. Najlepiej wyślij go Ojczulek pod adresem: Sr. Hochwohlgeboren Dr. Theophil Kaczorowski, Sanitätsrath in Posen, Stadtlazareth; pod tym samym adresem niech również Najdroższy Ojczulek do mnie napisze.

Na teraz kończę, całując ręce Najdroższego Ojczulka po tysiąc razy.

Przywiązany syn
Adam.

32.

Poznań d. 23 marca 1875 r.

Najukochańszy Ojczulku!

List Najdroższego Ojczulka otrzymałem z najżywszą radością z rąk doktora Kaczorowskiego, a w ślad za nim przybył i tytoń, którym się tutaj wszyscy rozkoszujemy. Jakkolwiek podziękowałem państwu Teofilidy, proszę jeszcze raz wyrazić im moją wdzięczność za ich hojność i powiększenie przeznaczonego zapasu. Cło tu niewielkie i razem z kosztami przesyłki cały wydatek nie przeniósł talara. Tytoń zaś przydał się bardzo. Panie robią wieczorami papierosy, a my wypalamy je wspólnie z doktorem, który się także nie może odchwalić tytoniu. Chwile upływają mi tu bardzo przyjemnie, cały dzień przesiaduję u doktorów i nie oddaję żadnych innych wizyt, żeby nie tracić czasu na próżno. Panna Zofia fotografowała się dla Ojczulka aż dwa razy u dwóch fotografów poznańskich i jakkolwiek niezupełnie jeszcze jesteśmy zadowoleni z ich roboty, przesyłam Ojczulkowi te dwie próbki ich kunsztu.

Zresztą wszystko jak najlepiej, dobry humor, dobre zdrowie, dobre chęci i prawdziwa serdeczność panują niezakłócenie. Doktor był w tych dniach u kardynała Ledóchowskiego w Ostrowie, gdzie odsiaduje więzienie, i mówił mi, że i ten jest już powiadomiony o naszych zamiarach. Wypytywał się o mnie, czy jestem prawowiernym, i przysłał pannie Zofii obraz na pamiątkę nastąpić mających okoliczności z własnoręczną dedykacją.

Doktor zasyła Ojczulkowi swe pozdrowienia i wyrazy uszanowania. Ja z mojej strony życzę Wesołych Świąt i przepraszam, że tak krótkim listem pozbywam Ojczulka, ale piszę tylko dorywczym sposobem w kancelarii doktora. Zresztą trudno mi się wystarać o dłuższy czas do skupienia mych myśli i notowania wrażeń.

Przez święta zabawię jeszcze w Poznaniu i dopiero około przewodniej niedzieli powrócę do Krakowa. Gdyby Ojczulek zechciał jeszcze obdarzyć mnie kilku słowami do Poznania, wielką by mi łaskę wyrządził.

Ściskam Najdroższego Ojczulka po tysiąc razy, prosząc Go o złożenie mego uszanowania panu Helbichowi i jego familii, serdecznych pozdrowień Wujostwu i pani Milonot i życzeń Wesołych Świąt dla wszystkich.

Przywiązany syn
Adam.

Uwagi.

Kardynał Mieczysław Halka Ledóchowski (1823—1902), arcybiskup gnieźnieński, za nieuznawanie tzw. praw majowych z r. 1872 karany wielokrotnie grzywnami, uwięziony 3 I 1874 i osadzony w więzieniu w Ostrowie. Mianowany w r. 1875 kardynałem, przeniósł się potem do Rzymu, gdzie zajmował wysokie stanowisko w Kurii rzymskiej i skąd do r. 1886 zarządzał archidiecezją gnieźnieńską. W więzieniu w Ostrowie przebywał 1874—76.

33.

Kraków d. 7 kwietnia 1875 r.
Ul. Łobzowska 99.

Najukochańszy Ojczulku!

Wczoraj o piątej godzinie rano opuściłem nareszcie Poznań i przybyłem jednym ciągiem do Krakowa, gdzie stanąłem o dziewiątej w wieczór. Przebywszy mozolną drogę, przede wszystkiem położyłem się spać, żeby wypocząć sobie po trudach podróży. Teraz już odświeżony zabrałem się do listu, na który trudno mi się było zebrać w Poznaniu, pomimo że serdeczne listy Ojczulka, otrzymane w sam pierwszy dzień świąt, wymagały najgorętszego z mej strony podziękowania. Fotografia Ojczulka ucieszyła wszystkich niezmiernie i polecili mi wyrazić swoją wdzięczność, a zarazem oboje doktorostwo dali mi swoje do przesłania. Bylibyśmy oddawali się w zupełności przyjemnym wrażeniom, gdyby nie trochę smutnie nastrojony ton listu Ojczulka w połączeniu z wzmianką o bólach w krzyżu.

W ten sam pierwszy dzień Wielkiej Nocy, który był zarazem dniem urodzin panny Zofii, doręczyłem jej w cichości mój pierścionek i otrzymałem inny w zamian, przez co dopełniłem tak zwanych zaręczyn i związałem się już stanowczo.

Tym sposobem stosunek nasz został już jasno określonym dla wszystkich i musieliśmy znosić z rezygnacją wszystkie powinszowania znajomych i życzliwych. Wszystko zatem tak jak skończone, wyjąwszy daty ślubu, o której jeszcze mowy nie było. Prawdopodobnie poczekać będzie trzeba do późnej jesieni, gdyż pierwej mam jeszcze raz być w Poznaniu na świętą Zofię, a potem w Tatrach spędzimy lato.

Trzeba koniecznie, żeby Kochany Ojczulek poznał wprzód moją przyszłą i jej rodziców; gdyby Ojczulkowi zdrowie nie dozwalało wyruszyć w góry, to przynajmniej może by dało się przyjechać do Krakowa w czasie ich przejazdu, który ma nastąpić w końcu czerwca, lub w początkach lipca.

Chciałem także prosić Ojczulka o jedną łaskę. Podobno jest powszechnym zwyczajem, że po zupełnem przyjęciu ze strony rodziców i panny, ojciec kawalera dziękuje w swojem imieniu tak pannie, jak i jej rodzicom. Gdyby więc Ojczulkowi nie zrobiło wielkiej subiekcji napisać jeden list do panny Zofii, a drugi do jej rodziców, to bardzo byłbym wdzięcznym za te podjęte dla mnie trudy. Wprawdzie doktorowie Kaczorowscy i ich córka zupełnie tego by nie wymagali, ale zawsze milej im będzie pewnie otrzymać kilka wyrazów, wyrażających zadowolnienie Ojczulka. Doktorowa z córką chciały nawet jechać do Warszawy, żeby Ojca osobiście poznać, ale wstrzymały je względy oszczędności, zajęć, niezbędnych do przygotowania jakiejkolwiek wyprawy, a zresztą nadzieja zobaczenia Go w Krakowie.

Ja w ogólności jestem ciągle zachwycony moją całą przyszłą familią. Wszyscy troje tak mnie kochają i pieszczą i psują, że nie mógłbym wyobrazić sobie równie serdecznego stosunku. Przez cały ten czas miałem już dosyć sposobności poznać ich wszystkich dokładnie, przesiadując u nich ciągle od rana do wieczora, i mogłem tylko admirować ich spokojne, pogodne, czysto familijne życie. Nauczyłem się zaś cenić daleko wyżej ciche cnoty domowe, niż wielkoświatowe elegancje i próżności, pokrywające pod blichtrem swoim czczość i pustkę.

Kończę na teraz list mój obecny, prosząc Najdroższego Ojczulka o zawiadomienie mnie choćby kilku słowami naprędce o swoim zdrowiu i dalszych zamiarach, boję się bowiem, żeby się Ojczulek na całe lato już wcześnie nie zaangażował. Ręce Najdroższego Ojczulka całuję po tysiąc razy. Panu Helbichowi i całej jego familii moje uszanowanie, Wujostwu i pani Milonot serdeczne pozdrowienie. Państwu Teofilidom proszę jeszcze raz wyrazić moją wdzięczność za tytuń, którego nie mogliśmy się dosyć nachwalić wspólnie z doktorem. Fotografię obojga doktorów załączam.

Adam.

34.

Kraków d. 23 kwietnia 1875

Najukochańszy Ojczulku!

Pozwól na samym wstępie serdecznie podziękować sobie za uczynioną mi obietnicę przybycia do Krakowa w celu poznania mojej narzeczonej i jej rodziców. — Wprawdzie pragnąłeś oznaczenia ścisłego terminu i ja nawet w tym celu opóźniłem się z odpowiedzią, żeby móc pewniejsze daty oznaczyć; trudno jednak z góry z absolutną pewnością o przyszłości orzec, — w każdym razie tylko tyle mogę powiedzieć, że państwo Kaczorowscy wybierają się do Zakopanego na lipiec i w Krakowie mają zamiar się zatrzymać w przejeździe, więc ten przejazd nastąpi mniej więcej albo w ostatnich dniach czerwca, albo też w pierwszych dniach lipca. Na ten więc czas, Najdroższy Ojczulku, wyrób sobie paszport i tak się urządź, żebyś przecie choć parę tygodni mógł z nami spędzić.

Gdyby zaszły jakie nieprzewidziane zmiany, doniosę Ci zaraz niezwłocznie. Ja znowu za jakie dziesięć dni wyruszam do Poznania i teraz muszę się już rozmówić ostatecznie co do terminu ślubu żebym mógł chociaż jakie takie przygotowania porobić. Prawdopodobnie tak, o ile mniemam, ślub wypadłby na wrzesień, ale dopiero z Poznania będę mógł stanowczo donieść o tem. Jak będę miał termin oznaczony, to ucieknę się do przyobiecanej mi z łaski Najdroższego Ojczulka pożyczki, bo zawsze przy najskromniejszych planach nagromadzą się koszta, którym obecnie podołać nie będę w stanie I tak już musiałem dźwigać walące się nad Rudawą zabudowania, gdyż skarpa wystawiona przez Ojczulka nic nie utrzymała i przy tegorocznym wezbraniu wody cała część się oderwała.

Zresztą wszystko dobrze idzie, na zdrowie teraz uskarżać się nie mogę, ludzie mówią, żem odmłodniał i że wyglądam rześko jak nigdy. Cóż robić — muszę się sztukować, o ile się da, i wyglądać młodo, żeby nie robić wstydu dziewiętnastoletniej dziewczynie. Wprawdzie to jej wina, że sobie takiego starego upodobała, ale trzeba przynajmniej starać się pokryć to jej dziwactwo.

Trudno mi teraz długo wysiedzieć w Krakowie samemu, bo nawet niczem na serio zająć się nie mogę, myślą ciągle odbywając wędrówki do Poznania.

Załatwiwszy się z różnemi drobnemi interesami, jak opłaceniem podatków skarbowych i miejskich, asekuracji itd., podźwignięciem ruin i sprawieniem sobie trochę garderoby, zaraz mnie bierze chętka powracać do Poznania, a ponieważ nie ma żadnej konieczności, żebym tu siedział, więc skracam sobie zamierzony termin i najdalej za dziesięć dni wybieram się w drogę. Dlatego proszę Najdroższego Ojczulka o przyspieszenie wiadomości o sobie, żebym mógł ją mieć przed wyjazdem.

Doktór Kaczorowski doniósł mi o liście Ojczulka i bardzo był wdzięczny za okazaną serdeczność. Jestem przekonany, że cała fa-

milijka będzie się Ojczulkowi bardzo podobać przy osobistem poznaniu.

Całuję ręce Ojczulka po tysiąc razy — panu doktorowi Helbich moje uszanowanie. Wujostwu najukochańszym pozdrowienia

Adam.

35.

Na papierze listowym odcisk:
Dr. Kaczorowski Poznań.

Poznań d. 2 czerwca 1875

Najukochańszy Ojczulku!

Teraz dopiero rozwiązała się zagadka Twojego tak długiego milczenia, które mnie tyle niepokoiło, pokazało się bowiem, że choć jednocześnie pisałem z panem doktorem, jednak tylko jego pismo doszło rąk Twoich. Dlaczego list mój nie doszedł? — dwojakie budzą się we mnie przypuszczenia, nie na czasie wszakże rozbierać je teraz, i dosyć na tem, że chcąc się zabezpieczyć, chociaż przed kilku dniami wysłałem także list do Kochanego Ojczulka zasiadłem znowu, żeby jeśli nie jedna, to druga wiadomość doszła swojego przeznaczenia. Dlatego muszę powtórzyć moje prośby co do przybycia Najdroższego Ojczulka do Krakowa na pierwszego lipca. Z listu pisanego do pana doktora widzę, że Kochany Ojczulek nie ma jeszcze paszportu, po ostatnim zaś liście do mnie pisanym wnosiłem, że już Ojczulek miał gotowy wyjeżdżając do Konar

Sądzę wszakże, że nie potrzeba będzie na uzyskanie takowego długiego czasu, w każdym razie lepiej natychmiast zacząć się starać o niego.

Ja z łaski Boga zdrów zupełnie i troszczyłem się tylko o Najdroższego Ojczulka tak samo jak Ojciec o mnie. Teraz chorować mi nie wolno z najwyższego rozkazu, więc o mnie można być zupełnie spokojnym. Za tydzień wracam do Krakowa, aby tam już oczekiwać na przyjazd wszystkich moich drogich gości, upraszam więc o zaadresowanie tamże jak najrychlej odpowiedzi, żebym mógł jeszcze przeprowadzić korespondencję z Najdroższym Ojczulkiem.

Cieszę się nade wszystko na Jego przyjazd, a spodziewam się, że i Ojczulek nie będzie dla nas żałował swych trudów.

Kończę, żeby natychmiast wysłać na pocztę, całując ręce najdroższego Ojczulka po tysiąc razy. Całej familii szanownego pana Helbich moje uszanowanie.

Adam.

36.

Kraków dnia 10 czerwca 1875

Najukochańszy Ojczulku!

Przybywszy do Krakowa otrzymałem Twój list, który stał się dla mnie prawdziwą niespodzianką, dając mi poznać widoczne Twoje niezadowolenie, którego ściągnąć na siebie bynajmniej się nie spo-

dziewałem. Sądziłem bowiem, że wszystko idzie tak samo po mojej jak i po Twojej myśli i że naznaczony mi przez rodziców panny termin ślubu jest zupełnie normalnym i o tyle rychłym, o ile na to zwykłe życia okoliczności pozwalają. Zgodziłem się na niego najspokojniej, nie uważając za stosowne kontrować na tym punkcie ludziom, którzy mi dali tyle dowodów swojej życzliwości, i upierać się przy jakim innym, bliższym terminie, który by krzyżował ich plany. Nie uczyniłem tego tem więcej, że mi ani na myśl nie przyszło, żeby Kochany Ojczulek wysnuł z tego cały szereg wątpliwości i podejrzeń.

Nie domyślałem się, że jaki inny termin został przez Niego postanowiony, a ponieważ poprzednio nawet pisałem, że nie spodziewam się wcześniej zawrzeć ślubu jak na jesień, byłem pewny, że drogi Ojczulek jest zupełnie na to przygotowany. Dopiero list ostatni wyprowadził mnie z błędu i postawił w bardzo przykrem położeniu, z jednej bowiem strony bolesnem jest mi niezadowolenie i niechęć Ojczulka, z drugiej zaś nie podobna mi wywoływać teraz dyskusję w przedmiocie, na który się już zgodziłem.

Zanim więc mi zatem Kochany Ojczulek odpowie, czy godzi się stawiać opór objawionemu życzeniu rodziców, pozwolę sobie wyjaśnić położenie i odpowiedzieć na niesłuszne podejrzenia.

W styczniu tego roku będąc w Poznaniu zrobiłem krok pierwszy i oświadczyłem moje zamiary rodzicom, wyjaśniając dostatecznie całe moje położenie.

Rodzice zgodzili się bez najmniejszego wahania i przyjęli mnie od razu jak syna. Za drugą bytnością na Wielkanoc oświadczyłem się pannie i zaraz się z nią zaręczyłem. Teraz ostatecznie pojechałem umówić się o termin ślubu, czego też rzeczywiście dokonałem. Nie doznałem nigdy w niczem najmniejszej przeszkody, żadnego wzdragania się, i byłoby z mej strony wielką niesłusznością, gdybym odpłacał się tym ludziom jakąkolwiek nieufnością.

Od dawna była zawsze mowa o tem, że na lato wybiorą się do Zakopanego, żeby wytchnąć na świeżem powietrzu i odnowić miłe przeszłoroczne wspomnienia, więc teraz, gdy przyszło do umawiania się o ślub, bardzo naturalnem wydało mi się ich życzenie, że chcą tam spędzić jeszcze lato z córką, poznać się z Drogim Ojczulkiem i dopiero po powrocie do Poznania doprowadzić do skutku nasze małżeństwo. Nie chciałem im psuć tego projektu, nie widząc żadnego ważnego powodu. Rozumiem bardzo dobrze, że z każdą myślą oswoić się potrzeba, a więc i z myślą rozłączenia się z córką, chociaż ta idzie za mąż zgodnie z ich wolą i życzeniami. Zresztą wiedziałem, że w Zakopanem mamy być razem, więc to mnie godziło najzupełniej z myślą i dopiero po powrocie w Poznaniu rzecz się cała zakończy.

Uważałem również za słuszne, że ślub ma się odbyć w Poznaniu, pobłogosławiony przez prałata Brzezińskiego, przyjaciela domu państwa Kaczorowskich, poczciwego i zacnego ze wszech miar kapłana.

Jeżeli zaś zgodziłem się na orzeczenie w pierwszych dniach października bez bliższego określenia dnia, to pochodzi tylko z mojego niedoświadczenia w kwestiach ślubu, które sprawiło, żem nie przypuszczał, aby można na cztery miesiące naprzód stanowczo oznaczyć dzień.

Co do przypuszczeń Kochanego Ojczulka, że panna tymczasem może w kim innym się zakochać, to gdybym miał podobne o jej stałości wyobrażenie, tobym się zupełnie nie żenił, a w każdym razie wolałbym, żeby to miało miejsce przed ślubem niż po ślubie.

Zresztą wszystkie podobne wątpliwości i podejrzenia, wyrażone w liście Ojczulka, zniknęłyby natychmiast, gdyby Kochany Ojczulek przybył poznać ich i cały nasz stosunek, jak to poprzednio przyobiecał zrobić i jak to ja z swej strony już zapowiedziałem.

Co się tyczy podróży Kochanego Ojczulka, to przyznać się muszę, że nie myślałem wcale dwa razy fatygować Go i narażać na trudy i kłopoty. Zdawało mi się bowiem naturalnem, że po dwu latach niewidzenia się, choćby trzy miesiące poświęcone synowi nie byłyby zbyt wielką niestósowności. Liczyłem na miłość rodzicielską, której tyle doznałem dowodów, tem bardziej, że przed dwoma laty przykład sześciu miesięcy, spędzonych ze mną, pozwolił mi mieć nadzieję, że teraz w daleko ważniejszych okolicznościach dwa razy krótszy termin nie byłby dla Niego zbyt uciążliwym, nie mając powodu mniemać, żeby zaszła jaka zmiana w Jego ojcowskich dla mnie uczuciach.

Zdawało mi się nawet, że powinno być Kochanemu Ojczulkowi przyjemnem i potrzebnem dla własnego zaspokojenia poznać tę, która ma zostać moją żoną, zanim nierozerwalne węzły nas połączą. Liczyłem więc, że Ojczulek pojedzie z nami do Zakopanego i nie będzie się zbyt nudził w nowem kółku familijnem. Bytność tę uważałem nawet za daleko ważniejszą aniżeli bytność na samym ślubie, bo pierwsza jest rzeczą serca, a druga rzeczą formy.

Jednakże przekonałem się z listu Kochanego Ojczulka, że zbyt wielkie stawiałem wymagania i mimo najgorętszych moich pragnień nie rad bym wywierać nacisku, ażeby czynił to, co dla siebie za niemiłe lub niegodne uzna.

O ślubie w Zakopanem myśleć nie mogę, byłoby to bowiem czemsiś ekscentrycznem i niezwykłem, a przy tem nastręczającem mnóstwo kłopotów i trudności.

Zresztą zdaje mi się, że i Najdroższy Ojczulek po bliższem rozpatrzeniu się we wszystkich okolicznościach, z których trudno listownie zdawać sprawę, do tego samego przyszedłby wniosku.

Co do mnie, jestem bez żadnych obaw i watpliwości, a jeżeli co mnie smuci, to tylko to jedynie, że bez żadnej winy z mej strony stałem się przyczyną Jego nieukontentowania.

Gdybym był choć wiedział poprzednio, że Ojczulek w myśli sobie inny plan zakreślił, byłbym się starał, o ile można, zastósować się do Niego.

Na teraz muszę już pozostawić rzeczy jak stoją i polecić się wyrozumiałości i pobłażliwości Kochanego Ojczulka.

Pozostawiając resztę do przyszłego listu, ściskam i całuję ręce Najdroższego Ojczulka po tysiąc razy.

Panu doktorowi Helbich proszę złożyć najserdeczniejsze podziękowania za jego troskliwe uwagi, o których pewnym jestem, że wypłynęły z Jego szczerej dla mnie życzliwości. Przy czem zostaję z uszanowaniem

Adam

37.

Kraków d. 12 czerwca 1875
Ul. Łobzowska nr 99

Najukochańszy Ojczulku!

Ponieważ spieszyłem się z wysłaniem poprzedniego listu i nie zdążyłem go uzupełnić, więc znowu dziś biorę pióro do ręki, żeby na pominięte pytania systematycznie odpowiedzieć.

Naprzód co się dotyczy wyznania, to rodzice panny tak jak i ona są katolicy, więc naturalnie w katolickim kościele ślub brać będziemy, a że pobłogosławiony zostanie przez ks. prałata Brzezińskiego, kanonika przy tumie w Poznaniu, więc naturalnie ślub odbędzie się w tymże tumie, tj. katedrze. Co do całego obchodu, to jużem się rozmówił z rodzicami, żeby był jak najcichszy i bez żadnej wystawy i spraszanych gości. Ich usposobienia są zupełnie zgodne z naszemi, więc wszystko się tak stanie, jak Ojczulek w tym względzie zaleca. Ogółem biorąc, nie tylko jeden termin ślubu może się Ojczulkowi nie podobać, ale tego wypadku nie przewidziałem i w tem leży moja wina. Z drugiej strony potrzeba także pomyśleć o choćby najskromniejszem odświeżeniu i uporządkowaniu domku wraz z umeblowaniem, na to wszystko potrzeba było trochę czasu i pieniędzy.

Najserdeczniej dziękuję drogiemu Ojczulkowi za pamięć o mojej prośbie co do tytoniu. Chciałem zrobić doktorowi przyjemność, bo mu bardzo smakuje towar Teofilidego. Zresztą jeżeli drogi Ojczulek zdecyduje się przyjechać, to także, spodziewam się, zechce skorzystać z tego tytoniu w postaci papierosów robionych przez moją narzeczonę, a robi je znakomicie, na drogę zaopatrzyła mnie w sto pięćdziesiąt, a podczas mojej dwukrotnej bytności zrobiła pewnie z jakie parę tysięcy.

Nie wystawi sobie Ojczulek, jacy oni wszyscy są dla mnie wylani sercem i duszą, byłbym najniewdzięczniejszym z ludzi, gdybym nie umiał uszanować ich dobroci. Zawsze jestem przecież dla nich obcym człowiekiem, a obchodzą się ze mną, jak byłbym ich synem. Doktór posuwał swoją względność tak daleko, że mi chciał koniecznie dać teraz tysiąc talarów na urządzenie domu, czego wszakże nie przyjąłem, zamierzając sprzedać raczej moje papiery zanim dojdą do zera.

Gdyby ich Ojczulek poznał, przekonałby się zaraz, jak niesłusznemi były wszystkie Jego przypuszczenia. Cały czas postępo-

wali jak najotwarciej ze mną i nie może być mowy o żadnych wybiegach lub zwłokach.

Kończę na teraz całując ręce Najdroższego Ojczulka i pozostaję w nadziei rychłej odpowiedzi.

Szanownemu panu doktorowi Helbich i całej jego familii proszę złożyć moje głębokie uszanowanie.

Adam

38.

Kraków d. 18 czerwca 1875

Najdroższy Ojczulku!

Chociaż kilku słowami pozwól sobie podziękować za zapewnienie mi Twojego przyjazdu. Nie piszę teraz obszerniej do Ciebie bo główny list skierowałem do szanownego pana Helbich, któremu podwójnie winien byłem odpowiedź. Wielki ciężar spadł mi z serca z odebraniem Twego listu, pewność, że przyjedziesz i że nie żywisz nieukontentowania dla mnie, chociaż się rzeczy inaczej ułożyły, wielce mnie pocieszyła. Przyznaję się bowiem, że przeszłemi listami byłem mocno zmartwiony, wina to pewnie nerwowej drażliwości.

Nie możesz się dziwić, Najdroższy Ojczulku, że życzę sobie gorąco, abyś poznał moją przyszłą żonę. Sama bytność zaś na ślubie nie byłaby w stanie doprowadzić do bliższego poznania, bo w takiej chwili wszyscy są zbyt zajęci i zgorączkowani. Jestem przy tem pewny, że i Ty, Najdroższy Ojczulku, żałować tego nie będziesz.

W nadziei rychłego widzenia się z radością całuję ręce Twoje po tysiąc razy.

Twój
Adam

39.

Zakopane d. 21 lipca 1875

Najukochańszy Ojczulku!

Na bardzo pogniecionym papierze list mi przychodzi dziś pisać, bo cały zapas papieru pomiął się w drodze, która pod innemi względami szczęśliwie przebytą została.

Bardzo się ucieszyliśmy wszyscy otrzymawszy Twój list donoszący, że stanąłeś w Konarach i wypoczywasz w dobrem zdrowiu po trudach przebytych wędrówek. Jakkolwiek żałujemy stale, że nie możemy Cię mieć przy sobie, pocieszamy się tą myślą, że Ci wygodniej w Konarach i że choć z daleka życzliwą myślą sięgasz do naszego kółka.

Kółko to wprawdzie w obecnej chwili doznało nowego ubytku przez wyjazd dra Kaczorowskiego na zjazd lekarzy i przyrodników, mający miejsce w tym czasie we Lwowie. Nieobecność jego, licząc

z podróżą tam i na powrót, potrwa zawsze z jakie dziesięć dni, więc ja na ten czas pozostałem jedynym opiekunem Pań.

Ustne relacje o Ojczulku miałem także od pana Józefa Ordęgi, który w miniony czwartek przybył tu wraz z całą swoją rodziną. Pokazywał mi też wczoraj list otrzymany od szanownego pana doktora Helbicha, bardzo się nim ucieszył, a żona jego czytając do łez się rozczuliła.

Zapoznałem państwa Ordęgów z moją przyszłą familią i bardzo się wzajemnie sobie podobali, szkoda tylko, że za daleko od siebie mieszkają, przez co komunikacja jest nieco utrudnioną. Gdyby jeszcze była pogoda, to odległość mniej by znaczyła, ale na nieszczęście panują teraz ciągłe deszcze, które nie tylko na żadne większe lub mniejsze wycieczki nie pozwalają, ale nawet utrudniają osobiste znoszenie się ludzi z ludźmi.

Dotąd zaledwie raz zdołaliśmy być w Kościeliskach, w drugi raz wybraliśmy się do Jaszczurówki na kąpiele, i to z towarzyszeniem deszczu przy powrocie.

Mimo to cały dzień jesteśmy na świeżem powietrzu, bo chata, gdzie mieszkają państwo Kaczorowscy, ma obszerny balkon czyli krytą wystawkę, na której można i podczas deszczu siedzieć, jeść śniadanie, obiad i zapijać herbatę. Podczas ulewy jesteśmy tak jak na wyspie odcięci od reszty świata, ale też sami sobie wystarczyć potrafimy.

Ze znajomych, oprócz państwa Ordęgów, mam tu jeszcze Pawlikowskich, Tetmajerów i Gillera, szkolnego kolegę z Kalisza. Jest także już Chałubiński z całą swoją familią, a spodziewają się również pani Modrzejewskiej, Odyńca i Lenartowicza.

Co się dalej w świecie dzieje, o tem, jak na teraz, nie mam prawie żadnego wyobrażenia i pozostaję w błogiej niewiadomości bieżących dziejów Europy i innych części świata. Myśl nie sięga dalej jak ponad szczyty tatrzańskie, na które z powodu niepogody dostać się teraz nie podobna i tylko z dala a z zazdrością można się im przypatrywać, póki stosowniejsza pora nie dozwoli zrobić jakiej zamaszystej eskalady.

Wszystkie rzeczy staraniem Najdroższego Ojczulka zapakowane dostały się w całości bez żadnego szwanku do Zakopanego, a pani doktorowa i panna Zofia kazały mi jeszcze raz wyrazić najgorętsze podziękowania za ten zasób gospodarski, będący jak na Zakopane, prawdziwą wyprawą.

Wyczerpawszy cały zapas bieżących wiadomości i dodając do nich zapewnienie, że wszyscy cieszymy się dobrym stanem zdrowia, nie pozostaje mi nic, jak na zakończenie ucałować najserdeczniej po wielokroć ręce Najdroższego Ojczulka i od obu moich pań przesłać Mu wyrazy uszanowania i prawdziwej życzliwości.

Szanownemu panu doktorowi Helbich i całej jego rodzinie proszę oświadczyć moje niezmienne uczucia przyjaźni i poważania.

Odpowiedzi Najdroższego Ojczulka spodziewam się jeszcze doczekać tu w Zakopanem.

Adam

Uwagi.

1. Pawlikowscy, to Mieczysław Pawlikowski (1834—1903) z rodziną.

2. Tetmajerowie, to prawdopodobnie Adolfowie, rodzice poety Kazimierza i malarza Włodzimierza, dziedzice Ludźmierza pod Nowym Targiem. Por. Dębicki Zdz., *Rodzina Tetmajerów* (*Tygodnik Ilustrowany*, 1912, nr 12).

3. Giller Agaton (1831—1887), gorący patriota, więzień Cytadeli warszawskiej, zesłaniec na Sybir, członek Komitetu Centralnego i Rządu Narodowego w r. 1863, emigrant, ciągle zewsząd wydalany, redaktor pism i autor licznych dzieł. Umarł w Stanisławowie.

4. Dr Chałubiński Tytus (1820—1889), lekarz i profesor kliniczny w Akademii Lekarskiej w Warszawie, wielki miłośnik i propagator Zakopanego, gdzie mu wzniesiono pomnik.

5. Wyrażenie: eskalada (z fr.) — oznacza dosłownie wtargnięcie do szturmowanego miasta przez mur za pomocą drabin.

40.

Kraków d. 4 września 1875
Ul. Łobzowska nr 99

Najukochańszy Ojczulku!

Wynadgradzając przydłużne milczenie i krótkość poprzedniego listu, biorę się powtórnie do pióra, ażeby z Tobą, Najdroższy Ojczulku, porozmawiać. Czas ulatuje szybko i zbliża się chwila, w której już ostatecznie wstąpię w nowy okres życia.

Nie wiem, czy będziesz mógł być obecnym tej uroczystej dla mnie chwili i nie chciałbym bardzo na to nastawać bojąc się, żeby to nie przyniosło dla Ciebie uszczerbku na zdrowiu.

W tej niepewności udaję się do Ciebie już teraz po Twoje błogosławieństwo Ojcowskie, w którem przy niepewności wszystkich losów ludzkich czerpać będę otuchę i nadzieję.

Pobłogosław nas całem sercem swojem, które przez całe życie pełne miłości i poświęcenia dla mnie, będzie miało moc w przyszłości zażegnania sroższych burz życia.

Przechodząc do spraw codziennego życia, niewiele mam donieść o sobie. Poszukiwania za kaflarzem, za mularzem, za meblami i tapicerem nie stanowią interesującego przedmiotu, a drobne kłopoty i trudności, nudne w rzeczywistości, jeszcze nudniejszemi stają się w opisie.

Kilka razy widziałem się z Lenartowiczem, który od kilku tygodni bawi w Krakowie. Spotkanie nasze było bardzo serdecznem.

Dawano mu tu obiad, ale na nim nie byłem, gdyż wtedy jeszcze bawiłem w Zakopanem.

. . . .

W Krakowie w nieobecności mojej narzeczonej przypatruję się drugiej takiej parze, którą stanowią Franciszek Bylicki i panna Adela Kropiwnicka z Warszawy, siostra pani Ryx.

Ordęgowie bawią jeszcze w Zakopanem, ale niezadługo przyjadą, bo już się zaczyna słota i zimno.

Panna Ordężanka bardzo się poprzyjaźniła z moją narzeczoną z czego jestem wielce zadowolniony, bo wybór towarzystwa i przyjaciół wiele stanowi.

Teraz kończę mój dzisiejszy list ucałowaniem rąk Najdroższego Ojczulka i prośbą o rychłą odpowiedź i zawiadomienie o czasie wyjazdu z Konar.

Panu drowi Helbich moje najgłębsze uszanowanie.

Adam

Uwagi.

Ustęp wykropkowany mieści wiadomości obojętne dla dziejów życia i twórczości poety.

41.

Kraków d. 14 września 1875

Najdroższy Ojczulku!

Za list Twój, pisany przed otrzymaniem drugiej mojej korespondencji, najserdeczniej dziękuję.

Piszę teraz do Ciebie w ważnym bardzo interesie, a do tego bardzo nagłym. Potrzeba, ażebyś był łaskaw jak najśpieszniej napisać zezwolenie dla mnie do zawarcia związków małżeńskich z panną Zofią Kaczorowską, potwierdzić własnoręczność podpisu choćby przez wójta i wysłać jak najśpieszniej do Poznania na ręce pana Teofila Kaczorowskiego, ulica Szkolna nr 10.

Jednocześnie racz mnie zawiadomić o wysłaniu.

Rzecz ta bardzo jest nagłą, gdyż w Poznaniu bez tej formalności nie mogą zapowiedzie być ogłoszonemi. W Krakowie nie potrzeba tego i w przyszłą niedzielę wyjdzie zapowiedź pierwsza.

Nie piszę teraz więcej, bo żyję w takim rozruchu, że ledwie nie wyskoczę ze skóry.

Całuję Twoje ręce po tysiąc razy, szanownemu panu doktorowi i całej Jego rodzinie moje uszanowanie.

Adam

42.

Poznań d. 20 paźdz. 1875

Drogi Ojczulku!

Piszę teraz do Warszawy, bo spodziewam się, że Cię tam nareszcie mój list zastanie. Nie pisałem z Krakowa, bo taki byłem zaaferowany i skłopotany, żem nie miał chwili czasu do namysłu ani też weselszego usposobienia do pisania listu. Dużo miałem na sercu i głowie i chciałem ochłonąć z przykrych wrażeń. Takiej niepraktycznej jak ja istocie trudno było dać sobie rady z urządzeniem domu i wytrwać w walce z wszystkimi majstrami.

Z drugiej strony podwójne formalności cywilne i kościelne odwlokły termin mojego ślubu. W Poznaniu bowiem zapowiedzi kościelne musiały być poprzedzone zapowiedziami cywilnemi, ktore zostały dopiero ogłoszone po nadejściu Twojego, Kochany Ojczulku, zezwolenia. Nie dość na tem, potrzeba było ogłaszać jeszcze w *Czasie* zapowiedzi urzędnika cywilnego z Poznania i dopiero numer

Czasu posyłać jako dokument do Poznania, gdzie dopiero po dwóch tygodniach od chwili wydrukowania inseratu można było przystąpić do zapowiedzi kościelnych. Teraz szczęśliwie wszystko wkrótce będzie załatwionem, chociaż znowu choroba prałata ks. Brzezińskiego, który nam ślub miał dawać, przyszła bardzo nie w porę. Postanowiliśmy się wyrzec tej przyjemności i przyjąć błogosławieństwo któregokolwiek księdza.

Jednakże termin ślubu nie może być wcześniejszym nad szóstego listopada i do tego dnia pozostanę w Poznaniu. Nazajutrz po ślubie wyjeżdżam z żoną do Krakowa.

Nie potrzebuję dodawać, że nam wszystkim smutno będzie bez Ojczulka. Rodzice mojej narzeczonej uczuli to więcej niż przypuszczałem, i mnie nie bardzo wesoło, że w takiej chwili nikogo z mojej strony mieć nie będę. Jest to jakby dowód, że zawsze musi coś brakować do zupełnego szczęścia.

Niech Najdroższy Ojczulek doniesie mi przynajmniej o swojem zdrowiu; adres mój: Poznań, Hotel de France.

Na teraz całuję ręce Najdroższego Ojczulka po tysiąc razy dziękując Mu z synowską wdzięcznością za przesłane błogosławieństwo i zezwolenie. Żywię przy tem nadzieję w sercu, że Najdroższy Ojczulek choć z daleka obdzieli mnie i przyszłą moją żonę cząstką swoich uczuć.

Wujostwu przesyłam najserdeczniejsze pozdrowienia i prośbę aby mnie także sercem pobłogosławili.

Adam

Uwagi.

Zapowiedź o zamierzonym małżeństwie poety z Teofilą Aleksandrą Zofią Kaczorowską, córką dra Teofila i Anieli z Wysockich, pojawiła się w myśl ustaw pruskich w nr 222 krakowskiego *Czasu* z dn. 29 IX 1875 w dziale ogłoszeń. Podpisał ją urzędnik stanu cywilnego w Poznaniu, Rump

43.

Kraków d. 13 listopada 1875
Ul. Łobzowska 99 a

Najukochańszy Ojczulku!

Nareszcie przybyłem z żoną do Krakowa i spieszę zdać Ci sprawozdanie z ostatnich czasów.

Ślub mój odbył się nie, jak Ci donosiłem wprzód, 6-go listopada, ale czwartego, tak jak sprostowałem w liście, pisanym do wuja Karola, w Poznaniu, w małym kościółku Przemienienia Pańskiego, należącym do Siostr Miłosierdzia, które go prześlicznie przystroiły. Cały obrzęd odbył się cicho i skromnie, tylko sześć osób i ksiądz siódmy, oprócz nas czworga, było zaproszonych i skończyło się na dobrej kolacji w domu Rodziców w tem szczupłem przyjemnem gronie. Mieliśmy z początku zamiar na drugi dzień wyjechać do Krakowa, lecz w praktyce okazało się to niewykonalnem, a że potem jeszcze matka żony zasłabła, więc pozostaliśmy

w Poznaniu do wtorku i tym sposobem otrzymałem jeszcze list Twój, Najdroższy Ojczulku, za który najserdeczniej dziękuję Tobie, jak również szanownemu panu Helbichowi, który mnie obok Ciebie swojem ojcowskiem błogosławieństwem udarował.

Wyjechaliśmy z Poznania we wtorek o piątej rano i na dziewiątą wieczorem stanęliśmy w domu, zastawszy wszystko w należytym porządku. Zosia zadowolona była z wszystkiego, co zastała i zaraz nazajutrz zabrała się do gospodarstwa, tak że od razu pierwszy obiad mieliśmy gotowany w domu. Dobra z niej gospodyni wszystkiego dozoruje sama, rachuje i ściśle ogranicza wydatki. Dotąd nie wychodzilimy wcale z domu, zajęci tylko głównie pierwszem zagospodarowaniem się, ja tylko biegałem trochę po sprawunkach niezbędnych. Zresztą nie chce się wychodzić z domu, tak dobrze, ciepło i miło, a zajęcia zawsze jest dosyć. Kobieta w samej rzeczy umie od razu stworzyć nową sferę domowego życia i na samym wstępie znajdzie się w swoim żywiole, bądź to w pałacu bądź w chatce. Tak i Zosia wcieliła się od razu w swój domek i gdyby nie wrażenia rozdziału z cierpiącą matką, świadomość osamotnienia rodziców — to już by zupełnie znalazła się u siebie.

W Krakowie zastałem dawniejszy list Ojczulka, w którym wyczytałem, że miał żal do mnie za długie milczenie. Dużo rzeczy na to się złożyło, naprzód byłem tak zajęty i zmarnowany porządkowaniem domu, że nie mogłem przez dłuższy czas zabrać się do pióra, potem nie wiedziałem, gdzie pisać, bo mi Ojczulek pisał, że z początkiem października opuszcza Konary, a co najważniejsza, że nie wiedząc jeszcze terminu ślubu, nie chciałem bez tej stanowczej wiadomości wystąpić, bojąc się, żeby drogi Ojczulek nie myślał, że to nieograniczona odwłoka,

Przepraszam więc teraz najmocniej za ten zbieg okoliczności, bo jeżeli zgrzeszyłem, to mimo woli, w dobrych zamiarach.

Kończąc mój list załączam Wujostwu podziękowanie serdeczne za przesłane mi życzenia, Szanownemu panu Helbich składam jeszcze raz moją cześć i wdzięczność, a Tobie, Najdroższy Ojczulku, po synowsku ręce całuję, zostawiając mojej żonie, która pragnie się dopisać, miejsce na kilka słówek.

Adam.

Dopisek żony Asnyka.

Drogi Ojcze!

Do listu Adalka załączam choć słów kilka, aby przesłać Ci wyraz głębokiego szacunku wraz z pozdrowieniem córki.

Jakkolwiek przykro nam było, że z powodu zdrowia nie mogłeś osobiście nam pobłogosławić w tak ważnej chwili, przecież niepomyślna pora roku była dość ważną przeszkodą i na teraz musi nam wystarczyć przesłane na piśmie z serca płynące błogosławieństwo. Nie mniej wszakże mam nadzieję, że teraz zechcesz bliżej poznać i pokochać tę, która zarówno z Adalkiem za dziecko Twoje się uważa.

Panu Helbichowi, który rozciągnął na mnie życzliwość swoją, załączam najszczersze podziękowanie i wyrazy prawdziwego szacunku

Zofia.

Uwagi.
Czas z niedzieli 7 XI 1875 doniósł, że we czwartek odbył się w Poznaniu ślub dra Adama Asnyka, poety znanego pod imieniem El...y, z panną Zofią Kaczorowską, córką lekarza w Poznaniu.

44.

Kraków d. 8 grudnia 1875
Ul. Łobzowska 99 a

Najdroższy Ojczulku!

Dziękujemy Ci najserdeczniej oboje za Twoje listy, któremi nas obdarzyłeś, przykro nam tylko, że niedomagasz trochę, ale mamy nadzieję, że taka lekka przypadłość szybko przeminie. My za to oboje cieszymy się pożądanem zdrowiem i rzadko kiedy wychylamy nos z domu, chyba dla oddania niezbędnych wizyt. Zosię nawet do teatru nie podobna namówić, zawołana domatorka nie lubi się nigdzie ruszać, a że obecnie dość silne panują mrozy, nie namawiam jej też zbyt gorąco z obawy, aby się nie przeziębiła.

Miałem dużo zajęcia z odbiorem rzeczy na komorze celnej: chodziło o to, aby uwolnić je od opłaty, a ponieważ przychodziły częściowo, dosyć więc było krzątaniny. Między innemi przedmiotami ojciec żony przysłał nam prześliczny fortepian, świeżo zakupiony u Bechsteina w Berlinie, instrument posiadający mechanizm i głos wytworny, tak więc dworek nasz ożywił się jeszcze jego tonami, a Zosia ma nową rozrywkę i zajęcie.

Wizyty pooddawaliśmy mniej więcej wszystkie. Byliśmy u Kossaków, Pawlikowskich, Lutostańskich, Librowskich, Janikowskich, Ryxów, Cetnerskich, Harajewiczów, Trojackich i u pani Steckiej. Najwięcej jednak zbliżyła się Zosia z Ordęgami i zaprzyjaźniła się serdecznie z ich córką, z czego się bardzo cieszę. Była także tutaj w przejeździe pani Puławska i wstąpiła do nas wraz z Kossakami, poczem rewizytowaliśmy ją u Kossaków.

Na święta wybieramy się do Poznania, bo tam rodzice bardzo tęsknią ze swoją jedynaczką a i ona także jest niespokojną o swoją mateczkę. Wyjedziemy zapewne 21-go, ale przed wyjazdem napiszemy jeszcze do Kochanego Ojczulka, chyba żebyśmy przyspieszyli wyjazd, to w takim razie pisalibyśmy dopiero z Poznania.

Dnia 20-go listopada obchodziliśmy tu również z żoną żałobną rocznicę na nabożeństwie u OO. Reformatów. Czemu biedna droga moja matka nie doczekała tej chwili, której tak gorąco sobie życzyła. Widać, że nie może być zupełnego szczęścia na ziemi i że zyskawszy prawdziwy skarb szlachetnego serca, które swoją miłością nas darzy, musiemy jednak myśleć o innem, które również najżywszem uczuciem dla nas biło, a teraz już zastygłe w ziemi spoczywa.

Rad bym udzielić drogiemu Ojczulkowi jakich wiadomości, ale jak powiadają, szczęśliwi ludzie i szczęśliwe narody nie mają wcale historii. Żyjemy tak skromnie i cicho, że nie wiemy nic o świecie tak jak i on o nas.

Na jutro tylko Zosia zaprosiła pp. Ordęgów na obiad, chcąc się popisać jako gospodyni. Ten obiad będzie ważnym wypadkiem w naszym domu. Mamy comber sarni przysłany przez rodziców z Poznania i ten stanowić będzie oś owej biesiady.

W przeszłym liście obiecał nam Ojczulek odwiedzić nas z wiosną, cieszymy się na to z góry i liczymy z wszelką pewnością, wiedząc, że drogi Ojczulek nie cofa nigdy danego słowa. Do wiosny wprawdzie daleko jeszcze, ale na tak drogiego i rzadkiego gościa trzeba się radować naprzód z góry choć na kilka miesięcy.

Zima wcześnie się rozsrożyła tego roku, mieliśmy wczoraj przeszło 20 stopni w Krakowie, jak na początek to wcale nieźle. Zapewne i Warszawa cieszy się podobnym mrozem i sanną, pole do zabawy dla bogatszych, ale dla biedaków to prawdziwa klęska tak wczesna i ostra zima.

Spodziewamy się, że nam drogi Ojczulek doniesie jeszcze niedługo o swojem zdrowiu, ażebyśmy wesoło mogli powitać zbliżające się święta.

Zanim to nastąpi, po tysiąc razy całuję ręce Najdroższego Ojczulka, składając przy tem najserdeczniejsze pozdrowienia dla szanownego pana Helbicha i całej jego familii, dla Kochanych Wujostwa, państwa Teofilidych i wszystkich znajomych, którzy o mnie nie zapomnieli jeszcze.

Adam.

45.

Kraków d. 21 grudnia 1875 r.

Najdroższy Ojczulku!

Po otrzymaniu Twojego listu pisaliśmy wkrótce do Ciebie oboje, jednak niespokojny jestem, czy Cię nasze listy doszły, przez pomyłkę bowiem zamiast dziesięciocentowego przylepiłem pięciocentowy znaczek pocztowy, co dopiero nazajutrz po wysłaniu listu skonfrontowałem. Przepraszam Cię nausilniej za tę moją nieuwagę, bo chociażby Cię list doszedł, musiałeś niepotrzebnie opłacać porto. Mieliśmy dziś już rano wyruszyć w drogę do Poznania, ale moja żona od kilku dni silnie cierpiała na zęby i twarz jej cała obrzękła tak, że parę nocy bezsennie spędziła. Dzisiaj czuje się znacznie lepiej i mam nadzieję, że jutro będziemy w stanie wyjechać i dobić się do Poznania, gdzie już nas z niecierpliwością oczekują. Przyjmij, Najdroższy Ojczulku, od nas obojga najserdeczniejsze życzenia Wesołych Świąt i wszystkiego dobrego. Żona chciała osobno pisać, ale ponieważ dokuczliwe cierpienie stanęło jej w drodze, a w dodatku dużo się musi umęczyć z pakowaniem, przeto odkłada na później tę przyjemność, a tymczasem mianuje mnie tłumaczem swoich uczuć i życzeń.

Ból zębów wcale nie w porę wypadł u mojej żony, jesteśmy bowiem niespokojni o jej matkę, która nam w ostatniej korespondencji dwa jeszcze listy zapowiedziała, a myśmy żadnego z nich nie odebrali. Być więc zmuszonym do odwleczenia chwili przybycia w takim razie podwójną przykrość nam wyrządza. Zresztą nic nowego u nas. Moja żona dawała raz obiad dla pp. Ordęgów, po czem my znowu byliśmy u nich na obiedzie. Raz także byliśmy w teatrze z panną Marią Ordężanką i oto wszystkie najważniejsze ewenementa naszego życia, jeżeli dodamy jeszcze jeden wieczór, którego zjawił się u nas Sokołowski i Bylicki. Ten ostatni grał nam dużo na fortepianie i bardzo się zachwycał naszym instrumentem. Dla żony było to także przyjemną rozrywką, tem więcej, że sama grywa, więc ma zarazem pewną korzyść w słuchaniu takiej dobrej gry. Zresztą siedziemy prawie wciąż w domu, nie pytając się, co się dzieje na świecie, chyba że nas piękny dzień na przechadzkę wyciągnie. A nastały teraz bardzo piękne pogody, szkoda tylko, że właśnie teraz żona z nich korzystać nie mogła. Z Poznania napiszemy znów do Ciebie, Najdroższy Ojczulku, jak tylko minie ogień pierwszych powitań i przyjęć. Teraz od nas obojga ściskam Cię po tysiąc razy i tyleż razy ręce Twoje całuję.

Kochanym Wujostwu życzenia Wesołych Świąt i najczulsze pozdrowienia. Szanownemu panu Helbich racz drogi Ojczulek doręczyć choć te kilka słów, skreślonych na prędce, które do Twego liściku załączam.

Twój Adam.

46.

Poznań d. 29 grudnia 1875

Najukochańszy Ojczulku!

Właśnie wybieraliśmy się pisać do Ciebie z noworocznemi życzeniami, gdy zostaliśmy uprzedzeni przez listy z Warszawy, to jest Twój i szanownego doktora Helbicha. Nie spodziewaliśmy się tak szybkiej wiadomości po otrzymanej na gwiazdkę korespondencji, podwójnie więc za nią dziękujemy.

Zajechaliśmy do Poznania, dzięki Bogu, zdrowo i szczęśliwie i zastaliśmy rodziców również przy lepszem zdrowiu. Byłyby więc święta przeszły zupełnie wesoło i szczęśliwie, gdyby nie to, że nasza wspólna znajoma i przyjaciółka, pani Łyskowska, po słabości śmiertelnie się rozchorowała i żadnej nie ma nadziei utrzymania jej przy życiu. Cały dom naturalnie bardzo zwarzony tym wypadkiem, ojciec żony całe dnie prawie spędzał przy jej łóżku i bardzo jest zgryziony i zmęczony, tem więcej, że mu się nazbierało na święta kilku niebezpiecznie chorych, tak że przez cały ten czas ledwie na chwilę w domu może się pokazać. Przy tak niewesołej konstelacji i my sami nie mamy humoru do wyruszenia z domu, siedzimy więc przy matce, która pomimo polepszenia także jeszcze z domu wychodzić nie może.

W Poznaniu zabawimy zapewne do Trzech Króli, bo przedtem żadną miarą rodzice by nas nie wypuścili, a i tak jeszcze trudna będzie z odjazdem sprawa. Boję się, żeby matka znowu nie odchorowała swego rozstania z córką, przy wadzie sercowej i wrodzonej wrażliwości i tkliwości zawsze jest to trudny moment do przebycia.

Oprócz tych chmurek, które na nas cień swój rzucają, jakby na zaznaczenie tej prawdy, że nam śmiertelnym nigdy zupełnem szczęściem cieszyć się nie wolno, wszystko zresztą pomyślne i dobre. Dziękujemy niebu, że przynajmniej najbliżsi nasi, jak Ty, drogi Ojczulku, i rodzice mojej żony zdrowiem swojem na teraz nie przyczyniają nam zmartwienia.

Co do wzajemnego szczęścia naszego, to spodziewam się, że na trwałych zbudowane podstawach z latami wzrastać tylko będzie. Cieszymy się nadzieją, że i Ty zechcesz być jego świadkiem choć na pewien przeciąg czasu, a że w ostatnich listach milczysz, więc ośmielamy się z Nowym Rokiem przypomnieć Ci tę drogą dla nas obietnicę.

A teraz przyjm, Najdroższy Ojczulku, życzenia wszelkiej pomyślności, a nade wszystko zdrowia i najdłuższego życia, tak potrzebnego dla naszego szczęścia.

Do pana Helbicha osobno w tych dniach napiszę z podziękowaniem za jego serdeczny liścik, w którym dowiódł, że nic nie uronił z swoich duchowych zapasów.

Ten list chciałbym dziś jeszcze wyprawić na pocztę, więc do Wujostwa także osobno nie piszę i poprzestaję na przesłaniu Im najserdeczniejszych życzeń na Rok Nowy i łączę podziękowanie za Ich pamięć o mnie. Ręce Twoje, Najdroższy Ojczulku, całuję po tysiąc razy

Adam.

Dopisek dra Kaczorowskiego.

Szanowny i Łaskawy Panie!

Już dawno wybierałem się odezwać do Kochanego Pana z wynurzeniem szczerego żalu, że słabość zdrowia nie pozwoliła Mu w zimniejszej porze roku zjechać do Poznania i obecnością Swoją ślubnemu aktowi dzieci naszych nadać większą powagę i ciepło, reprezentując najgodniej, jako Ojciec, rodzinę osamotnionego Adama naszego. Cieszymy się za to tem bardziej, że jak słyszymy od Adama, zdrowie Pańskie śród spokoju przy przyjaznem ognisku zacnego pana Helbicha doskonale się konserwuje.

Korzystamy więc z tej sposobności, aby przy nadchodzącym Nowym Roku przesłać Czcigodnemu Panu, niemniej tyle dla nas życzliwemu panu Helbichowi, najserdeczniejsze nasze życzenia wszelkiej pomyślności

szczerze przywiązani Kaczorowscy.

Dopisek żony Asnyka.

Drogi Ojczulku!

Życzenia moje na Rok Nowy, aby drogi Ojczulek w jak najlepszem zdrowiu i pomyślności wszelkiej w jak najdłuższe lata zachowany nam został, łączę z życzeniami Adalka.

Przecież sam to Ojczulek przyzna, że nieskończenie milej byłoby nam obojgu to, co w jak najserdeczniejszych skreślone słowach, sztywnie z papieru wygląda, wyrazić ustnie, szczery uścisk dołączywszy.

Daruje Ojczulek, że tak po trosze postaram się tu przypomnieć daną nam obietnicę przyjazdu. Chociaż nadzieją tymczasową cieszyć się nam wolno, a wierzymy mocno, że na niej poprzestać nie dozwoli nam Ojczulek.

Wszyscy jesteśmy, Bogu dzięki, zdrowi, lecz biedny mój Ojciec, jak już Adaś wspominał, tak jest zajęty, że mało, ale to nader mało czasu poświęcić nam może; obiecał jednakże, jak od chorych powróci, choć parę słów do listów naszych przyłączyć.

Raz jeszcze życzenia powtarzając, całuję rączki Ojczulka

Zofia.

47.

Kraków d. 5 lutego 1876 r.
Ul. Łobzowska 99

Najdroższy Ojczulku!

Po odebraniu nareszcie wiadomości od Najdroższego Ojczulka pośpieszam zaspokoić Go, a zarazem wytłumaczyć, że nie jesteśmy tak winni, jak się z pozoru wydaje.

Po wyprawieniu zbiorowego listu na Rok Nowy, w którym donosiłem, że po Trzech Królach wracamy do Krakowa, widząc, że bytność nasza się przedłuży, pisałem powtórnie do Najdroższego Ojczulka, donosząc o widzeniu się z panem Adamem i dalszym naszym pobycie w Poznaniu, którego terminu nie mogłem określić. Termin ten odwlókł się nadspodziewanie z powodu bardzo bolesnego obrzmienia dziąseł i podniebienia, któremu uległa moja żona. Nie można było jej narażać na możliwe przeziębienie w drodze, tak więc pozostaliśmy aż do 29-tego stycznia, w którym to dniu wyruszywszy rano o piątej, stanęliśmy na wieczór w Krakowie. Tu wprawdzie zastałem liczną korespondencję, ale wzmiankowanego listu Ojczulka nie było. Myślałem, że może nadszedł do Poznania po naszym wyjeździe i dopiero świeżo otrzymany list objaśnił mnie, że już Ojczulek pisał do Krakowa.

Prosimy więc pokornie oboje o przywrócenie nam tytułu dzieci do którego prawa stracić z naszej winy nie mogliśmy, i przyjęcie nas na powrót do Swego serca, z którego, jak sądzę, tylko na pożartem jesteśmy rugowani.

O balach i zabawach nie ma u nas nawet mowy. Póki byliśmy w Poznaniu, siedzieliśmy cichutko u rodziców żony, a teraz dobrze jest nam we dwoje w naszym domku. Zosia poprzestaje na domowem zaciszu i nie chce robić wydatków, jakie koniecznie pociąga za sobą bywanie na zabawach.

W Krakowie za to bawią się świetnie tego roku: pani Żurowska daje wspaniałe bale w wielkiej sali Hotelu Saskiego, księżna Czartoryjska w poniedziałek wieczorki tańcujące, Potoccy także dają bale, nie mówiąc już o innych tak publicznych, jak prywatnych zabawach. W Poznaniu za to nie zanosiło się na ożywiony karnawał, wielka tam bowiem bieda między polskiem obywatelstwem pełno majątków wystawionych na sprzedaż, słowem, ostateczna groz ruina żywiołowi polskiemu. Smutno też tam bardzo i posępnie W Krakowie za to wesoło, choć w wschodniej Galicji głód i bankructwa we Lwowie, ale do Krakowa zjechali na karnawał ze wszech stron zamożniejsi ludzie, więc mogą się zabawić.

Imieniny matki mojej żony, o które się Drogi Ojczulek dopytuje, przypadają dziewiątego marca na dzień ś-tej Franciszki. Zosia spodziewa się, że może na ten dzień do nas przyjedzie w odwiedziny, ale nie możemy liczyć na to z pewnością. Ojciec zaś żony nie obchodzi imienin, tylko urodziny, które przypadają w sierpniu — dnia na pewno oznaczyć nie mogę. Do tego czasu mam nadzieję że się z Najdroższym Ojczulkiem zobaczymy. Zosia marzy o tem żeby kiedy jej rodzice i Ojczulek mogli się razem u nas zjechać i czas jakiś ze sobą przepędzić. Pomieszczenie znalazłoby się wygodne dla wszystkich, a domek ożywiłby się do niepoznania. Chodzi jej bardzo o to, żeby ją Ojczulek poznał bliżej i pokochał, co także jest mojem najgorętszem pragnieniem.

Zanim to nastąpi, przesyła wraz ze mną najserdeczniejsze uściśnienia i tysiączne ucałowania rąk Najdroższego Ojca. Również zasyła wspólnie ze mną uszanowanie dla pana Helbich i serdeczne pozdrowienia dla Kochanych Wujostwa. Reszcie moich znajomych którzy byli łaskawi pamiętać o mnie, jak Sosnowskiemu, Wójcickiemu i innym, racz odemnie Ojczulek załączyć wyrazy wdzięczności z wzajemnem pozdrowieniem.

Kochający syn

Adam

48.

Kraków d. 1 marca 1876

Najukochańszy Ojczulku!

Zbliża się dzień czwartego marca a z nim droga dla nas obojga uroczystość Twoich Imienin, zaczynam więc list mój dzisiejszy od złożenia Ci najszczerszych, najczulszych i najgorętszych życzeń, przeplecionych tysiącem uścisków i pocałunków. Przede wszystkiem życzymy Ci sił, czerstwości i zdrowia, żeby żadna dolegliwość nie kłóciła jak najdłuższych lat Twojego życia, których pogodą i spokojem razem z Tobą cieszyć się pragniemy. To wy-

starczy dla Twojego i naszego szczęścia, bo zapewne i sam nie więcej od losu wymagasz, jak żeby Cię uchronił od zmartwień i choroby. Najwyższe dary już posiadłeś, to jest niezmącony niczem spokój ducha i miłość i szacunek ludzi. Reszta Ci zaś jest obojętną przy Twem skromnem usposobieniu, pozbawionym wszelkich osobistych widoków.

Za list Twój z dnia 17 lutego, na który nie odpowiedziałem jeszcze, najserdeczniej teraz dziękuję. Zosia tylko ma żal, że wiosenna obietnica przemieniła się już teraz na jesienną. Miała zamiar spór toczyć piśmiennie z Najdroższym Ojczulkiem i poszła pisać do swojego pokoju, ale nie wiem, czy przywiedzie do skutku swoje przedsięwzięcie, gdyż się czuje niedobrze i ciągle się tylko pokłada Stan ten, jakkolwiek przykry dla niej, nie ma jednakże w sobie nic zastraszającego, gdyż jest tylko zapowiedzią zwykłych w tych razach następstw. W tych dniach spodziewamy się Matki, która do nas na swoje imieniny. (9) marca przyjedzie. Tak więc pomnoży się za czas jakiś małe nasze kółko, tem więcej, że i dawna przyjaciółka Zosi również ma z matką przyjechać.

Karnawał cały przeszedł bez żadnego z naszej strony udziału. miewaliśmy tylko relacje od panny Marii Ordężanki o świetnych tegorocznych zabawach — bawiono się bowiem jak nigdy. Wychodzimy tylko na spacer dla zdrowia a bardzo rzadko z jaką konieczną wizytą, wieczorem zaś tylko u jednych Ordęgów bywamy niekiedy. Tryb życia bardzo spokojny i poważny jak na młode małżeństwo.

Ale pod tym względem dobraliśmy się oboje, że konwencjonalne wizyty to dla nas ciężka pańszczyzna i przekładamy nade wszystko ciszę domową. Teraz zresztą ani pogoda, ani stan Zosi nie zachęcają do żadnych wycieczek.

Pana Adama za jego bytności w Poznaniu byłbym z pewnością nie poznał, tem bardziej, że na kolei, gdziem czekał na pociąg, którym on miał przyjechać, dosyć było ciemno. Na szczęście miałem pośrednika, który nam obu ułatwił rozpoznanie, inaczej wśród tłumu wysiadających łatwo byśmy mogli się minąć. Brody bardzo teraz zmieniają, a myśmy widywali się tylko z mlekiem na wąsach. Po poznaniu bardzośmy się serdecznie powitali, a pan Adam był tyle grzeczny, że spędził cały wieczór u rodziców mojej żony i bardzo się nam wszystkim podobał.

Z Poznaniem w ciągłej pozostajemy styczności, na tutejszej komorze celnej jesteśmy już znani jak zły szeląg, bo poczciwa Matuś zawsze co chwila coś przyśle, to zająca, to comber sarni, to kapłona, kaczki, sielawy i tym podobne przysmaki.

Zresztą nowin żadnych, a jeżeli są jakie, to niewesołe. O śmierci Goszczyńskiego zapewne już wie Ojczulek z gazet.

Umarł także Wojciech, który dawniej wraz z swoją żoną stróżował w naszym domku, musiałem ze swej kieszeni przyczynić się do kosztów pogrzebu.

Oto i wszystko, co o nas mogę donieść.

Zosia listu nie wygotowała, gdyż ciągle jej mdłości dokuczają, prosi więc tylko o wynurzenie Jej życzeń i uczuć i pragnie, żeby ją Ojczulek tak jak prawdziwą córkę uważał.

Panu Helbich od nas obojga uszanowanie. Kochanym Wujostwu także podwójne najserdeczniejsze pozdrowienia.

A teraz ściskamy we dwoje i całujemy ręce Najdroższego Ojczulka po tysiąc razy.

Adam

Uwagi.

Seweryn Goszczyński (ur. 4 XI 1801) umarł we Lwowie dn. 25 lutego 1876.

49.

Kraków d. 26 marca 1876
Ul. Łobzowska 99

Najukochańszy Ojczulku!

List Twój nadszedł w sam czas na imieniny matki mojej żony, bardzo była ucieszona Twoją pamięcią. Bawi u nas jeszcze dotąd wraz z panną Ulatowską, dawną przyjaciółką Zosi. Ma zamiar wyjechać w środę, żeby znów nazbyt długo męża nie pozostawić samego, panna zaś Ulatowska zostanie u nas aż do Wielkiej Nocy i wraz z nami na święta pojedzie. Przez ten czas naturalnie więcej u nas życia i ruchu, jakkolwiek sami sobie tylko wystarczamy. — Na święty Józef byliśmy u pp. Ordęgów, pan Ordęga cieszył się bardzo przed nami z listu pana Helbicha, ale sam nieborak także bardzo teraz podupada na zdrowiu. Byliśmy proszeni także na zabawę do Lutostańskich, gdzie był teatr amatorski, żywe obrazy a potem tańce, lecz z obawy, żeby Zosi w takim ścisku i gorącu źle się nie zrobiło, nie skorzystaliśmy z zaproszenia. Dziś mamy być u państwa Janikowskich, których już dawniej znała matka mojej żony, a ja także za kawalerskich czasów bywałem w ich domu.

Wiosna zaczyna się na dobre, zapewne też niedługo Ojczulek z panem Helbichem do Konar wyruszy odżyć na wsi po zimowem miejskiem więzieniu.

Niech więc mię Najdroższy Ojczulek zawiadomić raczy o dacie wyjazdu, żebym wiedział, gdzie na Wielkanoc z listem się zwrócić.

My z Krakowa wyjedziemy zapewne dwunastego kwietnia a jak długo zabawimy, to jeszcze oznaczyć się nie da. W ogródku zamierzamy przeprowadzić niektóre reformy, żeby go, o ile można przyozdobić, trudno tylko wystarać się o dobrego ogrodnika, a ja za mało mam rozwinięty umysł w tym kierunku.

Do pani Stańczakowskiej nie pisałem dotąd, bo brak mi fotografii Zosi, a teraz nie chciałbym ją męczyć fotografowaniem jak będziemy w Poznaniu, to wybiorę jaką dawniejszą jej fotografię a Ojczulek niech będzie łaskaw przysłać mi adres ulicy i domu, bo nie wiem, czy byłoby dostatecznem adresować po prostu: w Kaliszu

Gałązka Heliotropu miała podobno dosyć powodzenia w Warszawie, miała być bardzo pięknie grana, ciekawym, czy Kochany Ojczulek był też na którem przedstawieniu.

Może niedługo drugą taką bluetkę nadeszlę Warszawie, a może też się doczekam wystawienia *Żyda* i *Rienzego*.

Zresztą nowin nie ma u nas żadnych, wszystko idzie po dawnemu. Zdrowi jesteśmy jako tako, przynajmniej nic nam zbytecznie nie dokucza. Zosia, naturalnie, musi się nieco pielęgnować i ochraniać, ale trzyma się nieźle pomimo zwykłych przypadłości. Przesyła wraz z Matką Ojczulkowi najserdeczniejsze pozdrowienia, również i panu Helbich składając swe uszanowanie. Nie pisze sama, bo ciągle w towarzystwie matki i przyjaciółki, nie może znaleźć stosownej chwili czasu.

Niechże Najdroższy Ojczulek znowu obdarzy nas obszerniejszą relacją o wszystkiem, co z Nim w styczności pozostaje. Warszawka zawsze więcej dostarcza materiału niż nasz domek na ulicy Łobzowskiej, w którym się teraz całe prawie życie moje zamyka.

Za kawalerskich czasów to się więcej jeszcze na świat wyglądało, ale teraz wyjąwszy do resursy na gazety lub na spacer z żoną, prawie nigdzie. I świat wielki i świat mały pozostały na boku, a my jak szczęśliwe narody nie mamy wcale historii. Dzielę się więc tylko z Najdroższym Ojczulkiem tem, czem chata bogata, to jest zapasem spokoju i dobrej otuchy, i ściskam Go jak najserdeczniej po tysiąc razy.

Wujostwu także od nas obojga najserdeczniejsze uściski a wszystkim znajomym pozdrowienia.

Adam

Uwagi.

Gałązka heliotropu, napisana w r. 1869 we Lwowie i ogłoszona w tamtejszym *Dzienniku Literackim*, wyszłą we Lwowie w r. 1869 u Karola Wilda. (II wydanie: Lwów 1882 u Gubrynowicza). W Warszawie grano ją w Teatrze Rozmaitości w dn. 11 i 13 marca 1876. Recenzent *Gazety Polskiej* podpisujący się „X“ (Lubowski?) wyraża się o utworze i przedstawieniu wprost entuzjastycznie.

50.

Poznań d. 15 kwietnia 1876

Najukochańczy Ojczulku!

Zawstydził mnie Drogi Ojczulek swoim listem w Poznaniu, gdy ja swojego z Krakowa nie zdążyłem wysłać. Przed wyjazdem jednakże nazbierało mi się tyle różnych drobiazgów do załatwienia, że pewny pobłażliwego wyrozumienia ze strony Najdroższego Ojca, schowałem się z korespondencją do Poznania. Oprócz opłaty podatków tak w kasie podatkowej, jak i w kasie miejskiej, postanowiłem dla większego spokoju zabezpieczyć od ognia swoje ruchomości, żeby w razie jakiego nieszczęścia nie pozostać naraz ogołoconym ze wszystkiego; sporządziłem więc listę i zaasekurowałem się na osiem tysięcy złotych reńskich, nie licząc w to sreber, któ-

rych nie przyjmują. Zajmowałem się także urządzeniem ogródka, żeby lepszą przybrał postać, a ogrodnik, jak na złość, zamówiony od dawna, dopiero w ostatnich dniach się pokazał. Przygotowywałem również odczyt, który jednakże nie przyszedł do skutku z różnych powodów, których wyjaśnienie za dużo w liście zabrałoby miejsca. Prawdopodobnie będę miał ten odczyt w połowie maja, żeby Bratnia Pomoc akademików nie doznała szkody. Przed wyjazdem musieliśmy także odbyć z Zosią kilka wizyt pożegnalnych, a mianowicie u Librowskich, Lutostańskich i Ordęgów; wszędzie bardzo się czule z nami żegnano, a szczególniej Ordęga, który także teraz mocno jest cierpiący. Moje zdrowie dzięki[1] jest teraz w dobrym stanie, ale Zosia za to ciągle musi znosić dolegliwości swojego stanu. U rodziców zastaliśmy wszystko dobrze, cieszą się z przyjazdu córki i pieszczą nas, jak tylko mogą.

Chorobą szanownego pana doktora Helbicha zmartwiliśmy się wszyscy, pocieszamy się tylko zapewnieniem Baranowskiego, że złe powoli się usunie. Ale i Najdroższy Ojczulek powinienby także pamiętać o sobie i poradzić się takiego, jak Baranowski, lekarza, żeby coś przepisał na te zawroty głowy, których Ojczulek doświadcza. Przecież to nas wszystkich jak najżywiej obchodzi i jeżeli nie dla siebie, to dla nas należałoby troszczyć się więcej o swoje zdrowie. Widzimy z żalem, że już na wiosnę nie myśli do nas Ojczulek zawitać, nie śmiemy już o to naprzykrzać się więcej, ale przypominamy, że na jesień z zupełną pewnością liczymy na Jego przyrzeczenie.

Za tytoń najserdeczniej dziękuję w imieniu mojem i doktora, z takim bowiem tytoniem, jak Teofilidego, żadne tutejsze nie mogą iść w porównanie.

Czy Drogi Ojczulek nie słyszał czasem, co się dzieje z panią Modrzejewską; pisałem do niej list na imieniny, ale żadnej nie otrzymałem odpowiedzi, a dochodzą różne wieści, iż ma ustąpić z warszawskiej sceny; byłaby to niepowetowana szkoda; musi być chyba bardzo cierpiącą.

Jako wspomnienie dawnych stosunków kaliskich muszę też donieść, pewny, że to Ojca zainteresuje, o mojem widzeniu się z panią Zawadzką i jej córką, Fruzią, która dziś jest za Ostrowskim. Przyjechały do Krakowa, a dowiedziawszy się, że w nim mieszkam, przysłały po mnie bilet, żebym je odwiedził. Poszedłem więc na godzinkę wieczorem do Hotelu Krakowskiego, gdzie stanęły. Pani Zawadzka sama mało się zmieniła, ale Fruzia, którą tylko dzieckiem znałem, po osiemnastu latach niewidzenia trudna była do rozpoznania. Kazały Ojczulkowi przesłać swoje serdeczne pozdrowienia.

Oto najgłówniejsze wiadomości z Krakowa, z Poznania nie ma jeszcze żadnych, bo za krótko w nim bawimy. Ale ponieważ Ojczulek dopytywał się w swoim liście o pannę Ulatowską, donoszą, iż ona jest córką Władysława, a wnuczką Michała, stryjecz-

[1] Prawdopodobnie opuszczony wyraz: Bogu.

nego brata Stanisława, z którym Ojczulek był w Urżumie. Stanisław podobno mieszka jeszcze w Konińskiem.

Teraz na zakończenie składam Najdroższemu Ojczulkowi od siebie, mojej żony i Jej rodziców życzenia wesołych, pomyślnych i zdrowo spędzonych świąt. Podobne życzenia przesyłamy wszyscy razem szanownemu doktorowi Helbich i Kochanemu Wujostwu, przy czem ściskam Cię, Najdroższy Ojczulku, po tysiąc razy w swojem i po tysiąc razy w żony mojej imieniu.

Twój
Adam

Uwagi.
Dr Baranowski Ignacy (1833—1922), profesor Uniwersytetu warszawskiego, wybitny lekarz diagnosta.

51.

Poznań d. 11 maja 1876

Najukochańszy Ojczulku!

Blisko od dwóch tygodni ciągle wybieramy się w drogę do Krakowa, ale jakoś dotąd nie udało nam się wyjechać, więc zdecydowaliśmy się doczekać świętej Zofii, to jest piętnastego maja, w Poznaniu i tym sposobem najwcześniej siedemnastego staniemy w Krakowie. Ojczulek z panem Helbichem zapewne stanęli już w Konarach po dłuższym popasie w Kurczowej, ale wiosna tegoroczna zapewne nie dozwala jeszcze ożywić wsi w całej pełni.

Od świąt bowiem panują ciągłe zimna a w nocy nawet niezłe przymrozki, tak iż mimo zieloności palenie w piecu staje się pożądanem. W Petersburgu Newa po raz drugi zamarzła wedle depeszy z dziewiątego maja, dobrze więc, że u nas tylko się na przymrozkach ogranicza, chociaż i te przywodzą do rozpaczy tutejszych gospodarzy, bo żyta podobno tak jakby przepadły. Po kilku latach nieurodzajów w Księstwie będzie to ostateczna ruina dla polskich, obdłużonych właścicieli ziemskich i w przewidywaniu podobnej katastrofy usposobienie tutaj bardzo jest przygnębionem. Każdy rok przynosi ze sobą nowe niepomyślności i pogarsza położenie, które i tak już jest opłakanem. W niedługim przeciągu czasu pozostanie tylko polski proletariat, niezdolny wypłynąć na polu przemysłu i handlu.

Porzucając ten ogólny przedmiot niewesołych refleksyj, które na tutejszym gruncie mimo woli same pod pióro się cisną, wolę zejść na pole czysto osobistych wiadomości, ale te są tak ograniczone i tak w ciasnem zamknięte kółku, że nie przedstawiają prawie żadnego interesu.

Zosia bardzo rzadko wychodzi z domu rodziców, już to z przyczyny stanu zdrowia i temperatury, już też żeby nie opuszczać matki, która prawie nigdzie nie wychodzi. Jedyny wyjątek stanowi teatr, w którym byliśmy trzy razy na występach Ładnowskiego. Ja sam bez żony także naturalnie nie bywam nigdzie w towarzyst-

wach, chyba w Towarzystwie Przyjaciół Nauk, oglądać jego zbiory które wiele szacownych rzeczy w sobie mieszczą. Cały czas prawie spływa nam w kółku domowem, powiększonem niekiedy przez członków familii Ulatowskich i Chełmickich lub jakiego rzadszego gościa.

Matka żony więcej niż lat poprzednich doznaje obecnie skutków swej sercowej wady i pokłada się od czasu do czasu, co niewesoło oddziaływa na nas wszystkich.

Tytoń od Teofilidego dostaliśmy w bardzo znacznej ilości, bo aż dziesięć funtów. Jeżeli to Kochany Ojczulek ma ponieść koszta tego prezentu, to w takim razie dar nadto kosztowny i jakkolwiek dziękujemy z całego serca za niego, przykro nam pomyśleć, że tak Ojczulek dużo dla nas poświęca. Jeżeli to zaś wypływa z hojności Teofilidego, należałoby mu podziękować, czego jednak nie mogłem zrobić dotąd z obawy, iżby nie wziął takiego podziękowania za przymówkę, jeżeli tytoń na rachunek Ojca ma zapisać.

Z innych nowin donieść muszę Ojczulkowi, że nareszcie ów hrabia Plater, co to stał na czele Tellusa (?) i przywiódł go do upadku, dostał się do więzienia. Przytrzymano go w Poznaniu na rozkaz prokuratorii jako obwinionego o bankructwo z oszustwem połączone. Słusznie to mu się należało za wszystkie jego sprawki i nieszczęścia, które sprowadził.

Zresztą świat cały zajęty wypadkami na wschodzie i konferencjami w Berlinie, które dostarczają gazetom obfitego materiału, uwag, domysłów i kombinacyj. Parafialni politycy mają o czem rozprawiać, a giełdowi spekulanci korzystają z różnych pogłosek i grożą wojną europejską.

Nie wiem, czy Kochany Ojczulek odebrał list doktora, o ile mnie się zdaje, wysłał go już przed dziesięciu dniami.

O odpowiedź upraszam już wprost do Krakowa, głównie pragnę wiedzieć, jaki jest stan zdrowia mego Najdroższego Ojca, jak i jego Czcigodnego Przyjaciela, i czy pobyt na wsi wywarł już swój wpływ dobroczynny.

Od mojej żony i jej rodziców dla obu panów najserdeczniejsze pozdrowienia wraz z wyrazami uszanowania.

Ja Najdroższego Ojczulka po tysiąc razy ściskam i całuję, łącząc pozdrowienie dla wszystkich mieszkańców Konar, uściski dla młodszego pana Adama, a dla starszego tą samą, co zawsze, synowską cześć i życzliwość

Adam.

Uwagi.
„Tellus“ przypuszczalnie spółka rolniczo-przemysłowa.

52.

Kraków d. 8 czerwca 1876
Ul. Łobzowska 99

Najukochańszy Ojczulku!

Powróciliśmy do Krakowa dopiero w ostatnich dniach maja, tu zastaliśmy list Twój na imieniny Zosi wraz z biletem pana Hel-

bicha, za które to dowody pamięci oboje jak najserdeczniej dziękujemy.

Z Poznania pisałem do Konar przed imieninami Zosi, zapewne list mój doszedł szczęśliwie swego przeznaczenia.

Kwiecień i maj tegoroczny dał się nam wszystkim w znaki, zapewne i wieś z początku nie mogła mieć powabu. Teraz jednakże wszystko się już wyrównało, ciepło i pogoda wraz z świeżem powietrzem zapewne korzystnie oddziaływują na zdrowie Ojczulka i szanownego doktora. Tęskno mi już bez świeższej wiadomości z Konar, a chociaż to głównie moja wina, że od niejakiego czasu opóźniam się w korespondencji, przecież można i grzeszyć i żałować. Złej tanecznicy, jak to mówią, i fartuch zawadza. Otóż w Poznaniu, nie mając własnego kącika, trudno bardzo brać się do pióra. Obiecuję poprawę nadal.

Z Krakowa tego roku nigdzie na lato nie wyjeżdżamy, nawet Zakopane obejść się bez nas musi. Na to składa się wiele powodów, ale nie potrzebujemy tu wcale tęsknić za Zakopanem, mając przy domu nasz maleńki ogródek.

Zdrowi jesteśmy dosyć, dzięki Bogu, stan Zosi także znacznie się polepszył. Korzystając z pory, bierze zimne kąpiele w Wiśle idąc za poradą swego ojca. Radzibyśmy wiedzieć, kiedy Najdroższy Ojczulek zamierza zadość uczynić danej nam obietnicy i zawitać do nas. Przy końcu bowiem września ważna okoliczność przymusi nas znowu udać się do Poznania. Rodzice sobie życzą, żeby u nich Zosia słabość odbyła, przeciw temu, naturalnie, nic mieć nie można, ale w każdym razie nie chcieliśmy się wyrzec nadziei widzenia i uściskania Najdroższego Ojczulka.

W Krakowie cisza, ludzie powoli się rozjeżdżają na wieś lub do wód, zawsze jednak nieco znajomych pozostało. Oprócz Ordęgów, którzy głównie stanowią nasze towarzystwo, widujemy się z Lutostańskiemi, a teraz przybyło nam jeszcze jedno młode małżeństwo, to jest Bylicki z żoną. Franio bowiem Bylicki, którego Ojczulek poznał w Krakowie, ożenił się zaraz po świętach w Warszawie z panną Adelą Kropiwnicką, siostrą pani Ryx, i przywiózł żonę do Krakowa, gdzie teraz mieszkają. Po naszym przyjeździe byli u nas z wizytą, myśmy ich rewizytowali i oni znów potem byli u nas wieczorem. On jest przyjemnym gościem, bo gra ładnie na fortepianie, a mamy śliczny fortepian od Bechsteina z Berlina. Żona jego, także miła i wesoła osóbka, dosyć się Zosi podobała, choć Zosia najwięcej sympatii czuje do panny Marii Ordężanki.

Zresztą mało się ruszamy z domu, chyba wieczorem na przechadzkę. Karmimy się na przemiany słodkiem i kwaśnem mlekiem, jakbyśmy byli na wsi.

Z pobytu w Poznaniu nic ważnego nie ma do przytoczenia, siedzieliśmy prawie ciągle w domu u rodziców żony, a termin wyjazdu ciągle się odkładał. W ostatnich dniach wyjechaliśmy parę razy na spacer za miasto, ale prawdziwej przyjemności nie można było użyć, bo czas nie sprzyjał.

Zosi trudno się było wyrwać od rodziców, ale teraz troszeczkę się już odtęskniła. Dawniej nigdy nie opuszczała domu, więc nic dziwnego, że się trudniej oswaja z dłuższem rozłączeniem.

Skończywszy pobieżne a mało interesujące sprawozdanie, Najdroższego mojego Ojczulka ściskam po tysiąc razy i ręce Jego całuję. Szanownemu panu doktorowi Helbich jako też państwu Adamostwu najserdeczniejsze pozdrowienia i wyrazy uszanowania.

Załączam list od Zosi, która własnoręcznie także choć kilka słów nakreślić pragnęła.

Najszczerzej kochający
Adam.

53.

Kraków d. 1 lipca 1876 r.
Ul. Łobzowska 99.

Najukochańszy Ojczulku!

Na drugi dzień po wysłaniu naszych listów otrzymałem list kochanego Ojczulka, który mnie uspokoił pod względem zdrowia obu kochanych panów. Od tego czasu znowu upłynęło trzy tygodnie i do mnie należy znowu zdać sprawę o nas i prosić o rychłą wzajemność. Zamiary nasze uległy znowu zmianie, rodzice bowiem żony zdecydowali się pojechać do Zakopanego, a stąd i my wyjedziemy z niemi. Mają przyjechać do Krakowa 14-go lub 15-go lipca i po dwóch dniach odpoczynku puścić się z nami dalej. Zosię bardzo ucieszyła ta niespodziana wiadomość, bo już nie liczyła na tak rychłe widzenie się z rodzicami. W Zakopanem zabawimy zapewne sześć tygodni, tak że z końcem sierpnia będziemy w Krakowie. Zosia pewnie od razu z rodzicami zabierze się i pojedzie do Poznania, a ja później za nią podążę.

Odebrałem w tych dniach pod mojem nazwiskiem kartę korespondencyjną z Warszawy, w której jakiś księgarz, Michał Frühling, w nie bardzo uprzejmych wyrazach dopomina się o książki i pięć rubli za przetrzymanie abonamentu. Z początku pomyślałem, że to jakaś pomyłka, ale potem przyszło mi na myśl, czy Ojczulek nie abonował się u niego, a wyjeżdżając nie zapomniał oddać mu książek i dlatego wspominam w liście o tej okoliczności.

Modrzejewska przejeżdżała przez Kraków, ale się z nią nie widziałem, podobno porzuca zupełnie scenę i tylko w trzech przedstawieniach we Lwowie wystąpi na zakończenie swojego artystycznego zawodu. Dla gazeciarzy, nowiniarzy miejskich i wiejskich polityków prawdziwe żniwo teraz, wszędzie na porządku dziennym wojna Serbii z Turcją i dalsze jej następstwa. Na potoczne za to nowiny posucha, znajomi powoli się rozjeżdżają, Kraków się wyludnia, choć i tak nigdy bardzo ludnym się nie wydaje. Do Sukiennic nareszcie zabrano się na serio, wszystkich przekupniów przeprowadzono na plac Szczepański i powoli rozbierają różne przybudowania, z ostrożnością, żeby nie uszkodzić całej budowy. Zy-

blikiewicz jako prezydent miasta dość się okazuje sprężystym, przedsięwziął oczyszczenie kanałów i wiele się już przyczynił do oddalenia z miasta niewonnej i niezdrowej atmosfery. Planty także się upiększyły, zostały znacznie rozszerzone między ulicą Łobzowską a Floriańską Bramą. Prócz tego przybył Krakowowi stały teatr letni w ogródku naprzeciw Strzeleckiego Ogrodu; wprawdzie nie byliśmy w nim jeszcze, ale się wybieramy za to. Pora letnia od kilku tygodni bardzo jest przyjemna, temperatura jest bowiem umiarkowana przepadują deszczyki i ciągła świeżość utrzymuje się w powietrzu zapewne w Konarach musi być teraz nadzwyczaj przyjemnie. Owoców tylko brak zupełny. Jeszcze w Krakowie dostać można sprowadzanych ze Styrii lub Tyrolu, ale na wsi nic a nic nie ma. Ciekawym, czy w Konarach owoc się uratował, bo tam, o ile pamiętam, przepyszne znajdują się gatunki.

Pasieka zapewne już jest w porządku, bo, jak widzę z listów Drogiego Ojczulka, to teraz na porządku dziennym stoi zaprowadzenie rur wodociągowych dla zaopatrzenia sadzawki w czystą wodę.

Czy pomysł powiedzie się w wykonaniu, raczy mi donieść Drogi Ojczulek.

Wyczerpawszy moją gadaninkę ręce Najdroższego Ojczulka po tysiąc razy całuję od siebie i od Zosi. Czekamy wiadomości o zdrowiu obojga panów, żeby z uspokojeniem na tym punkcie można wyjechać do Zakopanego. Panu doktorowi Helbich, jak i państwu Adamostwu proszę wyrazić nasze uszanowanie wraz z serdecznem pozdrowieniem.

Kochający Adam.

Uwagi.

1. Restauracja Sukiennic uchwalona została jeszcze za prezydentury Józefa Dietla przez Radę miejską w Krakowie w r. 1869. Właściwe roboty zaczęły się w roku 1876 (lato) i trwały przez trzy lata za prezydentury Zyblikiewicza do jesieni 1879, w którym to roku dn. 1 X zostały oddane „na użytek sztuki, przemysłu i handlu". Robotami kierował budowniczy Tomasz Pryliński.

2. Wspomniany tu teatr letni, wzniesiony na podmurowaniu, przykryty żaglowym płótnem, ze sceną o wymiarach tych samych, co scena zimowa, zwany popularnie „pod wilkiem", był letnim przybytkiem muzy teatralnej krakowskiej.

54.

Zakopane d. 31 lipca 1876

Najukochańszy Ojczulku!

Od dwóch tygodni znajdujemy się już w Zakopanem, a jeszcze nie zebrałem się na napisanie listu do Najdroższego Ojczulka Umęczenie drogą, niedogodności pierwszej instalacji, a nareszcie przydłuższa wyprawa w góry sprawiły, że dopiero teraz mam sposobność zająć miejsce przy stole i zdać sprawę Ojczulkowi z naszej zakopiańskiej sielskiej wilegiatury.

Rodzice mojej żony przybyli do Krakowa przed piętnastym, zdaje mi się czternastego, i zabawiwszy kilka dni u nas w Krako-

wie, razem z nami ruszyli najętym w Krakowie powozem do Zakopanego. Rzeczy wyprawione zostały góralskim wózkiem, ale dla Zosi potrzeba było wygodnego powozu i w samej rzeczy dobrze i szczęśliwie dojechaliśmy do naszej rezydencji za wodą u Stanisława Sobczaka. Jest to gospodarstwo zupełnie oddzielone od innych, położone na wzgórzu u podnóża Gubałówki, tak iż przedstawia wszelkie przyjemności odosobnienia i zupełnej swobody.

Rodzice mojej żony trzeci rok tam już mieszkają podczas swego w górach pobytu, a teraz dzielą się z nami mieszkaniem, gdyż są dwie duże izby i dwie komory.

Przez pierwszy tydzień pobytu było nam trochę smutno, bo deszcz padał nieustanny, ale za to teraz ustaliła się już pogoda i ja korzystając z niej, w miniony wtorek wyruszyłem wraz z Pawlikowskim na wielką wyprawę w celu wdarcia się na szczyt Wysokiej, na którym nikt jeszcze nie był. Cała wycieczka udała nam się przecudownie, pogoda służyła prześliczna, ani jednej chmurki nie było na niebie, szczyty wszystkie jasne i nie zamglone. Trzy noce spędziliśmy pod gołem niebem na wyżynach, przytuleni do skał przy rozpalonem z kosodrzewiny ognisku. Przez całe dwa dni okrążaliśmy niedostępnego olbrzyma, wznosząc się po urwiskach i zaspach śnieżnych, częstokroć na pięćset lub tysiąc stóp rozciągniętych prawie prostopadle z góry na dół. Dopiero trzeciego dnia stanęliśmy na szczycie Wysokiej, pełzając po granitowym czubie, gdzie zaledwie gdzieniegdzie wystający załomek lub rozpadlina daje oparcie dla nogi, brzucha, dłoni lub paznokci.

Nasyciwszy się widokiem z tego szczytu, który jest pewnie najwspanialszy w całych Tatrach, dając zupełny i wyraźny obraz tych gór roztoczonych dokoła jakby około środkowego punktu, puściliśmy się z powrotem inną już drogą, na Wagę, w dolinę tak zwanych Czeskich Stawów. W tę dolinę, przebywszy górne piętra granitowych ścian, zsuwaliśmy się po olbrzymiej pochyłości, zasłanej śniegiem, usiadłszy na tym śliskim a stromym pokładzie śnieżycy, tamując tylko zbyt gwałtowny pęd włożonym między nogi kijem. Towarzyszyły nam w drodze odrywające się od ścian Wysokiej odłamy skał, które z głuchym łoskotem i w gwałtownych podskokach toczyły się po śnieżystej pochyłości, przelatując koło nas z wymową bardzo groźną. Czwartego dnia powróciłem szczęśliwie do Zakopanego wprawdzie bez butów i w podartej odzieży, ale rześki i bez najmniejszego szwanku. W domu zastałem wszystko dobrze, a teść mój, pobudzony moją wyprawą, myśli wybrać się na Gierlach, gdy ja znowu z kolei przy paniach dla opieki pozostanę.

Znajomych mamy tu dosyć: są Ordęgowie, Pawlikowscy, poseł Kantak z Poznania, Chałubiński z całą familią, profesor Brodowski i wiele innych. Przybył także skrzypek Górski z Warszawy z żoną, bardzo milutką osóbką, grał nam dziś na skrzypcach w kościele przy akompaniamencie organów na nabożeństwie żałobnem, które się odbyło za Aleksandra Fredrę.

Pobyt nasz tutaj zapewne potrwa jeszcze z jakie dni dwanaście, jednakże bojąc się, że odpowiedź Ojczulka mogłaby przyjść za późno, upraszam o łaskawe przesłanie jej do Krakowa, gdzie choćby później, ale zawsze z większą pewnością odbiorę.

Teraz ściskam po tysiąc razy Najdroższego Ojczulka i po tysiąc razy całuję Jego ręce, załączając moje uszanowanie dla Szanownego doktora Helbich i całej jego familii.

Również od mojej żony i jej rodziców dla obu Szanownych panów i całego domu najserdeczniejsze pozdrowienia

Adam.

Uwagi.

1. Dr Brodowski Włodzimierz Ludomir (1825—1903), lekarz, profesor anatomii w Uniwersytecie warszawskim.

2. Górski Władysław (ur. 1845), znakomity wirtuoz-skrzypek i wybitny pedagog Konserwatorium warszawskiego. W Krakowie grał w r. 1868 a nadto w r. 1883 (24 lutego) z Ignacym Paderewskim. Bardzo pochlebne recenzje o tym ostatnim koncercie zamieścił w *Czasie* Władysław Żeleński, a w *Nowej Reformie* Franciszek Bylicki.

3. Fredro Aleksander (ur. 20 VI 1793) zmarł 15 lipca 1876 we Lwowie.

55.

Kraków d. 28 sierpnia 1876
Ul. Łobzowska no 99 a

Najukochańszy Ojczulku!

Powróciwszy przed tygodniem do domu zastaliśmy już czekający na nas obszerny list od Ciebie, który odczytaliśmy wszyscy z największą radością, ciesząc się dobrym stanem zdrowia obu Szanownych panów i obfitym zasobem przesłanych wiadomości. W zamian należy Ci się szczegółowe sprawozdanie z wszystkiego, co się nas tyczy, poczynając od naszego dalszego pobytu w Zakopanem.

Po powrocie z wyprawy na Wysoką, jakby przeczuwając Twoje, Najdroższy Ojczulku, słuszne ostrzeżenia, ustatkowałem się już zupełnie i wyjąwszy paru małych wycieczek z moim teściem w łatwo przystępne miejsca siedziałem przykładnie w naszem wiejskiem ustroniu, odgraniczonem strumieniem od reszty zakopiańskiego świata. Jednakże sprawdziło się, chociaż nie na mnie, znane przysłowie, że można morze przepłynąć, a na Dunajcu utonąć. Jednego dnia bowiem rodzice mojej żony wraz z służącą wybrali się wózkiem do Kuźnic, by stamtąd dostać się do Czarnego Gąsienicowego Stawu, gdzie niegdyś Drogi Ojczulek był także odprowadzając mnie pod Zawrat, gdym szedł do Morskiego Oka. Zosia naturalnie nie mogła brać udziału w tej wycieczce, więc została w domu a ja przy niej, żeby nie została osamotnioną. Wieczorem wyglądamy na drogę, oczekując powrotu, jakoż wkrótce widzimy powracających na wózku. Wybiegamy więc na spotkanie idąc przez kładkę rzuconą na strumieniu, wózek znajduje się już tylko o kilkanaście kroków,

gdy wtem w oczach naszych na niewielkiej pochyłości przewraca się nagle i niespodzianie. Można sobie wyobrazić przerażenie Zosi i moje, powiększone jeszcze obawą o nią samą. Podbiegamy, rodzice żony wprawdzie tylko mocno się potłukli, ale służąca rękę złamała. To wydarzenie zasępiło nam ostatnie dni pobytu w Zakopanem. Zosia z powodu wzruszenia ucierpiała na zdrowiu, jakkolwiek dzięki Bogu nic groźniejszego nie wypadło. Z radością więc powitaliśmy przybywający po nas powóz z Krakowa i wyruszywszy w drogę, szczęśliwie już dotarliśmy do domku na Łobzowskiej ulicy. Tu rodzice żony zabawili tylko jeden dzień, spiesząc się do Poznania. Zosia zaś pozostała tylko na sześć dni dla prania i zapakowania wszystkich potrzebnych na dłuższy pobyt rzeczy. W sobotę wyjechała również i ona do Poznania z panną służącą, a ja odprowadziłem ją do Mysłowic, żeby jej całą podróż aż na samo miejsce ułatwić. Sam do Poznania wybiorę się dopiero za miesiąc, za zbliżeniem się chwili stanowczej, która mniej więcej około dziesiątego października wypadnie. Naturalnie, dłuższy czas upłynie, zanim będę mógł na powrót żonę przywieźć do Krakowa. Chciałbym zdążyć na święta Bożego Narodzenia, wszakżeż to zależeć będzie od stanu jej zdrowia.

Z listu Najdroższego Ojczulka dowiaduję się, iż tej zimy rozłączy się z panem Helbichem, który u państwa Sadkowskich obrał zimową kwaterę. Pojmuję, jaką to będzie dla Najdroższego Ojczulka przykrością, tem bardziej, że i w Warszawie coraz mniej przyjaciół i znajomych znajdzie, gdy nawet Teofilidowie wynoszą się do Petersburga. Otóż w takim razie śmiałbym upraszać Najdroższego Ojczulka, żeby na parę miesięcy do nas zawitał z pożądanego dla nas uiszczając się przyrzeczenia. Chociaż zimowa pora nie sprzyja podróży, jednak koleją żelazną w ciepłem futrze droga nie może być tak uciążliwą, a może przy zmienionych okolicznościach jakoś weselej Ojczulkowi będzie pomiędzy nami.

Niech się więc Najdroższy Ojczulek nie angażuje nigdzie na całą zimę, bo już jeżeli nie my, to wnuczę mogłoby mieć pretensję, że go dziadek nawet widzieć nie chce. Nie mogąc oznaczyć ściśle terminu naszego powrotu, nie śmiem, co by mi było najmilej, zaprosić Go już teraz na święta Bożego Narodzenia, z chwilą przecież naszego powrotu do Krakowa będziemy zaraz upraszać o jak najrychlejsze przybycie do nas. Niech mi tymczasem Najdroższy Ojczulek da znać o swoich najbliższych planach i miejscu pobytu na wrzesień i październik, żebym wiedział, gdzie się zwracać do Niego. Wedle ostatniego listu obaj Szanowni panowie nie opuszczą Konar przed końcem września, ale gdyby zaszła jaka zmiana, to radbym być naprzód zawiadomiony.

Szanownemu panu doktorowi Helbich dziękuje jak najserdeczniej za życzliwy i nadto zaszczytny dla mnie dopisek i składam Mu wyrazy czci i synowskich uczuć, które od lat wielu w sercu mojem dla Niego żywię.

Państwu Adamostwu załączam wyrazy przyjaźni i uszanowania.

Ciebie zaś, Najdroższy Ojczulku, po tysiąc razy ściskam i całuję Twoje ręce w mojem i mojej żony imieniu. Ojciec mojej żony pisał do Konar.

Twój
Adam

Uwagi.
List nosi mylną datę roku, a mianowicie: 1871, zamiast: 1876.

56.

Kraków d. 27 września 1876
Ul. Łobzowska 99 a

Najdroższy Ojczulku!

Znowu zdarzyło mi się nadetatowe i niespodziewane szczęście w postaci listu Twego i Szanownego doktora Helbicha, który zaszczycił mnie podwójnem przemówieniem, wierszem i prozą.

Zostałem rozczulony i zawstydzony zarazem, że mi obaj najdrożsi i najczcigodniejsi panowie dajecie tyle dowodów Swych uczuć, które są raczej miarą szlachetnych serc Waszych a nie mojej zasługi. Tobie, Najdroższy Ojczulku, nie odpowiedziałem nawet dotąd na Twój list ostatni, zajmując się wyłącznie dramatem, który chcę dać na konkurs poznański, a którego mam dopiero nie całe dwa akta. Robota idzie powoli, bo cały będzie wierszem pisany. W ostatnich pięciu dniach dołączyło się jeszcze fizyczne nieusposobienie Pewnie te zimna, które tak nagle nastąpiły, przyczyniły się do tego stanu. Właśnie nie w porę mi ta niedyspozycja, bo za parę dni chciałbym wyjechać do Poznania. Z tego powodu zechcecie mi wybaczyć nie tylko zwłokę, ale zarazem wszystkie niedokładności listu pisanego w takich warunkach niezbyt pomyślnych. Nie mogę się wywdzięczyć tak, jakbym chciał, obszerniejszym i wszechstronniejszym listem, niewiele mając pod ręką zapasów wiadomości weselszego zakroju.

W tych dniach spotkałem się z kartą pogrzebową nieboszczyka Widerakiewicza, najdawniejszego naszego znajomego w Krakowie. Żal mi się bardzo zrobiło biedaka, który umarł w szpitalu, a był to przecież niegdyś zasłużony człowiek. Tak to wszystko przechodzi, zasługi i sława, i nie można do niczego przywiązywać wartości.

Ale precz z temi melancholicznemi uwagami, które mi przyniosło chmurne powietrze jesienne wraz z towarzyszącem mu przeziębieniem.

Dla nas, cośmy już tyle strat bolesnych ponieśli, potrzeba cieszyć się raczej na pogodny wieczór i wierzyć w szczęśliwą przyszłość, jeśli nie dla nas, to dla innych.

Posłałem do *Kłosów* wiersz pt. *Ociemniały Thamyris*, jeżeli wpadnie przypadkiem w Twoje ręce, Najdroższy Ojczulku, to go przeczytaj razem z czcigodnym panem Helbichem; w pogańskiej formie chrześcijańska myśl się tam zawiera.

W Krakowie cisza ciągła panuje, z wspólnych naszych znajomych widuję najczęściej państwa Ordęgów. Ojciec z córką byli właśnie w tych dniach u pana Macieja, który leży chory w Wrocławiu i żądał widzieć się z niemi. Podobno źle z panem Maciejem, ale i pan Józef także się mocno chyli ku ziemi. Cała ta familia najwięcej mi daje dowodów prawdziwej przyjaźni, za co też im wdzięczny jestem całem sercem.

Przebacz, Najdroższy Ojczulku, że ubogi w słowa list Ci posyłam, ale jak mi tylko lepiej będzie, nie czekając wcale na odpowiedź Twoją, prześlę Ci obszerniejsze sprawozdanie.

Na teraz ściskam Cię jak najczulej po tysiąc razy i ręce Twoje ojcowskie całuję.

Twój syn
Adam

Załączam list do Szanownego pana Doktora.

Państwu Adamostwu najserdeczniejsze pozdrowienia.

Uwagi.
1. Dramat na konkurs, to *Kiejstut*.
2. Wiersz *Ociemniały Thamyris* pojawił się po raz pierwszy w *Kłosach* z dn. 22 II 1877 (nr 608).

57.

Kraków d. 2 listopada 1876
Ul. Łobzowska 99

Najukochańszy mój Ojczulku!

List Twój ostatni nadszedł do Poznania już po moim wyjeździe do Krakowa i dopiero przed dwoma dniami tutaj go otrzymałem.

Wiem, jak dalece odczuwasz boleść moją — nie potrzebuję Ci więc pisać o tem, co się ze mną działo lub dzieje.

Oprócz tego wielkiego gromu, który mnie dotknął, list Twój przedostatni, który nadszedł w sam dzień ostatecznego ciosu, dopełnił miary wszystkich moich udręczeń. Nie czytałem go na razie nie będąc wtedy zdolnym do pojmowania niczego, ale odczytawszy go później, dorozumiałem się z niego, że i Ty, Najdroższy Ojczulku, pozbawiony jesteś naraz wszelkich środków przez wyjazd Teofilidy do Petersburga. W położeniu, w jakiem się znajduję, jest to dla mnie podwójnie okropne, ale nie ma co czasu tracić na żale, tylko trzeba myśleć o pomocy. Dwie możliwości się przedstawiają, albo, Najdroższy Ojczulku, zdecyduj się przyjechać do Krakowa i wtedy razem jakoś nam będzie łatwiej wyżyć z tego, co będę mógł zarobić — albo w razie pozostania w Warszawie oznacz mi sumę, którą bym Ci miał przesyłać. Na razie mam odłożone pięćdziesiąt rubli, które po otrzymaniu Twojej odpowiedzi natychmiast przesłać nie omieszkam.

Wprawdzie jest to tak drobna kwota, że prawie wstyd mi o niej wspomnieć, ale cóż, kiedy i mnie losy obrały prawie ze

wszystkiego. Widocznie żadna gorycz życia nie oszczędzoną nam została, lecz co robić, trzeba cierpieć i dotrwać do końca.

O synu moim, który został u rodziców zgasłej żony, mam jak najświeższe wiadomości. Nadzwyczaj ma być rozwinięty na tak wczesne niemowlęctwo, i fizycznie i intelektualnie, że nawet budzi podziw w dziadku swym, doktorze. Przed dziesięciu dniami dostał mamkę, ale na razie zmiana sposobu karmienia źle oddziałała. Pokarm był za tłusty i przechorował to przejście. Teraz jednakże już się przyzwyczaił i znowu coraz lepiej wygląda i w lepszym coraz humorze. Tyle mam wiadomości co do niego.

O innych rzeczach nie umiałbym pisać w tej chwili i dlatego przebaczysz mi, Najdroższy Ojczulku, że Cię tak krótko zbędę, ale i myśli mi się plączą, i bardzo jeszcze jestem osłabiony.

Przyciskam się tylko do Twego ojcowskiego serca, znajdując w tym uścisku jedyną pociechę wśród tylu klęsk i nieszczęść, co na nas spadły.

Pisz do mnie o ile można najprędzej, mój Najdroższy Ojcze, i pobłogostaw swego syna, żeby miał siły do znoszenia ciężaru dalszego życia.

Twój

Adam

Załączam list do Wuja.

Uwagi.

List ten i dalsze pisane na papierze w żałobnej obwódce z powodu śmierci żony (koniec października 1876).

58.

Krakow d. 25 listopada 76 r.

Najukochańszy Ojczulku!

Wielką sprawiłeś mi pociechę w smutkach i nieszczęściach moich tym listem, zapowiadającym chęć przybycia do mnie. Wiem, że to będzie z Twej strony wielką ofiarą puszczać się do mnie w zimowej porze i odmawiać wszelkich zaproszeń do dawnych przyjaciół, gdzieby Ci lepiej i weselej było. Jednakże ofiarę tę przyjmuję całem sercem, bo jestem smutny i stęskniony za Tobą, który jeden możesz mnie swoją miłością pokrzepić i podtrzymać.

Na święta w żadnym razie nie wybierałem się do Poznania, pod tym więc względem nie może Drogi Ojczulek najmniejszego mieć podejrzenia, że mi przyjazdem swoim przeszkodzi. Rozkosz, której bym mógł doznawać z oglądania swego syna, zanadto by jeszcze była przygłuszoną różnemi bolesnemi wrażeniami, wypływającemi nieodzownie z położenia.

Co zaś do innych względów, o których Ojczulek wspomina a mianowicie względu na to, czy rodzice zgasłej mej żony nie wezmą za złe tej bytności w Krakowie wobec dawnej odmowy przybycia na ślub, to zdaje mi się, że taki skrupuł byłby za daleko posunięty. Jeżeli już nie w chwilach weselnych, to przynajmniej w chwi-

lach żałoby każdy ojciec ma najzupełniejsze prawo nie oglądania się na żadne ludzkie konwenanse. Wprawdzie, muszę to szczerze wyznać, źle się stało, że Drogi Ojczulek nie był na naszym ślubie, jednak wcale nie idzie za tem, żeby ten fakt, którego zresztą powody dla mnie były usprawiedliwione, miał teraz orzekać lub stanowić przeszkodę do naszego spotkania.

Niespokojny tylko jestem o sprawę Teofilidego, która, jak Ojczulek donosi, zatrzymuje go w Warszawie. Nie wiem, czy to chodzi o uregulowanie całego interesu, dla którego, naturalnie, trzeba się zatrzymać, czy też o wydobycie należnego procentu.

Odebrawszy przedostatni list, nie posłałem pieniędzy, sądząc z brzmienia jego, że przynajmniej procenta Ojczulek regularnie pobiera. Zaklinam jednakże na wszystko Najdroższego Ojczulka donieść mi szczerze, czy nie potrzebuje pieniędzy. Wszakże między [1] nie może być mowy o żadnych ceremoniach, tem więcej, że jestem w samej rzeczy winien Ojczulkowi procent za półtora roku od 400 rubli, które dostałem w ostatnich dniach czerwca zeszłego roku. Procent ten sam obrachowany po osiem od sta za półtora roku wynosi 48 rubli. Wprawdzie, jeśli nie potrzebny teraz, lepiej oszczędzić kosztów i subiekcji przesyłki, jeśli mamy widzieć się niedługo, lecz jeśli przeciwnie byłby przydatny, to niech Ojczulek raczy z zupełną otwartością oznajmić.

Co do kwestii powrotu, jakkolwiek myśl o niej nie jest mi zupełnie obcą, jednakże mniemam, że należy jeszcze trochę zaczekać, żeby nie powrócić przypadkiem w całkiem niewłaściwej porze. Tyle już nieszczęść przeszedłem w życiu, że teraz brak mi już wiary w jakieś pogodniejsze jutro. Zdaje mi się, że los wybiera sobie swoich ulubieńców, nad któremi znęca się do samego końca. Jedno mnie tylko podtrzymuje w tej ciężkiej wędrówce życia, że jakkolwiek znękany i napojony goryczą odejdę z tego świata, to przecież czyste sumienie i nieskalany honor pozostanie po mnie w niezaprzeczonej spuściźnie. To jedno zresztą może mieć wartość trwałą i niezłomną, bo jak już usnę snem bez marzeń, to obojętnem mi będzie, jakie sny miałem, przykre czy miłe w tem życiu.

Ściskam Cię serdecznie, mój Najdroższy Ojczulku, a nie porzucaj tylko myśli przybycia do mnie. Donieś mi mniej więcej kiedy to nastąpi. Dla drogich Wujostwa najserdeczniejsze pozdrowienia. Wszystkim znajomym ukłony. Podziękowanie za pamięć i wyrazy przyjaznych uczuć dla ks. Antoniego, jego matki i siostr

Adam.

59.

Kraków d. 11 stycznia 1877
ul. Łobzowska 99.

Najdroższy Mój Ojczulku!

Nie pisałem dotąd po życzeniach przesłanych Tobie i szanownemu panu Helbichowi, nie wiedziałem bowiem, czy pozostajesz

---

[1] Opuszczony wyraz: nami.

w Kurczowej, czy też wracasz do Warszawy, jak to wspominałeś w Krakowie. Pisałem tylko do Wujostwa z życzeniami na Rok Nowy, sądząc, że i tym sposobem poweźmiesz wiadomość o mnie. Teraz, kiedyś mnie znów obdarzył swoim listem i zapewnił o dalszym na wsi pobycie, zabrałem się do powiadomienia Ciebie o dalszych moich losach i o sprawach, których byłeś ciekawy.

Zaczynam więc od stosunków z Poznaniem, bo o nie dopytujesz. Donieść więc mogę, że te wygładziły się jako tako po moich więcej stanowczych listach, a że ja także więcej niczego nie pragnę, tylko spokoju, więc mogłem już później serdeczniejszem odpowiedzieć słowem. O Włodziu mam dobre relacje, że zdrów, a potężny żarłok, drugą już mamkę dojada. Dostał już pierwszą sukienkę na Nowy Rok, bo gwałtem wyemancypował się od pieluszki, w której mu za ciasno było.

W Krakowie miałem przyjemność widzieć państwa Alfonsów, którzy przyjechali na ślub brata pani Alfonsowej. Poczciwy pan Alfons był łaskaw mnie odwiedzić, a ja też na drugi dzień pośpieszyłem do niego.

Oto jest mniej więcej bilans dobrych wiadomości. Znajdują się przecież i złe.

I tak teść mój zapadł na zapalenie rogówki, co zawsze jest dość groźnem dla niego, gdyż i długo trwać może, i nie wiadomo nigdy, jak się skończy. Z tego powodu właśnie nie miałem listu od niego od czasu świąt aż po dziś dzień i dopiero go przed chwilą otrzymałem. Byłem więc bardzo niespokojny, czy się co złego nie stało, i rozpisałem listy do różnych ludzi, których odpowiedzi dziś się właśnie zbiegły.

Dalej, jak Ojczulkowi wiadomo, że od Nowego Roku zmieniłem służbę i bardzo byłem zadowolony z nowego nabytku. Trzeba nieszczęścia, że wczoraj wieczorem żona służącego spadła ze strychu, na którym wieszała bieliznę, prosto na dół i okropnie się rozbiła. Leży i jęczy bardzo, nie wiem nawet, co sobie zrobiła, bo choć posłałem po paru doktorów, żaden do tej pory nie przybył.

Los jakby się uwziął na mnie dokuczać mi na wszystkie sposoby. Co chwila zachodzi coś takiego, co mnie rozdrażnia i rozstraja. Być może, że choć na jeden dzień wpadnę teraz do Poznania dla zobaczenia i uściskania dziecka, bo mnie napadło gwałtowne tego pragnienie.

Szanownemu panu Helbichowi niech Ojczulek wyrazi najserdeczniejsze podziękowanie za pamięć i wyrażone życzenia, jak również panu Józefowi przy widzeniu za jego dopisek. Podziękuję sam w swobodniejszej chwili.

Państwu Sadkowskim serdeczne pozdrowienia, a Ciebie, Najdroższy Ojczulku, ściskam i całuję po tysiąc razy, oczekując rychłej odpowiedzi.

Twój Adam.

60.

Kraków d. 13 lutego 1877
Ul. Łobzowska 99

Najdroższy mój Ojczulku!

Długo, bardzo długo nie pisałem już do Ciebie, mój Najdroższy, aż się muszę wstydzić za swoje milczenie i tęsknota mnie nawet ogarnia, wiedząc, że jeszcze dość długo czekać będę na odpowiedź Twoją.

Byłem jednakże przez ten czas bardzo zaabsorbowany najrozmaitszemi okolicznościami, niepewny nawet, co pocznę, i chciałem Ci coś stanowczego donieść o sobie. O mało co bowiem nie puściłem się w podróż po świecie, przyjmując obowiązki korespondenta dziennikarskiego, ale plan ten szczęściem czy nieszczęściem nie przyszedł do skutku.

Teraz na gwałt wykańczam moją tragedię na konkurs poznański. Mam już cztery akta prawie skończone i brak mi tylko piątego który wedle wszelkich przewidzeń na czas ukończę.

Donosiłem Ojczulkowi poprzednio, że się wybieram do Poznania dla zobaczenia i uściskania syna, jakoż zamiar ten wykonałem pomimo listów odradzających. Dwie doby spędziłem w Poznaniu przez trzy godziny na dzień ciesząc się moim synem. Zdrów, silny i rozkoszny chłopiec, daj mu Boże większe szczęście na ziemi niż jego ojcu. W innych warunkach byłbym, naturalnie, przedłużył mój pobyt dla dłuższego pozostawania z dzieckiem, ale trudno mi walczyć ze złą wolą. Powróciłem więc dnia 22 stycznia do Krakowa i po powrocie nie odebrałem już żadnej odpowiedzi na moje listy pisane do doktora. Byłem bardzo zaniepokojony, co się dzieje, dopiero dziś dowiedziałem się z listu mego przyjaciela, że syn mój dzięki Bogu, zdrów i że doktor przed pięciu dniami wyjechal do Wiesbaden na czas dłuższy. Nie uznał za stosowne odpisać mi przed wyjazdem ani też zawiadomić o swoim wyjeździe, wskutek którego przez dłuższy czas będę pozbawiony wszelkiej wiadomości bezpośredniej.

Muszę tak dotrwać do jesieni, w którym to czasie zabiorę chłopca do siebie, podziękowawszy najuprzejmiej za dotychczasową opiekę.

Oto słaby zarys bieżących zawikłań, projektów i zatrudnień z któremi jeszcze różne łączą się kłopoty. Łamię się z trudnościami życia, jak mogę, zyskuję przynajmniej na harcie duszy, którego mi przedtem brakowało. Żyję jak anachoreta, myślę, czuję i piszę — i na tem koniec. To mój karnawał.

Z soboty na niedzielę ogromny wicher rozszalał się tu u nas nie tylko że mi nie dał spać, ale narobił mi szkody, bo wywrócił cały parkan od sąsiada. Muszę go stawiać na nogi z uszczerbkiem dla kieszeni.

Teraz kończę, Najdroższy mój Ojczulku, tysiącem uścisków i pocałunków, upraszając o rychłą odpowiedź z dobremi wiadomościami o zdrowiu wszystkich.

Szanownemu panu Helbichowi, państwu Sadkowskim i wszystkim w domu wyrazy uszanowania i serdecznych pozdrowień.

Włodzio dziadkowi ręce ucałować kazał.

Adam

61.

Ręką Ojca dopisane:
Odebrałem d. 25 lutego.

Kraków d. 22 stycznia 1877
Ulica Łobzowska 99

Najdroższy mój Ojczulku!

Otrzymawszy Twój list ostatni, spokojnie wziąłem go do ręki sądząc, że to odpowiedź na mój, wysłany do Kurczowej na dnia 12 lutego. Tymczasem z niemałem żdziwieniem wyczytałem, że nie masz o mnie żadnej wiadomości, a po upłynionym czasie sądząc muszę wnosić, że ten list stanowczo przepadł. Żałuję tego tem więcej, że Ci tam donosiłem o wielu rzeczach, których dziś trudno mi będzie w pamięci pozbierać. Jednak postaram się powtórzyć choć w przybliżeniu główną treść jego, bo w ostatnich chwilach nic nowego zaszło[1].

Na pierwszem miejscu postawić muszę podróż do Poznania w którym bawiłem raptem dwa dni, nie mogąc przez dłuższy czas potykać się z trudnościami nieuprzejmej uprzejmości. Wysłano bowiem nawet list do mnie, mający mnie odwieść od mojej podróży, ale list ten zminął się ze mną i znalazłem go dopiero w Krakowie po powrocie. Mimo wszystkiego przez dwa dni po trzy godziny dziennie przesiedziałem przy dziecku, jego widokiem słodząc sobie wszystko. Chłopak zdrów, silny, rozwija się nader szybko, a rozkoszny bardzo, jeśli w dobrym humorze. Ale umie się i złościć i krzyczeć z całej siły, co mnie cieszy, bo wszystkie zbyt spokojne dzieci podejrzywam o brak sił i zdrowia. Wziąłem go nawet na ręce, gdy się gniewał, i uspokoił się zaraz w objęciach ojcowskich. Zresztą nie można powiedzieć, mają tam o niego troskliwą pieczę i staranie, co zresztą bardzo naturalne.

Po przyjeździe do Krakowa znowu napadł mnie niepokój, bo nie otrzymywałem żadnej odpowiedzi na moje listy. Dopiero z boku dowiedziałem się, że dr Kaczorowski wyjechał do Wiesbaden leczyć się na oczy u Pagenstechera, okulisty a choć poprzednio otrzymał moje listy, nie uznał za potrzebne ani odpowiedzieć ani zawiadomić mnie o wyjeździe ani też polecić komuś, żeby przez czas jego paromiesięcznej niebytności zawiadamiał mnie o zdrowiu dziecka. Muszę poprzestać na wiadomościach z trzeciej ręki, co mi nie jest przyjemnem.

Przechodząc do innych przedmiotów, muszę donieść, że wicher, co szalał u nas przed dwoma niespełna tygodniami, wywrócił mój parkan, którego los smutny już Ojczulek przewidywał. Musiałem go

[1] po słowie: nowego, brakuje słowa: nie.

postawić na nogi, co zawsze wypadło z uszczerbkiem dla kieszeni, która i tak pełno dziur w sobie mieści.

Z najświeższych wiadomości telegraficznych mam do doniesienia, że w tych dniach pani Bylicka powiła szczęśliwie syna.

Mój *Kiejstut* także się wkrótce narodzi, najdalej do dziesiątego marca będzie już całkiem gotowy i wybierze się zaraz w podróż do Poznania po konkursową nadgrodę. Ale o tem tajemnica, żeby się jaki gazeciarz nie dowiedział, bo warunkiem konkursu jest ścisłe *incognito* autora. A potrzebuję koniecznie zabrać pięćset talarów, co są przyrzeczone zwycięzcy.

Otóż i wszystko na teraz. Niech Drogi Ojczulek dowie się na poczcie jakim sposobem, czy tam gdzie przeszły list nie leży, nie chciałbym bowiem, żeby się dostał w cudze ręce. Za tydzień znów pisać będę, bo już teraz jestem niepewny, czy więcej takich wypadków się nie zdarzy — a nie chciałbym, żeby Najdroższy Ojczulek miał powód do niespokojności.

Ściskam Cię, Najdroższy Ojczulku, po tysiąc razy i ręce Twoje całuję, Szanownemu panu drowi Helbich moje najgłębsze uszanowanie. Państwu Sadkowskim serdeczne pozdrowienia jako też wszystkim znajomym a życzliwym.

Twój
Adam

Uwagi.
Jak z treści wynika, data 22 stycznia jest fałszywa (zapewne przez przeoczenie) — i winna brzmieć: 22 lutego. Adresat, tj. ojciec poety, poprawił ją w oryginale na 22 lutego.

62.

Kraków dnia 28 lutego 77 r.
Ul. Łobzowska 99

Najdroższy mój Ojczulku!

Nie ma jeszcze tygodnia, jak pisałem do Ciebie donosząc o poprzednim liście, który widocznie zaginął, i zapowiadając następny. Dziś urzeczywistniam tę zapowiedź tem więcej, że nadchodzi rocznica, którą uczcić całem sercem pragnę. Od lat dziecinnych dzień Twych Imienin jakoteż i dzień Imienin mojej Najdroższej Matki, której pamięć jest mi tak świętą, były dla mnie najuroczystszemi chwilami, dającemi mnie sposobność wynurzenia swych uczuć dla najlepszych i najukochańszych Rodziców.

Jako dziecko rządziłem się więcej instynktowem uczuciem, nie mogąc dostatecznie Was ocenić. Ale w miarę dojrzewania miłość moja zyskiwała coraz nową a silniejszą podstawę, ukochałem bowiem w Was nie tylko stosunek krwi, ale stosunek ducha, ukochałem nie tylko dobroć Waszą jako Rodziców, ale całą szlachetność i zacność Waszą jako ludzi. To był grunt, na którym sam wyrosłem moralnie, i wszystko, co mam najlepszego w sobie, po Was wziąłem w spuściźnie. Za ten więc spadek będę Wam wdzięczny aż do

końca dni moich, z jednakową zawsze miłością myśląc o Was w złej czy dobrej doli.

Los mi wiele odebrać może, ale nigdy nie wydrze mi tych czystych wspomnień, będących zawsze dla mnie źródłem ukojenia i idealnej wiary w prawość i cnotę.

Teraz, gdy zostaliśmy sami na tej ziemi, do Ciebie tylko mogę zwracać się swem sercem, pełnem smutku, ale i rezygnacji. Nie przesyłam Ci powszechnie sformułowanych życzeń, ale z głębi duszy wzlatuje gorąca prośba do Niebios, aby Cię otoczyły swoją opieką.

Odpisz mi, Najdroższy Ojczulku, czyś odebrał oba moje ostatnie listy i czy się cieszysz zdrowiem i wesołością razem z Twoim czcigodnym przyjacielem.

U mnie nic nowego nie zaszło. *Kiejstut* w tych dniach będzie skończony, po ukończeniu przechodzę zaraz do drugiej pracy, którą mam zaczętą i już prawie sprzedaną, bo zadatek na nią wziąłem. Jestem teraz jak ten szlachcic, który zboże na pniu sprzedaje, nie pytając, czy go grady nie stłuką. Spodziewam się jednak w krótkim czasie wyjść z wszystkich finansowych trudności i nawet zyskać trochę grosza, zapewniającego mi na jakie dziewięć miesięcy spokój i swobodę. Nieszczęścia mają to do siebie, że potrafią hartować miękkie charaktery, jeżeli ich zupełnie nie złamią. Ja się też więc dźwigam jak mogę i spokojniej patrzę w przyszłość, zdając resztę na Boga.

Ściskam Cię, mój Najdrojższy Ojczulku, po tysiąc razy i całuję ręce Twoje ojcowskie, prosząc, abyś mnie na ciężkie zapasy z dalszem życiem na dniu Twoich imienin pobłogosławił. Szanownemu panu drowi Helbich najgłębsze uszanowanie. Wszystkim pozdrowienia.

Adam

63.

Kraków d. 26 marca 77
Ul. Łobzowska 99

Najdroższy mój Ojczulku!

Pan Józef Helbich był tyle dobrym, że przejeżdżając przez Kraków, wstąpił do mnie i doręczył mi list Drogiego Ojczulka. Podwójnie więc zostałem ucieszony temi tak miłemi odwiedzinami. Nie odpisywałem jednakże od razu na list Ojczulka, gdyż właśnie byłem na wylocie do Poznania, gdzie też na trzeci dzień po bytności pana Józefa wyjechałem. Nie wiem, czy Drogi Ojczulek uzna słuszność pobudek, które mnie skłoniły do tej nowej wycieczki, bo o ile mogę wnosić z poprzednich listów, zachodzą między nami niejakie różnice w zapatrywaniach na stosunek ojca do dziecka, jednakże uważam również za obowiązek nie mieć nic skrytego względem mojego Ojca i poddawać swoje postępki pod Jego krytykę, której źródłem jest także najprawdziwsza miłość dla mnie.

Wiadomem już zapewne było Drogiemu Ojczulkowi, że dr Kaczorowski od pierwszych dni lutego bawi w Wiesbadenie, lecząc się na oczy w klinice Pagenstechera. Dziecko, naturalnie, pozostawało przy babce i wszystko było w porządku. Nagle ósmego marca otrzymuję od jednego ze znajomych wiadomość, że pani Kaczorowska wyjechała dnia 6-go marca do męża. Zrazu myślałem, że wyjechała na dni kilka a najdłużej na tydzień, lecz wkrótce otrzymałem obszerniejszą relację, że nie powróci do domu aż z mężem co prawdopodobnie może nastąpić dopiero w połowie maja lub później. Prócz tego dowiedziałem się, że po jej wyjeździe dziecko przez dwa dni zostawało w mieszkaniu państwa Kaczorowskich i że potem wzięła je do siebie panna Emilia Ulatowska, przyjaciółka mojej żony. Po otrzymaniu tych wiadomości uważałem za konieczne zaspokoić się na miejscu co do opieki, jaką w tym szczególnym wypadku syn mój znaleźć może. Nie namyślając się więc długo pojechałem, co mi na dobre wyszło, bom się mógł swobodnie nacieszyć swoim chłopcem a zarazem sprawdzić, że na zmianie opiek mógł tylko zyskać, a nie stracić — teraz bowiem sypia malec w pokoju panny Emilii przy jej boku, gdy tymczasem u babki bywał zawsze na noc przenoszony do tylnych pokoi przez zimny korytarz, powierzony wyłącznie czujności mamki. Stąd też katar, którego nabył w mieszkaniu państwa Kaczorowskich, ustąpił zwolna i miałem nawet tę radość, że za zezwoleniem lekarza mogłem wyprowadzić syna na świeże powietrze.

Zastawszy taki stan rzeczy, stosunkowo pomyślny, nie chciałem naturalnie, z żadną interwencją występować i tylko mogłem oświadczyć swoją wdzięczność panu Ulatowskiemu i jego prawdziwie zacnej córce. Nie myślę się bowiem rządzić ani kaprysem, ani porywczością, tylko wyłącznie głosem obowiązku. Że muszę przewidywać ewentualność wzięcia dziecka do siebie, tego mi za złe brać nie można w podobnych okolicznościach. Nie mógłbym bowiem na to pozwolić, żeby dziecko miało się gdzie poniewierać, gdy żyje ojciec, na którym ciąży głównie obowiązek zajęcia się jego losem.

Tragedia moja została już oddana na konkurs, mogę się więc teraz zabrać do nowej roboty. Jestem tylko obecnie zmęczony katarem, bezsennością, wrażeniami i drogą — spodziewam się jednakże wkrótce przyjść do siebie.

Zasyłam Najdroższemu Ojczulkowi wspólnie z Szanownym panem Helbichem życzenia najweselszych, o ile można, świąt i najpomyślniejszego zdrowia.

Ręce Drogiego Ojczulka po tysiąc razy całuję.

Adam

64.

Kraków dnia 12 kwietnia 1877.

Najdroższy mój Ojczulku!

Czytając list ostatni Drogiego Ojczulka dostrzegłem w nim cień żalu i wymówki, żem na dawniejszy list Jego, zawierający

zapatrywania tak Drogiego Ojczulka, jak i Szanownego pana Helbicha, wyraźniejszej nie dał odpowiedzi. Milczenie moje wszakże w tym przedmiocie nie wypływało bynajmniej z płochego lekceważenia rad, których doniosłość uznaję, lecz z trudności wytłumaczenia w liście wszystkich moich wewnętrznych pobudek w przeciwnym oddziaływających kierunku. Bałem się otwierać dyskusji, żeby w czemkolwiek nie urazić Ojczulka, lecz podobno osiągnąłem właśnie ten rezultat, którego chciałem uniknąć. Przykro mi to jest tem bardziej, że jak najusilniej pragnąłbym niczem nie naruszyć tej serdecznej nici, która mnie do Ciebie, Ojcze, wiąże.

Po przejściu tylu smutków i boleści dobrze mi jeszcze pomyśleć, że mogę, chociaż z oddalenia, zwracać się do Ciebie z miłością i zaufaniem po słowo pociechy i zachęty i nie chciałbym za nic w świecie uronić cośkolwiek z Twoich dawniejszych dla mnie uczuć.

Dlatego to bardzo bolesnemi były dla mnie oba Twoje listy poprzedni z końca lutego i ów ostatni na święta — widziałem w nich objawione niezadowolenie, na które wedle sumienia swego nie zasłużyłem. Pojmuję, że mój zamiar zabrania dziecka do siebie może Ci się, Drogi Ojcze, wydawać z wielu względów niepraktycznym i że uważasz za swój ojcowski obowiązek przestrzec mnie przed trudnościami, z któremi miałbym na teraz do walczenia, lecz jest mi niezrozumiałem, dlaczego gniewa Cię myśl podobna, tak naturalna w każdej czującej ludzkiej istocie? i dlaczego tak ostro i bezwzględnie przeciw niej występujesz?

Wszakże poza względami praktycznemi są jeszcze względy moralne, których zapoznawać nie podobna. Między najpierwszemi i najświętszemi obowiązkami człowieka jest bez zaprzeczenia obowiązek wychowywania własnych dzieci i w każdym razie jedni tylko rodzice odpowiadają przed Bogiem i społeczeństwem za przyszły rozwój, charakter i kierunek swoich potomków. Ojciec, który by z jakichkolwiek przyczyn pozostawił na czas dłuższy dziecko w cudzem ręku, wyrzekając się nieodłącznych kłopotów i trudów, wyrzekłby się zarazem najcenniejszych praw i pociech ojcostwa. Pozbawiłby się dobrowolnie wszelkiego wpływu na pierwotne rozbudzenie młodocianej duszy i pozostałby obcym dla własnego dziecka, które by się kochać jego nie nauczyło. Biorąc dziecko do siebie w późniejszych latach, już by nie był w możności naprawić złego, jakie się stało, owszem, takie gwałtowne oddarcie byłoby właśnie z jego szkodą wtedy, gdy się już zrosło ze swojem otoczeniem i przywiązało doń całą mocą młodocianych uczuć. Przy tem ojciec miałby już do czynienia z wyrobionym do pewnego stopnia charakterem, który mógłby wypaść nie według jego woli i życzeń. Pierwsze wrażenia zwykle są najsilniejsze i ślad ich nie łatwo zatrzeć, a jakkolwiek przekonany jestem, że nikt naumyślnie nie zatruwa niewinnej duszy, przecież jak w świecie fizycznym, tak i moralnym są czystsze i mniej czyste atmosfery, któremi oddychając, dziecko zdrowiej, lub chorobliwiej się rozwija. To są względy

na których się opieram, nie mówiąc już nic o pragnieniach serca i o innych koniecznościach, wypływających z położenia.

Byłbym najszczęśliwszy, gdyby Drogi Ojciec uznał słuszność moich pobudek, lecz i w przeciwnym razie nie będę mógł od nich odstąpić; w sprawach bowiem takiej wagi każdy człowiek obowiązany jest działać wedle własnego sumienia.

Miałem dziś niespodziewaną przyjemność widzenia się z panem Józefem, który właśnie powraca z Gries do kraju. Spędziliśmy kilka godzin na miłej pogawędce.

Tą wiadomością pieczętuję mój list poświęcony jednej tylko kwestii i kończę, całując pokornie ręce Najdroższego Ojczulka i prosząc zarazem, aby się nie gniewał na mnie, bo i tak dosyć zmartwień mnie przygniata.

Szanownemu panu Helbichowi i Szanownym państwu Sadkowskim wyrazy uszanowania i pozdrowienia.

Adam.

65.

Kraków d. 4. maja 1877
Ul. Łobzowska 99

Najukochańszy Ojczulku!

Blisko dwa tygodnie dokuczał mi reumatyzm w krzyżach, rodzaj jakiegoś *lumbago*, więc znów opóźniłem nieco moją korespondencję. Teraz poczynam od najserdeczniejszego podziękowania, że Najdroższy Ojczulek udzielił mi swojej sankcji w tak ważnej dla mnie sprawie; bo byłoby mi ciężko na sercu myśleć, że z tego powodu zachodzą między nami różnice poglądów.

Trudności położenia i stosownej opieki jak najdoskonalej sam widzę i czuję — i gdyby była jaka możliwość moralna pogodzenia wszystkich obowiązków, niezawodnie nie upierałbym się dobrowolnie walczyć z trudnościami. Co do ciężarów finansowych jednakże, to tych mi zabranie dziecka do domu nie przysporzy, bo porachowawszy koszta moich wycieczek do Poznania, z których każda wyniesie mniej więcej około sto złotych reńskich, a których bym przez wrodzone sercu uczucie przynajmniej z jakie pięć na rok odbył, to zdaje mi się, że koszta domowe okazałyby się z pewnością nie większe.

I teraz właśnie w przyszły wtorek wybieram się do Poznania choć nie mam zamiaru sprowadzania syna do domu przed jesienią. Będę bowiem potrzebował odbyć jaką kurację u wód dla pokrzepienia zdrowia tak nadwątlonego tylolicznemi zmartwieniami.

W Poznaniu nie wiem jeszcze jak długo zabawię, mniej więcej około dziesięciu dni, chciałbym bowiem nacieszyć się chłopakiem póki nie przyjadą państwo K., bo potem już nie będę go mógł widzieć aż do chwili odebrania na zawsze z ich ręki.

Konkurs poznański dotychczas jeszcze nie rozstrzygnięty i prawdopodobnie dopiero w początkach czerwca rezultat będzie

wiadomy; oczekiwanie nie jest zbyt przyjemnem, ale, byle zawodu nie było, to jeszcze doczekać się można.

Wiosnę mamy jak najszkaradniejszą, z tego powodu pewnie i na wsi dosyć smutno być musi; szczęściem, że obaj Szanowni panowie nawzajem sobie wystarczają; lecz ja, jako samotnik, jestem w dość przyciśniętem usposobieniu. Zresztą nic nowego u mnie, ostatni miesiąc w ogóle był dla mnie bardzo nieszczegolnym pod względem zdrowia tak, że nawet zaczyna to oddziaływać moralnie i przynosi mi jakieś znużenie i zniechęcenie.

Gdyby Drogi Ojczulek miał mi coś pilniejszego do doniesienia, to w takim razie mógłby posłużyć w Poznaniu adres pana Ulatowskiego: Wielkie Garbary 5.

W każdym razie po dwóch tygodniach będę z powrotem w Krakowie. Jeżeli się rozchmurzę w Poznaniu przy dziecku, to stamtąd napiszę list weselszej treści, bo ten wyszedł tak szaro, chłodno i posępnie, jak nasza obecna wiosna.

Ściskam Najdroższego Ojczulka jak najserdeczniej tymczasem, a Szanownemu panu Helbich i Szanownym państwu Sadkowskim zasyłam wyrazy uszanowania i pozdrowienia.

Adam

66.

Kraków d. 21. czerwca 1877.
Ul. Łobzowska 99

Najdroższy Ojczulku!

Byłbym już nieco niespokojny nie otrzymując na list ostatni dotąd odpowiedzi, ale zważywszy, iż może nie od razu Szanowni panowie wyruszyli do Konar, a potem bardzo byli zajęci i rozerwani weselem pana Józefa Brandta i towarzyszącemi okolicznościami, tłumaczę sobie tym sposobem przyczyny milczenia.

Co do mnie, byłem przez ten przeciąg czasu w bardzo niewesołem usposobieniu; przyczyniało się do tego moje ciągłe słabowanie i zarazem sprawa konkursowa, o której przebiegu donosiłem. Musiało mnie dotknąć do żywego, gdy pierwsza sekcja komisji odsądziła mój dramat nawet od wspólnego czytania, a złego wrażenia nie zatarło w umyśle moim nawet przysądzenie mi jedynej nagrody, na której, prawdą a Bogiem, obcięli mnie niemiłosiernie, zredukowawszy z pięciuset talarów na dwieście.

Tym sposobem nie będę więc mógł wyjechać do kąpieli morskich, jak to poprzednio chciałem, i będę musiał ograniczyć się na pobycie w Zakopanem dla odetchnięcia świeżem powietrzem. Wprawdzie ze sprzedaży *Kiejstuta* do druku i na scenę mam nadzieję wyciągnąć jeszcze prócz nagrody z jakie sześćset rubli, ale zawsze muszę ściśle ograniczyć swoje wydatki. Zakopane zaś bardzo mało będzie mnie kosztować, gdyż zabierają mnie prawie gwałtem swoim powozem Pawlikowscy i naturalnie nie pozwolą mi jeść gdzie indziej obiadu, jak u nich. Z niemi zaś jestem na tej stopie, że nie po-

trzebuję robić żadnych ceremonii. Zapewne wyjedziemy najdalej trzeciego lipca, dlatego też prosiłbym Najdroższego Ojczulka o jak najrychlejszy odpis, żebym jeszcze przed wyjazdem mógł być spokojny co do zdrowia obu Szanownych panów. Zresztą nic nowego u mnie, zbieram materiały do nowych prac i wykańczam drobniejsze rzeczy.

Syn mój dzięki Bogu zdrów i tęgi, zaczyna już chodzić. Mam jego fotografię. Przesłałbym Drogiemu Ojczulkowi, ale obawiam się, aby gdzie nie zaginęła.

A teraz ściskam najserdeczniej po tysiąc razy całując ręce Najdroższego Ojczulka. Szanownemu panu doktorowi Helbich i państwu Adamostwu wyrazy uszanowania. Nowożeńcowi serdeczne życzenia.

Adam

67.

Kraków d. 14 lipca 1877 r.

Najukochańszy Ojczulku!

Nareszcie zdobyłem się na ostateczną decyzję i w tych dniach wyruszam do Zakopanego, gdzie mnie popycha nadzieja odświeżenia umysłu i jakiego takiego wzmocnienia sił i zdrowia. Jest to jedyne miejsce, gdzie się udać mogę, ponieważ kąpiele morskie i wszystkie wody zagraniczne byłyby za kosztowne względnie do moich funduszów. Dobrze i tak, że na jakiś czas będę mógł z głową wolną od troski o chleb powszedni wypocząć na łonie matki natury, aby nowe potem podejmować prace.

Kiejstuta sprzedaję Glücksbergowi do *Bluszczu*; układy są w toku, tylko jeszcze ostateczna zgoda nie nastała, bo Glücksberg daje mi tylko trzysta rubli, a ja żądam przynajmniej trzysta pięćdziesiąt. Przy dzisiejszym spadku rubli będzie to i tak niekorzystną sprzedażą. Ale co robić, trzeba poprzestawać na małem.

Z Krakowa znajomi już się po większej części rozjechali, jedni tylko Ordęgowie zostają na całe lato, bo panu Józefowi ruszać się już ciężko. Przyjechali do nich młodzi Ordęgowie z Palermo, syn p. Józefa bowiem, Władysław, był tam konsulem, a ożenił się dwa lata temu z panną Żółkiewską z Ukrainy. Panna Maria Ordężanka była właśnie przez dwa tygodnie u stryja Macieja w Szczypiórnie, który nareszcie zdobył się na zapewnienie jej kapitaliku.

W Krakowie na porządku dziennym śluby. Szczególniej miasto było zainteresowane ślubem młodego Artura Potockiego z Krzeszowic, który ożenił się z Lubomirską. Uroczystość ta, jak ją dziennik *Czas* nazwał, narodowa, odbyła się dnia siódmego lipca. W ślad za Potockim młody Wodzicki zawarł związki małżeńskie z panną Żurowską.

O śmierci Anczycowej zapewne już Ojczulek dowiedział się z gazet.

Byliccy wyjechali do Królestwa, a Pawlikowscy są już w Zakopanem, gdzie mnie oczekują. Na Pawlikowskich spadła jeszcze

dodatkowo sukcesja w sumie pięćkroć sto tysięcy złotych reńskich, co znacznie podniesie ich fortunkę. Oto wszystkie najświeższe lokalne wiadomości.

Syn mój wedle wszystkich relacyj ciągle zdrowo i tęgo się chowa, ma już pięć zębów i rwie się gwałtem do chodzenia. Dowiaduję się ciągle o nim z pośrednich źrzódeł, bo bezpośrednie stosunki, jak się przerwały, tak też i są na dobre przerwane.

Do przyszłej wiosny muszę być cierpliwym, pozostawiając chłopca w Poznaniu, nie wiem bowiem, co jeszcze wypadnie zrobić ze sobą. Być może, że będę się starał o pozwolenie powrotu do kraju, jeżeli przyjaźniejsze dla nas zapanuje usposobienie. Na teraz trzeba poczekać z stanowczą decyzją.

Wyczerpałem cały zasób wiadomości bieżących, przystępuję więc do ucałowania rąk Najdroższego Ojczulka, prosząc Go o rychłą odpowiedź, zawierającą pomyślne relacje o zdrowiu i humorze obu szanownych panów.

Adres: Austria. W Zakopanem, przez Nowy Targ.

Szanownemu panu doktorowi Helbich i młodym państwu Adamostwu załączam wyrazy głębokiego poważania i przyjaźni.

Jeszcze raz ściskam Najdroższego Ojczulka po tysiąc razy.

Adam.

68.

Kraków d. 16 paźdz. 1877
Ul. Łobzowska 99 a

Najdroższy mój Ojczulku!

Nie mogłem już odpisywać do Konar na Twój list ostatni, gdyż późne jego nadejście wobec naznaczonego terminu wyjazdu Szanownych panów do Kurczowej około piętnastego t. m. budziło we mnie obawę, że odpowiedź moja już by tam Ich nie zastała.

Piszę więc do Kurczowej, jakkolwiek i tak niepewny, czy znów nie nastąpi jakie zawikłanie, utrudniające nasze piśmienne stosunki. Najbardziej mnie zadziwia, że Wujostwo nie odebrali mojego listu, pisałem bowiem pod Ich adresem przewidując możliwość Twojej nieobecności w Warszawie.

Przykra jesień od dawna już się u nas rozgościła, tak niepomyślnego roku pod względem pogody i klimatycznych stosunków od lat wielu nie pamiętam. Wszystko się zatem w ciemniejszych barwach wydaje, tem bardziej, że jest to epoka bolesnych wspomnień, które wraz z jesiennemi chmurami zasępiają mi cały horyzont. Krzepię się jednak, jak mogę, nie pragnąc już niczego więcej, jak tylko spokoju.

Przed tygodniem przejechali przez Kraków wracający z wystawy lwowskiej poznańczycy, a między niemi panowie Ulatowski i Chełmicki. Ci ostatni wstąpili do mnie i cały jeden dzień razem spędziliśmy. Od nich miałem szczegółowe wiadomości o synu, gdyż

Ujatowski jest prawie codziennym gościem w domu państwa K. Szczegóły te brzmiały bardzo pomyślnie względnie do stanu zdrowia i rozwoju fizycznego malca.

Pod tym względem jestem więc uspokojony i mogę uzbroić się w cierpliwość i czekać.

Podobno cenzura nareszcie pozwoliła na drukowanie *Kiejstuta* po wykreśleniu niektórych ustępów. Zawsze to będzie ważnym dla mnie ze względów finansowych, chociaż przy dzisiejszym kursie rubli znacznie mniejszem się stanie przypadające mi honorarium. Mam dostać mniej więcej 400 rubli, dawniej uczyniłoby mi to 600 zł. r., — dziś wyniesie zaledwie 400 złotych reńskich, bo rubel i złoty reński prawie już się zrównały w kursie.

Trzeba łatać biedę, jak można, więc zrobiłem także układ z *Echem* warszawskiem i pomieszczam w niem dwa razy na miesiąc *Antologię,* to jest wybór tłumaczeń z najpiękniejszych obcych poezyj; to mi przynosi pięćdziesiąt zł. r. miesięcznie. Prócz tego mam dla *Echa* pisać nowele prozą. Mam także zaczęte dwie komedie, jedna wierszem a druga prozą, słowem, mam wszelką nadzieję wydobyć się z kłopotów i przysporzyć źródeł dochodów. Przy obecnej drożyźnie w Krakowie trzeba najmniej zarabiać tysiąc złotych reńskich, żeby wyżyć można. W tym roku wszakże dojdę do tej cyfry, a w następnym spodziewam się ją przewyższyć.

Głównemi tylko warunkami są zdrowie i swoboda umysłu.

Z czego przede wszystkiem jestem stale zadowolony, to z mojej obecnej służby, powiadają, że dobra służba to połowa szczęścia i jest nieco słuszności w tem zdaniu. Drobne bowiem nieprzyjemności życia ludzkiego, licznie nagromadzone, mogą się bardzo przyczyniać do rozstroju, a na odwrót brak ich sprawia przynajmniej to bierne zadowolenie spoczynku.

Z Ordęgami widuję się zwykle raz na tydzień w niedzielę zasyłają wszyscy tak Drogiemu Ojczulkowi, jak i Szanownemu panu Helbichowi swoje serdeczne pozdrowienia. Bawi teraz u nich młoda Ordężyna, żona konsula, i on także czas jakiś przebywał w Krakowie, ale już pojechał do Paryża.

Papier się kończy, więc i list mój zakończyć potrzeba najserdeczniejszem wyściskaniem i ucałowaniem rąk Najdroższego Ojczulka a zarazem prośbą o rychłą odpowiedź.

Szanownemu panu doktorowi Helbich i szanownym państwu Sadkowskim załączam zapewnienia niezmiennej przyjaźni i głębokiego uszanowania.

Adam.

Uwagi.

1. W Kurczowej (pow. grójecki) mieszkała córka dra Helbicha, Cecylia, zamężna Sadkowska.

2. Wspomniana *Antologia* zaczęła się ukazywać w *Echu* warszawskim we wrześniu 1877 (nr 208) i ukazała się w październiku (226) i listopadzie (nr 26). Por. Wóycicki, *op. cit.*, s. 233—34.

69.

Kraków d. 21. listopada 1877
Ul. Łobzowska 99

Najdroższy mój Ojczulku!

Otrzymawszy list Twój ostatni, nie odpisywałem Ci natychmiastowo, chciałem bowiem koniecznie doczekać się wprzódy zapowiedzianej mi przesyłki pieniężnej z Warszawy w kwocie rubli srebrem dwustu. Chciałem bowiem od razu pochwycić i urzeczywistnić podjętą przez Ciebie a potem porzuconą myśl odwiedzenia mnie w Krakowie, posyłając Ci od razu potrzebne na drogę pieniądze. Wyczekiwałem zatem z gorączkową niecierpliwością zapowiedzianych pieniędzy. Dotąd jednak nic nie odebrałem, a nie chcąc zostawiać Cię dłużej bez odpowiedzi, zabrałem się do pisania z żalem, że na próżno tak długo zwlekałem. Łatwo zrozumiesz, że mi przez cały ten czas niewesoło było na sercu, tem bardziej, że mi i zdrowie nie służy, i wszystkie najboleśniejsze wspomnienia odnowiły się w tej nader smutnej dla mnie porze jesiennej.

Wczoraj byłem również na nabożeństwie żałobnem za duszę Najdroższej Matki w kościele Reformatów, gdzie zwykle co roku się odprawia. W zeszłym miesiącu obchodziłem rocznicę śmierci żony w kościele Panny Marii, tak więc jest to dla mnie epoka samych żałobnych obchodów i rozpamiętywań.

Są chwile, w których się wszystko na to składa, żeby je uczynić jeszcze więcej bolesnemi i posępnemi, a wtedy trudno jest nawet pisać do najbliższych sercu z obawy, że to, co się napisze, raczej ich zasmuci niż ucieszy.

Dlatego też chciałbym nie potrącać dłużej o te żałobne przedmioty, ktore zazwyczaj milczeniem pomijam.

Ale dziś nie wiem, o czem mówić, bo z codziennego życia nic nie mogę wydobyć takiego, co by miało choć pozór wesoły i smutnej jednostajności nie przerywa żaden jaśniejszy epizod.

W kole znajomych nic nowego nie zaszło, u Ordęgów jak dawniej bywam raz na tydzień, w niedzielę, gdzie coraz szczuplejsze kółeczko się zbiera. Pan Józef rozmaicie, czasem jest lepiej, czasem gorzej, ale trzyma się jak może i niekiedy, choć rzadko, ożywia się jeszcze w rozmowie. Pawlikowscy urządzili się już zupełnie w nowonabytym domu, spadek odziedziczony po jego matce postawił ich teraz w zupełnych warunkach dobrobytu. Tym przynajmniej dobrze i przyjemnie na świecie, kochają się bardzo wzajem mają pociechę z swych synów, których wychowaniem bardzo troskliwie się zajmują, i żyją cicho i skromnie, ale wygodnie i bez wszelkiej troski. Sprowadzili teraz ze Lwowa swoją galerię obrazów między któremi znajduje się kilka cennych przedmiotów.

Bawiła też tutaj czas jakiś dawna moja znajoma, pani Ryx która teraz gospodaruje w swym majątku w Prażmowie, w bliskiem sąsiedztwie Kurczowej. Ale niewiele się z nią widywałem, gdyż przez czas jej pobytu w Krakowie troje jej dzieci kolejno rozchorowało się na odrę, grasującą tutaj w Krakowie.

Demetriusza oczekiwałem, ale dotąd nie pokazał się u mnie, być może, iż pojechał prosto do Wiednia, bo Kraków nie leży na drodze i umyślnie zbaczać potrzeba.

Mamy teraz w Krakowie na wystawie wspaniały obraz Siemiradzkiego *Świeczniki Nerona*, które takie zajęcie budziły w Warszawie. Szkoda, że tutejsze sale wystawy są nieco za ciemne i nie mają potrzebnego oświetlenia z góry, wiele bowiem traci na tem obraz podobnych rozmiarów.

Na ukończeniu wystąpię z niemiłą prośbą, żeby Najdroższy Ojczulek nie porzucał stanowczo myśli odwiedzenia mnie w Krakowie. Jeżeli tylko wola jest po temu, to sądzę, że osiem rubli na drogę do Krakowa łatwo można na teraz poświęcić.

W Krakowie przecież Najdroższy Ojczulek ani grosza nie będzie potrzebował wydać, a koszta powrotu także biorę na siebie w każdym razie. Wprawdzie niewiele tu przyjemności znajdzie Drogi Ojczulek u mnie, ale dla mnie będzie to prawdziwa łaska Jedynie trud podróży w zimowej porze mógłby stać na zawadzie i pod tym względem nie śmiałbym nalegać.

Tymczasem ściskam Najdroższego Ojczulka po tysiąc razy W. panu doktorowi Helbich i Wielmożnym państwu Sadkowskim składam wyrazy uszanowania i przyjaźni.

Adam.

Uwagi.

Wspomniany tu dom Pawlikowskich mieścił się przy Rynku Kleparskim l. 12. W r. 1906 przeszedł na własność docenta U. J., dra Wacława Chlumsky'ego, który miał tu zakład ortopedyczny. W r. 1928 przeszedł na własność Bolesławy Krowickiej. Obecnie dom ten burzą celem uzyskania parcel budowlanych.

Wedle informacji dra Jana Gw. Pawlikowskiego (syna Mieczysława przyjaciela Asnyka), właściwej „galerii obrazów" w domu tym nie było Było tylko kilka obrazów cenniejszych.

70.

Kraków d. 21 grudnia 77
Ul. Łobzowska 99.

Najdroższy mój Ojczulku!

Przede wszystkiem życzenie Wesołych Świąt, ażebyś je w jak najlepszem zdrowiu i usposobieniu przepędził w gronie Twoich serdecznych przyjaciół, doczekując się pomyślniejszych i ogólnie weselszych lat, które, może Bóg da, z tym nowym tysiąc osiemset siedemdziesiątym ósmym rokiem się rozpoczną.

Ja, dzięki Bogu, zdrowszy już nieco i łatam biedę, jak mogę. Dla zarobku zabrałem się nawet do pisania powiastek, jedną z nich drukuje właśnie *Echo* warszawskie. W *Echu* również umieszczam *Antologię*, to jest wybór przekładów różnych obcych poetów. Jest to bowiem najporządniejszy dziennik pod względem pieniężnych kwestyj, a przy tem dobrze redagowany. Należność wypłaca bez zwłoki, co w mojem położeniu jest bardzo ważną rzeczą.

Bluszcz za to zawiódł mnie szkaradnie, bo dotąd nie tylko pieniędzy, ale nawet żadnej odpowiedzi nie otrzymałem.

Postanowiłem więc nie czekać dłużej i gdzie indziej sprzedać *Kiejstuta*.

Żebym mógł znaleźć jeszcze drugie porządne pismo, jak *Echo*, i wejść z niem w regularny stosunek, to już byłbym zupełnie spokojny o kawałek chleba. Najgorsze, że z powodu wojny zupełna teraz stagnacja w księgarskim handlu. Gubrynowicz, księgarz ze Lwowa, który już przed półtora rokiem traktował ze mną o czwarte wydanie moich poezji, dotąd się ociąga widząc, że ruch książkowy zeszedł obecnie do zera. Przez to ubył mi także znaczniejszy zasiłek. Nowolecki zaś, księgarz krakowski, zbankrutował i tym sposobem przepadła dla mnie cała należytość za nakład *Rienzego*, zawsze coś około trzystu reńskich. W takich więc warunkach muszę się bardzo opędzać biedzie, tem więcej, że zawsze znajdzie się jeszcze ktoś biedniejszy, co mojej pomocy wzywa, a ja nie potrafię odprawić biedaka z kwitkiem.

Na to wszystko jedyny ratunek energiczniejsza praca, ale ja nieszczęściem z natury powoli produkuję. To, co ja napiszę przez cały dzień pracując, kto inny napisałby za dwie godziny. Więc chociaż dobrze przysiądę fałdów, to jeszcze nie bardzo znać roboty.

Nagadałem się o różnych biedach, a tu przecież człowiek powinien jeszcze dziękować Panu Bogu, że może iść śmiało przez życie z podniesionem w górę czołem.

Tam dopiero jest prawdziwe nieszczęście, gdzie grunt moralny straconym zostanie.

Taki cios spotkał właśnie w tym czasie rodzinę Komara. Pan Komar był tu w Krakowie jednym z dyrektorów Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń, brał pensji z pięć tysięcy reńskich, był przy tem właścicielem ziemskiego majątku, miał żonę i córkę powszechnie poważane, które bywały wszędzie w śmietance towarzystwa. Sam także miał stosunki przyjazne ze wszystkiemi sferami.

Naraz w pierwszych dniach grudnia znika pan Komar z Krakowa i dowiadujemy się, że popełnił różnego rodzaju oszustwa, fałszerstwa weksłów itp.

Co to za święta dla tych biednych kobiet. Cóż może być okropniejszego nad hańbę ojca i męża.

Dla Krakowa, chciwego skandalu, był to przedmiot tygodniowego zajęcia — obraz Siemiradzkiego i ucieczka Komara były najwięcej interesującemi faktami, nie licząc śmierci Lucjana Siemieńskiego, która się odbiła w warszawskiem dziennikarstwie.

Zresztą nic nowego. Ordęga trzyma się jeszcze, jak może, z całą rodziną. U nich prawdopodobnie będę na wilii, jesteśmy bowiem zaproszeni tam z Sokołowskim.

O synu moim miałem także dobre wiadomości. Wybierałem się do Poznania, bo mi doniesiono, że dr Kaczorowski zaprasza mnie na święta, przez chwilę uwierzyłem. Ale nie otrzymałem żadnego zaproszenia i domyśliłem się, znając go już na wylot, że na-

umyślnie rozpuścił tylko wieść, że mnie zaprasza do siebie. Nie będzie się nawet wahał ani chwili skłamać, że mnie zaprosił, tylko żem ja nie przyjął.

Mniejsza o to, obecnie mam już mocniejsze nerwy i przestałem się oburzać lub dziwić.

Teraz, Najdroższy Ojczulku, ściskam Cię po tysiąc razy łamiąc się w myśli opłatkiem i składam pocałunki i życzenia najgorętsze.

Państwu Sadkowskim również przesyłam życzenia Wesołych Świąt i wyrazy prawdziwej przyjaźni.

Załączam list dla czcigodnego doktora Helbicha.

Adam.

Uwagi.

1. W *Echu* warszawskim ukazała się w grudniu 1877 (nr 277 do 284) pierwsza, i zdaje się ostatnia z tego cyklu opowieść pt. *Powiastki dla dorosłych dzieci:* I. *Wśród lasu.* Por. Woycicki, *op. cit.*, s. 234.

2. Lucjan Siemieński (ur. 1809) zmarł 27 listopada 1877, pochowany na Skałce.

71.

Ul. Łobzowska 99
d. 7 sierpnia (!) 1878 [1]

Najdroższy Ojczulku!

Dzięki Ci serdeczne za list, który w tych dniach odebrałem Wielką mi pociechę sprawiła wiadomość o dobrem zdrowiu obu Szanownych Ojców i o Ich ożywionem usposobieniu pomimo różnych dolegliwości, nieodłącznych od ludzkiej doli. Wierzę, że osłabienie wzroku, na które się uskarżasz, musi Ci wielką sprawiać przykrość, ale na to o tyle jest rada, że ktoś z łaskawych przyjació mógłby Ci czytać od czasu do czasu. Wprawdzie jest to zawsze pewne skrępowanie dla Ciebie i drugich, ale trzeba uchwycić się wcześniej tego środka, żeby do reszty oczu nie osłabić.

W ogólności życie jest ciężkie, nic dobrego nie widać do koła, wszędzie smutek i coraz to większa bieda, trzeba się jednakże krzepić jak można, aby dotrwać z godnością.

Mnie także ciężko i smutno i gwałtem tylko podtrzymuję ducha, jakoś to się udaje, póki zdrowie lepsze, lecz gdy nadejdzie chwila fizycznego nieusposobienia, to wtedy trudno dźwigać się do góry choćby za uszy.

Święta były dla mnie jak zwykle w takich razach najsmutniejsze i czułem ulgę, gdy minęły. Na wilii byłem u państwa Ordęgów ale nie zostałem na cały wieczór, tylko wkrótce po kolacji poszedłem do domu.

W dzień Nowego Roku byłem u Pawlikowskich, gdyż w ten dzień przypadają imieniny samego Pawlikowskiego, w parę dni potem byłem u Kossaków, ażeby pożegnać Puławskich, którzy tu w Krakowie przez święta bawili. Odwiedziny u pań Trojackich u Bylickich i Ryxa wyczerpały zresztą cały obecny cyklus moich znajomości.

---

[1] Z treści listu wynika, że pochodzi on ze stycznia, a nie z sierpnia 1878 r.

Starzy znajomi to jak stare wino, którego od czasu do czasu po kieliszku użyć nie zawadzi. Zresztą nie mogę się skarżyć, mam dosyć życzliwych sobie ludzi, nawet takich, z którymi w żadnych stosunkach nie zostaję.

Tylko w tych smutnych czasach, w jakich żyjemy, każdy prawie dom ma jakąś swoją wewnętrzną troskę. U Ordęgów bardzo posępnie, raz z powodu, że stan zdrowia starego pana Ordęgi bardzo jest niepomyślnym, a po wtóre, że są inne zawikłania bolesne dla wszystkich. Pawlikowscy mieli kłopot z kuzynem, który dostał pomięszania zmysłów, i tak dalej, tak dalej, wszędzie się znajdzie jakiś jawny lub ukryty dramat.

Ogólna bieda w Krakowie, taka, jakiej jeszcze nie pamiętają, nawet do teatru nikt nie chodzi. O niczem nie słychać, tylko że ktoś umarł, ktoś zbankrutował, utopił się, zastrzelił, zwariował lub uciekł. Tegoroczny więc karnawał przedstawia się na kształt Holbeina *danse macabre* — w którym to tańcu rej wiodą śmierć i nędza.

Ja wprawdzie zahartowany już jestem na wszystko, ale zawsze niemiło, gdy z niczem weselszem spotkać się nie można.

Nie wiem, czy Najdroższy Ojczulek pozostaje jeszcze w stosunkach z Kaliszem, miałbym bowiem jeden interes, tylko nie wiem czy jest wykonalnym.

Metryka moja, opatrzona wszystkiemi formalnościami, którą miałem z łaski Drogiego Ojczulka, została w rękach doktora Kaczorowskiego i nie wiem, czy ją rzeczywiście zagubił, czy też nie chciał mi oddać, dość, że nie mogłem jej od niego wydobyć. Ponieważ zaś tak dokument mógłby mi w życiu z różnych powodów być potrzebnym, czy to dla obywatelstwa, czy dla otrzymania jakiej posady, czy dla innych nieprzewidzianych okoliczności — rad bym przyjść jeszcze do jego posiadania.

Gdyby mi Najdroższy Ojczulek mógł co pomóc w tym względzie, bardzo byłbym wdzięcznym, nie chciałbym jednakże przyczyniać mu zbytecznych kłopotów.

Echo w tym miesiącu nic mojego nie drukowało, bo moja powiastka drukowaną była w grudniu i skończyła się przed samem Bożem Narodzeniem.

Kiejstuta jeszcze nie sprzedałem i nawet nie wiem, gdzie się drukować będzie, czy w Królestwie, czy w Galicji lub Poznańskiem.

Na teraz kończę mój list ściskając Najdroższego Ojczulka po tysiąc razy. Panu doktorowi Helbichowi i państwu Sadkowskim przesyłam wyrazy uszanowania i przyjaźni.

Adam

72.

Ul. Łobzowska 99
d. 27 lutego 1878

Najdroższy Ojczulku!

Z niecierpliwością wyglądałem już listu Najdroższego Ojczulka, bo mimo woli zaczynałem się niepokoić, czy nie zaszły jakie nie-

przyjazne okoliczności, a głównie, czy nie doznało uszczerbku zdrowie którego z Szanownych Panów. Na szczęście nadszedł list zaspokajający pod tym względem i lżej mi się zaraz na sercu zrobiło. Potrzebną mi zaś była ulga, ponieważ sam nie cieszę się kwitnącym stanem i wiele mi na tem zależy, bym mógł przynajmniej być spokojnym o drogie sercu osoby.

Równocześnie z listem Ojczulka otrzymałem list od pana Niedomańskiego z załączoną metryką. Bardzo wdzięcznym jestem jemu za wyrządzoną mi grzeczność, a głównie zaś Tobie za wysłuchanie mojej prośby.

Do pana Niedomańskiego wysłałem list z podziękowaniem adresując go na Prusy w Kaliszu, we własnym domu. Zdaje mi się bowiem, że jest właścicielem domu. W każdym razie w Kaliszu znajdą go niezawodnie.

Załatwiwszy się z wstępnemi szczegółami, przechodzę do głównego przedmiotu, któremu obecny list głównie winien być poświęcony. Nadchodzi bowiem rocznica Twoich Imienin, na której to uroczystości ja mogę być tylko reprezentowanym przez tę kartkę papieru. Kilka słów, kilka wierszy ma zastąpić wszystkie uczucia, ma wyrazić wszystkie życzenia. Jeden serdeczny uścisk, jedno nieme spojrzenie nawet więcej mówi, niż cały zapas dobranych wyrazów, szczególniej dla takich jak my ludzi, cośmy tyle przeszli i przeboleli i przyzwyczaili się przemawiać do siebie sercem, a nie słowami.

Nie będę więc składał długiego szeregu życzeń, ani rozprawiał szeroko o mojej miłości dla Ciebie, pojmiesz bowiem i bez tego, jak gorące prośby zanoszę do nieba, aby Najwyższy w jak najdłuższe lata przedłużając Twój żywot, zasłonił Cię swoją opieką od wszystkich smutków i dolegliwości. Miejmy nadzieję, że tak będzie i że jeszcze w lepszej i pogodniejszej doli powitamy się na nowo.

Z osobistych spraw moich niewiele mam do zanotowania. Syna od przeszłorocznej wiosny nie widziałem, bo teraz w zimie podróż dla zdrowia uciążliwa a przy tem znaczne wydatki pociąga, którym nie łatwo stawić czoło. Zresztą choćby i pieniądze się znalazły, trzeba by zwalczać wiele innych trudności, a obecnie zbywa mi na siłach do wszelkiej walki.

Dziwi się także drogi Ojczulek, że nie wspominam o Lutostańskim, ale stosunki nasze jakoś powoli ustały, chociaż żadnego zerwania nie było. On mnie zaniedbał zupełnie wtedy, gdy najwięcej potrzebowałem przyjaznego współczucia, nic więc dziwnego, że i ja się nie narzucałem i przestałem zupełnie bywać.

Całe kółko moich znajomości zredukowałem do kilku domów to jest do rodziny Ordęgów, Pawlikowskich, Kossaków, Bylickich Ryxa i Trojackich. Prócz tego żyję jeszcze z kółkiem młodych profesorów Uniwersytetu, jak Zakrzewski, Smolka, Bobrzyński i inni do których także zaliczam Sokołowskiego. W pozycji tego ostatniego także się nic nie zmieniło i nadzieje jego ożenienia się zupełnie są zniweczone. Pan Józef Ordęga w ostatnich czasach bardzo pod-

upadł na zdrowiu, szczególniej ucierpiała jego strona umysłowa. Siedzi teraz pogrążony w apatii i prawie niczem się nie interesuje. Przyjechał znowu po raz trzeci syn jego, konsul. Dostał on teraz posadę w Liworno i w przeciągu miesiąca, zabrawszy żonę, wyjedzie tam na stały pobyt. Zaprasza mnie na kąpiele morskie do Liworna, gdyby było za co odbyć podróż, skorzystałbym z jego gościnności.

Zresztą nic nowego, służba pozostała u mnie ta sama i dotąd ciągle z niej jestem zadowolony. Od nowego roku Azor musi opłacać podatek czterech złotych reńskich rocznie i wcale się tem nie kłopocze. Zima się kończy, to jedyna pociecha na teraz, zawsze weselej dla samotnika, gdy dzień dłuższy i gdy można pochodzić trochę po świecie.

Kończę mój list tysiącznemi pocałunkami dla Najdroższego Solenizanta powtarzając w myśli wszystkie najgorętsze życzenia. Szanownemu panu doktorowi Helbich i Szanownym państwu Sadkowskim składam wyrazy głębokiego poważania i przyjaźni.

Adam

Uwagi.

1. Zakrzewski Wincenty (1844—1918), profesor historii Uniwersytetu Jagiellońskiego.

2. Smolka Stanisław (1854—1924), syn słynnego parlamentarzysty za czasów zaborczych na terenie byłej Austrii, profesor historii Uniwersytetu Jagiellońskiego.

3. Bobrzyński Michał (1849 – 1936), profesor prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, historyk, wybitny członek stronnictwa konserwatywnego, później wiceprezydent galicyjskiej Rady Szkolnej Krajowej i namiestnik galicyjski.

73.

Kraków d. 18 kwietnia 1878 r.
Ul. Łobzowska 99 a

Najdroższy mój Ojczulku!

Przecież dostałem nareszcie od Ciebie wiadomość tyle upragnioną i z prawdziwą uciechą dowiedziałem się, że zwłoka została spowodowana prostą pomyłką a nie żadnym wypadkiem. Swobodniej teraz oddycham i z weselszą myślą mogę zabrać się do pióra, aby złożyć życzenia wesołych świąt Tobie, Szanownemu panu Helbichowi i całemu domowi Wielmożnych państwa Sadkowskich. Tegoroczna Wielkanoc przyjemną będzie na wsi, bo dokoła już wiosennie i zielono, mnie rownież zbiera ochota uciec na wieś i prawdopodobnie we wtorek lub środę wyjadę na jakiś czas z Krakowa.

Jednakże niech drogi Ojczulek wiadomość o sobie przeszle pod zwykłym adresem i da mi znać o ostatecznym terminie wyjazdu do Konar, żebym wiedział, gdzie przesłać list następny. Tylko proszę nie zapomnieć o mnie tak, jak się to teraz stało, ponieważ w takich razach snują się zaraz po głowie Bóg wie jakie przypuszczenia.

Czy Najdroższy Ojczulek nie myśli mnie znów kiedy odwiedzić? Stolarz z sąsiedztwa bardzo się dopytywał o starszego pana i dziwił się, że nie przyjeżdża do syna. Nie wiem, czy Ojczulek pamięta tego Imci Pana stolarza, ale on jest przejęty wielką serdecznością dla starszego pana.

Co do spraw moich osobistych, to te toczą się zwykłym trybem nieco kulawo, ale i bez gwałtownych na teraz wstrząśnień Jako najważniejszą wiadomość mogę Ojczulkowi donieść, że nareszcie udało mi się sprzedać *Kiejstuta.*

Donosiłem poprzednio, że Glücksberg w Warszawie, zgodziwszy się kupić go do *Bluszczu* za 400 rubli sr., zerwał potem umowę Otóż w biednym Krakowie, gdzie wydawnictwo nie rozporządza ani w dziesiątej części takiemi środkami jak w Warszawie, uzyskałem od razu bez targu jeszcze korzystniejsze warunki niż te, przed któremi Glücksberg się cofnął. Kupił bowiem ode mnie *Kiejstuta* Tarnowski do *Przeglądu Polskiego* i oprócz zapłaty 400 złr gotówką, zapewnił mi 20 procent od każdego sprzedanego egzemplarza i 100 exemplarzy na własność. W dodatku byłem zaproszony do państwa Tarnowskich na obiad i obsypany grzecznościami.

Pierwsze dwa akta ukażą się w zeszycie *Przeglądu* w pierwszych dniach maja, a trzy następne w pierwszych dniach czerwca

Zgłosiło się także do mnie towarzystwo ś-go Wincentego à Paulo ażebym pozwolił na odczytanie tego dramatu na cel dobroczynny Jakoż dnia 10-go tego miesiąca artyści dramatyczni odczytali go w sali ratuszowej, przepełnionej publicznością — tak więc przeszedł już pierwszą próbę ogniową. Wrażenie musiało być dobre, bo po ukończeniu prócz zwykłych objawów przychodzili mi się przedstawiać nieznajomi mężczyźni, a nawet niektóre panie.

Odebrałem też w tym czasie list z Pragi od jednego z czeskich literatów, który mnie prosi o niektóre, choćby ogólne, daty do tego życiorysu, który chce zamieścić razem z mojemi poezjami. które przełożył na język czeski.

Rozgłos więc rośnie, szkoda tylko, że fortuna nie dotrzymuje mu kroku — ale skarżyć się byłoby grzechem, bo i tak z łaski Pana Boga jest co jeść i czem się okryć, a czasem nawet innym zrobić przysługę. Gubrynowicz, księgarz we Lwowie, wziął się teraz na gwałt do zrobienia nowej edycji poezyj, która już będzie czwartą z rzędu, więc i z tego źródła wpłynie coś do mojej kieszeni.

Rozpisałem się szeroko o tych wszystkich literackich sprawach, ale sądzę, że to drogiego Ojczulka zawsze obchodzić będzie.

Inne przedmioty odkładam do następnego listu, a sam ponawiam życzenia Wesołego Alleluja, ściskając po tysiąc razy Najdroższego Ojczulka.

Szanownemu panu Helbich i Wielmożnym państwu Sadkowskim składam moje głębokie uszanowanie.

Adam

Uwagi.

1. *Kiejstut* ukazał się w *Przeglądzie Polskim* w zesz. XI i XII (maj i czerwiec) 1878 r. oraz osobno jako odbitka przed wrześniem 1878 pt. *Kiejstut.*

Tragedia w pięciu aktach Adama Asnyka. W Krakowie. Czcionkami drukarni *Czasu*, 1878 (8-vo 128).

2. List od jednego z literatów czeskich, to zapewne list od Franciszka Kvapila z prośbą o autobiografię, którą mu poeta posłał. Autobiografię tę ogłosił Kazimierz Bartoszewicz w wydawanym przez siebie *Przeglądzie Literackim* (nr 19 i 20) z r. 1897, przedrukowali ją: Hoesick i Prokesch w wydaniu *Pism* poety (tom I) z r. 1916.

74.

Ul. Łobzowska 99 a
d. 22 lipca 1878

Najukochańszy Ojczulku!

Zbyt dawno nie pisałem do Ciebie i aż mi strach pomyśleć o tak długiej przerwie. Nie pochodziło to jednak z braku serca lub pamięci, ale po prostu z doszczętnego rozstrojenia się tej skomplikowanej maszyny, która nazywa się. fizyczno-moralnym ustrojem człowieka. Są periody, w których wszystkie dawniejsze i świeższe smutki powracają na nowo z gwałtowną siłą a brak mi sił i zdrowia, aby im skuteczny opór stawić. Wtedy zamykam się sam w sobie nie chcąc, aby listy świadczyły o tem, co się wewnątrz dzieje.

Sądziłem, że z początkiem lipca wyjadę gdzie na kurację i otrzeźwiony zmianą miejsca i powietrza swobodniej zdołam pisać z jakiego ustronia. Ale dzień po dniu upływał i nie zdołałem dotąd wyruszyć z Krakowa, więc musiałem nareszcie zdecydować się na wysłanie listu w usposobieniu, które zataić pragnąłem. W każdym razie wyjechać muszę, i to najprędzej, do kąpieli morskich, bo bez podratowania energiczniejszego swego zdrowia byłbym niezdolnym nawet do dalszej literackiej produkcji. To właśnie przygnębia mnie najbardziej teraz uczucie bojaźni, aby nie stracić zasobów umysłowych, które są teraz całem bogactwem mojem.

Ale dajmy pokój temu przedmiotowi, który sam gwałtem wciska się pod pióro na przekór postanowieniu.

Trzeba mieć nadzieję, że odświeżą mnie fale morskie i że będę mógł dać jeszcze coś ze siebie światu.

Prawie wszyscy znajomi opuścili już Kraków lub opuszczają w najbliższej przyszłości. Byliccy pojechali do Królestwa do swoich rodziców, Pawlikowscy do Zakopanego, Ryx wyjeżdża na wystawę do Paryża, Sokołowski na wieś do Krasiczyna, pani Kossak z synami i córkami wyjechała już od dwóch tygodni do Warszawki i Siąrzyc. Jedni tylko Ordęgowie pozostali, ale i ci myślą się przenieść na świeże powietrze chociaż do Krzeszowic lub Tęczynka. W Krzeszowicach bardzo już wiele rodzin przebywa na wilegiaturze, przez lato jest to niby przedmieście Krakowa. Z Kongresówki przejeżdża też przez Kraków dosyć osób, ale zawsze mniej niż w poprzednich latach.

Była tu pani Ilnicka, redaktorka *Bluszczu*, z tą widziałem się kilka razy podczas jej pobytu, gdyż jest to wielka moja przyjaciółka.

Lato dotąd było bardzo dżdżyste i chłodne, że nawet nie można było zazdrościć tym, co siedzą w Zakopanem, Krynicy lub Szczawnicy, ale teraz upały rozpoczęły się na dobre i wróżą już stałą pogodę.

Kiejstuta przyszlę drogiemu Ojczulkowi, jak tylko wyjdzie w osobnej odbitce, zapewne nie prędzej jak w jesieni.

Państwo Kaczorowscy z Włodziem wyjechali także do Landeck dnia 6 lipca i mają tam zabawić około sześciu tygodni. Powracając z morza, będę, naturalnie, w Poznaniu. Być może, iż się da przyprowadzić do skutku jaki *modus vivendi* i lepsze porozumienie.

Pani Modrzejewska przybyła do Paryża z Ameryki, ale nie przyjedzie ani do Warszawy, ani do Krakowa, tylko z końcem sierpnia odpłynie znowu do Nowego Świata, gdzie się jej bardzo dobrze powodzi.

Miałem właśnie od jej męża list z Paryża. Prawdopodobnie jednak nie zobaczę się z niemi.

Oto wszystko, co na teraz donieść mogę. Coś pewniejszego doniosę o sobie, gdy już wyjadę. Ten list na los szczęścia posyłam do Kurczowej, jednakże wyślę drugi do Konar, żeby koniecznie jeden lub drugi doszedł rąk Najdroższego Ojczulka, którego ściskam po tysiąc razy.

Panu doktorowi Helbich i państwu Sadkowskim proszę złożyć moje uszanowanie.

Adam.

75.

Kraków d. 17 października 1878
Ul. Łobzowska 99 a

Najukochańszy Ojczulku!

Nareszcie po dwumiesięcznej wędrówce powróciłem do swojego cichego zakątka w Krakowie, gdzie już spokojnie zabrać się mogę do dalszego sprawozdania moich dziejów, których początek przesłałem z kąpielowego miejsca Grandcamp. List Najdroższego Ojczulka, który mnie tam doszedł, zezwalał na odroczenie mej odpowiedzi aż do przejazdu przez Poznań i ukończenia podróży, co mi było na rękę, gdyż pisać w Paryżu lub w drodze było bardzo niewygodnie.

W Grandcamp bawiłem jeszcze do dziewiętnastego września biorąc codziennie kąpiele morskie z pożądanym skutkiem. Przez ten czas zrobiłem kilka wycieczek jednodniowych lądem do Bayeux, dawnej stolicy Wilhelma Zdobywcy, gdzie jest ciekawy kościół z jedenastego wieku i ciekawsza tapiseria, pierwowzór wszystkich późniejszych arrasów i gobelinów, przedstawiająca zdobycie Anglii przez Normandów; morzem zaś na statku rybackim popłynąłem do niewielkiej wysepki Ils. Marcouf, ufortyfikowanej i opatrzonej latarnią morską. Czas uchodził przyjemnie, do czego się przyczyniało

towarzystwo państwa Godebskich, u których zwykle zbieraliśmy się wieczorem na herbatę. Godebski przez ten czas zrobił mój medalion, który potem w Paryżu odlał z brązu i który ze sobą przywiozłem do Krakowa jako prawdziwie drogocenną pamiątkę. Na kilka dni przede mną wyjechali Godebscy do Paryża, prosiłem więc ich o wyszukanie dla mnie jakiej taniej kwatery. Wynaleźli mi za dwa franki dziennie niedaleko wystawy mały pokoik i zjechałem już do gotowego.

Wpadłem z ciszy morskiego wybrzeża w prawdziwy wir i rozruch kipiącego życia. Trudno nawet zebrać myśli w tym zgiełku i chaosie i rozpatrzeć się choćby w dziesiątej części tego, co widzenia godne. Od ósmej godziny rano do pierwszej w nocy byłem wciąż na nogach, przenosząc się z miejsca na miejsce przez te olbrzymie przestrzenie, a wszędzie tłok i ścisk niepojęty. Na wystawie byłem z jakie dziewięć razy, ale żeby obejrzeć wszystko, choćby po wierzchu, to i dziewięćdziesiąt razy by nie wystarczyło. Ale mniej więcej widziałem wszystko, co mnie więcej obchodzić mogło, i zdobyłem sobie pojęcie całości. Oprócz wystawy byłem kilka razy w Louvrze, w Luksemburgu, w Cluny, w Jardin des plantes i w Jardin d'acclimatation, fabryce Jabłoczkowa elektrycznego oświetlenia i w najsławniejszych warsztatach narzędzi fizycznych i chemicznych Ducretela, Duleila, Wiessnego i Dubosca. Do teatrów, których tyle w Paryżu, nigdzie się wprost dostać nie można, w kasie nigdy nie ma biletów, a nawet i zamawiać niesposób: trzeba używać pośrednictwa agentów i przepłacać. Chciałem mieć wyobrażenie o nowej, wielkiej operze paryskiej, musiałem więc dać trzydzieści franków za bilet na przedstawienie *Fausta* Gounoda, kupując go na kilka dni naprzód. W dniu przedstawienia cena biletu dochodzi czasem i stu franków. Najwięcej podobały mi się: samo wejście, wspaniałe schody, foyer i freski w sali. Wykonanie za to opery, mimo całej świetności wystawy i dekoracji, niegodne takiego miasta jak Paryż. Gmach za to teatralny pewnie najwspanialszy w świecie, a z czterech marmurowych grup, które zdobią jego fronton, jedna zmarłego rzeźbiarza Carpeaux, przedstawiająca taniec, to prawdziwe arcydzieło. Ta grupa, te wewnętrzne olbrzymie marmurowe schody i freski Baudrego w sali, to największe skarby Nowej Opery.

Prócz opery byłem jeszcze w Comédie Française na komediach Molièra, gdzie go przedstawiają niezrównanie, i na paru nowoczesnych, dalej w Porte St. Martin na *Podróży wkoło świata w dniach osiemdziesięciu*, gdzie występują na scenę parostatki, pociągi kolei żelaznej, prawdziwe słonie i lwy, a nareszcie w Athenée comique, gdzie mnie zaciągnęli Godebscy wspólnie z poznaną u nich familią Zichych, na zabawnej farsie. Żeby nic nie opuścić w sprawozdaniu, muszę dodać, żem się jeszcze puszczał balonem, z którego widok na Paryż jest w samej rzeczy wspaniały. Przez dni piętnaście byłem w ciągłym ruchu, nic więc dziwnego, że pomimo całego uroku, który posiada Paryż, chwila wyjazdu była mi bardzo

pożądaną i że odetchnąłem na dobre, gdy usiadłem w wagonie kolei żelaznej, który mnie miał wywieźć za granicę Francji. Ale zanim się dostałem do wagonu, miałem całą przeprawę o dorożkę i przez dwie godzin żadnej schwytać nie mogłem. Byłem przekonany, że się spóźnię, ale jakoś szczęśliwie udało mi się jeszcze na czas przyjechać i opuścić ten nowoczesny Babilon d. 4-go października wieczorem.

Jechałem na Moguncję, Frankfurt, Lipsk. W Lipsku zatrzymałem się dla odpoczynku, poczem siódmego po południu stanąłem w Poznaniu. Stanąwszy, napisałem list do doktora, nazajutrz otrzymałem odpowiedź i poszedłem zaraz do mojego syna. Byłem, naturalnie, bardzo wzruszony widokiem malca, który już doskonale chodzi i mówi i jest nadzwyczaj inteligentnym. Zgoda z rodzicami przyszła sama z siebie i zostałem pięć dni w Poznaniu, ciesząc się moim malcem. Wielki z niego tyran domowy i wszyscy przed nim skaczą, najwięcej lubi się bawić książkami lub narzędziami, które zaszrubowywa lub odszrubowywa. Ja zaawansowałem od razu na dziadka, bo mnie także nazwał dziadkiem, ale za to raczył żyć ze mną na serdecznej stopie.

Na tej ojcowskiej rozkoszy skończyła się moja odyseja i powróciłem do Krakowa, gdzie wszystko w porządku zastałem.

Na zakończenie pozostaje mi tylko uściskać i ucałować Najdroższego Ojczulka po tysiąc razy i prosić o rychłą odpowiedź.

Czcigodnemu panu doktorowi Helbich i szanownym państwu Adamostwu proszę złożyć moje uszanowanie.

Czy drogi Ojczulek otrzymał *Kiejstuta*, którego poleciłem oddać do rąk Wujostwa?

Adam.

Na boku adnotacja ręką ojca poety:
Odpisałem dnia 20 ...na dawny z Normandii a na ten 1 listopada.

Uwagi.
1. Grandcamp les Bains, miejscowość kąpielowa w Baie de la Seine (zatoka sekwańska).
2. Bayeux, miasteczko na południu od Grandcamp les Bains.
3. Wysepka ufortyfikowana nosi nazwę: Ils de Marcouf.
4. Godebski Cyprian (1835—1909), syn Ksawerego, rzeźbiarz, autor pomnika Kopernika w Krakowie i Mickiewicza w Warszawie.

76.

Kraków d. 28 listopada 1878
Ulica Łobzowska 99

Najdroższy mój Ojczulku!

Opóźniłem się znowu nieco z odpowiedzą, ale chciałem przedewszystkiem zadość uczynić życzeniu Wielmożnej pani Adamowej i przesłać od razu z listem moją fotografię. Postarałem się więc o takową i obecnie ją załączam z podziękowaniem za pamięć o nieznajomym.

Po ostatnim liście Drogiego Ojczulka miałem jeszcze pośrednią o obu Szanownych panach wiadomość, a to przez Kossaków, którym pani Józefowa opisywała swoje widzenie się z Niemi w Przytyku.

Donosiła między innemi, że znalazła Ich obydwóch rześkich i zdrowych, co naturalnie bardzo mnie ucieszyło.

Ja także jeszcze korzystam z przywiezionego zapasu zdrowia, chociaż już wpływ Krakowa i jesieni daje się uczuwać. Co gorsza, także zaczynam zapadać na oczy, co mnie niejakim przestrachem nabawia. Wieczorem zakładam zielony daszek na głowę i używam kropli z przepisu lekarza, ale to wszystko nie jest bardzo pocieszającem.

Po wyrażonem w liście Ojczulka zadowoleniu z moich poprzednich dłuższych korespondencji rad bym i nadal rozszerzyć ramy moich listów, ale w Krakowie zbywa na dość obfitym materiale. codziennie monotonne życie nie przedstawia dość urozmaiconego wątku, przeto list, choćby najdłuższy, nie może budzić dostatecznego zajęcia.

W poprzednim moim liście opuściłem jeden epizod z mojego pobytu w Poznaniu, który jako wiążący się z wspomnieniami kaliskiemi, niezawodnie zainteresuje Ojczulka.

Nie od rzeczy więc będzie przytoczyć go teraz.

Przyszedłszy raz wieczorem do swego hotelu, zastałem u siebie kartkę jakiegoś pana Kamińskiego, który mnie w niej w imieniu swojem i żony zaprasza do siebie dodając, że jego żona, jako dawna moja znajoma, z pewnością na moje przybycie liczy. Poszedłem nie wiedząc, do kogo idę, i zastałem jako panią Kamińską dawniejsza Wandzię Wojciechowską, córkę rejenta z Kalisza. Poczciwa kobietka bardzo mi się ucieszyła, aż się prawie spłakała z radości. Nie mogłem się wymówić, musiałem zostać u niej na obiedzie. Wypytywała się o Ojczulka, kazała przesłać najserdeczniejsze pozdrowienia i wyrazy wdzięczności. Opowiadała mi swoje dzieje i wszystkie biedy, które przeszła. Teraz jednakże bardzo jest z losu zadowoloną. Od sześciu lat jest już zamężną i ma trzy córeczki, które mi wszystkie pokazywała. Mąż jej był profesorem, ale od paru lat wziął dzierżawę hotelu pod Czarnym Orłem w Poznaniu i nieźle im się powodzi. Ona była jeszcze i w domu główną gosposią, więc i teraz krząta się na swojem gospodarstwie, rumiana i uśmiechnięta jak dawniej. Śmiała się i płakała na przemian odgrzebując ze mną dawne wspomnienia. Słowem, mało gdzie w życiu po długiem niewidzeniu byłem tak serdecznie, jak przez nią, przyjęty.

Bawił tam jeszcze u niej brat jej Józio, który poprzednio był u mnie w Krakowie.

Ponieważ już mowa o Poznaniu, muszę donieść, że wybieram się tam znowu na święta Bożego Narodzenia. O synu otrzymałem dopiero co świeże wiadomości, zdrów jak ryba, a dziadek nie może się nachwalić jego rozwijającej się inteligencji. Pisze mi, że malec już recytuje całe wiersze, chociaż zaledwie dwa lata skończył.

Zaproszony także zostałem do Pragi przez czeskich literatów urządzających w grudniu obchód dla Kraszewskiego. Ze względów

finansowych nie będę mógł tam pojechać a przykro mi odmawiać, gdyż zaproszenie wyszło od czeskiego poety Kvapila, który poezje moje tłumaczy i drukuje w czeskim języku.

W Krakowie jak zwykle niewiele nowości. Sokołowski, jak to już donosiłem Ojczulkowi, żeni się z panną Skrzyńską. Ślub jego ma nastąpić w styczniu, a po ślubie wyjeżdża z żoną do Włoch. U Ordęgów wszystko po dawnemu, tylko pan Józef teraz bardziej zapada i gaśnie. Smutne robi wrażenie widok tego domu wobec zbliżającej się katastrofy. Pawlikowski jeszcze nie wrócił ze Lwowa. byłem ze dwa razy u jego żony, która także jest wielką moją przyjaciółką. Byłem również u Stanisławów Tarnowskich, którzy oboje są bardzo dla mnie uprzejmi.

Z Królestwa przyjechała młodsza pani Ryx, która teraz gospodaruje w Prażmowie, w niedalekiem sąsiedztwie Kurczowej. Zapewne ją Ojczulek przypomina sobie, rozumna i energiczna kobieta. zabiegami swemi uratowała piękny majątek, który przez złą administrację obciążony długami żydowskiemi był już na brzegu przepaści

Z reszty znajomych widuję jeszcze Bylickich i panie Trojackich, do których raz na dni dziesięć zachodzę na poobiednią kawę W ogóle nawet w obojętnym na wszystko Krakowie na brak sympatii uskarżać się nie mogę, a znajomości mam co niemiara.

Wypowiedziałem już wszystko, na co mnie było stać, więc teraz tylko na zakończenie przesyłam Najdroższemu Ojczulkowi tysiączne uściski i ucałowania. Szanownemu panu doktorowi załączam wyrazy głębokiej czci, serdeczne pozdrowienia młodszemu panu Adamowi, a jego żonie żądaną fotografię w hołdzie przyjaznych uczuć, jeśli je raczy przyjąć od nieznajomego.

Ściskam Cię jeszcze raz, Najdroższy Ojczulku, i oczekuję rychłej odpowiedzi.

Twój Adam.

77.

Kraków d. 19 grudnia 1878
Ul. Łobzowska 99

Najdroższy mój Ojczulku!

Nie zdążyłem dotąd podziękować Najdroższemu Ojczulkowi ani za serdeczny list, ani za pieniężną ofiarę, którą dla mnie zrobił ale z chwilą nadejścia listów musiałem przygotowywać się do drogi która miała niebawem nastąpić. Wyjechałem dnia 10-go o godzinie $7^1/_2$ rano wiedeńskim pociągiem, a stanąłem w Pradze po dziesiątej wieczorem, gdzie zastałem czekających mnie na dworcu kolei dwóch wydelegowanych z grona młodzieży. Ci odwieźli mnie do hotelu „pod arcyksięciem Stefanem“, w którym zamieszkałem na czas mojego pobytu.

Wszystkie czeskie dzienniki powitały mnie życzliwie w jutrzejszych sprawozdaniach. Wieczorem dnia 11-go odbyła się uroczystość dla Kraszewskiego w salach Sofijskiego Ostrowu. Główna

sala, bardzo wspaniała i wielka, udekorowana była bardzo gustownie. Na podniesieniu między posągami Polonii i Czechii ustawiony był portret Kraszewskiego, otoczony zielonemi krzewami. Sala przepełnioną była publicznością, a porządek utrzymywał komitet młodzieży który mnie przyjął w przedsionku i wprowadził na pierwsze miejsce. Obchód rozpoczął odczyt Jelinka o znaczeniu i zasługach Kraszewskiego, bardzo pięknie opracowany, potem nastąpiły śpiewy różnych słowiańskich kompozytorów. Pani Ehrenberg, primadonna czeskiej opery, odśpiewała arię z *Hrabiny* Moniuszki i z *Ducha Wojewody* Grossmana. Pan Wawra prześlicznie odśpiewał czesko-morawskie ludowe pieśni, które mnie zachwyciły. Oktet akademicki wykonał nadesłaną a umyślnie na tę uroczystość napisaną kompozycję kroackiego muzyka Ivana Zajca na osiem głosów pod tytułem *Pozdrav Brodara*. Rzecz bardzo oryginalna i godna uwagi. Pan Fibich odegrał *Scherzo*, także przez siebie na ten cel skomponowane. Panna Jurtowa, Czeszka, wygłosiła po polsku deklamację, ustęp z *Witolraudy* Kraszewskiego, po czem nastąpiły jeszcze inne śpiewy, a na końcu zaczęła się zabawa tańcująca.

Z początkiem zabawy udałem się do górnych sal bufetowych i tam w kółku kilkunastu osób, mężczyzn i kobiet, na pogadance parę miłych przepędziłem godzin.

Przez dwa dnie następne oddawałem rozmaite wizyty wybitniejszym osobistościom. Byłem u dawniejszego ministra Jireczka, który mnie z nadzwyczajną serdecznością przyjął, u kanonika-infułata Sztulca, również bardzo ucieszonego memi odwiedzinami, dalej u Riegera, u prezydenta Skramlika, u Tonnera, w redakcjach *Narodnich Listów* i *Pokroku*, u Sladka, redaktora *Lumira*, który w swojem piśmie zamieszcza przekłady moich poezyj, u poety Vrchlickiego, u Zofii Podlipskiej, powieściopisarki. Nareszcie poszedłem do literacko-naukowego stowarzyszenia uniwersyteckiej młodzieży, które to głównie urządzało uroczystość dla Kraszewskiego, i nareszcie do bardzo ciekawej osobistości, pana Naprstka.

W stowarzyszeniu oczekiwała mnie licznie zgromadzona młodzież, przewodniczący witał mnie i oprowadzał po salach towarzystwa, pokazując bibliotekę, czytelnię itd. Ja ze swej strony przemówiłem dziękując za uczczenie zasług naszego znakomitego pisarza, a po przemówieniu zagrzmiało głośne: „Slava“ — po czem przyniesiono mi księgę, w której mi osobną poświęcono kartę do zapisania nazwiska.

Pan Naprstek jest to w swoim rodzaju bardzo ciekawe zjawisko. Nazywał się podobno dawniej Fingerhut, był na emigracji w Ameryce, jest właścicielem browarów, dystylarni i ogromnego majątku, odziedziczonego po matce, która wspólnie z nim założyła wielkie Muzeum Przemysłowe czeskie. Liczą go na sto tysięcy złotych reńskich rocznego dochodu, ale pieniądze te wydaje prawie wyłącznie na cele dobroczynne lub publicznej użyteczności. Swoim kosztem wysyła on uczonych czeskich do Indyj i do Afryki, dom swój cały zamienił na muzeum ciekawych zbiorów, bibliotekę i czy-

telnię, gdzie wszyscy wolny przystęp mają. Zbierają się u niego literaci, profesorowie, dziennikarze, artyści, mężczyźni i kobiety, słowem wszystko, co żyje narodowem czeskiem życiem.

Przy tem utrzymanie domu jak najskromniejsze, żona jego chodzi ubrana jak służąca i sama sprzedaje piwo i likiery. Wyjątkowo na moje przyjęcie pojawiło się czerwone czeskie wino i smaczne grzaneczki. Pani Naprstek oprowadzała mnie po bibliotece i zbiorach, pokazywała nawet swoje pokoje, a ze zdziwieniem spostrzegłem, że choć wygląda jak służąca, i sama sprzedaje piwo, obznajomiona jest z całą europejską literaturą. Dzienniki angielskie, amerykańskie, francuskie, włoskie — wszystko tam się znajduje, rozłożone na stołach, najnowsze książki i ryciny. Musiałem zostać na obiedzie, który był skromnym nad wszelkie wyrazy, co jeszcze większy we mnie wzbudziło dla nich szacunek.

Trudno mi opisać wszystkie wrażenia z Pragi, ale to pewna, że spotkałem się wszędzie z taką serdecznością, że aż prawdziwie byłem rozrzewniony.

Przed odjazdem moim najznakomitsi literaci, profesorowie i artyści czescy wyprawili bankiet na cześć moją i złożyli mi w darze na pamiątkę upominki z dzieł swoich.

Muszę skończyć z tym opisem mych wrażeń, żeby zostawić miejsce na serdeczne dzięki za ofiarę, którą Ojczulek dla mnie poniósł, ale która niezawodnie nie poszła na marne. Nie o mnie to zresztą chodzi, ale o serdeczny związek dwóch sławiańskich literatur, dwóch oświat pobratymczych narodów.

Teraz przy nadchodzących świętach przesyłam jeszcze najgorętsze życzenia wesołego ich przepędzenia i ściskam Najdroższego Ojczulka po tysiąc razy, dziękując za wszystko, co zrobił. Do Szanownego pana Helbicha osobny list załączam, w niedzielę lub poniedziałek wyjeżdżam do Poznania.

Adam

Uwagi.
Vojta Naprstek (1826—1894), filantrop czeski.

78.

Kraków d. 20 stycznia 1879
Ul. Łobzowska 99

Najukochańszy Ojczulku!

Listy z Konar odbywały długą wędrówkę, nim się do rąk moich dostały, otrzymałem je bowiem dopiero około ósmego stycznia w Krakowie za pośrednictwem mego teścia, który mi je przysłał. Ja właśnie, zaniepokojony milczeniem, przygotowałem alarmujący list z zapytaniami, co się dzieje, ale właśnie w tę porę nadeszła przesyłka z Poznania i list, choć już napisany, jako nie odpowiedni zmienionej sytuacji, zniszczyłem. Nastała mała pauza, zanim zabrałem

[1] W oryginale listu przez pomyłkę napisano „1878".

się do nowego, a ponieważ dnie szybko przechodzą, więc ani się spostrzegłem, że to już blisko miesiąc od ostatniej korespondencji. Przystępuję więc nasamprzód do relacji z upłynionego czasu.

Wyjechałem z Krakowa w wilię wilii o wpół do ósmej rano. Z powodu spóźnienia pociągu przyjechałem dopiero o pierwszej w nocy do Poznania. Fatalnie nudna droga podczas zimy, co gorsza, że zaproszony w gościnę do doktorów Kaczorowskich musiałem tak późno wtargnąć do nich.

Nazajutrz rano przybył mnie odwiedzić syn, który, naturalnie w oczach ojca i dziadków jest najrozumniejszym na całym świecie dwuletnim młodzianem.

Rozwija się w rzeczy samej zadziwiająco tak pod względem fizycznym, jak i umysłowym. Mówi dużo i do rzeczy, czasem nawet wcale ładnie fantazjuje. Kocha się przede wszystkiem w książkach a potem w instrumentach dziadka, które odszrubowywa i zaszrubowywa doskonale. Starałem się zaskarbić względy mojego jedynaka ale nic dziwnego, że w umyśle jego muszę stać niżej Wicki i Marynki, jego piastunek, a nawet różnych tak zwanych wujków, których częściej widuje.

Opowiadałem mu historyjki, ale on te same kazał sobie opowiadać niańce. W jednem tylko mogłem wszystkich przewyższyć to jest w bujaniu go popod sufit, które zyskało jego uznanie, i kazał mi od czasu do czasu powtarzać te egzercycje, a raz naumyślnie sprowadził niańkę, aby się przypatrywała, i wypowiedział te wiekopomne słowa: „Naucz się tak, Wicka!"

Malca towarzystwo wypełniało mi cały czas pobytu w Poznaniu a jego wesołość była jedynym jasnym promieniem.

Pod każdym innym względem święta nie mogły być wesołe wilia o tyle tylko znośniejsza, że nie nosiła charakteru wieczerzy wilijnej.

Na miasto mało się wydalałem, chyba gdy malec spał, między dwunastą a drugą, zresztą i samo miasto, w którem ciągle i stale tak, jak zresztą w całej prowincji, śledzić można upadek polskiego żywiołu, najsmutniejsze robi wrażenie. Ze znajomych także mało kogo widziałem, głównie Ulatowskich, u których byłem i którzy także byli ze dwa razy u doktorów podczas mojego pobytu. Zresztą nikt więcej nie zawitał. Gdyby nie Włodzio, sam na sam takie przez osiem dni byłoby niemożliwe. Wprawdzie byliśmy wszyscy na bardzo uprzejmej stopie, ale z natury rzeczy musiało być ciężko wszystkim. Zawsze i tak dobrze, że stosunek wszedł na przyzwoitą stopę, i że mogę swobodnie nacieszyć się dzieckiem.

Dziecko zresztą opływa we wszystko, i jeżeli jaka zachodzi obawa, to chyba ta, żeby go dziadkowie zbytnio nie rozpieścili pozwalają mu bowiem na wszystko. Zabawek i książek z obrazkami ma bez liku i wygląda na bogacza przesyconego swojemi skarbami.

W wilię Nowego Roku powróciłem do Krakowa, nie chcąc nadużywać gościnności, tem więcej, że i sam doktor, zawezwany do Prus zachodnich, wyjeżdżał na dni parę.

Zastałem, jak zwykle, wszystko na swojem miejscu, i kupkę korespondencyj i powinszowań od znajomych.

Między znajomemi grasuje epidemia małżeńska. Ślub Sokołowskiego już stanowczo naznaczony na drugiego lutego. Jestem proszony koniecznie, abym pojechał na wieś do Kobylanki, gdzie będzie wesele. Nie wiem, czy się zdecyduję. W dalszym ciągu żenią się Maciejowski i Wojciech Biechoński i wielu innych mnie znajomych, ale nieznajomych Ojczulkowi.

Za to Ordęgowie dotknięci zostali śmiercią pana Macieja ze Szczypiorna, który nie tylko że umarł, ale wbrew poprzedniemu testamentowi Szczypiorno zapisał jakiemuś małoletniemu z dalszej linii Ordędze, a familię pana Józefa zupełnie odsunął.

Panna Maria jeździła na pogrzeb do Szczypiorna, a ja podczas jej nieobecności opiekowałem się panem Józefem i co dzień do niego zaglądałem.

Kossak był także mocno cierpiącym w tym czasie, ale już jest na nogach i wychodzi nawet.

Dawał tu koncert Rubinstein, świetny był pod każdym względem, bo pomimo cen wysokich bardzo wiele osób nie dostało biletów. Sala była przepełniona, a gra jego w samej rzeczy znakomita, jest on bowiem tem dzisiaj, czem był w swoim czasie Liszt. Ja poszedłem także, chociaż nie jestem specjalnym znawcą, ale byłoby wstydem opuścić taką sposobność.

Wyczerpałem cały zasób wiadomości, więc teraz należy mi naprzód podziękować za otrzymane listy zarówno Najdroższemu Ojczulkowi, jak i Szanownemu panu doktorowi Helbichowi, a następnie, ponieważ to mój pierwszy list z roku 1879-go, ponowić przesłane poprzednio życzenia dla obu Szanownych panów i dla całego domu w Konarach.

Ściskam Najdroższego Ojczulka tysiąckrotnie, a wszystkim załączam najserdeczniejsze pozdrowienie wraz z wyrazami głębokiego poważania

Adam.

(Na lewej stronie kartki pod tekstem ręką Adama Asnyka: „odpis d. 2 lutego“).

Uwagi.

1. Maciejowski Ignacy (1839—1901), znany pod pseudonimem „Sewer“ — przyjaciel poety, powieściopisarz, dramaturg i ziemianin, Marymontczyk, komisarz Rządu Narodowego z r. 1863.

2. Biechoński Wojciech (1839—1926), burmistrz m. Gorlic, prezes Banku Związkowego, przemysłowiec i pracownik społeczny, w organizacji powstania z r. 1863 komisarz na województwo krakowskie, członek Rządu „Wrześniowego“.

3. Rubinstein Antoni (1829—1894), jeden z najznakomitszych wirtuozów pianistów.

79.

Kraków d. 20 lutego 1879 r.
ul. Łobzowska 99.

Najdroższy mój Ojczulku!

Miesiąc upływa od mego ostatniego listu, więc najwyższy czas wziąść się do pióra. Byłbym już to dawniej uczynił, gdyby nie rozliczne przeszkody i roztargnienia, które w drogę wchodzą tak mało piśmiennemu jak ja człowiekowi. Że ciężki jestem do listów, wiedzą to wszyscy moi znajomi, a mimo to zawsze jeszcze mam dużo korespondencji do załatwiania,

Miesiąc luty zaczął się dla mnie wyjazdem na wieś na ślub Sokołowskiego, któremu żadną miarą wymówić się nie mogłem. Nie żałowałem zresztą tego, bo wycieczka ta urozmaiciła trochę monotonię życia, a przy tem wyniosłem z całej tej uroczystości bardzo przyjemne wrażenie. Ze strony Sokołowskiego oprócz jego rodziny przybyli jako goście Zyblikiewicz, prezydent miasta Krakowa, stary Paweł Popiel, książę Eustachy Sanguszko, Bobrzyński i Rostafiński, profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego, a wreszcie moja persona.

Wyjechaliśmy z Krakowa pierwszego lutego i przybyliśmy tego dnia o piątej po południu na stację kolei żelaznej, skąd do Kobylanki, majątku matki panny młodej, dobre jeszcze trzy mile. Tam czekały już na nas powozy i kuzyn państwa Skrzyńskich, który wszystkich nas jak najwygodniej rozlokował. Ja dostałem się do jednej karetki z Popielem i dalej po nocy przez śniegi, góry i doły, a nawet w bród przez rzeki.

Przybiliśmy na ósmą do Kobylanki, gdzie nastąpiło przedstawienie paniom i wypicie paru filiżanek herbaty wśród pogawędki po czem całe męskie kółko pojechało do Libuszy, wsi młodego Skrzyńskiego, o pół mili odległej, na wieczór kawalerski. Bawiliśmy się do jakiej drugiej w nocy, poczem większość powróciła do Kobylanki, a ja z Sanguszką pozostaliśmy na kwaterze w Libuszy, gdzie, jako w kawalerskim domu, było nam wygodniej.

Na drugi dzień około trzeciej po południu, ubrani już godowo, dojechaliśmy do Kobylanki, a stamtąd po zwykłych ceremoniach do kościoła. Kościół był pięknie przystrojony kwiatami i cyframi państwa młodych, kanonik Skrzyński miał przemowę, ślub się odbył w zwykły sposób, i powróciliśmy do Kobylanki, gdzie nas czekał obiad. Mimo licznego zjazdu krewnych, sąsiedztwa i księży, porządek był wzorowy, wszystkie miejsca naznaczone z góry, jako też i mówki toastowe. W połowie obiadu przybyła muzyka wojskowa z Krakowa zaczęła przygrywać, a ja szereg toastów zakończyłem dawnym polskim: Kochajmy się.

Po obiedzie zaczęły się tany. Bawiono się do wpół do siódmej z rana. Na nocleg, a raczej na dzienny wypoczynek, powróciłem znów do Libuszy i znowu na obiad wieczorem stanęliśmy w Kobylance. Na tym obiedzie, siedząc obok gospodyni domu, czułem się w obowiązku wznieść jej zdrowie w imieniu wszystkich gości

Tego dnia bawiono się jeszcze do północy, w Libuszy zaś poprawialiśmy jeszcze, pijąc strzemienne, po czem rankiem o godzinie siódmej wyjechaliśmy do kolei. Państwo młodzi przybyli następnego dnia do Krakowa i wyjechali zaraz do Włoch.

Tymczasem w Krakowie szaleją tego roku, jak nigdy. Co dzień kilka wieczorów i balów. Był wspaniały kulig u ks. Lubeckich, wyprawiony dla arcyksięcia i jego żony, tygodniowe wieczory u Czartoryskich, Żółtowskich, Lasockich i w rozmaitego rodzaju towarzyskich kołach. Prócz tego dużo publicznych balów, kostiumowy piknik kawalerski, kulig u Stojowskich itd. itd. Ja, naturalnie, do tego wiru nie należę. Bywam tylko czasem na obiedzie u Tarnowskich, lub wieczorem u Czartoryskich, gdy nie ma tańców. Po większej części siedzę w domu i piszę, myślę, lub czytam.

W Pradze czeskiej będą przedstawiać *Kiejstuta*, pisał już do mnie tłumacz, zawiadamiając o tej decyzji dyrekcji Teatru Narodowego i prosząc zarazem o dozwolenie przekładu.

W *Narodnich Listach* (czeskim politycznym organie) ukazała się już bardzo pochlebna recenzja tego utworu, w *Swietozorze* zaś mój portret i biografia, słowem, Czesi daleko więcej teraz mną się zajmują, niż rodacy. *Lumir* ciągle umieszcza nowe przekłady moich poezji bardzo pięknie oddane. *Revue Slave* także już dała jedną w francuskiem tłumaczeniu, a ponieważ są także niemieckie i włoskie, więc zakres moich czytelników znacznie się rozszerzył.

Szkoda tylko, że w tym stosunku nie rozszerzają się dochody ale co robić, trzeba się pocieszać, że i uznanie ludzkie także coś warte

Miałem list od pani Sadkowskiej, pewnie Ojczulek wie, o co chodzi. Nie mogłem jeszcze odpowiedzieć, bo mnie dotąd nie nadesłano informacyj.

W tych dniach zawadził także o Kraków dawny nasz znajomy, Bolesław Kłokocki, który jeździł do Nicei do chorego Bronisia, i powracając, wstąpił do starego grodu. Bardzo się ucieszyłem gdy mnie odszukał; w rozmowie z nim ożyły dawne wspomnienia Pytał się o Ojczulka i polecił mi przesłać najserdeczniejsze pozdrowienia dla obu Szanownych panów. Bawił bardzo krótko w Krakowie, bo mu się na wieś śpieszyło po długiej nieobecności.

Co do Ordęgów, rzecz się ma, jak następuje: Pan Maciej dawnym testamentem Szczypiorno i kapitały swoje zapisał pannie Mari z wyjątkiem poczynionych legatów. Potem pogniewawszy się, że nie chciała pojść za protegowanego przez siebie konkurenta, ostatnim testamentem zapisał wszystko nieletniemu Ordędze z dalsze linii. Poprzednio tylko wymógł na nim śp. Gałęzowski wraz z Lipskim z Poznańskiego, że osobnym aktem przeznaczył sto tysięcy dla panny Marii. Te sto tysięcy, naturalnie, mieć będzie, ale one nie wchodzą w zakres testamentu, jako uprzednia darowizna.

Spodziewam się, Najdroższy Ojczulku, że list mój, ile się dało, wypełniłem należytym farszem wiadomości, których znowu tak wielkiej obfitości w Krakowie nie ma i nie zawsze łatwo przychodzi spełnić podobne zadanie.

W tych dniach oczekuję fotografii mojego syna, które mi doktor już parę razy obiecywał nadesłać. Jeżeli dostanę kilka, to w następnym liście poślę też jedną dziadkowi, niech chociaż z fotografii zna swojego wnuka.

Do pani Adamowej pisać będę na jej imieniny, teraz już nie mogę, bom się straszliwie wypisał w różnych kierunkach.

List zamykam, ściskając i całując Najdroższego Ojczulka po tysiąc razy i przesyłając wyrazy głębokiego uszanowania i przyjaźni tak dla pana doktora Helbicha, jak i dla państwa Adamostwa.

Wszystkim pozdrowienia serdeczne.

Adam.

Uwagi.

1. Popiel Paweł (1807—1892), jedna z najwybitniejszych postaci stronnictwa konserwatywnego.

2. Sanguszko Eustachy (1842—1903), potomek starej rodziny, dziedzic Tarnowa i klucza tarnowskiego, marszałek Sejmu galicyjskiego (1890—95), namiestnik Galicji (1895—1898), poseł do Sejmu lwowskiego i Parlamentu wiedeńskiego.

3. Rostafiński Józef (1850—1928), profesor botaniki Uniwersytetu Jagiellońskiego, długoletni dyrektor Wyższych Kursów dla Kobiet im. Adriana Baranieckiego.

4. Zyblikiewicz Mikołaj (1825—1887), były nauczyciel gimnazjalny, potem prawnik, poseł na Sejm galicyjski i do wiedeńskiej Rady Państwa, od r. 1872 zasłużony dla miasta prezydent Krakowa, od r. 1880 marszałek krajowy Galicji.

5. *Kiejstut* w czeskim przekładzie Vondracka ukazał się dopiero w r. 1897. Por. Wóycicki, *op. cit.*, s. 319.

80.

Kraków d. 28 lutego 1879.
Ul. Łobzowska 99.

Najdroższy mój Ojczulku!

Przed tygodniem wysłałem obszerną korespondencję, zdającą sprawę z codziennego życia wypadków.

Dziś pozostaje mi tylko stawić się w dniu świętego Kazimierza z najgorętszemi życzeniami i najserdeczniejszemi uściskami.

Przy tej uroczystości bowiem nie może zbywać na głosie syna, który, chociaż z daleka, śle modły do Niebios za zdrowie i pomyślność Twoją i wszystkie swoje myśli i uczucia zwraca ku Tobie. Przyjmij więc ode mnie życzenie jak najdłuższych i nie zakłóconych żadnem cierpieniem lat i tego spokojnego szczęścia przyjaznych związków, którego Bóg nie odmawia szlachetnym duszom.

Spodziewałem się, że będę mógł wraz z listem przesłać Ci, Drogi Ojczulku, fotografię Twego wnuka, ale mimo trzykrotnej zapowiedzi ze strony doktora Kaczorowskiego, dotąd nic nie otrzymałem, a co gorsza, nie dostałem nawet odpowiedzi na mój list ostatni przed dwudziestu dniami pisany. Pisałem więc ponownie bo jestem zaniepokojony. Byłbym nawet bardzo tem zaniepokojony gdyby nie to, że już poprzednio w podobny sposób doświadczano mojej cierpliwości.

Miałem gościa z Warszawy, Gucia Fritschego, doktora, którego Ojczulek pewnie z Heidelberga pamięta.

Ja chwilowo niedomagam, zaziębiłem się poczciwie, więc kaszlę i cierpię na ból głowy i zębów, ale to minie.

Kończę najserdeczniejszemi uściskami dla Drogiego Ojczulka, załączając swe uszanowanie panu doktorowi Helbichowi jako też i państwu Adamostwu.

Na 19-go marca stawię się znowu z listem.

Adam.

81.

List bez daty — ręką ojca poety dopisano ołówkiem:

d. 4 kwietnia 1879

Najdroższy Ojczulku!

Otrzymawszy list Twój z d. 28 marca wraz z dołączonym listem Wnej pani Adamowej, pospieszam za oba podziękować jak najgoręcej, a zarazem przeprosić, jeżeli zaszła jaka mała zwłoka w mojej korespondencji. W rzeczy samej od dnia czwartego marca nie pisałem już więcej do Drogiego Ojczulka, ale wysyłając list do Konar na ś-go Józefa, pod adresem głównej Solenizantki, sądziłem, że to chwilowo wystarczy i dla Twojego uspokojenia. Nie spieszyłem się więc w następstwie tem bardziej, że miałem na głowie przygotowanie odczytu na korzyść Towarzystwa Bratniej Pomocy Studentów Uniwersytetu. Zobowiązałem się wystąpić z odczytem, więc musiałem dotrzymać, pomimo że byłem zaziębiony i kompletnie prawie słaby.

Większa połowa marca przeszła mi na przysposabianiu tego odczytu, który ostatecznie miał miejsce w d. 31 marca, w sali ratuszowej, o godzinie 6-tej wieczorem. Za przedmiot prelekcji obrałem rozbiór *Króla Ducha* — poematu Słowackiego.

Odczyt powiódł się, bo sala była pełna, co tu w Krakowie rzadkiem jest zjawiskiem, i publiczność była zadowolniona. Ale ja sam bardzo się zmęczyłem mówiąc przez półtorej godziny, i potem całą noc przekaszlałem. Teraz już mi znowu lepiej, tylko jestem nieco senny, ale mam nadzieję, że jak się pogoda ustali, to zaraz lepszych sił nabiorę.

Dr Kaczorowski przysłał mi fotografię Włodzia i sam jedną dla Ojczulka przeznaczył, którą dołączam do tego listu.

Zaprasza mnie również bardzo czule na święta do Poznania i w ogóle w ostatnich listach okazuje się bardzo serdeczny. Nie wiedziałem, czemu przypisać to nagłe podwyższenie temperatury uczuć, ale klucz do zagadki dał mi jeden z moich znajomych, który wracając z zagranicy, widział się z panem Kaczorowskim w Poznaniu, a potem do mnie wstąpił. Mówił mi bowiem, że przy widzeniu się z doktorem pokazywał mu włoski słownik współczesnych

pisarzy, w którym dla mnie przypadło honorowe miejsce, bo w rzędzie wyjątkowych pisarzy, których portrety zostały pomieszczone w tem dziele obok biograficznego tekstu. Okoliczność ta tem więcej zaimponowała doktorowi, gdy jednocześnie ilustrowane pismo czeskie *Svetozor* także dało mój obszerny życiorys, opatrzony portretem. Dobrze, że choć z takich powodów uzyskam pewną poprawę stosunków. Nie wiem jednakże, czy będę mógł na święta Wielkanocne wyjechać do Poznania, w każdym razie będę się starał wybrać przynajmniej niedługo po świętach.

Jeżeli Drogiemu Ojczulkowi nie zrobiłoby wielkiej subiekcji, to może by zechciał napisać kilka słów do dra Kaczorowskiego, dziękując mu za fotografię, kiedy sam o tem pomyślał. Adres jego teraźniejszy jest: Preussen, Posen, dr Teofil Kaczorowski w Poznaniu, Hotel Wiedeński.

Ponieważ to mój list ostatni przed świętami, więc przesyłam serdeczne życzenia Wesołego Alleluja tak dla Drogiego Ojczulka, jak i dla Szanownego doktora Helbicha, Szanownych państwa Adamostwa i całego Ich domu. Bilety dla pana Juliusza w dniu imienin doręczę.

Pan Józef Ordęga bardzo już słaby, nieborak; złożyłem przesłane pozdrowienia, a wszyscy nawzajem polecili mi przesłać podziękowania za pamięć i wyrazy prawdziwej przyjaźni. Bywam dość często w ich domu, bo pan Józef bardzo pragnie mojej obecności.

Zresztą w Krakowie nic nowego, po karnawałowych balach i wieczorach nastały postne koncerta i odczyty, ożywienia zawsze jest więcej niż w poprzednich latach. W teatrze dawano dramat Słowackiego *Horsztyński*, który pozostał nieskończony. Dorobił do niego zakończenie Mien, Francuz rodem, wielbiciel i tłumacz Słowackiego. Jakkolwiek dokończenie to niezupełnie odpowiada wymaganiom, przecież poczciwy Mien ma wielką zasługę, że z jego łaski polska publiczność mogła się zapoznać z tym przepysznym dramatycznym fragmentem.

Ściskam Najdroższego Ojczulka po tysiąc razy, panu doktorowi Helbichowi i państwu Adamostwu wyrazy głębokiego poważania i przyjaźni.

Adam.

Uwagi.

1. Odczyt o *Królu-Duchu* drukowany był w lwowskim *Przewodniku Naukowym i Literackim* (s. 401—421). Por. Wóycicki, *op. cit.*, s. 238.

2. Włoski słownik współczesnych pisarzy to: Angelo de Gubernatis, *Dizionario biografico degli scrittori contemporanei.* Firenze, Le Monnier, 1879. — Asnykowi poświęcono w nim obszerniejszą wzmiankę biograficzną — poza jednym szczegółem, że był profesorem w Krakowie — wierną i bardzo przychylną. Autor artykułu pisze o nim: „Asnyk uważany jest za pierwszego poetę polskiego współczesnego pokolenia". („L'Asnyk è tenuto come il primo dei poeti polacchi della nouva generazione").

3. Mien Juliusz (1841—1905), literat polski i francuski, założyciel (z Sarneckim) *Świata*. Dopełnionego *Horsztyńskiego* wydał w r. 1883. W r. 1880 założył w Krakowie „Koło Literacko-Artystyczne".

82.

Kraków d. 8 maja 1879
Ul. Łobzowska 99.

Najdroższy mój Ojczulku!

Miesiąc znowu upłynął od mego ostatniego listu a ja jeszcze dotąd nie zdobyłem się na nowy. Trudno mi było pisać w ostatnich czasach, bo absorbowały mnie smutki zacnego domu, z którym mnie łączyły w Krakowie najściślejsze węzły przyjaźni.

Biedny pan Józef Ordęga, dzisiaj już śp. — od dziesięciu dni dogorywał i wczoraj właśnie po południu mękę życia zakończył. W tak ciężkich okolicznościach musiałem zrozpaczonym kobietom, o ile można było, przychodzić z pomocą i pociechą, tem więcej, że z początku nie miały przy sobie nikogo. W ostatnich dniach dopiero przyjechali Karol i Jan, bratankowie, a syn Władysław wczoraj wieczorem już po śmierci Ojca.

Bardzo mnie zgryzł i rozstroił cały ten, jakkolwiek przewidywany wypadek, tem bardziej, że w takim razie prócz współudział (u) w boleści drugich, własne także odświeżają się rany.

Ale dość tych żałobnych myśli, lepiej zwrócić się do zwykłego sprawozdania.

Na święta nie wyjechałem do Poznania, czas był szkaradny a ja nie czułem się dobrze, i miałem przy tem rozpoczętą pracę, którą wykończyć chciałem.

Otrzymałem też na święta list Najdroższego Ojczulka wraz z załączoną fotografią pani Adamowej, która była dla mnie upragnionym darem. Proszę wyrazić Szanownej Dawczyni najżywszą moją wdzięczność.

Do Poznania wybiorę się jak tylko będę mógł najwcześniej, muszę tylko załatwić się wprzód z sprzedażą świeżo napisanej komedii i dokończyć drugą. Droga bowiem pociąga zawsze za sobą nadetatowe koszta, a tu i tak trudno wystarczyć na życie swą literacką pracą. Zresztą gdyby nie syn, nigdy bym nie zajrzał do Poznańskiego, bo mi jest teraz zupełnie wstrętnem. Tam bowiem powstają od czasu do czasu różne niestworzone plotki na mnie, których źrzódła nie chcę się nawet domyślać.

Był niedawno w Krakowie sędzia Mieczysław Łyskowski z Poznania, dobry mój znajomy, i nie zaniedbał mnie odwiedzić. Na wstępie zagadnął mnie zapytaniem o termin mojego ślubu, ponieważ, jak mówił, wszyscy o nim głośno w Poznańskiem mówią. Zadziwiony odpowiedziałem, że nic nie wiem i że nie myślę się wcale żenić, ale nie protestowałem zbyt gorąco, ponieważ nie widziałem nic gorszącego w podobnem przypuszczeniu. Dopiero później przyznał mi się Łyskowski, że był zaniepokojony pogłoską o mojem małżeństwie, ponieważ słyszał, że mam się żenić z jakąś aktorką najgorszego rodzaju. Taka wieść nie mogła powstać w Krakowie, bo tu wszyscy aż nadto dobrze znają moje stosunki i wyobrażenia i wiedzą, że nie mam najmniejszej styczności z teatralną sferą. Nie było najlżejszego pozoru, pod który mogłaby się pod-

szyć podobna złośliwość, więc rzecz cała musiała mi się przedstawić jako umyślne, tendencyjne kłamstwo.

Dotknęło mnie to z początku dość silnie, ale nareszcie pomyślałem sobie, że prawda silniejszą jest niż kłamstwo.

Z innych nowin niewiele mam do zanotowania. Pani Pawlikowska leży w łóżku od paru tygodni i jeszcze z jaki miesiąc przeleży.

Sokołowski z żoną jest w Rzymie, pisał do mnie, bardzo szczęśliwy, nie może się odchwalić swojej żony. Dobrze choć czasem usłyszeć o ludziach szczęśliwych, to rozwesela nasze własne smutki.

Ja jestem już dość zmęczony życiem, ale idę naprzód z rezygnacją. Dużo trosk i bólu, a mało chwil jaśniejszych na drodze.

Odkładam resztę do następnego listu, bo dziś gromadzą mi się pod pióro same ciemniejsze barwy, a nie godzi się doprawdy udzielać swojej melancholii drugim.

Najdroższy Ojczulku, odpisz mi niezwłocznie po otrzymaniu tego listu, jakkolwiek nie zasłużyłem na pośpiech w odpowiedzi. Z listu mojego możesz osądzić, że to niezupełnie moja wina, więc i rozgrzeszenie udzielić możesz.

Ściskam Cię po tysiąc razy i całuję ręce Twoje, prosząc, abyś złożył wyrazy uszanowania i prawdziwej przyjaźni tak Szanownemu panu doktorowi Helbichowi, jak i obojgu państwu Adamostwu.

Następny list, daj Boże, weselszej treści, postaram się niedługo wyprawić.

Twój Adam.

83.

Kraków d. 24 maja 1879
Ul. Łobzowska 99

Najdroższy mój Ojczulku!

W imieniu tak moim, jak i mojego syna dziękuję najgoręcej za ten dar, który dla niego przysłałeś, żałuję tylko, że nie udzieliłeś mi wskazówki, jakiego rodzaju życzyłbyś sprawić mu pamiątkę. Jestem w prawdziwym kłopocie, bo nie łatwo wymyśleć coś rozumnego, a co by odpowiadało wszystkim warunkom. Przede wszystkiem chciałbym, żeby to była trwała dla Włodzia pamiątka, która by mu zawsze mogła przypominać dobroć dziadka. Nie wiem, czyby nie było najlepiej kupić jaki piękny srebrny kubek i kazać na nim wyryć z jednej strony: „Kazimierz Asnyk swemu wnuczkowi“, a z drugiej cyfry Włodzia. Ubranie bowiem, zabawki czy łakocie, wszystko to nie pozostawi śladu, kupić zaś jaki list zastawny, to znowu obniży moralną wartość daru i nie będzie stosowną rzeczą dla dziecka.

Mniej więcej koło przyszłego piątku wyjadę już niezawodnie do Poznania, żeby tam spędzić Zielone Świątki. Dłużej już odkładać nie podobna, tem więcej, że i sam z utęsknieniem pragnę zobaczyć malca.

Wysłałem na targ warszawski do sprzedania ostatnią moją komedię i czekam na rezultat, który powinien w tych dniach nadejść. Mam nadzieję, że ukaże się nie tylko w druku, ale i na warszawskiej scenie. Wprawdzie dyrekcja rządowych teatrów daleko gorzej płaci niż ogródkowe teatrzyki, ale przynajmniej można być pewnym lepszej obsady.

Gubrynowicz także już teraz na serio przystępuje do nowego wydania moich poezji. Oprócz dwóch poprzednich tomów, przybędzie teraz tom trzeci. Cała trudność polega na tem, żeby wydanie to dostało aprobatę cenzury a zarazem wstęp do Królestwa.

Podniosłoby to znacznie korzyść wydawcy, a zarazem mój dochód.

Na lato rad bym gdzie wyjechać, ale muszę wprzód zarobić sobie na taką wycieczkę. Prawdopodobnie skończę na Zakopanem, bo to najtaniej kosztuje. Chcąc pojechać do morza, potrzeba by zarobić kilkaset reńskich, a w naszych literackich stosunkach jest to prawie niepodobieństwem zdobyć naraz taką sumkę.

Z innych wiadomości nie ma na razie nic nowego. Pogrzebaliśmy zacnego pana Józefa, którego stratę bardzo żywo uczułem. Żona i córka pozostały w Krakowie bardzo osamotnione teraz. Syn, który przyjechał w kilka godzin po śmierci, musiał odjechać na powrót do swego konsulatu, familia także się rozjechała, więc pozostały same. Odwiedzam je od czasu do czasu, chociaż pocieszyć w takich razach trudno. Za to Bylickim przybyła córka; taka kolej, świat się ciągle odnowia. Pawlikowska także ciągle choruje, tylko Kossakowie doskonale się trzymają. Dziękują oboje za pamięć Szanownych panów o ich imieninach. Sokołowski jeszcze nie wrócił z podróży, ale ma przybyć podobno około połowy czerwca. W tym czasie ma także przybyć do Krakowa z Ameryki pani Modrzejewska więc może trochę weselej będzie, bo teraz brak mi zupełnie wszelkiej rozrywki.

Do teatru nie chodzę przez oszczędność, a towarzystwa, w którem mógłbym się rozerwać, także zupełnie nie ma. Szczęście jeszcze, że dnie długie a krótkie wieczory — samotność więc nie daje się tyle uczuć. W ogródku kwitną bzy, narcyzy i konwalie, ptaszki ścielą sobie gniazdeczka, więc przynajmniej na chwilę myśl się rozweseli. Na wiosnę przy tem Kraków najpiękniejszy, gdy kasztany na plantach pokryją się świeżą zielonością i kwieciem. Szkoda tylko, że wiosna tegoroczna po większej części dżdżysta i ponura. Zdaje się, że cała ziemia ziębnie wraz z swemi mieszkańcami. Daje się czuć brak ciepła w naturze i ludziach. Rad bym się z tego powodu przenieść na jaką inną planetę, ale trzeba czekać cierpliwie, póki nie wyjdzie termin obywatelstwa na ziemi.

Do Wujostwa pisałem dziękując za przesłanie mi przekazu i posłałem fotografię Włodzia, uważałem bowiem za konieczne zaprezentować go rodzinie.

Następny list mój będę się starał wysłać z Poznania z świeżemi wiadomościami o synu. Odpowiedź wszakże racz drogi Ojczu-

lek adresować do Krakowa, bo nie wiem, jak długo zabawię w Poznaniu, zapewne nie dłużej nad tydzień, gdyż za mało czuję się tam swobodny i nie mam stosownego miejsca do pisania. Państwo Kaczorowscy także mnie pewnie zatrzymywać bardzo nie będą, zapewne wybiorą się gdzie do wód później.

Na tem kończę moje pisanie najserdeczniejszemi uściśnieniami prosząc, aby Drogi Ojczulek najprzyjaźniejsze pozdrowienia wraz z wyrazem uszanowania złożył ode mnie zarówno Szanownemu panu doktorowi Helbichowi, jak i obojgu państwu Adamostwu. Ręce Najdroższego Ojczulka całuję po tysiąc razy od siebie i od Włodzia

Adam.

Uwagi.

1. Ostatnia komedia, o której mowa, to *Przyjaciele Hioba*. Drukowana była w *Bluszczu* (nr 23—30), a wydana osobno przez M. Glücksberga w Warszawie w r. 1879.

2. Trzeci tom *Poezyj* ukazał się nakładem Gubrynowicza we Lwowie w r. 1880.

84.

Kraków d. 18 czerwca 1879
Ul. Łobzowska 99

Najdroższy mój Ojczulku!

Nie odbierając tak długo żadnej odpowiedzi od Drogiego Ojczulka, jestem znowu dosyć zaniepokojony. Pisałem jeszcze przed wyjazdem do Poznania i powtórnie po powrocie z drogi i nie wiem nic, co się stało, chyba że Panowie gdzie z Konar wyjechali. W tej wątpliwości nie wiem nawet, co pisać, chyba powtarzać będę relacje poznańskie, bo z obecnych chwil niewiele się nazbierało. Swobodnie i z przyjemnością mogłem tylko pisać o Włodziu, bo w jego ożywionej twarzyczce skupia się całe światło, rozjaśniające mój każdorazowy pobyt w Poznaniu. Wszystko inne godne przemilczenia i przekazania własnej niepamięci.

Włodzia zastałem bardzo rozwiniętym tak fizycznie, jak moralnie, robi pod każdym względem wrażenie chłopaczka przynajmniej czteroletniego. Silny jest o tyle, że bez najmniejszego trudu krzesła przenosi, biega znakomicie i wcale się nie przewraca. Zabawkami już pogardza i lubi się tylko bawić różnemi narzędziami rękodzielniczemi lub chirurgicznemi. Tych ostatnich pamięta nawet skomplikowane nazwy i w obecności mojej rozpoznał i nazwał thermocanter. Myślałem, że wyuczył się wyrazu jak papuga, ale on, jakby odgadł myśl moją, zapytał się dziadka z własnej inicjatywy: „A jak się on rozgrzewa?“ Lubi również, żeby mu opowiadać o książkach z obrazkami, i słucha bardzo pilnie o wężach i tygrysach, o dzikich ludziach, o górach i morzu. Sam także próbuje improwizować historyjki. Rozmawia wcale dobrze, tylko bez końca pyta „czemu“, chcąc wiedzieć przyczynę wszystkiego. Mówiłem mu, że ma jeszcze drugiego dziadka, którego nie widział, bo mieszka daleko, zaraz mię zapytał; „A czemu nie przyjedzie tutaj?“

Nauczyłem go także, jak się nazywa, i skorzystał zaraz przy zdarzonej sposobności.

Było to z następującego powodu. Oznajmiłem Kaczorowskim o darze Drogiego Ojczulka, zapytując, co by uważali za stosowne do kupienia Włodziowi na pamiątkę. Proponowałem albo puchar, albo sztuciec srebrny z pamiątkowym napisem. Odpowiedzieli, że kubek byłby bezużyteczny a sztuciec już Włodzio posiada, i że na teraz nic by wymyśleć nie mogli odpowiedniego. Poradzili więc, aby tymczasowo złożyć pieniądze do kasy oszczędności w Poznaniu, a później kupi się za nie dla Włodzia pamiątkę, gdy lepiej będzie ją mógł ocenić. Wypadało mi zgodzić się na ich propozycję i oddałem pieniądze, które posłali do kasy, która wydała książeczkę na nazwisko Włodzia. Ale Niemcy przekręcili nazwisko i napisali „Artnyk". Kaczorowski przeczytał przy Włodziu tak przekręcone nazwisko, a Włodzio zaraz poprawił: nie Artnyk, tylko Asnyk. — Dziadkowie byli bardzo zdziwieni tą poprawką i pewnym odcieniem dumy i stanowczości, z jakim swe nazwisko wymówił, sami bowiem zapewne nigdy mu nie powiedzieli, jak się nazywa.

Raz tylko jeden ja i doktor wyjechaliśmy z Włodziem na przejażdżkę, pani bowiem przez cały czas uparła się nie wyjeżdżać i nie chciała dopuścić, żebyśmy dziecko ze sobą wzięli. Toteż powrót z tej jedynej przejażdżki uwieńczony był kolosalną sceną. pani bowiem spazmowała i krzyczała wciąż przeraźliwie nawet na własnego męża: „Precz! precz", że na całem piętrze słychać ją było. Pouciekały sługi, uciekł i mąż, a ja od początku schroniłem się do przeznaczonej mi na pobyt stancyjki i przysłuchiwałem się z oddali szalejącej burzy. Naturalnie, nie mogło być mowy o familijnej herbacie, w godzinę tylko potem przyszedł mi wytłumaczyć doktór, że tęsknota za dzieckiem i choroba sercowa wywołują stan taki u jego żony. Przytoczyłem tę jedną ilustrację, bo mi się wsunęła pod pióro w ciągu opowiadania o Włodziu, którego niezadługo musiałem pożegnać.

W Krakowie nic nowego, wyjąwszy konsekracji biskupa i wyborów do Rady Państwa. Co dalej z sobą zrobię, nie wiem. Czy wyjadę gdzie na lato, czy zostanę w Krakowie, jeszcze nie jestem zdecydowany. Niechże mi Najdroższy Ojczulek jak najspieszniej odpisze, bo jestem stęskniony listu i wiadomości o obu Szanownych panach.

Na teraz ściskam i całuję Najdroższego Ojczulka po tysiąc razy, a Szanownemu doktorowi Helbichowi i państwu Adamostwu przesyłam wyrazy głębokiego poważania i przyjaźni

Adam.

85.

Kraków d. 22 lipca 1879
Ul. Łobzowska 99

Najdroższy mój Ojczulku!

Deszcz, deszcz i słota — oto jedyna przyjemność, jaką nam tegoroczne lato przyniosło. Zewsząd słychać tylko skargi, narzekania

tak wiejskich gospodarzy, którzy nic sprzątnąć nie mogą, jak i cierpiących kuracjuszów, którzy by chcieli latem podreperować jako tako swoje zdrowie. Do tych ostatnich i ja należę, bo zamiast poprawy doznałem pogorszenia w swym zwykłym stanie i od trzech tygodni byłem ciągle nękany podwójnym katarem, kiszek i oskrzeli płucnych. Zmizerowałem się bardzo i gdyby nie nadzieja powetowania ubytku sił w dalszym ciągu lata, toby mi przyszło smutny horoskop na na zimę postawić. Zdecydowałem się ostatecznie wyjechać z Krakowa na cały sierpień, a do postanowienia tego przyczyniło się głównie to, że państwo Kaczorowscy opuścili Poznań i udali się wraz z moim synem na wyspie (!) Rugię, na Morzu Bałtyckiem. Bawią tam już od połowy lipca, więc mnie spieszno podążyć za niemi. Podwójną będę miał korzyść, spędzę czas wraz z moim chłopcem, a przytem kąpielami morskiemi znowu się nieco orzeźwię. Miałem trudności w zgromadzeniu potrzebnego funduszu, ale te już prawie usunięte i za parę dni mam nadzieję wyruszyć w drogę. Dlatego Najdroższy Ojczulek raczy mi już nie odpowiadać do Krakowa, ale zechce oczekiwać zawiadomienia i adresu z Rugii.

Od pani Stanczakowskiej otrzymałem list zapowiadający jej przybycie, odpisałem jej natychmiast, ale się dotąd nie pokazała. Prawdopodobnie wstrzymały ją ustawiczne deszcze. Przejeżdżała za to przez Kraków Chłapowska (Modrzejewska) z mężem. Widziałem ich na godzinkę, bo krótko zatrzymywali się tutaj jadąc do Zakopanego. Teraz mają powracać, ale wątpię, żebym się z niemi spotkał.

Zresztą z znajomych prawie nikt już nie pozostał w Krakowie, jeśli kogo spotykam, to z tych, co jadą do wód z Królestwa, a takich widuję dosyć. Wszystkie miejsca kąpielowe w Galicji są literalnie zapchane tak, że niektóre zakłady zostały zmuszone ogłosić, że nie ma zupełnie mieszkań dla nowo przybywających. Słowem, zjazd bardzo liczny pomimo niskiego kursu rubli.

Ale to wszystko nic, w porównaniu z zjazdem, który się gotuje na 30 września na dzień jubileuszu Kraszewskiego. Czy Szanowni Panowie nie wybiorą się także do Krakowa? Gdyby nie to, że z Konar daleko do kolei, bardzo usilnie bym zapraszał, ale tak to nie śmiem nastawać, a tylko zapytuję. Pisał mi dawniej Ojczulek, że Czcigodny pan doktór zamierzał odwiedzić Kraków, ale dotąd skończyło się na projekcie.

Włodziowi nareszcie przyjęła się szczepiona ospa i przebył ją przed wyjazdem na Rugię. Była to trzecia próba, dwa pierwsze szczepienia bowiem nie udały się wcale.

Pisał mi doktór Kaczorowski, że chłopak cieszył się bardzo na morze i ciągle się dopytywał niecierpliwie, czemu jeszcze nie jadą do morza. Wystawiam sobie, że musi bardzo się rozkoszować jeżeli tylko lepsza pogoda tam sprzyja niż tu w Krakowie. Zapewne najdalej w poniedziałek stanę na miejscu i będę się mógł cieszyć jego wrażeniami.

Żadnych innych nowin z Krakowa nie mam na razie do zanotowania w tym tak zwanym przez dziennikarzy ogórkowym se-

zonie. Dla mnie ze względu na zdrowie był nawet zupełnie kwaśno ogórkowym i z tego powodu spóźniłem się z korespondencją.

Kantatę jubileuszową już wygotowałem, dorabia do niej muzykę Żeleński. Trzeba bowiem przed wyjazdem wywiązać się z wszystkich zadań komitetowych, musiałem nawet przyjmować u siebie dwa razy zebrany podkomitet, pomimo żem się zaledwie na nogach mógł utrzymać.

Teraz kończę moje pismo przesyłając najserdeczniejsze uściski Najdroższemu Ojczulkowi, a wyrazy uszanowania i przyjaźni Czcigodnemu doktorowi i Szanownym państwu Adamostwu.

O przyjeździe na Rugię zawiadomię w jak najkrótszym czasie po przybyciu na miejsce.

Jeszcze raz ręce Drogiego Ojczulka po tysiąc razy całuję

Adam.

Uwagi.

Kantata na obchód jubileuszowy J. I. Kraszewskiego ukazała się jako druk ulotny z muzyką Wład. Żeleńskiego, nakładem Wł. L. Anczyca. Odśpiewano ją podczas uroczystości jubileuszowych dn. 3 X 1879 w hali Sukiennic przez połączone chóry Towarzystw Śpiewaczych w Galicji. Solistą był Stanisław Niedzielski. Por. Wóycicki, *op. cit*, s. 238.

86.

Kraków d. 2-go wrz. 79
Ul. Łobzowska 99

Najdroższy mój Ojczulku!

Zabawiłem nad program kilka dni w Poznaniu i tym sposobem opóźniłem nieco mój powrót do Krakowa.

Przybywszy, zastałem oba listy Najdroższego Ojczulka wraz z załączonym pięknym wierszem Czcigodnego doktora Helbicha. Jakkolwiek nie zasłużyłem na tyle łaski z jego strony, i na tak pochlebne ocenienie, przejęty zostałem najżywszą wdzięcznością otrzymawszy ten dowód uznania ze strony szlachetnego i poważnego Męża, którego głos podniosły przynosi zaszczyt temu, do kogo się zwraca.

Ponieważ wiadomości, zawarte w liście Drogiego Ojca, potrzebują prędkiego rozstrzygnięcia, pospieszam zapytać, czy mogę na pewne liczyć na przybycie Szanownych państwa Adamostwa. Bardzo szczęśliwym będę, jeżeli raczą przyjąć u mnie gościnę, która jakkolwiek nie zapewni im dostatecznej wygody, ma za sobą przynajmniej to dobrego, że nie będą potrzebowali się troszczyć o mieszkanie. Czy zapisać pana Adama na ucztę dla Kraszewskiego? (Panie prawdopodobnie nie będą brały udziału w obiedzie, chyba jako spektatorki na galerii). Czy pan Adam przyjedzie w charakterze jakiego delegata? Dobrze, żeby tak uczynił, bo delegaci muszą mieć pierwszeństwo wstępu przy wszystkich uroczystościach, inaczej nie podobna zagwarantować biletów wejścia.

Sala na pierwszem piętrze w Sukiennicach, gdzie Kraszewskiemu będą składać dary, pomieści najwyżej 250 osób — przy-

puszczać zaś należy, że zjedzie do Krakowa z jakie sześć tysięcy osób. Tak samo ma się rzecz z teatrem.

Najgorsza rzecz, że termin niezupełnie pewny, jakkolwiek ogłoszony program oznaczył go na 30-go września. Poznańczycy bowiem mają w tym dniu naznaczone prawybory do parlamentu i zgłosili się do komitetu z prośbą, żeby z tego powodu odroczyć dzień jubileuszu.

Dotąd jeszcze nie zapadła decyzja, jak tylko zapadnie, doniosę bezzwłocznie.

Co do państwa Piramowiczów jak i wszystkich innych, mogę tylko udzielić radę, żeby się zgłosili, jak to było wymienionem w programie, do pana Zawiłowskiego, sekretarza Rady miejskiej, i wymienili szczegółowo, czego żądają, tj. mieszkania i biletów. Hotele bowiem wszystkie dawno naprzód zamówione, a szukać prywatnego mieszkania, nie wiedząc, jakiego i na jak długo, jest rzeczą niemożliwą. Rada miejska zaś poleciła sekretarzowi Zawiłowskiemu zająć się wyszukiwaniem mieszkań dla gości, ale trzeba zgłosić się do niego własnoręcznym listem, żeby miał ewidencję, kto i czego żąda. Ja jestem zasypany literalnie listami i w przedmiocie mieszkań i udziału w uczcie i innych uroczystościach, nie będąc w możności nic na to zaradzić.

Co do pytania postawionego przez panią Elżanowską, mogę donieść, że pani Ordężyna z córką na teraz pozostaje w Krakowie i nie myśli o przeniesieniu się do Paryża.

Niech mi Najdroższy Ojczulek odpisze bezzwłocznie wszystko, co się tyczy przyjazdu państwa Adamostwa i Ich życzeń, a ja, jak tylko stanowczy termin zostanie ustanowionym i cały najściślejszy porządek obchodu, natychmiast o wszystkiem doniosę.

Na teraz ściskam Najdroższego Ojczulka po tysiąc razy załączając moje najgłębsze uszanowanie panu doktorowi i państwu Adamostwu

Adam.

87.

Kraków d. 25 list. 1879
Ulica Łobzowska 99

Najdroższy mój Ojczulku!

Czas upływa i zbliżają się imieniny Teofilidego, chciałbym zadość uczynić życzeniu Drogiego Ojca i przesłać mu list z powinszowaniem, a zarazem fotografię mego syna, ale stoi mi na przeszkodzie jeden drobiazg, to jest ten, że nie znam wcale adresu Teofilidego, a kochany Ojczulek w swoim liście także mi go nie wskazał. Prosiłbym więc o nadesłanie mi takowego, o ile można najprędzej. Czasu jeszcze jest dosyć; do siódmego grudnia mogę mieć wygodnie odpowiedź z Konar, a pięć dni aż nadto na drogę do Petersburga.

Zacząłem od Teofilidego mój list, ażeby samemu o tem nie zapomnieć a zarazem zwrócić na ten punkt uwagę Ojczulka. Teraz mogę przystąpić do spraw bieżących po jubileuszowych czasów.

Na pierwszym planie stoi wydawnictwo trzeciego tomu *Poezyj*, który się właśnie drukuje. Jestem więc mocno zajęty zbieraniem i kompletowaniem rękopismów, a zarazem korektą.

Za jakie dni dziesięć zepchnę pewnie ten ciężar z głowy. Niemcy zrobili mi niespodziankę. Niejaki pan Reden, radca regencji poznańskiej, hanowerczyk rodem, przetłumaczył na język niemiecki *Kiejstuta*, wydał w Poznaniu i przysłał jeden egzemplarz. Przekład, w ogóle biorąc, wcale dobry i recenzje niemieckich dzienników bardzo pochlebnie o nim się wyrażają, szkoda tylko, że finansowo nie mam na tem żadnej korzyści.

Lepiej się przedstawia drugi interes, tylko nie wiem jeszcze, co z niego będzie.

Pan Meixner, artysta dramatyczny w Burgu wiedeńskim, a zarazem autor, tłumaczy mojego *Żyda* i zgłosił się do mnie z prośbą o pełnomocnictwo do wystawienia go na scenach niemieckich, ofiaruje mi połowę dochodów. Chce naprzód wystawić w głównym teatrze wiedeńskim, to jest w Burgu. Jeżeli się uda i dramat zyska powodzenie, będzie można wcale nieźle zarobić.

Zgłaszają się teraz do mnie ciągle nowi tłumacze, w Czechach mam ich aż czterech, ale na tem wszystkiem bardzo utyć nie można.

Zima zaskoczyła nas bardzo wcześnie i zwiastuje bardzo ciężki przednowek dla biednych. Drożyzna wielka, a w niektórych okolicach Galicji formalny głód grozi.

W sferach krakowskich niewiele nowego, po gwarnym ruchu, jaki panował w pierwszych dniach października, teraz nastąpiła zwykła cisza. Ludzie się żenią, rodzą, umierają i klepią biedę, jak mogą. Wczoraj odprowadziłem na miejsce wiecznego spoczynku Ziębińskiego, u którego się stale stołowałem. Stale siadywał obok mnie, przed tygodniem nie zjawił się o zwyczajnej godzinie, a w trzy dni opuścił na zawsze i stół nasz, i swój hotel. Za to w niedzielę był ślub panny Estreicher, która wyszła za profesora Kulczyńskiego, — tak się utrzymuje równowaga w świecie. Sokołowski zamieszkał już stale z żoną swoją w Krakowie, szczęśliwie trafił, dobrą wziął kobietę, która oprócz miłości przyniosła mu zupełne zabezpieczenie bytu. Bywam u nich co czwartek, bo oboje są mi bardzo radzi.

Z Królestwa przyjechała dawna znajoma, pani Ryx z Prażmowa, sąsiadka Kurczowej wsi, dopytywała się o Ojczulka i poleciła pozdrowić najserdeczniej. Bylickim drugie, młodsze dziecko chorowało na ospę, ale wyszło z niebezpieczeństwa. Ospa panuje bardzo w Krakowie, a oprócz tego w całej Galicji *diffteritis*.

Pani Ordężyna z córką mieszkają ciągle w Krakowie, przeniosły się do skromniejszego mieszkania przy ulicy Karmelickiej wiodąc życie zamknięte i ciche. Odwiedzam je zazwyczaj w niedzielę. Nic u nich nowego. U Kossaków byłem po raz ostatni za bytności pani Puławskiej, ale to już przynajmniej sześć tygodni upłynęło od mych odwiedzin.

Oto wszystko na teraz. Jeżeli mnie co dobrego spotka, nie omieszkam donieść, o złem bowiem pisać nie warto.

Byłbym zapomniał donieść, że przejeżdżał przez Kraków pan Artur Lend i był łaskaw wstąpić do mnie. Byłem także u niego w hotelu i spędziliśmy kilka chwil przyjemnych na pogadance.

Na zakończenie ściskam Najdroższego Ojczulka po tysiąc razy. a panu doktorowi Helbich i państwu Adamostwu składam moje głębokie uszanowanie razem z życzliwą przyjaźnią.

Adam.

Uwagi.

1. Trzeci tom *Poezyj* Asnyka wyszedł w r. 1880 we Lwowie nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta.

2. *Kiejstut*, Trauerspiel in fünf Acten von Adam Asnyk, übersetzt von M. von Reden. Posen, Verlag von J. Jolowicz, 1879.

3. „Im Banne des Vorurteiles". *Żyd*, Schauspiel in 3 Acten. Aus dem polnischen übersetzt von Julius Meixner. Für die deutsche Bühne frei bearbeitet v. Louis Nötel. Wien, im Selbstverlage, 1883. 8-o, s. 78. Por. Wóycicki, *op. cit.*, s. 321.

4. Czterech tłumaczy w Czechach, to zapewne: a) przyjaciel poety — poeta czeski i tłumacz poezyj polskich, Franciszek Kvapil (1855—1925) b) Otokar Mokry (1854—1899), adwokat z zawodu oraz poeta, tłumacz Mickiewicza i Słowackiego, c) Rudolf Pokorny (1853—1887), tłumacz Bohdana Zaleskiego i d) ks. Wacław Sztulc (1814—1887), proboszcz wyszehradzki, tłumacz Mickiewicza i Krasińskiego.

88.

Kraków d. 23 grudnia 79
Ul. Łobzowska 99

Najdroższy mój Ojczulku!

Kilka zaledwie słów skreślić mogę na nadchodzące święta, przesyłając życzenia moje.

Przebyłem bowiem ciężką chorobę *difteritis* która mnie przeszło dwa tygodnie trzymała w łóżku.

Teraz złe już minęło, ale jestem bardzo osłabiony i nie mogę zabrać się na serio do pisania listów. Chcę tylko zawiadomić Cię, abyś nie był niespokojny dowiedziawszy się przypadkiem z boku o mojej chorobie, a zarazem przesyłam Ci życzenia Wesołych Świąt i najserdeczniejsze uściśnienia i pocałunki

Twój Adam.

89.

Kraków d. 23 stycznia 80
Ul. Łobzowska

Najdroższy mój Ojczulku!

Po ostatnim liście moim, zawiadamiającym o niemiłym gościu, który mnie nawiedził, długo jeszcze przechodziłem różne fazy chorobliwe, chociaż główne niebezpieczeństwo minęło. Nadzwyczajne osłabienie pozostało w rezultacie i po dziś dzień nie stoję jeszcze na dawniejszych nogach, bo ta zagadkowa słabość na długo sił żywotnych umniejsza. W każdym razie jestem już znacznie lepiej.

tak, że mogę zapewnić Najdroższego Ojczulka, że mi nic na teraz nie grozi. Przed tygodniem jeszcze lekarz był niespokojny, czy na płucach lub rdzeniu pacierzowym nie zajdą jakie chorobliwe zmiany lecz teraz, zdaje się, wszelki powód do obawy ustał.

Od miesiąca zażywam stale chinę-żelazo, codziennie wypijam pół butelki wina i dwie kwarty mleka oraz butelkę selcerskiej wody, prócz tego nacieram się spirytusem i roztworem solnym i sypiam do dwunastu godzin na dobę.

Początkowo nie byłem w stanie ani czytać ani pisać ani chodzić, ale teraz zwolna powracam do życia. Cały ten czas był dla mnie jakby wykreślony z księgi rzeczywistej egzystencji i dlatego niewiele wiem, co się działo i dzieje w świecie.

Zapowiedział mi swój przyjazd dr Gustaw Fritsche, ale dotąd jeszcze nie przyjechał; musiało mu coś przeszkodzić.

Rad bym złożyć jaką wiązankę wiadomości dla kochanego Ojczulka, ale w ogóle taki na teraz brak materiału i takie pustki w mojej głowie, że chyba tylko w przyszłości będę mógł zawód wynadgrodzić.

Karnawał w Krakowie podobno bardzo niewesoły, chociaż tak krótki; nie ma żadnych zabaw prócz balów publicznych.

Sokołowski ciągle w oczekiwaniu potomka, który się opaźnia z przyjściem na świat. Żona jego, bardzo dobra i miła osoba, zwiększyła kółko moich przyjaciół. Najwięcej jednak opiekowała się mną podczas choroby pani Pawlikowska, gdym leżał, przysyłała mi obiady. Lutostański jako lekarz także bardzo starannie mną się zajął; słowem, od ludzi doświadczyłem wiele życzliwości. Nawet młody Zięmbiński, który objął po ojcu restaurację, przysłał mi dwie butelki starego wina.

Przyszły list spodziewam się już wyprawić z bogatszą treścią, a tymczasem całuję i ściskam Najdroższego Ojczulka po tysiąc razy, przesyłając Czcigodnemu doktorowi i państwu Adamostwu serdeczne pozdrowienia z wyrazem najgłębszego poważania

Adam.

90.

Kraków d. 28 lutego 1880 r.
Ul. Łobzowska 99.

Najdroższy mój Ojczulku!

Przy nadchodzących Twoich Imieninach przyjmij ode mnie wszystkie najgorętsze życzenia pomyślności i zdrowia a zarazem wyrazy mojej najtkliwszej i najgłębszej miłości, które Ci z głębi serca przesyłam. Trapi mnie jednak, że prócz życzeń nie mogę weselszych dołączyć wiadomości o sobie, widząc z Twojego listu, jak mocno obchodzi Cię, Najdroższy Ojczulku, stan mojego zdrowia. Jednak trudno by mi było zataić, że od paru tygodni znowu jestem skazany na łóżko, pojawił się bowiem naraz dawny reumatyzm stawowy i w dodatku lekka *pleuritis*. Teraz już jedno i drugie prawie ustąpiło, ale jestem zmęczony i muszę w dalszym ciągu

się leczyć. Główną mi ulgę przyniosły na reumatyczne bóle ciepłe kąpiele, które biorę codziennie, i kwas salicylowy, który wewnątrz zażywałem. Piersi zaś smarowałem tynkturą jodową. Może mi na dobre wyjdzie ta nowa choroba, bo jak to powiadają, klin klinem wybijają, a ja po dyfterii nie mogłem przyjść do siebie, więc teraz może w rekonwalescencji powetuję wszystkie straty.

Teofilidemu nie zdążyłem wówczas przesłać na imieniny listu i fotografii, bo właśnie w pierwszych dniach grudnia zachorowałem, a gorączka wybiła mi to z pamięci. Uczynię to jednak teraz za parę dni, jak tylko pisanie będzie mi trochę łatwiejszem.

Załączam także Kochanemu Ojczulkowi list dr Kaczorowskiego, który przyszedł po Nowym Roku na moje ręce. Przez nieuwagę służącego został wyniesiony z gazetami i dopiero teraz się odnalazł.

W moje gospodarstwo wkradł się pewien nieporządek, co jest bardzo naturalnem, gdzie tyle czasu spędzam w łóżku, a służący ma wiele ze mną zajęcia.

O finanse moje niech się Drogi Ojczulek nazbyt nie troszczy ani też niech sobie nie ujmuje, żeby mnie wesprzeć; jak powrócę do zdrowia, to się wszystko powoli wyrówna. Zapewne, że to jest nieprzyjemnem być obezwładnionym przez trzy miesiące, ale ludzie przechodzą przez gorsze położenia i dają sobie radę. Trzeba być filozofem do końca i dziękować Niebu, że nie jest gorzej.

Lutostański ciągle bardzo gorliwie mną się zajmuje. Był także Frycze mnie odwiedzić, nie mógł wcześniej przyjechać, gdyż jemu także dzieci chorowały. On zastał mnie jeszcze na nogach, ale po jego odjeździe wkrótce się też położyłem.

Żeby prędzej przyszła wiosna, a piękna, wyjechałbym gdzie na świeże powietrze na wieś, zanim bym się zdecydował do jakiego hydropatycznego zakładu na wodną kurację, którą mi zalecają.

Oto wszystko na teraz. Pozostaje mi tylko ponowić moje życzenia, a samemu starać się na przyszłość same tylko dobre przesyłać wiadomości tak o zdrowiu, jak i powodzeniu swojem.

Ściskam Najdroższego Ojczulka jak najczulej po tysiąc razy.

Szanownemu panu doktorowi Helbich i państwu Adamostwu wyrazy uszanowania i przyjaźni załączam.

Adam.

91.

Kraków d. 17 kw. 1880
Ul. Łobzowska 99

Najdroższy Ojczulku!

Nazajutrz po wysłaniu ostatniego mego listu do Konar przed świętami otrzymałem od Wuja przekaz na dziewięćdziesiąt guldenów jako dowód Twojej niewyczerpanej dobroci.

Przykro mi było, że się tak ogałacasz dla mnie, a jednak nie zwróciłem tych pieniędzy, gdyż w nowych, nieprzewidzianych kłopotach odegrały opatrznościową rolę.

Nie podziękowałem dotąd za nie, gdyż znowu byłem obezwładniony. Po świętach wezwał Lutostański profesora Korczyńskiego na konsylium do mnie i po naradzie zapakowali mnie do łóżka, zabraniając wszelkiego ruchu. Od niejakiego czasu obrzmiewały mi bowiem nogi w stopach, pod kolanami i w różnych innych miejscach. Po zbadaniu osądzono, że wskutek złego krążenia krwi w żyłach potworzyły się zastoje tak w nich, jak i w naczyniach limfatycznych, i obawiano się różnych możliwych następstw.

Może drogi Ojczulek domyśleć się, że takie orzeczenie mocno mnie zgnębiło i musiałem zdecydować się na leżenie bezwładne i na przepisane mi środki. Ale ponieważ stan pozostał niezmieniony, po dwóch tygodniach pozwolono mi wstawać, zachowując wszelkie ostrożności. Co dalej będzie, tego żaden lekarz przewidzieć nie może.

Podczas gdym ja się powalił, mur mój od placyku, chcąc mnie naśladować, zapadł się także, bo miał bardzo liche fundamenta. Trzeba więc było na gwałt przebudowywać i przez dwa tygodnie ciągnęła się u mnie fabryka, do której trzeba było i mularza i cieśli i blacharza do pokrycia daszków smołowcem i naprawy rynien. Ja, naturalnie, tylko z łóżka mogłem administrować i płacić; robotami zaś musiał kierować służący. Szczęście, że to już minęło.

Przy tem wszystkiem byłem i jestem jeszcze niespokojny o stan zdrowia Ojczulka, prosiłem choć o parę słów relacji, a dotąd nic nie otrzymałem. Pocieszam się myślą, że Ojczulek nie lubi poprzestać na kilku słowach, a dłuższy list byłby męczącym. To tłumaczenie dodaje mi nieco otuchy, ale mimo tego coraz ciężej mi na sercu, tem więcej, że i o sobie niewiele już trzymać mogę. Zapewne i wyjazd do zakładu hydropatycznego także się odwlecze, bo nieprędko jeszcze będę się mógł puścić w drogę. Wiosna wprawdzie nastała prześliczna i ciepła mamy co najmniej czerwcowe, ale cóż, kiedy z niej niewiele można korzystać, i patrząc na ten świat odmłodzony, zamiast radości budzi się pewna melancholia.

Zapasu wiadomości nie mogłem uzbierać, bo tyle tylko miałem styczności ze światem, o ile mnie łaskawi goście nawiedzili.

Pawlikowscy, którzy zawsze wielką mi przyjaźń okazują, mają także zmartwienie z powodu choroby młodszego syna, która bardzo zatrważające przedstawia objawy. Panie Trojackie obie także chorowały, młodsza szczególniej przebyła ciężki tyfus.

O Włodziu za to miałem pomyślne wiadomości na Wielkanoc: zdrowo rośnie i pomyślnie się rozwija, jedyna to na teraz pociecha, chociaż tylko z daleka cieszyć się nią mogę. Dr Kaczorowski wprawdzie znowu dosyć czułe listy do mnie pisze, cóż, kiedy tym czułościom wierzyć już nie mogę.

Zjednał mnie bardzo Lutostański, gdyż w ciągu ostatniej choroby po dwa razy dziennie do mnie przychodził z całą punktalnością, która mnie wprawiała w podziwienie. Bezpłatnych bowiem pacjentów zwykle nie otaczają taką starannością lekarze.

Przyjechał także do matki i siostry konsul Ordęga i przywiózł żonę, którą zostawił na kilka tygodni. Odwiedził mnie parę

razy, zanim odjechał, ja dotąd nie mogłem się wywzajemnić jego rodzinie.

Sokołowscy zdrowi, także przyjechali oboje mnie odwiedzić, córka im się także dobrze chowa. Brat pani Sokołowskiej żeni się właśnie w czerwcu z panną Tarnowską z Wołynia, a jedna jej siostra także ma wyjść za mąż w tym czasie.

Na wystawie krakowskiej robi teraz furorę obraz Siemiradzkiego *Taniec wśród mieczów* — ale ja, niestety, nie mogłem go dotąd oglądać, więc i nic o nim powiedzieć nie mogę.

Może przyszły list będę mógł w weselszy sposób zredagować i zapełnić go więcej zajmującemi szczegółami, trzeba tylko, żebym od Ojczulka otrzymał pomyślną o stanie zdrowia wiadomość i sam również mógł do niego powrócić.

Tymczasem muszę poprzestać na tak monotonnej i wcale nie wesołej treści, gdyż nie mam czem jej ubarwić i ożywić. Przesyłam tylko najgorętsze uściśnienia i całuję ręce Najdroższego Ojczulka, błagając o kilka wyrazów dla mego zaspokojenia.

Szanownemu panu Doktorowi, jak również państwu Adamostwu załączam wyrazy najgłębszego poważania i prawdziwej przyjaźni

Adam.

92.

Kraków d. 28 maja 1880
Ul. Łobzowska 99

Najdroższy mój Ojczulku!

Otrzymałem list Drogiego Ojczulka z załączonemi biletami w sam dzień ś-tej Zofii, więc bezzwłocznie udałem się do państwa Kossak i doręczyłem je obu solenizantkom. Młodsza szczególniej była dumną z odznaczenia, które ją spotkało, obie zaś kazały przesłać najserdeczniejsze podziękowania za pamięć.

W parę dni po ś-tej Zofii mieliśmy zjazd liczny w Krakowie z powodu połączonych uroczystości rocznego posiedzenia Akademii i czterechsetletniego jubileuszu Długosza. Zjechali się więc prawie wszyscy polscy historycy, a prócz tego niemieccy profesorowie, Roeppel i Caro z Wrocławia, i czeski dziejopis Tomek z Pragi. W dodatku różni dziennikarze i ciekawi goście. Oprócz posiedzeń Akademii i kongresu historycznego, oprócz uroczystego złożenia kości Długosza do odnowionej krypty i poświęcenia wzniesionego sarkofagu, pełno było w Krakowie przyjęć, obiadów i wieczorów dla przyjezdnych gości. Ja, jako niehistoryk, mało brałem udziału w tym ruchu, byłem tylko na obiedzie u Tarnowskiego i w teatrze na przedstawieniu obrazu dramatycznego *Długosz i Kallimach* pióra Szujskiego. Na wieczorach u Popiela, Szujskiego i Bobrzyńskiego pomimo zaproszeń nie byłem, a to tem więcej, że zdrowie nie pozwala na dłuższe wieczorne posiedzenia.

Miałem jednakże dość odwiedzin, Kraszewskiego, Wacława Szymanowskiego, Łozińskiego i wielu innych. Szymanowski czytał nam w małem kółku swój nowonapisany dramat pt. *Posąg*, który oddał do grania teatrowi krakowskiemu.

Właśnie przedstawiono także i w Warszawie i w Krakowie moją ostatnią komedię pt. *Przyjaciele Hioba* — w Warszawie przed dwoma tygodniami po raz pierwszy, a w Krakowie przed dwoma dniami we wtorek. Podobała się i tu i tam według wszystkich wiadomości z Warszawy a naocznego przekonania się w Krakowie.

Ciągle jestem na wyjezdnem do zakładu hydropatycznego, ale ciągle mi coś zawadza. Wprzód nie chcieli mnie puścić lekarze obawiając się, żeby mi droga nie zaszkodziła, potem przyszły deszcze i zimna, i tak ciągle coś mnie zatrzymywało, spodziewam się jednak, że najdalej za dni dziesięć wyruszę. Do Steinerhofu już nie pojadę, bo miejsca zabrakło na czerwiec, prawdopodobnie poprzestanę na Priessnitzthal pod Mödling, gdzie utrzymuje zakład dr Gumplowicz, brat dawnego redaktora *Kraju*. Jak tylko stanę na miejscu, doniosę Drogiemu Ojczulkowi.

Dobrze by było, żebym się mógł choć trochę odgryźć, bo tak, jak jest, zaczyna mi się przykrzyć na dobre.

Lutostański żonę swoją także do hydropatii wyprawia, widocznie, że wodna kuracja górą. Kossakowie na lato jak zwykle do Siąszyc się wybierają. Podobno w tym roku właśnie obchodzą srebrne wesele. Jak to czas szybko leci, doskonale pamiętam owe wakacje, w których byłem w Siąszycach podczas konkurów pana Juliusza, tak to się niedawnem wydaje, a to już ćwierć wieku upłynęło. Człowiek ani się spostrzegł, jak starość zawitała do niego i już prawie skończona cała komedia życia. Niechże choć naszym następcom lepiej będzie!

Tymczasem ściskam i całuję Najdroższego Ojczulka po tysiąc razy, a Szanownemu panu doktorowi Helbich i państwu Adamostwu przesyłam najserdeczniejsze pozdrowienia wraz z wyrazem głębokiego poważania i przyjaźni.

Nie tracę nadziei, że jeszcze będę mógł odwiedzić Konary i osobiście wszystkich powitać. Obiecują mi wystarać się o pozwolenie przyjazdu do Królestwa, być może, iż w jakiej pomyślniejszej chwili da się to wyrobić. Naturalnie, że pierwsza pielgrzymka byłaby do Konar.

Zanim to nastąpi, ściskam jeszcze raz Najdroższego Ojczulka i całuję Jego ręce

Adam.

Uwagi.

1. Szymanowski Wacław (1921—1886), redaktor *Kuriera Warszawskiego*, poeta i dramaturg (*Poezje i dramaty*. 5 tomów. Warszawa, 1884). Jego *Posąg* w Krakowie grany nie był.

2. Łoziński Władysław (1843—1913), powieściopisarz, historyk i historyk sztuki, długoletni redaktor urzędowej *Gazety Lwowskiej*, członek austriackiej Izby Panów.

93.

Dołęga d. 31 lipca 1880

Najdroższy Ojczulku!

Zadziwi Cię zapewne położona na nagłówku nazwa miejscowości, z której po dłuższem milczeniu list do Ciebie piszę, nie spodziewałeś się bowiem, że się znajdę nagle w ustroniu wsi galicyjskiej.

Nie pisałem drugiego listu z Priessnitzthalu, bo kuracja wodna zamiast spodziewanego polepszenia sprowadziła wielkie osłabienie. Musiałem wyjechać i powrócić do Krakowa, gdzie po przyjeździe, wskutek, zdaje się, przerwania splotu żylnego, doznałem tak strasznej hemorragii, że już myślałem o innym, lepszym świecie. Nie mogłem już nawet jeść, tylko żywiłem się mlekiem i rosołem. W tym stanie opiekował się mną mój przyjaciel Juliusz Mien, tłumacz Słowackiego, i wywiózł mnie na wieś do Dołęgi, która jest własnością pani Günther, matki żony Ignasia Maciejowskiego.

Byłem tam poprzednio parę razy zapraszany, ale nigdy się jeszcze nie wybrałem. Teraz dałem się namówić, co się stało bardzo szczęśliwie, bo powoli zaczynam odzyskiwać nieco siły. Z początku ciągle musiałem się pokładać, ale z każdym dniem lepiej mi było. Znalazłem też najtroskliwszą opiekę i wszystkie warunki moralnego i fizycznego dobrobytu, zdrowy pokarm i świeże powietrze, swobodę zupełną, życzliwość otaczających osób, dobry humor Ignasia, słowem, wszystko, co mogło korzystnie wpłynąć na polepszenie zdrowia. Wprawdzie nie mogę jeszcze ani dużo chodzić, ani pisać, ani myśleć, ale nie ma już porównania z tem, co było w Krakowie.

Towarzystwo w Dołędze składa się z samej pani Günther, wdowy, nadzwyczajnie zacnej i dobrej osoby, która jest prawdziwą opatrznością dla wiejskiego ludu, dalej z jej najstarszej córki, dzisiejszej pani Maciejowskiej, Ignasia Maciejowskiego, jej męża, i trzech jeszcze córek, panienek, z których najstarsza ma lat osiemnaście, a najmłodsza trzynaście. Prócz tego bawi tu obecnie wspomniany Juliusz Mien i Jaś Piędowski, kolega z Marymontu, który niedawno ze Syberii powrócił. Harmonia panuje doskonała, Ignaś niewyczerpany w dowcipach, potrafi czasem nawet mnie rozruszać. Od czasu do czasu pojawiają się sąsiedzi dla urozmaicenia upływających godzin.

Nie wiem jeszcze, jak długo tu zabawię, zapewne nie wypuszczą mnie, dopóki nie będę wzmocnionym należycie. Dlatego najdroższy Ojczulek niech raczy tu zaadresować list do mnie.

Adres: przez Kraków — Słotwinę w Dołędze, ostatnia poczta Szczurowa.

Kończę mój list całując Najdroższego Ojczulka po tysiąc razy. Szanownemu panu Doktorowi i państwu Adamostwu załączam wyrazy uszanowania i przyjaźni

Adam.

94.

Kraków d. 9 września 80
Ul. Łobzowska 99.

Najdroższy mój Ojczulku!

Pisałem poprzednio, niespokojny o przyjazd pana Lessla, teraz mogę Najdroższemu Ojczulkowi donieść, że wszystko dobrze się ułożyło. Nie byłem wprawdzie na kolei, gdyż przyjazd cesarza naruszył wszelki istniejący porządek, ale pan Lessel sam zajechał do mnie, jak się tego spodziewałem. Zabawił u mnie przez środę, czwartek, piątek, sobotę i niedzielę i dopiero w poniedziałek pojechał do Bukaresztu.

Z powrotem obiecał również u mnie się zatrzymać. W Krakowie znalazł swego kuzynka, młodego pana Lessla, co ma fabrykę giętych mebli, i Kinickiego, regenta z Radomia, syna mego dawnego profesora.

Uroczystości z powodu przybycia cesarza świetnie się udały w Krakowie z wyjątkiem może balu, na któryby zanadto wiele rozesłano zaproszeń i z tego powodu powstał ścisk niemożliwy.

Za to okrężne i wesele krakowskie na rynku wieczorem w oświetleniu sztucznych ogni przepysznie wyglądało. Cesarz cały czas tutaj był w różowym humorze, ale go popsuł sobie teraz na manewrach, te się bowiem fatalnie powiodły. Nieład miał być ogromny, manewrujące oddziały pogubiły się lub pospaźniały, ruchy wykonane zostały źle i wojsko poszło w rozsypkę, jak po istotnie przegranej bitwie.

Najwięcej miał zawinić jenerał Windischgrätz, ale ogółem całe manewra miały wypaść kopromitująco dla jeneralicji austriackiej Arcyksiąże Albrecht miał się nie posiadać z gniewu, a i cesarz stracił całkowicie dobry humor, który go nie opuszczał w Krakowie

Ja piszę ten list na wyjezdnem do Lwowa, gdzie od tak dawna się wybierałem a zawsze powstrzymany zostałem jakąś przeszkodą. Nie zabawię tam dłużej jak dni osiem, ale będę miał sposobność przyjrzenia się znowu przyjęciu cesarza przez Lwów i porównać z przyjęciem krakowskiem.

Na teraz list urywam, bo chwila wyjazdu na kolej już bliska Ściskam Najdroższego Ojczulka po tysiąc razy i załączam wyrazy uszanowania i przyjaźni dla Szanownego pana doktora wraz z całą rodziną

Adam.

95.

Kraków d. 24 września 1880
Ul. Łobzowska 99

Najdroższy mój Ojczulku!

Nareszcie powróciłem szczęśliwie z mojej lwowskiej wyprawy a powróciłem dosyć zadowolony tak z załatwienia osobistego interesu, jako też z różnobarwnych widoków, których byłem świadkiem

Lwów w rzeczy samej bardzo się wysadził na świetne przyjęcie dla cesarza, szczególniej iluminacja i pochód z pochodniami przedstawiały prawdziwie wspaniałe widowisko. Pochodowi mogłem się przyjrzeć doskonale, bo miałem miejsce na balkonie w namiestnictwie niedaleko balkonu, z którego przyglądał się cesarz, nie tylko więc cały pochód, ale i samego cesarza miałem na oczach.

Sześć tysięcy ludzi z różnokolorowemi lampionami z trzech stron trzema kolumnami okoliło plac przed gmachem, w którym zamieszkał cesarz. Za pomocą zręcznych ewolucyj różnobarwne światła układały się w najrozmaitsze desenie, aż wzorzysta fala światła, zatoczywszy olbrzymie półkole, zatrzymała się zostawiając wolne pole śpiewakom do wykonania przygotowanych kantat. Po ukończeniu chórów zabrzmiały głośne okrzyki i cały pochód, wijąc się jak wąż, przedefilował połączywszy w jeden łańcuch wszystkie trzy kolumny. Wszystko to wyglądało bardzo malowniczo, a cesarz stał na balkonie aż do końca przyglądając się przez całą godzinę.

Po ukończeniu pochodu zaczęła się przejażdżka po mieście dla oglądania iluminacji. Trzy były punkta kulminacyjne przedstawiające niezwykły widok: pierwszy, Wysoki Zamek, wyniosłe wzgórze nad miastem, oświecone stosami smolnemi i bengalskiemi ogniami, drugi, rynek z ratuszem, ubrany posągami i oświetlony *al giorno* płomieniami gazowemi, trzeci zaś, pałac sejmowy z ogrodem miejskim, gdzie cały gmach uwydatniał światłami piękne swoje architektoniczne zarysy i miał na froncie przepyszny transparent z cyframi i koroną, znaczonemi niby perłami na niebieskiem polu. Prócz tego wszystkie klomby ogrodu gorzały ogniami bengalskiemi, a ze wzgórza świętego Jura ponad ogrodem zapalone słońce elektryczne oświecało całą tę przestrzeń.

Oprócz iluminacji były jeszcze dwa bale przepysznie urządzone i teatr galowy, który jednakże najmniej się powiódł.

Poza obrębem cesarskich uroczystości były dwa bankiety dziennikarskie, wyprawione dla zagranicznych redaktorów, jeden przez redakcję gazety rządowej lwowskiej a drugi przez niezależne dziennikarstwo. Na oba byłem zaproszony i muszę przyznać, że dosyć były zajmujące.

Prócz tego musiałem oddać przynajmniej z jakie trzydzieści wizyt różnym znajomym, a na resztę czasu mi nie starczyło, bo po siedmiu dniach pobytu musiałem wracać do Krakowa na pierwsze przedstawienie *Kiejstuta*. Żal mi było wprawdzie opuszczać Lwów, ale wynagrodził mi za to Kraków przyjęciem nader entuzjastycznem mojego dramatu. Publiczność okazała się tym razem tak gorącą, jak to nie bywa w Krakowie.

List Najdroższego Ojczulka zastałem w domu za powrotem za przesłane życzenia jak najserdeczniej dziękuję, gdyby tylko zdrowia przybyło, to wszystko lepiej by poszło. W każdym razie sądzę, że już jestem na dobrej drodze, chociaż dotąd nie mogę powetować tak wielkiej a nagłej krwi utraty, anemia dotąd bardzo silna u mnie, jednakże stale zmierzam do poprawy.

Wielką mi przyjemność zrobił pan Stanisław Lessel, że z powrotem z Bukaresztu wstąpił i stanął chociaż na dzień jeden u mnie. On to jest tyle łaskaw, że ten list do Najdroższego Ojczulka zabiera i złoży moje gorące uściśnienia, gdyż niedługo ma być w Konarach.

Kończąc moje dzisiejsze pisanie, całuję po tysiąc razy ręce Najdroższego Ojczulka, a Szanownemu panu Helbichowi i państwu Adamostwu składam moje uszanowanie z najprzyjaźniejszem pozdrowieniem

Adam.

Uwagi.

Pierwsze przedstawienie *Kiejstuta* odbyło się w sobotę dnia 18 września 1880. W nr 216 *Czasu* z 21 IX ukazała się bardzo przychylna recenzja podpisana Z. P. — Grali: Kiejstuta — Rychter, Konrada — Żelazowski, Marię — Hoffmanowa. Teatr na dwóch przedstawieniach był przepełniony.

96.

Kraków d. 2 grudnia 1880.
Ul. Łobzowska 99.

Najdroższy mój Ojczulku!

Znowu upłynął miesiąc od ostatniego mego listu i czas szybko uchodzący upomina mnie, abym Ci przesłał świeżą wiadomość o sobie i jakie takie sprawozdanie z ubiegłego miesiąca.

Spokojniejszym był on od poprzednich, więc mniej przedmiotów nasuwa pod pióro, lecz za to nie daje powodu do skargi i posępniejszej myśli. Dotąd bowiem przynajmniej jesienna pora nie oddziałała zbyt szkodliwie, jak się tego obawiałem, na stan mojego zdrowia tak znacznie nadwerężonego w tym roku. Jakkolwiek bowiem postęp ku dobremu został nieco powstrzymany, przynajmniej nie napadła mnie dotąd żadna nowa dolegliwość, jak to poprzednio w tym roku bywało.

Najważniejsza sprawa, jaką byłem nieustannie w tym miesiącu zaprzątnięty, była to tak długo przewlekająca się sprawa mego obywatelstwa. Niecierpliwiła mnie ona do najwyższego stopnia, bo ciągle się zdawało, że już ostatecznie załatwioną zostanie, i ciągle nowe powstawały przeszkody i zwłoki. Gdy namiestnictwo przestało robić trudności, trzeba je było przełamywać w Wiedniu. Gdy zasadniczy spór został załagodzony, przyczepiono się strony formalnej, że przyjęcie do gminy lwowskiej, otrzymane i opłacone trzydziestu kilku guldenami, jest już przedawnionem. Uzyskałem potwierdzenia przyjęcia przez nową radę; uznano i to za niedostateczne i zażądano zupełnie nowego przyjęcia. Dla pośpiechu zdobyłem sobie przyjęcie przez gminę Półwsia Zwierzynieckiego, ale i potem jeszcze sprawa zalegla w biurach, a ja na próżno z dnia na dzień oczekiwałem rezultatu. Musiałem więc znowu szturmować do Lwowa i wreszcie dopiero dziś otrzymałem wiadomość, że dekret odpowiedni został podpisany.

Może sobie Drogi Ojczulek wystawić, że po dwunastu latach starań każdy miesiąc zwłoki musiał mnie bardzo niecierpliwić. Potrzeba było koniecznie uregulować raz moją pozycję, żeby nie być na łasce wypadków, ale dużo miałem kłopotu, nim doszedłem ostatecznie do celu.

Przechodząc do rzeczy mniejszej wagi, zapewne Ojczulek już się z gazet dowiedział, że się zawiązało w Krakowie „Koło Artystyczno-Literackie“, które Kossaka obrało prezesem, a mnie wiceprezesem. Zaledwie zdołałem podźwignąć tę wielką godność, gdy w ślad za tem Towarzystwo Muzyczne wybrało mnie swoim delegatem artystycznym.

Widocznie więc wszedłem w modę u krakowskiego narodu. W salonach arystokratycznych odbywają się literackie wieczory, na których komentują moje wiersze. Zresztą i zagranica stara się ostemplować mnie na swoim targu. Księgarz i wydawca lipski zgłosił się do profesora Germana, aby mu przetłumaczył na niemieckie moje poezje i, co więcej, przysłał mi z góry znaczne honorarium. Przed Wielkanocą mają się już ukazać w niemieckim handlu księgarskim.

Z Poznania nie miałem już dawno wiadomości bezpośrednich; nie chciałem się upominać, żeby samemu sobie więcej przykrości nie przyczyniać. Wybierałem się pojechać, ale dotąd ciągle miałem przeszkody, nie wiem nawet, czy na święta zdołam się wybrać. Obawiam się nawet wstrząśnień, które na mnie tak szkodliwie działają, jak to doświadczyłem przy zeszłorocznym pobycie nad Bałtykiem.

Do pana Teofilidego przesyłam na ręce kochanego Ojczulka karteczkę z powinszowaniem imienin; nie posyłam jej wprost, bo nie wiem dobrze adresu.

Zresztą nowin nie ma żadnych, chyba parę koncertów, na których byłem. Kossaków odwiedziłem niedawno; wszyscy zdrowi. pan Juliusz zajęty akwarelami, przeznaczonemi do albumu, mającego stanowić upominek ślubny dla następcy tronu. Dwie już wygotował: jedna przedstawia orszak Krakusów na błoniach, otaczający konno powóz cesarza austriackiego, druga zaś wesele krakowskie w oświetleniu sztucznych ogni na rynku krakowskim. Oba te obrazki bardzo piękne, pełno w nich ruchu, życia i wesołości. a konie takie, jak je to Kossak malować umie.

Otóż na dzisiaj wyczerpałem wszystko, teraz pozostaje mi tylko wyściskać Najdroższego Ojczulka na wszystkie strony, a ucałowawszy Jego ręce, złożyć swe uszanowanie i serdeczne pozdrowienia całemu domowi państwa Adamostwa wraz z Czcigodnym doktorem na czele.

Adam.

Uwagi.

German Ludomił (1852—1920), podówczas profesor szkoły realnej w Krakowie, później zasłużony krajowy inspektor szkół średnich, poseł do austriackiej Rady Państwa, tłumacz utworów polskich na język niemiecki i odwrotnie (*Faust* Goethego i i.). Wóycicki, *op. cit.*, s. 321, notuje tylko jeden jego przekład z Asnyka, tj. *Kantatę ku czci Kraszewskiego*. (*Magazin des Auslandes*, 1879, nr. 47).

97.

Kraków d. 20 grudnia 1880
Ul. Łobzowska 99.

Najdroższy mój Ojczulku!

Jestem nieco niespokojny nie odebrawszy dotąd odpowiedzi na mój list ostatni, pocieszam się jednak myślą, że Drogi Ojczulek, żeby dwa razy nie pisać, odłożył korespondencję, zamierzając dopiero na święta obdarować mnie swoim listem.

Nie mogę jednak czekać do tej chwili, bo sam pragnę zdążyć z moim listem na gwiazdkę, aby wziąść serdeczny udział w podwójnej uroczystości i złożyć swoje życzenia tak Kochanemu Ojczulkowi, jak Czcigodnemu Solenizantowi i całej Jego rodzinie. Główny to przedmiot na teraz, bo mimo woli święta Bożego Narodzenia wywołują cały szereg wspomnień, obracających się w kole uświęconej tradycji, i budzą tęsknotę do cieplejszego rodzinnego ogniska lub otoczenia dawnych prawdziwych przyjaciół.

Jeżeli nie można osobiście, miło chociaż myślą uczestniczyć w tradycyjnem zespoleniu serc kochających. Niechże więc będzie świątecznie i wesoło w konarskim dworze, aby i dla mnie spłynąć mogło nieco otuchy i rozradowania.

Ja sam pozostaję na święta w Krakowie, zaproszony zostałem do Lwowa i na wieś, ale nie miałem ochoty wyruszyć. Do Poznania zaś nie zostałem zaproszony, a nie czuję dostatecznej energii, aby zdobywać gwałtem stanowisko.

Na wilii będę prawdopodobnie u Sokołowskich, którzy mnie już dawniej zaprosili, a w pierwszy dzień świąt u Pawlikowskich.

Sewer chciał mnie gwałtem zabrać do Dołęgi, ale się obroniłem obiecując przybyć później.

Zimy u nas prawie nie było dotąd, a od kilku dni zupełnie wiosenne powietrze, i w południe, gdy słońce przygrzewa, termometr pokazuje dziesięć stopni ciepła.

Z obywatelstwem mojem nareszcie rzecz zupełnie skończona i jestem już prawdziwym Austriakiem i Galicjaninem. To moja gwiazdka tegoroczna, w każdym razie znacznie lepsza od tej którą mi w minionym roku zgotowała *difteritis*.

Nie piszę więcej, bo mnie prześladuje mocny ból głowy — proszę tylko, abyś raczył, Drogi Ojczulku, być tłumaczem mych życzeń i uczuć dla pana Adama i Jego zacnej małżonki a Szanownemu doktorowi doręczył załączony bilecik.

Ściskam Cię z całego serca i ojcowskie Twe ręce po tysiąc razy całuję

Adam.

98.

Kraków d. 27. lutego 1881
Ul. Łobzowska 99

Najdroższy mój Ojczulku!

Dzisiejszy list przede wszystkiem rozpocząć muszę tem, co główny jego przedmiot stanowi, i złożyć na czele przy nadchodzą-

cym dniu Twoich Imienin najszczersze i najgorętsze życzenia płynące z głębi uczuć synowskich.

Wraz z życzeniami najdłuższych i najszczęśliwszych lat posyłam Ci wszystkie uściski, któremi rad bym Cię obsypać, i wszystkie słowa miłości, które mi się cisną na usta, a których osobiście nie będę mógł wyrazić. Martwe litery zastąpić jeszcze muszą żywe uściski i słowa, lecz niechaj i one przemówią do serca Twego tak, jakbym ja pragnął przemówić, niech w chórze życzliwym Twoich najlepszych przyjaciół zabrzmią głośnym za zdrowie i pomyślność Twoją.

Teraz, przycisnąwszy się do piersi ojcowskiej i ucałowawszy Twe ręce, przystąpię do zwykłej listownej pogadanki.

Karnawał ku końcowi bardzo się ożywił w Krakowie, ja sam musiałem być dotąd na dwóch balach publicznych, na których przeznaczono mi rolę gospodarza. Były to bale: jeden na pomnik Mickiewicza, a drugi towarzystwa ś-tej Salomei. Na każdym z nich było kilka pięknych kobiet, szczególniej panna Rakowiecka z Królestwa i pani Gadomska, żona rzeźbiarza, krakowianka. Prócz tego mieliśmy ten tydzień poświęcony Deotymie, który (!) przyjechała z Warszawy, zaproszona na gospodynię balu mickiewiczowskiego.

W niedzielę przyjmowano ją u profesorów Zatheyów, gdzie bawiliśmy do drugiej, w poniedziałek właśnie ów bal mickiewiczowski, w środę przyjmowaliśmy ją w Kole Artystyczno-Literackiem, w czwartek wielkie przyjęcie u księżnej Marceliny Czartoryskiej, w piątek u profesorów Straszewskich, w sobotę, to jest wczoraj, bal u Tarnowskich — słowem, cały tydzień wypełniony Deotymą. Nie dość tego, dziś jest bal teatralny, a jutro najświetniejszy ze wszystkich, bal pożegnalny dla byłego prezydenta a dzisiejszego marszałka Zyblikiewicza.

Będzie to bal kostiumowy i odbędzie się w Sukiennicach; kostiumy będą bądź to wiejskie z różnych okolic kraju, bądź historyczne polskie z siedmiu różnych wieków. Pani Sokołowska będzie ubrana jak Kinga, pani Gadomska, jeżeli się nie mylę, jako Barbara. Deotyma również wystąpi na tym balu, ale pewnie nie kostiumowana.

Z wyborem na prezydenta już się w Krakowie załatwiono i obrany został dotychczasowy wiceprezydent Weigel. Teraz nastąpią wybory do Rady Państwa. Tu postawiono także moją kandydaturę, ale ja jej się na teraz zrzeknę, bo jeszcze jest przedwczesną. Wystąpię dopiero w takim razie, jak już pewnym będę zwycięstwa, a muszę tem oględniej postępować, że nie mam jak inni środków, ażeby łożyć na agitację wyborczą, a choćbym je posiadał, z zasady byłbym przeciwny wszelkiemu pozyskiwaniu głosów pieniędzmi. Nic jednakże nie szkodzi, że kandydatura została postawioną, może się to przydać na przyszłość. Teraz walka wyborcza rozstrzygać się będzie między Zatorskim, profesorem uniwersytetu, i kandydatem stronnictwa *Czasu* — Machalskim, adwokatem, kandydatem tak zwanych postępowców, i Warschauerem, doktorem medycyny, kandydatem żydowskim. Prawdopodobnie Zatorski wyjdzie z urny wyborczej

Oto główne wiadomości z różnych dziedzin. Z nowinek prywatnych donieść mogę, chociaż z zastrzeżeniem, bo jeszcze rzecz stanowczo nie rozstrzygnięta, że panna Zofia Kossak gotowa bardzo świetną partię zrobić. Zakochał się w niej bowiem młody Horodyski z Hrubieszowskiego, którego ojciec posiada z pewnością przeszło 2 miliony rubli. O ile słyszałem, mimo takiej różnicy majątkowej ojciec młodego człowieka nie sprzeciwia się wcale temu związkowi.

Na karnawał przyjechał także Sewer z żoną i stanął jak zwykle u mnie, tylko, naturalnie, bez żony. Bawi również tu w Krakowie od dni dziesięciu Szymanowski, redaktor *Kuriera Warszawskiego*, i także doczekuje się balu dla Zyblikiewicza.

Wyczerpawszy mój plotkarski zapas i dobiegłszy do końca kartki, ściskam i całuję jeszcze raz Najdroższego Ojczulka.

Czcigodnemu panu doktorowi i Szanownym państwu Adamostwu załączam wyrazy uszanowania i przyjaźni

Adam.

Uwagi.

1. Deotyma (Jadwiga Łuszczewska) 1834—1908, słynna poetka-improwizatorka.
2. Hugo Zathey dr (1846—1896), profesor szkoły realnej w Krakowie i redaktor *Przeglądu Polskiego*, literat, krytyk i tłumacz Goethego (*Pisma zbiorowe*, wydane w Poznaniu, 1885).

99.

Kraków d. 30 marca 1881 r.
Ul. Łobzowska 99

Najdroższy mój Ojczulku!

Niesłychanie mnie zmartwiła tak niespodziewana śmierć śp. doktora Helbicha, wrażenie, jakie na mnie wywarła, było tem boleśniejsze, że oprócz osobistego żalu mogłem odczuć aż nadto dobrze, jaka to niepowetowana strata dla Ciebie, Najdroższy Ojczulku. Straciłeś najzacniejszego i najlepszego przyjaciela, w którym Cię tyloletnie wiązały stosunki, takiego ubytku nic zastąpić nie może i dlatego nie silę się nawet na słowa pociechy, która zwykle wobec naszych smutków pozostaje tylko martwą literą.

Nie spodziewałem się składając Ci życzenia na dzień 4-go marca, że tak rychło podobny cios Ciebie ugodzi, przedostatni jednak Twój list wzniecił już we mnie wielką obawę i wkrótce wyczytałem w dziennikach, że sprawdziło się to, czegom się lękał.

Na razie myślałem w samej rzeczy, aby pojechać do Ciebie, ale pora obecna tak nieszczęśliwa, że można by było zamiast pociechy przysporzyć Ci jeszcze więcej zmartwienia lub troski.

Donieś mi, Najdroższy Ojczulku, co myślisz zrobić? czybyś dla rozerwania myśli nie chciał przyjechać do Krakowa? — nie śmiem Cię bardzo namawiać, bo i tu niewesoło, ale gdyby Najdroższy Ojczulek uważał, że zmiana miejsca mogłaby dobrze na Niego wpłynąć, to szczerze bym się cieszył z przybycia.

Widziałem się z pp. Rudzkiemi, pocieszali mnie, że przynajmniej Ojczulek dość silnie wobec tego nieszczęścia wygląda. Pan Konstanty za to doskonale się trzyma, musi mu być wcale nieźle na świecie. Nie wiem, czy Drogi Ojczulek odebrał książeczkę moich poezyj, którą przez okazję posłałem, jak również list, który drugiej powierzyłem osobie.

Okazje wprawdzie bywają dość częste, ale dla przesiania książki trzeba wybierać pewne osoby. Jest wiele bowiem ludzi, co się podejmie, a nie zrobi.

W Krakowie obecnie nowości niewiele, usposobienie poważne i nawet smutne. Mój stan zdrowia także nie jest świetnym i mimo woli myśl się nasuwa, że zakończenie nie jest dalekiem. Śmierć zacnego doktora także niemało wpłynęła na powiększenie rozstroju, w którym się obecnie znajduję, uprzytomniwszy cały szereg strat poniesionych.

Niechże Najdroższy Ojczulek przez swą pamięć i miłość dla mnie stara się zapanować nad żalem i boleścią i nie poddawać się przygnębiającym wpływom.

Prosiłbym o kilka słów doniesienia o stanie zdrowia i o zamiarach na najbliższą chwilę.

Ściskam Najdroższego Ojczulka po tysiąc razy i ręce Jego z rozrzewnieniem całuję.

Niech Cię Bóg umacnia i pokrzepia, Wujostwu i Siostrzyczce Zosi najserdeczniejsze pozdrowienia.

Przywiązany syn

Adam.

Uwagi.
Dr Adam Bogumił Helbich zmarł w Konarach dnia 19 marca 1881; pochowany 23 III 1881 w Warszawie.

100.

Kraków d. 13. kwietnia 1881.
Ul. Łobzowska 99.

Najdroższy mój Ojczulku!

Otrzymawszy w tej chwili list Najdroższego Ojczulka, ucieszony zapowiedzią przybycia, pośpieszam donieść, że oczekuję z niecierpliwością tej radosnej chwili i nie ruszę się nigdzie z Krakowa. Wszelkie wycieczki, choćby i do Poznania, odłożę na później, rad bym tylko wiedzieć, czy Najdroższy Ojczulek zjedzie na święta. Pora teraz zdaje się sprzyjać podróży, a ponieważ nocy nie trzeba zarywać, nie można się obawiać przeziębienia.

Rad bym być na kolei w chwili przybycia pociągu, a ponieważ przed świętami nie mógłbym się już spodziewać listownej odpowiedzi, będę w Wielką Sobotę na dworcu o godzinie wpół do szóstej po południu, w którym to czasie pociąg z Warszawy przychodzi. Wcześniej nie mogę się Ojczulka spodziewać, bo mój list

pewnie dopiero w piątek będzie doręczonym. Gdyby Drogi Ojczulek nie mógł, lub nie chciał wybrać się na święta, to mnie będzie łaskaw zawiadomić, kiedy Go mam oczekiwać.

Nie piszę obecnie dłużej, mając tak bliską nadzieję żywej, ustnej rozmowy. Ściskam tylko Najdroższego Ojczulka po tysiąc razy, a Wujostwu i Siostrzyczce Zosi zasyłam najserdeczniejsze pozdrowienia i życzenia szczęśliwego Aleluja.

Adam.

101.

Kraków d. 15 lipca 1881
Ul. Łobzowska 99 a

Najukochańszy mój Ojczulku!

Z przerażeniem, choć uspokojony własnoręcznym pismem Najdroższego Ojczulka, wyczytałem wiadomość o niebezpiecznej chorobie, którą dopiero co przebyłeś. Nigdy nie sądziłem, żeby w tej porze roku coś podobnego mogło się przytrafić, musiał się chyba Ojczulek zanadto zmęczyć i ulec gwałtownemu przeziębieniu. Na miłość boską, trzeba więcej zważać na siebie, gdyż o nieszczęście tak łatwo. Dobrze jeszcze, że na miejscu nie zbywało na opiece lekarskiej, a co więcej jeszcze, na czułej i opiekuńczej troskliwości obojga gospodarstwa, którym proszę także ode mnie złożyć stokrotne najserdeczniejsze dzięki. Ale zaklinam na wszystko, co drogie, bądź Ojczulek ostrożny i przez czas dłuższy unikaj wszelkiego zmęczenia, zrób to dla syna i wnuka.

Ja przez cały czas nie miałem nawet najmniejszego przeczucia co do Twojego stanu zdrowia i byłem pewny, że na wsi czujesz się jeszcze rzeźwiejszym i więcej ożywionym. Gdybym był się dowiedział, żeś dostał zapalenia płuc, byłbym doznawał niepokojów graniczących z zwątpieniem. Szczęście, że teraz znajdujesz się w zupełnej rekonwalescencji, tak że już nawet obiadujesz razem z Gospodarstwem.

Co się mnie tyczy, to byłem i jestem zaprzątnięty ciągle sprawami czysto praktycznej natury. Z jednej strony sprawa pomnika Mickiewicza i wybory do Rady miejskiej krakowskiej absorbowały moją uwagę, z drugiej zaś osobiste interesa tyczące się to nafty to znowu mojego domku. Co do ostatniego punktu, to jak Ojczulkowi wiadomo, furtka nasza wychodzi na placyk naprzeciwko młyna. Otóż magistrat, chcąc znieść szopę należącą do młyna a wystającą na ulicę Łobzowską, ugodził się z młynarzem, że mu zapłaci trzy tysiące złr i odda mu na własność cały placyk między młynem a moją posiadłością. Otóż w takim razie zostałbym zamurowanym i nie miałbym do podwórza i ogródka żadnego innego przystępu, tylko przez swoją wąską sionkę. Staram się więc ile sił zapobiec tej ostateczności i żądam, żeby mi od ulicy Łobzowskiej aż do furtki i placyku tego wykroili choć trzy metry przystępu na szerokość.

Gdyby ta furtka miała dawniej legalną egzystencję, prawa moje byłyby niewątpliwe i mógłbym być spokojnym, ale magistrat aż nadto dobrze wie, że przeszły właściciel zrobił ją ukradkiem i że mu posłano rozkaz zamurowania, którego on jednak nie wykonał. W tym więc razie szanse nie są zupełnie pewne. Pilnując tego interesu, nie mogę się nawet ruszyć z Krakowa, chociaż wszyscy prawie znajomi już wyjechali.

Pawlikowscy są już w Ischl (Salzkammergut, niedaleko Salzburga) — Byliccy pojechali do rodziców do grodzieńskiej gubernii, Ryx do Zakopanego, do Zakopanego również Biechońscy, pani Kossak, Bartelsowie, przy tem połowa Krakowa i Warszawy; Sokołowscy udali się na wieś — słowem, nie ma prawie żywej duszy w Krakowie.

Po długich słotach zaczęły się teraz upały, które pobyt w mieście czynią nieprzyjemnym. Miałem jednakże miłą niespodziankę przed kilku dniami. Wchodzi do mnie mężczyzna z dorosłym synem i pyta, czy zgadujesz kto jestem, przypatrzyłem się przez kilka sekund i zawołałem: Rapacki! — Rzeczywiście był to Rapacki, kolega szkolny, którego 28 lat nie widziałem, zawołany matematyk w swoim czasie, a dziś rejent w Warszawie, gdzie mu się bardzo dobrze powodzi. Przejeżdżał do Greffenberga i zatrzymał się na dzień jeden w Krakowie z żoną, synem i córką. Naturalnie że poszedłem z nim do jego rodziny i cały dzionek razem spędziliśmy.

Oto wszystkie najświeższe wiadomości.

W przedmiocie ozdobnej oprawy nie mogę zadowalającej dać odpowiedzi, w Krakowie kunszt introligatorski stoi bardzo nisko trzeba by się chyba udać do Lipska. Gdyby Drogiemu Ojczulkowi wydawało się koniecznem, tobym poczynił stosowne kroki, a przede wszystkiem zasięgnął informacji.

Ściskam Najdroższego Ojczulka po tysiąc razy, całując Jego ręce, a Szanownym państwu Adamostwu wraz z przyjaznem pozdrowieniem składam wyrazy wdzięczności i poważania

Adam.

Uwagi.
Artur Bartels (1818—1885), piosenkarz, satyryk i rysownik.

102.

Kraków d. 1 września 81 r
Ul. Łobzowska 99

Najdroższy mój Ojczulku!

Od czasu mojej choroby nie pisałem jeszcze do Najdroższego Ojczulka, gdyż bardzo leniwie do sił i zdrowia powracałem, mając w dodatku różnych kłopotów pod dostatkiem. Nareszcie zjawił się Sewer i zabrał mnie na wieś ze sobą, gdzie 25-go zeszłego mie-

siąca obchodziliśmy wesele siostry jego żony, która wyszła za notariusza, czyli, jak u nas mówią, rejenta Wolskiego. Gości było co niemiara, pewnie z jakie siedemdziesiąt osób, tańcowano całą noc, jak to zwykle w podobnych razach bywa. Najoryginalniejszym ustępem całego wesela był orszak konny włościan w krakowskich świątecznych sukmanach, który towarzyszył pannie młodej do kościoła i na powrót z pochodniami ją odprowadzał przy karetach weselnej drużyny. Starsi gospodarze ze wsi byli także gośćmi na weselu, a samorodny wiejski pirotechnik urządził wcale niezłe ognie sztuczne i transparenta. Kłopot za to dla gospodyni i domowych był olbrzymi, pani Ginter zapowiedziała córce młodszej, że musi długo czekać, zanim się ją namyśli wydać za mąż. Po ślubie, jako się wszyscy rozjechali, zacząłem dopiero kosztować słodkiego wiejskiego spokoju, ale zaraz przyszły listy wzywające mnie do Krakowa. Nie bardzo chętnie jechałem, ale za to w nagrodę zastałem w domu list Drogiego Ojczulka, którego mi na wieś nie odesłano. Dziękuję więc za niego najserdeczniej, chociaż podziękowanie jest nieco spóźnionem. Przykro mi tylko, że nie mogę od razu zadość uczynić życzeniu Ojczulka co do przesłania dwóch pierwszych tomów, Gubrynowicz bowiem dotąd nie uzyskał dla nich od cenzury wstępu do Królestwa i dlatego wcale je w obieg nie puścił. Zapewne niedługo to nastąpi i wtedy bezzwłocznie postaram się, żeby wyekspediowano do Warszawy, ale teraz jest niepodobieństwem.

Jutro powracam do Dołęgi i jeszcze z parę tygodni zabawię — do Krakowa wpadłem bowiem tylko na dni dwa.

W Krakowie dotąd trwa tylko przejazd obcych, ale znajomi po większej części bawią jeszcze poza obrębem miasta. Pawlikowscy byli w Ischl, a teraz mieli pojechać do morza, zazdroszczę im po trosze, bo mnie kąpiele morskie bardzo dobrze przed trzema laty zrobiły, ale nie mając na to środków muszę być zadowolony, że mam miłe schronienie na wsi, gdzie mi wszyscy są radzi i gdzie Sewer (Maciejowski) wesołym swym humorem rozprasza wszystkie posępniejsze myśli. Lepszego przytuliska nie mógłbym dla siebie wymarzyć. Dom gościnny bez żadnej etykiety, a jednak z dobrym smakiem i inteligencją, swoboda zupełna i serdeczność: oto, co właśnie pobyt przyjemnym czyni.

Najdroższy Ojczulek raczy odpowiedź swoją zaadresować do mnie na wieś, adres następujący: Galicja. Przez K r a k ó w, S ł o t w i n ę. A... A. w D o ł ę d z e, o s t a t n i a p o c z t a S z c z u r o w a.

Tymczasem ściskam Najdroższego Ojczulka po tysiąc razy i zasyłam serdeczne pozdrowienia Szanownym państwu Adamostwu

Spotkałem Piramowicza właśnie dzisiaj, pytałem go o Konary, ale nie umiał mi nic powiedzieć, tylko to, że widział nie tak dawno pana Adama w Radomiu.

Oczekuję odpowiedzi w Dołędze i całuję jeszcze raz ręce Najdroższego Ojczulka

Adam.

103.

Dołęga d. 8 września 1881 r.

Najdroższy Ojczulku!

Pisałem przed tygodniem z Krakowa; prawda, żem się zapóźnił z listem, a jeszcze, być może, nie doszedł rąk Najdroższego Ojczulka, jak za tem przemawia wiadomość, którą Sewer [1] otrzymał. Niechże Najdroższy Ojczulek będzie spokojny o mnie, gdyż teraz stan mego zdrowia jest bardzo zadawalniający. Służy mi pobyt na wsi i miła a wesołe towarzystwo przyczynia się znacznie do lepszego usposobienia. Nie wiem, jak długo zabawię, pragnąłbym bowiem korzystać z jesieni, jeżeli piękną będzie, aby wynadgrodzić sobie za przekawęczone lato. W przeszłym liście donosiłem o weselu w Dołędze i o całym ruchu, jaki panował. Dziś cicho i spokojnie, więc nie ma co opisywać, lecz choć ten brak przygód i wrażeń niekorzystnie oddziaływa na korespondencję, wpływa za to dobroczynnie na nadwątlony organizm i stanowi dla mnie najlepszą możliwą kurację.

Mam nadzieję, że list poprzedni całkowicie nie zaginął i że uspokoi Ojczulka, zanim ten stanie na miejscu.

Ściskam i całuję ręce Najdroższego Ojczulka po tysiąc razy. Szanownym państwu Adamostwu zasyłam serdeczne pozdrowienie

Adam.

104.

Kraków 3 października 81 r.
Ul. Łobzowska 99

Najdroższy mój Ojczulku!

Przedwczesne mrozy wygnały mnie z wiejskiego ustronia prędzej niż się spodziewałem, początek bowiem jesieni stał się niejako początkiem zimy. Nie wiem, czy to samo miało miejsce w Królestwie, ale u nas od 23-go września rankami woda zamarzała, w niektórych zaś okolicach mróz dochodził do pięciu stopni i w dodatku spadły śniegi obfite. Trzeba się więc było pożegnać z gościnną Dołęgą i wrócić na zimowe leże do Krakowa, co uskuteczniłem przedwczoraj.

O całym pobycie na wsi niewiele, naturalnie, mam do powiedzenia. Dzień za dniem upływał mniej więcej jednakowo w towa-

[1] Na drugiej kartce listu list Sewera, u którego Asnyk bawił w Dołędze

Dołęga d. 7 września 1881 r.

Szanowny i Drogi Panie Dobrodzieju! Adaś zdrów i wesół bawi w Dołędze — jest nadzieja, że wytrwa do końca września. Kocha Swego Ojca i pisze do Niego.

My tu wszyscy cieszymy się zdrowiem Szanownego i Drogiego Pana dziękując mu za tak przyjemnego syna.

Panie moje łączą wyrazy pozdrowienia i szacunku, a ja całuję Jego zacne ramiona

sługa
Ignacy Sewer Maciejowski.

rzystwie uszczuplonej już teraz rodziny. Jedyną rozmaitość stanowiło przybycie jakiego nowego żywiołu, jak na przykład siostry Sewera, która wracając ze Szczawnicy, z córką wstąpiła do Dołęgi i tydzień w niej zabawiła. Zresztą trzeba było być współczującym świadkiem kłopotów agronomicznych, które w tym roku z powodu braku najemnika są niesłychane w tamtych stronach. Nie można było żadną miarą zdążyć z zasiewami, a tu na dobitkę przyszły tak wczesne mrozy. W Konarach pewnie taki wypadek nie mógł mieć miejsca, bo gospodarstwo od dawna wyposażone sowicie we wszystkie środki, ale w Dołędze, gdzie nie ma dostatecznej liczby inwentarza i narzędzi, taki stan rzeczy dał się bardzo we znaki. Sewerowi większa połowa łubinu została w polu i będzie musiał zaorać, tracąc ziarno przeznaczone na sprzedaż.

Jakkolwiek porzuciłem już te przyjemności i kłopoty wiejskie, nie miałem jeszcze dość czasu wdrożyć się w ruch i życie miasteczka i niewielu dotąd widziałem znajomych.

Pawlikowscy jeszcze gdzieś są u morza, podobno w Ostendzie, i dopiero w drugiej połowie października mają ściągnąć do Krakowa. Widziałem tylko Biechońskiego, Bylickiego, Ryxa i Kossaka. Być może, że mi wypadnie w tych dniach pojechać jeszcze do Gorlic w interesie naszej kopalni, która od miesiąca już obiecuje, ale dotąd nic dać nie chce. Może moja bytność nakłoni ową obiecującą studnię do wypełnienia się naftą po same brzegi, czego jej i sobie życzę. Że nafta ukrywa się tam w głębi, dowodzi tego kamień przesiąknięty naftą, którego pokłady przebijamy, ale kiedy dobierzemy się do rezerwoaru, tego przewidzieć trudno. Studnia posiada dopiero 25 sążni głębokości, a często trzeba kopać do stu i więcej. Każdy zaś sążeń w pewnej głębokości bardzo wiele już kosztuje i dlatego to na wcześniejszem pokazaniu się nafty tak wiele zależy. Prognostyki co do naszej studni są jak najlepsze, ale rad bym bardzo widzieć je już urzeczywistnione.

W niedalekiem sąsiedztwie tego gruntu, który my posiadamy zaczął kopać pewien nauczyciel szkół niższych, człowiek bardzo ubogi, ale tak szczęśliwie trafił na grubszą żyłę nafty, że w przeciągu czterech lat zakupił kilka ładnych wsi i znaczne kapitały zgromadził. Przykład jego jest bardzo zachęcający, ale są także inne, odstraszające, bo są inni, co bez najmniejszego rezultatu zakopali w ziemi znaczne kapitały.

Dlatego też lepiej i w liście opuścić problematyczne naftodajne tereny a natomiast podziękować Najdroższemu Ojczulkowi za nadesłane w dniu mych urodzin życzenia i wiadomości o pomyślnym stanie zdrowia. Obawiam się tylko, żeby teraz przy chłodach jesiennych Ojczulek znowu się nie zaziębił i dlatego upraszam o nadesłanie mi świeżych szczegółów.

Państwo Adamostwo zapewne są jeszcze u morza, gdyż wnosząc z poprzedniego listu dość późno wyjechali.

Ściskam Najdroższego Ojczulka po tysiąc razy i oczekuję łaskawej odpowiedzi

Adam.

105.

Kraków d. 10 paźdz. 81 r.

Najdroższy mój Ojczulku!

Wobec tak wielkiego nieszczęścia, jakie dotknęło znów naszą rodzinę, wobec osierocenia i boleści biednej naszej Wujenki, nie śmiem już nalegać, abyś, drogi Ojczulku, wybrał się teraz do Krakowa, na przekór naturalnym uczuciom, które zatrzymują Cię w podobnej chwili przy stroskanej wdowie.

Jakkolwiek cieszyłem się ciągle na Twoje przybycie, wolę zgodzić się na Twoją radę dalszej zwłoki, niż dopominać się natarczywie jak wierzyciel spełnienia obietnicy przy tak zmienionych warunkach. Nie chciałbym mieć sobie do wyrzucenia, że postępuję bezwzględnie, odrywając Cię gwałtem z dotkniętego żałobą domu.

Zresztą kto wie, czy po przebytych wzruszenia(ch) dłuższa podróż w tej ostrej jesiennej porze nie przyniosłaby jakiej ujmy Twemu zdrowiu. Bałbym się narażać Ciebie, gdy sam tę wątpliwość podajesz, inaczej musiałaby spaść na mnie wielka odpowiedzialność za wszelkie pogorszenie Twego zdrowia.

Będę więc czekał znowu do wiosny jako do więcej sprzyjającej pory, stosownie do wyrażonego w liście życzenia, może przynajmniej wtedy na dłuższy czas do mnie się wybierzesz.

Wujence racz, Najdroższy Ojczulku, wyrazić cały mój żal i boleść z powodu tego nowego ciosu, który spotkał naszą rodzinę. Wiem, że w takich razach wszelkie słowa pociechy są niewystarczające — można się tylko dzielić smutkiem i łzami, których otrzeć nie podobna.

Kończę, ażeby list mój stosownie do życzenia mógł jak najrychlej dojść do rąk Twoich.

Ściskam Cię po tysiąc razy.

Biednej drogiej Wujence ręce całuję

Adam.

106.

Kraków d. 3 listopada 1881
Ul. Łobzowska 99

Najdroższy mój Ojczulku!

Pisząc do Wuja, miałem zamiar od razu w dalszym ciągu napisać do Kochanego Ojczulka, ale zaskoczyły mnie wizyty, które odroczyły chwilowo to dobre przedsięwzięcie. Przyłączył się i ból głowy, więc sam się nie spostrzegłem, jak dwa dni zeszły od chwili, w której mój list zapowiedziałem. Nie chcę zwlekać dłużej, choć jeszcze dzisiaj ciężko, i mroczno w mojej głowie, tak, że mi nie łatwo przyjdzie logicznie i z sensem list napisać. Wina to przedwczesnej zimy, która swem wczesnem przyjściem zmroziła nagle wszelkie lepsze usposobienie tak moralne, jak fizyczne. Tego roku

więcej jeszcze niż poprzednio obawiam się tej długiej zimy, bo w lecie wcale się nie pokrzepiłem, tylko przeciwnie, najlepsze miesiące, lipiec i sierpień, strawiłem w domu na słabowaniu.

We wrześniu, choć byłem na wsi, niewiele jednak odgryźć się mogłem przy przedwczesnych chłodach.

Gubrynowicz nareszcie puścił w handel księgarski nową edycję dwóch pierwszych tomów i dlatego rad bym Drogiemu Ojczulkowi przesłać jak najprędzej. Możnaby to uczynić przez księgarnię Gebethnera, ale w takim razie dostałby Ojczulek tylko edycję przeznaczoną dla Królestwa, z której cenzura wiele rzeczy wyrzuciła, dla przesłania zaś edycji pełniejszej trzeba by znaleźć jaką pewną okazję, a zatem zwłoka byłaby nieunikniona.

Pozostawiam więc obie alternatywy do wyboru, a zastosuję się do wyrażonej woli.

W przeszłym miesiącu wyjeżdżałem do Gorlic w interesie kopalni naftowej. Nazywam ją pompatycznie kopalnią, chociaż właściwie dotąd składa się tylko z jednej studni, doprowadzonej dopiero do 56-ciu metrów głębokości.

Właściwych rezultatów nie tak prędko można się spodziewać, ale że nafta się odnajdzie, to rzecz niewątpliwa, pytanie tylko w jakiej ilości? Sączy się już i teraz przez kamień, ale w kropelkach, któremi można ledwie napełnić flakonik, ale musi być w znaczniejszej ilości pod pokładem kamienia, który teraz przebijają. Pokład to jednak bardzo pracowity dla swej twardości, w ciągu pięciu dni zaledwie o czwartą część metra zdołano pogłębić studnię. Na szczęście podobne żyły zwykle nie mają grubości więcej nad półtora metra.

Dość już o nafcie, nie warto o niej więcej pisać, chyba w przyszłości, kiedy już wytryśnie przyzwoitym strumieniem i odpowiednie przyniesie korzyści.

W Krakowie ma podobno powstać nowy wielki dziennik od Nowego Roku, zaproszono mnie do objęcia felietonu, wcale by to źle nie było, mianowicie z powodów finansowych, ale dopóki rzecz nie przyjdzie do skutku, sceptycznie się na nią zapatruję. Tyle razy podobne projekta rodziły się i umierały, że liczyć na pewno nie można.

Znajomi wszyscy już nareszcie ściągnęli do Krakowa, nawet Pawlikowscy, którzy wrócili dopiero w połowie października.

Gospodarze rolni są tutaj w rozpaczy z powodu buraków i kartofli, które w znaczniejszej części pozostały pod ziemią i mogą być uważane za stracone. Również nie zdołano pozbierać ogrodowizn, jak brukwi, rzepy, marchwi, jarmuża, kalafiorów itp.

Pani Günther w Dołędze także o mało co nie straciła wszystkich kartofli, ale w jednym z ostatnich dni przed mrozami cała wieś przyszła jej z pomocą i wykopała wszystko. Lud wiejski umie także być wdzięcznym.

W Konarach zapewne taki gospodarz jak pan Adam na czas musiał ze wszystkiem nadążyć. Wprawdzie nie było go w domu

ale przy urządzonej dobrze maszynerii wszystko zawsze idzie swoim trybem.

Wygadawszy wszystko, co miałem na teraz do powiedzenia, nie pozostaje mi nic, jak wyściskać Najdroższego Ojczulka i ręce Jego po tysiąc razy ucałować.

Włodzio zdrów, jak mi poprzednio donoszono, teraz właśnie oczekuję nowej odpowiedzi, podzielę się nią z Ojczulkiem, gdy ją odbiorę.

Ściskam jeszcze raz

Adam.

Uwagi.
Poezje przez El... y. I-II. Lwów. Nakład Gubrynowicza i Schmidta, 1881.

107.

Kraków d. 14 listopada 1881 r
Ul. Łobzowska 99

Najdroższy mój Ojczulku!

Na drugi dzień po wysłaniu listu do Kochanego Ojczulka otrzymałem nawzajem list od Niego wraz z przekazem. Nie pośpieszyłem od razu zawiadomić i podziękować, zaspokojony tem, że dopiero co pisałem, źle jednak zrobiłem i przyznaję się do winy, która jest tem większą, że Drogi Ojczulek był niespokojny o los przekazu.

Wprawdzie na moje usprawiedliwienie posłużyć trochę może, iż przez cały tydzień miałem czas różnemi sprawami zajęty. Jednego dnia sąd polubowny, w którym byłem superarbitrem, drugiego posiedzenie komitetu pomnika Mickiewicza, potem posiedzenie Rady Nadzorczej Towarzystwa Zaliczkowego, którego jestem prezesem, potem konferencje w sprawie mającego założyć się dziennika, nareszcie przyjazd Biechońskiego z Gorlic i narada spółki naszej naftowej.

Co do tej ostatniej, posiadamy jeszcze fundusz zapewniający możność dalszego poszukiwania przez osiem miesięcy. Wydatki miesięczne dotąd wynosiły do stu reńskich, ale teraz podniosą się do dwustu z powodu konieczności kopania drugiej studni. Łaskawa pomoc Najdroższego Ojczulka może przyniesie szczęście, a bardzo bym się cieszył, gdybym na przyszły rok mógł przedstawić zupełnie dodatnie rezultaty i zwrócić to wszystko, co sobie Drogi Ojczulek prawie od ust odejmuje. Mamy wszelką nadzieję, że tak będzie, jakkolwiek nie liczymy na żadne nadzwyczajności.

Towarzystwo Zaliczkowe zaczyna także wydobywać się z trudnego położenia, w jakie go przeszła Dyrekcja wtrąciła .Będę miał niejaką zasługę, że się przyczynię do uratowania tej tak pożytecznej instytucji.

Dziennik prawdopodobnie przyjdzie do skutku, chodzi tylko o wybór politycznego redaktora, bo tej odpowiedzialności nie chciałbym wziąść na siebie.

W tym tygodniu oczekuję przybycia Sewera, który, naturalnie, zakwateruje się u mnie i trochę mnie rozchmurzy swoim niewyczerpanym dobrym humorem.

Zresztą nic nowego, o czem by warto było pisać, składam więc tylko najserdeczniejsze dzięki i ręce Kochanego Ojczulka po tysiąc razy całuję. Wszystkim najserdeczniejsze pozdrowienie

Adam.

Uwagi.

Kiedy prezesem Towarzystwa Zaliczkowego był Asnyk, trudno dziś oznaczyć, gdyż Towarzystwo to zostało zlikwidowane w czasie wojny.

108.

Kraków d. 12 grudnia 81 r.
Ul. Łobzowska 99

Najdroższy mój Ojczulku!

Na ostatni list mój nie otrzymałem dotąd żadnej odpowiedzi od Drogiego Ojczulka. Nie czekam już dłużej na nią tem więcej, że nadchodzi dla mnie zwykły termin korespondencji. Spodziewam się, że teraz łatwiej otrzymam odpowiedź, gdyż może nawet drogi Ojczulek nie pamięta, kto z nas ostatni pisał.

W Krakowie przychodzi nareszcie do skutku ów zapowiedziany dziennik, w którym ja także mam wziąść czynny udział. Przedwstępne układy i organizacja redakcji i administracji znużyły mnie już niepomału, we wszystkich bowiem dziełach ludzkich zachodzą różne niedokładności i zawady, z któremi trzeba się borykać.

Ale cóż robić, zapuściwszy się raz na tę drogę, trzeba iść dalej naprzód. Dziennik zacznie wychodzić od Nowego Roku, epoka więc świąt Bożego Narodzenia będzie bardzo niespokojną.

Dotąd jeszcze nie ma prospektu, bo założyciel pojechawszy do Wiednia spóźnił się z powrotem i ledwie w ostatnich dniach pojawił się w Krakowie.

Oto jest najważniejsza wiadomość obecnej chwili i fakt, który mnie najwięcej absorbuje.

Zresztą Kraków zostaje pod wrażeniem kilku tragicznych wypadków, a najbardziej strasznej katastrofy pożaru w Ringtheater w Wiedniu, w którym to wypadku około dziewięciuset osób życie utraciło. Między temi kilkunastu Polaków, a nawet jeden poseł do Rady Państwa, z żoną, nazwiskiem Pęgowski. Wielu naocznych świadków wypadku powróciło do Krakowa, między niemi paru, którzy mając bilet do teatru spóźnili się i przybyli wtedy, kiedy już ogień wybuchnął.

Nafta dokąd jeszcze się nie pokazała, ale zawiadowca kopalni ciągle nas cieszy nadzieją. Nadzieja jest to bardzo piękna rzecz, ale wolelibyśmy już pewność dającą się zrealizować na gotówkę. Na pięć miesięcy starczy nam jeszcze cierpliwości i pieniędzy, ale potem ukłonimy się bardzo pięknie i pożegnamy się z dalszem przedsiębiorstwem.

Znajomi nasi krakowscy wszyscy mniej więcej zdrowi, wielu z nich prosiło mnie, jak pani Trojacka, Pawlikowscy itd., aby przypomnieć ich pamięci Drogiego Ojczulka i załączyć serdeczne pozdrowienia.

Nie składam życzeń na nadchodzące święta, gdyż teraz byłoby jeszcze za wcześnie. Wolę przed wilią zgłosić się z nowemi wiadomościami, jeżeli jakie się odnajdą. Tymczasem całuję ręce Najdroższego Ojczulka po tysiąc razy i ściskam Go z całego serca, Wujostwu i Zosi przesyłam najczulsze pozdrowienia

Adam.

109.

Kraków d. 8 stycznia 1882
Ul. Łobzowska 99

Najdroższy mój Ojczulku!

Jesteśmy już w pełnym biegu nowego roku i nowego wydawnictwa. Idzie jak na początek i odpowiednio do galicyjskich stosunków wcale dobrze. Prenumeratorowie ciągle przybywają i kto wie, czy z czasem nie uda się postawić dziennik tak, że się będzie mógł utrzymać o własnych siłach.

Za to pracy i kłopotów wszelkiego rodzaju jest bardzo dużo, przez kilka dni byłem tak zmęczony, że się ledwie mogłem utrzymać na nogach. Wstaję teraz z wyjątkiem świąt i niedzieli o szóstej rano, a rzadko można przed dwunastą się położyć.

Dziennik bowiem jest to maszyna, która nigdy odpoczywać nie może, lecz poruszona w ciągły ruch, wciąż potrzebuje nowego materiału, który jej dostarczać potrzeba.

Z innych wiadomości na pierwszem miejscu położyć trzeba przyjazd pani Modrzejewskiej, która tu już parę tygodni bawi. Widziałem się z nią parę razy, raz nawet byłem na kolacji, którą wyprawiała na cześć skrzypka Joachima zaraz po jego koncercie.

Prócz tego pani Modrzejewska deklamowała na odczycie Horaina w Sukiennicach i miała grać w teatrze na dochód ofiar z ostatnich wypadków warszawskich, ale w sam dzień przedstawienia przyszedł rozkaz z Wiednia, ażeby teatr z obawy przed niebezpieczeństwem zamknąć natychmiastowo.

Pożar w Ringteatrze wiedeńskim i jego następstwa tak przestraszyły władzę, że wzięła się na ostro do teatrów i w Krakowie nie dozwoliła nawet na zapowiedziane już przedstawienie.

Wypadki warszawskie wywołały tu u nas smutne i przykre wrażenie. Jest jakaś epidemia w powietrzu, która się wszędzie rozszerza.

O Włodziu miałem świeże wiadomości na święta od doktora. Obiecał mi nawet przysłać świeżą jego fotografię, ale dotąd obietnicy nie (d)otrzymał.

Wszyscy znajomi przesyłają Ojczulkowi pozdrowienia i życzenia na rok nowy, między niemi Pawlikowscy, Trojaccy, Biechońscy, Byliccy itd.

Ja ściskam z całego serca Najdroższego Ojczulka i upraszam o śpieszną odpowiedź, ponieważ to już druga moja korespondencja po liście Ojczulka.

Wujostwo pozdrawiam i załączam najserdeczniejsze życzenia przy nowym roku

Adam.

Uwagi.

1. Nowe wydawnictwo, to dziennik *Reforma*, który zaczął wychodzić 1 I 1882. Asnyk podpisywał dziennik jako wydawca, dr Tadeusz Rutowski jako redaktor odpowiedzialny. Założycielem i właścicielem dziennika był Jan Czerwiński.

2. Józef Joachim (1931—1908), jeden z najświetniejszych współczesnych mistrzów gry skrzypcowej.

3. Horain Julian (1821—1883), literat, od r. 1871 przebywał pod Nowym Jorkiem, skąd przesyłał korespondencje do pism warszawskich. W r. 1880 wrócił do kraju, umarł w Krakowie 1883.

110.

Kraków dnia 22 stycznia 1882
Redakcja *Reformy*, ulica św. Jana l. 13.

Najdroższy mój Ojczulku!

Mea culpa, mea maxima culpa. Przyznać się muszę z całą szczerością do winy, żem dotąd przyrzeczonego listu na Rok Nowy nie napisał. Wymówek dobrych mógłbym przytoczyć bardzo wiele, ale to wszystko nie zmienia postaci rzeczy, żem listu nie napisał. Nie chorowałem wprawdzie wedle wszelkich przepisów sztuki lekarskiej, to jest nie leżałem w łóżku, jednakże zapas zdrowia, przywieziony z morza, znacznie się już wyczerpał. Według zamierzonego planu miałem wyjechać na święta do Dębicy i nawet napisałem, aby mnie konie czekały, w dniu wyjazdu wszakże czułem się o tyle niezdrów, żem musiał telegraficznie odwołać mój przyjazd.

Stąd też i święta moje przeszły bardzo cicho, po większej części w domu. Raz tylko byłem u Pawlikowskich, a drugi raz u Lutosłańskich na obiedzie. Na Nowy Rok zwaliło się za to dużo interesów dziennikarskich tyczących się zarówno wewnętrznych spraw redakcji, jak i administracyjnych wydawnictwa. Z początkiem bowiem roku zaczyna się nowe regulowanie nakładu.

Drogi Ojczulek w poprzednim swoim liście doradzał nam odstępowanie pewnego procentu z inseratów na rzecz pomnika Mickiewicza. Środek ten jednak w Krakowie nie osiągnąłby zamierzonego celu, ponieważ dla zagranicznych kupców i przemysłowców nie byłoby to żadną zachętą, miejscowym zaś idzie przede wszystkiem o wytargowanie jak największego ustępstwa. Zmuszeni jesteśmy dawać za bezcen. Za to w samym dzienniku żywo się zajmujemy nie tylko składkami na pomnik Mickiewicza, ale zarazem na wszystkie publiczne cele, których tu jest tak dużo, i sami pierwsi dajemy przykład ofiarności.

Potrzeb jest tu co niemiara, a pieniędzy bardzo mało, przynajmniej w ręku tych, którzy są do ofiar gotowi. I tak mamy tu

do popierania: pomnik Mickiewicza, weteranów z 1831 r., teatr poznański, Muzeum Narodowe, Towarzystwo Oświaty Ludowej, różne cele dobroczynne, rozwój domowego przemysłu po wsiach i miasteczkach, Towarzystwo Muzyczne, Tow. Pedagogiczne, Tatrzańskie, Rybackie, Koło Art.-Literackie, stowarzyszenia rzemieślników itd.

Przed dwoma tygodniami jako przewodniczący Towarzystwa Oświaty Ludowej byłem na uroczystości otwarcia czytelni ludowej w Bierzanowie, gdzie, dzięki gorliwości miejscowego kapłana, młodzież i starsi garną się z zapałem do nauki. Takich czytelni otworzy Towarzystwo Oświaty w okręgu krakowskim dwadzieścia kilka. Prócz tego zakładamy po wsiach praktyczne kursa sadownictwa, ogrodownictwa, pszczelnictwa i drobnego przemysłu i urządzamy wykłady popularne weterynarii, higieny, nauk przyrodniczych, technologii i ekonomii. Praca ta z czasem powinna wydać dobre owoce tem więcej, że po większej części lud wszędzie jest bardzo chętny, a znajdują się nawet gminy, które bez pomocy obywatela lub plebana same zawiązują się w towarzystwa i zakupują książki i dzienniki.

Rozpisałem się wprawdzie nad rzeczami mało zajmującemi, gdyż te na teraz u mnie na pierwszym planie stoją. Za to o towarzyskiem życiu i o karnawale niewiele mam do powiedzenia, gdyż na żadnym balu dotąd nie byłem.

Przesyłam życzenia zdrowia i pomyślności tak dla Najdroższego Ojczulka, jak i Najdroższej Wujenki i Siostrzyczki.

Ściskam i całuję ręce Drogiego Ojczulka po tysiąc razy.

Przywiązany syn

Adam.

Uwagi.

1. Pisze Asnyk o sobie jako o przewodniczącym Towarzystwa Oświaty Ludowej już w styczniu 1882. Tymczasem w redagowanej przez niego *Reformie* jest dopiero w nr 75 z 1 IV 1882 w kronice wzmianka, że Tow Oświaty Ludu jest bliskie wejścia w życie i że projekt statutu ułożono A w nr 80 *Reformy* z 7 IV 1882 jest wzmianka, że 6 IV odbyło się zebranie w tejże sprawie przy udziale 80 osób, które to zebranie przyjęło statut i wybrało tymczasowy Komitet, do którego weszli: Prezydent miasta dr Weigel jako prezes — a jako członkowie: Asnyk Adam, Bartoszewicz Kazimierz, dr Czesnak Feliks, dr Dadlez Wilhelm (referował statut), dyr. Gettlich, Jabłoński Wincenty, dyr. Maciołowski, Romanowicz Tadeusz, Szwarc Emil Zarański Stanisław i Żółtowski Ignacy. Komisję kontrolującą stanowili Gołąb Michał, Rzewuski Walery i Rząca Karol.

2. W związku z powyższym znajdujemy ciekawą notatkę w *Czasie* (nr 44 z 24 II 1883). *Czas* przytacza prawie *in extenso* z urzędowego pisma Kurii Biskupiej oświadczenie biskupa krakowskiego, ks. Albina Dunajewskiego który oświadcza się przeciw Tow. Oświaty Lud., zaznaczając między innymi że „z ustaw Towarzystwa musi wnioskować, że oświata ludu nie ma być oparta na wierze katolickiej, gdyż o wierze ani o Kościele nawet najmniejszej wzmianki nie ma..., (ma ono) kierunek niezdecydowany i przynajmniej obojętny w wierze." — Dalej ks. Biskup pisze: „Nie zapoznaję szlachetności celu, ale dopóki ustawy nie zostaną zmienione w tym kierunku, aby lud nasz zapewniony miał zdrowy, na wierze oparty pokarm dla duszy, dopóty dla katolickiego kapłana miejsca w niem nie ma, dopóty katolicki i polski kapłan popierać go nie może." Oświadczenie to nosi datę: 22 I 1883.

111.

Kraków d. 3 lutego 1882 r.
ul. Łobzowska 7

Najdroższy mój Ojczulku!

Zadziwisz się na wstępie, że na nagłówku zamiast 99-go pomieściłem numer 7, ale ponieważ nareszcie magistrat zajął się ponumerowaniem domów ulicami wedle kolejnego porządku, jak w innych miastach, mnie przypadła siódemka w udziale, jak o tem świadczy tabliczka, którą mi przybili nad domem. Nie jest to zbyt ważna wiadomość, ale ponieważ dotyczy adresu, przeto umieściłem ją na początku.

List Twój, Najdroższy Ojczulku, otrzymałem i dziękuję za wszystkie zawarte w nim wiadomości. Cieszę się, że dzięki Bogu zdrowie jeszcze służy i błagam tylko, aby Kochany Ojczulek pilnie zważał na siebie, a szczególnie strzegł się od zaziębienia.

Ma słuszność Drogi Ojczulek, że zajęcia dziennikarskie czas zupełnie pochłaniają i sprowadzają wiele trosk i kłopotów. Trzeba mieć nerwy jak postronki, żeby zachować krew zimną i obojętność.

Może bym się wycofał od razu, gdyby nie przeświadczenie, że wraz z cofnięciem się mojem byt dziennika zostałby zachwianym; żal mi więc w samym zarodzie przyczynić się do jego ruiny, a to tem bardziej, że jak na początek bardzo świetnie iść zaczyna. Mamy około tysiąc dwieście prenumeratorów, cyfra w Galicji w pierwszym kwartale istnienia dziennika niesłychana.

Jak dziennik stanie zupełnie na nogi, będę się mógł z czystem sumieniem usunąć, ale do tego czasu przynajmniej przez dwa kwartały jeszcze będę musiał trudnić się dziennikarskiem rzemiosłem, jeżeli nie nastąpią jakie nieprzewidziane okoliczności.

Zdarza mi się sposobność, o której już w przeszłym roku wspominałem, zrobienia wyprawy do Marokko. Ordęga został już mianowany tam posłem francuskim i przebywa w Tangerze. W marcu właśnie wraz z orszakiem poselskim całą karawaną udaje się do Marokko, aby sułtanowi tamtejszemu złożyć listy wierzytelne rządu francuskiego wraz z podarkami. Podróż przez pustynię i przyjęcie w Marokku w samej rzeczy bardzo ciekawe, w liście więc pisanym do siostry pan ambasador zaprasza mnie, abym przyjechał do Tangeru i z nim odprawił poselstwo.

Mam dwa tygodnie do namysłu, pokusa jest silna, sposobność wyjątkowa, kto wie, czy się nie zdecyduję. W takim razie uwiadomię Najdroższego Ojczulka i prześlę swój adres w Tangerze.

W Krakowie ruch karnawałowy bardzo ożywiony, balów publicznych i prywatnych mnóstwo, nie brak też skandalów wszelkiego rodzaju. Jeden z ważniejszych, historia z Kraszewskim, który wybierając się do Lwowa dla ufundowania Macierzy Polskiej (dla celów krzewienia oświaty ludowej) odebrał wiele listów z radami lub pogróżkami mającemi na celu powstrzymanie go od tej podróży Kraszewski odczuł to bardzo, rozchorował się i nie pojechał.

Drugi skandal, nie znany jeszcze szerszej publiczności, jest następujący: Na balu pomnika mickiewiczowskiego był obecnym marszałek, a niegdyś prezydent Krakowa, Zyblikiewicz. Wedle ustanowionego przez komitet porządku miał on rozpocząć bal polonezem w parze z żoną obecnego prezydenta, Weigla. Było to ze wszech miar stósownem i komitet przed samem rozpoczęciem poloneza przypomniał mu, że ma tańczyć z Weiglową, ale pan marszałek odezwał się na cały głos: „Nie będę tańczył z żoną tego durnia" — i wziąwszy panią Tarnowską, z nią rozpoczął poloneza. Następstwem tego jest to, że Weigel posłał dziś do Lwowa generała Millera, brata swej żony, i Leona Chrzanowskiego, posła do Rady Państwa, aby w jego imieniu wyzwali Zyblikiewicza na pojedynek. Bardzo ciekawa historia.

Chlebowski, malarz, o którego dopytuje Ojczulek, jest właśnie synem pani Chlebowskiej, naszej znajomej, a bratem żony Ludomira Biechońskiego. Dostał biedak pomieszania zmysłów. To samo nieszczęście nawiedziło dom genialnego Matejki, gdyż przed tygodniem właśnie pani Matejkowa zaczęła objawiać groźne symptomata choroby umysłowej i przed paru dniami musiano ją odwieźć do szpitala obłąkanych.

Zasypałem Najdroższego Ojczulka nowinami, teraz ściskam z całego serca, załączając pozdrowienie Kochanemu Wujostwu.

Uwagi.

1. Ordęga Władysław (1821—1896), Polak w służbie dyplomatycznej francuskiej, powołany i przenoszony był na stanowiska konsula względnie ambasadora: 1869 Bośnia — Sarajewo, 1873 Civita Vecchia, 1875 Palermo, 1977 Kartagena, 1880 Tryjest, 1881 Tanger, 1884 Bukareszt.

2. „Macierz Polska" — instytucja wydawnicza we Lwowie dla wydawania popularnych a wartościowych dziełek dla ludu, powstała z funduszów ofiarowanych Kraszewskiemu w roku jego jubileuszu (1879) i przez niego na ten cel przeznaczonych. Wydała szereg popularnych książeczek dla ludu, popularną *Encyklopedię*, a przede wszystkim tanie wydanie *Pana Tadeusza*. W związku z tym czytamy w nr 28 *Reformy* z 3 II 1882, że do Rady Nadzorczej Macierzy wchodzili: Kraszewski J. I., Prószyński (Konrad, znany pisarz ludowy pod pseudonimem Kazimierz Promyk, ur. 1851 zm. 1908), Henryk Szuman (z zaboru pruskiego) i jeden z posłów Sejmu galicyjskiego. Zaś do Rady Wykonawczej weszli: Jan Amborski, dr Kubala (Ludwik), dr Ochorowicz (Julian), ks. Siemiński i Władysław Bełza jako sekretarz.

3. *Reforma* z 2 II 1882 nr 27 donosi, że Janowa Matejkowa zachorowała niebezpiecznie.

4. Chlebowski Poraj Stanisław (1835—1884), nadworny malarz sułtana tureckiego.

112.

Kraków d. 2 marca 82 r

Najdroższy mój Ojczulku!

Po otrzymaniu ostatniego listu stósownie do rady Kochanego Ojczulka zawiesiłem moją podróż na kołku. Wprawdzie podróż ta nie przedstawiała bynajmniej tych trudności i niebezpieczeństw, jakie się z daleka przedstawiać mogły, jednakże wolałem wszelką

myśl o niej odrzucić od siebie, aniżeli sprawić Tobie, Najdroższy Ojcze, jakąkolwiek przykrość.

Pozostałem więc w Krakowie przy dzienniku, który mi prawie cały czas pochłania. Gdy się samemu nie pisze, trzeba odczytywać nadesłany materiał, z którego dziewięć dziesiątych się odrzuca, przyjęte zaś rzeczy najczęściej trzeba jeszcze poprawiać i nawet przerabiać, a w dalszym ciągu robić staranną korektę w druku. Prócz mojego działu, który wyłącznie na mnie spoczywa, trzeba jeszcze czuwać nad całością dziennika. Trzeba odbywać sesje redakcyjne, naradzać się nad ważniejszemi sprawami, które mają być poruszone, przeglądać artykuły wstępne, czuwać nad kroniką i dostarczać także do niej materiału, w razie pilnym tłumaczyć telegramy, a w dodatku załatwiać korespondencje redakcyjne, przyjmować różnych interesantów i gości i nadzorować administrację.

To wszystko przypada mi w udziale jako wydawcy podpisanemu na dzienniku, a ten zakres zajęć jest niemały, jak to Ojczulek osądzić może.

Brak mi czasu dla siebie i często przez kilka dni nie mogę chwili uchwycić, żeby przystąpić do napisania listu. Teraz opuściłem drukarnię, aby koniecznie wydążyć na dzień ś-go Kazimierza i przesłać Ci, Najdroższy Ojczulku, wszystkie najgorętsze życzenia zdrowia, czerstwości sił i spokoju w najdłuższe lata. Tyleśmy obydwaj przeżyli i przebolelі, że należy nam się jakaś pogodna chwila, którą byśmy mogli serca nasze obdzielić.

Z wiosną mam nadzieję, że drogi Ojczulek zjedzie znowu wedle obietnicy do Krakowa i obdaruje dłuższą obecnością biednego pustelnika.

Nowin na teraz niewiele po skończonym karnawale, najciekawszą dla Ojczulka jest może ta, że Zosia Kossak nareszcie jest już na dobre narzeczoną. Ślub ma się odbyć w kwietniu, a jej przyszły mąż nazywa się Romański, syn obywatela z Podola czy Wołynia.

Jest to młody i przystojny chłopak i jak mówią, bardzo przyzwoity.

O nafcie nic pomyślnego dotąd nie mogę Ojczulkowi donieść widocznie żartuje z nas i ukryła się głęboko pod ziemię, a tymczasem koszta kopania coraz większe tak, że dochodzą teraz do 250 złr miesięcznie. Z tego powodu uchwaliliśmy, że jak za dwa miesiące nafta się nie pokaże, to i kopać przestaniemy.

Przesyłając życzenia Najdroższemu Ojczulkowi, zapomniałem dodać, że życzę także, aby nafta obficie wytrysnęła, więc za to teraz zamieszczam tę poprawkę, której spełnienie zawsze do polepszenia humoru przyczynić by się mogło.

Teraz ściskam Najdroższego Ojczulka po tysiąc razy i ręce Jego z miłością synowską całuję.

Wujostwu najserdeczniejsze pozdrowienia

Adam.

113.

Kraków d. 6 kwietnia 82 r.
ul. Łobzowska nr 7

Najdroższy mój Ojczulku!

Przy nadchodzących świętach Zmartwychwstania chwytam pióro do ręki, aby Ci, Najdroższy Ojczulku, przesłać życzenia wesołego Alleluja.

Dość długo nie pisałem, gdyż liczne miałem przeszkody, a i teraz dorywczo tylko mogę się zabrać do listu.

Z dziennikiem miałem dużo kłopotu i zmartwienia i dlatego zdecydowany już jestem opuścić redakcję, a to tem więcej, że coraz gwałtowniej zapadam na oczy. Zachodzą one ciągle łzami i nawet dobrze widzieć nie mogę, a przy tem mam ciągłe uczucie palenia. Przeglądanie manuskryptów i korekta okropnie natęża wzrok i dlatego muszę czem prędzej to wszystko porzucić. Jak na teraz, to i pisać mi trudno.

Sewer był dopiero co w Krakowie na przedstawieniu swej sztuki, która mu się jednak nie bardzo udała. Zaprosił mnie do siebie na święta, ale nie mogłem pojechać, bo wszyscy prawie się rozjeżdżają i potrzeba, żeby ktoś przy dzienniku pozostał. Pojadę za to do niego w czerwcu, gdy się od wszystkich ciężarów zwolnię. W maju bowiem także nie będę się mógł ruszyć, gdyż zostałem wylosowany na sędziego przysięgłego i trzeba będzie zasiadać na sądach przez całe sześć tygodni.

Obowiązków społecznych mnoży się coraz więcej, tak że trudno wszystkim podołać. Niedawno byłem zajęty posiedzeniami Rady nadzorczej i walnem zgromadzeniem Towarzystwa Zaliczkowego, którego jestem prezesem, teraz znowu na porządku dziennym Towarzystwo Oświaty Ludowej, które rzeczywiście może zbawienną działalność rozwinąć. Swoją drogą Koło Literacko-Artystyczne, Towarzystwo Muzyczne i inne, gdzie na posiedzeniach wydziału bywać muszę, zabiera dosyć czasu. Czasem przytrafia się, że jednego dnia trzeba być na trzech posiedzeniach, co bynajmniej do rozkoszy życia policzyć nie można.

Tak byłem zajęty, że nawet podczas bytności Modrzejewskiej raz tylko jeden mogłem być w teatrze, gdy ona występowała, a drugi raz widzieć ją na poranku dramatycznym. Nawet osobiście mało z nią mogłem przestawać, bo tylko wszystkiego dwa razy się z nią spotkałem. Pojechała znowu do Londynu a stamtąd do Ameryki.

Złożyłem od Ojczulka pozdrowienia wszystkim wymienionym przez Niego znajomym i ci nawzajem przesyłają swoje, a w szczególności: Pawlikowscy, Trojackie, Chlebowska, Biechońscy, Ryxowie, Byliccy i Sewer z rodziną.

Najświeższa wiadomość z kopalni zapowiada lepszą nadzieję pokazała się bowiem woda zawierająca już w sobie naftę, ale nie ma jej jeszcze w sobie tyle, żeby ją warto było oddzielać. Jednakże należałoby według wszelkiego prawdopodobieństwa wnosić, że

wkrótce większa ilość nafty się pokaże. Daj Boże jak najprędzej i jak najobfiiciej, ażeby nasza cierpliwość została wynadgrodzoną. Można by w takim razie rozszerzyć roboty i zacząć trzecią studnię. Dotąd mamy dwie, jedną na siedemdziesiąt pięć metrów, z której właśnie wydobywa się teraz woda z cząstkami nafty, i drugą na 40 metrów dopiero. Ogromnie ciężka była w nich robota, gdyż trzeba było przedostawać się przez grube pokłady twardego kamienia.

Zresztą niewiele mam już do doniesienia. Po łagodnej zimie i przecudownej wiośnie, wskutek której rozwinęły się już liście na drzewach, teraz nieszczęściem nastały nocne przymrozki do trzech stopni niżej zera. Okropna zapanowała obawa, żeby prześliczne i niepamiętne urodzaje, jakie się pokazały, nie uległy zniszczeniu.

Kończę, ściskając Najdroższego Ojczulka po tysiąc razy i życząc najweselszego przepędzenia świąt w jak najlepszem zdrowiu. Również przesyłam te życzenia wraz z najserdeczniejszemi pozdrowieniami Drogim Wujostwu i siostrzyczce Zosi.

Ściskam wszystkich — Alleluja.

Kochający syn
Adam.

Uwagi.
Sztuka Sewera, o której tu mowa, to *Wielka polityka*: komedia w 3 aktach, grana z początkiem kwietnia 1882. Recenzent *Reformy*, podpisany „B" (Bylicki ?), odmawia tej sztuce oryginalności i dodaje, że dowcipy nawet na krakowską maskaradę za tłuste (nr 77 z 4 IV 1882). Znamienne, że pismo nie oszczędziło autora, swego przyjaciela.

114.

Kraków d. 3 maja 82 r
ul. Łobzowska 7

Najdroższy mój Ojczulku!

Właśnie zabierałem się pisać do Najdroższego Ojczulka, gdy zostałem uprzedzony Jego listem. Chciałem przede wszystkiem zanieść z mej strony gorącą prośbę, którą już w poprzednich listach wyrażałem, aby Drogi Ojczulek dotrzymał swej obietnicy i przyjechał do mnie przynajmniej na lato do Krakowa. Nawet ze względu na zdrowie pobyt w Krakowie będzie korzystniejszym teraz dla Ojczulka, niż w ścieśnionej Warszawie. Ogródek i planty dostarczą więcej świeżego powietrza, a zmiana miejsca pobytu także się przyczyni nieco do rozpędzenia smutnych i przygnębiających wrażeń, które po śmierci Sadkowskiego i Hajgdego (?) musiały koniecznie opanować umysł. Spodziewam się także, że i towarzystwo syna także cokolwiek oddziała na usposobienie, a zatem z tych wszystkich względów proszę i zaklinam, aby Drogi Ojczulek zdecydował się jak najrychlej i do mnie przyjechał.

Spodziewam się, że prośba moja będzie wysłuchaną. Na wszelki wypadek przeszlę jutro weksel na pięćdziesiąt rubli, aby było czem opłacić koszta podróży i załatwić ważniejsze potrzeby w domu.

Jeżeli w przeszłym liście nie wspomniałem nic o panu Alfonsie, było to winą braku tylko pamięci na razie. Siadając do listu myślałem o tem, ale ani się spostrzegłem, żem w ciągu pisania przedmiot ten pominął. Niech mi Najdroższy Ojczulek (wierzy), że całem sercem wdzięczny jestem wszystkim, którzy Go otaczają przyjaznem uczuciem, a tem więcej panu Alfonsowi, który dał tyle dowodów najszczerszej życzliwości. Proszę więc naprawić mój błąd i wyrazić mu, jak wielce jestem zobowiązany i jak pragnę wzmocnić nasz wzajemny stosunek, który skutkiem oddalenia i rzadkich tylko chwil widzenia się nie mógł się bliżej zacisnąć. Jak drogi Ojczulek przyjedzie do Krakowa, to niezawodnie będzie korespondować z panem Alfonsem, a w takim razie ja się będę mógł przyłączyć.

Wiosnę mamy przecudowną, skorzystałem z pory i na kilka dni wyjechałem do Sewera na wieś. Powróciłem właśnie w niedzielę. Byłbym chętnie został dłużej, ale i dziennik i sądy przysięgłych, do których zostałem wylosowany, nie pozwoliły mi na to. Przez cały maj i połowę czerwca nie będę się mógł nigdzie ruszyć głównie z powodu sądów.

Panna Zofia Kossak już po ślubie, wyjechała z mężem Romańskim na Wołyń, ale po drodze wstąpili do Warszawy i zapewne jeszcze tam bawią.

Do państwa Kaczorowskich pisałem na Wielkanoc, ale jeszcze odpowiedzi nie miałem. Poprzednio przysłali mi większą i bardzo ładną fotografię Włodzia, którą Drogi Ojczulek u mnie zobaczy. Włodzio zdrów i bardzo się rozwija.

Kraków zresztą zajęty pomnikiem Mickiewicza, ślubem panny Estreicher, na który zjechał i minister Dunajewski i marszałek Zyblikiewicz, a któremu błogosławił biskup krakowski, brat ministra wczoraj — i nareszcie dzisiejszem posiedzeniem Akademii Umiejętności.

Nafta jeszcze nie płynie, ale coraz więcej się zapowiada, wzmagają się bowiem gazy a pokłady są już przesiąknięte ropą. Może tryśnie na przybycie Ojczulka, co by było z jej strony najlepszym sposobem uczczenia.

Upraszam o prędką a pomyślną odpowiedź, rad bym się bowiem zapewnić, że mi Ojczulek nie odmówi. Droga przecież nie jest tak uciążliwą, a wypoczywać będzie można spokojnie na wygodnem łóżku w naszym małym domku.

Tymczasem ściskam Najdroższego Ojczulka po tysiąc razy i całuję Jego ręce, Wujostwu i siostrzyczce najserdeczniejsze pozdrowienia, jak również całemu domowi państwa Alfonsów i Józiowi Sosnowskiemu.

Adam.

U w a g i.

Wspomniany tu „pan Alfons“ — to syn dra Adama Bog. Helbicha inżynier w Warszawie. Staś i Zosia, to jego dzieci. Po śmierci dra Adama H. Kazimierz Asnyk mieszkał w Warszawie i tu zapewne utrzymywał stosunki z Alfonsem Helbichem.

115.

Kraków d. 11 czerwca 82 r
ul. Łobzowska nr 7

Najdroższy mój Ojczulku!

Oczekiwałem ciągle przyrzeczonego mi doniesienia o terminie ostatecznym Twego przyjazdu do Krakowa, ale jakoś doczekać się nie mogłem. Wprawdzie co do porządku list Twój był ostatnim i na mnie przypadała kolej pisania, jednakże wskutek nadziei, że mi wkrótce zapowiesz przybycie, ociągałem się z korespondencją i to tem więcej, że przez parę tygodni byłem mocno cierpiący na kurcze sercowe i nie chciałem pisać, aby Cię nie zatrważać, póki mi się stanowczo nie polepszy.

Teraz, spokojniejszy co do własnego zdrowia, jestem za to zaniepokojony co do Twojego i rad bym mieć jak najrychlejszą wiadomość.

Czy Teofilidy był w Warszawie? czy się widział z Najdroższym Ojczulkiem? Czy zapłacił procent? — to wszystko są rzeczy, co do których nie chciałbym pozostawać w niepewności. Być może, iż Najdroższy Ojczulek z powodu Teofilidego narażonym jest dalej na kłopoty finansowe, jeżeli tak jest, błagam o zupełną szczerość i wymienienie potrzebnej kwoty, którą bym postarał się w jak najkrótszym czasie nadesłać.

We czwartek prawdopodobnie wyjadę do Sewera na wieś, tam więc Najdroższy Ojczulek niech list zaadresuje i doniesie również, kiedy się Jego przybycia mogę spodziewać.

Adres: przez Kraków, Słotwinę — w Dołędze, poczta Szczurowa.

Byłem już u niego tydzień, ale powróciłem do Krakowa dla różnych posiedzeń i innych interesów. Tydzień ten znacznie mnie pokrzepił, szkoda tylko, że musiałem wracać przedwcześnie.

Warszawa w tej porze musi być nieznośną, przeto dla samego zdrowia warto, żeby Drogi Ojczulek do mnie przyjechał. Może byśmy gdzie razem czas spędzili na świeżem powietrzu? Naradę zresztą pod tym względem możemy zrobić w Krakowie.

Miałem list od doktora, w którym donosi, że Włodzio zdrów i ciągle pomyślnie się rozwija, dopytuje się, czy nie przyjedziemy do Poznania tak jak w zeszłym roku. Nie śmiałbym namawiać na tę wyprawę, bo nie wiem, jaki jest stan obecny sił i zdrowia Ojczulka.

Jeżeli nie będziemy mogli razem, to ja sam wybiorę się w ciągu lata.

Nafty dotąd dokopać się nie możemy, wystawia naszą cierpliwość na wielką próbę, powinnaby przynajmniej potem wynadgrodzić zwłokę obfitością. Interesa kopalni wzywają mnie znowu do Gorlic, ale dla zdrowia nie śmiem przedsiębrać jeszcze tej uciążliwszej wyprawy.

Nowin zresztą obecnie nie ma żadnych, Kraków zaczyna się powoli wyludniać i głównie przejezdni stanowią ruch uliczny.

Kończę na teraz ściskając Najdroższego Ojczulka po tysiąc razy i przesyłając najserdeczniejsze pozdrowienia dla obojga Wujostwa, jak również dla Państwa Alfonsów.

Gdyby Najdroższy Ojczulek chciał odwrotną pocztą list wyprawić, to zastałby mnie jeszcze w Krakowie i powstrzymałbym wyjazd do Dołęgi, gdybym otrzymał wiadomość, że Ojczulek będzie w możności przyjechać w tych dniach do Krakowa.

Całuję ręce Najdroższego Ojczulka

Adam.

116.

Kraków d. 8 lipca 82 r.
ul. Łobzowska nr 7

Najdroższy mój Ojczulku!

Od czterech dni jestem znowu w Krakowie po dwóch tygodniach spędzonych w Dołędze. Pobyt na wsi dosyć mi posłużył pomimo przeważnie deszczowej aury, wszystkie bowiem inne warunki do spokojnego i przyjemnego spędzenia czasu Dołęga bez zaprzeczenia posiada. Trudno by mi było nawet wyobrazić, żeby mi gdziekolwiek na wsi lepiej niż tam być mogło. Serdeczna sympatia wszystkich członków rodziny, szczera gościnność, przyjemne towarzystwo, a przy tem zupełna swoboda, to są warunki, które się rzadko razem trafiają. Przy tem dom w ogrodzie, dużo zieleni, obszerny ganek, pokryty dzikiem winem, dozwalają oddychać ciągle świeżem powietrzem nawet podczas niepogody.

Gdy deszcz nie padał, odbywaliśmy gromadne wycieczki po łąkach i polach. Odwiedzaliśmy żyta i pszenice i zwoziliśmy siano i koniczynę, jakkolwiek z przeszkodami. Folwark Sewera, jako odleglejszy, odwiedzaliśmy na wózku. Podziwialiśmy jego agronomiczne sztuki. W samej rzeczy bardzo wiele dokazał na tych szczerze piaszczystych gruntach. Szczególniej dumnym jest z tego, że na niektórych kawałkach żyto po życie trzy razy z rzędu się udało.

W Dołędze otrzymałem też list Najdroższego Ojczulka z załączonym listem Cesi. Z listu tego dowiedziałem się, że Drogi Ojczulek ciągle czeka na Teofilidego, którego rodzina poprzedziła do Warszawy; nie dowiedziałem się jednak, kiedy się będę mógł spodziewać Jego przybycia. Tymczasem dnie mijają i najpiękniejsza pora upływa, a mnie żal prawdziwie, że Najdroższy Ojczulek pozostaje wciąż w dusznej Warszawie.

Kraków zastałem w znacznej części wyludniony, a emigracja na letni sezon trwa ciągle i nie ma prawie dnia, żeby ktoś z znajomych nie wyjeżdżał.

Za parę dni wyjeżdża także do Zakopanego Ludomir Biechoński z żoną w towarzystwie pani Czarkowskiej i jej córki. Pani Ordężyna z córką już tam jest na miejscu. Pani Pawlikowska

w Francensbadzie, Byliccy zaś jak zwykle pojechali na wieś na pogranicze grodzieńskiej gubernii.

Ja za to przez cały lipiec pozostaję na miejscu, aby zluzować innych.

Od paru tygodni w kopalni naszej zaczęła się już pojawiać nafta, wprawdzie w bardzo małej ilości, ale ilość ta dotąd stale się zwiększa. Z początku były kwarty, później garnce, a teraz już do dwudziestu garncy dziennie. To jest o tyle pocieszającem, że jeżeli nic złego nie zajdzie, nie będzie potrzeba już dokładać a można mieć nadzieję, że po znaczniejszem zwiększeniu się, jakie powinno wedle wszelkich prawdopodobieństw nastąpić, będzie można jakieś zyski odkładać. Ta ropa nafty ukazała się w pierwszej studni głębokiej na 90 metrów.

Druga studnia, później zaczęta, wedle widzialnych objawów i danych geologicznych jeszcze więcej jest obiecująca, tylko trzeba dłużej czekać, bo strasznie ciężka w niej robota, a głębokości ma dopiero niespełna 60 metrów.

W niej ciągle ma się do czynienia z pokładami twardego kamienia i z żyłami słonej wody. Przez pół dnia więc pompują a dopiero przez drugie pół prowadzą roboty około pogłębiania lub cembrowania.

Taki jest stan dotychczasowy naszej kopalni, jeździł tam na miejsce Kotarski, który na jesień przeszłego roku wstąpił do spółki, zakupiwszy dział Wojciecha Biechońskiego za tysiąc pięćset złotych reńskich.

Sewer, który ma żywą imaginację, każe mi już z przyszłej nafty kupować wieś, którą on chce wziąść w dzierżawę. Ja żartem wchodziłem w tok jego fantazji tak, że nawet poróżniliśmy się o cenę dzierżawy.

Otóż rozpisałem się szeroko o nafcie, która powinna zastąpić na teraz szczupłość innego materiału. Należy mi jeszcze wspomnieć, że przed odjazdem do Dołęgi był u mnie i zostawił list Drogiego Ojczulka wraz z dokumentami bardzo dla mnie drogocennemi pan Tadeusz Thomain z Warszawy. Nie zastał on mnie w domu, chciałem mu podziękować i chodziłem po wszystkich hotelach, ale go nie mogłem nigdzie odszukać. Proszę więc przy widzeniu oświadczyć to ode mnie i najserdeczniej podziękować.

Teraz nie pozostaje mi nic, jak uściskać Najdroższego Ojczulka i ucałować Jego ręce.

Kochanym Wujostwu wraz z Zosią i szanownym państwu Alfonsostwu najserdeczniejsze pozdrowienia — jak również Józiowi Sosnowskiemu.

Adam.

Uwagi.
Przemysław Kotarski, dyrektor Kasy Zaliczkowej (zmarł w r. 1903).

117.

Kraków dnia 27 lipca 188[illegible]
Redakcja *Reformy*. Ulica św. Jana l. 1[illegible]

Najdroższy mój Ojczulku!

Otrzymawszy ostatni list Najdroższego Ojczulka datowany z dnia 24-go pośpieszam natychmiast odpowiedzieć, aby nie zatrzymywać Najdroższego Ojczulka w Warszawie. Ponieważ kwestia teraz stawia się tak, czy jechać obecnie do Krakowa, czy na wieś do Sadkowskich, pomimo najgorętszego pragnienia zobaczenia Ciebie tutaj bezzwłocznie, nie rad bym narażać na trudy dla kilku dni widzenia.

Jestem bowiem na wyjezdnem do morza, gdzie chciałem znaleźć pokrzepienie na zimę. Odkładać drogi trudno, bo potem byłoby za późno i inne okoliczności może by mi nie pozwoliły. Sprowadzać więc Ciebie teraz na kilka dni, w których będę mocno zajęty, to nie warto. Stokroć lepiej będzie, gdy Najdroższy Ojczulek zjedzie dopiero po powrocie moim w początkach października na czas dłuższy, a obecną porę, najwłaściwszą do spędzenia na wsi, przebędzie u Sadkowskich.

Żebym był wiedział na pewno, że Ojczulek w sierpniu do mnie zawita, tobym się był wyrzekł kąpieli morskich i w lipcu jaką kurację odbywał. Ale ja oczekiwałem Ojczulka od końca kwietnia przez maj, czerwiec i lipiec daremnie. Wina to Teofilidy, który ciągle obiecywał, a nie przyjeżdżał, przyjechał zaś wtedy, gdy ja się już zdecydowałem wyruszyć w drogę i cały plan ułożyłem. Na niedzielę wyjeżdżam na dwa dni do Sewera, aby być na jego imieninach, co mu od dawna przyrzekłem. We wtorek wracam do Krakowa, porządkuję wszystkie interesa, aby być gotowym w przyszłą sobotę do wyjazdu. Udaję się nad brzegi morza, prawdopodobnie do Bretanii, gdzie do sześciu tygodni zabawię. Wracając stamtąd nawiedzę Poznań dla uściskania syna i pomówienia z p. Kaczorowskiemi w kwestiach zasadniczych, a drażliwych, tyczących się Włodzia. Powróciwszy do Krakowa, będę oczekiwał Ojczulka, który nie odmówi mi natenczas swojego przyjazdu. Będziemy wtedy obaj zupełnie swobodni i dłuższy czas będziemy mogli przebyć z sobą.

Taki mój jest plan: nie mogąc Ojczulka zdobyć sobie w maju, odłożyłem termin na październik.

Mam nadzieję, że Drogi Ojczulek nie weźmie mi za złe tego szczerego postępowania, bo głównym motywem u mnie jest, aby na tak krótki czas nie trudzić Ojczulka i nie stracić przyjemności dłuższego zatrzymania Go u siebie.

Gdyby jednak Drogi Ojczulek spodziewał się jakiej przeszkody w październiku, to w takim razie proszę mnie zawiadomić, a ja swą podróż powstrzymam, lub ją zaniecham zupełnie.

W każdym razie upraszałbym o odpowiedź w przeciągu kilka dni, abym wiedział, jak się zastósować.

Ściskam i całuję Najdroższego Ojczulka po tysiąc razy

Adam.

118.

Redakcja *Reformy*
Hotel Drezdeński

Kraków d. 5 października 1882

Najdroższy mój Ojczulku!

Otóż nareszcie powróciłem do Krakowa z mojej przydłuższej wycieczki. Wyjechałem z Douanenez w połowie września i udałem się na Nantes, Angers, Tours, Bloi i Orlean do Paryża. Droga brzegami Loary prowadzi przez najżyźniejsze okolicy wśród pól uprawnych, winnic i wielkiej ilości zameczków. W Paryżu zabawiłem dni dziesięć, które przeszły dosyć szybko wśród gwaru wielkiego miasta. Byłem kilka razy na przedstawieniach teatralnych, głównie w Comédie Française, gdzie gra artystów nic nie pozostawia do życzenia. Z Paryża na Berlin jednym ciągiem przejechałem do Poznania i droga ta trzydziestodwugodzinna nie znużyła mnie zanadto. Daleko więcej zmęczyłem się jadąc do Paryża, chociaż dwa razy po drodze nocowałem. Widać, że morze trochę mnie pokrzepiło.

W Poznaniu stanąłem w Hotel de France, gdzie otrzymałem list Najdroższego Ojczulka, który prawie jednocześnie nadszedł. Państwa Kaczorowskich zastałem zdrowych, a nade wszystko Włodzia, z którego robi się ogromnie silny i dobrze zbudowany chłopak. Oni także wielką podróż odbyli z chłopcem w tym roku. Byli w Baden-Baden za Heidelbergiem na dłuższy pobyt kuracyjny, stamtąd udali się do Szwajcarii, ze Szwajcarii świeżo otworzonym tunelem przez górę ś-go Gotarda do Włoch, a stamtąd na Wiedeń do domu. Włodzio więc stał się już wielkim podróżnikiem, szkoda tylko, że w tym wieku niewiele zapamięta i że na nim ani piękność natury, ani dzieł sztuki nie mogą robić jeszcze wrażenia.

Najwięcej go ciągle dotąd zajmują maszyny i instrumenta, które obiecuje sobie fabrykować, gdy dorośnie.

U państwa Kaczorowskich podczas mego pobytu bawiła jedna z ich znajomych pań, z tego powodu niezbyt mnie zapraszano, abym zamieszkał u nich, a co mnie także było na rękę. Stosunki złagodziły się zawsze do pewnego stopnia, jednak trudno o zupełną szczerość.

Nie rozpisuję się obszerniej, bo wobec zapowiedzianego przyjazdu spodziewam się, że za kilka dni obszerniej ustnie się rozmówimy.

Niech mi Drogi Ojczulek da znać kilku słowami o dniu przyjazdu, żebym Go mógł oczekiwać na kolei. Proszę o to tem bardziej, abym mógł z góry uwolnić się na ten dzień od wszelkich posiedzeń wieczornych, które by przypaść mogły.

Ściskam Najdroższego Ojczulka po tysiąc razy.

Do najbliższego widzenia

Adam.

119.

Kraków dnia 2 grudnia 1882
Redakcja *Reformy*. Ulica św. Jana l. 13

Najdroższy mój Ojczulku!

Nadzwyczajnie długo zalegałem pola w mej koresponcji, ale proszę się ani nie gniewać, ani dziwić, gdyż byłem zaskoczony przez cały szereg wypadków, który mnie całkiem zaabsorbował.

Trzeba było staczać długą walkę z dawnym właścicielem dziennika i nareszcie pozbyć się go zupełnie, zakładając w miejsce dawnego, nowy. Dzieje zakulisowej intrygi politycznej, wpływającej na te wypadki, trudno opowiadać, ponieważ tutejsze stosunki mało są znane Najdroższemu Ojczulkowi i stąd historia byłaby mało zrozumiałą i mało interesującą. Dość przytoczyć, że pan Czerwiński, który założył wydawane przez nas pismo, nagle uwziął się je zwinąć na przekór wszelkim zobowiązaniom. Żeby tego celu dopiąć, wystąpił z całą bezwzględnością, chcąc brutalstwem zmusić nas do ustąpienia. Ustąpiliśmy, ale ze względu na zaangażowane interesa publiczne założyliśmy w tej samej chwili nowe pismo, będące kontynuacją poprzedniego. Właściwie niewiele się zmieniło, do dawnego tytułu dziennika dodał się tylko przymiotnik n o w a i wszystko idzie znowu swoim trybem. Ale walka była gorąca na listy i telegramy, a potem na miejscu. Musieliśmy w przeciągu 24-ech godzin złożyć kaucję w ilości 6.000 złr., wystarać się o pozwolenie policji i prokuratorii na nowe wydawnictwo, zawiadomić wszystkich prenumeratorów o zaszłych zmianach, przesłać do Wiednia biuru telegraficznemu kaucję na dalsze telegramy, które już zostały cofnięte, i wiele tym podobnych rzeczy. Dokazaliśmy tyle, że przerwa tylko jeden dzień trwała i od 29 listopada wydajemy już pismo pod tytułem *Nowa Reforma*. Ale walka poprzednio trwała cały miesiąc i bardzo nas zmordowała.

Szczególnie ostatnie dwa tygodnie były nieznośne i gorączkujące do najwyższego stopnia. Zawsze bowiem w tej całej sprawie był zaangażowany honor osobisty i trzeba było koniecznie odnieść zwycięstwo.

Tyle o najgłówniejszej rzeczy, która mnie całkowicie w tym czasie absorbowała.

Innych wiadomości na razie niewiele. Z naftą jeszcze dotąd nie przyszliśmy do stanowczego rezultatu; kapie wprawdzie, ale bardzo skąpo, tak że nie opłaca kosztów. Było kilka dni, w których wydobywano znacznie większe ilości, ale to były tylko wyjątkowe chwile. Zresztą nic nowego, zima na dobre się rozpoczęła i odcięła nawet możność jakiej wycieczki na wieś.

Za to zapewne Sewer zjedzie choć na kilka dni w tym czasie po powrocie ze Lwowa, gdzie teraz pojechał.

Jak sobie odpocznę po przebytych wzruszeniach i jak się zupełnie uspokoję, nie omieszkam znowu do Najdroższego Ojczulka napisać. Obecnie kończę najserdeczniejszemi uściskami.

Drogiej Wujence ręce wraz z ojcowskiemi całuję. Kochający syn

Adam.

Uwagi.

Na naczelnym miejscu nru 270 *Reformy* z 25 listopada 1882 czytamy: „Od Redakcji. — Z dniem 30 listopada 1882 ustępuje cała redakcja wraz z podpisującym dziennik wydawcą i redaktorem odpowiedzialnym. Dalsze kierownictwo Reformy i odpowiedzialność zostawiamy właścicielowi pisma panu Janowi Czerwińskiemu. A. Asnyk wydawca, T. Rutowski odpowiedziainy redaktor, dr Bolesław Lutostański, Mieczysław Pawlikowski, Tadeusz Romanowicz.

120.

Kraków dnia 20 grudnia 1882
Redakcja *Reformy*. Ulica św. Jana l. 13

Najdroższy mój Ojczulku!

Dawno już bardzo nie miałem od Ciebie wiadomości i jestem już nieco zaniepokojony. Wprawdzie i ja sam spóźniłem się z poprzednim listem, wysyłając go pod koniec listopada, ale od tego czasu upłynęło już przeszło trzy tygodnie, a ja jeszcze w zamian żadnej literki nie otrzymałem.

Teraz przy nadchodzących świętach ponownie biorę pióro do ręki, ażeby Najdroższemu Ojczulkowi, kochanej Wujence i całemu domowi złożyć życzenia choć nie wesołych, lecz przynajmniej szczęśliwie spędzonych świąt. O wesołość coraz trudniej teraz, nie można mówić nawet o niej wobec tysiącznych trosk i smutków. Jedynie ciągłe i nieustanne zajęcie może odciągnąć myśl od smutnych rozpamiętywań. Dlatego i ja teraz kontent jestem, że nie mam czasu na zbyciu i wciągnięty w wir dziennikarskiego życia spycham jedne kłopoty drugiemi. W ten sposób jest się ciągle oszołomionym i stąd nieprzystępnym trującym myślom, które mimo woli się nasuwają. Dzień po dniu biegnie i powoli życie uchodzi, aż upłynie do końca. Grono dobrych przyjaciół, kilka domów życzliwych, osładza przykrzejsze chwile. Tak, jak dawniej, Trojaccy, Pawlikowscy, Ryx, Byliccy i Biechońscy stanowią to kółko, w którem się obracam. Dołęga, naturalnie, na zimę zaniedbana, czasem tylko Sewer pojawi się w Krakowie. Na święta jednak, być może, wyjadę na wieś, ale nie do Dołęgi, tylko do Dębicy, gdzie mieszka także dawny znajomy, Pieniążek. Wyjadę prawdopodobnie w sobotę, a powrócę we wtorek, w drugie święto. Zima była dotąd łagodna, ale niemiła i niedobrze wpływająca na zdrowie. Jednakże uskarżać się na nią nie mam powodu, gdyż w stosunku do lat poprzednich jest mi lepiej. Pragnąłbym tylko otrzymać wiadomość o Drogim Ojczulku jak najprędzej, a w zamian pisać będę jeszcze na rok nowy. Ojczulek wprawdzie ma teraz więcej czasu ode mnie,

ale za to wzrok mu zapewne nie służy, więc i pisanie staje się trudniejszem i dla tego nie mam pretensji do częstszych wiadomości, byle tylko nie pozostawać dłuższy czas w niepokoju.

Do państwa Kaczorowskich pisałem znowu i spodziewam się świeżych wiadomości o Włodziu; jak nadejdą, udzielę ich Ojczulkowi na rok nowy.

Na teraz kończę pisanie moje, ściskając Najdroższego Ojczulka po tysiąc razy i całując ręce Jego i Drogiej Wujenki przy złamanym wigilijnym opłatku.

Przywiązany syn

Adam.

121.

Kraków d. 1. marca 1883.
ul. Łobzowska 7

Najdroższy mój Ojczulku!

Nadchodzi dzień ś-go Kazimierza, dzień Twoich Imienin, więc przede wszystkiem rozpoczynam list mój od złożenia Ci najgorętszych życzeń, połączonych z najserdeczniejszemi uściśnieniami. Daj Boże lata dobre i szczęśliwe i długie jeszcze, a w czerstwem pędzone zdrowiu ku wspólnej naszej pociesze.

W dwóch ostatnich listach dałeś mi nadzieję, a nawet pewność, że z wiosną przyjedziesz do mnie i zostaniesz na stałe w Krakowie. Cieszę się bardzo z tego postanowienia, bo na cóż mamy być rozdzieleni i obaj smutni! Póki jeszcze w Warszawie i w Konarach miałeś dawnych przyjaciół, z któremi Cię tak ścisłe łączyły węzły, to jeszcze był powód do pozostawania tamże, lecz teraz w Warszawie nie masz już otoczenia, które by Ci mogło uprzyjemnić pobyt, ani serdecznych związków, które by równoważyły nasz rozdział, lepiej więc osiąść stale w Krakowie, gdzie przynajmniej masz syna i własny dom na usługi.

Pomieszczenia jest, dzięki Bogu, dosyć i nie będzie nawet potrzeba żadnych ważniejszych zmian robić. Jeden lub dwa pokoje będzie można urządzić wyłącznie dla Ciebie, tak, jak rozporządzisz, i umieścić biurko, do którego jesteś przyzwyczajony. Zresztą, gdyby potrzeba było robić jakie zmiany, uradzimy to na miejscu, gdy przyjedziesz.

Zamurować drzwi od frontu z ulicy Łobzowskiej byłoby trudno, gdyż furtka moja wskutek układu miasta z młynarzem będzie zamurowana i chyba przez mostek od ulicy idącej do łazienek będzie można drugi przystęp zrobić. W każdym razie miejsca jest dosyć, więc troszczyć się o to nie ma powodu.

Wujence także będzie lepiej mieszkać razem z panią Józefową, tem więcej, że, jak mi donosisz, sympatyzują ze sobą nawzajem.

Ja przez dwa ostatnie tygodnie byłem znowu więcej cierpiący i dlatego nawet nie pisałem, odkładając list do ś-go Kazimierza

jako ostatecznego terminu. Nie leżałem wprawdzie w łóżku, choć wielką ku temu miałem skłonność, gdyż mnie trzymały na nogach różne konieczne zajęcia.

O śmierci i pogrzebie Szujskiego donosiły wszystkie dzienniki, nie potrzebuję więc o tem pisać, ale wspomnieć muszę, że obecnie i z Anczycem ma być bardzo krucho, ponieważ, jak doktorzy utrzymują, ma chorobę Brighta.

U nas teraz na porządku dziennym przyszłe ogólne wybory do Sejmu, którego kadencja sześcioletnia się skończyła, a oprócz tego do Rady Państwa ze Stanisławowa i Lwowa w miejsce Kamińskiego i Wolskiego, którzy byli przymuszeni do złożenia mandatów. Ze Lwowa na miejsce Wolskiego kandydować będzie Romanowicz, współredaktor *Reformy*, i ma wszelkie szanse powodzenia. Wybory do Sejmu wywołają gorącą walkę między stronnictwem liberalnem, a stronnictwem tak zwanych Stańczyków. Rezultat, naturalnie, z góry nie da się przewidzieć, ale prawdopodobnie żadne z stronnictw stanowczego zwycięstwa nie odniesie.

W Krakowie liczne teraz aresztowania socjalistów, właściwie nie wiem, co o tem sądzić, czy policja czasem z zbytniej gorliwości nie robi z muchy słonia.

Trudno mi bowiem uwierzyć w istnienie rzeczywistego socjalistycznego spisku. Między aresztowanemi jest kilka kobiet i to z lepszej sfery towarzyskiej, niektóre młode i bardzo ładne, które by prędzej o jaki tajemny romansik, niż o socjalizm posądzić można było

Z dziennikiem dużo kłopotu, bo trudno go materialnie postawić na nogi, a chociaż liczba prenumeratorów stale się powiększa, daleko jeszcze do tej cyfry, która by go samodzielnie utrzymać mogła.

Niech mi Najdroższy Ojczulek doniesie teraz o terminie, w którym mniej więcej wybiera się do Krakowa. Sądzę, że przed początkiem kwartału, ażeby już mieszkania dłużej nie trzymać. Może na święta wielkanocne? Trzeba tylko wybrać piękny dzień do drogi.

Oczekując tej upragnionej dla mnie wiadomości, jeszcze raz ponawiam wszystkie najserdeczniejsze życzenia i ręce Ojcowskie po tysiąc razy całuję. Wujence i Zosi załączam najżywsze wyrazy współczucia i przywiązania, jak również pozdrowienia dla wszystkich znajomych, w szczególności dla państwa Alfonsów i Józia Sosnowskiego.

Adam.

Uwagi.

1. Szujski Józef, ur. 1835, zmarł 7 lutego 1883. Pogrzeb odbył się 9 lutego.

2. W sprawie aresztowania socjalistów donosi *Nowa Reforma* w nr 44 z 24 lutego 1883: „Aresztowania socjalistów. — W ostatnich czasach aresztowano w Krakowie: stolarza Pilarskiego, introligatora Grudzińskiego Ludwika, malarza Polanka, stolarza Kapelmana, stolarza Wesołowskiego, rzeźbiarza Piechotę (przywiezionego z Przemyśla), ucznia Szkoły Sztuk Pięknych Wostrowskiego i Geislera, fotografa Sidorowicza, fotografa Piotrowskiego, medyka Janowicza, medyka Łuszczkiewicza i cztery kobiety, między

niemi: W. W., słuchaczkę medycyny z Petersburga, Wandę Grabowską (wywieziona) i Walerię Wierzbicką, wreszcie Jana Schmidehausena, redaktora *Robotnika*".

3. W nr 47 *Nowej Reformy* z 28 II 1883 przytoczono korespondencję z Krakowa, pomieszczoną w lwowskiej *Gazecie Narodowej*. Autor korespondencji kpi z powodów, które wywołały aresztowania, starając się je zbagatelizować, i piętnuje denuncjacje, które wywołały aresztowania, oraz narzeka na „modę" puszczania plotek i pogłosek o aresztowaniach i rewizjach.

122.

Braciejowa d. 19 lipca 1885

Najdroższy mój Ojczulku!

Po tygodniu pobytu w Żarnowcu u Biechońskich przeniosłem się wreszcie do Braciejowej, zbliżając się do Krakowa.

Żarnowiec nie bardzo mnie zachwycił, tem bardziej, że tak trudno dostawać się do niego. Wyjechawszy w sobotę o wpół do jedenastej rano z Krakowa, stanąłem dopiero o dziesiątej wieczorem na miejscu.

Upał w drodze w wagonach był nieznośny i nie wiem, czym się w przeciągach zaziębił, dość, że cały czas w Żarnowcu dokuczały mi bóle reumatyczne.

We wtorek wieczorem przybył tam Sewer, z którym zrobiliśmy wycieczkę do Iwonicza dla odwiedzenia pani Stanisławowej Biechońskiej, bawiącej tam dla kuracji, a w sobotę końmi ruszyliśmy do Braciejowej. W Braciejowej czuję się już znacznie lepiej i jeżeli tylko odbiorę od Najdroższego Ojczulka wiadomość, że jest zdrów zupełnie, to jeszcze z jaki tydzień posiedzę. Powietrze tu bowiem znacznie zdrowsze niż w Żarnowcu, gdzie pełno moczarów od przepływającej rzeczki.

Urodzaje Sewera wcale dobre, żyta już prawie porżnęli, a teraz mają zacząć pszenicę.

Całuję ręce Najdroższego Ojczulka i oczekuję paru słów wiadomości o Jego zdrowiu.

Sewerowie przesyłają najserdeczniejsze pozdrowienia.

Adam.

123.

List Włodzimierza Asnyka do ojca.

Kochany Tatko!

Wyjeżdżamy na kilka tygodni. Całóję(!) Dziadzi i Tatce rączki

Włodzimirz (!) Asnyk.

Na seledynowym arkusiku papieru listowego o wymiarach 7×10 cm ozdobionym kwiatkiem i poliniowanym ołówkiem.

Uwagi.

Włodzimierz Asnyk, syn poety, zmarł w parę lat po ojcu.

124.

Asnyk do nieznajomego adresata.

Kraków d. 12 grudnia 1873
ul. Łobzowska 99

Szanowny Panie!

Najserdeczniejsze składam Ci dzięki za zaszczycenie mnie Twoim listem uwiadamiającym dokładnie o szczęśliwym przebiegu odbytej operacji.

Byłbym bardzo niespokojnym dowiedziawszy się skąd indziej ze strony niekompetentnej, ale Twoje orzeczenie, Szanowny Panie, jest dla mnie najlepszą rękojmią, że wszystko poszło jak najpomyślniej.

Po otrzymaniu Twojego łaskawego listu przyszedł właśnie do mnie pan Ordęga. Odczytałem mu ustęp listu go dotyczący i kazał mi podziękować za pamięć o nim i przesłać w imieniu moim i całego domu przyjacielskie pozdrowienia.

Ja także, zawdzięczając Szanownemu Panu myśl zapoznania mnie z tym ze wszech miar zacnym i przyjemnym domem, podziękować muszę za nabytek, który zrobiłem, a więcej jeszcze za przyjazny i serdeczny zamiar, będący nowym dowodem Twoich Łaskawy Panie, nieustających dla mnie względów.

Polecając się i nadal Twojej prawie ojcowskiej życzliwości i pamięci, pozostaję

Z uszanowaniem
Adam Asnyk.

Uwagi.
List ten do niewiadomego adresata (dra Helbicha?) ma swój odpowiednik w liście poety do ojca z dnia 12 XII 1873.

125.

Asnyk do nieznajomego adresata.

Kraków d. 9 kwietnia 1878 r
ul. Łobzowska 99

Szanowny Panie!

Udaję się do Niego z wielką prośbą o łaskawe zawiadomienie mnie o stanie zdrowia mojego Ojca i szanownego pana Helbicha jestem bowiem mocno zaniepokojony nie odbierając tak długo żadnego listu z Kurczowej.

Ostatni list mego Ojca miałem w drugiej połowie lutego, odtąd już nic. Na list mój na ś-go Kazimierza zupełne milczenie. W końcu marca pisałem do mojego Ojczulka powtórnie z prośbą o wyprowadzenie mnie z niepokoju, i także bezskutecznie.

Nie wiem już, co mam myśleć, i dlatego udaję się do Szanownego Pana myśląc, iż będziesz w stanie objaśnić mnie i pocieszyć.

Całemu domowi przesyłam wyrazy uszanowania i przyjaźni
Adam Asnyk.

Uwagi.
List ten łączy się z listem poety do ojca z 18 IV 1878.

126.

Kazimierz Asnyk do syna.

Konary d. 29 maja 1875

Kochany Synu!

Bardzo niespokojny jestem co się z Tobą dzieje, że od miesiąca nie odebrałem żadnej od ciebie wiadomości; ostatni list zdaje mi się, że w końcu kwietnia był pisany (nie mam tu z sobą listów twoich). Donieś mi, w którym czasie przyjechać i czy będziesz miał kwotę umówioną wystarczającą. Gdyby to od Ciebie zależało, to bardzo byłoby dogodnie wziąść ślub w Zakopanem, w tem miejscu gdzie nastąpiło poznanie się na wzór biorących ślub nie w miejscu zamieszkania panny lub kawalera, a w Częstochowie, przez to uniknęłoby się wiele kłopotu z zaprosin wynikającego. Dosyć zdrów jestem, odpisz.

Całuję Cię

K. A.

Wnemu Panu Sokołowskiemu załączam ukłony i pozdrowienia, bardzo jestem niespokojny, czy nie wydarzyło się jakie nieszczęście.

Uwagi.
List ten ma związek z listami poety od ojca z 2 i 10 czerwca 1875

127.

Kazimierz Asnyk do syna.

Konary 6 sierpnia 1881

Kochany Synu!

Bywają wypadki, że na równej drodze ludzie łamią nogi i ręce; i mnie się też wydarzyło, że w porze, w której ani przypuścić można, żeby kto mógł zaziębić się, ja popadłem temu wypadkowi. Wszystko przeminęło, wyzdrowiałem zupełnie i w pracy przy gospodarstwie, ile i w czem podołać mogę, p. Adamowi pomagam, za ich opiekę i przyjaźń dla mnie i nieocenioną dobroć Ich Obojga, staram się moją wdzięczność okazać. Na przypadek podobnej katastrofy grożącej lub dokonanej śmiercią nie przestraszaj się i nie dopuszczaj żalu a przyjmij obojętnie jako wypadek nieunikniony, ja już nikomu nieprzydatny i zanadto długo żyję, żebym miał go żałować. Twój pobyt na tej ziemi jest z samej natury rzeczy potrzebniejszy, jesteś ojcem, więc staraj się zachować to życie i zdrowie dla spełnienia obowiązku ojcowskiego, a doszła mnie wieść, że znowu niebezpieczną słabość odbyłeś spowodowaną wrzodem w gardle sformowanym, wiadomość tę p. Adam mi udzielił i podobno wyczytał w jakimś czasopiśmie, bardzo mnie martwi, że choroby często Cię nawiedzają. Twój kłopot z domem smuci mnie i ciąży na mojem sumieniu wyrzucając mi nieprzezorność i nieświadomość przy kupnie domu zachowaną, bo gdyby

decyzja magistratu została niewzruszoną, to nieruchomość ta o jedną czwartą spadłaby z swej wartości, i tak jestem zniechęcony, że gotów jestem radzić, abyś się jej pozbył, i zdaje mi się, że łatwo by Ci to przyszło sprzedać ją młynarzowi chętnie na tę przyległość spoglądającemu. Dziękuję Ci za wszelkie wiadomości o osobach, z któremi żyjesz w przyjaznych stosunkach, a że są Twemi przyjaciółmi, to i mnie obchodzą. Zapewne smutno Ci będzie, że się wszyscy porozjeżdżali, ale tyle zajęcia, o jakich wspominasz, wyrugują ten smutek przy ciągłej pracy: i to właśnie zowie się życiem, tylko prosić Boga, żeby użyczał zdrowia, to można się nazwać szczęśliwym. Ze swego doświadczenia kreślę te wyrazy, teraz mam zajęcie i jestem weselszy. O twoje poezje sama p. Adamowa przymówiła się, obiecałem, chciałbym dotrzymać. W pierwszym pędzie widząc oprawę *Pamiętników kwestarza* Chodźki chciałem mieć podobną na twe poezje, lecz tyle kłopotu odstrasza mnie, a obowiązek dać zarobkowanie krajowcom podaje mi tę myśl, ażeby prosić p. Szmita, niech każe oprawić we Lwowie jak najozdobniej wszystkie trzy tomy nie żałując kosztu, a ja takowe zwrócę. Ciebie tylko proszę o pośrednictwo, byś napisał do niego z prośbą o prędkie załatwienie, abym przed końcem września, przed wyjazdem, mógł je otrzymać i ofiarować mojej Pani, która mnie raczy zaszczycać swemi względami. Z Konar niewiele co mam pisać, są wszyscy zdrowi, jak jest czas wolny, grywam w pikietę z p. Łubieńską, matką pani Adamowej, bardzo miłą osobą i kiedyś słynącą z piękności. PP. Adamostwo załączają ukłony. Zagórowscy w każdym liście dopominają się o przesłanie życzliwych wyrazów. Żona pojechała na wakacje na wieś do pp. Wnorowskich, siostry stryjecznej. Donoszą, że Anna, służąca stara, pierwotnie mamka Zosi, jest ciężko chora, szkoda by było tak dobrej służącej, a w Warszawie bardzo trudno o dobrą. Teofilidy przysyła procent regularnie, daj Boże, żeby w swym czasie podług zobowiązania odsyłał i należny kapitał.

Całuję Cię serdecznie kochający

Ojciec.

Dziś przy obiedzie pan Adam, przy zapytaniu, czy pisałem do syna, oświadczył, że było mu wiadomem, iż niebezpiecznie chorowałeś na wrzód w gardle, nie chciał wówczas mi to oznajmić, żeby mnie nie martwić; od ich obojga zamieszczenie ukłonów prosił.

Uwagi.
Por. list poety z 15 VII 1881 (sprawa o placyk).

128.

Kazimierz Asnyk do syna.

Warszawa d. 11 maja 1882 r.

Kochany Synu!

Przepraszam Cię, że się tak spóźniłem z odpowiedzią, rozmaite okoliczności były temu na przeszkodzie; to święta, trochę

niedomagania, trochę lenistwa spowodowały, że dopiero wczoraj odebrałem pieniądze, a przyznam się, że z przykrością robię sobie wyrzuty, że Cię ogałacam z funduszów na utrzymanie życia potrzebnych, krwawo przez Ciebie zapracowanych, bo wątpię, żeby kochany ojczulek śp. Zofii poczuwał się do pewnego procentu.

P. Sadkowska przyjechała, w niedzielę byliśmy razem u pp. Alfonsów na obiedzie. Jest też i pani Adamowa z Konar, przyjechała z dziećmi na kurację na cały miesiąc maj, wybieram się do niej, ale mi niesporo, jednak już widziałem się z nią u p. Elżanowskiej, siostry przyrodniej, u której z matką p. Łubieńską były na obiedzie, dowiedziawszy się od p. Alfonsa, że tam się znajdują. Chciałbym uniknąć zaproszenia na wieś do Konar, tem bardziej, żeby nie obrazić Cesi, która mnie szczerze zapraszała na święta wielkanocne, a musiałem odmówić dla słabości zdrowia, i jak rzeczywiście czułem się niezdrów, i oczekiwałem nadesłania mi procentu, z którego bym komorne zaspokoił. Kwestia to życia i śmierci, jeszcze nierozstrzygnięta, zmusza mnie oczekiwać ich przyjazdu do Warszawy przenosząc się na stałe mieszkanie do Odessy, który, jak sądzę, nie nastąpi prędzej jak w czerwcu, kończącym kwartał do zmiany mieszkania, a jaki będzie skutek, to także niewiadomo. Możesz więc osądzić Kochany Synu, z mego położenia, że ani natychmiast przyjechać, ani oznaczyć pewnego terminu nie mogę. Biorę tu na uwagę i Twoje zdrowie, i Tobie dla polepszenia wyjazd jest konieczny i właśnie w porze letniej; mnie zaś nie idzie o kurację, bo na ubywające siły, wskutek przybywających lat nie ma lekarstwa, więc podróż odłożyć mogę nawet do jesieni, a przez ten czas możemy się porozumieć. Przekonany jestem o Twojej o mnie troskliwości, więc Ci wyznam, że oprócz tęsknoty i żalu po utracie tylu przyjaciół i znajomych, godzę się z losem moim. Z mieszkania jestem bardzo zadowolony, mam wprawdzie pokój o 1 oknie, lecz duży i głęboki, w którym mieszczą się moje 2 szafy do sukien i bielizny, biurko, gotowalnia śp. Żony, stolik do kart, którego, jak mieszkam w Warszawie, nie używałem, łóżko objęte parawanem, a przy nim fotel do drzemki po obiedzie, oprócz tego za łóżkiem kufer i jeszcze jest miejsce do użycia ruchu. Okno wychodzi na dziedziniec kwadratowy obszerny, drzewami zasadzony, tylko tyle miejsca pozostawiono, że fura z węglami objechać może. Jest więc dostateczna ilość zieleni i powietrza do oddychania dla ludzi zajmujących mieszkania. Mam pościel i bieliznę zawsze czystą, o której bratowa ma staranie. Herbata rano i w wieczór i obiad gospodarski. I gdybym regularnie procent odbierał, to przy takim urządzeniu i wydatkach nie miałbym żadnej troski, wprawdzie nie ma i przyjemności życia, lecz do wszystkiego człowiek się przyzwyczai, kiedy musi. Musi zapomnieć o koncertach, teatrach i innych rozmaitych zabawach, jeżeli na takie rozrywki brak funduszu. Młodzi niech się bawią, a staremu żyć regularnie, spać wcześnie, żeby sił nie utracić, i prosić Boga o przedłużenie siły wzroku, aby czas skrócić czytaniem. Alfons prosił, aby Ci podziękować za pa-

mięć o ich domu i radził jechać jak najprędzej, wytłumaczyłem mu powód mej niemożności. PP. Rudzcy dziś mnie odwiedzali i pytali, czy na wieś nie wyjadę, są bowiem pewni, że pp. Adamostwo mnie zaproszą. Oznajmiłem, że nie na wieś, a do Krakowa. Przyjąłem dla Ciebie od nich ukłony. Fabrykę sprzedał, teraz, *liber Baron* będzie mógł używać przyjemności życia. Daj mu Boże jak najlepiej! Dobry człowiek.

Całuję Cię serdecznie, wszystkim znajomym uściśnienia, na więcej nie ma miejsca.

K. Asnyk.

Bratowa się przypomniała, załączam pozdrowienia.

129.

Kazimierz Asnyk do syna.

Kraków d. 8 września 1885 r.

Kochany Synu!

Jestem zdrów, — a dnie prześliczne. Byłbyś nieprzyjacielem własnego zdrowia, gdybyś tak krótko na wsi zabawił, jak przed wyjazdem zamierzyłeś.

P. Kotarski odwiedził mnie wczoraj; między innemi przyszła mowa o sprzedaży domu, obiecał sam tem zająć się i robi nadzieję 12000 zł. Dziś nadszedł list pocztą z bardzo pilnym adresem, ale że poczta w Dębicy przyjęła, więc robię przypuszczenie, że to od Sewera, który ciągle puszcza na wiatr strzały, pisze, aby tylko pisał.

Nie będąc pewnym, czy podziękowałeś Wnym państwu Pieniążkom za podarunek, niniejszym to czynię. Bardzo mi smakował, bo chleb taki jest pożywny, zdrowszy od wszelkich innych ciast i chlebów, nie mogłem mu dać rady, bo zanadto hojną ręką był udzielony.

Pomiędzy wydalonymi z Prus jest jeden ogrodnik, czybyś (będę oczekiwał Twego przybycia) się zgodził na to, żebym go przyjął na tydzień, może by uporządkował nasz ogródek, pozaszczepiał nowych drzewek owocowych. Szkoda, że nie mam wioski, wiedziałbym, jak zrobić użytek z nastręczającego się ogrodnika. Oto wszyscy wieśniacy mieliby swoje owoce, mianowicie śliwki węgierki, gruszki, co by im było wielką pomocą w wyżywieniu i siebie i jeszcze biedniejszych od siebie.

Załączając WPaństwu Pieniążkom moje uszanowanie, ściskam Cię i całuję

K. Asnyk.

130.

Kazimierz Asnyk do syna.

Fragment.

.... aby przysłał na wystawę do Berlina. Szczęśliwy i w swoim zawodzie, bo mu sowicie płacą za jego obrazy, i przez ożenienie. Przed kilku laty mówił mi, że z pracy swej zebrał kapitalik czter-

dzieści tysięcy złotych. Zdaje się, że jak tam pojadą i urządzą się to chyba w odwiedziny do matki i wuja i krewnych przyjeżdżać będą, bo jak sam powiada, że tu w kraju nie ma kupców na obrazy kraj biedny, choćby się znaleźli amatorzy piękna, ale nieszczęście że goli. I Tobie, Kochany Synu, byłoby lepiej, gdyby poezje w tym języku rozumieli ludzie całego świata tak jak rozumieją malarstwo. We względzie powrotu do kraju, to takowy mógłbyś otrzymać, jednakże trzeba by zasięgnąć rady jakiego tutejszego dygnitarza, albo ambasadora w Wiedniu, od którego i pozwolenie do powrotu wyjednać by sobie trzeba; zdaje się, że akta śledcze z owych czasów muszą już być zreponowane, — bo niezawodnie Cytadela nowych ma mieszkańców i z niemi ma do czynienia. Smutno żyć w takim kraju!

Kończę na serdecznem ucałowaniu, od państwa Adamostwa i p. Helbicha przyjmij uściśnienia i pozdrowienia. WW. pp. Pawlikowskim racz oświadczyć ode mnie uszanowanie.

K. Asnyk.

Pani Sadkowska pojechała z Wandką do Buska, Marynia w domu została. Bądź tak dobrym, nie zapominaj o mnie i nie gniewaj się, jeżeli co wyrażę nie po twej myśli? Nowin jak najwięcej.

CZĘŚĆ TRZECIA

INNE MATERIAŁY [1]

1.

Dekret zwolnienia Kazimierza Asnyka z wojska z 1833 roku.

Za rozkazem Najjaśniejszego Cesarza i Samowładcy wszech Rosji Króla Polskiego etc. etc. etc.

Okaziciel niniejszego, Asnyk Kazimierz, podporucznik z pułku 4 strzelców pieszych, byłego wojska polskiego, urodził się dnia 4 marca 1797 w Warszawie. Dnia 10 marca 1815 wszedł w służbę jako żołnierz do batalionu wzorowego grenadierów, wojska Królestwa Polskiego, który pod dniem 8/20 czerwca tegoż roku wyniesiony był na batalion grenadierów gwardii. Dnia 20 czerwca 1816 postąpił na sierżanta w tymże batalionie, który pod dniem 15/27 września 1817 r. wcielony został do pułku grenadierów gwardii. Dnia

[1] 1) Dekret zwolnienia Kazimierza Asnyka z wojska polskiego z r. 1863 2) Pierwotna wersja wiersza p. t. *Ranek w górach* (z autografu), 3) Wiersz nieznanego autora, znaleziony w listach Asnyka (z autografu), 4) List Kazimierza Asnyka do nieznanego adresata, 5) Notatki z sesji Sejmu galicyjskiego z r. 1894 — nieznanego autora, 6) Fragment listu nieznanego autora o występach Heleny Modrzejewskiej w Tarnowie, 7—9) Trzy listy Teofila Lenartowicza do nieznanych osób.

20 października 1820 postąpił na podchorążego w tymże pułku. Dnia 26 kwietnia / 8 maja 1822 r. mianowany podporucznikiem z przeznaczeniem do pułku 4 strzelców pieszych. W ciągu rokoszu służył w pułku 4 strzelców pieszych. Dnia 25 lutego 1831 roku w bitwie pod Grochowem wzięty był w niewolę i odesłany do Rosji, skąd wskutek najmiłościwszego manifestu Najjaśniejszego Pana z dnia 2/14 kwietnia 1833 roku powróciwszy do Królestwa Polskiego przysięgi wierności ponowił. Wskutek najwyższej woli Jego Cesarsko-Królewskiej Mości, ogłoszonej przez naczelnie dowodzącego armią czynną, namiestnika Królestwa Polskiego, generała-feldmarszałka i wielu orderów kawalera, księcia warszawskiego, hrabiego Paskiewicza Erywańskiego, w postanowieniu z dnia 19 kwietnia/1 maja 1832 r. względem ostatecznego rozwiązania składu byłego wojska polskiego, jako nieulegający wyłączeniu od ogólnego przebaczenia, najłaskawszym manifestem z dnia 20 października / 1 listopada 1831 roku mieszkańcom Królestwa Polskiego udzielonego. i stosownie do osnowy artykułu 3 wzwyż wzmiankowanego popostanowienia, zostaje uwolniony od służby. W dowód czego Komisja Przeznaczenia Oficerów i Urzędników byłego wojska polskiego. udziela Kaźmierzowi Asnyk... niniejsze uwolnienie od służby.

W Warszawie dnia 29 października 1833.

Prezydujący (podpis nieczytelny)
L. S. Członek komisji (podpis nieczytelny)
Nr 1190. Naczelnik kancelarii (brak podpisu)

Uwagi.
Dokument wystawiono w języku rosyjskim i polskim. Tu podano tylko tekst polski.

2.

ADAM ASNYK: RANEK W GÓRACH

Wersja pierwotna.

Pannie Zofii do albumu.
Wspomnienie spod Giewontu.

Wyzłocone słońcem szczyty
Tak różowo w górze płoną,
I pogodnie lśnią błękity
Nad pogiętych skał koroną;

W dole, lasy skryte w cieniu,
Toną jeszcze w mgle perłowej,
Co w porannym oświetleniu
Mknie się zwolna przez parowy;

Lecz już wietrzyk mgłę rozpędza...
I ta rwie się w chmurek stada,
Jak pajęcza, wiotka przędza,
Na krawędziach skał osiada.

A spod sinej tej zasłony
Świat przegląda coraz szerzej,
Z nocnych, cichych snów zbudzony,
A tak jasny, wonny, świeży!

Wszystko srebrzy się dokoła
Pod perlistą bujną rosą —
Świerki, trawy, mchy i zioła
Balsamiczny zapach niosą.

A blask spływa wciąż gorętszy,
Coraz głębiej sięga oko —
Cudowności świat się piętrzy,
Wyniesiony w dal wysoko.

Jakże słodko pierś napoić
Gór powietrzem czystem, zdrowem,
Szaleć, dumać i sny roić
I znów odżyć życiem nowem.

Jakże miło, jakże błogo!
Poszarpanym, wąskim źlebem
Przepaścistą piąć się drogą
Między ziemią — między niebem!

Jak rozkosznie ścigać w pędzie
Roztopione w mgłach przestrzeni,
Granitowych skał krawędzie,
I srebrzysty bieg strumieni.

Coraz nowe wciąż widzenia,
Igrające grą kolorów...
I krajobraz wciąż się zmienia
Wstęgą jezior, skał i borów.

Tutaj pełen dzikiej grozy
Stok urwiska — nagi, stromy
I biegące w dół wąwozy,
Gdzie zwalone sterczą łomy.

Kamieniste lśnią rozdroża
Pod błyszczącym płaszczem śniegu,
Jak zastygłe fale morza
Skamieniałe w swoim biegu.

Tam zielone, płaskie wzgórze —
Po niem, pełznąc jakby karły
Kosodrzewu krzaki duże
Wszerz gałęzie rozpostarły.

A tam znowu przy szałasie
Dzwoneczkami brzęczą trzody —
Stado owiec juhas pasie,
Do pobliskiej pędząc wody.

Pełno życia! pełno blasku!
Melodyjnie szemrzą zdroje —
A na jasnem tle obrazka
Widać jeszcze gości dwoje.

Dziewczę siadło na kamieniu
I wybiegło w świat oczyma...
Niby w sennem zachwyceniu
Skrzyżowane rączki trzyma,

Niby wzlecieć chce skrzydlata —
Niby patrzy — niby marzy —
A ta cała piękność świata
Odbłysnęła na jej twarzy,

Tak, że trudno wiedzieć zgoła,
W którą wzrok swój zwrócić stronę?
Czyli gonić w lot dokoła
Wszystkie cuda roztoczone?

Czy zatrzymać się w zachwycie
Na twarzyczce tej uroczej,
I podziwiać ich odbicie
Wprost w dziewczęcia patrząc oczy?

6 II 75 El...y

3.

Wiersz nieznanego poety.

Rada lutnia, kiedy dzwoni
O mym orle i pogoni,
Lecz w pół pieśni łzy!
Nigdyż Ciebie więc nie skończę,
Bo się we łzach myśl poplącze,
I tak smutno mi
I tak smutno mi!

Śród auzońskich woni gajów,
Śród cyprysów i ruczajów
Rwie się duch mój, rwie!
Do Ojczyzny mojej świętej,
Której ziemi garść ściśniętej
Rozpłynie się w łzie
I we krwi i łzie!

Do Tej tęsknię, co śród ludów
Obiecaną ziemią cudów,
Przodownicą jest!
Do tej ziemi, skąd narody
Przyjmą pierwszy chrzest swobody
I wolności chrzest!
I wolności chrzest!

Turyn — 28 lipca 1864 (Podpis nieczytelny)

4.

Kazimierz Asnyk do nieznanego adresata.

Szanowny Panie!

Zabrakło nektaru, który tak zbawiennie wpłynął na polepszenie mego zdrowia, lecz ośmielony jego dobrocią, upraszam najuprzejmiej o wyświadczenie mi łaski, w przysłaniu, jak było umówionem, 4 butelek (ale nie próżnych). Adam zagwarantuje należność.

Z szacunkiem i poważaniem
K. Asnyk.

5.

Notatki z sesji Sejmu galicyjskiego.

V sesja VI periodu z r. 1894, od 10 I — 17 II 1894.
Asnyk miał urlop na całą sesję.
II sesja VI periodu, od 14 X do 29 XI 1890.
16 X wybrany do komisji szkolnej.
6 XI Marszałek ks. Sanguszko odczytał list „od posła Adama Asnyka. Dostojny Książę Marszałku! Z powodu krwiotoku płucnego, któremu uległem, lekarze uznali za niemożliwy dalszy mój udział w pracach sejmowych w bieżącym roku, zmuszony jestem przeto prosić o urlop do końca sesji.

Z głębokiem poważaniem
Dr Adam Asnyk".

6.

Występy Heleny Modrzejewskiej w Tarnowie.

Fragment z listu nieznanego autora.

.... uroczą postać widzieć we śnie lub na jawie. Za tę niespodziankę należy się wdzięczność dyrektorowi Kółka muzycznego p. Bendzie, który p. Modrzejewską, siostrę swą, wraz z wydziałem Kółka muzycznego do udziału w koncercie zaprosił. Gdy się wieść po Tarnowie o przyobiecanem przybyciu.....

.... Polskiego i przyrzekła wystąpić w niedzielę w *Adriannie Lecouvreur*. Jakoż dotrzymała przyrzeczenia. Zanim jeszcze drukarz wydrukował afisze teatralne, już większa część biletów była rozkupioną. Przyjęcie p. M. tak w nie-....

... M., nie było końca oklaskom. Gra pani M. była idealną — jej gracja i dykcja, wyraz twarzy i ruchy były prawdziwie w sercu odczute i znakomicie wystudiowane, choć niestety z powodu złego oświetlenia sali nie dla każdego widzialna. W poniedziałek na koncercie....

.... Ujejskiego — dając wzór deklamacji dwóch utworów wprost przeciwnej natury, z których *Agar* oddała z całą siłą dramatyczności. W II-giej części deklamowała *Poemat bez tytułu* Lenartowicza i *Pożegnanie* Krasińskiego, a wskutek....

7.

Teofil Lenartowicz do nieznanego adresata.

Florencja 17/5 82. Via Montebello nr 24

Szanowny Kuzynie Dok....!

Kochany, Szanowny Ojciec wasz przysłał mi fotografię swoją a toć to Polonus aż miło spojrzeć; coraz to mniej takich, wyniszczają nas, wytępiają, kilkadziesiąt lat jeszcze a i na pokazanie Polaka nie znajdzie; dzisiejsze nasze typy wyrodzone jakieś krzywe pękate, ani wiedzieć do jakiego szczepu należą, ze starym duchem swobodnym znikają i zewnętrzne kształty; kupczyki, winkelkonsulenty, szachraje, jakżeż nie mogą być podobni do Barskich konfederatów, rycerzy ziemian, ani do żwawych wąsatych hułanów spod Samosiera, ani do zgrabnych a czupurnych, wesołych i romantycznych 31 roku poruczników. Smutno drogi Kuzynie, ale nie przerobisz świata, do serca starych trafisz w imię ich wiary, do dzisiejszych pukaj kiedyś mądry, popatrzą na ciebie, posłuchają i z uśmiechem jeden drugiemu poda: Donkiszoty. Donkiszotyzmem nazywa się wszystko, co natychmiast nie da się zużytkować, zjeść.

Któż myśli o nawracaniu do praw i nawet zwyczajów zapomnianych, ale to co było uczciwym, pięknym, bohaterskim, zdawałoby się że powinno być wiecznym, tymczasem pokazuje się, że nieprawda, i moralność się przeradza, rozum i rachunek ma zastąpić serce, kłamstwo, serca nie zabiją, narobią tylko szumu, fumu, w czasie, i znikną w burzach niesławną po sobie zostawiając pamiątkę.

Ale dość, bo co to o tem gadać, realizm, realizm, niech się święci, a owe dawne *sursum corda* precz, razem z modlitwą prostaków; waga pojęć ciąży ku przepaści, czasowo, bo świat niech ginie, ale dziś *sursum* wołać nadaremnie.

Co bądź choćbyście najmniej mieli czytelników, trzymajcie starą tarczę i popierajcie literaturę herbu Krzywda ....., a pokąd się słowo uczciwe odzywać będzie, potąd jeszcze ślad bytu, iskierka ducha pozostanie.

Gdziekolwiek jesteśmy, wszędzie mamy do walczenia, a czy sądzisz, że ja tu wolny od tego, przeciwnie, i tylko nie myśl, że

z obcymi, z naszymi... z naszymi... Dwóch Polaków na jedną myśl zgodzić się nie może, a powodem głównym tych niechęci... prywata egoizm, pyszka; oskarżamy się *pro publico bono,* ale na głębi coś innego gada, *pro domo suo.*

Do Bolonii nie jadę z powodu ciężkich bolów kamienia nerkowego, dla których ruszać się nie mogę, przysyłaj więc słowo do Florencji, skąd, gdybym nawet gdzie wyjechał, odsełać mi będą.

Kochanego Ojca pozdrawiam serdecznie, będę do niego pisał, a żonie ucałujcie ręce od waszego starego mazowieckiego dziada wołokity.

Teofil

Włoskie moje odczyty żadną miarą przydać by Wam się nie mogły. Wiersz do B. Zal. jeśli nie można w *Słowie* wydrukować przeszlij Ojcu na wieś albo sobie na pamiątkę zachowaj, a możeby *Tygodnik Illustr.* przyjął, bo inne pisma niechętne, wątpię.

8.

Teofil Lenartowicz do nieznanej adresatki.

Florencja 27/12 90

Droga, Kochana Józiu!

Niech ci Bóg nagrodzi Twoją pamięć i dobre życzenia dla mnie, mało nadziei, żeby się z tych co bądź ziściło, ale zawsze to dowodzi dobrego serca choćby tej jednej duszy, która się do nas odzywa.

Cały ten rok przechorowałem na cierpienia żółciowe, na kamienie i inne biedy, chwała Bogu i za to. Znałem pewnego starego szlachcica, który modlił się na mrozie w nocy w swoim ogrodzie a wracając przy piecu grzał się i z radością powtarzał — Ach Felciu (takie imię miała jego żona), ty nie wiesz, co to za rozkosz, kiedy zamróz z człowieka wychodzi. — Tak ja po każdej biedzie powtarzam — nie wiem, co to za rozkosz, kiedy człowiek do życia powraca.

Ciężko, smutno, samotnie, ale pokąd myśl i ręka dopisują w gębę jest co włożyć, póki nie padnę jak to powiadają na cztery kopyta, toć jeszcze nie bieda. Pocieszyłaś mnie tą sierotką, którą uczysz. O tak, Kochana, dobra Józiu, dobrze czynienie najszlachetniejsza to namiętność, przy której mężność, artyzm, sława żołnierska jak bądź i te użyteczne, wszystko blednie.

Bóg Najświętszy tak to już urządził, namiętność występna prowadzi w przepaść zatracenia, namiętność dobra, jedna do świątyni sławy, chwały w narodzie, a drugie święte, do świątyni poświęceń cichych i krwawych, do nieba, wiodą.

Niech ci Bóg błogosławi.

Na wiosnę tego roku byłem zaproszony na uroczystość przeniesienia zwłok Mickiewicza na Wawel, jechać rzeczywiście nie

mogłem, ale choćbym i mógł, nie zdecydowałbym się; — czas nie po temu, Julito, cały kierunek dzisiejszej myśli walczy przeciwko ideom, jakie on głosił, a demonstracje artystyczne i triumfy się urządza, gdybyśmy to byli w większości choć takimi, jak on mieć nas pragnął i gdyby się jego życzenia spełniły, a to co innego, ale dziś w czasie nędzy nędz i moralnego upadku, to mi wyglądało na ironię albo co najmniej na igraszkę dziecinną, na teatr, na widowisko. Ach! dość widowisk.

Serce pęka patrząc na to, co się dzieje.

Ale dość, po co zakłócać Twoją spokojność klasztorną, módl się, kochaj swoją niemowę, i pracuj nie wybiegając myślą za cztery ubogie ściany Twojej izdebki.

O Cezarku wspominasz, — gdzieby ten stary motyl rozstał się z Warszawą. Takżeś zachciała! A kto by za niego do teatru chodził? przyglądał się maskaradom i podrwiwał? — Zostaw go, jeśli mu z tem dobrze, i mrówko pracowita nie żądaj podobnego usposobienia od muszki, którą nic nie...... Żyje, bo i ją Bóg stworzył, bo i ona potrzebna, choćby dlatego, żeby świat nie popadł w melancholię.

A teraz, droga Józiu, życzę ci wytrwałości, spokoju duszy i zdrowia i żegnam zapewnieniem moich serdecznych uczuć

Teofil

9.

Teofil Lenartowicz do nieznanej adresatki.

Kochana Józieczku!

Bóg ci zapłać za pamięć i życzenia, których spełnienia trudno się spodziewać — 70 lat Aniołku, więc czas do domu, czas, zabawili nas.

Ze zdrowiem ot tak, dzień lepiej, dzień gorzej, a nigdy dobrze, jak to zwykle u starych.

Dzięki Bogu, że i tak jest jak jest, bo mogłoby być gorzej. Przez całe lato cierpiałem na egzemę, od roboty w glinie popękała mi skóra na rękach, więc kąpiele, wcieranie itd., wreszcie licho ustąpiło. Ale ponieważ doktór powiada, że może powrócić, a więc zostawiłem zatrudnienie przyjemne, przy którym czas ani wiedzieć jak upływa. Czytam i czytam, a i wzrok osłabiony, stąd ból oczu i nowa przeszkoda w zajęciu. Siedzę sam, ze znajomych nikogo z Polaków tu nie ma, a z Włochami jakoś trudno — zimna grzeczność i nic więcej.

A no trudno, przynajmniej, że jest za co na kominku zapalić.

Zimna tu do tego czasu nie było, ale za to mgły choć łyżką jeść takie gęste, a na wzrok szkodliwe. Przez jakiś czas ludzie marli na tyfus, teraz się uspokoiło i doktorzyna, którego znam, powiada, że przyszła kreska na doktorów, pomiędzy którymi zachodzą przypadki śmierci z głodu.

Cezarek bombluje jak za dobrych czasów, a no jak to on, chyba tak i skończy.

Droga Józiu! całem sercem życzę Ci zdrowia, bo się przydasz na świecie, a przydasz się uboższym od siebie, czy słowem czy posługą. Niech ci Bóg pomaga.

Sercowe choroby są rozmaite, setki tomów o nich napisano, a te tylko niebezpieczne, które wynikają z wady organicznej, którą to wadę ludzie przynoszą ze sobą, na świat się rodząc.

Jać nie wiem, ale z Twojej fotografii sądząc, nie wydajesz mi się jedną z podobnych.

A teraz, cóż ci więcej napiszę? Życie upływa jednakowo — a jest, jak na szpitalu gdzieś wyczytałem:

Bóg widzi, czas ucieka,
Śmierć goni, wieczność czeka

Pamiętaj o starym, droga Józiu, w swoich modlitwach.

Twój najprzywiązańszy
stary Teofil

Florencja 19/12 91.

Kraków.

Antoni J. Mikulski

LISTY HENRYKA SIENKIEWICZA W MUZEUM POLSKIM W CHICAGO

Stosunki Sienkiewicza z Ameryką Północną, a zwłaszcza z Polonią Stanów Zjednoczonych, były zawsze żywe i serdeczne, ciągnęły się zaś dokładnie przez lat czterdzieści, tj. od czasu wyjazdu autora *Hani* na ziemię amerykańską aż do samego dnia jego śmierci. Świadectwem tych stosunków (prócz dzieł związanych z pobytem w Ameryce, czerpiących stąd tło, treść lub podnietę) są liczne listy Sienkiewicza, w przeważnej części jeszcze nieznane szerszemu ogółowi. Listów tych musiało być niegdyś bardzo wiele, dziś jednakże niewątpliwie wiele zaginęło, bądź wskutek śmierci adresatów, bądź też wskutek innych okoliczności. Odszukanie i zachowanie tych pamiątek jest zadaniem pilnym i koniecznym. Dlatego też godzien uznania jest trud Muzeum Zjednoczenia Rzymsko-katolickiego w Chicago, a przede wszystkim kustosza tego Muzeum, zasłużonego historyka Wychodźstwa Polskiego, Mieczysława Haimana, który w zbiorach zostających pod jego zwierzchnictwem dał należyte pomieszczenie kilku cennym listom wielkiego pisarza. Z wyjątkiem jednego listu, nabytego drogą kupna w Nowym Jorku (list ten oznaczam liczbą I), wszystkie inne są darem Polonii amerykańskiej, a zarazem pięknym pomnikiem ofiarnego ducha tejże Polonii w ciężkich latach wojny.

Adresat pierwszego listu nieznany — i tylko szczegóły listu pozwalają się domyślać, że był to któryś z zażyłych przyjaciół, który podzielał negatywny stosunek Sienkiewicza do wypadków rewolucji 1905 roku. Adresatem listu IV jest Polski Centralny Komitet Ratunkowy; na kopercie figuruje adres: Polish Central Relief Committee of America, 1309 N. Ashland Avenue, Chicago. List V ma na kopercie stampilię z datą 18 kwietnia 1916 oraz adres: Hon. Stanisław Osada, Chicago (Ill) 1309 N. Ashland avenue (Polish Central Relief Committee of America). Stanisław Osada, ówczesny kierownik biura Komitetu Ratunkowego, jest niewątpliwie też adresatem listu II. List III jest bez koperty, ale nazwisko adresata figuruje w nagłówku. Listy II, III i V pisane są na papierze firmowym, opatrzonym w nagłówek: Comité Général de Suisse pour les Victimes de

la Guerre en Pologne — La Banque Nationale Suisse, à Lausanne, est autorisée à recevoir les souscriptions. — Commission exécutive. Adresse: Vevey (Suisse), Hotel du Lac.

Wszystkie listy powyższe będą materiałem niezmiernie ciekawym przede wszystkim dla historyka. Do historii literatury polskiej przynoszą one właściwie jeden tylko szczegół, a mianowicie bezspornie już ustalają datę powstania noweli Sienkiewicza *Z dawnych dziejów.* Datę tę określano do niedawna mylnie: na rok 1915. Prostowałem tę omyłkę wydawców i krytyków już niejednokrotnie na podstawie zaznajomienia się z pierwotnym rękopisem noweli oraz jej brulionowymi notatkami, noszącymi wypisaną przez Sienkiewicza datę: 1912. Na tej to zasadzie, oraz na zasadzie listu Remigiusza Kwiatkowskiego do Sienkiewicza (też z roku 1912), gdzie mowa jest o tej noweli, zaprzeczyłem niedawno (w *Przeglądzie Powszechnym*) mniemaniu, wyrażonemu przez prof. Sinkę w książce *Hellada i Roma w Polsce*, jakoby wspomniana nowela była odbiciem nastrojów z pierwszych lat wojny europejskiej. Niestety w owych latach wojennych już muza Sienkiewicza była niemal zupełnie zacichła. Bodaj że jedynym literackim jego zamierzeniem z owego okresu była popularna *Historia Polski* do której gromadził notatki i o której wydanie już warunkowo pertraktował z firmą Gebethnera.

Pisownię listów podaję według oryginału.

Uniwersytet Wisconsin, Ameryka *Józef Birkenmajer*

1.

Szanowny i Kochany Panie.

Listy chodzą dość regularnie, zwłaszcza rekomendowane. Wogóle stosunki nie są tak rozprężone, jak się zdaleka może wydawać. Opinija publiczna i wszyscy ludzie kochający kraj starają się okiełznać tę partyję, która chciałaby doprowadzić do jakichś wybuchow. Zresztą sądzę, że i ta partyja jest przekonana, że o powstaniu nie może być mowy, bo nikt nie chce pracować pour le roi de Prusse Byłoby to wprost zgubą. — W tych dniach ogłosiłem w „Rusi" list w sprawie szkolnej, który dzienniki galicyjskie niezawodnie powtórzą. Bardzobył (sic! J. B.) był rad, gdyby mógł się ukazać i w prasie francuskiej.

Wyjeżdżałem na parę dni zagranicę, ale obecnie jestem w Warszawie. Adres mój zawsze: ul Hoża N 22. — Na wieś nie wybieram się jeszcze tak prędko. Żona moja dziękuje za pamięć, ja zaś przesyłam serdeczny uścisk dłoni, wraz z wyrazami wysokiego poważania.

H. Sienkiewicz

20. III. 1905

2.

Drukowany nagłówek, jak w objaśnieniu

1. Listopada 1915

Wielce Szanowny Panie.

Po otrzymaniu Pańskiego listu zwróciłem się natychmiast do Komisyi Wykonawczej. Osuchowski oświadczył mi, że sprawozdanie ile kto z Ameryki nadesłał i skąd pieniądze przyszły, zostało wysłane 12 Października. O ile poczty, które w Europie istotnie bardzo zle chodzą, nie zmarudziły, to musi Pan już je mieć. Sprawozdanie wysłano w języku polskim i francuskim. —

Wiadomość, że nasi dzielni Rodacy obłożyli się dobrowolnym podatkiem napełniła mnie głęboką radością, albowiem jest rzeczą pewną, że tylko stała pomoc może zapodziedz nędzy, która wzrasta z dnia na dzień — i grożącym życiu polskiemu klęskom. —

Ponieważ pisze się i mówi teraz o powrocie do kraju wychodźctwa polskiego, przesyłam Wielce Szanownemu Panu moją nowellę p. t. Z dawnych dziejów. Była ona ogłoszona przed dwoma, mniej więcej, laty w „Kurjerze Polskim“ wychodzącym w Petersburgu. Miałem wówczas na myśli emigrację w Rossyi, ale obecnie stosuje się ona tak do położenia i do idei powrotu, jakby była umyślnie w tym celu pisana. — Może ją Szanowny Pan ogłosić w takim dzienniku, w jakim Pan zechce — albo w kilku naraz — a nawet wydać osobno w celach propagandy. — Zapewne uczynią to i dzienniki polskie krajowe. —

Przesyłam najserdeczniejsze pozdrowienia wszystkim drogim Rodakom, oraz wszystkim posłom sejmowym i pozostaję dla Wielce Szanownego Pana z wysokiem poważaniem i szczerą przyjaźnią.

H. Sienkiewicz

Na marginesie dopisek:

Przesyłam egzemplarz poprawiony, ale trzeba uważnie robić korektę, gdyż napisano na maszynie zbyt ciasno i łatwo jaki wiersz opuścić.

3.

Drukowany nagłówek, jak w objaśnieniu

11. Maja 1916.
Vevey. Suisse. Hôtel du Lac. —

Polska Rada Narodowa w Ameryce.

Czcigodni Rodacy.

W dniu dzisiejszym otrzymałem list z doniesieniem o wysyłce 30,000 dolarów pod adresem naszego Komitetu w Vevey. — W odpowiedzi wysyłam najgorętsze podziękowanie w imieniu wszystkich nieszczęśliwych ofiar wojny, których cierpienia, gdyby nie wasze serca, wasz patryjotyzm i wasza hojna pomoc, byłyby wprost ponad siły. Pieniądze zostaną wysłane na ręce Arcb. Kakowskiego

i X. Biskupa Sapiehy zgodnie z waszą wolą, my zaś stąd wyprawiemy natychmiast pokwitowanie z odbioru kwoty. —

Co się tyczy 15.000 doll. które przeznaczyliście dla Biskupa Cieplaka, niewątpliwie pieniądze te przydadzą się i użyte zostaną w sposób jaknajlepszy na ochronki dla polskich dzieci, któremi barbarzyńska ewakuacyja napełniła rozmaite miasta rossyjskie. Poważam się jednak prosić was, abyście przed każdą przesyłką do Rossyi porozumieli się uprzednio z nami, a to z przyczyny następującej. —

Anglija nie zgodziła się dotychczas, nietylko na przesyłanie żywności do ziem polskich okupowanych przez Niemcy i Austrję. ale nie zgadza się również na przesyłkę do nich pieniędzy, zebranych w całej Wielkiej Brytanii i w jej posiadłościach. Wprawdzie niektóre zapomogi z Kanady i Australii adresowane wprost do nas. dochodzą szczęśliwie i temi możemy wedle naszego uznania rozporządzać, natomiast funduszem złożonym w Komitecie Polsko-angielskim, Londyńskim, ktory jest filią naszego, mamy prawo rozporządzać t y l k o na rzecz rodaków naszych ewakuowanych do Rossyi. Fundusz ten jest dość znaczny dochodzi bowiem do 60,000 funtów sterlingow. Owóż, ponieważ komitety polskie w Rossyi otrzymują prócz tego spore, a często zupełnie pokaźne zasiłki rządowe, może się przeto zdarzyć, że zapomogi przeznaczone dla ewakuowanych będą stosunkowo większe niż te, które otrzymują rodacy cierpiący nędzę w kraju. — Nie mówię, żeby i ich położenie nie było ciężkie, a nawet bardzo ciężkie, ale donoszę Wam, że ostatnie wiadomości, jakie dochodzą nas z Galicyi i z ziem Królestwa okupowanych. są coraz gorsze. Nędza między ludnością robotniczą a także i między inteligencją po miastach staje się przerażająca. Dzieci w Warszawie, Łodzi, Lublinie i w niektórych miastach galicyjskich, mimo wszelkich wysiłków miejscowych komitetów, umierają, lub przestają chodzić, tysiącami, z braku dostatecznego pożywienia, a przytem drożyzna powiększa się z dnia na dzień. — Wobec tego ratunek doraźny tam jest potrzebny, gdzie nędza jest największa, a zatem trzeba z wielką uwagą i rozwagą stosować zapomogi, by do danej miejscowości nie przesłać zadużo lub zamało. My tu, będąc bliżej kraju, staramy się o jaknajszybsze informacyje i chętnie będziemy ich Wam, Czcigodni Rodacy udzielać. Jest to nasz prosty obowiązek, albowiem niewielebyśmy mogli wskórać bez waszej wielkiej ofiarności za ktorą cała nasza Ojczyzna nie przestanie Was nigdy błogosławić. —

Załączam wyrazy bratniej miłości i najgłębszego uznania i poważania

Henryk Sienkiewicz

PS. Mimo istniejących w Szwajcaryi surowych zakazów wywożenia miejscowych produktów, otrzymujemy wskutek usilnych naszych starań i dzięki humanitarności tutejszego rządu pozwolenie na wysyłanie od czasu do czasu po kilka wagonów mleka dla

dzieci. Wagon kosztuje około 10,000 franków. Od rządu niemieckiego otrzymaliśmy gwarancyje, że przesyłki nasze nie będą rekwirowane. Kopije urzędowe tych gwarancyi zostały Wam wysłane. Zapomogi w pieniądzach dochodziły zawsze bez przeszkód. —

H. S.

4.

27 Czerwca 1916.
Vevey. Hotel du Lac.

Czcigodni i drodzy Rodacy. —

Toczą się obecnie wypadki od których zależy przyszłość naszego narodu, wypadki tak wielkie, że wobec nich ja sam byłbym zapomniał, a przynajmniej nie myślał o mej rocznicy, gdyby nie to, że pamiętano o niej w Polsce. Otrzymałem ze wszystkich stron naszej Ojczyzny tyle wzruszających dowodów uznania, miłości i czci. że gdyby moje zasługi, jako pisarza polskiego i jako obywatela, były dziesięćkroć większe, jeszcze starczyłoby tych serdecznych hołdów obficie. Ale właśnie dlatego z tem większą wdzięcznością dziękowałem wszystkim w kraju, a obecnie dziękuję Wam drodzy Rodacy — i nie mogąc znaleźć innych słów dla wyrażenia mych uczuć, przesyłam wam serdeczne: B ó g z a p ł a ć! — przedewszystkiem, za wasze czyny dla Ojczyzny, a potem dopiero, za życzenia dla mnie. —

Z głęboką czcią Henryk Sienkiewicz

5.

Drukowany nagłówek, jak w objaśnieniu

Wielce Szanowny Panie

Wyprawiliśmy dziś na ręce Pańskie obszerną depeszę w sprawie żywności, odzieży i zasiłków pieniężnych, wysyłanych przez nas do dzielnic polskich. List ten jest tylko obszerniejszem powtórzeniem słów w depeszy zawartych.

Nie chcemy bynajmniej dowodzić naszym rodakom w Ameryce, by władze niemieckie i austryjackie nie zabierały niczego z Polski, natomiast stwierdzamy ponownie i jaknajbardziej stanowczo, ż e o d z i e ż, ż y w n o ś ć i p i e n i ą d z e, k t ó r e w y p r a w i a m y z V e v e y d o c h o d z ą n i e z a w o d n i e i b e z p r z e s z k ó d d o k o m i t e t ó w p o l s k i c h w k r a j u i r o z d a w a n e b y w a j ą m i ę d z y p o l s k ą l u d n o ś ć n a j b i e d n i e j s z ą. —

Samego mleka dla dzieci wysłaliśmy taką ilość, na jaką dały pozwolenie władze szwajcarskie, to jest dwadzieścia wagonów, po dziesięć tysięcy fr. za wagon. Dodaję, że o pozwolenie trzeba się za każdym razem starać osobno i że nie otrzymuje się go (jakaś litera przekreślona, J. B.) bez trudu. —

Od rządu niemieckiego i austryjackiego otrzymaliśmy dla tych przesyłek, a także i dla skrzyń z odzieżą, zwolnienie od cła, — a od komitetów polskich p o ś w i a d c z e n i a, że wszystko doszło do ich rąk. —

Z pieniędzmi niema żadnych trudności i większa część sum, ktoremi komitety miejscowe rozporządzają, pochodzi od nas, a raczej od Was, drodzy Rodacy, ku którym głownie zwraca się serdeczna wdzięczność naszej ojczyzny. —

Niech-że to moje stanowcze oświadczenie położy raz na zawsze tamę fałszywym pogłoskom, które istotnie mogą wpłynąć na ograniczenie ofiarności. —

W sprawie przesyłania żywnosci z Ameryki dla Polski, morzem do Roterdamu lub do Gdańska udawaliśmy się do Ojca Sw. o popoparcie My — to jest Komitet Veveyski — i ze strony Arcybiskupa Warszawskiego, ksiądz Przezdziecki. Chodziło nam o to, by Ojciec Święty wyrobił wpływem swym w Anglii pozwolenie na przewoz żywności, a w Niemczech i Austrji gwarancję, że żywność ta nie będzie zabierana na potrzeby wojska lub na potrzeby innej ludności niż polska. Papież Benedykt XV, ktory wielokrotnie już wspominał o swem szczególnym umiłowaniu naszego narodu i ktory przez ogłoszenie kwesty kościelnej wyrządził mu ogromne dobrodziejstwo, poparcia swego nie odmówił, a czy będzie ono skuteczne, przyszłość pokaże. —

Natomiast nie słyszeliśmy nic o tem, by rządy Austro-Węgier i Niemiec czyniły podobne zabiegi u papieża jak również nie słyszeliśmy o wysłaniu sekretarza nuncjatury wiedeńskiej do Polski — i o sprawozdaniu tegoż sekretarza stwierdzającem konfiskatę artykułów żywności w Polsce. — Nie pisał nam o tem przedstawiciel nasz w Rzymie M. Loret, ktory jest u źródła i ktory ma otwarty dostęp do Watykanu, nie wspominał wreszcie o tem żaden dziennik polski, włoski lub francuski. —

Owóż powiedzcie sami, czy jest rzeczą prawdopodobną, by dzienniki pokryły taką sprawę milczeniem, by w Polsce nikt (jakiś wyraz przekreśl., J. B.) nie wiedział o pobycie sekretarza Nuncjatury, albo o wystąpieniu Austryi i (przekr. Węgier, J. B.) Niemiec w Watykanie? Czy nie podniosłyby tego dzienniki niemieckie, albo czy nie wystąpiłyby przeciw twierdzeniu sekretarza nuncjatury, że wszelka żywność w Polsce jest natychmiast konfiskowana? Jakim sposobem dowiedziano się o tem wszystkiem w Ameryce a nie dowiedział się nikt w Europie?

Niewątpliwie zachodzi tu albo jakaś niesłychana pomyłka, albo też te wiadomości i te telegramy, drukowane tłustym lub kolorowym drukiem, są prostą kaczką dziennikarską, puszczoną umyślnie w celu wywołania w was zamieszania i w celu utrudnienia naszemu komitetowi ratunku dla Polski. —

Jakkolwiek to jednak jest, nie chcę (przekr. jednakowoż, J. B.) zatrzymywać się nad tem dłużej, natomiast zapewniam raz jeszcze Szanownego Pana, że odzież, żywność i pieniądze przesyłane ze Szwajcaryi do naszego kraju dochodzą bez zawodu do komitetów polskich miejscowych i do ludności polskiej. —

Załączam, wraz z serdecznem bratniem pozdrowieniem, wyrazy głębokiego poważania

Henryk Sienkiewicz

Z AUTOGRAFÓW KASPROWICZA

Stosunki moje z Janem Kasprowiczem, zadzierzgnięte w roku 1902, zacieśniły się z czasem do tego stopnia, że w roku 1910 poeta powierzył mi wydanie swoich *Dzieł poetyckich*, podjęte przez nieistniejące dziś Towarzystwo Wydawnicze we Lwowie[1]. Z tego właśnie czasu pochodzi list Kasprowicza, będący odpowiedzią na pismo moje, dotyczące przygotowywanej edycji, opatrzone szczegółowym wykazem jego utworów. List ten, ważny dokument dla historii pierwszego wydania zbiorowych poezyj Kasprowicza, przytaczam poniżej, dodając do niego kilka dedykacyj, jakie poeta wpisał w łaskawie ofiarowane mi egzemplarze swoich dzieł.

Lwów *Ludwik Bernacki*

1.

Poronin Poniedziałek 19 września 1910.

Wielce Szanowny Panie!

Przede wszystkiem bardzo przepraszam za zwłokę; nie moja jednak w tem wina — korzystałem z pięknej pogody i, skończywszy przekład *Peer Gynta*, poszedłem w góry na dni kilka; wróciłem wczoraj późną nocą i zastałem Pański list i depeszę, którą mi dopiero druga, otrzymana dzisiaj rano, wyjaśniła. — Do Lwowa zjadę około pierwszego października, korektę załatwiać będę *stante pede*. Co do układu, to jestem w okropnym kłopocie. Trudno zrobić to, cobym pragnął wobec różnorodności tematów — w każdym razie przedkładam WSzPanu do uznania taki podział. Ażeby nie psuć całości wyeliminowałbym przede wszystkiem wszystkie rzeczy aktualne, polityczne, społeczne, przygodne i uczyniłbym z nich osobny tomik, któryby przedstawiał się w sposób następny:

I. Z padołu walki

1) Wszystkie tytułem tym objęte rzeczy, zawarte w 1. tomiku *Poezyj* („Mrówka").
Dla orientacji WSzPana podaję edycje.
2) Z więzienia („Mrówka")

[1] Jan Kasprowicz, *Dzieła poetyckie.* Wydanie zbiorowe. Tom I—VI Lwów, 1912.

II. Z areny publicznej

1) Światła i chleba (z *Anima lachrimans*)
2) Narodzenie Chrystusowe (z *Anima l.*)
3) Z opłatkiem (z *Ballady o słoneczniku*)
4) A kiedy zmartwychpowstał (z *Ballady o słoneczniku*)
5) W setną rocznicę trzeciego maja (*Anima lachr.*)
6) 1863—1893 (*Anim. lachr.*?)
7) Witajcie do nas, druhowie (*Anima lachr.*)
8) U trumny wieszcza (*Anima lachr.*)
9) W rocznicę Mickiewicza (*Ballada o słoneczniku*)
10) Kilka sonetów o Kościuszce czy Racławicach (może jeden i drugi drukowane kiedyś w *Tygodniu*, dodatku do *Kurjera Lwowskiego*)
11) Pamięci Szopena (*Ballada o Słoneczniku*)
12) Elizie Orzeszkowej (*Anima lachrimans*)
13) Maryi Konopnickiej (*Ball. o słon.*)
14) Kordecki (*Ballada o słoneczniku*)
15) Drogi krzyżowe („ „)

Dział ten byłby już na wieki wieków zamknięty, gdyż mam w Bogu i wszystkich Świętych nadzieję, że już nigdy w życiu żadnego przygodnego wiersza nie napiszę!

Te wszystkie rzeczy mogą iść do działu liryk i to może na początku, gdyż nie przeszkadzałyby ewentualnemu następstwu innych rzeczy, które z czasem przyjdą, jak np. obecnie *Chwile*, które chciałbym nawiasem mówiąc jeszcze uzupełnić. Co do dalszych liryk, to przedstawiam sobie porządek taki (kasując naogół tytuły dotychczasowe tomików):

I. Melodje wiosenne

1) Melodje wiosenne („Mrówka“)
2) Powróciły do domu bociany (*Anima lachrimans*)
3) Pierwsza pieśń (? *Anima lachrimans* — rzecz wynotowana w Pańskim spisie, ja jej nie pamiętam)
4) Szum drzew (*Anima lachr.*)

II. Melodje jesienne

1) Melodje jesienne („Mrówka“)
2) Jesień (*Anima lachr.*)
3) Pierwszy śnieg (*Anima lachr.*)

III. Sny i marzenia

IV. 1) Cykl sonetów z „Mrówki“, któremu trzeba dać inny tytuł, ale ja ich nie pamiętam, więc w tej chwili nie mogę się oświadczyć — sam tytuł *Sonety* (jak w „Mrówce“) nic nie mówi.

V. Anima lachrimans

1) Bądź pozdrowiona
2) Rozpacz
3) Zaprawdę od ludzkiej doli
4) Nie zdradzą oczy moje
5) Cóż jest warte życie bez uniesień
6) Stłum tę chęć życia
7) Chłód mnie ogarnął
8) Nie żałuję
9) Droga Golgoty
10) Mater dolorosa
11) Po deszczu
12) Rzuć z siebie, duszo

VI. Circulus vitiosus

1) Solamen miseris etc.
2) Zagaśnij słońce
3) Zgrzeszyłem
4) Flectamus genua
5) Amavi
6) Odi profanum

(V. 1) – VI. 6): z *Anima lachrimans*)

7) Z rozbolałego serca etc.

VII. W ciemności schodzi moja dusza

1) Wierzyłem zawsze w światła moc
2) W ciemności schodzi
3) Zazdroszczę nieraz tym
4) O niezgłębiona duszy toni
5) Z głębin przestworu
6) Ach nieraz mi się zdaje
7) Życia ogromne morze
8) Byłeś mi dawniej
9) Modlitwa moja
10) Tęsknię ku tobie
11) Bolu szemrzący zdrój

(VII. 1) – 11): *Krzak dzikiej róży*)

VIII. Z wirchów i hal

I. Z Alp

1) Na jeziorze czterech kantonów
2) Na Teufelsbruecke
3) Jungfrau
4) Na lodowcach Aletschu
5) Ze szczytu Eggishornu
6) Jezioro Maerjelen
7) Szlakiem symplońskiej drogi
8) Na jeziorach włoskich

II. Z Tatr

1) Na szczycie
2) Orzeł
3) Wiatr halny
4) Krzak dzikiej róży
5) Cisza wieczorna

IX. Nad przepaściami

1) Nad przepaściami
2) Wieczności wielki, głęboki etc.
3) Hymn do Waruny
4) (Nie pamiętam tytułu, jeżeli go niema, to proszę dać zamiast nagłówka pierwszy wiersz poematu)

X. Akordy jesienne

NB. W *Krzaku dzikiej róży*, wydanie ostatnie, umieszczony jest jeszcze wiersz p. t. *Fragment*, jest to urywek z niedokończonego poematu p. t. *Wojtek Skiba*, którego dwie czy trzy niedokończone pieśni drukowałem ongi w *Ateneum* za czasów redakcji Chmielowskiego. Gdyby SzanPan *Wojtka Skiby* drukować nie chciał, to fragment ten może pójść po „Akordach jesiennych" — w tej chwili przypomina mi się, że *Fragment* jest ustępem z *Skiby*, ale z części, która drukowana w *Aten.* nie była, były inne pieśni — a zatem może pójść po „Akordach jesiennych":

1) Fragment
2) Ofelia (z Jana Art. Rimb.)
3) Biedni ludzie w kościele (z Jana Artura Rimbeauda)
4) Kruki (z Jana Artura Rimbeauda)

Myślę, że te trzy przekłady można włączyć do liryki — na tom przekładów obcych poetów się nie zdobędę — inne zaś w *Krzaku dzikiej róży* umieszczone przekłady wejdą już do *Poetów angielskich*.

XI. Nie zgasłaś jeszcze, pieśni

1) Nie zgasłaś
2) Siądź na kamieniu
3) Wieczór
4) Pożegnanie
5) Rada
6) Wiatr gnie sieroce smreki
7) Stary, czarny krzyż
8) Drzewo Matki Boskiej Bolesnej
9) Procesja
10) Miłości pełne niech będą twe usta
11) Mróz
12) Droga

13) Dzwonki sanek
14) Ciche samotne rzędy wierzb
15) Fragment
16) Ballada o słoneczniku

Do liryk ja osobiście załączam cały cykl rzeczy pisanych prozą poetycką p. t. *O bohaterskim koniu i walącym się domu* — jednakże idejowo łączy się on bardziej z cyklem „Ginącemu światu“, więc może lepiej złączyć go razem i uczynić wielkie tomisko — lub dwa, pod ogólnym tytułem:

Ginącemu światu (przewalić porządek chronologiczny — tem bardziej, że i w innych tomikach, dotąd wydanych, ścisły porządek chronologiczny utrzymać się nie dał). — Ja bardzo jestem za takim układem:

Wspólny z wszystkimi tytuł: Dzieła poetyckie, a po tem:

Ginącemu światu

I. O bohaterskim koniu i walącym się domu (Książka, którą najbardziej kocham, choć publika nie bardzo, bo jej mojem zdaniem całkiem nie rozumie)
II. Dies irae
III. Salome
IV. Święty Boże
V. Moja pieśń wieczorna
VI. Salve Regina
VII. Hymn świętego Franciszka z Asyżu
VIII. Judasz
IX. Marja Egipcjanka
X. Na wzgórzu śmierci
XI. Uczta Herodjady.

Co do dwóch ostatnich rzeczy śmiem prosić: Niech Szanowny Pan zwróci uwagę, że wszystkie te rzeczy są ze sobą w bardzo ścisłym związku wewnętrznym, dlatego też nie umieściłbym ich śród dramatów, lecz tutaj. O uwzględnienie tego życzenia bardzo Kochanego Pana proszę.

Osobny tom dramatów stanowiących

1) Świat się kończy
2) Bunt Napierskiego
3) Baśń nocy świętojańskiej — jakkolwiek i te rzeczy mogłyby raczej pójść z tomem, o którym mowa będzie na końcu — ale przy tem się nie upieram, bo to nie da się przeprowadzić technicznie. Mnie osobiście podoba się raczej podział według tekstu, a nie według formy. W osobny tom należałoby może ująć rzeczy następne:

Dzieła poetyckie

Miłość

I. Do niej

1) Do niej („Mrówka“)
2) W metafizyce (*Anima lachrimans*)
3) Ten kwiat konwalji (*Anima lachr.*)
4) Czem jesteś dla mnie (*Anima lachr.*)
5) Gdy mnie ogarnia zmrok (*Anima lachr.*)
6) Nie wiem, gdzie jesteś (*Ballada o słon.*)

II. Miłość

I. L'amore desperato
II. Miłość-grzech
III. Amor vincens

III. Z gór

1) O poranku
2) Przy szumie drzew
3) W turniach

IV. Savitri (*Ball. o słoneczniku*).

Załatwiwszy się tak z Miłością, przeszlibyśmy, drogi i szanowny Panie, do rzeczy innych, do

Dzieł poetyckich, zawierających albo czyste opowiadania, albo rzeczy epicko-liryczne.

Możeby dać tytuł temu tomikowi (a może będą dwa): Dzieła poetyckie

Obrazy i opowiadania

I.

Weszłyby w ten tom rzeczy następne:

I. Impresje
1) Hajs marony
2) Venus vulgivaga
3) Batiar
4) W ciszy wieczoru
5) Wiosna

} *Anima lachrimans*

II. Z Chałupy

III. Z flory wiejskiej (rzeczy dziwaczne, drukowane ongi w *Głosie* warszawskim, około r. 1890?)

1) ...
2) ...
3) ...
x) Rumianek (*Anima lachrimans*)

IV. Na rozdrożu

1) Na rozdrożu
2) W karczmisku

V. Typy

1) Król Lear z Biedaczewa (z *Anima lachr.*)
2) Jan Rudawski (z *Anima lachr.*)
3) Maciej Kosarczyk (z *Anima lachrimans*)
4) Hanka Olpińska (*Anima lachrim.*)
5) Marcin Szafran (*Anima lachr.*)

VI. Na ton ballady

1) Pieśń o sierotce (z *Ballada o słoneczniku*)
2) Pieśń o Pani, co zabiła Pana (z *Ball. o słon.*)
3) Pieśń o burmistrzance (z *Ball. o słoneczniku*)
4) Pieśń o Waligórze (z *Ballada o słoneczn.*)
5) Marjan Olchowicz (z *Anima lachrimans*)

VII. Taniec zbójnicki.

Widzę, że więcej w ten tom się nie zmieści i dlatego proponuję:

Dzieła poetyckie

Obrazy i opowiadania

II.

Weszłyby:

1) Jewka Orliczka
2) Na służbie
3) Dwaj bracia rodzeni
4) Salusia Orczykówna
5) Wojtek Skiba (fragmenty) (*Ateneum*)

W osobny tomik należałoby ująć:

Dzieła poetyckie

Pieśni biblijne

I. (wszystkie tytułem „Z motywów biblijnych“ ujęte rzeczy z „Mrówki“),

następnie

II. Ezechiel

III. Chrystus

Co do porządku tomów to proponuję taki:

Tomik I. Obrazy i opowiadania I. Tomik II. Obrazy i opowiadania II.	respective 1 tomisko

T o m i k III.

P i e ś n i b i b l i j n e

T o m i k IV.

O b r a z y d r a m a t y c z n e
(Świat się kończy
Napierski
Baśń nocy świętojańskiej)

T o m i k IV.

Z padołu walki

T o m i k V.

Weszłyby wszystkie liryki, począwszy od „Melodyj wiosennych" — a skończywszy na *Balladzie o słoneczniku.* Tytuł bym jeszcze wymyślił — ewentualnie możnaby, jak wspomniałem na początku oba te tomy złączyć w jeden, oczywiście w takim razie tytuł „Z padołu walki" stałby się jednym z podtytułów.

T o m i k VI.

Miłość

T o m i k VII.

Ginącemu światu I.

T o m i k VIII.

Ginącemu światu II
— ewentualnie z tych dwóch tomików utworzyć jedno wielkie tomisko, co byłoby bardzo pożądane.

Taki jest mniej więcej mój projekt — zdaje mi się, że taki podział — idejowy — wewnętrzny odpowiada lepiej samej rzeczy, aniżeli podział zewnętrzny (chronologiczny etc.). — Wszystkie te działy stanowią pewne całości — uzupełniać je będzie można — choć wątpię, ażebym tak prędko coś napisał. Skończę kiedyś *Marchołta,* to może on stanowić osobny tom, to samo *Chwile* (które uzupełniam i których tytuł prawdopodobnie zmienię). — Taki mój projekt — niech Pan szanowny zrobi z nim jak uważa.

Serdeczne przyjąć proszę wyrazy

szacunku i poważania

Jan Kasprowicz

Kreślenia na Pańskim skrypcie nic nie znaczą — czyniłem je dla ułatwienia sobie roboty, jak Pan szanowny widzi, wielce mozolnej.

2.

P. Ludwikowi Bernackiemu
z wyrazami przyjaźni
tłomacz.

...ludzie znają różnicę pomiędzy
Pożytkiem a utratą, wierzą, że od nędzy
Wojennej lepszy pokój, że on właśnie Muzy
Podnosi, że jest wrogiem żałoby, że śluzy
Radości on otwiera, widząc mnogość dziatwy
I bogactw pełne brogi. Przecz w sposób tak łatwy
My, ludzie nieopatrzni, bierzem się do wojny?
Przecz człek zabija człeka słabszego? Spokojny
Przecz gród ma padać w gruzy przez drugi?...
(Eurip., Błagalnice)

Lwów 10 lipca 1918, na schyłku czwartego roku wojny, która jednak, mimo zniszczeń, przyniesie zbawienie
Jan Kasprowicz

Uwaga. Na egzemplarzu: Eurypidesa *Tragedye* w przekładzie Jana Kasprowicza. Tom I—III. Kraków, 1918.

3.

Oto jest „Marchołt“... Sam sprośny i gruby,
A „powiewności“ szukał w ludzkim bycie,
Skrzydlatej duszy, któraby, na szczycie
Świata spocząwszy w swym locie, od zguby

Świat ocaliła. Lecz daremne próby —
Na marzycielu pomściło się życie:
Zdarłszy mu z ramion królewskie okrycie,
(Godne nie człeka, lecz człeczej pałuby),

W mrok go zepchnęło. I słusznie. Zespołu
Stworzyć nie można między ciężkiem cielskiem,
A wiotkim duchem. Szkoda więc mozołu.

Szkoda? Nieprawda! Przyjdzie czas, w anielskiem
Przejrzan proroctwie, gdzie Człek-Marchołt wstanie
Już na prawdziwe ducha panowanie.[1]

„Marchołta“ za „Marchołta“[2]... Mówiąc tak nawiasem,
Nie wiele wziął mój „Marchołt“ z pana Bakłarza
Z Koszyczek. Krótkie nogi i mieczyk za pasem,
(Choć w jednym tylko akcie). Lecz któż na to zważa?

[1] Sonet wstępny, z drobnymi odmiankami, drukowany w *Rzeczpospolitej* (Warszawa 1920, 21 listopada).
[2] Aluzja do edycji *Marchołta* (Haarlem, 1913), którą pozwoliłem sobie ofiarować Kasprowiczowi.

To sprawy są podrzędne. Wyznam tylko jedno:
Jak Marchołt ów prawdziwy, gębę niewypraną
Posiada i mój pupil. I w tem całe sedno
Krewieństwa. Zaś przymioty inne sameć staną
Przed oczy, jeśli tylko, mój panie Ludwiku,
Łaskawym będąc na mnie, zechcesz wziąć te karty
Do ręki. (A powiadom o swoim wyniku
Autora, który czeka na Twój sąd otwarty.)

Lwów, 7 listopada 1920.

Jan Kasprowicz

Uwaga. Na egzemplarzu: *Marchołt gruby a sprośny jego narodzin, życia i śmierci misterjum tragikomiczne w obrazach czterech zamknięte* Lwów, 1920.

4.

Jest — przekład, chyba lichy, lecz Pańska w tem wina,
Że do rąk mych nie doszła Bury'ego łacina.[1]
Nie wątpić: F. R. Blei'e i E. C. Thomas'y
Pierwowzorowi jego odjęły coś z krasy.
Pomimo to on tyle uroku w swej treści
Posiada, że i w mojej tej przeróbce pieści —
Przynajmniej moją duszę. Serca mi nie ściska
Najmniejszy przeto wyrzut, więc swego nazwiska
Nie waham się tu wpisać, byś spojrzawszy na nie
W tym (znanym Ci zbyt dobrze) autografie, Panie,
Zachować raczył przyjaźń, jak dotąd, i we mnie
Swojego przyjaciela dostrzegał wzajemnie.

Lwów, 11 lipca 1921.

Jan Kasprowicz

Uwaga. Na egzemplarzu (nr 3): *O miłości do ksiąg to jest Philobiblon* traktat łaciński Ryszarda de Bury spolszczył Jan Kasprowicz. Lwów, Zakład Ossolińskich, 1921. Odbito 1000 egzemplarzy. Okładka Eugeniusza Czerwińskiego.

5.

Sonety Szekspirowskie!... Śmiałość ich tłomacza
Zbyt wielka, byś nie myślał, że, widać, przekracza
Zdolności jego „Muzy". Lecz, Panie Ludwiku,
Patrzący na tę pracę, nie myśl o wyniku,
A tylko o tej krztynie dobrej, silnej woli,
Co cieszy pracownika, chociaż innych boli.+

Lwów 14 lipca 922.

Jan Kasprowicz

---

[1] Przekład traktatu Bury'ego powstał pod wpływem mojej zachęty. Kasprowicz, rozmiłowany podówczas w książkach, z zapałem podjął się tłumaczenia, którego z konieczności dokonał z przekładu niemieckiego Fr. Bleia (Lipsk, Insel-Verlag, 1911), opartego na wydaniach E. C. Thomasa i H. Cocherisa, gdyż mimo usilnych starań nie mogłem mu dostarczyć tekstu łacińskiego.

+Lecz jedna jest w tej książce zaleta: litery,
Acz drobne, wywołają pewnie zachwyt szczery
W wszelakim księgolubie[1]++: dla mnie jest to radość,
Że oczom mym typograf chciał uczynić zadość.

++Za wyraz przekreślony i jego zamianę
Przepraszam! Nieporządki takie chyba znane
Każdemu, kto gdykolwiek miewał pióro w ręce,
(Czy wodził niem z łatwością czy w porządnej męce.)+++

P. Ludwikowi Bernackiemu na pam.

+++Jeszcze jeden dopisek.

Co do mnie, gdyby nazbyt słabiło me siły,
Oddawna bym już rzucił proceder niemiły,
A przecież jeszcze myślę aż do końca życia
Nie zrzekać się miłego z Szekspirem obycia.

Uwaga. Na egzemplarzu: William Shakespeare, *Sonety* z angielskiego przełożył Jan Kasprowicz. Warszawa, Instytut wydawniczy „Bibljoteka Polska“, 1922.

---

[1] Pierwotnie: biblofilu.

PRZEGLĄDY I SPRAWOZDANIA

NORWIDIANA 1930—1935 [1]

CZĘŚĆ II

Biografia. Zarysy monograficzne

Przyczynki do życiorysu. — Zygmunt Wasilewski: *Norwid*, Warszawa 1935, str. 243. — Polemika z powodu tej książki. — Stanisław Cywiński: *O gwiaździsty diament Norwida.* Wilno 1935, str. 83. — Zygmunt Falkowski: *Cyprian Norwid: portret ogólny.* Słowo wstępne Stanisława Pigonia. Warszawa 1933, str. 252. — Edouard Krakowski: *L'Europe Romantique: Trois Destins Tragiques. Slowacki, Krasinski, Norwid.* Paryż 1931, Librairie de Paris, Firmin-Didot et Comp., str. 216. — Zygmunt Wasilewski: *Aspazja i Alcybiades. Z dziejów powieści warszawskiej.* Warszawa 1935, str. 128. — Artykuły o atmosferze kulturalnej czasów Norwida. — Cypriana Norwida *Antologia artystyczna* [opracował Z. Przesmycki]. „Grafika", 1933, nr. 2, i osobne odbicie (1933, str. 5—29). — Artykuły o Norwidzie plastyku.

*

Najwięcej przyczynków biograficznych w tym okresie wyszło spod pióra p. Adama Czartkowskiego. Niektóre z nich przybrały postać komentarzy do ogłaszanych równocześnie listów poety; w związku też z tymi listami była już o nich mowa w I-ej części niniejszego przeglądu. Osobno opracował p. Czartkowski kwestię „Cyprian Norwid a Sobiescy" (w artykule pod tym tytułem w *Kurierze Warszawskim* 1934, nr. 255), wyjaśniając genealogię babki poety Anny z Sobieskich 1-o v. Ździeborskiej, 2-o v. Dybowskiej (1780—1814). Wbrew informacjom podawanym przez niektórych biografów okazało się, że nie pochodziła ona z linii „królewskiej" Sobieskich, ale „szlacheckiej", która z tamtą rozeszła się już w połowie XVI-go w. Przy sposobności p. Czartkowski rzucił nieco światła i na Michała Sobieskiego (brata Anny), owego dziada poety, który

[1] Por. *Pamiętnik Literacki*, R. XXXIII, 1936, s. 989—1011.

go w r. 1840 umieścił jako aplikanta w Wydziale Technicznym Heroldii, chcąc, aby wyszedł na „porządnego człowieka“. Kariera tego pułkownika, który po upadku powstania został w Warszawie i, złożywszy ponowną przysięgę na wierność Mikołajowi I, w służbie naprzód wojskowej, a potem cywilnej zyskał sobie chlubną opinię u generała de Witta i Paskiewicza, ukazuje nowe zagadkowe pasmo rodzinnej tradycji Norwida. Artykuł, ogłoszony w *Kurierze Warszawskim*, wywołał polemiczny sprzeciw p. Bronisława Komierowskiego („W obronie zmarłych“, *A. B. C.* 1934, dodatek lit.-art. do nru 271), który jednak p. Czartkowski bardzo taktownie i rzeczowo uspokoił („Norwid, Sobiescy i prawda“, *A. B. C.* 1934, nr 338). „Ojciec poety“: to temat innego artykułu p. Czartkowskiego (*Kurier Warsz.* 1933, nr. 247); materiału do niego dostarczyły pamiętniki Ewy Felińskiej, która poznała Jana Norwida jako salonowca, mówcę i... szaradzistę około r. 1809. (Biograf wykroczył tu, niestety, poza swoje pole, przekonywając nas, że „od razu możemy dostrzec, po kim wziął Cyprian Norwid i *Lust zu Fabulieren*... i tę właściwość skondensowanej pracy myślowej“...)

Wobec nieustannie powtarzających się błędów w popularnej literaturze o poecie p. St. Cywiński przypomniał dane „o pochodzeniu Norwidów“, zgromadzone w t. XII *Rodziny* Uruskiego (artykuł w *A. B. C.* z d. 18 czerwca 1933). O bracie poety, Ludwiku, otrzymaliśmy osobne (bardzo staranne) studium spod pióra p. Juliusza Wiktora Gomulickiego, już poprzednio wspomniane („Zabłąkany pielgrzym“, *Przegląd Współczesny* 1935, nr. 163—164). Nieco szczegółów o drugim bracie Cypriana, Ksawerym, zebrał p. Józef Marian Chudek („Brat Norwida“, *A.B.C.* 1933, nr 164). Przez samego poetę napisany nekrolog Ksawerego wraz z kilku innymi podobnymi nekrologami przypomniał p. Tadeusz Makowiecki („Zapomniane Norwidiana z 1866 roku“, *Ruch Literacki* 1933, nr 3).

„Nauczyciel Norwida — Jan Klemens Minasowicz“ stał się tematem bardzo rzetelnego studium p. Juliusza Wiktora Gomulickiego (*Myśl Narodowa* 1935, nr 17). Wyłania się z niego ciekawy wizerunek samotnika, melancholika i ekscentryka, którego wpływu biograf dopatruje się w rysunkach Norwida i w jego trwałym uwielbieniu dla Rembrandta (Minasowicz kopiował też, jak się dowiadujemy, Guida Reniego i A. Carracciego i kochał gorąco Włochy, w których spędził lat kilka), ba, nawet w stylu pierwszych wystąpień poetyckich autora *Wieczoru w pustkach;* bo Minasowicz był i przygodnym poetą: wydał w r. 1852 zbiór *Śpiewy duchowne i inne poezje religijne*, próbował także tłumaczyć Racine'a. — O przyjacielu poety Władysławie Wężyku dowiedzieliśmy się sporo z książki p. Jana Stanisława Bystronia *Polacy w Ziemi Świętej, Syrii i Egipcie* (1930). Zwięzłe streszczenie tych wiadomości dał p. Z. A. Morawski w artykule „Przyjaciel Norwida“ (*Tęcza* 1930, zesz. 46), dodając do niego portret, odmienny od portretu zamieszczonego u Bystronia. Krótką notatką „Jeszcze o przyjaźni Cypriana Norwida

z Władysławem Wężykiem“ (*Ruch Liter.* 1930, s. 64) p. Wł. Arcimowicz uzupełnił dawniejszy swój artykulik na ten temat. List Wł. Wężyka do Norwida z 1843 r. (ogłoszony swego czasu drukiem w piśmie *Rok 1843 pod względem oświaty, przemysłu i wypadków czasowych*) jest przedmiotem felietonu p. Zdzisława Morawskiego (juniora) pt. „Poznań w korespondencji Norwida“ (*Dziennik Poznański* 1931, nr 291). — Wizerunek jednego z przyjaciół poety z późniejszych czasów: pułkownika Konstantego Linowskiego (któremu dedykowana jest *Garstka piasku*) nakreślił p. Czartkowski w artykule „Na marginesie *Garstki piasku* Norwida“ (*Kurier Warszawski* 10 listopada 1932). — Popularne, ale sumienne przedstawienie stosunku Norwida do Marii Kalergis i Marii Trembickiej daje artykuł C. F. L. „Norwid i dwie Marie“ (*Ilustr. Kurier. Codz.*, 22 maja 1933).

Kwestię „Czy Norwid miał coś wspólnego z wydaniem wiersza Słowackiego *Odpowiedź na psalmy przyszłości?*“ roztrząsnął p. St. Cywiński (*Ruch Liter.* 1930, s. 127) i przyszedł do przekonania, że wersja o udziale poety w tej publikacji jest czystą legendą, wydawcą zaś mógł tylko być Edmund Chojecki lub Berwiński. — P. St. Cywiński zastanawiał się również nad stosunkiem poety do powstania styczniowego (*Ruch Literacki* 1931, s. 56), polemizując z poglądami p. T. Makowieckiego. — Tzw. „lakońską proklamację“ Norwida z r. 1871 omówił gruntownie (z podaniem samego jej tekstu) p. Kazimierz Wyka („Lakońska proklamacja Norwida“, *Wiadomości Literackie* 1934, nr 531).

W rzędzie nowo ogłoszonych lub przypomnianych świadectw współczesnych o Norwidzie na pierwszym miejscu wymienić wypada „Nieznane uwagi S. Goszczyńskiego“, wydobyte z jego rękopiśmiennych pamiętników przez p. Stanisława Telegę (*Il. Kurier Codz.* 5 listopada 1934), szczupłe zresztą i mało ciekawe. Pod nazwą „Zapomniany wizerunek Cypriana Norwida“ p. Wł. Arcimowicz przypomniał (w *Tęczy* 1930, nr 46) artykuł J. T. Hodiego, wydrukowany w *Kraju* petersburskim 1884 r., zastanawiający jako świadectwo człowieka chłodnego i nie znającego Norwida z jego pism („Robił wrażenie cegiełki, ocalałej z cudownego gmachu, który gdzieś kiedyś spłonął do szczętu. Opowiadała ona o rzeczach bez wątpienia niesłychanych. Niestety, zanadto plugawie wyglądałyby przy niej cegły naszego wieku, tysiącami wystawiane i wystawiające się na sprzedaż powszednią, aby dla kogokolwiek bądź ceramika ta norwidowska cenę mieć mogła. Zdziczał w końcu, pozwolił na sobie osiąść okwasowi rozczarowania i zwątpienia...“) P. Józef Marian Chudek zestawił (pt. „Kraszewski w pracowni ‘jeniusza zwichniętego’“, *A. B. C.*, dod. liter.-art., 9 lipca 1933) opinie Kraszewskiego o poecie: z *Kartek z podróży* (1874) i *Rachunków* (1866). Dwa inne „zapomniane świadectwa o Norwidzie“ odszukał p. Władysław Ziemacki (*Ruch Liter.*, 1935, s. 133) w relacji Anieli Tripplinówny o wizycie u Bohdana Zaleskiego i we wspomnieniach K. N. (?) o Łucji z Giedroyciów Rautensztrauchowej. Od wszystkich

tych świadectw odbija tonem ustęp poświęcony Norwidowi we *Wspomnieniach* (1933) Jana Rosena (...„szczerze wyznaję, nie odczuwałem dla niego sympatii, nie odbierałem też w obcowaniu z nim wrażenia wielkości ducha, które pozwoliłoby mi było zapomnieć o ujemnych stronach osobowości jego"), ustęp wystawiający poetę w nędzy i zaniedbaniu, a przy tym „ziejącego napojami wyskokowymi" (rzecz się działa we Francji, kraju wina!). Częściowo (ale częściowo tylko) podobny obraz Norwida w apatii i abnegacji nakreślił na podstawie wspomnień Zygmunta Sarneckiego p. Adam Grzymała Siedlecki („Nad *Norwidem* Wasilewskiego", *Myśl Narodowa* 1935, nr 11—12), przeciwstawiając je jednak zupełnie odmiennym wspomnieniom Władysława Mickiewicza, z których wyłania się wizerunek Norwida-światowca, co „nienagannym strojem, elegancją bycia, wytwornością ruchów reprezentował typ zubożałego markiza", a przy tym „znany był na salonach z kostycznego dowcipu". P. Siedlecki usiłuje powiązać te tak różne portrety tezą o dwoistości natury poety.

Z większości wymienionych przyczynków biograficznych korzystał już p. Zygmunt Wasilewski w książce swojej *Norwid*, będącej w omawianym okresie wśród studiów nad poetą rzeczą największego zakroju i najśmielszej ambicji, bo celem, który sobie w niej autor zakreślił, jest charakterystyka psychiki poety zarówno na podstawie jego dzieł, jak i danych biograficznych. Książki tej nie będę tutaj omawiał, gdyż była ona już recenzowana w *Pamiętniku Lit.* (XXXII, 560) przez p. St. Cywińskiego, z którego opinią w głównych punktach się zgadzam; czytelnika ciekawego różnic odsyłam do własnej recenzji, zamieszczonej w *Przeglądzie Współczesnym* nr 168 (pt. „Norwid normandzko-mazurski"). Książka ta wywołała duże poruszenie, a Polska Akademia Umiejętności przyznała jej nagrodę z funduszu Probusa Barczewskiego jako „najlepszemu dziełu historycznemu ogłoszonemu w r. 1934" (*Rocznik P. A. U.* 1934—35, s. 153). W licznych artykułach krytycznych, które jej poświęcono, znalazło się niemało nowych i ciekawych spostrzeżeń, niemało prób wytłumaczenia osobowości twórczej Norwida i jego charakteru jako człowieka. Wspomniałem już o artykule p. A. Grzymały Siedleckiego; dodam tu, że zawiera on interesujące porównanie Norwida z Nietzschem („Norwid... jest poetą poniekąd w takim samym znaczeniu, w jakim był na przykład Fryderyk Nietzsche"). Z innych artykułów wyróżnia się recenzja p. Mariana Piechala w *Pionie* 1935, nr 84 (w której sformułowane m. i. bardzo zwięźle zostały największe niedostatki książki: „Początkowo dajemy się uwieść .... rozumowaniom Wasilewskiego, ale potem budzi się w nas sprzeciw: są zbyt dowolne ... Błąd Wasilewskiego polega na tym, że stara się: nie odczuć poezję Norwida, lecz wyrozumować jak zadanie matematyczne"...), a także artykuł p. Tadeusza Makowieckiego („Z batalii o Norwida", *Marchołt* 1936, nr 6). Sporo trafnych uwag szczegółowych przy mniej trafnym ujęciu całości znaleźć można w recenzji p. Kazimierza Wyki (*Droga*

1935, nr 2). To samo powiedzieć da się o artykule p. J. E. Skiwskiego („O Norwida spór zasadniczy“, *Tygodnik Ilustr.* 1935, nr 20). Najgorliwiej jednak zajął się pracą p. Wasilewskiego p. Stanisław Cywiński, który poza szeregiem recenzyj w pismach poświęcił jej osobną książkę *O gwiaździsty diament Norwida.* Sprostował w niej bardzo trafnie liczne błędy rzeczowe i mylne interpretacje; stąd książka jego stanowi cenne *pendant* krytyczne do pracy Wasilewskiego. Zadanie to pełniłaby jeszcze lepiej, gdyby była utrzymana w tonie normalnej rozprawy krytycznej, a nie (jak jest) w tonie prokuratorskiego oskarżenia, przechodzącego raz po raz w karcący patos wychowawcy („Zwracam uwagę na nieumiejętną terminologię Wasilewskiego w zakresie zagadnień filozoficznych“; „trudno doprawdy uwierzyć, by pisarz tak poważny i zasłużony, mający tyle poczucia odpowiedzialności w dziedzinie politycznej, nie zdawał sobie sprawy“ itd.), zwłaszcza, że ton ten ma swoje źródło nie tylko w stwierdzeniu istotnych błędów i niekonsekwencyj p. Wasilewskiego, ale nade wszystko w przekonaniach teoretycznych, na które nie podobna się zgodzić. Wedle p. Cywińskiego, przede wszystkim krytyka impresjonistyczna, jaką często uprawia p. Wasilewski, nie powinna być stosowana do zjawisk, które „wzięła w swe pełnoprawne posiadanie... historia literatury“ (ale gdzież to kto takie „pełne“ prawa dla historii literatury zawarował?); następnie, „z Norwidem trzeba poobcować dobrych kilkanaście lat, by móc o nim pisać“ (czy jednak, jeśli tylko ktoś czyta uważnie i uczciwie, nie ma tu zastosowania zdanie molierowskiego Alcesta: „Nie sądzę, aby czas w tym miał grać jaką rolę“?); wreszcie, tłumaczyć Norwida innym mogą „tylko ci, co sami są na linii jego wyobrażeń i poglądów“ (tę ostatnią opinię zacieniował p. Cywiński, trzeba przyznać, słowami „jak mi się zdaje“ i słusznie: jakże byśmy bo zwęzili uniwersalne znaczenie poetów, gdybyśmy uznali, że o Miltonie np. mogą pisać tylko protestanci, o Shelleyu tylko wolnomyśliciele, o Leopardim tylko pesymiści itd.!) Dnem tych wszystkich przeświadczeń p. Cywińskiego jest jego intelektualistyczny pogląd na poezję jako na dziedzinę, w której zasoby życiowego doświadczenia są ujmowane w trybie *à peu près* (stąd „wartości ściśle poetyckie“ są dla niego identyczne z tzw. „*Annäherungswerte*“). Pogląd ten sprawia także, że Norwid-myśliciel jest przez p. Cywińskiego znacznie lepiej oświetlony niż Norwid-poeta. Książka jego wszelako zawiera dużo wartościowych przyczynków z różnych dziedzin. Dla biografii poety np. bardzo przydatne jest zestawienie nazwisk jego bliskich znajomych, przyjaciół i korespondentów (s. 14). Do najważniejszych należą wywody o katolicyzmie Norwida i jego związku z atmosferą ideową jego czasów. — Książka ma charakter bardzo osobisty: przepojona jest wielkim i szczerym przywiązaniem do poety, które zresztą czasem i w mniej pożądany sposób się przejawia, kiedy autor np. prawuje się z p. Wasilewskim zawzięcie nawet o drobiazgi i walczy cytatami z prywatnej z nim korespondencji. Użytecznym aneksem książki

jest szczegółowe zestawienie bibliograficzne wcześniejszych studiów i artykułów autora o Norwidzie. Spis ten, z kilku dziesiątków pozycyj złożony, uprzytomnia rozmiary jego zamiłowania i tego zamiłowania systematyczność. Dalszy ciąg tego spisu przyniósł *Pamiętnik Lit.* t. XXXII, na s. 568. (Książkę p. Cywińskiego omówił ciekawie p. Makowiecki we wspomnianym już wyżej artykule. Z pewną ironią odniósł się do niej p. A. Drogoszewski w recenzji na łamach *Nowej Książki* 1935, s. 186. Kontrowersja pomiędzy p. Cywińskim a p. Wasilewskim toczyła się jeszcze w *Myśli Narodowej* 1935, nry 7, 13, 37).

Szerokością zakroju pokrewna książce p. Wasilewskiego jest rzecz p. Zygmunta Falkowskiego *Cyprian Norwid: portret ogólny*, acz charakter jej jest raczej popularny i ambicja głównie popularyzatorska. „Pierwszą... próbą przybliżenia poety szerokiej rzeszy czytelników“ nazywa ją przedmówca (p. Pigoń). W tych granicach rzecz to, istotnie, udatna, bo napisana sumiennie, z dobrą znajomością Norwida, i we właściwym duchu: wielkiego umiłowania, nie rezygnującego wszelako z krytycyzmu. W stosunku do poprzedniej swojej pracy (*Rzecz o tragiźmie „Kleopatry“*) autor wykazał wielki postęp pisarski i sprawił miłą niespodziankę krytykowi, który tamtę rozprawę w swoim czasie surowo musiał ocenić. W ramach opowieści biograficznej mieszczą się tu i omówienia utworów, przystępne, acz nieraz (jak w wypadku *Promethidiona*, *Quidama*, *A Dorio* i *Kleopatry*) wcale nawet obszerne. W toku opowiadania autor obficie cytuje, i to nie tylko utwory poetyckie Norwida, ale i jego listy, a także i listy współczesnych, mające znaczenie dokumentów. Prawdziwy to wstęp do Norwida dla tych, co go nie znają; ale i niejeden ze znających z zadowoleniem przeczyta pewne stronice, przypominając sobie trudniej dostępne urywki korespondencji poety (ich uprzystępnienie należy poczytać autorowi za szczególną zasługę). Staranne przypisy pozwalają na identyfikację cytat i odszukanie ich w wydawnictwach źródłowych. Wśród uwag krytycznych znajdziemy tu niejedno trafne spostrzeżenie; wyróżnia się zwłaszcza rozdział o *Kleopatrze* (krytykujący jej brak akcji i długie tyrady, stwierdzający, że „ze stanowiska scenicznego *Kleopatra* jest dziełem co najmniej wątpliwym“: jakaż odmiana tonu w stosunku do dawniejszego studium). Trafiają się zresztą i określenia mniej trafne (czyż np. zerwanie z Marią Trembicką było „grubijańskie“?) i frazeologiczne zagalopowania (jak np., kiedy o Byronie autor pisze: „Ten wspaniały, namiętny geniusz czasów nowożytnych“). Na ogół trzeba powiedzieć, że autor i pod względem stylu bardzo się od czasów pracy o *Kleopatrze* korzystnie zmienił. Nowa książka napisana jest znacznie spokojniej, ze znacznie mniejszą profuzją metafor i epitetów. Kiedy zaś do stylu obrazowego się autor ucieka, to bardzo często daje w nim istotnie wnikliwe charakterystyki; za przykład może służyć ustęp o młodzieńczych wierszach Norwida („Te wiersze są istotnie opalowe. Światła mierzchną tam w półświatła, głosy — w półgłosy, czucia



C. NORWID: CHARAKTERYSTYKA NĘDZY — SZKICE Z NATURY

Rysunek ze zbiorów Biblioteki im. Gw. Pawlikowskiego
w Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich we Lwowie

w półczucia, wonie w echa jakichś woni. Ostatecznym, nierozkładalnym pierwiastkiem wszystkiego jest cisza"). Nie bez tego zresztą, żeby czasem się nie odzywały i dawne złe nałogi stylistyczne („I ta śliczna wieś, Rafaelowskim pędzlem Mickiewicza zdobna, trzepocze jak przebity wielobarwny motyl"; koroną wszystkiego są „malowanki idealistyczne, z których po oskrobaniu zostaje goła blacha"; oszołomiony własnymi słowami autor nie uprzytomnił sobie, że i z Rafaela „po oskrobaniu" nic by godnego uwagi nie zostało: typowy przykład pseudoobrazowości). Wolę już „dorywcze przepisywanie się z Konstancją Górską" (s. 99) i „czerepachę" przyrośniętą „do grzbietu żółwia" (s. 213), bo w tym przynajmniej jest smak wileńskiego regionalizmu, zawsze miły, i to książce nie szkodzi.

Co p. Falkowski dla rodaków, to p. Edward Krakowski zamierzył zrobić dla obcych czytelników we francuskim opowiadaniu o Norwidzie, włączonym — wespół z opowieścią o Słowackim i Krasińskim — do książeczki p. t. *Trois destins tragiques*, którą zdobi jeszcze malowniczy zwierzchni nagłówek *L'Europe Romantique*. Poprzedzone obszernym rozdziałem o powstaniu listopadowym, a zakończone uwagami o związku romantyzmu polskiego z zachodnim i kultury polskiej z francuską, opowiadania te zawierają istotnie sporo przystępnych wiadomości o poetach polskich, a w szczególności o Norwidzie. Najszerzej rozwodzi się p. Krakowski nad jego miłością do Marii Kalergis; sporo miejsca poświęca jego stosunkom z Chopinem, wspomina o jego pracach malarskich i graficznych, charakteryzuje teorię sztuki wyłożoną w *Promethidionie*, szkicuje obraz samotnego, twórczością i nędzą wypełnionego schyłku życia poety, opowiada wreszcie o odkryciu jego dzieł przez Miriama i o ich wpływie na pisarzy ostatnich pokoleń. Opowieść nie jest skrępowana rygorami latyńskiej przejrzystości: ma raczej charakter sarmackiej, dygresjami szpikowanej gawędy. Dyskusja z autorem o dobór rysów w tym portrecie poety byłaby bezprzedmiotowa wobec jego nowelistycznych raczej dążeń, których wyrazem są słowa: „Cette oeuvre, cette vie, c'est un roman qui les peut contenir, un roman balzacien, et non pas une critique" (s. 167). I tak jednak założonej książce tylko na dobre wyjść by mogła większa dokładność w przedstawieniu faktów. Mniejsza już o daty, choć w tym zakresie są u p. Krakowskiego przesunięcia wysoce swobodne (Norwid u niego w latach 1847—1855 podróżuje po Włoszech; panowanie Marii Kalergis nad jego myślą i twórczością przypada na lata 1850—1863, w którym to czasie poeta „peut entretenir son amour de la présence de Marie Kalergis à Paris", *Pompeja* powstaje w r. 1875, odczyty o Słowackim wychodzą wprawdzie w 1861 r., ale za to w ... Petersburgu), mniejsza o określenie *Rzeczy o wolności słowa* jako „une étude", w której poeta raz jeszcze wyraził „ses préoccupations sociales"; czy jednak było dobrze chudy wybór kilku tytułów (z całkowitym pominięciem tych, które niebawem wejść miały do francuskiego zbiorku *Le Stigmate*)

przedstawić jako „les oeuvres d'ensemble de Norwid“ (195)? czy było rzeczą słuszną mówić o poecie jako o uczniu Fouriera (190)? czy nie jest zbyt daleko posuniętą symplifikacją idei *Promethidiona* powiedzenie, że Norwid posiada „une hautaine appréciation de la beauté qui lui fait mépriser l'art de la parole quand il n'est pas source d'actes utiles et efficaces“ (192)? Najbardziej jednak oślepiającą i nieoczekiwaną rzeczą w książce jest rodowód Norwida od ... Baudelaire'a i Edgara Poe: „C'est de Charles Baudelaire, génie unique et solitaire dans les lettres française du XIXe siècle, qu'il procède, de Baudelaire, d'Edgar Poë, tel surtout qu'il apparaît dans la traduction française, et aussi de Gérard de Nerval“ (194). To już nie romans balzakowski: to powieść z *Tysiąca i jednej nocy*! Przyznać jednak trzeba, że takich oszołamiających odkryć książka przynosi niewiele; autor przeważnie ogranicza się do stwierdzania rzeczy bardziej oczywistych; nie sili się przy tym na wyszukane sformułowania i dystynkcje: mówiąc np. o pierwiastkach neoplatonizmu w *Promethidionie* (204), zaraz dodaje, że o tymże neoplatonizmie zaświadcza „l'admiration désintéressée de Norwid pour Marie Kalergis ....une passion plus philosophique qu' humaine“... itd.

Pośrednio biografii Norwida dotyczy książka p. Zygmunta Wasilewskiego *Aspazja i Alcybiades*. Już w czasie przygotowywania swego obszerniejszego studium o Norwidzie p. Wasilewski zainteresował się „wstępnym obrazkiem“ w *Pogance* Żmichowskiej i w jednej ze wspomnianych tam postaci (Edmundzie) dopatrywał się portretu Norwida. Stąd powstał artykuł „Kto to jest Edmund“ (w *Ruchu Lit.* 1934, s. 231). Jego wywody zakwestionował ś. p. Gabriel Korbut („Edmund a Cyprian Norwid“, *Ruch Lit.* 1935, s. 19) P. Wasilewski jednak hipotezy nie wycofał („Czy to Karol Baliński? Odpowiedź prof. Korbutowi“, *Ruch Lit.* 1935, s. 20) i nawet do swojej dużej książki o Norwidzie ją włączył, acz nie bardzo się ona godzi z jego własną charakterystyką Norwida. Po pewnym czasie wydało mu się rzeczą prawdopodobną, że osoba naszego poety jeszcze bardziej zaważyła na kompozycji *Poganki*: że mianowicie cała powieść Żmichowskiej mogła być transpozycją dziejów jego nieszczęśliwej miłości. Maria Kalergis byłaby więc prototypem Aspazji: dwaj bracia, Beniamin i Cyprian, byliby rozdwojonym portretem Norwida. Cały utwór w takiej interpretacji wygląda nie tylko jako rzecz o Norwidzie, ale wręcz jako rzecz dla Norwida napisana. Dowodów na to nie ma żadnych. Ani nie wiadomo nam żeby Żmichowska Norwida tak dobrze znała, ani żeby się nim tak dalece interesowała, ani żeby jego dzieje serdeczne tak były współcześnie głośne (przeciwnie, wiemy, że nie lubił się nigdy afiszować, ani o sobie szeroko rozpowiadać); w kolejach życia i w charakterze Beniamina jest wiele rysów nic wspólnego z Norwidem nie mających; 23-letnia w chwili pisania *Poganki* Maria Kalergis daleka jeszcze od późniejszych triumfów salonowych, nie ruszająca się nigdzie bez swojej *dame de compagnie* Marii Trembickiej, chętnie przebywająca w towarzystwie emigrantów, w niczym też nie przy-

pomina wielkiej hetery, „poganki“ i egoistki (toż ojciec jej uskarżał się, że wróciła z zagranicy *plus ultra-polonaise que le vieux Lelewel, plus ultra-catholique que le Pape*, że darzyła przyjaźnią „księży rewolucjonistów Semenenkę, Jełowickiego, etc.“ — i to właśnie dokładnie wtedy, kiedy Żmichowska przygotowywała swoją powieść). Po prostu p. Wasilewski poprzesuwał w dół różne daty (podobnie jak p. Krakowski w analogicznie sarmackim porywie fantazji poprzesuwał je w górę). Rzecz jednak jest napisana bardzo powabnie i można ją czytać z prawdziwą przyjemnością, jeśli się ją będzie traktować jako utwór z dziedziny „possybilizmu“ historycznego, na podobieństwo np. szkicu Oskara Wilde'a o bohaterze sonetów Szekspira, albo książki Samuela Butlera o *Odyssei* jako utworze kobiety. Zdaje się, że i p. Wasilewski tak właśnie początkowo na swój pomysł spoglądał; od pewnej jednak chwili wziął go zanadto na serio, i to wprowadziło do książki ton trochę fałszywy. Bo wystarczy przycisnąć mocniej którykolwiek w niej szczegół, aby zobaczyć, ile poza nim dowolności w domysłach przy równoczesnym zakrywaniu faktów dokładnie wiadomych. „Trzeba było — mówi np. autor o Żmichowskiej (95) — niemałej odwagi, aby w powieści córkę hr. Nesselrode, szefa żandarmerii warszawskiej, na sztych wystawić“. I snuje tę nitkę myśli dalej: „Kto wie, czy... zausznicy nie podszepnęli ojcu, kim jest Aspazja; kto wie, czy nie to było powodem, że Żmichowska była śledzona i, w r. 1849, uwięziona“. Żmichowska bowiem, wedle rozumienia autora, jako patriotka i entuzjastka, chciała napiętnować w postaci Aspazji Marię Kalergis jako zimną salonową „lwicę“. Ale przecież p. Wasilewski, który pierwszy z norwidystów korzystał z doskonałej książki C. Photiadèsa (*Marie Kalergis, née Comtesse Nesselrode*, 1924), musi wiedzieć z niej dobrze, że ta „lwica“ w r. 1846 (tj. właśnie w roku *Poganki*) przechowywała u siebie w Warszawie kompromitujące papiery jednego ze stowarzyszeń spiskowych; „kto wie“, można wywodzić stylem p. Wasilewskiego, czy Żmichowska nie należała do tego stowarzyszenia i czy za ową przysługę nie żywiła dla córki szefa żandarmerii warszawskiej właśnie uczuć wdzięczności, sympatii, a nawet podziwu. Domysł ten byłby od tamtego prawdopodobniejszy. P. Wasilewski, chcąc uprawdopodobnić swoje przypuszczenia o pamfletowym charakterze *Poganki*, wystawia Żmichowską jako naturę, która „miała w sobie coś z wiejskich prządek mazurskich“, co ma, zdaje się, znaczyć, że jej uczucia i myśli zaczepiały się zawsze o sprawy i osoby z najbliższego otoczenia; ale wzmianka o prządkach może być raczej przestrogą przed tym skwapliwym uogólnieniem, bo Żmichowska napisała opowiadanie *Prządki*, ale zamieściła w nim parafrazę starej francuskiej bajki pani d'Aulnoy (którą może znała z polskiej przeróbki Drużbackiej): ten szczegół uprzytomnia, że nawet w najbardziej „kominkowo“ wyglądających opowieściach wchodzą w grę literackie pierwiastki fabularne i strukturalne, nie mówiąc już o fantazji. Doszukując się w utworze tak poetycznym jak *Poganka* nade wszystko pierwiast-

ków anegdoty i pamfletu, zaiste nie podniesiemy jego znaczenia; a dla biografii Norwida, nawet przy zastosowaniu większej krytyczności, niewiele zyskamy. „Dowody“ na to, że Norwid czytał *Pogankę* (w *Pogance:* „Hej, galop, galop“, a w *Promethidionie:* „Ho hop, koniku mój“; itp.), trudno przypuścić, aby przez p. Wasilewskiego były traktowane inaczej niż jako żart z „metody filologicznej“; wystarczającym też pewno dla niego triumfem było, że zachwycił nimi kilku „specjalistów“. Dowolności jego prześwietlili: p. Boy-Żeleński („Czy powieść o Norwidzie?“ *Wiadomości Literackie* nr 626), p. T. Makowiecki (w artykule już wyżej wspomnianym), p. St. Cywiński („O szkodliwości legend“, *Dziennik Wileński* 1936, nr 275—6).

Zasługą największą pracy p. Wasilewskiego jest przypomnienie atmosfery kulturalnej, w której rozpoczynała się twórczość Norwida. Atmosferę tę charakteryzował również p. Stefan Kawyn („Cyganeria Warszawska“, *Pamiętnik Lit.* XXX, s. 226) i p. St. Cywiński („Z dziejów walki mazurów o stolicę: Warszawa w latach 1840—2 jako tło pierwszych wystąpień Norwida“, *Myśl Narodowa* 1931, nr 12, 14). P. Cywiński omówił również w osobnych przyczynkach związki Norwida z Warszawą („Przed pięćdziesiątą rocznicą śmierci Norwida“, *A.B.C.* 1933, nr 95) i Paryżem („Norwid w Paryżu“, *Gazeta Warszawska* 1933, nr 153). „Wspomnienie o Norwidzie“ p. Józefa Czechowicza (*Państwo Pracy* 1935, nr 11) jest pięknym zbiorem wrażeń z wędrówki po dzielnicy Chevaleret w Paryżu, terenie ostatnich lat życia poety.

*

Przy sposobności pięćdziesiątej rocznicy śmierci Norwida pojawiło się także nieco publikacyj o jego twórczości plastycznej. Naczelne miejsce wśród nich zajmuje przygotowana przez Miriama *Cypriana Norwida antologia artystyczna*, obejmująca 62 reprodukcje rysunków, akwarel, litografij i akwafort i poprzedzona krótkim wstępem o dziejach odszukiwania i rejestracji tej części puścizny norwidowej. „Grafika Cypriana Norwida w zbiorach biblioteczno-muzealnych hr. Tarnowskich w Suchej“ została inwentarzowo opisana przez p. Józefa Serugę (w *Czasie* 1933, nr 127). O obrazach i rysunkach Norwida będących własnością p. Edwarda Krakowskiego podał wiadomość p. Kazimierz Helle w dodatku do *Il. Kuriera Codziennego* 1935, nr 166. Z artykułów tej części twórczości Norwida poświęconych wyróżniają się: p. Wiktora Podoskiego „Uwagi o Norwidzie plastyku“ w *Myśli Narodowej* 1933, nr 23 (uwydatnia w nich autor predylekcję Norwida do akwareli i stwierdza, że „jako malarz, stylem i ujęciem swych prac daleko bardziej związany [był] z epoką, niż twórczością poetycką“), a zwłaszcza artykuł p. Wacława Husarskiego „Norwid jako plastyk i teoretyk sztuki“ w *Tygodniku Ilustr.* 1933, nr 22. Artykuł ten jest najkrytyczniejszą pracą na ten temat. Uznając oryginalność treści myślowej i nastrojowej dzieł Norwida, formę ich określa

jednak jako mało wyrobioną i dosyć przypadkową. „Norwid — czytamy — nie ma zdecydowanej koncepcji formalnej, przerzucając się od jednego sposobu ujęcia do drugiego, zupełnie... różnego; odczuwa się przy tym różnorodne wpływy, przez które przeszedł, a które nie stopiły się ze sobą, i brak własnej wizji, która by je stapiała“. W wyniku „realizacja formalna Norwidowego malarstwa dosyć rzadko odpowiada zamierzeniu; ....jest zawsze ....nieco dyletancka“. Podobną opinię znajdujemy i w kilkuwierszowej wzmiance o Norwidzie, zawartej w *Dziejach malarstwa polskiego* p. Feliksa Kopery (t. III, Kraków 1929, s. 417).

CZĘŚĆ III

Studia nad twórczością

Stefan Kołaczkowski: *Dwa studia: Fredro — Norwid.* Warszawa 1934, str. 75. — *Pamięci Cypriana Norwida*, „Droga“ 1933, nr 11 (str. 935—1159). — Numery norwidowskie „Ruchu Literackiego“, „Myśli Narodowej“, „Czasu“. — Artykuły miesięczników, tygodników i dzienników w pięćdziesiątą rocznicę śmierci Norwida. — Władysław Arcimowicz: *Cyprian Kamil Norwid na tle swego konfliktu z krytyką.* Wilno 1935, str. 173 (= „Biblioteka Prac Polonistycznych. Wydawnictwo Koła Polonistów Słuchaczy Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie“, nr 4). — Tenże: *Prawdy Cypriana Norwida*, „Przegląd Powszechny“ (1932), tom 193, str. 59—80, 208—233. — Marian Piechal: *Norwidowska teoria czynu narodowego*, „Droga“ 1934, nr 9 (str. 768—786). — Tenże: *O społecznym sensie „Promethidiona“ Norwida*, „Gazeta Artystów“ 1935, nr 21. — Tenże: *Norwid dawniej a dziś*, „Ilustrowany Kurier Codzienny“ 1935, nr 34, 42, — Drobne artykuły na ogólniejsze tematy. — Juliusz Wiktor Gomulicki: *O mistycyzmie Norwida*, „Myśl Narodowa“ 1935, t. II, str. 532, 543. — Zofia Szmydtowa: *Twórczość dramatyczna Norwida*, „Pamiętnik Literacki“ 1935, str. 199—208. — Zofia Szmydtowa: *O misteriach Cypriana Norwida.* Warszawa 1932, str. XII + 194. — Stanisław Cywiński: *„Kleopatra“ Norwida jako dramat ponadszekspirowski*, „Przegląd Współczesny“, t. XLVI, str. 79—94. — Zygmunt Falkowski: *Rzecz o tragizmie „Kleopatry“.* (Wyd. 2.) Wilno 1932, str. 119 + 1 nlb. — Norwidowski numer „Sceny Lwowskiej“ (sezon 1933—34, zeszyt 3). — *Kleopatra* w Polskim Radio. — Władysław Arcimowicz: *„Assunta“ C. Norwida poemat autobiograficzno-filozoficzny.* Lublin 1933, str. 2 nlb + 54 (= „Towarzystwo Wiedzy Chrześcijańskiej“, ogólnego zbioru t. 16). — Tadeusz Sinko: *Mussetowskie komedie Norwida*, „Przegląd Współczesny“, t. LI, str. 139—150, 271—278. — Recenzje *Ineditów.* — Drobniejsze przyczynki. — Tadeusz Sinko: *Klasyczny laur Norwida.* Nadbitka z „Przeglądu Powszechnego“ 1933 za maj, czerwiec i lipiec. — Toż, wyd. 2, w książce *Hellada i Roma w Polsce.* Lwów 1933, str. 40—111. — Zofia Szmydtowa: *Platon w twórczości Norwida*

„Prace historyczno-literackie. Księga zbiorowa ku czci Ignacego Chrzanowskiego“. Kraków 1936, str. 365—386. — Juliusz Feldhorn: *„...Pomnik strzaskany“... (Motywy żydowskie w twórczości Cypriana Norwida).* Odbitka z „Miesięcznika Żydowskiego“, Warszawa 1933, str. 19. — Julian Krzyżanowski: *Paralele. Studia porównawcze z pogranicza literatury i folkloru.* Warszawa 1935. Rozdz. XIV i XV, str. 158—170. — Norwid w ogólnych zarysach historii literatury. — Norwid w szkole. — Walerian Kwiatkowski: *Cyprian Norwid w świetle uwag młodzieży współczesnej.* Odbitka z „Księgi Pamiątkowej Korpusu Kadetów nr 1“. Lwów 1933, str. 39—71. — Szukanie powinowactw. — Wpływ na poezję współczesną. — Utwory literackie o Norwidzie.

*

O twórczości pisarskiej Norwida traktuje niejedna z prac omówionych już w częściach poprzednich niniejszego przeglądu, żeby przypomnieć tylko komentarz Miriama do *Poezyj wybranych*, wstęp Tadeusza Piniego do jednotomowego wydania „Parnasu polskiego“, książkę p. Zygmunta Wasilewskiego i „portret ogólny“ p. Zygmunta Falkowskiego. Ze względu na dominujący charakter innych pierwiastków zaliczyłem je do innych grup, omówiłem tam jednak ich całość; tu więc już do nich nie wracam.

Z osobnych prac krytycznych na pierwszym miejscu wymienić wypada rozprawę p. Stefana Kołaczkowskiego „Ironia Norwida“, ogłoszoną naprzód w norwidowskim zeszycie *Drogi* (1933, nr 11), potem zaś w książce *Dwa studia.* — Skomponowana nie najprzejrzyściej, napisana nie najprościej, rzecz ta jest wszelako jednym z najgłębszych studiów nie tylko w omawianym okresie, ale w literaturze norwidowskiej w ogóle. Przedmiotem jej jest też sprawa należąca dla krytyki do najistotniejszych. Chodzi tu o określenie jednej z zasadniczych postaw uczuciowych Norwida wobec życia, o ustalenie jednej z kategoryj jego wypowiedzeń twórczych (albo, jak p. Kołaczkowski się wyraża, jednej „z głównych form wyznaczających charakter poetyckich przeżyć“). — Obserwacja, która stanowi punkt wyjścia — o częstym w pismach Norwida występowaniu ironii — nie jest bynajmniej nowa. Tutaj jednak otwiera ona znacznie rozleglejszy niż w dotychczasowej krytyce widok na związek Norwida z epoką i pozwala znacznie głębiej wejrzeć w wewnętrzną strukturę jego świata poetyckiego.

Chcąc wytłumaczyć poetę historycznie, ukazuje p. Kołaczkowski jego duchowe (nie tekstowe!) pokrewieństwa z różnymi pisarzami jego czasów. Z Carlylem łączy go negatywny stosunek do nowoczesnej kultury techniczno-industrialnej i rozumienie średniowiecza (analiza tych podobieństw należy do najszerzej rozwiniętych części studium, przy czym niektóre podobieństwa nie są dostatecznie zhierarchizowane i skomentowane; tak np. „nadawanie szczególnego symbolicznego sensu drobnym i całkiem niewspółrzędnym i niewspółmiernym faktom“ płynęło u obydwóch pisarzy po prostu z ogólnoeuropejskiej ewolucji realizmu humorystycznego, która od

Sterne'a się zaczęła; trochę też bodaj za mało uwydatnione są różnice). Uczucie gorzkiego rozczarowania spokrewnia Norwida z Flaubertem. Siła sarkazmu i pogardy, a zarazem potęga woli wspartej na katolicyzmie — to znów cechy wspólne naszemu poecie i Baudelaire'owi (innego to rodzaju związek, niż ten, który pomiędzy nimi chce ustalić p. Krakowski). Uczoność, zamiłowania archeologiczne nadają autorowi *Quidama* pewne podobieństwo do parnasistów, wśród których odnajdujemy także pesymistyczny stoicyzm, tendencje do „patosu, powściągliwości, milczenia, koturnowości i posągowości". U parnasistów także spotkamy się z podobnym do norwidowskiego parabolizmem. Wszystkie te podobieństwa wypływają z analogicznego stosunku tych poetów do świata współczesnego. Demoniczna karykatura, namiętne diatryby, ironiczny naturalizm, przekorne dziwactwa, stoicka wyniosłość, arystokratyczny estetyzm — to wszystko rozmaite tylko formy protestu przeciwko panującemu typowi życia. U Norwida taką formą jest ironia. Dość mętnie natomiast tłumaczy p. Kołaczkowski filiacje artyzmu norwidowskiego, w szczególności tej jego strony, która polega na łączeniu sprzecznych elementów precyzji i niedomówienia. „Przenikanie wzajemne empirowego, klasycystycznego stylu tendencjami neobaroku, lub współistnienie takich dążeń w pierwszej połowie XIX-go w. we Francji — stanowi tło, z którym te dwoistości norwidowskie dobrze harmonizują": zdanie to nie każdego oświeci. Rzeczą znamienną dla p. Kołaczkowskiego jest, że tuż po nim następuje sugestionujące porównanie: „Jak u Leonarda czynnikiem niepochwytności uśmiechu Monny Lizy jest precyzja modelunku — tak ma się rzecz z artyzmem ironii u Norwida. W stwierdzeniu jest precyzja pojęć i rzeczowość — niepochwytność zaś.... w zasugerowanym tylko, lecz nie wypowiedzianym liryźmie stwierdzonego ironicznie faktu".

P. Kołaczkowskiego interesuje zresztą nie tylko poeta, ale także moralista i człowiek. Stąd dociekania nad genezą ironii norwidowskiej idą tutaj zakręgiem szerokim, biorąc pod uwagę i głęboko religijny, katolicki fundament całej organizacji duchowej Norwida, i atmosferę, w której stawiał pierwsze kroki jako pisarz (z niedostatecznym zresztą może uwzględnieniem jej elementu filozoficznego), i jego kulturę towarzyską, i jego nieporozumienie z własnym społeczeństwem, komplikujące jeszcze jego negatywny stosunek do zwycięskich tendencyj cywilizacji zachodnio-europejskiej.

Analiza samej istoty ironii norwidowskiej tym była trudniejsza, że teoretyczne deklaracje Norwida w tym przedmiocie nie okazały się pomocne. Wśród jej czynników uwydatnia krytyk w szczególności „ambiwalencję" reakcyj na zjawiska (przykładem określenie jednego z poematów Lenartowicza — „Dant na fujarce" — które i na dobre i na złe można sobie tłumaczyć) oraz „ambitendencję" (tj. równoczesne niemal przejawianie się aktywności i jej powściągania; ...„monumentalność, statyczność noszą właśnie znamiona hamowanej, w ten sposób zwróconej siły"). Działanie tych czyn-

ników jest niesłychanie szerokie i rozmaite, toteż ironia obejmuje niezmiernie rozległą skalę uczuć — od „nadludzkiej stoickiej wyniosłości“ aż do męczeńskiej „słodyczy“. Ukazanie wielkiego bogactwa i rozmaitości tych uczuć, wyrastających ze wspólnego podłoża, jest naczelną zasługą tego studium.

Znajdujemy w nim także pierwsze głębsze, naprawdę miana krytyki godne uwagi o trudności rozumienia Norwida. Wynika ona głównie stąd, że „ironia bywa w sztuce Norwida formą najdoskonalszego obiektywizmu: mierząc wartości, poeta poprzestaje na stwierdzeniu, przemilczając lub w dyskretny, czasem niedostrzegalny sposób zdradzając swe uczucia“. W tym też jest źródło specyficznego norwidowskiego domagania się współpracy od czytelnika: ironista „daje każdemu w swej ironii tyle prawdy, ile ten... jest w stanie przyjąć i zgłębić“...

Nie podobna się też dziwić, że i interpretacje p. Kołaczkowskiego mimo jego wnikliwości i ogarniania rozległych widnokręgów nie zawsze w pełni przekonywają. Nie widzę np. żadnego ironicznego zrównania Boga z nicością w wierszu *Do zesłłej*, w którego strukturze dominują obrazy Ukrzyżowania i Eucharystii. Także i słowa Kleopatry o nagradzaniu przez brak nagrody mogłyby być jeszcze inaczej niż przez p. Kołaczkowskiego interpretowane. Ale nie zagłębiajmy się w szczegóły.

Ujawniwszy diapazon uczuciowy ironii w ujęciu psychologicznym, z kolei analizuje krytyk jej przejawy w różnych formach twórczości: rola jej bowiem jest wielka nie tylko w liryce, ale i w nowelach („pointe'ą wszystkich bez wyjątku nowel jest ironia“), i w poematach epickich, i w tragediach. W utworach tych ironia zyskuje często jeszcze szczególny „rezonans“ dzięki szeroko otwartym perspektywom historycznym i nabiera charakteru „ironii dziejów“. Sama norwidowska koncepcja „tragedii“ polega na uscenizowanej ironii losu (p. Kołaczkowski powiada: na „uscenizowanej alegorii ironii losu“, zanadto generalizując rozciągłość alegoryzmu norwidowskiego). Typem tej ironii losu, do którego, jak wiemy, Norwid szczególnie często nawraca, jest istnienie jednostki twórczej w epoce stanowiącej okres schyłku, przejścia, czyli jak gdyby pustki historycznej. Wielokrotne powtarzanie tego motywu wiąże krytyk z osobistą tragicznością poety: bo Norwid, jak powiada, „czuł wciąż jedno tylko: że ‚historii już nie ma' — żył tragedią bezdziejowości“. Tu jednak p. Kołaczkowski, jak mi się zdaje, wbrew własnym przestrogom nie uwzględnia jeszcze jednej ważnej „ambiwalencji“ norwidowskiej. Owszem, są wśród jego wypowiedzi liczne takie, w których świetle epoka jego jest jakąś „bezdziejową“ pustką; ale są przecie również — jakże liczne i jakże wymowne — inne, które przestrzegają przed lekceważeniem rzekomych pustek. Polski nie widać, bo „rozebrana“, ale przecież „oracz wywleka pług“, a „dzieci o rannej godzinie gdzieś do szkół idą“, i to jest także historia. I rycerz „ten, co czeka“, jest również rycerzem prawdziwym. I wiersz przecie, który zaczyna się słowami „Czasy skończone! — Historii

już nie ma", jest nie czym innym, jak protestem przeciwko tej właśnie proklamacji.

Druga, krótsza znacznie część studium p. Kołaczkowskiego („Norwid i my") wiąże się z pierwszą w sposób dość sztuczny: mianowicie przez wywód o ironii losu przejawiającej się w różnych formach współczesnego kultu Norwida. Rozprawia się tu krytyk z fałszywym „wygrywaniem" Norwida przeciwko poetom „romantycznym", a zwłaszcza Mickiewiczowi; przedstawia, jak mylnie oceniano antagonizm Norwida i Klaczki; surowo ocenia wyniki literatury norwidowskiej (obniżając, niestety, poziom swojego wykładu nieoczekiwanie brutalnym tonem, świadczącym, że w stosunku do współczesności zabrakło mu tego historycznego wyrozumienia, o którym gdzie indziej tak pięknie potrafił pisać); kończą rozprawę rozważania na temat wychowawczych wartości pism Norwida-moralisty i historiozofa.

Mimo wszystkich zastrzeżeń, jakie wzbudza, praca to w całości znakomita i zarówno trud przedarcia się przez nieco splątany gąszcz jej kompozycji, jak przykrość przebrnięcia przez wybitnie przejaskrawionym stylem zredagowane stronice ostatnie sowicie się opłaca. Nie świadczy to chlubnie o naszej zdolności rozeznawczej, że w czasie, gdy książka p. Wasilewskiego, pełna grubych błędów metodycznych i czystych przywidzeń, była obsypywana niezliczonymi (czasem wszelką miarę przekraczającymi) pochwałami, o tej ledwo kilka drobnych sprawozdań znaleźć można. Wyróżnia się wśród nich recenzja p. St. Cywińskiego w *Nowej Książce* (1934, s. 115).

*

Zeszyt norwidowski miesięcznika *Droga*, w którym ukazało się pierwsze wydanie studium p. Kołaczkowskiego, jest obszernym skupieniem prac ogólniejszego zakroju. P. Manfred Kridl w krótkim, ale esencjonalnym artykule „O lirykach Norwida" uwydatnia w twórczości poety dwoistość elementów poezji i ideologii i różnorakie tych elementów ustosunkowania. Prawie wszystkie obszerniejsze jego poematy i dramaty dla p. Kridla „to są utwory i w założeniu swoim, i w ekspresji ogólnej chybione" z powodu przesycenia czynnikami intelektualnymi, acz we wszystkich znajdujemy „fragmenty wysokiej wartości poetyckiej", a na całej twórczości norwidowskiej dążność do połączenia sprzecznych żywiołów wycisnęła „piętno iście tragicznych.... zmagań się, wzlotów i upadków, zwycięstw i klęsk". Dziedziną wszelako, w której Norwid prawie zawsze przezwycięża „fatalny dylemat filozoficzno-poetycki", jest dziedzina liryki. „Jeżeli jest on wielkim poetą, to jest nim właśnie i przede wszystkim dzięki swym poezjom lirycznym.... To są właśnie dzieła jego w całym tego słowa znaczeniu *udane* (według terminologii Crocego)". Zgoda! (jak powiedział św. Tomasz z Akwinu). A „triumfem sztuki lirycznej Norwida", jak czytamy dalej, „jest *poetycka krystalizacja* zagadnień ogólnych". I tu wprawdzie czasem „przyrodzona Norwidowi dążność do ‚teoretyzowania' wpływa osła-

biająco na wyraz artystyczny". Teoretyzowanie to jednak p. Kridl dziwnie szeroko rozumie. Czytamy np. o *Mojej piosnce*, że „nawet pewna idealizacja kraju rodzinnego.... nie mąci tu ogólnej czystości tonu, gdyż odnosi się do objawów rzeczywistych, choć idealistycznie interpretowanych". Dlaczego by miała mącić, choćby się nawet odnosiła do objawów nierzeczywistych? Czyżby szkodziło poezji, wedle p. Kridla, uczucie, które zbyt wiele obejmuje? Czyżby aż tak daleko sięgała obawa generalizacji? Można by tak myśleć, skoro p. Kridl za minus obszerniejszym poematom Norwida poczytuje, że „przenika je wiara w absoluty, w idee wieczne, w stygmaty, w metafizyczny sens dziejów, w Ducha i jego prymat"... W odniesieniu wszelako do utworów lirycznych te jego zastrzeżenia rychło milkną, dając miejsce zachwytowi, który rezygnuje nawet z wszelkiej terminologii technicznej i np. o porównaniach z *A Dorio* potrafi ze skromnością powiedzieć, że ujmują one „jeden z najbardziej nieuchwytnych i skomplikowanych momentów psychicznych, który niedołężnemu pióru trudno nawet zewnętrznie opisać". Zadowala go czasem i gorsza (bo chuda treściowo) formuła, jak np., że obrazy w *Bema rapsodzie* wszystkie są „utrzymane na jednakowym, wysokim poziomie sztuki". Zdobywa się jednak także na sformułowania pełne zarazem i entuzjazmu, i treści krytycznej, jak np., kiedy definiuje „przedziwną umiejętność Norwida odkrywania w zjawiskach znanych i wiadomych głębokich symbolów, nagłego otwierania perspektywy na nieskończone horyzonty". Kończy artykuł wezwanie do badań nad artyzmem poety, który to artyzm rozumiany jest bardzo szeroko, jako kompleks czynników, dzięki którym liryka norwidowska „tworzy przez nowe formy nowe treści, pogłębia wiedzę o człowieku, o życiu i o świecie".

P. Kazimierz Wyka (w artykule „Starość Norwida") rozróżnia ciekawie, acz w sposób cokolwiek zawiły, trzy aspekty starości poety. Pierwszy — to aspekt zewnętrzny, czysto osobisty: dzieje „samotnego, głuchego dziwaka", „coraz biedniejszego, coraz bardziej opuszczonego". Drugi — to aspekt świata psychicznego: „ciche uzewnętrznienie się prostoty uczuć", pokora, „jakieś gotowe do przebaczeń, wyrozumiałe, choć bolesne wpatrzenie się w los człowieka", wysoki liryzm wspomnień. Trzeci wreszcie — to aspekt twórczości: większa niż kiedykolwiek przedtem „dojrzałość zamiarów artystycznych", „spokój, głębia". Najpełniejszy wyraz tej strony starości Norwida widzi p. Wyka w *Kleopatrze* i *Ad leones*. Nie ma zresztą bynajmniej iluzyj co do tragiczności *Kleopatry*: od razu przyznaje, że utwór ten „wcale tragedią nie jest": „lecz za to jakżeż wyklarował się tu niedramatyczny artyzm Norwida, jakżeż strącił nadmiar narzucanego [dawniej] alegoryzmu!", jakież w nim „ogólnoludzkie widzenie socjologiczne". *Ad leones*, to znów „najdojrzalsza.... z nowel Norwida", bo w niej najmniej jest zagadnień nie stopionych z samym założeniem formalnym".

P. Tadeusz Makowiecki („Stygmat ruin w twórczości Norwida") przedstawia zasiąg jednego z motywów poezji norwi-

dowskiej nie tylko w jego wariantach obrazowych, ale i w różnorodnych funkcjach symbolicznych; uwydatnia jego związek z artystyczną postawą Norwida wobec zjawisk (teoria „przemilczeń" i „cisz"; symboliczność fragmentów w rozumieniu *Białych* i *Czarnych kwiatów*); dopatruje się jego wpływu w kompozycji utworów, nawet w ich stylu.

Rozległa powierzchnia artykułu p. Romana Kołonieckiego („Mit rzeczy czarnoleskiej") cała bulgocze od gazu „mitotwórczości". „Gdy chłopski poeta śpiewa, to nie tylko drgają mu wargi, lecz i tors się przegina i pręży, i oczy błękitnieją, i policzki nabrzmiewają czerwienią, i tętno serca się wzmaga, i pejzaż staje pod siedmioma półkolami tęczy. Strofy scalają się same, rytm sam zaczyna falować, sam dźwiękiem zaczyna lśnić rym". Taki styl tutaj panuje. Już ten mały przykład (a nie należy on bynajmniej do najjaskrawszych) dostatecznie przekonywa, że nie jest to użyteczne narzędzie, kiedy się szuka prawdy. Oszołomiony własnymi słowami autor przestaje nieraz rozróżniać bardzo oczywiste rzeczy: w Leśmianie widzi „jednego z następców Norwida" (s. 1043): wiersz o Narcyzie z *Vade-mecum* interpretuje (s. 1040) jako gloryfikację nacjonalizmu artystycznego („z poleskich torfów, z mazowieckich piasków, z podolskich loessów, z ukraińskich czarnoziemów, z karpackich wapieni, z wołyńskich glin"); bałamuci nawet co do znaczenia wyrazów „rzecz czarnoleska" (1051). Nie brak w tym artykule i rzeczy trafnych, przeważnie jednak są one nienowe.

P. Wilam Horzyca, autor studium o poecie, o którym w swoim czasie pisałem tutaj (rocz. XXVII s. 183), że „z pism Norwidowi poświęconych" w okresie 1925—1929 było „najbardziej ważkie" (studium to przedrukowała *Scena Lwowska*, 1933/34, zesz. 3), tym razem ogłosił (w zainicjowanej przez siebie tak pięknie publikacji) rzecz wyjątkowo pod wielu względami nieszczęśliwą („Rodowód Norwida"). Chodzi w niej o stosunek poety do wielkich prądów kulturalnych, o których autor wypowiada sądy nad wyraz mylne. „Wesołków potrzebował Wielki Ludwik i za wesołków służyli mu Pascal, Corneille, Racine, Molière, tańcząc na pokrwawionych kikutach straszny taniec francuskiego klasycyzmu, a król i panowie.... klaskali" (s. 1056): oto przykład jego syntez jakich tu sporo. Okazuje się, że francuski klasycyzm, to wcale nie klasycyzm, ale „czystej krwi (i kto wie, czy nie jedyny czystej krwi) *romantyzm*", „jako świadomość kwiatu oderwanego od korzeni i przeciw nim zbuntowanego" (1057); polski zaś klasycyzm znowu to „kultura, klasowo biorąc, magnacko-szlachecka, filozoficznie zaś — indywidualistyczna i antyspołeczna" (1058): trudno o większe błędy. Dopiero, jak czytamy, wśród filomatów wileńskich „powstaje nowe słowo, którego dnem [!] jest realizm miłującego spojrzenia" (1061); formalnie było to słowo romantyczne, ale „ideałem romantyzmu był klasycyzm" (1066). Itd. Wszystkie te wywody zmierzają do tego, aby nam ukazać Norwida „jako kogoś, kto mimo wszystko był bratem Mickiewicza, Słowackiego

Towiańskiego“ (1069). Tezę tę można nawet przyjąć, ale trudno uznać wartość przedstawionego materiału dowodowego.

P. Kazimierz Kosiński („Cypriana Norwida ‚sen prometowy‘“) analizuje elementy ideologii norwidowskiej w porównaniu z ideologią wcześniejszych i późniejszych pisarzy polskich ze szczególnym uwzględnieniem przydatności tej ideologii w wychowaniu obywatelskim. Typ krytyki, do którego ten artykuł należy, charakteryzuje ostatnie jego zdanie: „Norwid obok Wyspiańskiego staje się tym, których twórczość podjąć i do samowiedzy narodowi podać musi: Państwo“.

Poznawszy tak w jednym zeszycie próbki najrozmaitszych rodzajów krytyki, tym skwapliwiej zwracamy się do uwag p. K. W. Zawodzińskiego („Odkrywająca i zakrywająca norwidologia“), poświęconych ocenie całego dotychczasowego stosunku naszego do pism Norwida.

Pierwsza teza p. Zawodzińskiego jest ta, że za dużo zajmujemy się ideologią norwidowską. Od badań nad nią, owszem, trzeba było zacząć, bo stanowi ona ważną część komentarza, niezbędnego dla rozumienia pism poety; dzięki też studiom tego typu „w ciągu trzydziestolecia zrobiony został ogromny krok naprzód“; dziś jednak nie należy już tej dziedzinie poświęcać tyle uwagi, bo to prowadzi do „przesłaniania Norwida jako poety“. Krytyk przeoczył tu jedną okoliczność: Norwid jest nie tylko poetą, ale także moralistą, publicystą, historiozofem, teoretykiem sztuki, i nie ma żadnej racji, żebyśmy te tereny jego działalności pomijali. Podobnież ta okoliczność, że Mickiewicz, Słowacki i Krasiński byli poetami, nie jest racją, abyśmy nie mieli rozważać ich poglądów na kulturę narodową i kulturę życia duchowego, abyśmy nie oceniali, co warte są myśli wypowiedziane w *Księgach Pielgrzymstwa*, piśmie *O potrzebie idei*, czy traktacie *O Trójcy*. U Norwida może sprawa jest bardziej skomplikowana wobec znacznej ilości dzieł (takich, jak *Promethidion*), które są i utworami dydaktycznymi i artystycznymi zarazem. Ale i one nie są bez analogii w dziejach literatury. Cóż więc tak nagannego w postępowaniu owego norwidysty, którego wykład „obok, prawda, nieustannych wzlotów superlatywnego entuzjazmu wobec wartości estetycznej utworów zawiera nie mniej ekstatyczne zachwyty nad ich wartościami ideowymi“? Oczywiście, zachwyty mogą być nieuzasadnione, ich sformułowanie niefortunne, to inna sprawa; *a priori* jednak nie można im odmawiać legalności. Domyślamy się, że p. Zawodzińskiemu chodzi o to, ażeby sprawy różnego porządku nie były mieszane. Niestety, sam je zamieszał tak samo, tylko w inną stronę.

W jego intencjach orientuje nas druga jego teza, niestety, równie trudna do przyjęcia. P. Zawodziński wie dobrze, co to jest rozumienie treści utworu; zna też pojęcie „subiektywno-emocjonalnych wartości.... idei“ (s. 1129); o estetycznym wszelako walorze utworu stanowić może wedle niego tylko forma: forma w sensie czegoś, co daje się zupełnie wyabstrahować od treści, w sensie

jakiegoś „kształtu“, z którego treść można „wyłuskać“. Tezę tę wspiera krytyk dwoma dowodami. Dowód pierwszy widzi w tym, że nawet w utworach najznakomitszych „poetów-filozofów“ to, co się analizą da wydobyć jako „myśl“, to zwykle tylko jakieś „krótkie, proste twierdzenie“, przeważnie nie nowe, a przy tym pozbawione umocnień argumentacyjnych; jeśli przeto te utwory potężnie na nas działają, to „właściwy walor“ ich (s. 1133) musi polegać na formie. W tym wywodzie jednak p. Zawodziński zastąpił pojęcie „treści“ pojęciem „myśli“, tj. schematu intelektualnego. Gdyby te pojęcia były identyczne, miałby słuszność. Ale przecież treść wiersza *Amen* to nie jest tylko wiara w potęgę ideału, poświadczonego najwyższym poświęceniem: treść to także jeszcze wizja i atmosfera duchowa, w której nam ta wiara zostaje objawiona, to także udzielające się uczucie, którym poeta ją przepoił. Drugi argument formalizmu p. Zawodzińskiego wypływa stąd, że utwór taki, jak np. *Sieroctwo* Norwida „wstrząsa estetycznie człowieka jak najdalszego, nawet wrogiego, tym przekonaniom [które wyraża]“. Czym by się to działo, jeśli nie właściwościami formy? Znowu nieporozumienie, wynikające z tego samego podstawienia intelektualnego schematu przekonaniowego na miejsce pełnej treści utworu. Zapewne, można być wstrząśniętym przez wiersz *Sieroctwo*, mając zgoła inne niż Norwid pojęcie o opiece Boskiej; warunkiem jednak koniecznym takiego wstrząsu jest identyczny, lub przynajmniej zbliżony stosunek do osamotnienia i cierpienia ludzkiego. Łatwo o tym może przekonać eksperyment. Weźmy dwa motywy wiersza *Sieroctwo* (1. ktoś płacze; 2. poeta wznosi myśl ku Bogu) i wyobraźmy sobie taki wariant tematyczny: „Facet beczy! jak babcię kocham! Dobry Boziu! dziękuję Ci, żeś tak to w świecie urządził: strasznie lubię patrzyć, kiedy ktoś płacze. To tak pocieszne“. Skłonny jestem przypuścić, że nawet gdyby utwór o takiej treści był wyposażony bodaj w największe „cudowności“ formy, p. Zawodziński byłby pierwszym, który by się od niego odwrócił ze wstrętem. Jakież zresztą „cudowności“ są możliwe wtedy, gdy chodzi o wyrażenie nieludzkiego chamstwa? To przecież sprzeczność wewnętrzna. Podobnież nie dowodzi nieistotności treści stwierdzenie, że wiersz religijny może „wstrząsnąć ateusza“: dowodzi tylko, że wiersz ten sięga do jakichś pokładów życia duchowego, które ateuszowi i człowiekowi religijnemu są wspólne. Tak samo *vice versa* utwór ateistyczny (*exemplum* poemat Lukrecjusza) może wzruszyć człowieka religijnego, jeśli jest wyrazem duszy czującej i mężnie szukającej prawdy. Nie trzeba też żadnej formalistycznej magii, żeby wytłumaczyć, jakim sposobem patriotyczny wiersz polski może przemówić do Rosjanina (i ten przykład podaje p. Zawodziński), jeśli tylko owemu Rosjaninowi nie jest obce uczucie patriotyzmu; rzecz niepojęta byłaby dopiero, gdyby taki wiersz wzruszył egoistę-anarchistę, uważającego, że wszelkie ojczyzny i społeczeństwa to tylko frazeologiczne bzdury; ale właśnie takiego wypadku, o ile wiem, nikt jeszcze nie zarejestrował. W świecie wartości poetyckich nie przechodzą granice po-

między Polską a Rosją, a nawet między teizmem a ateizmem, ale przechodzą pomiędzy oschłością a wrażliwością, pomiędzy ludzką a nieludzką postawą wobec życia. Nie ma też „uroku niezależnego od postawy życiowej“, jeśli się postawę życiową w tym sensie bierze. Gdyby też charakter Norwida wyczerpywał się w tym, że był on „hieratycznym, solennym dziwakiem“, jakim go mieni nasz krytyk, na pewno by w jego utworach nie było ani „subtelnej erotyki“, ani poetyckiego ujęcia „czaru wsi polskiej“.

Zreasumujmy wyniki naszych rozważań: forma w utworze poetyckim jest nierozerwalnie związana z treścią. Traktując o nich z osobna (co ze względu na różne cele badawcze bywa potrzebne), schematyzujemy jedną i drugą; przy czym, naturalnie, schematyzacja ta może mieć różne stopnie; bardzo się od utworu oddalamy, sprowadzając go do szkieletu najogólniejszej „myśli“; tak samo się jednak oddalamy, schodząc do schematów formalnych: kompozycji, stylu, czy wersyfikacji. Sam p. Zawodziński śmieje się z naiwności tych, co myślą, że metryka utworu może nam objawić jego wartość, a bodaj barwę uczuciową. Ale tak samo nie objawi nam tego żaden inny schemat analizy formalnej.

I tutaj też, kiedy zakończyła się część polemiczna rozprawy i oczekiwalibyśmy czegoś pozytywnego na temat, jak to się „cudowności“, „czar“, „urok“ poezji daje objaśnić właściwościami samego „kształtu“, spotyka nas duży zawód. Krytyk informuje nas tylko, że „dotychczasowe wysiłki tego charakteru w dziedzinie norwidologii nie zostały uwieńczone jakimkolwiek sukcesem“, i w oczekiwaniu lepszej przyszłości zaleca nam „zadowalać się intuicyjnym.... odczuciem“ poezji norwidowskiej (1134) i z niego uczynić „podstawę różniczkującego sądu“. Ta rada jest prawdziwie dobra i aczkolwiek osłabia jeszcze pozycję p. Zawodzińskiego jako teoretyka, przynosi mu zaszczyt jako krytykowi. Trzeba tylko przyznać, że jako program dla krytyki jest to rada trochę szczupła. Świadom jest tego p. Zawodziński. Obiecuje też, że oświecą nas lepiej badania formalne, które się jednak rozwiną dopiero w przyszłości, albowiem są „żmudne i wymagają wielkiej wprawy i przygotowania“.

*

Żadne inne czasopismo nie uczciło pięćdziesiątej rocznicy śmierci Norwida tak okazale jak *Droga*. I niektóre inne wszelako też wystąpiły bądź z osobnymi numerami, bądź z okolicznościowymi artykułami czy grupami artykułów. — W „zeszycie poświęconym Norwidowi“ przez *Ruch Literacki* (1933, nr 3) naczelne miejsce zajmuje artykuł p. S t a n i s ł a w a C y w i ń s k i e g o („Stanowisko Norwida w literaturze“), poświęcony rozważaniu kwestii, „do której epoki literatury polskiej należy Norwid“, i skomponowany jako komentowane wyliczenie cech, które poetę łączą lub dzielą z romantyzmem. Obydwie części listy mogłyby być powiększone. Jedna z uwag autora nasuwa szczególną wątpliwość: czyż *Emil na Gozdawiu* jest satyrą na *Emila* Russa, a zarazem „podej-

muje temat powieści Flauberta *Bouvard et Pécuchet*"? Trudno dopatrzyć się jakiejś podstawy do takiego sądu. — Zeszyt *Myśli Narodowej* (1933, nr 23), również w całości poświęcony Norwidowi, przynosi artykuł p. Cywińskiego pt. „Aktualność Norwida", omawiający głównie jego „chrześcijański nacjonalizm"; pokrewne zagadnienie („Chrześcijański patriotyzm Norwida jako artysty") porusza p. Wł. Arcimowicz; p. Z. Wasilewski („Na widowni") przedstawia założenia, na których miała być zbudowana jego późniejsza książka *Norwid*; p. Rajmund Bergel raz jeszcze powraca do tematu politycznych poglądów Norwida. — Dwukrotnie uczcił rocznicę norwidowską *Czas*, poświęcając jej naprzód półtorej kolumny d. 21 maja 1933 (zamieszczono tu przedruk nekrologu z 1883 r., artykuł p. K. Czachowskiego „Bohaterstwo Norwida" i uwagi p. K. Grzybowskiej pt. „Forma Norwida"), później zaś (d. 23 września 1934) osobny numer swego tygodniowego dodatku „Przegląd Artystyczny" (tu z artykułów ogólniejszej treści wyróżniają się uwagi p. Jana Turzymy pt. „Norwid — poeta proletariacki?", przedstawiające, co Norwida łączy ze spółczesnymi francuskimi socjalistami typu Proudhona czy Fouriera, a co go od nich dzieli).

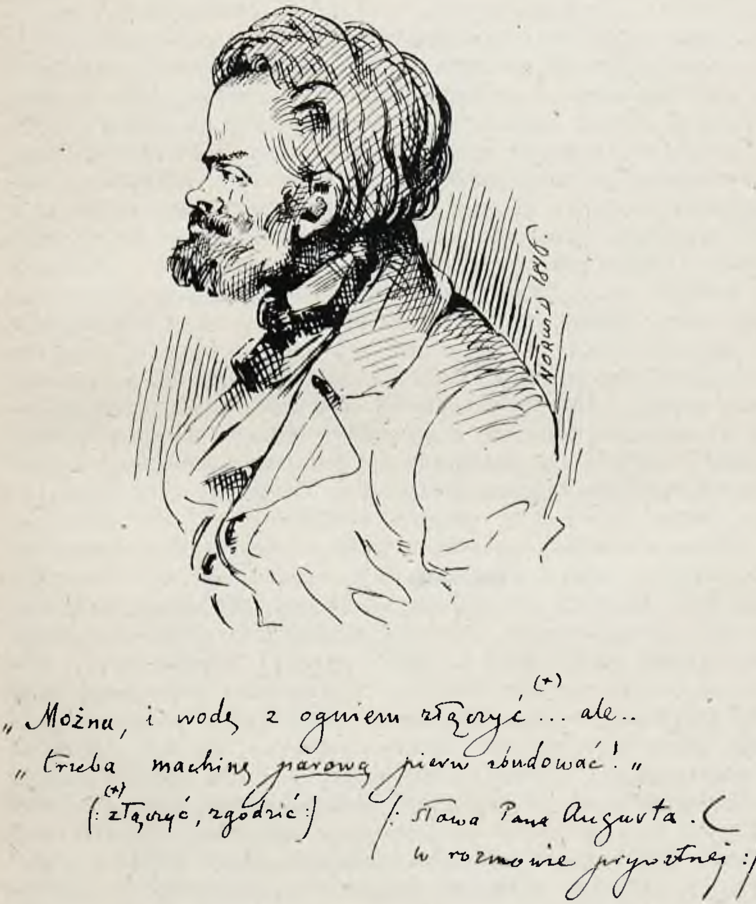
Poznański miesięcznik *Awangarda* (1933, nr 5 a) zamieścił dłuższy artykuł p. Stefana Wyrzykowskiego o Norwidzie jako „apostole narodowej twórczości". — W tygodniku wileńskim *Verba veritatis* (1933, nr 8) o elementach społeczno-ideowych pism Norwida pisał p. St. Cywiński. — W *Tygodniku Ilustrowanym* (1933, nr 22) p. Jarosław Janowski uwydatnił pokrewieństwo norwidowskiego kultu pracy z wergiliańskim pełnym szacunku jej traktowaniem w klasycyzmie. — W *Polsce Zbrojnej* (1933, nr 140, dodatek „Rozmaitości") pisał o Norwidzie p. Wawrzyniec Czereśniewski (jako „najcelniejszy" jego utwór dla współczesnych wymieniając *Promethidiona*). — W *Gazecie Warszawskiej* (d. 21 maja 1933) rozważał rocznicę śmierci poety p. Z. Wasilewski. — W łódzkim *Głosie Porannym* (d. 4 czerwca 1933) „garść uwag o życiu i dziełach poety" zamieścił p. Marian Piechal („zapóźniona średniowieczyzna myśli Norwida", czytamy tu, „stała się główną i ostateczną przyczyną jego zapoznania i zapomnienia": ostrość tego osądu przeciwważa ogrom entuzjazmu, widzącego w Norwidzie „obok Kopernika i Szopena" jedynego „Polaka o horyzontach ogólnoludzkich"). — W *Kurierze Łódzkim* (d. 21 maja 1933) pojawił się artykuł p. Franciszka Walczowskiego pod nagłówkiem: „Z kulturą narodową do ogólnoludzkiej: On Prometej z młotem". — I w żydowskim *Nowym Dzienniku* (Kraków) zamieszczono (d. 22 maja 1933) artykuł p. M. Boruchowicza: „Norwid w 50-tą rocznicę śmierci".

*

Pracą rozległego zakroju jest książka p. Władysława Arcimowicza: *Cyprian Kamil Norwid na tle swego konfliktu z krytyką*. Była ona już w *Pamiętniku Literackim* recenzowana (XXXII, 560) przez p. St. Cywińskiego; ponieważ jednak nie we wszystkim z jego zdaniem się zgadzam, przedstawię w skróceniu swoją

opinię, ktorą obszerniej rozwinąłem i uzasadniłem w *Przeglądzie Współczesnym* nr 174 (pt. „Norwid w typie A+M“). Nieporozumienie Norwida ze współczesnością wynikało, wedle tej książki, przede wszystkim z niezależności jego poglądów, która sprawiała, że nie dało się ich w całości zmieścić w obrębie programu żadnego ze współczesnych obozów ideowych; następnie — z bezkompromisowego, a zarazem drażliwego jego usposobienia; wreszcie — z właściwości jego pism, zwłaszcza poetyckich, które zarówno swoją konsystencją treściową, jak stylem tak ogromnie odbiegały od tego, do czego spółcześni czytelnicy byli przyzwyczajeni. Tezy te (przekonywające na ogół) nie we wszystkich częściach książki występują z należytą wyrazistością, gdyż autor — po pierwsze — chciał je za daleko rozciągnąć, wciskając w nie zjawiska, które z różnych względów nie mogą służyć jako materiał dowodowy; po wtóre — pospiatał je z tezami zupełnie mylnymi, zwłaszcza z tezą o mistycyzmie Norwida, o którym naprawdę nic nam nie wiadomo. Źródłem głównym omyłek autora jest brak zrozumienia różnic znaczeniowych pomiędzy tekstem poetyckim a tekstem informacyjnym tego typu, co artykuł, list, rozmowa, albo pamiętnik. Stąd niewłaściwe traktowanie wszelkiej zwłaszcza liryki. (Tę wadę zaznaczył i p. Cywiński, który poza *Pamiętnikiem Literackim* jeszcze trzykrotnie o pracy p. Arcimowicza pisał: w *Dzienniku Wileńskim* 1935, nr 279, w *Środach Literackich* 1935, nr 2, i w *Nowej Książce* 1935, zesz. 7. Przechwalił tę pracę p. Marian Piechal w *Pionie* 1935, nr 117).

Analogiczne zalety i wady posiada inna praca p. Arcimowicza: „Prawdy Cypriana Norwida“. Przedstawia w niej autor po kolei: religijność Norwida, jego poglądy na sztukę, zapatrywania polityczne i społeczne. Dużo tu stwierdzeń trafnych i zebranie materiału obfite. Niestety, znowu najmylniej nam autor prawi o mistycyzmie norwidowskim (s. 67: „Pierwszy dowód bezpośredniego mistycznego kontaktu z Bogiem.... spotykamy u Norwida w młodzieńczym wierszu... *Sieroty*“ itd. równie błędnie, jakby wszelka żarliwsza religijność miała być mistycyzmem); znowu świadectwa poezji są traktowane na równi z deklaracjami w przemówieniach czy pismach publicystycznych. Posługuje się autor przy tym dosyć szczególną terminologią filozoficzną (włączając np. „do granic intelektu“ także intuicję, s. 74) i hazarduje się w bardzo rozległe tezy teoretyczne (np. co do roli intuicji w sztuce, s. 75), nie okazujące jednak dostatecznego opanowania odnośnych zagadnień. Ujmując rzeczy nie dość precyzyjnie, z łatwością też dopatruje się w Norwidzie różnych pokrewieństw duchowych i prekursorstwa. To bliski jest Norwidowi Gołuchowski (s. 76), to znów Norwid przypomina Hegla (222), Bergsona albo Foerstera (na ten temat p. Arcimowicz ogłosił nawet osobny artykuł „Norwid a Foerster“ w *Dzienniku Wileńskim* 1930, nr 129). M. in. okazuje się też Norwid „prekursorem takich pisarzy, jakich reprezentują dziś arcybiskup Kordacz lub biskup Kubina“ (s. 229).



C. NORWID: PORTRET AUGUSTA CIESZKOWSKIEGO

Rysunek ze zbiorów Biblioteki im. Gw. Pawlikowskiego
w Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich we Lwowie

Z pracą o „prawdach" łączy się treściowo artykuł p. Arcimowicza pt. „Miłosierdzie w historiozofii Cypriana Norwida" (*Ruch Charytatywny*, Poznań 1931, nr 6).

Do rozległych syntez zmierzają artykuły p. Mariana Piechala „Norwidowska teoria czynu narodowego", „O społecznym sensie *Promethidiona* Norwida", „Norwid dawniej a dziś", niewątpliwie stanowiące rozdziały przygotowywanej przez niego od dłuższego czasu książki. Rzeczy to dziwne, nie skoordynowane. Znajdujemy w nich obserwacje bardzo trafne i sformułowania bardzo piękne, jakich mogliśmy się po tak wybitnym poecie, jak p. Piechal, spodziewać; obok nich wszelako pełno uwag chybionych i dociekań całkowicie bezowocnych. Najmylniejsze twierdzenia wynikły z przejęcia się autora duchem tej metody rzekomo socjologicznej, którą przez czas dłuższy szerzyli socjalistyczni krytycy, zwłaszcza rosyjscy, a od której dziś nawet w Rosji sowieckiej rozważniejsi pisarze się odżegnują. Czym wyjaśnić, pyta np. p. Piechal, że Norwid nie był uznawany przez spółczesnych, nawet przez elitę emigracyjną? Trudność tego nie tłumaczy, bo i Cieszkowski, i Trentowski, ba, Słowacki, a nawet i Mickiewicz bywali trudni. A nawet oni sami nie cenili Norwida wysoko. Więc cóż? „Rozwiązania tej tajemnicy szukać należy w *klasowym* charakterze sztuki Norwida — innym sposobem rozwikłać jej nie podobna". Krótko i węzłowało; ale któż w to uwierzy? Odpowiedź książki p. Arcimowicza jest, zapewne, nie tak efektownie zwarta, lecz o ileż bardziej przekonywająca. Jakąż zresztą *klasę* społeczną Norwid w swojej poezji wyrażał? Oto, co o tym mówi nasz niezwykły krytyk: „Norwid, dosłowny gracjalista magnaterii polskiej na emigracji, był typowym przedstawicielem drobnomieszczaństwa wśród naszej elity umysłowej XIX-go wieku" (*Droga*, 1934, s. 780). Skąd Norwid „dosłownym gracjalistą magnaterii?" Z tych samych zapewne racyj, dla których jeden z krytyków sowieckich nazwał Puszkina „lokajem carskim". Ale też zamiast polemiki wystarczy powołać się na tę lekcję historii, którą w samychże Sowietach dano owemu krytykowi. A skąd przynależność Norwida do drobnomieszczaństwa? Oto stąd, że postradał majątek i że w biedzie żył na emigracji. Ależ, w takim razie, mieliśmy wówczas bardzo dużo „drobnomieszczan" w literaturze, i pozycja Norwida traci tę wyjątkowość, która miała wyjaśnić jego odosobnienie. Czy może być użyteczne takie nadawanie znanym wyrazom zupełnie odmiennych znaczeń? (Nie są zresztą szczęśliwsze i oryginalne próby terminologiczne p. Piechala, np. jakieś niesłychane w żadnej historii społecznej „drobnoobszarnictwo"). Patriarchę swojej metody socjologicznej chce widzieć nasz krytyk w samym Norwidzie, „skoro — jak powiada — nawet prześladowanie chrześcijan i tępienie chrystianizmu w pierwszych wiekach tłumaczy Norwid względami socjalno-ekonomicznymi, a nie sprzeciwem sił szatańskich w ślad za Pismem Świętym, przytaczając w *Dwóch męczeństwach* jako powód prześladowania za wiarę niezadowolenie fabrykantów posążków Diany efeskiej, za-

grożonych gospodarczo misjami św. Pawła, który gromił bałwochwalstwo“ (s. 772). Ależ ta opowieść o złotnikach efeskich nie jest norwidowska: mieści się cała w *Dziejach Apostolskich* (XIX. 24—35).

Ostatecznie, główne pojęcia Norwida dotyczące „czynu narodowego“ ujmuje p. Piechal trafnie (s. 785: „istota czynu narodowego polega na wewnętrznej odbudowie ducha katolicyzmu w całej jego surowości i dyscyplinie moralnej“; s. 777: „przeszłością, która ma.... wrócić Ideą, ... jest średniowieczna idea państwa stanowego z udziałem ‚kasty wiednej‘, czyli ‚rodów‘“; s. 785: „idea wolności narodowej .... musi posiadać ‚cel poza sobą‘; tym celem jest służba dla ludzkości według odwiecznych praw Kościoła katolickiego“). Czyni też i inne trafne spostrzeżenia (zaznaczając np. nie uwydatnioną przez p. Kołaczkowskiego stronę stosunku Norwida do mechanizacji: tę mianowicie, że przy całej swojej niechęci do współczesnej kultury maszynowej Norwid „jednak nie neguje samej maszyny jako przecież produktu pracy umysłu i natchnienia ludzkiego“, że „szuka .... sposobów uduchowienia, jakby uszlachetnienia .... wszystkich wynalazków“). Gdyby na tym poprzestał, przytakiwalibyśmy mu tylko z wdzięcznością. Musimy się wszelako sprzeciwiać, kiedy p. Piechal, tonem wtajemniczonego wróżbity, wedle klucza niczym nie uzasadnionego zaczyna wszystko sprowadzać do czynników społeczno-ekonomicznych, jak gdyby poza nimi nie było nic innego, co by na kształtowanie się poezji i życia duchowego w ogóle mogło oddziaływać. Okazuje się np., że właściwością drobnomieszczaństwa jest „stawianie.... na odległe perspektywy, na ideały uniwersalne, na wieczność“. Stąd też i obecny renesans Norwida ma charakter czysto społeczny. Za rzecz, która „w wymowie swojej i znaczeniu“ jest „chyba jasna dla każdego“, uważa p. Piechal „zbiegnięcie się jednoczesne niemal coraz wzrastającej popularności Norwida z przeważającym napływem drobnomieszczańskiej inteligencji małopolskiej w społeczne i polityczne dziedziny oficjalnego życia dzisiejszej Polski“. Miriam, odkrywając Norwida, „był tylko wybranym narzędziem w żelaznych konsekwencjach praw ekonomiczno-społecznych“ (s. 770). Itd. Czysta astrologia! bo za całą argumentację stają tutaj zbieżności chronologiczne i mgliste podobieństwa. Nie pierwszy to fałszywy Norwid w naszej galerii. Formaliści wyobrażają sobie, że wszystko wyjaśnią stylem, metryką i kompozycją; operują wprawdzie czynnikami, które w twórczości poetyckiej są immanentne, część jednak biorą za całość. P. Arcimowicz sprowadza, co może, do mistyki, o której nic nam nie wiadomo. P. Wasilewski szuka pomocy w czynniku rasy i dziedziczności, z których pierwszy jest nieuchwytny, a drugi nie tłumaczy różnicy pomiędzy poetą a szaradzistą. „Socjologia“ p. Piechala jest jeszcze jednym takim systemem interpretacji, który traktuje poezję w kategoriach czegoś, co jest od niej odmienne. Trafne jest w nim wyczucie, że poezja wiąże się z całością życia historycznego, w którym i czynniki społeczne mają swoje znaczenie;

ale związek to jeszcze nie tożsamość. Nie będzie, zdaje się, omyłką, jeśli przypuścimy, że myśl krytyczną p. Piechala sprowadziła na mylne szlaki własna jego twórczość poetycka, w której natchnienia społeczne mają przemożne znaczenie: taka bowiem jest indywidualna tej poezji właściwość. Nie pierwszy to raz z takich powodów się zdarza, że wybitny poeta błądzi jako krytyk. A jak błądzi, o tym możemy się przekonać m. in., porównywając jego wywody z wywodami p. Kołaczkowskiego, który także uwzględnia działanie czynników społecznych, ale czyni to w sposób rozważny, pamiętając, że chodzi o ich odbicie w innej dziedzinie życiowej. P. Piechal uważa, że „Kołaczkowski... zjeżdża na manowce utartych już oklepanek i niczego nie wyjaśnia" (s. 771).

Ciśnienie atmosfery błędu jest straszliwe: potrafi doprowadzić do tego, że p. Piechal we wzniosłych słowach Norwida „Bo jam nie zdradził nawet... nieprzyjaciół" dopatruje się aluzji „nie tylko do zaborców, ale i do warszawskich, nie tylko poznańskich, jego krytyków i zoilów" (769), a w nieprzyjęciu przez poetę amnestii carskiej skłonny jest widzieć „gest nieledwie pogardy dla społeczeństwa ignorującego przez lata całe jego twórczość" (bo inaczej „dziwna musi się wydać taka zaciekłość Norwida w nienawiści do najeźdźcy, przerastająca nieledwie miłość do ojczystego kraju", 772). Zaiste, trudno pisać z większą „historii zniewagą".

Przykładem szlachetnej popularyzacji jest artykuł p. Kazimierza Wyki „Cyprian Norwid jako poeta kultury" (*Kultura i Wychowanie* 1933, zesz. 1), nie mówiący zresztą *de facto* o Norwidzie jako o poecie kultury, ale o jego poglądach na kulturę. — Główne motywy satyryczne Norwida, ich „żywotność i aktualność", przedstawił p. St. Cywiński w szkicu „Satyra patriotyczna Norwida" (*A. B. C.* d. 21 maja 1931). — Tenże krytyk pisał „O niejasności Norwida" (w krakowskiej *Gazecie Literackiej* 1933, nr 8 i 9).

P. Juliusz Wiktor Gomulicki osobny artykuł napisał „O mistycyzmie Norwida". Mówi w nim sporo rzeczy ciekawych, ale nie zdobywa się na stwierdzenie, które się nasuwa czytelnikowi: że wszystko, co Norwid pisze o „świecie duchów", da się zamknąć w katolickim dogmacie o „świętych obcowaniu". Czytamy, że poeta „mógł mieć widzenia (halucynacje)"; zapewne; żadnego jednak nie ma dowodu, że je miał. Że o „snach znaczących" mówi? Ależ o nich mówi prastara tradycja ludzkości (sam p. Gomulicki przytoczył wiele jej przykładów). Że wierzył „w pewne nieświadome inspiracje i przeczucia"? Nie tylko mistyków to cechuje, podobnie jak wiara w „utajone głębokie treści, spoczywające pod powłoką powszednią i nieznaczącą". Nie są też specjalną cechą mistyków przesądy. Jedyna wzmianka, którą można uważać za wyraz skłonności do wiary w reinkarnację, pochodzi z listu, pisanego przez poetę w 25-ym roku życia. Zupełnie zaś już nic wspólnego z mistyką nie posiada „filologia mistyczna", wbrew nazwie będąca spekulacją intelektualną. Inna rzecz, iż u Norwida „mistycyzm" znaczy często po prostu „religia" albo „wiara". — Słowem,

interesująca rozprawa p. Gomulickiego nie została dociągnięta do właściwych konkluzyj. Najtrafniejsze są uwagi o znaczeniu modlitwy w życiu Norwida.

Artykuł p. Zofii Szmydtowej „Twórczość dramatyczna Norwida“ nie jest, jak by z tytułu można sądzić, analizą dzieł dramatycznych: większą jego część wypełnia próba określenia „zasadniczych motorów“ całej twórczości poetyckiej Norwida; w końcowych dopiero ustępach przedstawia autorka, jak te „motory“ działały w formach dramatu. Charakterystykę samych „motorów“ zaczyna p. Szmydtowa od stwierdzeń negatywnych: brak u Norwida „tego, co określamy jako pogodne, zabawne, wesołe, radosne“; z drugiej wszelako strony „przeciwny biegun przeżyć: groza, potworność, konwulsje bólu, szał rozpaczy — w swej bezpośredniej sile nie występują nigdy“. Stwierdzenia pozytywne nie wszystkie są tak przekonywające; powtarza np. autorka dawną swoją tezę, przeciwko której dawno tutaj protestowałem: że „z duchowego niedosytu płynie u Norwida tęsknota za śmiercią“ (s. 203), acz cytaty, które przytacza, bynajmniej tęsknoty za śmiercią nie dowodzą. W ostatniej części stara się autorka właściwościami powrotnych motywów Norwida wytłumaczyć, co w jego utworach dramatycznych jest siłą, a co słabością („hamowanie żywiołowości zmniejsza napięcie akcji, sympatia dla bohaterów o przewadze życia wewnętrznego usuwa konflikt za kulisy“). Wstęp i zakończenie studium są poświęcone rozważaniom ogólniejszego znaczenia. Mówi tu autorka ciekawie o sile poetyckiej tych utworów, które, acz nie są doskonałymi całościami, mają przecież świetne fragmenty, i tych, w których czynniki poetyckie mieszają się z pozapoetyckimi. Trafnie też uwydatnia główną trudność, jaką nastręcza interpretacja i krytyka Norwida: „Do każdego pisarza czytelnik musi dorastać przez rozszerzenie pola widzenia i pogłębienie wrażliwości“. Naturalnie, tylko część tej trudności w wypadku Norwida tłumaczy się jego „kulturą humanistyczną i zainteresowaniami artysty-archeologa“

*

Spośród prac, poświęconych poszczególnym utworom poety rozmiarami i drobiazgowością na pierwsze miejsce wysuwa się książka p. Zofii Szmydtowej *O misteriach Cypriana Norwida*. Idzie tu o *Wandę* i *Krakusa*. Nazwa „misterium“ pochodzi z przedmowy „Do krytyków“, którą *Krakus* został poprzedzony w wydaniu brockhausowskim. Pierwsza część rozprawy, „genetyczna“, stara się określić „charakter erudycji pisarza i jego indywidualną postawę wobec źródeł“. Mówi tu autorka przede wszystkim o stosunku Norwida do kronik, o źródłach jego wiadomości o starożytnościach słowiańskich i germańskich (między innymi, w *Eddzie* znalazł Norwid, jej zdaniem, poparcie dla swojej teorii milczenia; dowód tekstowy zresztą szczupły: „Teraz wybieraj... mowę czy milczenie?“ mówi Brunhilda do Sygurda); stara się także dociec źródeł jego wiadomości o starożytnościach greckich, rzymskich i ży-

dowskich. Szeroko mówi dalej o „patronatach i związkach literackich“, a widzi je w tragedii greckiej, w Szekspirze (*Hamlecie* zwłaszcza), Platonie i indziej. Omawia łącznie rzeczy różnego znaczenia i o różnym stopniu pewności. Pokrewieństwo *Krakusa* z *Hamletem* jest oczywiste i sięga głęboko; podobieństwo *Wandy* do *Edypa króla* jest minimalne i mało ważne („w obydwóch utworach przed zamkiem królewskim zbiera się lud zaniepokojony i szukający rady“). Ciekawe, jeśli chodzi o stronę techniczno-fabularną, są podobieństwa do *Wandy* Wężyka (on to już wprowadził na scenę Rytygiera w przebraniu!). Trochę dziwi brak wzmianki o Słowackim (stos Wenedów w *Lilli* a stos Krakusa; połączenie bajecznej przeszłości narodowej z początkami chrześcijaństwa; alternacja anielskich i demonicznych wodzów w *Królu-Duchu;* sceny ludowe *Balladyny;* Wawel a Szołom; — na inne jeszcze pokrewieństwa wskazał p. Alfred Fei w artykule „Norwid i Słowacki: *Krakus* współzawodnikiem *Balladyny*“, *Ruch Literacki* 1933, s. 41). Przydałaby się może wzmianka i o Mickiewiczu: bo chybaż słowa Bojana o pieśni, zdolnej „i łabędziowe stado wrócić w locie“, są aluzją do improwizacji Konrada.

Część druga („Struktura tematu“) zajmuje się przede wszystkim analizą doby dziejowej, w której rozgrywa się dramat *Wandy*, i stawia „tezę“ (s. 46), iż „Wanda umiera w r. 33-im nowej ery“ i zgon jej jest równoczesny ze śmiercią Chrystusa na krzyżu. Jakież tej tezy dowody? Oto (1) Bojan wspomina, że widział za Dunajem cesarza rzymskiego z orszakiem; Swetoniusz zaś wyróżnia spośród wojen naddunajskich tę, którą toczyli Rzymianie pod wodzą Tyberiusza; to mało; (2) „obecność na scenie lekarza Żyda“ ma przywodzić na myśl „środowisko, w którym działał Chrystus“; to też jeszcze mało; (3) gdy Wanda w rozmowie z Rytygierem woła, „że słońce gaśnie, błonia się wilgocą, — ciemności na świat lecą niespożyte“, to dla autorki „jasnym jest, że dzieli ona lęk natury w godzinach męki Zbawiciela“; trudno zgodzić się, aby to było jasne. Owszem, zgodzić się można, że Norwid zbliża dzieje Wandy do początków naszej ery i wiąże je z rodzącym się chrystianizmem: jej ofiara za naród wynika niejako z tego nowego ducha dziejów, który się zaczął od ofiary Chrystusa za ludzkość. Autorka widzi tu jednak nie tylko to, ale i zupełnie ścisłą synchronizację wypadków: „Nastrój i treść słów królowej każe akcję IV i V obrazu oznaczyć na Wielki Piątek. Z tego wynika, że scena III rozgrywa się w czwartek wieczorem, dwie pierwsze tegoż dnia rano“. „Jest ....możliwe, że Norwid owe trzy godziny ciemności, o których piszą ewangeliści, użył na zgromadzenie ludu i przybycie Wandy do rozbitego namiotu“. „Wanda umiera.... wtedy, gdy na Golgocie dokonało się życie Zbawcy świata“ (s. 48). Czy naprawdę są podstawy, aby Norwidowi przypisać taki pomysł? Nie ma żadnych. Może nie byłoby dla autorki argumentem, gdybym powiedział, że legendowa atmosfera utworu bynajmniej nie nasuwa pytania o ścisłe daty. Samą jednak bronią chronologicznego realizmu łatwo cały jej wy-

wód obalić. Wanda mówi, że widziała cień ręki Bożej „przechodzący po polach“: „ta ręka — jakby przebita była, bo słońce padało, — przez wnętrze dłoni na wskróś, jak przez wypaść sęka“. Otóż, jak ścisłość, to ścisłość: przecież przebitą dłonią mógł Zbawiciel błogosławić dopiero po śmierci na krzyżu i zmartwychwstaniu! Szczegół to znamienny dla tej pracy: bo w bardzo wielu wypadkach idzie w niej autorka zbyt daleko, przeoczając granice zakreślone przez tekst. Podobnie jest np. z określeniem roli Wandy w dramacie: „Wanda przez swe pośrednictwo między narodem a Bogiem przypomina Matkę Boską pośredniczącą między Bogiem a światem“ (54), zaś „cudowna śmierć bohaterki podkreśla podobieństwo i różnice roli“. Różnice są widoczne, istotnie; podobieństw wybitnych nie dostrzegam: bo jeśli Wanda mówi np.: „Lud mię postawił na szczycie, jako najbielszy śnieg“, to czy to naprawdę „spokrewnia ją z Matką Chrystusa“? Wchodzi tu w grę jeszcze jedna właściwość metody autorki. Zamierzyła ona przy okazji *Krakusa* i *Wandy* „sięgnąć (jak powiada w „słowie wstępnym“) w głąb historiozofii i wiary poety“. Rzecz zupełnie godziwa. Ale w praktyce prowadzi ona czasem do uzasadniania interpretacji jednych utworów szczegółami branymi z innych. Aczkolwiek też analogia pomiędzy Wandą a Matką Boską, zdaniem autorki, wypływa „dostatecznie jasno z samego tekstu misteriów“, widzi ona „ponadto argument ważny“ w rysunku Norwida z r. 1850 (reprodukowanym przez Miriama w tomie C przy s. 144), który przedstawia Wandę siedzącą opodal ciała pokonanego szatana. Otóż, zgodziwszy się nawet na taką interpretację rysunku (acz i ona może być dyskutowana), nie podobna się zgodzić na jej przeniesienie do utworu, który ma być samostarczalny. Tym więcej, że to przeniesienie staje się ostatecznym wyjaśnieniem obydwóch dramatów, bo tematem obydwóch ma być, wedle autorki, „zwycięstwo nad szatanem“. Tu znów inne jeszcze trzeba zrobić zastrzeżenie: jeśli rzeczy tak brać mamy, to wypada równocześnie stwierdzić, że „zwycięstwo nad szatanem“ w tej czy innej postaci jest tematem wielu utworów w literaturze, norwidowskie więc nie dość się wyróżniają, skoro są pomieszczone w tak ogólnej kategorii.

W sferę bardziej uszczegółowiającej, a więc i istotniejszej interpretacji i krytyki wchodzimy w rozdziałach dalszych, które przedstawiają historiozoficzne tło utworów (antagonizm Polski i Germanii, kryzys cywilizacji pogańskiej o świcie chrystianizmu) i indywidualny dramatyzm występujących w nich bohaterów (tragiczną miłość Wandy i Rytygiera, hamletyzm Krakusa). I tu jednak także budzi się w czytelniku niejedna wątpliwość. Czy np. naprawdę „gród wawelski“ jest w *Wandzie* „jakby centrum świata, skupiającym najistotniejsze dążenia i wydarzenia epoki“? Czy naprawdę sztuka ta „uwydatnia pierwszeństwo kulturalne Polski, która wchodzi na drogę postępu, gdy Germania trwa w pogaństwie“ (57)? Czy okazuje, że Polska nawet „wyprzedza w postępie kulturalnym zwycięski, potężny Rzym“ (63)? Nie wynika to bynajmniej wyraźnie

z tekstu dramatu. Nie rozwiązuje też ta książka wszystkich zagadek, jakie mieści w sobie *Krakus*, i jeśli przekonywa czytelnika do jakiej tezy, to najbardziej do tej, którą cytuje z innego krytyka (nie aprobując jej zresztą), mianowicie, że Norwid „utopił swój dramat w mętnym symboliźmie" (67). Autorka formułuje własny sąd nieco inaczej: „Po przejściach duchowych bohaterów, po ich zmaganiu się w sobie, przychodzą wypadki niezupełnie przygotowane w sposób konkretny" (67). Ale to ostatecznie na to samo wychodzi, zwłaszcza wobec dalszej uwagi, że „w procesach psychicznych ujawnionych w misteriach Norwida zastanawia wyznaczenie podrzędnego miejsca woli" (72). Naprawdę sprawa jest niejasna. Dlaczego Krakus chce być zbawcą nieznanym? Czy się czuje tylko poetą, który zdolny jest do natchnienia w chwili wyjątkowej, ale któremu obca jest sfera codziennego działania? Czy czuje się naturą kontemplacyjną tylko, a nie władczą? Czy wątpi o sobie i swojej sile? Nie tłumaczy go „chrystusowość", bo Chrystus nie był anonimem. Nie wyjaśnia go „hamletyczność", bo i Hamlet „hamletyzuje" tylko do pewnej chwili. P. Szmydtowa powiada, że Krakus jest „idealnie czułym medium, przez które zaczyna działać świat niewidzialny" (70): „wypełnia nakaz niebieski", i to wszystko, co może zrobić; stąd „nie okazuje aktywności, ani chęci życia", a „najszczęśliwszy stan, jakiego doświadcza, to zniwelowanie własnej woli" (72). Nie zaleca go to jako bohatera dramatycznego (zwłaszcza, że wyraźnie nic o sobie nie powiedział); toteż może w zakończeniu powinniśmy sympatyczniej spojrzeć na Rakuza, który, zapewne, jest naturą brutalną i samolubną, ale przynajmniej ma instynkt życia i władzy. Dlaczego mamy go uważać za „zbrodniarza"? Przecież, ostatecznie, zabił brata, nie wiedząc z kim walczy, i nie skrytobójczo, ale w pojedynku. Stanowczo, tu są jakieś tajemnice, które i po pracy p. Szmydtowej, mimo jej drobiazgowości pozostają niewyjaśnione. *Krakus* zaś pozostaje dla nas nadal tylko zbiorem piękności lirycznych.

Część trzecia książki poświęcona jest „artyzmowi i technice" (tj. analizie poszczególnych czynników tematycznych, kompozycji, metod charakterystyki i obrazowania), część czwarta traktuje o „czynnikach stylometrycznych" (które to wyrażenie nie znaczy, by autorka uprawiała stylometrię, lecz stanowi skrótową formułę dla elementów stylu i metryki). Mamy tu mnóstwo obserwacyj nader szczegółowych, niektóre bardzo trafne (np., że zamierzone w fantastyce dramatu o Krakusie zespolenie pospolitości z wzniosłością nie udało się poecie, s. 85); acz na niektóre inne trudno się zgodzić (jak np. na wywód o „polifonicznym dialogu", s. 167, albo na wiązanie archaizmów Norwida z *Kazaniami Świętokrzyskimi*, których on znać nie mógł, s. 144; najwięcej do dyskusji mogłyby pobudzić ustępy o wersyfikacji).

Ostatni rozdział przeciwstawia „misteria" norwidowskie dramatom baśniowym Słowackiego (nie we wszystkim słusznie!) i koń-

czy się twierdzeniem, że Norwid stał się w nich „poprzednikiem Wyspiańskiego“.

Reasumując: książki p. Szmydtowej nie mogę uważać za wygraną w walce z trudnościami tych niezwykłych utworów poetyckich, samo jednak uczestnictwo w tej walce jest zaszczytne. Lojalnie też zaznaczam, że moja opinia odbiega od większości innych, które znalazły wyraz w druku (por. rec. p. St. Cywińskiego w *Ruchu Literackim* 1933, s. 48; p. Jul. Krzyżanowskiego „Bajka ludowa w misteriach Norwida“, *Paralele*, s. 163; T. D. w *Myśli Narodowej* 1933, nr 23; etc.; sąd ujemny wypowiedział p. St. Zabierowski w *Przeglądzie Współczesnym*, t. XLIV, s. 300—302, nie kwestionując zresztą interpretacji p. Szmydtowej, doradzając tylko uwzględnienie większej liczby źródeł i pokrewieństw, np. z dramatami niemieckiej literatury romantycznej, wreszcie domagając się jakiejś niewyraźnie opisanej „formuły socjologicznej“).

Do utworów Norwida, o których stosunkowo najwięcej pisano, należy *Kleopatra*. Trzeba tu przede wszystkim przypomnieć pominięte poprzednio uwagi, które p. Władysław Tarnawski zamieścił we wstępie do szekspirowskiego *Antoniusza i Kleopatry* w wydaniu „Biblioteki Narodowej“. „Norwid — pisze p. Tarnawski — najwidoczniej pragnął świadomie przedmiot traktować z punktu widzenia zupełnie przeciwnego szekspirowskiemu“. „Współzawodnictwo z Szekspirem — czytamy dalej — widać i w ujęciu tematu, bardziej historiozoficznym niż psychologicznym, i w uduchowieniu Kleopatry, i w wyborze motywów, które Szekspir pominął“. — Do uwag p. Tarnawskiego nawiązuje p. Stanisław Cywiński w studium, które jest jedną z najszczęśliwszych prac o *Kleopatrze* (acz pod nie najszczęśliwszym tytułem: „*Kleopatra* Norwida jako dramat ponadszekspirowski“), i uwydatnia wszystkie elementy utworu, w których Norwid wyraźnie się Szekspirowi przeciwstawia. Należy do nich nade wszystko „ciągle podkreślany związek pomiędzy jednostką a społeczeństwem“, podczas gdy tragedia Szekspira jest czysto indywidualna. Ujawnia się ten związek i w charakterystyce postaci i w szeroko podmalowanym tle obyczajowym; tłumaczy on też m. in., dlaczego Norwid o wiele bliższy niż Szekspir jest Plutarcha i Swetoniusza. Studium to uwydatnia także przejawiające się w *Kleopatrze* elementy historiozofii Norwida, wciągając (dyskretnie) do porównania jego wypowiedzenia teoretyczne. Czy jednak trafna jest uwaga (s. 87), że Egipt w *Kleopatrze* „pośrednio wyobraża Polskę“? Raczej: ma pewne rysy polskie. Zupełnie zaś już nieuzasadniona jest alegoryzacja oślepnięcia Szechery (s. 93: „Fakt ten bodaj ma symbolizować ostateczne zapatrzenie się Egiptu w świat ducha i zejście jego do grobowca przeszłości przy zamknięciu oczu na rzeczywistość bieżącą“). Nic w atmosferze ogólnej dramatu ani w kontekście tej sceny nie uzasadnia takiej alegoryzacji. Trafna jest konkluzja p. Cywińskiego: że w *Kleopatrze* „tragedia zbiorowości przełamuje się w każdej niemal osobowości inaczej, zahaczając o nie wszystkie“ i że można w tym widzieć „głęboko

chrześcijańskie“ ujęcie rzeczy, wedle którego „jednostka nie jest prostym wykładnikiem całości, zaś zbiorowość — to coś więcej niż tylko suma oddzielnych indywidualności“.

Nie widziałem drugiego wydania *Rzeczy o tragizmie „Kleopatry“* p. Zygmunta Falkowskiego, z recenzji tylko p. Cywińskiego (*Ruch Literacki*, 1933, s. 50) dowiaduję się, że „niestety, pierwotne braki nie zostały usunięte“ (p. Falkowski bronił się, tamże, s. 158; p. Cywiński ogłosił „kilka słów odpowiedzi“, s. 159; obszerniej omówił tę książkę także p. M. Giergielewicz, *Droga*, 1933, s. 1154).

Z okazji przedstawienia *Kleopatry* w teatrze miejskim we Lwowie cały zeszyt *Sceny Lwowskiej* („dodatku bezpłatnego do biletów wstępu“) został poświęcony Norwidowi. Obok artykułu p. Kazimierza Zakrzewskiego o „Kleopatrze w świetle prawdy historycznej“ znalazł się tu „Komentarz do *Kleopatry*“ pióra p. W[ilama] H[orzycy]. Podstawą jego wywodów jest norwidowska definicja tragedii, podana we wstępie do *Krakusa;* widzi w niej „najgłębszy komentarz i do *Kleopatry*“: i w niej bowiem chodzi o „fatalność dziejową“, polegającą na tym, że „do walki ze sobą stają dwa światy, egipski i rzymski, z których żaden nie posiada prawdy wewnętrznej, i oba są, choć na inny sposób, umarłe“, stąd zaś „wszystko, co wielkie i głębokie, dostawszy się między młyńskie kamienie tych dwóch martwych potęg, musi umierać“. Mniej jasne jest objaśnienie odmienności *Kleopatry* od dramatów „typu szekspirowskiego“. — O samym przedstawieniu lwowskim informuje artykuł p. S. Flukowskiego „*Kleopatra* C. Norwida na scenie Teatru Lwowskiego“ (*Pion*, 1934, nr 1). — *Kleopatra* doczekała się także wykonania radiowego. Jak pisze *Czas* z d. 21 maja 1933 („Polskie Radio ku czci Norwida“), „radiofonizacja... polegała na skrótach i ilustracji muzycznej, na ogół udanej.... Role tytułowe wypowiedzieli pięknie Jaracz i Modzelewska.... Występowali także Broniszówna, Samborski, Piekarski, Dominiak i Boelke. Muzyka Nowrota, radiofonizacja i słowo wstępne Zrębowicza“.

Praca p. Władysława Arcimowicza o *Assuncie* „dowodzi“ tezy, iż poemat ten jest utworem alegorycznym. Punktem wyjścia jego wywodów jest uwaga, rzucona przed laty przez p. Cywińskiego, że „*Assunta* jest poematem symbolicznym, wyrażającym miłość do sztuki“. Tę niefortunną (ale też, trzeba przyznać, tylko przygodną) uwagę p. Arcimowicz rozwinął z nieprawdopodobną drobiazgowością i systematycznością, osiągając ten wynik, że dla czytelnika (wbrew woli autora) zupełnie niewątpliwa staje się jej mylność. W przedstawieniu p. Arcimowicza *Assunta* wychodzi na jakiś nowy *Roman de la Rose*. Sama bohaterka jest alegorią sztuki a raczej „mistycyzmu i natchnienia“, które sztuce towarzyszyć powinny (s. 3). Dziadek jej jest ogrodnikiem; to też alegoria: bo „sztuka chrześcijańska pochodzi od apostołującego niegdyś w pierwszych wiekach naszej ery pospólstwa pracującego fizycznie“ (s. 11). Pomińmy mętność tego zdania (bo nie wiadomo, czy chodzi w nim

o apostołów, założycieli nauki Kościoła, czy o artystów; o tych drugich nie wiadomo, żeby z pospólstwa mieli pochodzić); niczym ono jeszcze wobec dalszych. Assunta miała rodziców, o których z tekstu tyle tylko się dowiadujemy, że zginęli w powodzi. Dla p. Arcimowicza to wystarcza, by napisać, co następuje: „Syn i synowa ogrodnika, a rodzice Assunty — to, według wszelkiego prawdopodobieństwa, myśl chrześcijańska abstrakcyjna, filozofia patrystyczna i scholastyczna". Chwała Bogu, że dodał przynajmniej te trzy słowa o prawdopodobieństwie. Bez żadnej już jednak żenady głosi dalej, że Assunta „jest kontynuacją *[sic!]*, raczej syntezą *[sic!]* prostaków chrześcijan i chrześcijańskiego społeczeństwa inteligentnego" (s. 11). — Nie dosyć na tym: alegoryczne mają być wszystkie szczegóły narracji i scenerii. Rodzice Assunty zginęli w powodzi: powódź ta „jest przypływem, powrotną falą pogańskiego antropocentryzmu" (14). Assunta jest niemową; wiadomo, czemu: sztuka, pojęta „jako praca-misterium, jako natchnienie z Boga poczęte", za czasów Norwida „nie była sztuką rozpowszechnioną ani w Polsce, ani w ogóle w Europie" (19). I tak dalej i dalej. Wystarcza, żeby poeta wspomniał o promieniu słońca, a nasz krytyk już odkrywa: „Promień słońca, to znowu symbol pracy tworzącej życie" (5). A myśmy myśleli, że to po prostu — w swoim bogactwie i cudowności — promień słońca!

Na dobitkę autor wyobraża sobie, że on dopiero, tą intelektualistyczną interpretacją, ratuje wartość poematu. A gdyby tak nie przyjąć tej alegoryzacji? Wtedy, powiada autor, „trzeba zupełnie zrzec się możności zrozumienia *Assunty* i uważać ją nadal za bardzo lichy i niezrozumiały poza najbanalniejszą fabułą poemat miłosny" (46). Otóż wręcz przeciwnie: doskonale można, a nawet trzeba, czytać *Assuntę* po prostu jako poemat opowiadający: o sierocie, oniemiałej z przerażenia nieszczęściem, o poecie, który ją pokochał za piękność i bogactwo duszy przejawiające się w samym modlitewnym spojrzeniu ku niebu, wreszcie o wielkiej damie, która dla sieroty uplanowała obrażające „przyzwoite" małżeństwo z łajdaczyną. Można i trzeba tak czytać, tym więcej, że wszystko to są przecież charakterystyczne, znane i skądinąd motywy poezji norwidowskiej, acz tu w jedyny sposób złączone i zobrazowane. I bynajmniej przy takim czytaniu *Assunta* nie jest poematem „bardzo lichym i niezrozumiałym": przeciwnie, jest poematem bardzo pięknym, ludzkim i zgoła przystępnym, acz są w nim norwidowskie niedopowiedzenia i ironie. Wystarczy przeczytać poświęcone *Assuncie* uwagi w przypisach Miriama do *Poezyj wybranych* i porównać je z tym, co pisze p. Arcimowicz, aby sobie uprzytomnić, czym jest wrażliwość na poezję, a czym jej niedostatek. Prawda, że w *Assuncie*, jak i w innych utworach Norwida, pełno refleksyj i gnomów, a raz po raz jakieś zjawisko nabiera charakteru symbolicznego: ale wszystko to mieści się w granicach spraw, które poeta przedstawia; wszystko jest „nasunięte" przez samo opowiadanie, które, zwykłym trybem poezji, w pewnym sensie uniwersa-

lizuje swój przedmiot. Od tego bardzo daleko do paraboli, w której każdy „chwast“ i każda „skała“ ma znaczenie alegoryczne. *Assunta* nie jest utworem ani w rodzaju *Romansu o róży*, ani w rodzaju bajek Krasickiego. Posługując się ze swojej strony parabolą, powiem, że p. Arcimowicz jest jak człowiek, który, wyrósłszy w kraju, gdzie nie jedzą sałat i nie zdobią stołów kwiatami, znalazł się nagle przy stole obficie zastawionym i sałatami i kwieciem: oszołomiony, nie mogąc skupić uwagi, zjada w końcu z determinacją wiązankę fiołków, a wącha sałatę. Trzeba przyznać, że od czasu do czasu ma wątpliwości, czy postępuje właściwie. Te wątpliwości rehabilitują go poniekąd jako krytyka. Przyznaje więc, że i przy największym wysiłku wyobraźni w kierunku tropienia „symbolizmu“ „symbolizm“ ten (a raczej parabolizm) „zaczyna się rozpływać wśród wielu szczegółów realistycznych“ (15): tłumaczy to tym, że „poeta albo świadomie stara się nadać utworowi charakter realistyczny, albo przypływ wspomnień osobistych mimo woli psuje wyrazistość symboli“. Fiołki nie są dobre w smaku: krytyk niecierpliwi się, że sałata nie pachnie. Zaczyna podejrzewać, że poeta „miał.... trudność z odmalowaniem postaci niewieścich“ (18); przyznaje nawet, że „nie można Assunty bez reszty wytłumaczyć jako symbol“ (16). Cofnąwszy się tak daleko od swojej głównej tezy, zaczyna jednak znowu dodawać sobie odwagi. Niemota Assunty — powiada — „jest tak niespodziewaną, że nie może nie być w związku z symbolicznym znaczeniem bohaterki“ (18). Ten argument nas nie przekonywa. Lepszy już o wiele jest ten, że Norwid jako krytyk często stosował metodę alegoryczną: „alegorycznie.... ujmował Danta; Matejce miał za złe, iż symbolizm obniża, ... *Anhellego* i *Balladynę* interpretował jako utwory alegoryczne, ... ba, nawet pieśń staropolską *Bogurodzica* .... nie inaczej ujmował, jak tylko biorąc każde słowo w licznych z nim skojarzeniach historiozoficznych“ (46). Nad tym warto się chwilę zastanowić. Aby jednak rzeczy nie komplikować, pomińmy Matejkę, bo malarstwo to nie to samo co poezja, i Norwid-plastyk nie jest równy Norwidowi-poecie. Zauważmy dalej, że „skojarzenia historiozoficzne“ to nie to samo, co alegoria. Że pewne motywy *Boskiej Komedii* Norwid ujmował alegorycznie, to jest w zgodzie z założeniami kompozycyjnymi tego utworu. *Anhelli* w pewnych częściach jest utworem niewątpliwie alegorycznym (że wspomnę tylko rycerza z chorągwią o trzech literach), a *Balladyna* ma w pewnych częściach pozór alegorii, podobnie jak *Myszeis* (wspomnijmy o postaci Filona, o dziejopisie Wawelu, o Goplanie), nie Norwid też jeden interpretował te utwory alegorycznie. Że jego interpretacja była zupełnie mylna, to tylko świadczy, że był gorszym krytykiem niż poetą, nie jest jednak racją, żeby do jego utworów taką interpretację stosować. Zwłaszcza, że dość było dzieł, których tak nie interpretował: nie tłumaczyłż alegorycznie ani *Childe Harolda*, ani *Marii*, ani *Konrada Wallenroda*, ani *W Szwajcarii*. (Gdyby zresztą

nawet to robił, to i to nie byłoby jeszcze racją, żeby go w tym naśladować).

Gdy się z rzadka zdarzy, że p. Arcimowicz wychodzi poza alegoryzację, przeważnie zaraz popada w biografizm, zaiste mogący usprawiedliwić najgwałtowniejsze diatryby Manfreda Kridla. Oto jeden z przykładów: „zachowanie się poety wobec ukochanej jest piękne i filozoficzne *[sic!]* .... prawdopodobnie za młodu tak zachowywał się poeta wobec pani Kalergis“ (17). A ileż p. Arcimowicz ma do powiedzenia z powodu drobnej sceny z rozlaniem wina (s. 35): o wpływie alkoholu na spotęgowanie różnych cech psychiki, o tym, co mówi W. James na temat pobudzania przez alkohol „zdolności mistycznych“, wreszcie o tym, że „Norwid początkowo pochwalał i najprawdopodobniej stosował taki sposób pogłębiania swych doznań prawdy“, ale potem przestał! Skąd on wie to wszystko? (Obszerniej omawiali tę książkę: p. Z. Szmydtowa w *Ruchu Literackim* 1933, s. 178, i p. M. Giergielewicz w *Drodze* 1933, s. 1158).

Dwu nowo ogłoszonym utworom komediowym, *Pierścieniowi wielkiej damy* i *Miłości-czystej*, poświęcił studium p. Tadeusz Sinko („Mussetowskie komedie Norwida“), uwydatniając ich rysy romantyczne. Naczelny zresztą z tych rysów widzi nie w treści ani w formie utworów, ale w ich oparciu na osobistych przeżyciach poety. Historia hrabiny Harrys i Mac-Yksa, to „*Wunschtraum*“ Norwida, „śniony w r. 1872, kiedy przeszło 50-letni poeta w nędzy paryskiej i zapomnieniu .... pisał dla potomności *A Dorio ad Phrygium* i *Kleopatrę*, a 50-letnia Maria Muchanowa opiekowała się w Warszawie aktorami i przygotowywała na śmierć“. Stąd i rozbiór utworu polega głównie na uwydatnieniu poszczególnych motywów autobiograficznych. Nie inaczej postępuje autor i z *Miłością-czystą*: ponieważ jednak tu o bezpośrednie powiązania trudniej, posługuje się spekulacją: „Feliks, marzący o miłości do Julii, a zakochujący się w jej wiernej przyjaciółce, to znowu sobowtór Norwida, a w takim razie Julia ma pewne rysy p. Kalergis, a Marta p. Trembickiej“. Wolno mieć wątpliwości co do takiego wnioskowania. Obcujemy w tej rozprawie z terminami „psychoanalizy“, słyszymy nawet o „biologicznym celu utworu“ (275)! Mało tu natomiast pierwiastka krytyki estetycznej, czego należy żałować, tym bardziej, że autor nazywa *Pierścień* „brylantem o dziwnie misternym szlifie“ i w repertuarze teatrów polskich widzi dlań miejsce tuż obok *Fantazego*. — Sądy pełne równie wielkiego uznania dla tej komedii ogłosili p. Jan Lorentowicz (w *Nowej Książce* 1934, zesz. 1) i p. Tadeusz Kudliński (w *Gazecie Literackiej* 1934, marzec).

Z artykułów, które wywołała ogłoszona przez Miriama *Reszta wierszy*, na wyróżnienie zasługuje felieton p. Adama Grzymały Siedleckiego („Inedita Norwida“, *Kurier Warszawski* 6 II 1934, z pięknie sformułowaną radą dla początkujących czytelników poety: „Z tej wieży wielkich ciśnień ducha, jaką jest ta twórczość, należy sobie wybierać swojego własnego, bliskiego uczuciom Norwida,

choćby kilkanaście tylko utworów na razie — z tymi się zżywać, im się zwierzać — do nich dobierać z biegiem czasu dalsze, i tak stopniowo wejść w norwidowski ustrój przekonań, przeświadczeń, aż coraz jaśniejszą stanie się i całość".

P. Antoniego Pospieszalskiego „Uwagi nad *Zwolonem* Norwida" (*Ruch Lit.* 1933, s. 235) są obiecującą próbką młodzieńczych zdolności, przedwcześnie jednak ogłoszoną. — Artykuł p. Alfonsa Dzięciołowskiego „Tęsknota za polskim obyczajem" (*Kurier Warszawski* 1930, nr 207) jest próbą treściowej i formalnej charakterystyki *Mojej piosnki* [II]. — P. C. F. L[ö w] przypomniał złośliwą współczesną ocenę *Szczęsnej* i *Autoda-fé* („Do dziejów krytyki Norwida", *Ruch Lit.* 1934, s. 191). — Stosunkowo sporo pisano o wierszu *Wczora-i-ja.* Asumpt dał p. Zygmunt Wasilewski artykulikiem „Dwie metody" (*A. B. C.* 4 kwietnia 1933). Odpowiedział mu p. St. Cywiński artykułem „O pojmowanie poezji" (*Dziennik Wileński* 1935, nr 106 i nast.). Z kolei Wacław Borowy („Anioł woła", *Ruch Lit.* 1935, s. 67) zestawił najważniejsze dotychczasowe interpretacje tego wiersza i uzupełnił je swoimi uwagami (przeoczył interpretację Brzozowskiego, którą przypomniał p. K. Jaworski w *Drodze*, 1933, s. 1121; nie uwzględnił też interpretacji p. Kołonieckiego, ibd. s. 1034, i p. Ign. Fika, *Uwagi nad językiem C. Norwida*, s. 39). — W artykule „O *Polce* Norwida i innych Polkach" (*Ruch Lit.* 1935, s. 113) p. St. Cywiński porównał utwór naszego poety z wierszami Teofila Gautier (p. Cywiński pisze stale: Gauthier!) i Heinego, poświęconymi Marii Kalergis, a także z ustępem z Heinego pamiętników podróży, mieszczącym dęty panegiryk na cześć kobiet polskich: we wrażeniu bowiem z tych rzeczy widzi genezę utworu Norwida. Mniej potrzebnie zestawił autor portret idealnej Polki norwidowskiej z Fredry Anielą, Słowackiego Dianą, Orzeszkowej Justyną i Seweryną, Prusa Madzią, Sienkiewicza Marynią, Reymonta Anką (z *Ziemi obiecanej*), Żeromskiego Joasią i Marzeńką (najniefortunniej!); nawet Oktawię Żeromską do tego szeregu przyplątał. — P. Stanisława Jerschiny „Uwagi nad *Purytanizmem* Norwida" (*Ruch Lit.* 1933, s. 43) przynoszą bardzo ciekawy i ładny rozbiór tego utworu, uwydatniając w nim „mistrzowski splot wątka dyskusyjnego z obrazowo-lirycznym". Jest to miły przykład analizy formalnej, dokonanej z należytym uwzględnieniem treści, a przy tym bez fanfar, bez wierzgania i bez pozy kolumbowej. Co robi ten nieznany krytyk? Czemu się częściej nie odzywa?

Przykrym zgrzytem w literaturze norwidowskiej był artykuł Boya-Żeleńskiego „Duch Adama i skandal" (*Wiadomości Literackie* 1932, nr 40), doszukujący się w wierszu poety pod tym tytułem potwierdzenia dla najokropniejszej z plotek emigracyjnych. Bolesną omyłkę znakomitego pisarza rzeczowo sprostował p. Wacław Kubacki („Jak się to pismo niejasne wykłada", *Myśl Narodowa* 1932, nr 44).

*

Rozległy kompleks motywów i wątków antycznych w twórczości poety omawia p. Tadeusz Sinko („Klasyczny laur Norwida“), dając systematyczny ich przegląd, z wskazaniem ich źródeł, związków literackich i oceną zarówno trafności ich przedstawienia (w sensie zgodności z historią i tradycją), jak (częściowo) artystycznej wartości skonstruowanych z nich utworów. Wielka erudycja autora, zarówno w zakresie antyku, jak literatury polskiej, predestynowała go wprost do napisania takiego studium, wdzięczni mu też być winniśmy za to, że je napisał. — Autor nie trzyma się chronologii utworów poety. Zaczyna od *Tyrteja* „jako najcharakterystyczniejszego dla stosunku Norwida do antyku“; potem omawia drobniejsze utwory na tematy greckie i rzymskie; dłuższy ustęp poświęca *Kleopatrze;* kończy analizą *Quidama* „jako zamierzonej syntezy trzech.... składników naszej cywilizacji“ (tj. rzymskiego, greckiego i żydowsko-chrześcijańskiego). Wykład prowadzi znanym swoim trybem komentarzy-marginaliów, uwzględniając na przemiany zagadnienia historyczne, filologiczne, filozoficzne i estetyczne, w miarę tego, jak kolejne części tekstu myśl o nich nasuwają. Tak więc w rozbiorze *Tyrteja* mamy uwagi o przypuszczalnych źródłach wiadomości Norwida, o wiernie i niewiernie przedstawionych szczegółach ustroju Sparty, o imionach bohaterów; przy sposobności jednak raz po raz robi autor i spostrzeżenia nad kompozycją: stwierdza ślady „niewykończenia“ tragedii, określa jej charakter jako „statyczny“, ocenia ekspozycję („faktycznych przesłanek do dalszej akcji przynosi niewiele“); rzuca różne uwagi o stylistycznych elementach dzieła („zatrzymanie greckiego brzmienia epitetu oczu Ateny [„glaukie“] trąci trochę snobizmem“); nie wzdraga się i przed hipotezami biografistycznymi, acz stawia je dyskretnie (powiadając np., że miłość Tyrteja i Eginei objaśnić można „chyba jakimiś osobistymi przeżyciami autora“); kończy ogólną charakterystyką artyzmu dzieła (... „puste dłużyzny refleksyjne .... nieraz bezcelowe, czysto erudycyjne. Utonęła w nich wątła akcja“...). W tym samym sposobie komentowane są i inne utwory. P. Sinko nie pomija nawet drobniejszych aluzyj w poematach nie na antyczne tematy. Osobny np. ustęp poświęca tytułowi *A Dorio ad Phrygium,* a nawet zwrotowi o muzie „rękopisów praczce“. Dowiadujemy się czasem rzeczy zdumiewających. Oto np. Norwid wyprzedził Willamowitza w uznaniu pewnej anegdoty za wybitnie charakterystyczną dla Platona, co, zdaniem autora, „przynosi zaszczyt jego intuicji“. Tam nawet, gdzie go razi „dziwactwo asocjacyj Norwidowych“, znawca antyku musi „tym większy podziw wyrazić dla plastyczności jego wizyj materialnych, widniejącej w.... szczegółach opisowych“.

Z rzadka zdarza się, że interpretacje autora wzbudzają wątpliwości. Czy np. słońce w wierszu *Narcyz* („Zwierciadlaność pochodzi z słońca“) „to idea w sztuce, idea platońska“? Można powątpiewać, skoro koncepcja idei doprowadziła Platona do teoretycznego lekceważenia sztuki, a w „epilogu“ *Niewoli* Norwid każe Platonowi uznać wywody Archity. Podobnież uwaga o „identyfi-

kowaniu piękna z pożytecznym“ („że użyteczne nigdy nie jest samo, — że piękno wchodzi, nie pytając, bramą“) jako o czymś podobnym do „naiwnej estetyki Sokratesa z *Memorabiliów*“, tj. o elemencie „pewnego symplizmu“, sama trąci... symplizmem.

Poruszanie tylu tak różnorodnych materyj, przeplatanie ich streszczeniami utworów nadaje stylowi studium czasem charakter jakby zdyszanego pośpiechu, który czyni je miejscami trudno zrozumiałym: trzeba jednak tę pracę traktować nie tyle jako rzecz do czytania z osobna, ile w łączności z tekstem utworów poety.

O *Kleopatrze* wypowiada krytyk niewiele sądów ogólnych („pominął.... Norwid pobyt Kleopatry z Cezarem w Rzymie, nie chciał wiedzieć o ich synu Cezarionie, tym mniej o późniejszych dzieciach z Antoniuszem, a Kleopatrę przedstawił jako jakąś predestynowaną admiratorkę i kochankę Cezara, a potem jego mścicielkę“; „charakterystyka Antoniusza, oparta na źródłach,... wypadła doskonale“). Rozbiór natomiast *Quidama* przeplata szeregiem uwag estetyczno-krytycznych („Przedstawienie pierwiastka greckiego redukuje się do wtrąconych w poemat uwag samego autora“... „Przypadkowości.... niektóre.... programowe, ale inne trzeba położyć na karb braku ekonomii kompozycyjnej“... „Pogoń za zbytnią subtelnością prowadzi... aż do prymitywności“... „[Jakkolwiek] unikanie intrygi i węzła dramatycznego było w tej przypowieści zamierzone, to ich surogat w formie wzajemnych, a dość arbitralnych wizyt osób fabuły jest przecież zbyt prymitywny“...) Uwagi te są przeważnie słuszne, nie docenił wszelako autor wielkich (pomimo braku koordynacji kompozycyjnej) piękności poetyckich *Quidama*. Do szczególnie ciekawych ustępów studium należy porównanie *Quidama* z *Irydionem* i z powieścią Waltera Patera *Marius the Epicurean*.

Kończy rozprawę zobrazowanie ogólne erudycji klasycznej Norwida — w formie spisu poetów, filozofów i historyków, których znajomość da się stwierdzić w jego dziełach i listach, — i charakterystyka jego zasadniczej postawy wobec antyku. Praca ta jest jedną z najpożyteczniejszych w plonie 50-ej rocznicy śmierci Norwida.

Uzupełnieniem tej pracy w pewnym zakresie są dwa przyczynki ogłoszone w *Czasie* d. 23 czerwca 1934 (w tygodniowym dodatku „Przegląd Artystyczny“): p. Władysława J. Dobrowolskiego „Osoba Cycerona w dziełach Norwida“ i p. Zygmunta Leśnodorskiego „Norwidowskie Rozmowy umarłych“. — Wiąże się z nią także studium p. Zofii Szmydtowej „Platon w twórczości Norwida“. Autorka stwierdza, że „stosunek poety do Platona nie był ani prosty, ani ekskluzywny“: nie wykluczał różnicy sądów i polemiki przy akceptowaniu wielu zasadniczych poglądów i przeświadczeń. Były tu, wedle autorki, „trzy sfery oddziaływania. Pierwsza — to zespół zagadnień religijno-moralnych w zastosowaniu do jednostki i zbiorowości, druga — problemy sztuki, trzecia — poglądy na miłość“. Wszystkie te sfery rozważa autorka szczegółowo a delikatnie na przestrzeni całej twórczości Norwida. W zakresie spraw

związanych ze sztuką dobitniej by się może zarysowały różnice, gdyby autorka nieco szerzej uwzględniła *Iona*, który przecież poświęcony jest natchnieniu w Homerze. — Konkluzją autorki jest, że wpływ Platona na naszego poetę „łączy się na ogół harmonijnie z działaniem chrystianizmu i filozofii idealistycznej wieku XIX“ i że wspólnego oddziaływania tych trzech czynników rozdzielić nie podobna. — Do najcelniejszych należy tu ustęp o *Assuncie* (s. 385) jako poemacie o miłości. Pouczające jest porównanie tego ustępu z rozprawą p. Arcimowicza. I p. Szmydtowa mówi, że życie Assunty, „to ustawiczna parabola, zrozumiała dla poety“, ale jakże inne to u niej ma znaczenie! „Norwid — czytamy — uczynił z *Assunty* poemat miłosny, wybitnie odrębny i niezmiernie interesujący. Przedstawił w nim intelektualny rozwój człowieka przez miłość pojętą w duchu platońskim“.

Bardzo sumienną rozprawę o motywach żydowskich w twórczości Norwida napisał p. Juliusz Feldhorn („...Pomnik strzaskany“...). Ustaliwszy, że z zagadnieniem żydostwa spotykał się poeta na trzech drogach: przy lekturze Pisma św., przy rozmyślaniach nad historią cywilizacji, wreszcie przy rozważaniu życia spółczesnej Polski, autor każdą z nich bada po kolei. Zestawia więc starannie wszystkie motywy starotestamentowe, spotykane w poezji norwidowskiej; następnie charakteryzuje zapatrywania Norwida na dziejową rolę Żydów (przy sposobności stwierdza jego rozczytywanie się w Józefie Flawiuszu, o którym p. Sinko mimochodem tylko wspomniał); krytykuje (bardzo słusznie) wywody p. Szmydtowej o Żydzie z *Wandy* („p. Szmydtowa stworzyła tu postać Żyda zupełnie nową, która w żadnym związku nie stoi z Norwidem“); wreszcie przedstawia stosunek poety do Żydów spółczesnych; syntezą wszystkich rozmyślań Norwida na tematy żydowskie jest dla niego wiersz *Żydowie polscy*, którego treść ideową ujmuje bardzo trafnie. — Ten sam zakres zagadnień porusza p. M. H. Piątkowski w artykule „Norwid a Żydzi“ (*Wiadomości Literackie* 1933, nr 39), znacznie jednak bardziej szkicowo.

Elementom folkloru w tematyce norwidowskiej poświęcił p. Julian Krzyżanowski dwa zgrabne szkice: „Dookoła Norwidowej paraboli o zamarzłym słowie“ (*Ruch Lit.* 1930, s. 169) i „Bajka ludowa w misteriach Norwida“ (*Czas* 1932, nr 265, 266, i odbitka), obydwa przedrukowane w książce *Paralele*. Pierwszy z nich stwierdza, że motyw wiersza *Znów legenda* należy do tradycyjnych wątków wędrownych, znanych od starożytności; drugi uwydatnia związek *Wandy* z baśniami o królewnie chorej na smutek, a *Krakusa* z baśniami o braciach-rywalach i szukaniu żywej wody.

Parę uwag o stosunku Norwida do Kochanowskiego wypowiedział p. Cywiński w artykule „Centrum polszczyzny“ (*Myśl Narodowa* 1930, nr 23).

*

We wszystkich, zarówno całkowitych, jak częściowych zarysach historii literatury polskiej, które się w tym okresie ukazały, twórczość



C. NORWID: RYSUNEK

Ze zbiorów Biblioteki im. Gw. Pawlikowskiego
w Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich we Lwowie

Norwida została krócej lub dłużej omówiona. Najmniej stosunkowo miejsca przyznał jej p. Juliusz Kleiner w niemieckiej pracy „Die polnische Literatur“ (Potsdam 1929), wchodzącej w skład redagowanego przez Oskara Walzela wydawnictwa *Handbuch der Literaturwissenschaft*. Norwid to dla niego „ein Epigone und ein Verkünder in einer Person“ (s. 74): „ein grosser Künstler, dessen Gestaltungskraft durch ein Überwuchern des Intellektualismus zum Teil gelähmt war“. Tylko drobnym jego poematom i nowelom przyznaje p. Kleiner artystyczną doskonałość. Niezbyt szczęśliwe są napomknienia o powinowactwie duchowym z Saint-Martinem i Novalisem i uznanie za jeden z najcharakterystyczniejszych rysów Norwida pogoni za niezwykłością („Er sucht immer das Seltsame, das Absonderliche“...) Należycie uwydatniony jest norwidowski kult pracy i pogląd na pierwiastek ludowy w kulturze. — W trzecim (pośmiertnym) wydaniu Konstantego Wojciechowskiego *Dziejów literatury polskiej* (Lwów 1930) zamieszczono ustęp o Norwidzie, napisany przez p. Zenona Aleksandrowicza (s. 240—249) Na czoło jego twórczości wysunięta jest tu liryka. Ocena zresztą wszystkich dzieł jest bardzo wysoka, sformułowana nb. stylem dytyrambicznym, w podręczniku mniej może stosownym. Bałamuci zaliczenie do „śmiałych nowości“ Norwida „wiersza bez średniówki“ (*sic!*); nie bardzo też jasnym komentarzem do słów „Ideał sięgnął bruku“ jest zdanie: „Tak pisał rzekomy konserwatysta“. — Dwa rozdziały poświęcił Norwidowi p. Julian Krzyżanowski w swojej angielskiej książce *Polish Romantic Literature* (Londyn 1930). Rozdźwięk pomiędzy poetą a społeczeństwem tłumaczy tu jego oddaleniem od romantyzmu, a zwłaszcza mesjanizmu, jego przeciwstawieniem się kultowi uczuciowości, klasycystycznymi tendencjami jego estetyki, wreszcie indywidualnym charakterem jego stylu, mającym swe źródło w dążności do doskonałej precyzji. Za największy skarb w dorobku Norwida uważa jego lirykę, w której jako najcharakterystyczniejsze motywy uwydatnia: „nić czarną“ smutku, tęsknotę do kraju, poczucie osamotnienia, świadomość rozbratu między światem a wielkością. Przechodząc z kolei do dramatów, analizuje przykładowo *Wandę* i *Krakusa*; pierwszą określa jako „a dramatic and tragic dream“, charakteryzuje jej styl lakoniczny, uwydatnia połączenie tradycyjnego wątku podaniowego z chrześcijańskim; interpretacja bardziej zagadkowego *Krakusa* mniej jest jasna. Innym dramatom poświęcony jest tylko krótki ustęp, który cokolwiek paradoksalnie kończy się słowami: „Anyone who cannot resist the charm of books like *The Little Flowers of St. Francis* with their simplicity and naïvety, may discover both elements in Norwid's dramatic poems. For, despite all outward appearance, they are as simple and, at the same time, profound as some of the mediaeval miracle plays“. W dalszym ciągu omówione są te utwory w których Norwid wyraża swój stosunek do współczesności i do historii. Następuje dość szczegółowy rozbiór idej estetycznych *Promethidiona*, uwydatniający ich pokrewieństwo z ideami Ruskina

i Morrisa, a wyjaśniający zarazem ich genezę platońską. Zamyka wykład o Norwidzie rozbiór *Fortepianu Szopena*, który autor uważa za „the finest achievement of the poet". Dodane są do tego uwagi o rozwoju sztuk plastycznych w Polsce XX wieku, ziszczającym wedle autora niejako marzenia Norwida. — Praca Tadeusza Piniego „Literatura polska 1796—1863", zamieszczona w t. III wydawnictwa *Polska, jej dzieje i kultura* (Warszawa b. d., nakł. Trzaski, Everta i Michalskiego), zawiera ustęp o Norwidzie (s. 566—569), utrzymany w duchu przedmowy tegoż krytyka do jednotomowego wydania dzieł poety. — Podobnież rozdział Norwidowi poświęcony przez p. Manfreda Kridla (1935) w pracy „Poezja polska w latach 1795—1863" (w 2 wyd. zbiorowych *Dziejów literatury pięknej w Polsce*, wchodzących w skład „Encyklopedii polskiej" Akademii Umiejętności) jest tylko szerszym rozwinięciem poglądów, które już znamy z jego artykułu w *Drodze*. — Sporo rzetelnych informacyj, podanych z wielką powściągliwością sądu, zawierają stronice o Norwidzie (228—231) w pracy p. Jana Lorentowicza „Historia literatury polskiej (od r. 1863 do chwili obecnej)", włączonej do wydawnictwa *Wiedza o Polsce* (tom 2. II). — Książka p. Tadeusza Grabowskiego *Krytyka literacka w Polsce w epoce romantyzmu* (Kraków 1931) mieści chaotyczny ustęp o Norwidzie jako krytyku i teoretyku sztuki (s. 231—244). — Zbiór poprawnych na ogół wiadomości i inteligentnych opinij podaje artykuł „Norwid" w *Encyklopedii Ultima Thule* (tom VII, 1935).

*

Już w r. 1928 w *Przeglądzie Pedagogicznym* (nr. 26) p. Cywiński zamieścił garść uwag o czytaniu Norwida w szkole średniej („Norwid w 8-ej klasie gimnazjalnej"), przedstawiając zarazem wyniki doświadczeń, które sam poczynił w ciągu 18-letniej praktyki nauczycielskiej. Obrazem późniejszych doświadczeń jest broszura p. Waleriana Kwiatkowskiego „Cyprian Norwid w świetle uwag młodzieży współczesnej". Autor występuje tu jako rejestrator, spisujący tylko i grupujący autentyczne „uwagi" uczniów szkoły średniej, zasłyszane bądź w rozmowie, bądź w czasie dyskusyj na lekcjach języka polskiego. Przypuszczalnie jednak te uwagi są jakimś odbiciem uwag czynionych przez nauczycieli lub powstawały pod ich wpływem. Trudno się nimi, niestety, zachwycać. Przenika je wszystkie duch tzw. wychowania państwowego (autor napisał także pracę *Wychowanie państwowe a twórczość Wyspiańskiego*, na którą się powołuje): mniejsza już o to, że wartość utworów poetyckich oceniają „z punktu widzenia przede wszystkim potrzeb państwowości" (s. 39); gorzej, że nie wykazują troski o rzetelność w traktowaniu historii. „Młodzież dzisiejsza — informuje nas p. Kwiatkowski na wstępie — w stosunku do pokoleń przedwojennych jest nastrojona na ogół krytycznie, nie znosi bowiem pustki słów i napuszonych deklamacyj". Czyby jednak nauczyciele nie powinni trochę się pofatygować, aby ten krytycyzm był lepiej podbudowywany

wiadomościami i rozważniej się wyrażał? Dla Norwida wprawdzie, podobnie jak dla kilku jeszcze innych wielkich pisarzy, czyniony jest wyjątek w tym surowym sądzie o „przedwojennej“ przeszłości; zdaje się jednak, że zawdzięcza on to szczęście tylko antyhistorycznemu traktowaniu i wątpliwej aktualizacji. Cóż z tego np., że młodzież „zachwyca się i entuzjazmuje *Pieśnią od ziemi naszej*“ (43), kiedy okazuje się, że to głównie dlatego, iż daje jej to okazję do mówienia o bojowcach 1905 roku, o odezwie Mikołaja Mikołajewicza, o tych, co „stawali w obronie Habsburgów“ itp.? W poemacie znowu *Epos nasza* „szary wąż z żółtą wypustką“ jest dla młodych czytelników „symbolem żandarma (kolory!)“, Dulcynea — symbolem Polski, m. in. dlatego, „że występuje w kwefie (symbol żałoby) i ma na palcu obrączkę z opala (symbol niedoli)“, ptaki — symbolami poetów (49), itd. Każdy rozbiór kulminuje w odnalezieniu jakiejś prefiguracji lub analogii: to Bezdan (66), to Związku Strzeleckiego (69), to Pierwszej Brygady (52), to odezwy z r. 1919 „do mieszkańców W. Księstwa Litewskiego“ (48), to wypadków majowych 1926 r. (69), to bodaj „ostatniej twórczości Kadena Bandrowskiego“ (67). Jeszcze to jeden typ monistycznej interpretacji, który możemy dołączyć do poprzednio omówionych (formalistycznego, mistycznego, socjologicznego, alegorycznego). Że też jego zwolennicy nie boją się skutków monotonii!

*

Osobną niejako gałęzią studiów nad Norwidem stało się odszukiwanie jego pokrewieństw i powinowactw duchowych. W tym okresie szczególnie wiele mówiło się o podobieństwie pewnych jego myśli z myślami Jerzego Sorela. Poświęcił tej kwestii naprzód kilka szkicowych uwag p. Jerzy Drobnik („Jerzy Sorel i Cyprian Norwid“, *Tęcza* 1930, nr. 46), zaznaczając, że z pisarzem francuskim łączy naszego poetę wiązanie spraw sztuki ze sprawami szerokich rzesz, dążenie do piękna przy produkcji przemysłowej, wreszcie potępienie sztuki-zbytku. — Znacznie obszerniejszy artykuł na ten temat napisał p. Wł. Arcimowicz („Cyprian Norwid i Jerzy Sorel o społecznych zadaniach sztuki“, *Przegląd Powszechny* 1931, t. 190, s. 309—328), ale podobieństw więcej nie odnalazł. „Norwid i Sorel — czytamy — ....chcą osiągnąć dwa cele: (1) uratować dla demosu wartości wychowawcze i kształcące sztuki arystokratycznej, (2) opromienić każdą pracę tym zadowoleniem, które daje twórczość artystyczna“ (s. 320). To dość jasne. Przestajemy jednak rozumieć, kiedy p. Arcimowicz mówi, że „obaj odsuwają na plan drugi momenty uczuciowe, wysuwając na czoło intelektualizm, oparty nie na rozumie, lecz na intuicji“ (320), i konkluduje, że „poglądy ich pokrywają się, a raczej uzupełniają nawzajem“ (przecież albo jedno, albo drugie!). Jak i w innych studiach p. Arcimowicza, rażą tu uwagi o dziedzinach, które najwidoczniej nie są mu bliskie (np. o estetyce Crocego, lub o historii malarstwa XIX w.). — Także p. Tymon Terlecki wspomniał o podobień-

stwach między Norwidem a Sorelem (*Droga* 1933, s. 1153), a nieco obszerniej zajął się nimi p. Marian Piechal (*Droga* 1934, s. 774—776), dochodząc zresztą do wniosku, że podobieństw między nimi jest znacznie mniej, niż różnic.

Łowca podobieństw, p. Wł. Arcimowicz, napisał i artykuł pt. „*Salome* O. Wilde'a a *Quidam* Norwida" (*Słowo* d. 8 kwietnia 1931). Zaczyna się od słów: „Norwid i Wilde, to pióra bardzo podobne".

Jedno z ciekawszych oddziaływań Norwida przedstawił p. Kazimierz Jaworski w artykule pod pretensjonalnym tytułem „Rycerz z orszaku Pana i spękane serce dzwonu: Norwid i Brzozowski" (*Droga* 1933, nr 11, s. 1106—1127), interesująco jednak i zrozumiale obrazującym ewolucję stosunku Brzozowskiego do odkrywanego poety.

Jednym z niewątpliwych oddziaływań Norwida jest jego wpływ na poezję współczesną. Samych utworów, które o nim mówią, można wyliczyć cały szereg: p. Mariana Piechala „Pożegnanie Norwida" (w zbiorze *Elegie całopalne*, Warszawa 1931), „Głowa Norwida" (*Tygodnik Ilustr.* 1933, nr 22); p. Stan. Ryszarda Dobrowolskiego cykl „Nad Norwidem" (w zbiorze *Autoportret*, Wilno 1932), „Wróżby" (*Tygod. Ilustr.* 1933, nr 22), „Do poety" (*Droga* 1933, nr 11); p. Z. Zaniewickiego „Rozmowa z Norwidem" (*Kurier Warsz.* 21 maja 1933); etc. A naturalnie to są tylko łatwiej uchwytne dla bibliografii symptomy wpływu, który idzie znacznie szerzej, a czasem i głębiej. Jeden z najpiękniejszych cyklów lirycznych tego czasu, *Garść popiołu* p. Mariana Piechala (1932), wybitnie osobny w odczuciu i ekspresji, wypłynął przecie z natchnień, w których czujemy norwidowskie dziedzictwo. O tym wpływie Norwida na młodą poezję pisał już p. Stefan Kołaczkowski w *Roczniku Literackim* 1932 (s. 18), stwierdzając, że „Norwid jest dziś wśród liryków poetą najbardziej żywym". Szerzej rozwiódł się nad tą sprawą p. Roman Kołoniecki w cytowanym już artykule (w rozdziale pod niezwyczajnym tytułem „Ojciec pokolenia wnuków"). Niestety, obok stosunku duchowego synostwa wytworzyła się w pewnych kołach także snobistyczna moda. Wystąpił przeciwko niej p. Marian Piechal w artykule „W obronie Norwida" (*Gazeta Polska* 22 lutego 1931). Czytamy tu surowe słowa o poetach najmłodszego pokolenia: „Przy lada okazji szafują hojnie tym genialnym nazwiskiem w wytartych już doszczętnie i wywietrzałych oklepankach, powołują się na nie, nie wiadomo z jakiego powodu, i robią bardzo ryzykowne zazwyczaj i nieistotne zestawienia, nie wiadomo zgoła, z jakich przyczyn". I dalej: „Miarą wpływu, w tym wypadku tak zaszczytnego, a zatem obowiązującego, nie może być bynajmniej sprawa przypadkowego podobieństwa tej czy innej metafory, rymu, rytmu lub formy stroficznej, ale miara wysiłku w stosunku do własnych zadań twórczych w zestawieniu z wysiłkiem twórczym Norwida w stosunku do rzeczywistości jemu współczesnej"... To samo przedświadczenie

wyraża w poetyckim ukształtowaniu wspomniany już wiersz p. Piechala („Głowa Norwida"): — w obrazie jasności, w której:

> i prawd się nie przyjmuje już, ale w nie wierzy
> i podnosi się w sobie i sobie ślubuje
> być wiernym aż do śmierci temu, co się czuje.

Słowa te mogą służyć za ilustrację tych wartości, które współcześni w dziełach Norwida znajdują. Miarą znów złożoności jego dzieła i wysiłków koniecznych dla właściwego ogarnięcia jego całokształtu może być fakt, że ta formuła poetycka wyszła spod pióra tego samego pisarza, którego dyskursywnym ujęciom tak stanowczo trzeba tu się było przeciwstawić.

*

P. S. W świetle wywodów p. St. Pigonia („Czy Norwida *Cienie = Quidam?*" w *Ruchu Lit.* 1937, s. 86) wzmianki o *Cieniach* w listach poety nie odnoszą się do *Quidama* (wbrew temu, co pisałem, *Pam. Lit. XXXIII.* 1002), lecz do osobnego, dziś zaginionego utworu.

Warszawa *Wacław Borowy*

Bibliografia polska Karola Estreichera. Ogólnego zbioru tom XXXI. Wydał Stanisław Estreicher. Nakładem Polskiej Akademii Umiejętności, Kraków, 1936, s. VI, 508. Uzupełnienia do tomu XXXI, s. IV.

Dzieło pomnikowe rośnie, nie tylko zewnętrznie, lecz i wewnętrznie, bo artykuły luźne pęcznieją, treść dzieł coraz obficiej wyłożona, szczegółów coraz więcej się mnoży i nabywamy pewności, że autor nie pominął nic ciekawszego, że każde dzieło przejrzał i wynotował, nie dbając, czy artykuł nie urośnie na podobę monografii: nie zadowolony opisem dzieł, wyczerpywa treść ich jak i całą literaturę o nich do r. 1936, aż do artykułów po dziennikach; artykuł rozrasta się na kilkanaście albo i kilkadziesiąt stron dwuszpaltowych drobnego druku! Nie od razu *Bibliografia* takich rozmiarów dosięgła; początek, np. litera A, nierównie w treść uboższy; czym dalej w las, tym więcej drew, ale dopiero syn, podjąwszy się świętego obowiązku, nawet kosztem własnej pracy literackiej i uczonej (jako wydawca zabytków prawa niemieckiego!), dzieło śp. ojca doprowadzić do pożądanego końca, z każdym nowym tomem rozszerza noty i wypisy. Moim nader miłym obowiązkiem pozostaje towarzyszyć nowemu tomowi z krótką informacją, co też szczególniej ciekawego zawiera; obieram do tego najprostszą drogę, porządek alfabetyczny, a o wyczerpaniu bogatej treści ani myślę; szczupły wybór uwag winien wystarczyć.

Tannera, Niemca praskiego, opis legacji moskiewskiej ks. Czartoryskiego z r. 1678, zawiera wiele o Polsce, tłumaczył go też Niemcewicz, ale E. przestrzega przed samowolnym skracaniem tekstu.

opuszczaniem całych rozdziałów itd. Pod Ign. Tańskim są relacje urzędowe o zamierzonym buncie na Ukrainie 1790 r., o machinacjach duchownych szizmatyckich, na podstawie zabranych pism. Pod *Tarczą* opis unikatu Jagiellońskiego z r. 1533, tłumaczenia Spiczyńskiego, odmiennego od przekładu w *Szczycie dusznym;* ciekawa i druga *Tarcza* uniwersytetu z r. 1623 przeciw *Procy* napadającej uniwersytet ze strony szkół jezuickich. Dalej szczegóły o Targowicy i pamfletach na nią. O Tarłach i Tarnowskich moc danych, szczególnie o hetmanie; rozmowę z nim o wojnie tureckiej spisał Strasius r. 1542, a wydał Scheidius r. 1595. Pod Tarwoynem plebanem szawelskim niespodzianka: wiersz litewski witający Jerzego Tyszkiewicza, biskupa miednickiego (żmudzkiego), z okazji poświęcenia kościoła szawelskiego 1634 r., przyczynek więc do ubożuchnej literatury litewskiej; E. przedrukował cały wiersz (kilka mylek: brangus, nie bragus; turi, nie tuci; sieasis, nie sicasis; wiersze trzynastozgłoskowe, rymowane, zawierają porównanie z feniksem). Pod Tąszewskim, Wielkopolakiem, wynotował E. nieco prowincjalizmów i archaizmów z r. 1641, ale to nieraz pisownia zawiniła (skampiec, zostawieł; grobsztyn, falować, są ogólnopolskie). Z taks marszałkowskich wypisał E. kilkanaście cen, porównując je między sobą. Pod Taszyckim wypis z A. Grabowskiego o jego wierszu rewolucyjnym *Do Galicjan* (aby się z Kościuszką łączyli) i surowa ocena jego pozornie rewolucyjnego pisma o prawach majątkowych kobiet, zniesionych przez Józefa II, co Lwów w Korynt(!) odmieniło. Pod hasłem Tatarzy bogata jak zawsze literatura, pod Tatry wzmianki o nich w dawnej poezji. *Theatrum Europaeum* od r. 1629 do 1718 w 21 częściach opisuje dzieje Europy; E. przytacza, co w tych nieraz olbrzymich tomach szczegółów o Polsce się mieści; podobnie niżej z foliantu Thuana, którego Wacław Potocki wiele powoływał, a dwie nowele o Tresie i Gazeli z wojen hiszpańsko-niderlandzkich z niego przewierszował. Że prawnik E. rzeczy prawnicze szczególnie uwzględnia, nie dziw, więc np. o 3 broszurach jurysty krakowskiego Thesznarowica, wydanych między r. 1688 a 1695, stwierdza, że „objęły razem cały obszar ówczesnej wiedzy o prawie". Rzecz o przekładach i wydaniach Tomasza a Kempis nadzwyczaj staranna, najdawniejszych tłumaczeń z r. 1545 i 1561 niestety tylko w notach Jochera ocalały ślady; byłbym przy Grochowskim wspomniał, że jego przeróbka przewyższa o wiele wszelkie następne, szczególnie Trzebieńskiego z r. 1724 (powołuje „Naszyńca tłomaczonego" tzn. chyba, że z przekładu polskiego korzystał?), nie mówiąc o tłumaczeniu Szyrmy wierszem, z r. 1733, które nieco na parodię zakrawa. Pod Trębickim obszerne uwagi prawnicze o jego *Prawie politycznym i cywilnym*, o jego odpowiedzi D. Tomaszewskiemu itd. Pod Trembeckim najobfitszy plon rzeczy o nim. Wedle Kratterowych listów-pamfletów na polską Galicję wydał i kapitan Traunpaar, *Dreyssig Briefe über Galizien* itd. r. 1787, mniej zjadliwe niż pierwowzór, lecz równie Polakom niechętne

Właśnie na tych dalszych stronicach znajdziemy najobszerniejsze rozprawy, i tak pod Trzecieskim (s. 361—372) wylicza E. wszystkich, którym Trzecieski swe epigramy lub elegie wysyłał; w epigramatach z r. 1565 *ad quendam Gallum qui haereticam fidem docebat*, to chyba Piotr Statorius (Stojeński), nauczyciel pińczowski? E. wyjaśnia wszelkie szczegóły jego zjadliwej z Royzjuszem walki na wiersze i przytacza w całości ostatni makaronizujący epigram na Royzjusza (z r. 1558), którego później Trzecieski wychwalał; zwracam uwagę na obiecną (nie obecną!) modlitwę z r. 1558; po wyczerpaniu wszelkich dawnych wzmianek o Trzecieskim, na czterech następnych szpaltach cała nowsza literatura o nim spisana i oceniona (przedtem o cudackim pomyśle, odmawiającym Trzecieskiemu autorstwa biografii Rejowej). Jest to niemal monografia o Trzecieskim i nie wiem, czy jaka o nim praca mogłaby coś więcej wyłowić; nie wygląda na monografię, jest nią. Ależ podobną rozprawę poświęcił E. Andrz. Trzcińskiemu (profesorowi krakowskiemu, później księdzu), z tylu wypisami (i ze wspomnień A. Grabowskiego), żeśmy i o polemice jego z Śniadeckim i o wierszu o płci pięknej, najdokładniej obznajomieni; E. tak się z tym dziwakiem spoufalił, że może jemu przypisać i pismo Sylena z r. 1790; cały wizerunek tego człowieka, wolterianina, nadzwyczaj ciekawy. Opitza przytaczają wiersze przy dziele Troestera (z Siedmiogrodu) dlatego, ponieważ Opitz miał z polecenia Władysława IV dzieje Scytodacji wyłożyć, Troester podjął się tego samego i mógłby E. przytoczyć jego dzieło o Scytodacji, gdzie on wywodzi polszczyznę z niemczyzny. Pod Troją powtarza E. domysł, że polską *Wojnę trojańską* wymieniają wierszyki przy *Żywocie Chrystusa* 1522 r., na co się nie godzę; jeżeli o jakimś specjalnym dziele tam mowa, to tylko o czeskim, drukowanym nieraz od r. 1466, boć druki czeskie i na Polskę liczyły. O bracie czeskim Turnowskim znowu bardzo obszerna rzecz; Łaszcza odpowiedź na *Jasne oko* Turnowskiego w XXI tomie *Bibliografii* nie była streszczona, więc tu treść szczegółowo podana; mnóstwo ciekawych szczegółów, powoływa E. i moją rozprawkę o niektórych drukach Turnowskiego, jakoby się znajdowały w „Bibl. berliń. państw.“ — to myłka, są one w bibliotece Instytutu węgierskiego przy Uniwersytecie berlińskim, a to z tego powodu: węgierscy protestanci wysyłali młodzież, przeznaczoną na przyszłych pastorów, na studia do Hali; to stowarzyszenie młodzieży słowackiej posiadało własną bibliotekę, obfitującą w stare druki czeskie (jest i owa *Wojna trojańska*), a między nimi i kilka polskich; ta to biblioteka halska przeszła do zbiorów Instytutu. — *Tractatus docens modum legendi* z r. 1524 rozebrał E. na części składowe i ustalił ich źródła na s. 271 jak najdokładniej, również i datę druku. O *Tobiaszu patryarsze* z r. 1539 powtarza E. domysł, że i biblia Leopolity i Wujek korzystali z owego tekstu, dla podobieństw, „które nie dadzą się wytłumaczyć faktem, iż są tłumaczeniem tego samego tekstu“ próbka przytoczona przez E. nie przekonała mnie, rozstrzygnie byle

praca seminarialna polska, gdzie teksty odnośne pod ręką. O Trztyprztyckim z r. 1650 gruntowne roztrząsanie treści i stylu, jedno z późniejszych wydań ma jadłospis dziwaczny (*visio macaronica* etc.); ten przypomina nieco pyszny wybryk humoru, książeczkę *Theses ex universa vinosophia in vinoversitate Ipiliensi*... praeside ad manum referendo Domino... Nalibocki miodorum sciendi et vinosophiae profusore Vitruvius Nieprozniak Vinofurtiensis... sub ructoratu Magnivinici Domini de Moczywąs archicellari... omnium austeriarum visitatoris generalissimi etc. (druk krakowski z połowy XVIII w.; czy nie wcześniejszy?); wyszydza sposoby dysputacyj, egzaminów i uczoności tez winozoficznych; E. dokładnie to rozbiera („wprowadzenie protektora i sposób dysputowania odbiega od wzoru krakowskiego") i przypuszcza, „iż mimo nazw polskich mamy tu do czynienia z płodem humoru niemieckiego" (bo są i terminy niemiecko-łacińskie, np. magistrincum zamiast magistrum, gurgulonia; Vinofurtiensis to Erfurt, Ipiliensis to Lipsk?); tych kilka nazw (dodaj: bibalectica i metabystica, zamiast dialectica i metaphysica; zamiast babulissimus na tytule czytałbym bibalissimus) mało mi dowodzą, więcej pedanteria rzeczy za długiej (71 stronic!) Niemców przypomina. W XIX wieku dopisał ktoś, widocznie na Litwie (w kontubernii telszewskiej: godny to Kontryma i Szubrawców wileńskich towarzysz) dedykację Protołyckiemu — generalnemu butelskiego i flaszkowskiego wydziału szkół wizytatorowi. Szkoda, że ten cenny dokument uszedł uwagi Tuwima, gdy materiał do antologii pijackiej zbierał. — Szczególną uwagę zwraca E. na relacje obcych podróżników i agentów w Polsce; wyżej już wymieniliśmy Tannera i Traunpaara, dodaj tu jeszcze Tettaua, osobliwie zaś Tendego, skarbnika Jana Kazimierza, pod pseudonimem (Sieur de Hauteville) opisującego w 29 rozdziałach płynnie, nieco powierzchownie, Polaków; bardzo przychylnie zagranica to przyjęła, często wydawała, tłumaczyła na niemieckie (1697, czyż dwa wydania z tego samego roku i z tą samą liczbą kart, 172, nie są identyczne oprócz tytułu?) i angielskie 1698 (to z licznymi dodatkami, i o arianach — dowód, jak oni Anglików obchodzili, zaznacza E.). Dalej Tectandra *Iter persicum* z r. 1669; Terlona posła francuskiego u Karola Gustawa (przychylnego Szwedowi) z r. 1682, a szczególnie majora Trencka obrona rozbiorców przeciw słusznym *Observations sur les déclarations* etc., ich potępiającym. Pod Terencjuszem E. twierdzi słusznie, że chyba nie było w XVI w. tłumaczenia jakiej jego komedii, czego się mylnie domyśliwałem. Mylnie dostały się tu praskie pierwociny jezuity Ticina z 1679 r. i przytoczona Zdrowaśka, ponieważ to nie polskie, lecz łużyckie dolne. O krakowskim psałterzu Turrecrematy z r. 1474 obszerna monografia niby, s. 410—412! E. zna teraz 30 egzemplarzy, dwa odbicia (nie wydania), i K. Hochfedera jako drukarza. Przy Twardowskich (Kasprze i Samuelu) znalazł się i czarnoksiężnik, T. Jan (?), chociaż po nim żaden druk nie ocalał ale literaturę o nim całą E. wymienił; za to najobszerniej rzecz

o Samuelu wyraził, szczególnie o *Paskwalinie*, jej wzorach i źródłach — wątpię, żeby to była przeróbka „z jakiegoś obcego poematu, którego dotąd nie udało się odnaleźć"; „hiszpański ubiór", to wskazówka na *Dianę* Montemayora, jedyny jej motyw obcy; reszta, to dzieło oryginalne, antyerotyczne, pierwsze, w którym kobieta główną rolę odgrywa, o mężczyznach jakby głucho. O Treterze, literacie i rytowniku, najszczegółowsze studium. Dzieło św. Teresy „panny seraficznej", przedstawił E. jak najdokładniej, bo to reprezentantka mistycyzmu hiszpańskiego, który sobie przez nią i do Polski drogę torował (*Przestrogi* jej, dodane do zbioru jej listów w przekładzie z r. 1672, to apokryf). Pod Tyszką (Prusakiem) wymienieni 1719 r. wysocy dostojnicy dworscy (dwaj Tettauy i Reichel) jako „patroni linguae et studiorum polonicorum", a do kilku innych, do hr. de Waldburg, Brauchwitza i i. następują przypisania po polsku — dowód, jak się utrzymywała polszczyzna w Prusiech Wschodnich. Pod Tyszkiewiczami obszerne uwagi szczególnie co do polemicznych dziełek Jerz. Tyszkiewicza z 1610 r. (przeciw zjadliwemu *Consilium de pace* Herburta, zbijając po kolei każdy z jego punktów) i z 1615 (przeciw Torunianom). Toruń bardzo starannie opracowany, wedle osobnych rubryk, czasopisma, kalendarze, szkoły itd.; sam rok 1724 i jego tragedia wypełniają s. 243—254! Tylko w sprawie Tyzenhausa Ant. uprościł sobie E. poniekąd trud, bo mógł powołać rozprawę Kościałkowskiego w *Ateneum Wileńskim* V. gdzie 86 druków opisano jak najdokładniej, tak że E. zamiast każde pisemko streszczać, odwoływa się do numeru u Kościałkowskiego. Wszystkie artykuły pobija rozmiarami rzecz o jezuicie Tylkowskim, s. 451—473; jezuita wyłożył cały swój system filozoficzny w czterech częściach (logiki, fizyki, matematyki z astronomią, moraliów), każdą z tych części rozłożył osobno, np. fizykę w 10 sporych tomach itd. E. zadał sobie trud nadzwyczajny, aby nam treść wszystkich tych i innych tomów przedstawić. Nauka Tylkowskiego i praca olbrzymie, ale stanowisko zacofane, średniowieczne jeszcze; coraz wybiera najzawilsze, iście sensacyjne pytania i odpowiada na nie wypróbowaną metodą scholastyczną, ignorującą rzeczywistość. Tu po raz pierwszy zastanawiająca swoją obfitością praca Tylkowskiego ujęta w całości.

Obszerny tom T nie zawodzi więc naszej ciekawości; wybrałem z niego tylko garść szczegółów, aby obfitość treści wykazać, a przez to wyrazić głęboką wdzięczność szanownemu autorowi, który dzieło śp. ojca nie tylko do pożądanego ukończenia, ale i do znacznego rozszerzenia doprowadza. Na U—Ż już nie długo czekać wypadnie, ale dopełnienia do całości, do tomów XII—XXXIII (a śledzi autor i najdrobniejsze przyczynki), zabiorą jeszcze parę tomów! Oby się autor i z nimi tak szczęśliwie uporał, jak z poprzednimi, po czym dopiero objawi się w całej pełni bogactwo dawnych zasobów umysłowych.

Berlin *Aleksander Brückner*

Karol Badecki, *Polska liryka mieszczańska.* Pieśni — Tańce — Padwany. Lwów, Nakładem Towarzystwa Naukowego, 1936. s. XXXI i 489, wielka 8.

Po monografii bibliograficznej z r. 1925, która objęła całość literatury mieszczańskiej (sowizdrzalskiej) XVII w., zjawiła się r. 1931 *Polska komedia rybałtowska*; r. 1936 *Zabytki liryki mieszczańskiej*, na razie tylko jej *Pieśni, tańce, padwany*; po czym jeszcze jej „epika" nastąpi. Przypuszczam, że ta „epika" obejmie i lirykę okolicznościową Sowizdrzałów itp., nierównie ciekawszych niż wszystkie owe erotyki. Wydawca bowiem nie jest konsekwentny, wydrukował przecież cały *Kiermasz wieśniacki* i *Prażonkę*, zawierające obok kilku pieśni lirycznych właściwie same fraszki i anegdoty (prozą!). Co prawda, gdyby wydawca uwzględnił fraszki sowizdrzalskie, Wodzisławczykowe i i., podwoiłby objętość tomu, ale i jego poczytność, bo wobec nużącej jednostajności erotyków przedstawiają się fraszki jako kalejdoskop wrażeń, przeżyć, faktów prawdziwych i zmyślonych, anegdot, gadek itd.; odźwierciedlają życie potoczne, głównie miejskie, a raczej małomiejskie; zarazem nie brak im nigdy luźnych pieśni miłosnych, zazwyczaj ciekawszych, niż są po owych erotykach. Erotyki zawierają bowiem mało rysów indywidualnych: próżno szukałbyś w tych całkiem konwencjonalnych zachwytach nad urodą bogdanek albo w skargach na ich nieużytość czy niewiarę szczegółów osobistych, cechujących np. erotyk Morsztynowy; tu nieuk (jest przecież i ten! Wenus a Tezeusz zamiast Prometea) powtarza czyli okrada Kochanowskiego (np. nos jak sznurek pleciony!) i zastępuje mitologią brak własnej inwencji; cechy osobliwsze objawiają się raczej przy naśladowaniu tonu ludowego (np. „Tyś pan Jan, tyś pan Jan, a ja panna Hanna", albo „A gdzieżeś się miły Maćku zabawił" itp.), szczególniej zaś w polsko-ruskich pieśniach, np. „Pod lipoju stojała" itd. i w dwuznacznych albo raczej wcale niedwuznacznych alegoriach z korzeniem, sitkiem włosianym itd. Rymy nieszczególne, częstochowskie, słowa z *cz* i *c*, *sz* i *s* stale rymują (tylkoż nie dla jakiegoś zmyślonego mazurzenia!); myśli i obrazy oklepane, jak i tematy; cena ich historyczna (że dawne), nie własna; że prawią o nizinach społeczeństwa, nie o jego warstwach górnych. Wydawca przedrukował zbiorków trzynaście (niemal wyłącznie z unikatów); dwóch dalszych nie zdołał odszukać; ponieważ miałem je jeszcze w ręku (w Petersburgu i w Krakowie), więc zdam z nich sprawę wedle własnych notat, niestety pobieżnych.

Wesoła ochota itd. z r. 1647, 4°, A-C_4 (Petersburg); Z. Mocarski wykleił jej arkusz C, ale z innego, późniejszego wydania, bo ostatnia jego stronica wskazuje z swoim „I nic" na arkusz D; odszukany arkuszyk zawiera koniec pieśni 29, 30—43 (bez końca). Egzemplarz petersburski daje motto: „Si vox est, canta, si mollia brachia, salta". Zaczyna się „Baletem" o wszechmocy miłości i „Saltarellą villaną": „Zęła w polu wskoki" itd. = Badecki s. 344 ze zbiorku *Piekna i wesoła ochota* z końca XVII w.; ten to zbiorek

wiele pieśni z *W. ochoty* 1647 r. powtórzył dosłownie, nawet owe motto łacińskie. Dalej „O swidrowatey (tj. zezowatej) pyszney": rozoko drwi w oko. „Stárá" (dla ubóstwa nie wyszła za mąż). „Táneczek" zaczyna szereg erotyków, np. na jednę, której oko mię dziś okrutnie zraniło; liczne skargi na dzisiejszą miłość, którą tylko złoto wzrusza; imię Klorynda dowodzi, że to wiersz nr 39 Badeckiego (s. 351); nr 38 (B., s. 349) na temat, że przy Kupidynie strzałka została, a przy Zosi sajdaczek, który i dziś nosi; nr 43 (B., 352) o dziewczynie brudnej, którą bić trzeba, ale nie będą jej bili, gdy będzie powolną; nr 45 (B., 354, Tyś pan Jan itd.); nr 24 (B., 338) Zdybałem spiącą dziewczynę itd.; nr 10 (B., 327) Pod lipoju stojała: w w. 6 mużowi, nie mężowi(Bad.) a w pięciu ostatnich wierszach: „Da pijdem (budem, Bad.) sobie spaty, Day też obłapiaty, Podźźe miłeńku, Podźźe duszeńku, Nie budet tobie hrywdy". W zbiorku petersburskim są dwa wiersze znane nam z *Damy* piątego wydania (Bad., 364): Niebogo z Bietko (tak stale! w *Damie:* Niebogo Zbietko), nawet: z Bietko tyś moiá (*Dama:* Zbietko, tyś moja); drugi: Filido nadobna przybądź pod te cienie... pięknie (*Dama:* wdziecznie) spiewają... w swej (na) pamięci... twey gładkości (grzeczności)... Jest jeszcze trzeci tekst tej pieśni w *Kole tańca wesołego* (Bad., s. 280), dłuższy o cztery zwrotki (z mitologią), *z kochania* zamiast: *skonania* (wiatry wzdychające... stękają). Ostatnia pieśń: Biada teraz na żaki A nie mniej na dworaki Trudny przystęp..., ale mnie to wcale nie tyka, trzymam się swego dobrodzieja, jeśli w nocy go wołam, on i przez okno wlezie; po każdej strofie: Pauperibus (pieśń inną z tym dośpiewem daje Badecki). Gdyby moje wypisy były pełniejsze, znalazłoby się niewątpliwie jeszcze więcej zgodnych tekstów; ruskich jednak prócz tej jednej (Pod lipoju itd.) w zbiorku 1647 r. nie było, bo byłbym je pewnie wynotował; Badecki ma ich więcej.

Burleszek egzemplarz był skradziony z Ossolineum; nie myślę ch obszerniej wypisywać, boć w nich fraszki znacznie przeważają: pieśni mało, na Krystynę i i.; wedle innej: byłbym przysiągł, że dziewczyna bezbronna, ale skorom ją zoczył, uczułem w sercu ranę, „Żem ledwie duszą nie szczknął y puścił pianę"; żarty z Zosi („wielkiś przebieglec"), Hilary i i.; w „Kolendzie" ofiaruje nie bydła, nie „jelenia bitego", ni wina, nie kołacza itd., tylko serce a z niem siebie samego, bo cóż by ci było beze mnie. Najdłuższa „Protestacja": sroga dziewczyna szydzi ze mnie, łaskawa dla innych, łzami moimi napełnię i ruczaj, aby „nie zamudził biegu". Są docinki „babożeniom"; jest „trucizna": jadła u matki dziewczyna chętnie piskorze wędzone, ikrą się struła, żywego w sobie piskorza poczuła; Nie wyszło roku u onej dzieweczki, Onej trucizny było pełne niecki" (podobny zwrot częsty). Są żarty, przestrogi dla kochliwego Florka i starego Jurka. „Czy sukno, czy panny obierać przy świecy?" (tylko w dzień, bo i znawca się oszuka). Nigdym psu nie zazdrościł, aż „Kurtusiowi" legającemu u boku swej pani. Nic po stroju przy cnocie, panna bryżowana bez cnoty — kamie-

nica słomą przyodziana. Niewiasta płacze kiedy chce: ale cię pląta do kutla miłości, ale ty otrząśni się, bądź mężem. Dziś rodzą się chytre dzieci, „stucznie bowiem oycowie Pań Matki (tak stale!) podchodzą“. *Ość* na końcu ma *szczerość*. Ma każdy likwor swoje drożdże na dnie. — Są i kawałki prozą, np. O babie: „baby nie rychło się człowiek dochowa, a rzadko z której co dobrego bywa, a kiedy się jej dochowa, traci istotę, krasę, ba i cerę, to jakby też na łańcuchu starego kurpia żywił, bo co zrobi, to jakby nalazł, a co zje, to jakby za płot wyrzucił“. Strofuje Jadwigę, że ciągle by z chłopem „rzechotała, bęben pono chcesz połknąć, a skóra nie cała“ — lepiej tak, niańką będę pod pierzyną, nie na słomie spała, boć matki dzieci nie karmią. Lepiej funt złota niż cetnar rozumu, bo bez złota „nie stoisz za szyszkę borową“. Są żarty, Toruńskie specyały: piernik z kiełbasą; o Węgrach, którzy w swoim języku nie mają wyrazów na cnotę, wiarę i łyżki; o „twarzobrakownikach“ (obłudnych) itd. Jest i Marcinowa Powieść z Kochanowskiego. „Łacina panom, jeśli ledaczym zbywają pachołków służałych“: Stolca wiatrem nie odbędziesz, „posłowieć to wiatry Gońca, co z panią starą siedzi miedzy Tatry“. Kilka maksym: Strzeż się tej potrawy, w której jest wądka. Nie wylęże wielbłąda sowa, tylko ptaka. Woli w swój grosz niż w cudzy dziesięć każda garnek. Mikrokosmowi (człowiekowi) „tcze nadzieje tak brzuch powierciały, że w duchu zełknął ten świat mały“. Oto i ślad po broszurze, gdyby samej nie odnaleziono.

Wracam do wydania. Druk nadzwyczaj bujny i staranny. Wydawca iście benedyktyńskiej przyłożył pilności; przesadził chyba, bo moim zdaniem niepotrzebnie wciągał wszelkie odmiany liter nawet, nie tylko słów czy form; w „Przypisach krytycznych“ (s. 357—430) zdaje o nich sprawę. Główny tekst lekko zmodernizowany, a wiersze pooddzielane (Przypisy pierwotną budowę pierwszych zwrotek powtarzają). Kończą liczne indeksy i nadto obfity słowniczek, nie zawsze trafny. *Matura?* — zamiast matutyny; *pasztuga*, nie śmierć, lecz pasztalenca (pestilencja); *basić dziwy* — niema takiego słowa w polszczyźnie, to błąd druku (druczek ów bardzo niepoprawny!) zamiast *broić dziwy; smatruz* i *jateczniczki*, to nie „buda kupiecka, kram“ ani „rzeźniczki“ (takich nie było, byli tylko rzeźnicy), lecz osobne zabudowanie, w którym siedziały „farbierki, iglarki, kaletniczki, paśniczki, w ich środku garbarki i płócienne panie“; jateczne zaś baby, jak i tretowe przekupki i po kramikach siedzące i inne, przedawały śledzie, wątrobę, gzelce, biskupki (pierniki) itp.

Nie ma żadnej *kurczyny* „rzecz kurcząca się“, jest tylko ukraińska *kruczyna* „żal, ból“; skoro o kogucie mowa: *pijże* (Bad. 122), błąd druku (od *pieć* to, nie od *pić*). Do słownika staropolskiego przybyła *miątka* (zawierucha, ros. *mjatiel*), polszczyzna ma zresztą tylko odpowiedniki z *mąt* i *męt*. Niepotrzebnie przedrukował wydawca aż trzykrotnie długą pieśń kiermaszową „Nowe latko idzie“, starczyłby poprawny tekst najstarszy (późniejsze dają *iść*, gdy rym do

być wymaga *ić*, *zwierzyny* zamiast *kruczyny* (p. w.); *pierdoły* nic z pierzynami nie mają spólnego, wyraz to ogólny, pogardliwy; *oduzne* to napiwek, nie „bałamutny“; *priapus?*, to penis; *hutman*, urzędnik miejski. Zbiorki okradają się nawzajem, ale IX: *Pieśni, tańce i padwany* po r. 1654 najbardziej, okrada bowiem i *Roksolanki* (1654 r.), a jego pieśń „Wybrało się siedm grzechów na sejm do Warszawy“ znana jako Morsztynowa (Andrzeja); „Bujałem sobie jako ptak“ napisał Szlichtynk; „Taniec“ Badeckiego, nr. 34, złączył dwie różne pieśni, druga: „Nie “masz” ci, niemasz jako niewieście“ dolę męża-chłopa opłakiwa; pierwsza zaś w dwu zwrotkach o słudze i panu gwarzy: boć mi służeczka zawsze *przyjaje;* a wedle tego i niesłychane: A sam Jegomość nie *maje*, zamiast *ma* (brak tu dwu zgłosek, „szczęścia“ czy coś podobnego). Jest i wymowna skarga chłopów na panów; w *Nawarze* jest ich więcej.

I całe zbiorki i luźne teksty są nierównej wartości; teksty zazwyczaj poprawne, ale bywają i potworne, np. IV (z r. 1614), nr 11, gdzie „Szlachetne zdrowie“, pełne błędów, poplątano z wierszami jak: „Gdy gładkość zginie, godnaś paść świnie Daleko *zboża* (co to? może błąd: z łoża?), a nie do łoża“; i po innych zwrotkach takiż nonsens. Na czoło wysunął wydawca *Damę* Adama Lewandowica Strzeżowczyka; to nie pseudonim, a już najmniej Adama Władysławiusza, zdolnego autora, nie plagiatora. Od tegoż Władysławiusza *Rozmowy młodzieńca z panną* z r. 1607 (I wydanie) byłbym zaczął, dał potem *Kiermasz wieśniacki* dla jędrności stylu i treści; potem *Pieśni i tańce* z r. 1614, a za nimi dopiero *Damę* i inne. *Rozmowa* zaleca się walorami artystycznymi: autor-przechodzień przysłuchiwa się rozstaniu pary kochającej, próżnym prośbom panny, wracającej do miasta bez miłego. Następuje równie długi Lament panny upadłej i młodzieńca, w samych dwuwierszach („miłoć było chodzić w sury“, s. 48, nie znaczy „w zaloty“, lecz „na pochyłość“); dalej obscoenum z owym częstym: „zwłaszcza na morzenie masz dobre korzenie“. Dalej dwa tańce, misternie ułożone, czego przy pierwszym wydawca nie uwzględnił. Zaczyna (piszę wiersze jednym ciągiem): „Teraz widzę, ma Anusiu, jawnie ze mnie szydzisz. To prawda. A jam w tobie miał nadzieję, że mię rada widzisz. O pewnie. Kiedyby była w tobie cnota, nie ciągnąłbym tego kota. Któż ci kazał?“ Otóż takich zwrotek jest pięć i każdy wyrzut młodzieńca panna gracko odbija; „nie ciągnąłbym tego kota“ — to nie żołnierskie, lecz miejskie i szlacheckie, stałe u Reja i Kochanowskiego, a nie znaczy „bałamucić“, lecz „błaźnić się“ por. dalej, s. 57, „żebym był kota nie ciągnął na potym“. Należałoż przestrzec o tym czytelnika.

Następują dwa obszerne listy miłosne, drugi (panny) nieco mitologią przykopcony; czy dodany w drugim wydaniu wiersz pożegnalny z kilku rymami wewnętrznymi też pióra Włodzisławczyka temu nie uwierzę. Teksty nie wypisują przyimka *w* przed *w*, pisza *wodzie*, tj. *w wodzie*, a więc (s. 41) „*wspólne rozmowy zaszli* w swym gadaniu“ znaczy *w wspólne* itd. W *Kiermaszu* może po raz pierw-

szy *kobieta* rzeczona bez uszczypliwości: „co jest chłop wyśmienity, szanuje swojej kobiety (s. 68); zaraz dalej „Tam kwitnie, tam roście, co nie jadają poście" — znowu aluzja płciowa, od których się w tych wierszach roi, od karasia i piskorzy do korzenia i kokoszki, do koszenia łąki i pytlowania mąki, co nieraz rekordy fizjologiczne osiąga.

Wydawca trzyma się niewolniczo tekstu, ależ przed jawnymi nonsensami należało przestrzegać czytelnika; mieliśmy już tegoż przykłady przy *Szlachetnym zdrowiu* albo ów wiersz chłopski o niewieście, ale takich jest więcej i zwiodły samego wydawcę. Np. polsko-ruska pieśń, dwukrotnie (s. 187 i 329) dosłownie powtórzona, prawi w pierwszych sześciu wierszach o górach i dolinach, które mnie od Kasieńki dzielą; 7 i 8 ona miłego po głosie poznaje(?), 9 i 10 zupełnie co innego: „Czy ja *di* (rosyjskie *die*?) tobi ne haworyła Matweju, Nakłady mene na hoczy zemli żmeneju", to nonsens, bo garść ziemi kładą na oczy trupowi, więc wzięte skąd inąd; wydawca chciał nonsensowi zaradzić; może wiersz ten brzmiał pierwotnie „ne kłady mene na hoły zemli żonkoju" (s. 453), ależ to niemożliwe; złożono tu dwa czy trzy zupełnie sobie obce teksty. Przed krytyką nie obstoją i inne wiersze, np. s. 333: pieśniarz żegna dziewczę, kwiat różany, z ręku mu wyrwany „ale się jednak wkrzewiła dobrze w serce moje, Żebyś korzonki zbierała wszytkie myśli swoje" (nonsens); następne nie lepsze, np. „Dalej dalej serce moje (inne metrum!), Co padły w ręce twe pokoje. kochanie moje" (szczery nonsens!). Wydawca zaznacza wyjątkowo. że się tekst powtarza; wyręcza się indeksami, sam też nie porównywa ani poprawia tekstów[1].

Liryka erotyczna mieszczańska, to najpośledniejszy okaz tej literatury, najmniej oryginalny, najmniej też zajmujący, nieraz to stop przypadkowy dwu lub trzech różnych pieśni. W liryce okolicznościowej (w fraszkach) nie spotykałem się z podobną potwornością, która się chyba wzajemnym okradaniem z mylnych odpisów, nie z druków tłumaczy, a dalej przeznaczeniem dla śpiewu (raz nawet melodię podano!) i tańca, które się i bez logiki obchodzą. Lecz mimo braków logiki i artyzmu należało się tym pieśniom zebranie i wydanie, skoroż niemal przez trzy wieki młodzież, szczególniej panny, tym dobrem żyły; osobliwszą wartością szczyciły się teksty ich rusko-polskie, bo one jedyne nie sztukowały się mitologią ani najpospolitszą konwencjonalnością, ale były nawet skromniejsze, brak im wyuzdania płciowego, znamiennego zresztą dla pieśni „kawalerskich". Więc mimo wszelkich zastrzeżeń co do wartości literackiej tych pieśni (których melodie nam reszta

[1] Powtarzań bez liku, nieraz trzy- i czterokrotne; odmianek istotnych niewiele, np. Dosienku zamiast Jadwisiu itp., albo dodają jaki dwuwiersz przestawiają wiersze wbrew sensowi; zupełnej zgody brak stały, co dowodzi, jak niedbale teksty zestawiano. W liryce fraszkowej nie ma podobnych braków. Należało tekst pełny tylko raz dawać, a ważniejsze odmianki u dołu notować; oszczędziło by się kart kilkadziesiąt.

obce!), uznajemy wdzięcznie niepospolite trudy wydawcy, których nie skąpił, aby dotychczasową lukę ile sił zapełnić. Życzymy tylko, aby mu się to samo z nierównie ciekawszą „epiką mieszczańską“ powiodło, nawet bez owej nadzwyczajnej wystawności, jaka na dolę erotyków wypadła.

Berlin *Aleksander Brückner*

Stanisław Pigoń, *Na wyżynach romantyzmu.* Studia historyczno-literackie. Kraków, 1936, skład główny w Kasie im. Mianowskiego, Warszawa, 8-vo, s. 292.

Autor zebrał tu 17 odczytów i artykułów dawniej lub świeżo napisanych, wychodząc nieraz od jakiejś tezy Chrzanowskiego czy Kleinera; pogłębiał ją lub zwalczał; obierał kwestie sporne ze spuścizny literackiej romantyków; nie tylko z ich wyżyn, ale i z nizin. Wszelkie wywody cechuje najobszerniejsze oczytanie, głębokie przemyślenie, forma wzorowa, a treść zwarta i bogata.

Na czoło wysunął autor *Proroctwo X. Marka* jako „u kolebki polskiej poezji mesjanicznej“, dopełniając studium Chrzanowskiego o Wergilim w Polsce, bo czwarta tegoż ekloga i wieszczbie X. Marka kolorów użyczyła; prawi więc o tekście, powadze, paralelach z literatury XVII-wiecznej; odrzuca wywody prof. Konopczyńskiego co do mniemanego autora i mniemanych symbolów politycznych; obstaje przy r. 1763 jako jej dacie, a łączy ją ze stronnictwem Branickiego, katolickim i austriackim. Na niektóre szczegóły nie zgadzam się; tekst druku z czasów Sejmu Wielkiego jest pierwotny, ale był dwuznaczny i dlatego go po rękopisach poprawiano; pierwotny brzmiał:

> Wielogłów biały czarnego osiędzie,
> Z którym wojując cuda czynić będzie.

Wielogłów, jak wieloryb, tj. o wielkiej głowie, nie o więcej głowach; czarnego, austriackiego, por. w dalszym ciągu: „dwugłówny w kolor przebierze się biały“; z którym wojując, niejasne: czy z nim razem, czy przeciw niemu?; wszystko później poprawiono; jednogłów piersi cz. o., Z którym złączony c. cz. b. *Lectio difficilior*, mniej zrozumiała, zawsze wyprzedza jaśniejszą, *lectio emendatior*, więc zapewniona autentyczność tekstu z r. 1790, zarazem odpada mniemana sprzeczność z wierszem następnym: drgną strachem schyzma (Rosja, boć o orle czarnym austriackim była mowa, nie o rosyjskim ani pruskim!), lutrzy i poganie (Turcy, nie Tatarzy). Następują symbole odrodzenia — przemiany natury, która pozbędzie się mordu, jadu, chłodu, niewoli; o komentarzu ich politycznym (Konopczyńskiego) powątpiewa autor, ja cały odrzucam, oparty właśnie o eklogę czwartą, gdzie tylko o zmianach w przyrodzie mowa, jak i u ks. Marka; nawet Gallus nie jest Francuzem, lecz zwykłym kogutem, ptakiem dziennym, co prawda, ale i nocnym i z diabłem komitywę wiodącym; „róża natury chłód w ciepło zamieni“, to nonsens; czytam z jednym

odpisem: rosa (która i oczy wyjada, ale po *renovatio mundi* ciepłą będzie). Paru symbolów nie kuszę się wyjaśnić, czy sam ks. Marek był ich świadom? (por. historię z czterdzieści cztery!) a więc pielgrzym (to ani Poniatowski, ani Leszczyński), a wielki mocarz, z którym Polskę powadzą, czy nie Fryderyk II? Ks. Marek poprawnością ani jasnością myśli i języka się nie szczycił, ależ „profecje“ nimi nie grzeszą nigdy.

Dwa następne artykuły prawią o Kochanowskim, jeden o dwu zapomnianych, R. Korsaku i o Fr. Morawskim, sławiących Kochanowskiego jak Dante Wergiliusza; drugi o zmienności sądów romantycznych co do „nienarodowości“ poety czarnoleskiego. Następują Mickiewicziana: o włoskim przekładzie *Ody do młodości* z r. 1877, przy wmurowaniu tablicy pamiątkowej na domu, gdzie poeta r. 1848 w Rzymie mieszkał, i o wrzawie gazeciarskiej z tego powodu. *Mickiewicz na rozdrożu 1831 r.* porusza strasznie niesmaczny temat o bezudziale poety w powstaniu. Petöfi przeciw zakazowi Bema i własnemu przyrzeczeniu rzucił się w wir walki i poległ, nawet trupa nie odnaleziono; sprawie węgierskiej nie pomógł, a młodą literaturę narodową przyprawił samochcąc o największą stratę — cóż by nam było po Mickiewiczu - powstańcu? On w powstanie nie wierzył ani na chwilę, a inna misja rozpierała piersi autora *Dziadów III* i *Tadeusza*, więc błogosławmy losowi, który go po dworach wielkopolskich włóczył. — Żeby artykuł (Przecławskiego?) o szkodliwości Unii dla Litwy był tą kroplą, co kielich przelała i poetę do natychmiastowego wyjazdu z Rzymu zniewoliła, o tym wątpić wolno. Z Słowackim sprawa podobna i toż o niej sądzić należy. *Orzeł i kruk w (małej) improwizacji Konrada*, autor zwalcza trafnie pomysł Kleinera o kruku - aniele, chłoszczącym niby duszę poety; Pigoń obstaje przy ogólnym tłumaczeniu kruka jako szatana. Ależ wiemy, jak szatani u poety wyglądają: czarny kruk jest natomiast symbolem ciemności losu: wzrok Konrada chce przyszłość ogarnąć, ale nie przebije powstającej przeciw niemu naturalnej ciemności, która w końcu cały widnokrąg zatapia — to nie moda szatańska, ale i o symbolu klęski narodowej inni równie mylnie myśleli. *Sąd nad Polską w P. Tadeuszu* grzechy przodków obnażał, samowolę i anarchię, nieco pobłażliwie, i słusznie, skoroż zamiary poety wcale nie były skierowane ku wyrokowaniu ostatecznemu; powtórzyłbym to i o *Dramacie dziejowym polskorosyjskim w ujęciu Mickiewicza...*, o „rozpięciu tęczy pojednania nad przyszłością obu narodów“; to antycypuje poglądy naszych rusofilów, co rzecz z kretesem przegrali. *Wieszczby Mickiewicza* najmniej prawią o najważniejszej, zbierają wszystkie, o których są wiarogodne relacje, a protestują przeciw mniemanemu mediumizmowi poety, który i o magnetyźmie i spirytyźmie ani słyszeć nie chciał, chociaż wizje akustyczne a raczej wzrokowe (iskierki) miewał i do ekstazy proroczej był skłonny; artykuł, najwnikliwszy ze wszystkich, kładzie szczególną wagę na przekonanie poety o niezniszczalności narodu.

W *Marii* Malczewskiego odkrył autor wątek balladowy (tj. z podania ludowego) w tajemniczym pacholęciu, ależ w „balladach“ pacholę nie tajemnicze, należy widocznie do służby domowej; czy właśnie na Wołyniu Malczewski usłyszał balladę, odźwierciedlającą losy Gertrudy Komorowskiej, dowieść się nie da; autor pierwszy wskazał istotną, acz bardzo odległą, przypadkową(?) paralelę.

Następują Słowacjana, najpierw o drugim prologu Kordianowym, rozprawie trzech osób; Chrzanowski wywiódł, że pierwsza osoba, acz nosi wyraźne cechy Mickiewiczowe, nie sam Mickiewicz tylko; Pigoń uznaje w niej również osobę zbiorową (delamenistów paryskich), której się drwiąc przeciwstawia Słowacki przez osobę drugą, spędzając ich z widowni; są to więc niby różne programy poetyckie (trzecia osoba daje program przyszłej poezji Słowackiego); ten prolog odpowiada niby przedmowie prozaicznej do trzeciego tomiku *Poezyj;* zewnętrzną podnietę dał „prolog na teatrze“ w Fauście, usprawiedliwienie niby samego dzieła. Najciekawsze ale i najbardziej ryzykowne, to odpowiedź na pytanie, *Kiedy Słowacki poznał Towiańskiego?* Kleiner wywiódł, że Perun litewski, przenoszący na wichrach kościół rzymski św. Piotra na Litwę, to Towiański, pomysł niezawodny, niby jajo Kolumba, gdyby nie pewne trudności chronologiczne, bo pisał Słowacki te oktawy r. 1841, tj. gdy antykościelnych dążeń Towiańskiego wobec politycznych emigracja jeszcze się nie domyślała; o tej antykościelnej dążności dowiedział się więc Słowacki sam nierównie wcześniej, w Wilnie jeszcze, gdzie brat ojczyma (Bécu) Towiańskim kierował, — wolę w nim hartował, a Towiański sam ową dążnością się popisywał ku zgorszeniu niejednego. Hipoteza przeprowadzona misternie; Szpicnagel pośredniczył, a Towiańskiego wskazałaby nauka o wędrówce dusz z *Godziny Myśli.* Osobiste spotkanie z Towiańskim nastąpiło 12 lipca 1842 r. i właśnie Słowacki nie przypominałby sobie dawniejszej, wileńskiej znajomości, nie chełpiłby się nią wobec wszelkich towiańczyków? Trudno mi w to uwierzyć. W jesieni i zimie 1841 na 1842 było o Towiańskim jeszcze dosyć głucho, więc czy nie zostać nam przy słowach Kleinera (III, 350) „szczytem fantastyki i malarskości (*Beniowskiego*) stała się wizja kopuły Piotrowej którą Perun unieść pragnie“ itd.

Dwa następne przyczynki poświęcone Goszczyńskiemu, poecie głównie „próbek niedoskonałych“, jego *Kościelisku* i *Wernyhorze* Najdokładniejsze studium papierów (fragmentów i notat) poety dozwoliło ustalić szkielet *Kościeliska*, które w pierwotnym ujęciu rozgrywało się za Szwedów 1655 r., a dopiero w drugiej redakcji przerzucił je poeta w wiek XIII i najście Tatarów; miało stać się apoteozą bohatera-zbójnika, który poświęceniem za ojczyznę maże dawniejsze przewiny. Tematem Wernyhory zajął się początkujący poeta w niedochowanym poemacie opisowym *Dąbrowy Śmilańskie* z r. 1820; 1829 r. napisał powieść wierszem *Wernyhora*, co z innymi utworami r. 1832 w Warszawie przepadła, a (natchnąwszy i Słowackiego Wernyhorą) wracał do tematu i później, 1833 r. i in.; co

najciekawsze, splatał z tym tematem własne dzieje poetyckie. Ostrożne a wyczerpujące zbadanie papierów raperswilskich umożliwiło sprecyzowanie ciekawych wniosków. Na s. 232 i 233 zaznaczył autor różnicę między romantyką wileńską a niezależną od niej ukraińską, aleź należało silniej podkreślić właściwą tej rozbieżności przyczynę: fatalne ubóstwo folkloru białoruskiego, sztukowanego własnymi wymysłami poety (co on z *Dziadów* porobił!), a nadzwyczajną obfitością i malowniczością folkloru ukraińskiego! I twórczość Goszczyńskiego, wybuchowa, lecz nie trwała, dobrze ujęta.

Chrystologia Towiańskiego broni mistyka przeciw zarzutom ks. Semeneńki, a wywodzi ją i z Kabały, idąc za wskazówką Kleinera; pogląd mistyka na bóstwo Chrystusowe nie był jednolity, a orzeczenia jego bywały niejasne, autor je wszystkie zebrał i ocenił, przywołując do sprawy mistyków francuskich, martynistów, i stwierdzając ewolucję poglądów Tow. od kabały do katolicyzmu. *Towianizm N. Żmichowskiej* nie w *Pogance* się objawił, raczej w całej działalności społeczno-politycznej a może i pedagogicznej, ustalając przeciw Mannowi na podstawie korespondencji autorki daty i szerokość jej „towianizmu". Szkic ostatni wywoływa z zapomnienia zupełnego autora politycznego na emigracji, Galicjanina Michała Kubrakiewicza, który przeciw panującej na emigracji rusofobii podkreślał niebezpieczeństwo grożące Polsce od Niemców, od Austrii i Prus. Dziś zapomniany zupełnie, odkrył swoje serce słowiańskie jak Wielopolski i i. aż po Dmowskiego za naszych dni, podświadomie marząc, czy nie powiedzie się Polsce wobec Petersburga i Moskwy to, co się jej wobec Wilna i Kowna powiodło, albo przynajmniej, czy nie zastąpi ona w maszynerii państwa rosyjskiego roli Bałtów-Niemców? Iluzje takie żywiono, chociaż z nimi jawnie rzadko występowano, aż nadto słusznie.

Oto wcale urozmaicona treść tomiku, który niczego nie burzy ani nie obala, ale sumiennością pracy a szerokością, ale i trzeźwością poglądów za wzór studiom podobnym uchodzić winien. Cegiełki to do gmachu naszego romantyzmu, któremu zawsze jeszcze brak ich wielki na każdym niemal kroku odczuć się daje.

Berlin

Aleksander Brückner

WSPOMNIENIA POŚMIERTNE

Śp. JÓZEF UJEJSKI

W dziejach naszych badań literackich Józef Ujejski[1] zdobył jedno z miejsc naczelnych jako badacz ideologii. Dzieła literackie były dlań przede wszystkim etapami kształtowania postawy duchowej wobec świata — indywidualnej i zbiorowej. Bystro umiał oświetlać również artyzm i technikę pisarską, ale pełen zadumy trud myśliciela kierował się głównie ku zagadnieniom ideowym.

W gruntowności swej i ścisłości zmierzał zawsze do obiektywizmu wyników; zawsze jednak płynął przez jego prace nurt głębinowy osobistości niepospolitej. W żądzy systematycznego, stopniowego, solidnego zdobywania prawdy, w dążeniu do bezwzględnej rzeczowości i rzetelności uzasadnień, w niechęci do konstrukcyj i spekulacyj dowolnych, w szacunku dla materiału faktycznego był typem pozytywistycznym badacza. A jednocześnie bliski był romantykom, których sercem umiłował, choć trzeźwo sądzić ich potrafił rozumem — bliski był im w przekonaniu o realności świata duchowego, w kulcie człowieka wewnętrznego i walorów ponadindywidualnych zbiorowości, w chęci docierania do źródeł i do istoty ducha narodu i w tym, iż należał do nielicznych, co odpowiedzialni się czują za Polskę.

Pierwsza rozprawa jego drukowana wiązała się z czterechsetleciem urodzin Reja. Studium o poglądach Reja na Polskę i Polaków, w r. 1906 ogłoszone w *Pamiętniku Literackim*, nie zapowiadało jeszcze historyka romantyzmu, ale już okazywało kierunek trwałych jego zainteresowań, zwróconych ku pojęciom szerszym o narodzie.

W trzy lata później ukazał już w pełni swą fizjonomię badacza o wnikliwości wyjątkowej. *Księga pamiątkowa ku*

[1] Urodzony w r. 1883, studia ukończył w Uniwersytecie Jagiellońskim. Był najpierw w Krakowie nauczycielem gimnazjalnym; w r. 1917 habilitował się jako docent historii literatury polskiej; od r. 1919 był profesorem Uniwersytetu J. Piłsudskiego, w r. 1933 obrany został rektorem, od r. 1936 był podsekretarzem stanu w Ministerstwie Wyznań Rel. i Ośw. Publ.

uczczeniu setnej rocznicy urodzin Słowackiego zawiera świetne jego studium o *Kordianie* — wizerunek zmagań psychicznych bohatera o chorej duszy i jego twórcy. W r. 1916 głęboko przemyślana, pełna nowych myśli książka pt. *Główne idee w Anhellim* oświetla drogę duchową od Lambra i Kordiana do Chrystusowego poematu sybirskiego, do jego wiary i jego bezdennego smutku. Wrócił jeszcze prof. Ujejski do poezji Słowackiego, gdy dla edycji *Dzieł wszystkich* poety opracował wyczerpująco twórczość jego młodzieńczą.

Monografię wszechstronną poświęcił autorowi *Marii,* której edycję oryginalną odtworzył w wydaniu poematu. Monografia ta — *Antoni Malczewski, poeta i poemat* (1921) — wyróżniająca się wszechstronnością ujęcia, w wyrazisty system ideowy przetworzyła bolesną, melancholijną postawę duchową, której kształtem poetyckim jest *Maria.* Malczewski staje tutaj obok Byrona, Leopardiego, Alfreda de Vigny i Schopenhauera jako jeden z klasyków pesymizmu, odrębne stanowisko zajmując przez wyznawanie „pesymizmu chrześcijańskiego". Nie ogranicza się do tego bogactwo wyników; wyjaśniona została ostatecznie kwestia stosunku do literatury obcej; gdy dawniej jednostronnie widziano byronizm „powieści ukraińskiej", Ujejski wskazał skrzyżowanie się byronizmu z typem powieści poetyckiej Walter Scotta. *Byronizm i skottyzm w Konradzie Wallenrodzie* (1923) jest ciągiem dalszym tych badań nad filiacjami przejawów romantyka — i analogiczny splot oddźwięków i typów techniki odsłania w powieści o tragicznym wielkim mistrzu Zakonu.

W tym samym czasie, w którym pracował nad książką o *Anhellim*, Ujejski zajmował się już całością ideologii narodowej w literaturze emigracyjnej. Zarys monografii na ten temat przedstawił wtedy na jednym z posiedzeń Akademii Umiejętności. Lata długie poświęcił głównie pogłębieniu i rozszerzeniu tego dzieła przez rozlełe studia porównawcze i historyczne, zarówno filozofię romantyczną studiując, jak mistykę. Szedł szlakami wiodącymi ku towianizmowi, śledził manowce okultyzmu — i o poprzedniku ciekawym mistrza Andrzeja, Tadeuszu Grabiance i jego działalności awiniońskiej napisał zajmujący szkic niemal powieściowy pt. *Król Nowego Izraela* (1924). Jest to niby produkt uboczny wielkiej pracy — a podobny charakter ma książka *O cenę absolutu* (1925), rewizjonistyczne spojrzenie na epizod wzięty z życia Hoene-Wrońskiego, przeciwstawiające się kultowi tego niezwykłego myśliciela z niemałą odwagą cywilną, ale z bezwzględnością nadmiernie ostrą.

Po latach dojrzało wreszcie dzieło zamierzone i ukazał się tom pierwszy *Dziejów mesjanizmu polskiego* (1931). Drugiego tomu nie zdołał już autor ogłosić, tom zaś wydany, najcenniejszy jego wkład w skarbiec nauki polskiej, przyniósł treść

o znaczeniu rewelacyjnym. Gdy dotychczas przed r. 1831 widziano tylko zapowiedzi mesjanizmu, Józef Ujejski pierwszy odsłonił pełne dzieje kształtowania się tego prądu przed epoką literatury emigracyjnej. Śledzi je i w wieku XVI, i w wieku XVII (u śmiesznego i zapomnianego ks. Dębołęckiego), a potem kreśli bogatą jego historię przy końcu wieku XVIII i w początkach XIX wieku. Rzuca światło na mesjanizm racjonalistyczny, na wpływy francuskie i niemieckie, na rolę Szaniawskiego, na genezę idei Brodzińskiego, ujawnia nieznane dotąd źródła — i udowadnia, że w okresie wojny r. 1830/31 istniała skrystalizowana ideologia mesjanistyczna o wielkiej doniosłości w dziejach pokolenia powstańców.

W działalności naukowej Józefa Ujejskiego, obejmującej nadto szereg pozycyj drobniejszych, niekiedy bardzo cennych (jak *Listy Norwida do Cieszkowskiego i Krasińskiego*, 1926, nieznane listy Słowackiego do Krasińskiego, wydanie dramatu Tekli Łubieńskiej z doby pseudoklasycyzmu pt. *Wanda*, 1927) górują wagą odkryć *Dzieje mesjanizmu*. Ale szczytem jego działalności pisarskiej jest książka *O Conradzie-Korzeniowskim* (1936) — dziwna, głęboka książka naukowa, będąca jednocześnie wyznaniem wiary osobistej.

Pełen smutnej powagi w stosunku do życia i poczucia odpowiedzialności etycznej, odporny wobec drobiazgów codzienności i dystansem od niej przedzielony, bliski czuł się pesymizmowi chrześcijańskiemu *Marii*. Cenił bohaterstwo sięgania po wartości najwyższe nie tylko bez względu na powodzenie, ale bez względu na wiarę w wyniki praktyczne — i w tym duchu przestylizował ideologię *Anhellego*. A gdy uginał się pod ciosem straszliwym, gdy łamała go śmierć syna lotnika — wtedy duchem bratnim stał mu się Conrad, wtedy zsolidaryzował się z jego męskim, na wskróś etycznym a nie szukającym żadnych ukojeń, zwycięskim spojrzeniem w tragiczne oblicze życia. To też mimo że od wypowiedzi lirycznych, od zajmowania się sobą był daleki, skłonny raczej do zamykania się w świecie swych myśli — książką o tonie osobistym stało się studium poświęcone Conradowi.

Najpełniej w nim wypowiedział się Józef Ujejski — badacz głęboki i człowiek wyżyn duchowych.

Lwów

Juliusz Kleiner

Śp. EDWARD PORĘBOWICZ

„Chcę Panów prowadzić w krainę piękna“, takie były pierwsze słowa, jakie usłyszałem z katedry prof. Edwarda Porębowicza. Nikt nie zdoła lepiej i jędrniej określić trudu życia Porębowicza jako tłumacza, filologa i nauczyciela: prowadził nas w krainę piękna.

Urodził się w Warszawie dn. 20 lutego 1862 roku. Studiował w Krakowie, Berlinie, Monachium, Montpellier, Barcelonie, Florencji, Wiedniu (gdzie uzyskał stopień doktorski w r. 1890), Paryżu. Habilitował się do filologii romańskiej w Uniwersytecie Lwowskim w r. 1897. Tamże mianowany został profesorem nadzwyczajnym w r. 1899, zwyczajnym w r. 1907. Członkiem korespondentem Akademii Umiejętności wybrany został w r. 1910, członkiem czynnym w r. 1926. Rektorem Uniwersytetu Jana Kazimierza był w r. 1925—26. Jako profesor przeszedł w stan spoczynku w r. 1931, zostając mianowany profesorem honorowym. Zmarł we Lwowie dnia 24 sierpnia 1937 r., w pięćdziesiątym piątym roku powołania pisarskiego.

Edward Porębowicz żyć będzie wiecznie w pamięci polskiej jako tłumacz. Przekładów jego szereg długi otwiera *Don Juan* Byrona, a kończy *Życie nowe* Dantego. Antologia prowancka, jedna z prac najdawniejszych, i antologia włoska, jedna z ostatnich, *Don Juan* Byrona i dwie komedie Shakespeare'a, wybrane *comedias* Calderona i utwory Leopardiego, wybrane pieśni ludowe celtyckie, germańskie i romańskie, a nade wszystko *Boska Komedia* Dantego: oto jego główne przekłady. Jako tłumacz miał Porębowicz wszelkie warunki: niezrównaną umiejętność interpretacji tekstów, mistrzowskie władanie formą poetycką, wyjątkową znajomość wszelkich zasobów języka polskiego; miał do najdalszych granic posuniętą sumienność prawdziwego artysty słowa, miał cierpliwość poddawania swych dzieł ciągle nowej rewizji. Przekłady Porębowicza są wierne, ale nie dosłowne. Ma on zawsze odwagę oddalić się od słów oryginału, aby tym silniej uchwycić jego myśl i tym wierniejszy dać ekwiwalent formy. Przekłady Porębowicza poddawano już wnikliwej analizie, a te analizy, im dokładniejsze i bardziej wnikliwe, tym więcej wykażą zarówno sumienność, jak i zdolność literacką Autora.

Uczony czy poeta? Alternatywy tej nie ma ani w organizacji twórczej, ani w działalności pisarskiej Porębowicza. Jest on bardzo dokładnym i bardzo uczonym filologiem w przekładach, w których jednak każdy wiersz świadczy o lwim pazurze poety. Jest znamiennie twórczy i pełen poetyckiego polotu w pracach naukowych, odznaczających się precyzyjnością metody i zdumiewającą rozległością erudycji.

Do cechu językoznawców zapisany nie był, ale wiedzy i zdolności językoznawczych nie był pozbawiony. O pracy młodego Romanisty pt.: *Revision de la loi des voyelles finales en espagnol* tak pisze jego mistrz Gaston Paris, sędzia bardzo krytyczny: „Ce petit travail est très digne d'éloge... cette brochure est un excellent début pour le jeune romaniste polonais dont nous avons récemment inséré un compte rendu“ [1]. Był świadom kunsztu edytorskiego, o czym świadczy wydanie nieznanych romanc hiszpańskich. Chociaż wychowany w tradycjach gramatyków, badających historię języka głównie na podstawie dawnych zabytków i wierzących niezłomnie w stałość praw głosowych, miał Porębowicz doskonałe zrozumienie także prądów przeciwnych. Był entuzjastą geografii językowej, która zwalczała językoznawstwo historyczne, choć w istocie była jego uzupełnieniem i wzbogaceniem naszej wiedzy o języku. Rozumiał to Porębowicz. Tego zrozumienia nie wykazali niektórzy, nawet znakomici, filologowie z generacji Porębowicza.

Był jednak przede wszystkim historykiem literatury. Jego zdumiewająca znajomość literatury wychodziła daleko poza zakres świata romańskiego. Tej rozległej i gruntownej kultury literackiej świadectwem są: *Ruch literacki południowo-zachodniej Europy*, *Literatura włoska w wiekach XV—XVIII* i *Literatury francuska, hiszpańska i portugalska wieku XVIII*, dzieła dawniejsze, oraz niedawno wydane opracowania literatury średniowiecznej łacińskiej, prowanckiej i francuskiej. Te ostatnie są to częściowo, jak zaznacza wierna współpracownica Profesora z lat ciężkiej choroby oczu, „nielitościwie skrócone“ szkice obszernych opracowań, których ogłoszenie drukiem wydaje się postulatem polskiej romantyki.

Jakkolwiek każde zjawisko romańskiego świata literackiego miało w nim doskonałego znawcę i skrzętnego badacza, to jednak pewne problemy przykuwały silniej jego uwagę niż inne. A więc folklor i epika starofrancuska; kapitalny jest jego pomysł tłumaczenia genezy starofrancuskich *chansons de geste* za pomocą tradycji rodowej. Interesowały go może jeszcze w większym stopniu problemy liryki miłosnej; poezja trubadurów i ich następców włoskich, których dotyczy jedna z najznakomitszych prac Porębowicza: *Teoria średniowiecznej miłości dwornej*. Znaczenie tej rozprawy niech poświadczy czołowy ro-

[1] *Romania*, XXVI (1897), s. 616.

manista współczesnej Italii, który zdając sprawę z dwutomowego dzieła niemieckiego na tenże temat powiada: „Molto migliore mi pare la spiegazione che ... dà E. Porębowicz, in un libro assai assennato e pochissimo letto, per essere scritto in polacco“ [1]. Wiele lat poświęcił Porębowicz badaniu dzieł Dantego, czego wynikiem jest monografia znakomicie referująca cały dorobek dantologii, ale zawierająca również niemało osobistego wkładu. Zajmował go także problem baroku, którego filiacji rewelacyjnie doszukiwał się u Prudencjusza. Z badań nad barokiem powstało klasyczne studium o Andrzeju Morsztynie, rzucające nowe światło na poezję polską XVII wieku. Był entuzjastą klasycyzmu francuskiego, o którym powiedział, co zapamiętali napewno ówcześni słuchacze, że jest zakochany w klasycyźmie. Ale miał również sympatię dla romantyków, o których mówił kończąc cykl wykładów: „dlatego ludzie ci są nam tacy drodzy“.

Z tego całego zakresu Porębowicz pozostawił prace rozmaitego rodzaju: jedne o szerokim zakresie, inne dotyczące drobnej kwestii. Ten ostatni rodzaj mniej leżał w jego temperamencie. Raz, pamiętam, powiedział: „Nie na to uczymy się literatury, aby potem beznadziejne przyczynki pisać“, czym niemało zgorszył nas, kandydatów na autorów przyczynków. Sam jednak pisał także przyczynki, które zawsze są wzorem tego rodzaju prac: odznaczają się znakomitą metodą i odsłaniają zazwyczaj nieoczekiwane horyzonty. Ale upodobanie znajdywał raczej w pracach syntetycznych, opartych o zdumiewającą erudycję i wytrwałe badania szczegółowe. Z pośród tego rodzaju prac jedna błyszczy jako najznakomitsza między innymi świetnymi: *Nowe piękno wieków średnich.* Kto bowiem głębiej niż Porębowicz „dotarł, gdzie piękno i wielkość tych wieków się kryje“, kto trafniej niż on zdołał „przejrzeć inwentarz pomysłów, wybrać najbardziej typowe i takie, co będą zaczynem na nową literaturę; pokazać, ile w nich jest iście pięknego?“ Pragnąłbym, żeby ten niezwykły szkic doczekał się rychło nowego, łatwo dostępnego wydania i znalazł się jako pouczenie i wzór niedościgły w ręku każdego romanisty i w ogóle każdego historyka literatury.

Ten znakomity uczony-poeta był najlepszym, najgorliwszym nauczycielem uniwersyteckim przez lat 35. Już jako docent, po dwóch latach wykładania, zasłużył sobie na miano ulubionego profesora, chociaż Uniwersytet Jana Kazimierza słynął wtedy z profesorów otaczanych czcią i miłością. Wyrazem stosunku uczniów do Profesora był dzień jego jubileuszu w maju 1932 roku. Bo też było za co dank serdeczny składać. Wykłady Porębowicza odsłaniały studentom szerokie horyzonty, a chociaż dotyczyły zazwyczaj obszernych zakresów, nie traciły

[1] *Giornale storico della letteratura italiana,* LVII (1911), s. 407.

nic z gruntowności. Były ostatnim słowem nauki i wyrazem osobistych przemyśleń Profesora, chociaż własne ja było zawsze dyskretnie ukryte. Nie słyszałem, żeby jakiś cykl wykładów Porębowicza został urwany i nie zakończony: każdy kurs był stosownie rozplanowany, każdy wykład stanowił dla siebie zamkniętą jednostkę, a wszystkie razem układały się i łączyły w całość harmonijną.

Seminaria Porębowicza dawały wiele podniety do pracy, ale dalekie były od metodycznego bakalarstwa. Stawiał studenta od razu wobec poważnych zagadnień romanistyki, ryzykując pocieszny nieraz widok pierwszych, nieudolnych kroków. Przygarniał dobrotliwie i pobłażliwie młodych adeptów romanistyki. W miarę ich studiów pretensje Profesora rosły. Były one bardzo poważne przy egzaminie nauczycielskim, większe przy doktoracie, habilitacja zaś była chroniona drutem kolczastym wymagań. Nigdy jednak pretensje Profesora nie łamały jednostki rokującej nadzieje pracy pożytecznej. Swych uczniów popierał usilnie, ale daleki był od małodusznego dawania im pierwszeństwa przed wychowankami cudzymi, o ile ci ostatni przedstawiali większe walory.

Był wielkim wychowawcą ten niepospolity uczony i świetny tłumacz-poeta. Bez przesady mogę zastosować do niego słowa poety, którego dzieła badał wytrwale i przełożył lepiej niż ktokolwiek:

> Vidi 'l maestro di color che sanno,
> . . . .
> Tutti lo miran, tutti onor li fanno.

Bukareszt

Stefan Glixelli

Śp. TADEUSZ PINI

Śp. Tadeusz Pini urodził się we Lwowie 9 kwietnia 1872, jako syn Józefa, podpułkownika Wojsk Polskich 1863 r., a wówczas urzędnika Wydziału Krajowego. Szkoły niższe i średnie (III gimnazjum klasyczne) przechodził we Lwowie. W półroczu zimowym r. 1892 wpisuje się na wydział filozoficzny Uniwersytetu lwowskiego; studiuje historię literatury polskiej i język polski pod kierunkiem Romana Pilata, slawistykę u A. Kaliny, filologię niemiecką u R. Wernera, filologię starożytną u L. Ćwiklińskiego i B. Kruczkiewicza, historię sztuki u J. Bołoz-Antoniewicza, a filozofię u Raciborskiego i Skórskiego. Poza przedmiotem głównym, którym pozostała dlań zawsze polonistyka, największe upodobanie żywił dla historii sztuki i literatury greckiej.

Należał widocznie do studentów bardzo zdolnych, wybitnych i pilnych, skoro pobierał stypendium przez cały czas studiów, a ówczesny system uniwersytecki nie znał tego masowego rozdawnictwa stypendyjnego, jakie praktykuje się dzisiaj. Była to dlań pomoc tym bardziej pożądana, że już w I roku studiów uniwersyteckich stracił ojca.

Od r. 1890 (sprowadzenie prochów Mickiewicza do kraju) tętno duchowego i umysłowego życia na obu naszych wszechnicach niezwykle się ożywia. Wśród młodszej generacji budzą się nowe idealistyczne dążenia i porywy, o nastawieniu jednakże na wskroś realizatorskim i praktycznym. Żąda się teraz pełnienia i urzeczywistniania tego, co głosiły niegdyś najwznioślejsze umysły. Nastaje życiowa odnowa romantyzmu. Młodzież uniwersytecka przyjmuje gorący udział w tym ruchu ideowym, znajdując w nim podnietę i zachętę do samodzielnej pracy naukowej.

W tych warunkach mógł śp. Tadeusz Pini już na ławie uniwersyteckiej wykonać lub przygotować cały szereg studiów i prac naukowych, posuwających walnie naprzód ówczesną wiedzę o literaturze. Jeszcze jako student III r. uzyskuje aprobatę R. Pilata na ogłoszenie drukiem pierwszej swej, dotychczas cenionej pracy pt.: *Z. Krasińskiego tzw. Niedokończony poemat. Próba genezy (Przewodnik Naukowo-Literacki,* Lwów,

1895). W latach następnych, nie licząc artykułów i przyczynków drobniejszych w czasopismach, ogłasza rozprawy tak poważne, jak — *Kilka słów w sprawie wpływu Shelleya na tragedie Słowackiego* (*Ateneum*, 1897, II), *Kornel Ujejski, wspomnienie pośmiertne*, Lwów, 1897, *Stefan Garczyński* (*Przewodnik Naukowy i Literacki*, 1898), *Rękopis poezyj Garczyńskiego w przerobieniu Mickiewicza* (*Pamiętnik Tow. Lit. im. A. Mickiewicza*, Rocznik VI, Lwów, 1898), *Studium nad genezą Irydiona* (*Biblioteka Warszawska*, 1899), *Źródła historyczne Irydiona* (*Kwartalnik Historyczny*, 1899), *Garczyński i Krasiński* (*Biblioteka Warszawska*, 1900), *Władysław Syrokomla i jego utwory* (Lwów, 1901, s. 247), *Henryk Sienkiewicz jako pisarz narodowy i artysta* (Lwów, 1901), *Nasza współczesna poezja* (Lwów, 1902), *Z pracowni poety* i *Rękopisy Z. Krasińskiego* (*Pamiętnik Literacki,* R. I, 1902).

Wśród wymienionych studiów, zalecających się równie wszechstronnością i wnikliwością w opanowaniu materiału, jak bystrością spojrzenia, rzeczowością i siłą argumentacji, szczególne znaczenie posiada rewelacyjna na swój czas a do dziś należycie nie oceniona rozprawa, zamaskowana niepokaźnym, filologicznym tytułem: *Rękopis poezyj Garczyńskiego w przerobieniu Mickiewicza.* Jest to, jeśli może nie pierwsze w Polsce, to w każdym razie pierwsze w szkole lwowskiej studium naukowe, sięgające do sedna rzeczy w zagadnieniu „formy poetyckiej". Autor wychodzi wprawdzie od grząskiego i wieloznacznego rozróżnienia „treści" i „formy", ale w toku rozprawy porzuca ten wątpliwej wartości aparat pojęciowy i drogą rzeczowej, wnikliwej analizy wykazuje, jak bezkształtne, chwiejne lub mętne projekcje pisarskie Garczyńskiego przybierają mocny, zwarty, semantycznie niezawodny i odkrywczy kształt pod piórem Mickiewicza. Wytrawnego znawstwa rzeczy w ówczesnym Towarzystwie Literackim im. Ad. Mickiewicza dowodzi fakt, iż na podstawie tej właśnie rozprawy powołano młodego uczonego na „członka czynnego" poważanej instytucji naukowej.

Od września 1896 pełni obowiązki nauczycielskie w gimnazjach lwowskich i tarnowskim, a w r. 1900 obejmuje stanowisko „rzeczywistego nauczyciela" języka polskiego w gimnazjum tarnowskim. Nie zrywając żywego kontaktu z ruchem naukowym, rozwija równocześnie w starym grodzie Leliwitów szeroką, owocną i do dziś pamiętną działalność społeczno-kulturalną. Jego głównie zasługą, pracą i zabiegami powstało tarnowskie Koło Towarzystwa Literackiego im. Ad. Mickiewicza, które swą akcją odczytowo-kulturalną w latach 1902—1905 odegrało wybitną rolę w obudzeniu życia duchowego szerokich sfer inteligencji miejscowej.

W r. 1906 przenosi się do Lwowa; wtedy to jako początkujący nauczyciel gimnazjum VII miałem zaszczyt cieszyć się Jego koleżeństwem i przyjaźnią. Poza wspólnością przekonań

i poglądów w sprawach publicznych łączył nas wspólny (z mej strony, niestety, tylko platoniczny) entuzjazm dla sztuki, a zwłaszcza dla dwu poetów, którzy byli równocześnie wielkimi artystami — dla Norwida i Wyspiańskiego. Ile uroku i światła rzucały w duszę Jego szczere, bezpretensjonalne wynurzenia i rozmowy, ocenić potrafi ten tylko, kto miał szczęście zetknąć się w życiu z tą niepospolitą, duchowo wytworną indywidualnością.

Z przeniesieniem się do Lwowa obejmuje tutaj funkcje tak odpowiedzialne i absorbujące, jak redakcja *Pamiętnika Literackiego*, wydawnictwa „Nauka i sztuka“ (tomów 13, Lwów, 1906—1911), *Wieczory polskie* (Lwów, 1909) i H. Macfaile'a *Historia malarstwa* (Lwów, 1912—1917, tomów 9). W r. 1917 przenosi się do Warszawy, a w r. 1919 uruchomia zorganizowany przez siebie instytut wydawniczy „Biblioteka Polska“. Jaką pozycję stworzyła ta instytucja w ogólnym rozwoju kultury polskiej i jakie wartości twórcze do niej wniosła — ocenić to w całym zasięgu jedynie przyszłość podoła.

Zgasł we Lwowie 7 września 1937. Cześć Jego pamięci!

Lwów

Eugeniusz Kucharski

DRUK UKOŃCZONO 28 LUTEGO 1938